

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



KAROL DICKENS

**DZIEJE, PRZYGODY,
DOŚWIADCZENIA I ZAPISKI**

DAWIDA COPPERFIELDA

JUNIORA, RODEM Z BLUNDERSTONE

(KTÓRYCH NIGDY OGŁASZAĆ DRUKIEM
NIE ZAMIERZAŁ)

II

Tłumaczyła Wila Zyndram-Kościąłkowska
w roku 1889

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

ROZDZIAŁ XXXI WIĘKSZA STRATA

Nietrudno mi było zastosować się do życzenia Peggotty i pozostać celem oddania ostatniej posługi zmarłemu. Zwłoki jego miały być odwiezione do Blunderstone, gdzie kochana moja piastunka dawno już zakupiła z własnych oszczędności parę stóp ziemi, tuż obok miejsca wiecznego spoczynku „kochanego swego dziewczęcia”, jak zwykła była nazywać mą matkę.

Dotrzymując piastunce mej towarzystwa w te pełne smutku i żaloby dni, oddając jej, jakie tylko mogłem, drobne posługi, spłacałem, z istotnym zadowoleniem kochającego serca, dług wdzięczności, lecz wyznać muszę, że z większym jeszcze zadowoleniem przyjąłem na się, jako rzecz należącą do mego zawodu, obowiązek wykonawcy ostatniej woli nieboszczyka.

Za moją też inicjatywą zaczęto szukać testamentu w skrzyni, gdzie też rzeczywiście leżał, owinięty w stary worek od owsa. Przy testamencie znaleziono złoty zegarek, który Barkis miał na sobie w dniu swego ślubu, ale którego ani przedtem, ani potem nigdy nikt na nim nie widział; była tam również srebrna puszka na tytoń, mikroskopijne pudełko w kształcie cytryny, zawierające mikroskopijną zastawę do herbaty, wystruganą z drzewa, które to pudełko, jak przypuszczałem, Barkis musiał kiedyś, w czasach mego dzieciństwa, kupić dla mnie, a potem, pożałowawszy widać, schował je do swego skarbcza. Ponadto znaleźliśmy osiemdziesiąt siedem i pół gwinei srebrem, samymi gwineami i półgwineami, dwa tysiące dziesięć funtów w banknotach, jako też czek na pewną sumę, starą podkowę, fałszywy szyling, kawał kamfory i jakąś muszlę. Że zaś ostatni ten przedmiot posiadał pewien połysk i ładne wewnątrz odcienie, nabrałem przekonania, że pan Barkis musiał przypuszczać, iż w muszli tej znajdują się perły.

Przez długie lata skrzynia ta zawsze towarzyszyła Barkisowi w jego codziennych wyjazdach. Dla odwrócenia wszelkich podejrzeń, wymyślił on historię, jakoby skrzynia ta była własnością niejakiego Blackboya, powierzoną Barkisowi do czasu, aż zgłosi się po nią właściciel. Całą tę bajkę wypisał na wieku skrzyni. Czas zatarł częściowo napis.

Długoletnie oszczędności wcale okazały dały rezultat. Fundusz zebrany wynosił trzy tysiące funtów szterlingów. Procenty od tysiąca Barkis zapewnił jako dożywocie panu Peggotty, po najdłuższym zaś jego życiu miały być rozdzielone na równe części pomiędzy mnie a Emilkę lub nasze potomstwo, i tak dalej. Reszta stawała się wyłączną i bezsporną własnością jego żony, jedynej wykonawczynie woli zmarłego.

Czytając na głos testament czułem się niby proktorem i zaczynałem przypuszczać, że Commons więcej jest przecie wart, niżby się zrazu wydawać mogło. Badałem testament od strony prawnej i z zadowoleniem musiałem przyznać, że był prawomocny. Poczynilem ołów-

kiem na marginesie potrzebne adnotacje, podziwiając sam siebie, że mi to wszystko, w tak prędkim stosunkowo czasie, wiadomym się stało.

Na tym podobnych zajęciach, na spisaniu inwentarza i przywodzeniu do porządku interesów Peggotty, na udzielaniu jej, ku obopólnemu naszemu zadowoleniu, rad prawnych, zszedł mi tydzień poprzedzający pogrzeb. Przez cały czas nie widziałem Emilki, słyszałem tylko, że ślub jej miał odbyć się za parę tygodni.

Nie towarzyszyłem oficjalnie pogrzebowi, to jest nie włożyłem żałoby i nie niosłem choraży do wystraszenia wróbli, lecz wczesnym rankiem udałem się na cmentarz w Blunderstone i tam wyczekiwałem zwłok, którym towarzyszyła wdowa z bratem. Wariat, jak zwykle wyglądał przez okno mego dawnego pokoiku, dziecko doktora, jak zwykle, trzęsło ciężką głową i przewracało bladymi oczami w stronę księdza spoza ramienia swej piastunki, pan Omer stał w głębi, dysząc ciężko, nie było zresztą nikogo więcej i pogrzeb odbył się cicho, spokojnie. Z godzinę jeszcze potem chodziliśmy po cmentarzu; z mogiły mej matki zerwaliśmy kilka świeżych listków.

Ogarnia mnie wielka trwoga, jak ciemna chmura, co się spuszczała na oddalony ogród, ku któremu wiodły mnie samotne kroki. Boję się zbliżyć myślą do tego, co zaszło tej nocy, a co się powtarza dziś w sercu moim i pamięci.

Nie zetrę tego powtarzając, i milcząc nie zetrę. Stało się. Nikt i nic odmienić nie zdoła dokonanego faktu.

Peggotty wybierała się ze mną nazajutrz do Londynu dla uprawienia testamentu męża. Tego zaś dnia Emilka przebywała w sklepie krawca, wieczorem mieliśmy się zejść w starej łodzi pana Peggotty. Ustaliliśmy, że Ham o zwykłej porze wstąpi po narzeczoną, ja nadejdę, a brat z siostrą, wróciwszy z obrzędu pogrzebowego, oczekiwać nas będą w starej łodzi.

Rozstałem się z nimi u wrót cmentarza i zamiast od razu wracać, zboczyłem w stronę Lowestoft. Zwróciłem potem kroki do Yarmouth. Po drodze wstąpiłem na obiad do jakiejś oberży i tak nadszedł wieczór. Wieczór był dżdżysty, zimny, lecz jasny, gdyż księżyc w pełni przebijał przez chmury.

Wkrótce dojrzałem łódź pokrytą dachem i światła w okienkach. Przeszedłszy mokre nadbrzeżne piaski, znalazłem się u drzwi domu.

Wszedłem. Cicho tu było, spokojnie. U komina pan Peggotty siedział paląc fajkę, na stole przygotowano wieczerzę, ogień płonął wesoło, popiół był odgarnięty, a Emilkę czekało zwykle jej miejsce w kącie. Na dawnym też miejscu siedziała Peggotty i gdyby nie jej ubiór, zdałoby się, że przeszłość wróciła w zupełności. Przed nią stało pudełko do robót z wymalowaną na wieczku kopułą katedry Św. Pawła, w nieodstępным towarzystwie ząbka wosku i skreconego centymetra. Pani Gummidge szamotała się w swoim kącie... Słowem, wszystko było, jak bywało niegdyś, przed laty.

– Pierwszy pan przybywasz, Davy – zauważył z uprzejmym uśmiechem pan Peggotty. – Zrzuć pan płaszcz, bo wilgotny.

– Dziękuję panu – rzekłem oddając płaszcz do powieszenia – prawie suchy!

– Pięknie mi suchy! – zawołał dotykając mych ramion. – Panicz przemókł do nitki. Niechże pan siada, ogrzeje się. Nie witam pana, ale rad panu jestem z całego serca.

– Dziękuję – rzekłem – nie wątpię o tym. A ty, staruszko moja kochana? – spytałem Peggotty całując ją.

– Cha! Cha! – śmiał się pan Peggotty chcąc pocieszyć siostrę. – Właśnie mówiłem jej, że nie ma na świecie kobiety, której sumienie bardziej może być spokojne, jak nie przymierzając jej. Spełniła wszystkie swe obowiązki względem nieboszczyka, nieboszczyk sam dobrze o tym wiedział, on jej, ona jemu oddali wszystko, co się komu należało, czegoż można chcieć więcej?

Pani Gummidge zamruczała coś w kącie.

– Odwagi, kobieto, odwagi! – pocieszał ją z kolei pan Peggotty, lecz to nie pomagało. Kiwała głową korzystając z nadarzającej się sposobności, aby przypomnieć swoje własne wdowieństwo. – Odwagi, kobieto, trzymaj się śmiało, a zobaczysz, wszystko jeszcze dobrze pójdzie.

– Nie mnie, Danielu, nie mnie – odpowiadała płaczliwie. – Dla mnie pozostała samotność i opuszczenie.

– Nie! Nie! – upewniał ją stary poczciwiec.

– Tak, tak, Danielu – twierdziła – nie jestem z tych, co lubią żyć cudzym kosztem, potrafię się usunąć.

– Bój się Boga, kobieto! Co ty mnie możesz kosztować! I niby nie widzisz, że mi się teraz właśnie stajesz potrzebniejsza niż kiedykolwiek!

– Wiem, że dotąd nie byłam potrzebna – rozplakała się na dobre pani Gummidge – niepotrzebnie mi to wyrzucasz. Opuszczona i samotna istota zawsze i wszędzie bywa niepotrzebna!

Pan Peggotty wyglądał bardzo zmieszany i zawstydzony okazanym brakiem serca, trącony jednak przez siostrę, nic nie odpowiedział, tylko popatrzawszy z żalem na panią Gummidge, zwrócił wzrok na holenderski zegar, powstał z miejsca, zapalił świecę i postawił ją w oknie.

– Tak to, pani Gummidge – powiedział wesoło, na co kobieta zamruczała coś niewyraźnie – postawmy świecę jak zwykle. Cha! Cha! Pan Davy nie wie, co to znaczy. To dla Emilki. Ścieżka po ciemku ponura. Jak tylko jestem w domu, w tym czasie, kiedy Emilka wraca, zawsze zapalam świecę i stawiam w oknie, a Emilka myśli sobie: „oto dom”, i myśli jeszcze: „stryj mnie czeka”. A co, dobrze tak?

– Dziecko z ciebie – rzekła Peggotty, rozrzewniona w gruncie rzeczy dobrocią brata.

– Ha! – rzekł stając przed ogniem, prostując grube swe członki i zacierając ręce z zadowoleniem. — Wyglądam na dziecko!

– Niezupełnie – zauważyła Peggotty.

– Kto wie, kto wie – mówił – zresztą mniejsza z tym i powiem tylko, że jak pomyślę o tamtym ładnym domku naszej Emilki, to po prostu nie wiem, co z tymi elegancjami robić. Boję się dotknąć, myśląc, że takie to delikatne jak nasza Emilka, i nikomu, za nic w świecie, nie pozwoliłbym potrącić tam żadnego przedmiotu. Bawić się jej czepeczkami jak małe dziecko. Cha! Cha! Macie dziecko w postaci starego morskiego rekina.

Roześmiał się na głos, wtórowaliśmy mu z Peggotty, lecz ciszej.

– Pamiętam – mówił ożywiając się – jak była taka malutka i nieraz całymi godzinami bawiliśmy się razem w Turków, Francuzów, w ludożerców, w lwy, wieloryby i rozmaitych cudzoziemców! Zostało to już w zwyczaju. Teraz zapalam dla niej świecę, by ją z dala, z ciemnej dostrzegła ścieżki. Dzieciństwo! Ale chociaż wyjdzie za mąż i opuści tę chałupę, wiem to, świecę zawsze przecie stawiać będę i siedząc jak teraz przy ogniu myśleć o Emilce i czekać jej. – Zaśmiał się. – Myślicie sobie pewno, jakie dziecko z tego morskiego rekina! A ja przecie myślę sobie, patrząc na świecę: moja Emilka widzi światło, wraca. Wy się śmiejecie ze starego rekina, a ja się cieszę... Otóż i ona.

Wyciągnął do drzwi ramiona; we drzwiach stanął Ham. Deszcz wzmógł się widać, gdyż szeroki kapelusz opadał mu na oczy.

– A Emilka? – spytał pan Peggotty. Ham skłonił tylko głowę w stronę podwórza. Pan Peggotty zgasił świecę i począł rozniecać ogień. Ham, nie ruszając się z miejsca, rzekł do mnie:

– Paniczu, niech panicz wyjdzie ze mną na chwilkę, mamy coś panu do pokazania.

Wyszliśmy. Przechodząc dopiero koło niego, dostrzegłem, że był śmiertelnie blady. Spiesznie zamknął drzwi, na dworze znaleźliśmy się we dwóch... we dwóch tylko.

– Co to znaczy? – spytałem.

Wybuchnął głośnym, wstrzymywanym płaczem. Oniemiałem na widok tej boleści, chociaż nie wiedziałem ani co myśleć, ani czego się lękać.

– Ham! Na Boga – rzekłem – co się stało?

– Ukochanie moje – wyjąkał – ona, która była dumą moją, źrenicą w oku, ta, za którą życie bym tysiąc razy oddał, znikła.

– Znikła, mówisz?

– Uciekła! – wybuchnął. – Emilka uciekła! O! Wolałbym stokroć widzieć ją na marach niż zhańbioną.

Wyraz twarzy, którą wzniosł ku zachmurzonym niebiosom, bladość jego, drzenie załamanych rąk, wszystko to wrażliwość mi się na zawsze w pamięć. W noc samotną, księżycową, a pochmurną widzę go zawsze przed sobą takim, jakim był w strasznej tej chwili.

– Uczony jesteś – mówił – i wiesz lepiej ode mnie, jak i co im powiedzieć. To może zabić stryja.

Drzwi skrzypnęły. Pochwyciłem klamkę, by zyskać choć chwilę czasu. Za późno, pan Peggotty wyjrzał – nigdy nie zapomnę jego nagle zmienionej twarzy.

Przypominam sobie krzyk i płacz kobiet. Staliśmy już teraz w pokoju, w ręce mojej drżał dany mi przez Hama papier, pan Peggotty stał błądzący z drżącymi, posiniałymi ustami, bluzę miał rozerwaną na piersiach i powalaną krwią, która mu się z gardła musiała rzucić. Patrzył na mnie szklanym wzrokiem.

– Czytaj pan – rzekł z cicha, głucho – powoli tylko, słowo za słowem, abym mógł zrozumieć.

W grobowej ciszy, jaka zapadła, czytałem na zmiętej ćwiartce papieru, co następuje:

Gdy ci, którzy mnie kochali więcej, niż na to zasługiwałam wówczas nawet, kiedy serce moje było jeszcze niewinne, odczytają to – daleko już stąd będę...

– Daleko – powtórzył głucho pan Peggotty. – Zaczekaj, daleko! Emilka daleko!

Jutro rano – list nosił datę dnia wczorajszego – opuść dom mój, dom kochany, jedyny, na zawsze, i nie wróć już, chyba że odwiezie mnie jako swą żonę. Zamiast mnie ten list zastaniecie. Och! Gdybyś wiedział, Ham, jak mi się serce kraje, chociaż Cię tak bardzo zasmucam i krzywdzę, przebaczyłbyś mi pewno, gdybyś tylko wiedział, ile cierpię. Nie śmiem pisać o sobie. Pocziesz się tym, że mam tak mało warta. Przez litość powiedz Stryjowi, że go nigdy, nigdy bardziej nie kochałam, jak w tej chwili. Zapomnij, jakeś był dobry, pobłażliwy dla mnie, zapomnij, żeśmy się pobrać mieli, myśl lepiej, że umarłam małym jeszcze będąc dzieckiem i gdzie mnie pogrzebano. Proś Boga, abym nie wróciła, i miej litość nad Stryjem. Poczieszaj go, mów mu, że go nigdy, nigdy bardziej jak w tej chwili nie kochałam. Serce swe pocziwie oddaj jakiemuś pocziwemu dziewczęciu. Więcej ode mnie warta zastąpi mnie przy Was, gdyż ja Wam samą hańbę przynoszę. Niech Was wszystkich Nieba mają w swej pieczy. Modłę się za Was wszystkich gorąco, nie za siebie. I wówczas nawet, gdy on mnie tu z powrotem nie przywiezie jako swą żonę, za Was modlić się będę. Żegnaj Stryja. Stryjowi lzy moje i ostatnie dziękczynienia.

Tyle tylko!

Dawno przestałem czytać, a stary stał jak skamieniały, patrząc na mnie szklanym wzrokiem. Ośmieliłem się ująć go za rękę w nadziei przywrócenia do przytomności.

– Dziękuję, dziękuję panu – rzekł głucho, nie czyniąc żadnego ruchu.

Z kolei Ham przemówił. Podziało to na starca o tyle, że załamał ręce. Pozostał jednak w uprzedniej postawie.

Po chwili przestał patrzeć na mnie, zatoczył wzrokiem dokoła, jak ktoś, kto się budzi z ciężkiego snu. Po chwili spytał głucho:

– Kto to? Chcę wiedzieć jego nazwisko.

Ham spojrział na mnie, cofnąłem się jak piorunem rażony.

– Chcę wiedzieć, kto to sprawił – powtórzył pan Peggotty.

– Paniczu – szepnął mi na ucho Ham – paniczu Davy, oddalcie się, muszę mu coś powiedzieć... czego nie powinniście słyszeć.

Cofnąłem się, opadłem na krzesło, oniemiałem.

– Chcę wiedzieć jego nazwisko – usłyszałem raz jeszcze.
– W ostatnich czasach – mówił Ham bezdźwięcznym głosem – kręcił się tu pewien lokaj... a także dżentelmen... lokaj i dżentelmen...

Pan Peggotty stał jak wryty, ze szklanym, zwróconym na Hama wzrokiem.

– Lokaj ten – ciągnął Ham z wysiłkiem – widziany był zeszłego wieczoru z dziewczeczką naszą. Czatował na nią po kryjomu od tygodnia przeszło. Udawał, że opuścił Yarmouth, lecz czatował. Paniczu Davy! O, paniczu Davy!

Czułem naokoło mej szyi ramiona Peggotty. Byłem jak skamieniały. Gdyby dom się walił, nie zdołałbym powstać.

– Nieznany pojazd widziany był dziś rano o świcie, za miastem, na drodze do Norwich – ciągnął Ham dalej. – Lokaj ów podchodził doń, wracał, znów się zbliżył... tym razem z Emilką... tamten czekał w pojeździe... On to.

– Na Boga – krzyknął pan Peggotty cofając się i zasłaniając twarz dłońmi jak przed ciosem – wiem już, jak się nazywa. Steerforth!

– Paniczu – rzekł Ham zwracając się do mnie – nie miej mi tego za złe, wiem, że nie ma w tym twej winy, ale istotnie nazywa się on Steerforth, a podły to nikczemnik!

Pan Peggotty nie wydał jęku, łzy nie uronił, stał długo jak wryty, potem zrzucił rozdartą na piersiach bluzę.

– Zreperujcie mi to – rzekł – i pomóżcie ubrać się prędzej. Tam surdut, kapelusz.

Ham spytał go, co zamierza.

– Idę szukać mej bratanicy – rzekł – najprzód do tego statku, wiecie. Utopiłbym go tysiąc razy, bez litości, gdybym przypuszczał – dodał z dzikim szaleństwem w oczach – utopiłbym, gdyby siedział przede mną, oko w oko, niecnie swe snując zamysły. Idę szukać mej bratanicy.

– Gdzie? – rzekł Ham zachodząc mu drogę.

– Wszędzie, po świecie całym. Znajdę ją, wyrwę hańbie, wrócę tu z nią. Nikt mnie za-trzymać nie zdoła, mówię wam, że po nią idę.

– Nie, nie – zawołała rzucając się do drzwi pani Gummidge – nie, Danielu! Nie tak, nie teraz. Uspokój się trochę, a potem, mój biedny, opuszczony Danielu, szukać jej będziesz, ile zechcesz. Słuszne to, ale uspokój się przedtem. Usiądź i przebacz mi, że ci dokuczałam! Teraz widzę, czym były moje troski w porównaniu z tym nieszczęściem! Pomówmy trochę o dawnych czasach, kiedy Emilka została sierotą i Ham także, i ja także biedną, opuszczoną wdową, a tyś nas przygarnął. Mówmy o tym, to ci ulgę sprawi, Danielu – dodała opierając mu głowę o ramię – ulgę ci to sprawi, doda odwagi. Wiesz, jak tam jest napisane: „Cokolwiek uczynicie jednemu z tych małuczkich, mnie samemu uczyniliście”. Nie, nie zawiodą te słowa pod dachem, pod którym wszyscyśmy mieli przytułek przez tyle, tyle lat.

Uspokajał się, a gdym usłyszał, że płacze, ukląknęłam prosząc o przebaczenie za nieszczęście, które mimowolnie pod ich dach sprowadziłam, a nabrzmiałe w sercu przekleństwo dla Steerfortha w lepsze zmieniało się uczucie, wraz ze łzami, które mi też pewną ulgę przyniosły.

ROZDZIAŁ XXXII

POCZĄTEK DŁUGIEJ PODRÓŻY

To, co czuję, czuć muszą i inni i dlatego nie waham się wyznać, że nigdy może Steerforth droższy mi nie był jak w chwili, gdy się rwały łączące nas więzy. W nagłym odkryciu jego niegodziwości nie traciłem z pamięci znanych mi jego przymiotów, myślałem o nich, łagodziły one mój sąd o nim, myślałem o tym, jak wysoko i szlachetnie postawić go mogły, a chociaż głęboko przekonany byłem o mej niewinności we wniesionym przezeń w dom mych przyjaciół nieszczęściu, czułem, że gdybym go spotkał oko w oko, nie powiedziałbym mu słowa wyrzutu. Kochałem go nie mniej niż przedtem i chociaż utraciłem wszelkie złudzenia, chociaż wiedziałem, że byłbym chyba słabym dzieckiem, gdybym się znów doń zbliżył, że wszystko między nami na zawsze skończone, zerwane w imię przeszłości, okazywałbym mu, gdybym go spotkał, to samo co dawniej przywiązanie. Co Steerforth myślał o mnie, jakie zachował wspomnienia, nie wiem, moje pozostały mu wierne, jak zmarłemu przyjacielowi.

Tak jest, dawno ze skromnej historii mego życia usunięty przyjacielu! Boleść moja świadczyć przeciw tobie będzie u tronu Najwyższego Trybunału, lecz serce i pamięć nigdy.

Wieść o tym, co zaszło, szybko rozbiegła się po mieście. Wyszedszy nazajutrz rano, słyszałem, jak przechodnie rozprawiali o tym na ulicy. Niektórzy potępiali Steerfortha, większość młodą dziewczynę, lecz do opiekuna jej i narzeczonego wszyscy odnosili się z jednakiem współczuciem i szacunkiem. Rybacy i żeglarze, natchnieni poczuciem delikatności, uchylali się na widok pana Peggotty i Hama, stąpających powoli, wlokącym się krokiem po wybrzeżu.

Tam to ich spotkałem. Gdyby mi nawet Peggotty nie mówiła o tym, łatwo, widząc ich, domyśliłbym się, że oka przez całą noc nie zmrużyli, przesiedziawszy do dnia białego tak, jakem ich był z wieczora zostawił. Noc ta jedna pochyliła głowę pana Peggotty bardziej niż wszystkie minione lata, odkąd go poznałem. Obaj z bratankiem przybici byli nad wszelki wyraz, ale na pozór spokojni, chłodni nawet jak to morze, co pod pochmurnym niebem leżało spokojnie, z zamkniętą w łonie swym burzliwą falą, a nawet gdzieś precz, na skraju horyzontu, złociło się pod wąską smugą niewidzialnego z brzegu słońca.

– Rozmawialiśmy z sobą – rzekł powitawszy mnie pan Peggotty, po kilku chwilach milczenia – o tym, co mamy przedsięwziąć, a czego się wystrzegać, zdecydowani też już jesteśmy.

Spojrzałem na Hama. Wzrok jego gonił na skraju morza jaśniejszą linię. Przeląknęłam się. We wzroku tym nie było gniewu ni złości, błyszczało tylko niezłomne postanowienie. Tak, gdyby spotkał Steerforth, zabiłby go bez wątpienia.

– Obowiązki tu moje skończyły się – powiedział pan Peggotty. – Jeden mi dziś już tylko pozostał obowiązek: szukać mej... – zająknął się, a potem z mocnym wysiłkiem dodał: – Szukać jej będę, aż odnajdę, to jest dziś jedyny mój obowiązek.

Wstrząsnął tylko głową na moje pytanie, gdzie się zamierza udać, i nawzajem spytał, czy nazajutrz zamierzam odjechać do Londynu. Wnosząc, że mogę być mu potrzebny, odrzekłem, że wyjazd mój najzupełniej do niego zastosuję.

– Jeśli pan może pozostać do jutra – rzekł – i jeśli nie sprawi to panu przykrości, pojedę z panem.

Kilka kroków przeszliśmy w milczeniu.

– Ham – mówił dalej – tu pozostanie, ma on pracę i musi się opiekować moją biedną siostrą. Z nią zamieszka; stara zaś łódź ta...

– Opuszczasz ją pan? – spytałem łagodnie.

– Moje miejsce nie tu – odrzekł – i cóż tam, że łódź w ciemności zatonie, gdy człowiek ginie. Lecz nie, łódź nie będzie opuszczona.

Znów przeszliśmy kroków kilka w milczeniu.

– Owszem – ciągnął – pragnę, aby pozostała latem i zimą, dniem i nocą, czym była dotąd, taką, jaką ona ją znała. Chcę, aby gdy wróci, zastała dawne swe miejsce, poznała prowadzącą do domu drogę. Chcę, aby w słotę i zawieję zastała tu panią Gummidge i miała odwagę, widząc, że jest ciągle oczekiwana, drżącą ręką zapukać do drzwi i pod własnym dachem złożyć do spoczynku skołatana, niegdyś tak jasną główkę.

Chciałem odpowiedzieć, lecz nie mogłem.

– Trzeba – rzekł – aby co wieczór i przez noc całą w tym oto oknie paliła się świeca i z dala już mówiła jej, jak dotąd mawiała: „Wracaj, kochanie, gołąbko nasza, wracaj, czekają cię”.

– Ham – rzekł zwracając się do synowca – jeślibyś kiedy usłyszał wieczorem czy w nocy pukanie, wiesz, ciche jej pukanie do drzwi ciotki, nie otwieraj sam. Niech ją lepiej spotka ciotka, lżej biedaczce będzie.

Szedł czas jakiś przed nami milcząc. Spojrzałem na Hama. Wpatrzony w jasną linię na skraju horyzontu i morza miał ten sam co przedtem wyraz twarzy. Dotknąłem jego ramienia, lecz dwa razy powtórzyć musiałem imię, nim się zbudził z zadumy. Spytałem go, o czym myślał.

– O tym tam – odrzekł wskazując morze.

– O tym, co masz przed sobą, prawda? – spytałem z naciskiem.

– E, paniczu, nie wiem jak, lecz wiem, że koniec stamtąd przyjść musi – rzekł patrząc wciąż na morze z tym samym co przedtem wyrazem twarzy.

– Jaki koniec? – spytałem zdjęty uprzednią trwogą.

– Nie wiem – odrzekł zamyślony – myślałem po prostu, że tam, gdzie był początek, tam musi być i koniec... Lecz to już przeszło – dodał odpowiadając memu spojrzeniu – i niepotrzebnie pan boisz się, jestem jak oszołomiony i sam nie wiem, co myślę i mówię.

Pan Peggotty zatrzymał się, my także i rozmowa urwała się, lecz pozostała mi w pamięci i przypomniałem ją sobie, gdy w swym czasie istotnie nieubłagany nadszedł koniec.

Wkrótce doszliśmy do starej łodzi. Pani Gummidge zamiast, jak zwykle, jęczeć i wzdychać w swym kącie, krzątała się koło śniadania. Wzięła kapelusz od pana Peggotty, przysunęła mu krzesło, a mówiła tak pocieszająco i rozsądnie, żem jej nie poznawał.

– Danielu! Poczciwy mój Danielu! Musisz zjeść i pokrzepić potrzebne ci teraz siły. Spróbuj! Spróbuj tylko. Jeśli ci się naprzykrzam, powiedz, a odejdę.

Gdy podała nam śniadanie, odeszła do okna, gdzie reperowała odzież i bieliznę pana Peggotty, układając ją potem w skórzaną walizkę, takiej jakiej zwykli używać żeglarze. Jednocześnie mówiła:

– Możesz być zupełnie spokojny. W każdym tu będę czasie, dniem i nocą, zimą i latem. Nie nazbyt jestem piśmienna, ale od czasu do czasu będę do ciebie pisywać przesyłając listy do pana Davy. A może czasem napiszesz do mnie słówko, Danielu? Niepokoić się będę o tę samotną długą twą podróż.

– Toż ty, kobieto, będziesz tutaj teraz naprawdę samotna i opuszczona – zauważył pan Peggotty.

– Nie, nie – zaprzeczyła – nie troszcz się tylko o mnie, Danielu! Dość będę miała zajęcia utrzymując w porządku dom dla ciebie i tych, co mogą tu wrócić. W pogodę wyczekiwać będę na progę jak dawniej, zupełnie tak samo, a wracających przyjmę kochającym, wiernym sercem.

Jakże się pani Gummidge bardzo, i to tak z dnia na dzień, nagle zmieniła! Miałem przed sobą inną kobietę. Nie jęczącą, zamkniętą we własnych, wyimaginowanych troskach, lecz poświęcającą się, nie myślącą o sobie wcale, godną czci i szacunku! Czego przy tym w dniu tym nie zrobiła! Mnóstwo przedmiotów, wioseł, żagli, lin, pak znieść trzeba było z wybrzeża i schować w małym składziku. Było to mienie pana Peggotty, nad którym rozciągała opiekę, i chociaż każdy spieszył jej z pomocą, gdyż nie było rąk, które by nie chciały oddać usługi odjeżdżającemu, ugięła się dzień cały pod ciężarami, przy czym zapomniała najzupełniej zwykłych swych skarg. Była niemal wesoła, nie kłóciła się z nikim, ani razu nie podniosła głosu, ani jednej łzy nie uroniła i dopiero o zmroku, gdy pozostała sama ze mną i panem Peggotty i gdy ten ostatni, wycieńczony, zapadł w sen twardy, rozplakała się na dobre, ale cicho, a odprowadzając mnie do drzwi, mówiła:

– Niech Nieba panu nagrodzą, panie Davy! Bądź mu przyjacielem i podporą.

Rzekłszy to, pobiegła prędzej umyć oczy, aby budząc się zastał ją spokojną i przy robocie. Pozostawiłem ją jako opiekę i podporę nieszczęściem dotkniętego człowieka, rozmyślając nad tą wielką, udzieloną mi przez panią Gummidge nauką.

Musiałoby być już około dziesiątej, gdy blakając się bez celu po mieście, zatrzymałem się u drzwi sklepu „Omer i Joram”. Pan Omer tak się przejął tym, co zaszło, jak mi później opowiedziała jego córka, że mu się zrobiło gorzej i musiał się położyć.

– Brzydka, niewdzięczna dziewczyna – zdecydowała pani Joram – zawsze była niewiele warta!

– Nie mów pani tego – zawołałem – nie myślisz tak!

– Owszem – odparła z gniewem.

– Nie, nie! – zaprzeczałem.

Podniosła głowę chcąc wyglądać na obrażoną i surową, lecz nie wytrzymała i rozplakała się. Młody byłem i niedoświadczony, a jednak uznałem te jej łzy za lepszą oznakę niewieściej godności i macierzyńskiego serca niż uprzednią nieubłagalność zasad.

– Co poczniesz z sobą, co się z nią teraz stanie! – chlapała. – Och, jakże mogła być tak bezlitosna dla siebie i dla nich!

Przypomniałem sobie, że widziałem panią Joram młodą dziewczynką, i zadowolony byłem, że sama pamiętała o tej dobie.

– Moja mała – mówiła – ledwie się dała uspokoić, cały dzień płakała i teraz przez sen mówi jeszcze o Emilce. Pytała, czy Emilka stała się złą? Cóż miałam odpowiedzieć dziecku? Onegdaj jeszcze wieczorem, wychodząc stąd po raz ostatni, Emilka z własnej szyi zdjęła wstążkę, związała na szyi mojej małej i pieściła ją, i bawiła się z nią, dopóki Minnie nie zasnęła. Wstążka jest i teraz na szyi małej, źle to, wiem, ale jakże dziecku odbierać? Przywiązała się do niej z całego serca i Emilka kochała małą, była dla niej dobra, pieściła ją zawsze.

Pani Joram płakała tak rzewnie, że aż mąż przyszedł ją uspokajać. Pozostawiając ich razem, wróciłem do domu Peggotty smutniejszy jeszcze, niż gdy go opuszczał.

Pocziwe to stworzenie, nie zważając na tyle bezsennie u łóżka chorego męża spędzonych nocy, pozostało na noc u brata. W mieszkaniu była tylko stara kobieta, przyjęta w ostatnich tygodniach do pomocy, bo Peggotty nie mogła dać sobie rady z gospodarstwem. Otworzyła mi drzwi ofiarowując swe usługi. Nie potrzebowałem ich i, zgodnie z jej skrytymi życzeniami, posławszy ją spać, sam usiadłem przed ogniem rozmyślając o wszystkim, co zaszło.

Myślałem o śmiertelnym łóżku nieboszczyka i o tych obszarach dalekich, których szukało oko Hama, gdy z zadumy wyrwało mnie pukanie do drzwi, ciche i słabe, jakby dziecięcą dokonane dłonią.

Porwałem się zdziwiony, otworzyłem drzwi i zrazu nic nie dostrzegłem, oprócz wielkiego o własnej, rzekłbyś, sile poruszającego się parasola. Po chwili spod parasola wyłoniła się panna Mowcher.

Byłem przygotowany na nie nazbyt uprzejme powitanie tego drobniutkiego stworzonka, jeśli uchyłając parasol ukazała „trzpiotowate” swe, które zachowałem w pamięci, oblicze. Ale podniesiona ku mnie twarz była tak smutna i gdym przyjął z rąk przybyłej olbrzymowi mogącej służyć parasol, załamała z taką rozpaczą drobniutkie swe rączki, że od razu mnie rozbroiła.

– Panno Mowcher – rzekłem spoglądając poza nią w pustą ulicę, chociaż nie potrafiłbym powiedzieć, kogo spodziewałem się dojrzeć – co panią tu sprowadza?

Ruchem krótkiej swej prawej ręki wskazała, bym zamknął parasol, sama zaś szybko weszła do kuchni. Zamknąwszy drzwi udałem się za nią. Siedziała już na stołeczku przed kominiem, kiwając się tam i z powrotem, jak istota dotknięta wielkim smutkiem. Zmieszany tym sam na sam, na jakie byłem skazany, i zdziwiony całym jej zachowaniem, spytałem ją powtórnie:

– Co pani jest, panno Mowcher, czy pani czuje się słaba?

– Gołąbku mój – rzekła opierając obie ręce na sercu – tu mnie boli, tu! Nie mogę myśleć o tym, co zaszło i czemu zdołałabym może przeszkodzić, gdybym nie była taką trzpiotką.

I znów jej wielki, nieproporcjonalnie do tak małej figury wielki kapelusz chwiał się z całą jej osobą tam i z powrotem, a zwiększony karykaturalnie cień jego przesuwiał się równomiernie po ścianie.

– Zdziwiony jestem – rzekłem – widząc panią zasmuconą i poważną.

– Tak – odrzekła – każdy z was, starszy i młodszy, trzpiot i dojrzwały, dziwić się tylko umie dostrzegłszy ludzkie we mnie uczucie! Zrobili ze mnie igraszkę, przedmiot zabawy, do odtrącenia, gdy się mną znudzą lub im się uprzykrzę, i dziwią się, że mam więcej uczucia od drewnianego konika lub gutaperkowej lalki! Tak to, tak zawsze!

– Może to i słuszne, co pani mówi, odnośnie innych – odrzekłem – co do mnie jednak, tak nie jest i istotnie nie powinienem, znając panią tak mało, dziwić się niczemu. Mówiłem to zresztą raczej bezmyślnie.

– Cóż mam począć? – mówiła powstając i wyciągając króciuchne rączki. – Ojciec mój był taki jak ja, brat mój taki, taka i siostra. Jak mnie tu pan widzisz, pracuję na brata i siostrę, a pracuję ciężko. Życie każdy potrzebuje, a ja nikomu nie robię krzywdy i jeśli ludzie są tak lekomyślni i złośliwi, że robią sobie ze mnie pośmiewisko, coż mi pozostaje? Żartować nawzajem ze wszystkiego i ze wszystkich, nie wyłączając samej siebie. Czyja w tym wina? Czy moja tylko?

Nie. Panna Mowcher miała poniekąd słuszość.

– Gdybym na przykład była sobą – ciągnęła żywo, kiwając głową – wobec twojego fałszywego przyjaciela, co bym wygrała? Jeśli karlica Mowcher spróbowała uskarżać się na los swój, głos jej doszedłby niedaleko! Takie nawet jak ja maleństwo żyć musi, na to nie ma

radę! A że nikt, nawet takie jak ja maleństwo, karmić się samym nie może powietrzem, muszę wywalczyć sobie tak czy owak kromkę chleba z masłem.

Usiadła na stołeczku, a wyciągnąwszy z kieszeni chustkę do nosa otarła nią oczy.

– Jeśli masz dobre serce – mówiła – powinieneś owszem nie dziwić się, ale winszować mi, że jestem tym, czym jestem, i że znając swe położenie umiem być jednak wesoła i wszystko przynosić. Co do mnie, zawdzięczam sama sobie, że nie będąc nikomu ciężarem udało mi się udeptać sobie ścieżkę przez życie, i za wszystko, co wzgarda, złośliwość i lekkomyślność ciska na mnie, mścić się umiem samymi tylko drwinkami. Że nie jęczę nad tym wszystkim, czego brak czuję, to lepiej dla mnie, a i nie gorzej innym. O, olbrzymy! Bawcie się mną, lecz bawcie łagodnie!

Panna Mowcher włożyła do kieszeni chustkę do nosa i patrząc mi wciąż w oczy mówiła:

– Spotkałam cię, gołąbku, na ulicy. Z moimi krótkimi nóżkami nie mogłam cię, jak się domyślasz, dogonić, lecz wiedziałam dobrze, gdzie cię szukać. Byłam już dziś raz, lecz nie zastałam tej dobrej kobiety.

– Pani ją zna, panno Mowcher?

– Słyszałam o niej – odrzekła – od „Omer i Joram”.

Byłam tu dziś o siódmej rano. Przypominasz sobie, co mi Steerforth mówił o tym nieszczęsnym dziewczęciu, wówczas, tam w gospodzie?

Wielki kapelusz na głowie karlicy i jeszcze większy jego cień na ścianie poruszał się tam i z powrotem, gdy mówiła.

Pamiętałem doskonale i niejednokrotnie w dniu tym myślałem o niej. Powiedziałem jej to.

– Niechby go wszystkie złe porwały duchy – zawołała wznosząc do góry mikroskopijną rękę – jego i tego przekłętą sługusa! A ja sądziłam, że to ty, gołąbku, pałasz do niej młodocianą miłością.

– Ja?

—Bo też czemu, na Boga, śpiewałeś jej pochwały! Pochwały śpiewałeś i rumieniłeś się po uszy i wyglądałeś taki zmieszany! Dziecko! Oj, dziecko!

Nie mogłem zaprzeczyć, rumieniłem się zmieszany z innych wszelako niż te, które przytaczała, pobudek.

—Cóż mogłam wiedzieć? – dowodziła panna Mowcher wyjmując znów chustkę do nosa i od czasu do czasu podnosząc ją do oczu. – Cóż wiedzieć mogłam? Tumań cię, bałamucił, to widziałam, a i to także, żeś się naginał jak wosk w jego rękę. Zaledwem was wówczas opuściła, ten przekłety jego sługus, zaprzędana mu dusza, mówił mi wyraźnie: „to niewiniątko” – tak cię zawsze nazywał, a ty byś mógł, kochanku, poprzez wszystkie już dni życia nazywać go „zbrodniarzem” – „to niewiniątko tedy – mówił – zakochało się w niej po uszy, ale mój pan – mówił – czuwać będzie, więcej przez wzgląd na chłopca niż na dziewczynę, żeby z tego jakie nie wyszło bzdurstwo”. Dlatego to – jak utrzymywał – siedzieli tu w tej dziurze. Mogłamże nie wierzyć? Na własne uszy słyszałam, jak ci Steerforth schlebiał chwalać ją. Pierwszy wymówiłeś jej imię, wyznałeś uwielbienie dla przymiotów jej duszy i ciała, ogniem byłeś i lodem, bladłeś i czerwieniałeś, gdy mówiłam o niej. Cóż miałam myśleć, co przypuszczać? Oto, żeś młody rozpustnik, któremu brak tylko doświadczenia, lecz żeś za to znalazł doświadczonego kierownika, któremu przyszła fantazja, przez przyjaźń, jak tamten utrzymywał, strzec cię od bzdurstwa, o które w twym wieku, przy miłości i braku doświadczenia, tak łatwo! Oto jak mnie łotry te podeszły. Bali się, bym nie wykryła prawdy! – wołała karlica zrywając się z miejsca i biegnąc wzdłuż i wszerz kuchni z wyciągniętymi przed się rękoma ciągnęła:

– Ach! Wiedzieli, że jestem domyślna i sprytna! Bez sprytu jakżebym sobie poradziła na świecie! Wiedzieli, podeszli mnie, oszukali i dali list do tego biednego dziewczęcia. Littimer pozostał tu, aby zapobiegać niby „bzdurstwom tego niewiniątka”!

Patrzałem na nią odurzony odkryciem tej przewrotności. Długo jeszcze przebiegała kuchnię tam i z powrotem, nie mogąc się uspokoić. Gdy wreszcie zmęczona usiadła, wyciągnęła znów chustkę do nosa i długo milczała.

– Moje wędrówki – ozwiała się wreszcie – zawiodły mnie przedwczoraj wieczorem do Norwich. Tam widząc ich obydwoch, lecz już bez pana, panie Copperfield, szastających się w prawo i w lewo, nabrałam niejakich podejrzeń. Wróciłam do Londynu i wyjechałam tu pierwszym zaraz dylizansem. Za późno!

Biedna karliczka, spłakana, drżała jak w febrze i przysunawszy się do ognia wygrzewała w popiele przemokłe swe nóżki. Siedząc tak, podobna była do wielkiej lalki. Ja siedziałem po drugiej stronie komina, pogrążony w smutnych myślach, spoglądając to na ogień, to na pannę Mowcher.

– Późno już – rzekła nagle podnosząc się z miejsca – odchodzę. Wszak przestałeś nie do wierzać mi, mój gołąbku?

Spotkawszy się z bystrym jej spojrzeniem, zawahałem się z odpowiedzią.

– Przyznaj – rzekła biorąc rękę, którą podałem jej, pomagając powstać – że ufałbyś mi, gdybym była zwykłej urody kobietą?

Czując, że ma rację w tym, co mówi, zawstydziłem się mej podejrzliwości.

– Młody jesteś – rzekła potrząsając głową – i dobra rada, nawet karlicy, przydać się może. Postaraj się tedy, mój przyjacielu, nie zlewać w jedno fizycznego kalectwa z moralnym, chybabyś miał na to dowody.

Stała przede mną i czułem się przekonany. Upewniłem ją, że ufam jej, pewien jestem, że samą mi mówiła prawdę i żeśmy oboje byli ślepym narzędziem w ręku przekornych losów. Podziękowała mi za to zapewnienie, mówiąc, że jestem poczciwym z kośćmi chłopakiem.

– Uważaj – rzekła zwracając się ode drzwi i patrząc na mnie bystro z podniesionym w górę paluszkim. – Mam pewne powody sądzić z tego, com słyszała... a otwarte na wsze strony mam uszy, taka to już właściwość mojej natury... otóż przypuszczam, że udali się za granicę, lecz skoro tylko powrócą lub jedno z nich dwojga powróci, żyć chyba nie będę, jeśli ich nie odszukam. Dam ci znać, skoro sama się dowiem, a jeśli kiedy zdarzy mi się sposobność oddać jaką usługę temu biednemu, zwiedzionemu dziewczęciu, licz na mnie. Niebem się świadczę, że usłużę wiernie i dobrze! Co do Littimera, lepiej by mu było mieć całą sforę psów na swym tropie niż karlicę Mowcher.

Spojrzenie towarzyszące tym słowom poręczyło mi za ich szczerość.

– Ufaj mi – rzekła dotykając mej ręki – jak raz tyle, ile byś ufał zwykłej urody kobiecie, a gdy spotkasz mnie czasem taką, jaką mnie po raz pierwszy widziałeś, odmienną od tej, którąś dziś poznał, uważaj tylko, proszę, z kim mnie zastaniesz. Pomyśl też, jak słabą, bezbronną jestem istotą. Pomyśl o mnie, jak po całodziennej pracy wracam do domu, do brata karła i siostry karlicy, a może znajdziesz w sercu trochę pobłażania i dziwić się nie będziesz mej trzpiotowości! Bądź zdrow!

Z uczuciem odmiennym od tego, z jakim ją witałem, uścisnąłem drobną rączkę, otwierając jej drzwi. Nielatwym było zadaniem rozpiąć parasol i umocować go w małej piątce. Udało to mi się wreszcie i widziałem, jak się potoczył pod ulewny deszcz, zakrywając najzupełniej niosącą go istotkę. Od czasu do czasu tylko wicher, wydymając parasol, odsłaniał postać karlicy walczącej ze słotą. Parę razy porwałem się bieć jej z pomocą, lecz zawsze parasol na kształt olbrzymiego ptaka opuszczał, zanim dobiegłem, skrzydła.

Nazajutrz rano nadszedł pan Peggotty ze starą mą piastunką. Wcześniej udaliśmy się na pocztę, gdzie nas oczekiwali Ham i pani Gummidge.

– Panie Davy – rzekł do mnie z cicha Ham, na bok biorąc i ruchem powiek wskazując ustawiającego w dylizansie swą walizkę pana Peggotty – życie jego złamane. Sam nie wie, gdzie iść, co począć, czuje tylko, że musi odnaleźć to, czego się zapewne odnaleźć już nie da. Bądź mu przyjacielem!

– Możecie mi najzupełniej zaufać w tym względzie – odrzekłem ściskając dłoń pocziwego chłopaka.

– Dziękuję, dziękuję panu. Jeszcze jedno. Wracam do pracy i pieniądze na nic mi teraz już niepotrzebne. Co dzień zarobię na chleb powszedni; gdybyś ich pan potrzebował dla niego, byłbym spokojniejszy i pracowałbym raźniej. Mężczyzną jestem i jako taki pracować będę, ile mi sił starczy.

Pewien tego byłem i pozwoliłem sobie nadmienić mu coś o przyszłości. Z czasem mogło mu jeszcze w życiu, które za osamotnione na zawsze uważał, zabłysnąć szczęście.

– Nie, paniczu – rzekł potrząsając głową – przeszłość zakryła mi przyszłość całą, pustego nikt już nie zajmie miejsca, ale wracając do pieniędzy, zawsze się tu coś znajdzie na jego potrzeby.

Przypomniawszy Hamowi, że dzięki testamentowi szwagra pan Peggotty mógł liczyć na skromny, ale stały dochód, obiecałem mu czuwać nad starcem, ile tylko mi się uda. Pożegnaliśmy się, a i teraz jeszcze wspomnieniem opuścić go nie mogę bez współczucia dla jego głębokiej, spokojnej, męskiej boleści.

Co do pani Gummidge, nie potrafię opisać, jak biegła ulicą, choć dyliżans już ruszył z miejsca, zapatrzona tylko w pana Peggotty, powstrzymując cisnące się do oczu łzy, potracając spotykanych przechodniów. Pożegnałem ją siedzącą na zakręcie drogi, na progu piekarni, ledwie łapiącą oddech, z przekrzywionym na głowie czepkiem, w jednym tylko pantoflu.

Przybywszy do Londynu, zajęliśmy się przede wszystkim wyszukaniem skromnego schronienia dla Peggotty i jej brata, po czym, kupiwszy nieco wędliny i zimnego mięsa, poprowadziłem współtowarzyszy podróży do siebie na herbatę. Nie podobało się to widocznie pani Crupp. Zwłaszcza zarzucała Peggotty, że nie upłynęło dziesięć minut, a już przykryła fartuchem żałobne swe suknie i zajęła się ścieraniem kurzu w strasznie zapuszczonym sypialnym pokoju. Była to niesłychana, zdaniem szanownej tej matrony, poufałość, a pani Crupp poufałości znosić nie mogła.

Pan Peggotty, w drodze jeszcze, do czego zresztą przygotowany byłem, oznajmił mi zamiar rozpoczęcia swych poszukiwań od odwiedzin u pani Steerforth. Czułem, że obowiązkiem moim jest towarzyszyć mu, pośredniczyć pomiędzy nimi i, o ile się da, osłaniać od ciosu uczucia biednej zranionej matki. Zaraz po przyjeździe do Londynu napisałem do niej. Napisałem jej o tyle, o ile umiałem, oględnie, jak wielka stała się biedakowi temu krzywda i jak ja sam czuję się zraniony tym, co zaszło. Napisałem, że pan Peggotty jest człkiem ubogim i prostym, lecz prawym i szlachetnym, oraz wyraziłem nadzieję, że zechce go przyjąć i wysłuchać w jego nieszczęściu. Naznaczyłem wreszcie drugą po południu, jako, o ile mi się zdało, najstosowniejszą dla naszych odwiedzin godzinę.

O naznaczonej godzinie znaleźliśmy się u drzwi domu, który opuszczałem tak niedawno jeszcze w szczęściu i spokoju, nie przeczuwając bolesnego zawodu, jaki spotkać miał ufne moje, w przyjaźni roztkliwione serce. Drzwi tego domu zamknięte mi już teraz były na zaw sze, a w domu zagościła rozpacz i zgryzota.

Littimer nie pokazał się. Otwarła nam służąca, której ujmującą powierzchowność zauważyłem w czasie ostatniej mojej tu bytności. Wprowadziła do salonu, gdzieśmy już zastali panią Steerforth. Róża Dartle prześliznęła się z drugiego końca i stanęła za jej krzesłem.

Pierwsze rzucone na matkę mego przyjaciela spojrzenie przekonało mnie, że od syna dowiedziała się wszystkiego, co zaszło. Była błada i list mój sam przez się, pozostawiając macierzyńskiej słabości pewne niedowierzanie, nie mógłby tak ją poruszyć. Nigdy mi się jeszcze nie wydała tak podobną do syna, jak w tej chwili. Takież samo wrażenie, czułem to, wyrzecz musiała na mym towarzyszu.

Siedziała w fotelu wyprostowana, dumna, z pozorną zapewne, lecz niewzruszoną, rzekł byś, obojętnością. Spokojnie patrzyła wprost na pana Peggotty, który zbliżając się do niej, z nie mniejszą godnością spotkał jej spojrzenie. Róża Dartle zmierzyła wszystkich nas swym

plomiennym czarnym okiem. Chwilę trwało głębokie milczenie. Pani domu ręką wskazała przybyszowi krzesło.

– Nie wypada – mi rzekł cicho, spokojnie – siadać pod tym dachem, a to, co mam do powiedzenia, niewiele zajmie czasu.

Po słowach tych nowe zapanowało milczenie.

– Dowiedziałam się z boleścią – przerwała je pani Steerforth – o przyczynie pańskich odwiedzin. Lecz czego pan żądać możesz ode mnie?

Włożył kapelusz pod pachę, wyjął z zanadru list Emilki, rozłożył i podał pani Steerforth mówiąc:

– Niech to pani, z łaski swej, przeczyta: pismo mej bratanicy.

Czytała z niewzruszonym spokojem, nie dotknięta bynajmniej, o ile mi się zdawało, treścią rozdzierającego listu. Przeczytawszy zwróciła pismo panu Peggotty.

– „Chyba że odwiezie mnie jako swą żonę” – podkreślił paznokciem ustęp ten pan Peggotty. – Chciałem właśnie spytać panią, czy dotrzyma słowa?

– Nie – odrzekła pani Steerforth.

– Dlaczego nie? – spytał.

– Jest to niemożliwe, zgubiłby siebie. Niższa odeń urodzeniem.

– Może niższa, a może i nie niższa – odrzekł pan Peggotty. – Nie jestem dobrym w tej mierze sędzią, niech mnie pani z łaski swej zechce objaśnić, jak to pani rozumie?

– Ponieważ zmuszona jestem być otwartą, nie bez przykrości powiem, że samo już stanowisko społeczne i towarzyskie jest przeszkodą – rzekła.

– Niech mnie pani wysłucha – odrzekł na to cicho i spokojnie. – Pani kochasz swe dziecko, ja moje, i gdyby tysiąckroć rodzoną była moją córką, nie mógłbym kochać jej więcej, ale pani nie wiesz, co to jest tracić dziecko! Ja wiem i gdybym posiadał skarby całego świata, użyłbym ich na odzyskanie straconego dziecka, lecz wyrwij ją pani z tej jej obecnej nędzy, a nikt z nas, nie zbliży się do niej nigdy, nikt z tych, pomiędzy którymi się urodziła, wzrosła, którzy ją z całego kochamy serca, nikt już jej nigdy w drogę nie zajdzie. Z dała będziemy myśleć o niej, kochać ją, tak samo, jak gdyby była na drugiej półkuli świata, a wiedząc, że jest z mężem, może z dziećmi swymi, cierpliwie wyczekiwać będziemy chwili, aż się znów wszyscy złączymy tam, równi przed obliczem Pana.

Prosta ta wymowa wywarła wrażenie. Pani Steerforth zachowała dumną swą i obojętną postawę, lecz w głosie jej był odcień łagodności, gdy odpowiedziała:

– Nie uniewinniam nikogo, nikogo też nie oskarżam i nie potępiam, lecz z przykrością powtórzyć muszę: to niepodobna. Małżeństwo takie zniszczyłoby nadzieje i przyszłość mego syna, stanęło mu na drodze kariery. Nie ma też nic pewniejszego nad to, że nie nastąpi nigdy, że nastąpić nie może. Jeśli zaś istnieje inne wynagrodzenie...

– Patrę – przerwał jej spokojnie pan Peggotty – patrę na podobieństwo twarzy tej do twarzy, która się do mnie pod dachem moim, przy ogniu, uśmiechała przyjaźnie, a tak zdradliwie, i myśl ta mało o szaleństwo mnie nie przyprawia. Zdumiewam się, że też twarz ta nie płonie rumieńcem wstydu na samą myśl ofiarowania mi zapłaty za hańbę i niedolę mego dziecka. Nie wiem, co z dwojga gorsze, jak się pani zdaje?

Zmieniła się w oka mgnieniu, oblał ją płomień gniewu, chwyciła się za poręcz krzesła mówiąc porywczo:

– Czym potrafisz nagrodzić powstałą pomiędzy mną a synem przepaść? Czym twoja miłość w porównaniu z moją, twoja strata w porównaniu ze stratą, jaką ja poniosłam?

Panna Dartle dotknęła jej ramienia pochylając się nad nią z cichym szeptem, którego nie słuchała.

– Nie, Różo, nie, ani słowa! Niech mnie człek ten wysłucha do końca. Syn mój, bożyszcze całego mego życia, z którym od jego urodzenia nie rozstawałam się nigdy, dogadzając mu we wszystkim, rzuca mnie, wyrzeka się, zrywa ze mną – dla kogo? Dla nędznego jakiegoś

dziewczęcia! Zawieść moje zaufanie, zdradzić mnie, opuścić dla niej! Zadowolić chwilową namiętność kosztem matczynego serca, obowiązku, wdzięczności, tych niezliczonych wędzłów, które dzień każdy, rok każdy zacieśnia! Nie jestże to krzywdą, krwawą krzywdą?

Róża Dartle usiłowała znów ją uspokoić. Daremnie.

– Mówię ci, nie przeszkadzaj mi, Rózo! Jeśli taką cenę przywiązywał do mnie, zobaczymy. Niech sobie jedzie, gdzie chce, niech co chce robi, ma po temu dawno macierzyńską mą zapobiegliwością nagromadzone środki. Jeśli sądzi, że zmięknie pod grozą długiej jego nieobecności, myli się bardzo i nie zna swej matki. I ja mam wolę. Przyjmę go z otwartymi ramionami, ale wówczas tylko, gdy się wyrzeknie tej nędznej igraszki! Tak albo nie. Jeśli nie, nie zbliży się do mnie, żywy czy konający, ręczę za to, że dopóki będę miała siłę odepchnąć go, odepchnę, chyba że się pozbędzie raz na zawsze tego dziewczęcia, zerwie z nią, upokorzy się, przeprosi mnie. Mam prawo tego wymagać i wie on dobrze, że ani na jotę nie ustąpię. Oto jaki powstał pomiędzy nami rozdział! Nie jestże to krzywdą, krwawą krzywdą?

Mówiąc to w uniesieniu, z dumą patrzyła na pana Peggotty, a mnie się zdawało, że widzę syna jej mówiącego te słowa. Cała znana mi jego porywczoność, duma, lekceważenie odbijały się na twarzy i w głosie matki, dostarczając mi klucza do tak długo zagadkowej dla mnie, źle skierowanej, nieokielznanej energii, która mnie zawsze w przyjacielu uderzała.

Uspokoiła się i zwracając się do mnie, zauważyła, że zbyt długie jest przedłużanie rozmowy, którą pragnie jak najprędzej zakończyć. Powstała z godnością, chcąc opuścić już komnatę.

– Nie zatrzymuję pani i nie przeszkadzam – powiedział jeszcze pan Peggotty – nic więcej nie mam do powiedzenia. Przybywając tu żadnej nie miałem nadziei i bez nadziei odchodzę. Dopełniłem obowiązku wiedząc z góry, że to do niczego nie prowadzi. Z domu tego zbyt wielkie na mnie i na moich spadło nieszczęście, abym mógł się czegoś lepszego spodziewać.

Powiedziawszy to wyszedł. Panią Steerforth pozostawiliśmy stojącą, z ręką opartą na poręczy fotela, wyniosłą, piękną i dumną, niewzruszoną jak posąg kamienny.

Musieliśmy przejść przez galerię całą oszkloną i otoczoną pnącym się dzikim winem. Dzień był słoneczny, do ogrodu wiodły szklane otwarte drzwi. Dochodziliśmy do nich właśnie, gdy nas niedosłyszalnymi krokami dogoniła panna Dartle.

– Dobrześ pan zrobił – rzekła do mnie – przywodząc tu tego jegomościa.

Tyle wzgardy i gniewu paliło się w jej oczach, zem się niemal cofnął. Blizna około ust wystąpiła wyraźnie. drgając nerwowo, jak to już niegdyś zauważyłem. Potarła ją dłonią.

– Winszuję pupila – mówiła – podobne to do pana!

– Panno Dartle – odrzekłem przychodząc do siebie – niesprawiedliwa pani jesteś.

– Po co siać niezgodę – ciągnęła – pomiędzy tymi dwójkiem, po co dolewać oliwy do ognia? Czy nie dość jeszcze opętała ich oboje duma i upór?

– Mojaż w tym wina? – spytałem.

– Po co tu wprowadzać tego jeszcze? – odrzekła.

– Człowiek to srodze pokrzywdzony – odparłem. – Pani musisz wiedzieć o tym.

– Wiem – rzekła sucho, przyciskając dłonią piersi – wiem, że James Steerforth ma fałszywe, zepsute serce, zdrajcą był, jest i będzie, lecz nic a nic nie potrzebuję wiedzieć o tym tam jakimś jegomościu i jego bratanicy.

– Niepotrzebnie pani miotasz się i ubliżasz niedoli. Odchodząc pozwolę sobie tylko zauważyć, że im pani wyrządzasz krzywdę.

– Ja? Krzywdę? Te zepsute do gruntu istoty same siebie krzywdzą. Wypoliczkowałabym ją chętnie.

Pan Peggotty, milcząc, odchodził.

– Wstydz się pani, panno Dartle! – zawołałem oburzony. – Jak możesz pani deptać niezasłużoną niedolę?

– Wszystkich bym ich zdeptała – mówiła przez zaciśnięte zęby. – Chciałabym, aby dom się im zapadł, aby zdeptani zmarli na ulicy z głodu, a gdybym miała władzę, skazałabym ją i sama na niej wykonała wyrok. Nienawidzę jej. Gdybym przynajmniej mogła wytknąć jej hańbę w oczy! Gdybym mogła prześladować ją do grobowej deski! O, gdyby konała i o jedno, jedno prosiła słówko pociechy, odmówiłabym jej, jeżeli tylko byłoby to w mojej mocy.

Powtórzenie słów tych okrutnych najłżejszego nie może dać wyobrażenia o uniesieniu, z jakim były wyrzeczone, jakie malowało się na całej jej twarzy, w postawie, głuszac sam głos i nadając mu przyciszone, zgrzytające tony. Niejedne i różnorodne widziałem wybuchy namiętności, ale z podobnym nie spotkałem się po raz drugi.

Poszedłem za panem Peggotty. Szedł zamyślony. Powiedział mi, że nie ma już nic do roboty w Londynie, zamierza więc tegoż jeszcze wieczoru udać się w podróż. Na zapytanie moje, gdzie pojedzie, odrzekł tylko:

– Muszę odszukać swą bratanicę.

Wróciwszy do zajazdu powiedziałem, co mi mówił, starej Peggotty, od której dowiedziałem się, że toż samo jej powtarzał z rana. Nie wiedziała, gdzie mianowicie miał się udać, lecz sądziła, że się nosi z jakimś stałym zamiarem.

Nie chciałem pozostawiać go samego w podobnej chwili, zjedliśmy tedy razem obiad, złożony z befsztyków, w których celowała Peggotty, herbaty, kawy, chleba z masłem, orzechów i tym podobnych, ze sklepu przyniesionych przysmaków. Po obiedzie przesiadaliśmy z godzinę w zupełnym prawie milczeniu, po czym pan Peggotty wyciągnął swą walizę i włożył płaszcz podróżny.

Przyjął od siostry niewielką sumkę pieniędzy, tyle, ile mu na miesiąc było potrzebne, obiecał pisywać, wziął na ramię walizkę, kij, kapelusz w rękę i pożegnał nas.

– Niech cię Bóg strzeże! A i pana także, panie Davy! Szukać jej będę tu i tam, wszędzie, dopóki nie odnajdę. Jeśli w nieobecności mojej wróciła... A! Nie, nie wróci! Lub jeśli bym przywiózł ją kiedy z sobą, nie chcę, aby słyszała słówko nagany, wyrzutu. Jeśli zaś mnie samego co spotkało i nie mielibyśmy się więcej widzieć, pamiętajcie na ostatnie moje słowa: Kocham ją nade wszystko i przebaczam drogiemu memu dziecku!

Mówił to uroczyście, z odkrytą głową, po czym włożywszy kapelusz wyszedł. Odprowadziliśmy go do drzwi. Wieczór był upalny, mglisty. Rzekłbyś, że senność jakaś spadła na wydeptane niezliczonymi stopami drogi i na czerwono zachodzące słońce. Straciliśmy go z oczu na zakręcie ulicy, z cienia przeszedł w świetlane przestworze.

I ilekroć nadejdzie wieczór do tamtego podobny, ilekroć budząc się w nocy patrzę na księżyc i gwiazdy lub wsłuchuję się w odgłosy deszczu i wiatru, staje mi przed oczami postać tego odchodzącego pielgrzyma. Wciąż mi w uszach brzmią jego słowa:

„Szukać jej będę tu i tam, wszędzie, dopóki nie odnajdę. Jeśli zaś mnie samego co spotkało i nie mielibyśmy się więcej widzieć, pamiętajcie na ostatnie moje słowa: Kocham ją nade wszystko i przebaczam drogiemu memu dziecku”.

ROZDZIAŁ XXXIII SZCZĘŚLIWY

W ciągu całego tego czasu coraz bardziej byłem zakochany w Dorze. Myśl o niej krzepiała mnie w strapieniu i zawodach, jakich doznawałem, i pocieszała poniekąd po stracie przyjaciela. Im bardziej litowałem się nad sobą lub drugimi, tym chętniej szukałem pociechy we wspomnianiu Dory. Im więcej się gromadziło rozczarowań na tym padole, tym jaśniej, gdzieś wysoko, świeciła gwiazda Dory. Nie zdawałem sobie wprawdzie jasno sprawy, do jakiego gatunku nadziemskich istot ona należy, czułem tylko, że jest nadziemską istotą, i jak świętokradztwo odepchnąłbym samą myśl porównania jej z jaką bądź młodą osobą. Byłem w niej, jeśli się to da tak wyrazić, niby zaprzepaszczonego, zakochanego po uszy, całym miłością moją przejęty, przepojony tak dalece, że gdyby mi ją w jakiś sposób wyrwano z serca, jeszcze by mi miłości pozostało dostatecznie dla wypełnienia całego żywota.

Pierwszą rzeczą, którą zadowolilem siebie po powrocie do Londynu, była wieczorna wycieczka do Norwood. Krążyłem, jak w piosence, naokoło domu, domu nie dotykając, a myśląc wciąż o Dorze. Jak lunatyk przez dwie godziny chodziłem dokoła domu, zaglądając przez szczeliny ogrodzenia, wspinając się na palce, wykręcając kark przez ustawiczne podnoszenie głowy ku oknom, przysyłając na wiatr pocałunki i marząc, że uda mi się może uratować ją od nagle wybuchających płomieni lub od myszy, których wiedziałem, że się boi.

Serce moje i myśli tak przepelnione były Dorą, że naturalnym biegiem rzeczy zwierzyłem się z tajemnicy mej piastunce pewnego wieczoru, gdy siedząc przy mnie, z nieodłączną skrzyneczką do robót, reperowała moją bieliznę. Zwierzenie to zajęło Peggotty niesłuchanie, nie mogła tylko, kochając mnie tak, jak kochała, zrozumieć mych wątpliwości i upadku na duchu. „Panienska ta, zdaniem jej, uszczęśliwiona być musiała podobnym wielbicielem, co zaś do jej ojczulka – czegóż jeszcze mógł ten dżentelmen pragnąć?”

Proktorska jednak toga pana Spenlow imponowała mi niesłuchanie i ojciec bożyszczka mego pokrywał się gęstszym z dniem każdym obłokiem niedostępności. Patrząc na niego i na sędziów w Trybunale, rozmyślałem nieraz, co by wszyscy ci szanowni doktorowie poczęli, gdyby znali Dorę? Wpadliby w zachwyt i zmysły postradali, jeśli błysnęłaby im na przykład nadzieja poślubienia tego nadziemskiego zjawiska! Śpiewała i grałaby im na gitarze. Nie, to ja traciłbym zmysły, lecz ani jeden z szanownych tych safandulów nie potknąłby się nawet, idąc ubitą ścieżką powszedniego żywota.

O jakżem nimi gardził! Byliż to ludzie godni nazwy człowieka? Wyszłe ich serca, niby szronem pokryte grędy dawno okwitłych kwietników, zdawały mi się chodzącą obrazą mego gorącego uczucia. Cały sąd prześwietny wydawał mi się fuszerką, a stół Trybunału – karczemnym stołem.

Biorąc na siebie, z pewnym zadowoleniem miłości własnej, prowadzenie interesu Peggotty, zalegalizowałem testament nieboszczyka jej męża i jako prawny doradca towarzyszyłem jej do sądu, do banku, wszędzie, gdzie obecność jej była potrzebna. Prawne te kroki przeplataliśmy przyjemniejszymi wycieczkami. Oglądaliśmy figury woskowe na Fleet Street, wystawę robót kobiecych, zwiedziliśmy Tower, wchodziliśmy na szczyt wieży katedry Świętego Pawła! Wszystko to sprawiało Peggotty tak wiele przyjemności, ile tylko mogła odczuć w obecnym swym smutku; jedynie wieża katedry Świętego Pawła w porównaniu z malowanym wizerunkiem na jej skrzyńeczce do robót straciła może nieco w oczach Peggotty.

Po ukończeniu kroków prawnych zaprowadziłem ją pewnego poranku do naszej kancelarii celem wniesienia opłat. Pan Spenlow wyszedł był właśnie, jak nas upewnił stary Tiffey, aby wyjednać komuś potrzebne do ślubu świadectwo. Wiedząc, że wróci niebawem, zaproponowałem Peggotty, aby się zatrzymała chwil kilka.

Na ogół w Commons, przez poczucie delikatności, odnoszono się z wielką powagą do klientów odzianych w żałobę, ale, na odwrót, uśmiechano się do tych, co przychodzili po świadectwa potrzebne do zawarcia małżeństwa. Uprzedziłem tedy Peggotty, że pan Spenlow powróci zapewne rozpromieniony, prawdopodobnie zdążył już zapomnieć o śmierci Barkisa. Nie myliłem się, nie mieliśmy jednak czasu, ani ja, ani Peggotty, zwrócić na to szczególniejszej uwagi, gdyż pochłonięci zostaliśmy towarzyszącym mu mężczyzną; był nim sam pan Murdstone.

Mało się zmienił! Włosy miał równie gęste i czarne jak przedtem, a spojrzenie jego nie większą niż dawniej wzbudzało ufność.

– Ach! Copperfield! – zawołał pan Spenlow dostrzegłszy mnie – znacie się, panowie, o ile mi wiadomo.

Skłoniłem się z lekka. Peggotty pozostała niewzruszona, pan Murdstone zdawał się zmieszany niespodziewanym tym spotkaniem, po chwili jednak zbliżył się do mnie.

– Spodziewam się – rzekł – że ci się dobrze powodzi?

– Wątpię, abym mógł tak dalece interesować pana! Nieźle mi się powodzi – odrzekłem.

Spojrzelśmy po sobie, pan Murdstone zwrócił się do Peggotty.

– Przykro mi dostrzegać żałobę... – zauważył.

– Nie pierwsza to w mym życiu strata – ozwała się drżąc cała Peggotty – i tym razem nikogo o nią, szczęściem, obwiniać nie mogę.

– Ha! – rzekł. – Samo spełnienie obowiązku jest już zapewne pociechą.

– Tak! – odrzekła. – Nie zatrulałam nikogo, nikogo do przedwczesnego nie wtrąciłam grobu. Murdstone! Nie zadręczyłam nikogo, nikogo do przedwczesnego nie wtrąciłam grobu.

Spojrzał na nią ponuro i zwracając się do mnie, lecz nie patrząc mi w oczy, ze wzrokiem wbitym w ziemię, mówił:

– Nie spotkamy się zapewne tak prędko, co zresztą nie zasmuci żadnego z nas, gdyż spotkania te dla nikogo z nas przyjemne być nie mogą. Zawsze się buntował przeciw mojej zwierzchności i ku dobru twemu skierowanej surowości; istnieje pomiędzy nami antypatia...

– Stara bardzo – rzekłem przerywając mu. Uśmiechnął się, rzucając na mnie zjadliwe spojrzenie.

– Wiem to – rzekł. – Posiew był rzucony w niemowlęce serce i zatrul życie biednej twej matki. Mam jednak nadzieję, że czas cię poprawił i tego właśnie ci życzę.

Na tym skończył przyciszoną naszą, w kącie kancelarii prowadzoną rozmowę i podchodząc do pana Spenlow ozwał się głośno, starając się być jak najuprzejmiejszym:

– Dżentelmeni tego co pan Spenlow zawodu oswojeni bywają z familijnymi niesnaskami i wiedzą, jak trudne są one do zażegnania.

Mówiąc to, wniósł opłatę i przyjął z rąk pana Spenlow potrzebne mu świadectwo. Pan Spenlow ściskając dłonie życzył mu, jako też jego pani, jak najwięcej szczęścia i pomyślności.

Może bym nie zdołał być tak powściągliwym, gdyby nie wzgląd na Peggotty, którą usiłowałem przekonać, że się nie znajdujemy w miejscu odpowiednim do wymówek i wyrzutów. Tak była oburzona, że nie mogła przyjść do siebie, wobec czego ja musiałem wyłuszczać za nią całą sprawę.

Spenlow zdawał się być nie dość ściśle poinformowany o istniejących pomiędzy mną a panem Murdstone stosunkach. Rad temu byłem, gdyż czułem się niezdolny, by dotykać pamięci ukochanej mej matki. Pan Spenlow sądził, że to ciotka moja swą stanowczością wniosła w rodzinę rozterki, tak przynajmniej zrozumiałem z naszej rozmowy, w czasie gdy pan Tiffey sporządzał dla Peggotty rachunki kosztów.

– Panna Trotwood – mówił pan Spenlow – jest bardzo stanowczą osobą, nie znosi żadnej opozycji. Podziwiam jej charakter i wieszuję ci, Copperfieldzie, związku z ciotką. Niesnaski w rodzinach są smutnym, ale niemal powszechnym zjawiskiem, i rzecz cała to mieć słuszość za sobą. A mariaż ów musi być zapewne dla pieniędzy?

Oświadczyłem, że nic o tym nie wiedział.

– Doprawdy! – zawołał. – Wnosząc z tego, co mi Murdstone mówił, i z kilku słów uronionych przez jego siostrę, wnoszę, że jest to dobra partia.

– Pieniężna? – spytałem.

– Tak, o ile mi się zdaje, posag i piękność.

– Tak! Młoda to osoba?

– Jak raz w miarę. Czekali pełnoletności.

– Niechże ją Nieba mają w swej opiece! – zawołała Peggotty z takim przejęciem, żeśmy się wszyscy zmieszali.

Szczęściem zjawił się Tiffey z rachunkiem, który pan Spenlow zaczął przeglądać, zatapiając brodę w kołnierzyk i pocierając czoło, z takim przy tym wyrazem twarzy, jak gdyby całą odpowiedzialność zrzucił na współnika, na wieczyście nieobecnego pana Jorkinsa.

– W porządku – rzekł – absolutnie w porządku. Gdyby to ode mnie zależało, kochany Copperfieldzie, zniżyłbym koszt do połowy. Nieszczęściem mego zawodu jest zależność od mego współnika, pana Jorkinsa.

Na melancholijne to zapewnienie odpowiedziałem uprzejmym potakiwaniem i opłaciłem rachunek pieniędzmi wdowy, po czym Peggotty wróciła do siebie, my zaś z panem Spenlow udaliśmy się do sądu, gdzie mieliśmy nader zajmującą sprawę rozwodową. Mąż, pamiętam, dwuimienny Tomasz Beniamin, na pierwsze imię, tylko Tomasza, wziął świadectwo ślubne, umyślnie tając imię Beniamina na wypadek, jeśliby go nadzieje domowego szczęścia zawieść miały. Zawiodły, o ile się zdaje, lub znudził się małżonką, dość że wystąpił o unieważnienie małżeństwa. Konsystorz, ku wielkiemu jego zadowoleniu, sprawę tę rozstrzygnął na jego korzyść.

Wyznać muszę, że żywił niejakie powątpiewanie co do sprawiedliwości samego wyroku. Pan Spenlow wszczął ze mną na ten temat dyskusję.

– Spójrzmy – mówił – na świat, ile sprzeczności, zła i dobra! Toteż i prawo kościelne ma słabe strony, rzecz to nieunikniona, lecz sprzeczne nawet szczegóły podtrzymują harmonię ogólną całego systemu. Oto właśnie!

Nie ośmieliłem się zaprzeczyć panu Spenlow i nasunąłem mu tylko myśl, że czas oczyścić świat z niejednego już chwastu i robota szłaby raźniej, gdybyśmy wcześniej stanęli do pracy, z rozświetem znaleźli się na roli. Na to pan Spenlow odrzekł mi, że są to zasady niegodne dżentelmena i że powinienem wyrzec się ich raz na zawsze. Pragnąłby jednak usłyszeć, co

sądzę o reformach, jakie, być może, należało z czasem wprowadzić w naszym prawodawstwie.

Zapatrując się na kwestię z najbliższej zajmującej nas strony – pożegnaliśmy właśnie klienta, któremu przeprowadzaliśmy rozwód, i opuściwszy sąd mijaliśmy Izbę Przywilejów – wyznałem, iż sądzę, że Izba Przywilejów jest dziwnie jakoś prowadzoną instytucją. Na zapytanie pana Spenlow ośmieliłem się, z całym uszanowaniem należnym doświadczeniu pana Spenlow – słuszniej właściwie byłoby powiedzieć: z uszanowaniem należnym ojcu Dory – zauważyć, że na przykład gromadzone od lat przeszło trzystu akta testamentowe rozległej prowincji Cantenbury znajdują się w budynku niestosownym, za ciasnym, nie są nawet ubezpieczone od ognia, rzucone na pastwę chciwości rejestratorów, którzy zarabiają na tym wcale pokaźne rokrocznie sumy, powinni by więc co najmniej ubezpieczyć akta tak poważnej doniosłości. Ośmieliłem się nadto zauważyć, iż niesłusznie może najwyższe miejsca w najwyższych instytucjach są po prostu synekurami, a istotni biurowi pracownicy, na których barkach spoczywał cały gmach – mniejsze pobierają wynagrodzenie od prostych robotników, a ten właśnie urzędnik, który z obowiązku swego powinien był pozostawać ustawicznie na usługach publiczności, zajmuje jednocześnie inne wysokie stanowiska, że może cały Commons z Izbą Przywilejów jest tylko przestarzałą, zbyteczną, mało komu znaną, w cieniu katedry Św. Pawła nie wiadomo po co przetrwałą instytucją.

Pan Spenlow uśmiechał się, w miarę jak mówiąc zapalałem się do przedmiotu, po czym wytoczył nowe argumenty. – I cóż z tego – mówił. – Kwestia to zamiłowań raczej i zwyczaju. Jeśli publiczność zadowolnia się składaniem swych testamentów w zniszczonym i nieodpowiednim do tego celu budynku, kto na tym traci? Komu to wychodzi na lepsze? Synekurystom może, co? Tym lepiej. System nie jest wprowadzicie bez skazy – gdzież są jednak nieskazitelne systemy? Dość że z takim, a nie innym porządkiem rzeczy państwo przez lat tyle prosperowało, rosło w sławę i znaczenie. Kto wie, co za niebezpieczeństwa groziły przy wprowadzaniu jakich bądź zmian. Zasadą dżentelmena jest przyjąć i utrzymać rzeczy w tym stanie, w jakim je zastał, i on, Spenlow, nie wątpi, że Commons i Izba Przywilejów istnieć będą zawsze i długie jeszcze przetrwają lata.

Zgodziłem się z tym, chociaż nasuwało mi się wiele wątpliwości. Zgodziłem się, gdyż instytucje te przetrwały istotnie do obecnej chwili, chociaż wszystkie wyżej przeze mnie przytoczone argumenty i jeszcze inne niejednokrotnie już bywały o wiele wymowniej przytaczane i roztrząsane w Parlamencie. Wiedzano tam, że archiwa pomieścić zaledwie mogły trzyletnie akta, co się zaś stawało z dawniejszymi, lepiej od deputowanych wiedzieli przekupnie ulicznicy. Ha! Pocieszałem się myślą, że mój przynajmniej testament nie znajdował się tam i nie znajdzie nigdy.

Wszystko to w rozdziale tym mej szczęśliwości opowiedzieć musiałem, jako będące tu najzupełniej na miejscu, wiążące się z tym, co nadejdzie. Rozmowę powyższą z panem Spenlow prowadziłem przechadzając się z nim tam i z powrotem. Wkrótce skierowała się ona na inne tory i pan Spenlow powiedział, że właśnie za tydzień przypada dzień urodzin Dory, i zaproponował mi wziąć udział w małym, na dzień ten projektowanym pikniku. Wpadłem w zachwyt trudny do opisanego, powiększony nazajutrz otrzymaną wytłoczoną ćwiartką papieru z eleganckim napisem: *Za pozwoleniem ojca, dla pamięci*. Cały tydzień chodziłem jak we śnie.

Nie wiem już, ile, w oczekiwaniu błogosławnego tego dnia, popełniłem niedorzeczności! Rumienię się dziś na wspomnienie krawata, który kupiłem, a buty moje śmiało zaliczone być mogły do narzędzi tortur. Wieczorem w wigilię tego dnia wysłałem pocztą do Norwood kosz napełniony cały jakby oświadczeniami. Karmelki nosiły najczulsze dewizy, jakie można nabyć za pieniądze. O szóstej z rana kupowałem już bukiet na targu w Covent Garden, a o dziesiątej z bukietem przypiętym do kapelusza, by lepiej został dowieziony, dosiadałem najętego pysznego siwosza.

Sądzę, że mijając Dorę, chociaż ją od dawna dostrzegłem w ogrodzie, i udając, że nie pamiętam drogi do jej domu, postąpiłem tak, jak każdy inny młodzian na moim miejscu by postąpił. Lecz och! Gdy wjechałem wreszcie na dziedziniec i zsiadłszy z konia ciągnąłem, jak kleszcze, ciasne buty poprzez trawnik ku klombowi bzu, pod którym siedziała Dora, jakimże zachwycającym obrazem wydała mi się w porannym słońcu wśród roju motyli jej postać odziana w niebieską suknię i biały kapelusz!

Była z nią młoda, prawie dwudziestoletnia osoba, panna Mills, którą Dora nazywała Julią. Była to jej serdeczna przyjaciółka. Szczęśliwa panna Mills!

Był też nieodstępny Jip, ujadł jak zawsze, a gdy podawał jego pani bukiet, zgrzytał zębami ze złości, Z zazdrości może! Może się domyślał, jak ją ubóstwiam.

– Dziękuję panu, panie Copperfield! – zawołała Dora. – Jakie piękne kwiaty!

Nosiłem się z zamiarem powiedzenia jej, że mi się wydawały piękne, dopóki nie mogłem porównać ich z jej osobą, lecz była tak żywa, że zagadała o czymś innym. Widząc kwiaty moje przy jej staniu o mało nie padłem na kolana wołając: „Zabij mnie, pani, pragnę tu, u nóg twych, umrzeć!”

Chciała, aby je Jip koniecznie powąchał. Jip odwrócił się warcząc. Niezrażona, coraz bliżej podsuwała bukiet do jego noska. Zniecierpliwiony pies odgryzł gałązkę pelargonii i porwał ją tak wściekle, jak gdyby pomiędzy liśćmi był ukryty kot. Wybiła go, zrzuciła za karę z kolan, wołając „biedne moje kwiaty”, z takim współczuciem, jak gdyby szło o mnie samego. Głupi Jip! Czemu mnie raczej nie ukąsił!

– Powiem panu dobrą nowinę! – zawołała. – Nieznośna panna Murdstone wyjechała na ślub brata. Na całe trzy tygodnie pozbyliśmy się jej osoby. Prawda, że szczęśliwie?

Odpowiedziałem, że uszczęśliwia to mnie istotnie, skoro jej jest przyjemnie. Słuchając nas panna Mills uśmiechała się pobłażliwie.

– Nie znam nieznośniejszej istoty – mówiła Dora. – Nikt nie potrafi wyobrazić sobie, Julio, jaki ma przykry charakter.

– Wyobrażam sobie – odrzekła panna Mills.

– Ty zapewne możesz, droga moja... Daruj mi, że nie uczyniłam z ciebie wyjątku.

Nasunęło mi to, że panna Julia musiała przechodzić już w życiu gorzkie doświadczenia i dlatego to cechowała ją tak wysoka pobłażliwość. Nie myliłem się; dowiedziałem się w ciągu dnia, że istotnie zawiedziona w pierwszej miłości, usunęła się dobrowolnie ze świata, z sercem zranionym, lecz zdolnym jeszcze interesować się uczuciami bliźnich.

Pan Spenlow ukazał się na ścieżce wiodącej do ogrodu i Dora pobiegła ku niemu wołając: „Popatrz, papo, jakie piękne kwiaty!” A panna Mills, uśmiechając się tylko, myślała zapewne: „Korzystajcie z wiosny i cieszcie się jej kwiatami, dopóki kwiecie nie zwiędnie”.

Pojazd już był gotów. Wsiadliśmy.

Nigdy już nie będę miał podobnej drugiej przejażdżki. W powozie pomieścili się oni troje, ich i mój kosz z przysmakami i gitara. Powóz był otwarty, a że Dora siedziała na przedzie, więc jadąc konno tuż obok, ciągle ją miałem przed sobą. Położyła bukiet obok siebie i nie pozwalała Jipowi siadać po tej stronie, by go nie zgniótł. Często brała kwiaty w rękę i wachała, a wówczas spojrzenia nasze spotykały się i dziwić się tylko wypada, że poprzez głowę konia nie wpadłem do powozu!

Na drodze było, o ile mi się zdaje, dużo pyłu i pan Spenlow gderał na mnie, że jadę w samym pyłe, lecz nie zwracałem na to uwagi, widząc tylko Dorę we mgle mojej miłości i jej urody. Czasem pojazd zatrzymywał się i pan Spenlow zwracał uwagę moją na malownicze widoki. Chwaliłem, zapatrzony w Dorę. Dla niej to słońce świeciło, dla niej, tylko dla niej śpiewały ptaki! Dla niej, dla igrania z jasnymi kędziorami jej włosów wiał wietrzyk, a przybrzeżne polne kwiaty pod jej rozkwitać miały spojrzeniem. Panna Mills pojmowała mnie, wchodziła w moje położenie i uczucia, co mi wielką było pociechą.

Nie wiem, jak długo jechaliśmy, i po dziś dzień nie pamiętam miejsc, przez któreśmy przejeżdżali ani do jakich zmierzaliśmy. Było to zapewne w pobliżu Guildford, a może dobra jaka wróżka miejsce to umyślnie wyczarowała na dzień ten uderzeniem magicznej różdżki i starła je potem z ziemskiej kuli! Miejsce to było zielone, puszyste, na wzgórzu, w cieniu drzew rozłożystych, z rozległym i malowniczym widokiem.

Czekało nas tu całe towarzystwo i rozbudzona nagle zazdrość moja nawet względem kobiet granic nie znała, nie mówiąc już o mężczyznach, zwłaszcza o jednym, kilka lat ode mnie starszym śmiałku, z ryżymi bokobrodami, uważałem ich za osobistych mych wrogów.

Każdy z nas zajął się rozpakowywaniem swego kosza i dostarczeniem wiktuałów na obiad. Ryży śmiałek utrzymywał – zapewne dla zwrócenia na siebie uwagi – że doskonale umie przyprawiać sałatę, i panie zaczęły oplukiwać dla niego listki takowej, że zaś znalazła się tam i Dora, uczułem, że ziemia jest za ciasna dla nas dwóch. Jeden z nas zginać musiał.

Ryży śmiałek przyprawivszy sałatę – podziwiałem tych, którym smakowała, za żadną cenę nie wziąłbym jej do ust! – oddał się obowiązkom podczaszego, wino umieściwszy w spróchniałym pniu drzewa i – o, bogi! – ujrzałem go wkrótce pożerającego obiad u samych nóg Dory!

Nie wiem, co się ze mną wówczas stało. Popadłem w szaloną wesołość, której nie czułem bynajmniej, i zacząłem emablować na zabój jakąś pannę w czerwonej sukience, z małymi, skośnymi oczkami. Uprzejmie przyjmowała mą adorację, nie potrafię jednak powiedzieć, czy to czyniła przez wzgląd na mnie, czy na złość ryżemu śmiałkowi? Wzniesiono toast na cześć Dory. Wychylając go, przerwałem ożywioną z sąsiadką rozmowę, z zamiarem wrócenia do niej z tym większym zapalem. Spotkawszy spojrzenie Dory, wzywające mnie, jak mi się zdawało, zawahałem się, lecz że spojrzenie rzucone mi było ponad ryżą nienawistną głową mego rywala, pozostałem niewzruszony, kamienny.

Panienka w czerwonej sukni miała matkę w zielonej sukni i matka ta celowo rozdzieliła nas niebawem. Towarzystwo całe, zjadłszy na trawie obiad, powstało i rozeszło się. Chodziłem sam pod drzewami w stanie najwyższego podniecenia i rozdrażnienia. Rozmyślałem nawet o odwrocie, pod pretekstem nagłej słabości, i już spoglądałem na mego siwego rumaka, gdy się do mnie zbliżyła Dora i panna Mills.

– Pan się nudzi, panie Copperfield? – spytała panna Mills.

– Bynajmniej, pani – odrzekłem.

– A i ty się nudzisz, Doro!

– O nie, bynajmniej! – pośpieszyła zaprzeczyć.

– Dość tego, Doro, dość, panie Copperfield – przemówiła panna Mills z macierzyńską niemal powagą – nie pozwalajcie, aby błaha nieporozumienie zepsuło wam ten dzień wiosniany. Wiosna okwita tak prędko! Mówię to niestety z własnego, w odległą, niepowrotną przeszłość odbiegającego doświadczenia. Odświeżających, w słońcu rozbłyśniętych źródeł nie trzeba powstrzymywać ani też mijać nie można oazy odkrytej w pustyni.

Nie wiem już, co na to odpowiedziałem. Czułem się cały w płomieniu. Wiem, że ujął Dorę za drobną rączkę, której mi nie broniła, gdy ją całowałem. Pocałowałem też rękę panny Mills i wszyscy troje wyglądać musieliśmy, jakbyśmy byli w siódmym niebie.

Nie przyłączyliśmy się już do reszty towarzystwa, przez część wieczoru pozostaliśmy we troje, a czując opartą o me ramię rączkę Dory, pragnąłem tę chwilę zmienić w nieśmiertelność.

Trudno. Dochodziły nas głosy i śmiechy, wołano Dorę, musieliśmy wrócić do towarzystwa, uproszono Dorę, aby śpiewała. Ryży śmiałek ofiarował się przynieść gitarę z pojazdu, lecz Dora oświadczyła, że ja sam tylko znaleźć ją tam potrafię. Ryży śmiałek został odprawiony z niczym, ja zaś pobiegłem po gitarę, przyniosłem ją, usiadłem tuż przy Dorze; mając powierzone pieczy mej chustkę jej do nosa i rękawiczki, upajałem się każdą nutą jej śpiewu, pewny, że śpiewa dla mnie samego, gdy inni słuchacze mogą jej tylko przyklaskiwać.

Szczęście upajało mnie, rozpierało piersi, zdawało się być snem, nie jawą, i bałem się przebudzenia z rozkosznego snu w mieszkaniu przy Buckingham Street, przy brzęku filiżanek poruszanych dłonią pani Crupp. Po Dorze śpiewały inne panie, nawet panna Mills wsłuchana w echo dawnych wspomnień, w przeszłość zwrócona jak stuletnia staruszka. Tak przeszedł wieczór; rozpalono ognie, w kociołkach, po cygańsku, gotowano herbatę. Szczęście moje nie znało granic.

Szcześliwszy jeszcze byłem, gdy się zebrane towarzystwo w różne rozjechało strony i ryży śmiałek zszedł mi z oczu. Wracaliśmy w mroku wieczornym, a drzewa i kwiaty najpiękniejsze rozpuszczały wonie. Pan Spenlow drzemał po wybornym szampanie. Błogosławiłem skibę ziemi, która wydała błogosławione te grona, słońce, przy którym dojrzały, kupców, którzy szlachetnego dostarczyli wina! Ojciec Dory wkrótce popadł w sen głęboki. Jechałem obok pojazdu rozmawiając ciągle z Dorą. Podziwiała mego wierzchowca i gładziła go po szyi małą, precudną rączką. Szal się jej rozchylił, więc ją otulałem i nawet Jip wyglądał tak, jak gdyby postanowił – widząc, na co się zanosi – zaprzestać zaczepnych względem mnie kroków.

A ta sprytna, kochana panna Mills! Dwudziestoletnia, życiem rozczarowana matrona, wsłuchana w echo dalekiej, dalekiej swej, jak mawiała, przeszłości!

– Panie Copperfield – rzekła – przejeżdż pan, proszę, jeśli masz chwilkę czasu, na tę stronę pojazdu; chcę panu coś powiedzieć.

W mgnieniu oka, po paru zwrotach wierzchowca, byłem u jej boku.

– Dora – mówiła nieoszacowana ta moja opiekunka – ma mnie odwiedzić. Przyjedzie do mnie pojutrze. Pewna jestem, że ojciec mój rad byłby panu.

Ileż cichych błogosławieństw spłynęło w tej chwili na gorzkim doświadczeniu życia skołataną głowę panny Mills. Adres jej zapisując w sercu, dziękowałem jej z wylaniem za tyle cennej przychylności.

Odesłała mnie dobrotliwie na poprzednie me miejsce. Jechałem tak blisko pojazdu, rozmawiając z Dorą i pochylając się ku niej, że o mało nie otarłem łopatek mego siwosza o koła. Zatarłem go nawet trochę, za co mi właściciel słono, a w mniemaniu mym dziwnie tanio, kazał zapłacić. Tymczasem panna Mills tonąc we wspomnieniach i patrząc na księżyc deklamowała cicho smutne wiersze. Ach! Norwood było tak blisko! Stanęliśmy tam tak szybko! Szczęściem pan Spenlow budząc się zaproponował mi spocząć chwilę. Zgodziłem się chętnie. W oświetlonej sali jadalnej czekała nas przekąska i wino. Zarumieniona Dora była tak czarująca, że wpatrzony w nią pozostałbym do rana, gdyby poziewanie pana Spenlow nie budziło mię do rzeczywistości. Nie było rady, musiałem pożegnać królowę mego serca, jej ojca i towarzyszkę. W drodze powrotnej do Londynu czułem ciągle w dłoni mej uścisk jej dłoni, przypominałem sobie każde słowo, każde spojrzenie, aż wróciwszy do domu zasnąłem wreszcie jak kamień, bom czucie postradał z miłości.

Zbudziłem się nazajutrz rano z najmocniejszym postanowieniem wyznania mej miłości i dowiedzenia się, jaka mnie przyszłość czeka, w szczęśliwości czy niedoli, mniejsza z tym, byłem wiedział, a kwestię tę sama tylko Dora rozstrzygnąć mogła. Przez trzy dni dręczyłem się przypuszczając najgorsze, własną dłonią łamiąc powstałe w mym sercu nadzieje. Czwartego dnia udałem się do panny Mills, uzbrojony w silne postanowienie oświadczenia mych uczuć.

Nie wiem już, jak długo krążyłem po ulicach i dokoła zamieszkanego przez pannę Mills domu, zanim zdecydowałem się wniknąć na schody. Nawet kiedy już odważyłem się zastukać, brała mnie jeszcze chętna spytać służącego, jak gdybym się pomylił, czy zastałem pana Blackboy – było to wspomnienie Barkisa – i odejść, przeczącą otrzymawszy odpowiedź.

Pan Mills był nieobecny – co mi tam! A panna Mills? Panna Mills przyjmowała.

Wszedłem do bawialnego pokoju, gdzie zastałem obie panie wraz z Jipem. Panna Mills przepisywała nuty – pamiętam, piosenkę zatytułowaną „Na dnie miłości”. Dora malowała.

Co? Przeze mnie ofiarowane jej kwiaty. Któż potrafi wyrazić uczucia, jakie widok ten wzbudził we mnie. Kwiaty kupione na targu Covent Garden. Nie powiem, aby się odznaczały szczególniejszym podobieństwem lub aby w ogóle do prawdziwych podobne były kwiatów, poznałem je jednak od razu po wytłaczanym papierze, który podtrzymywał bukiet i którego wzór nader wiernie był przerysowany.

Panna Mills powitała mnie bardzo uprzejmie, ubolewając nad nieobecnością ojca, które to zresztą niepowodzenie znosiłem mężnym sercem. Po chwili opuszczając pióro na „Dno miłości” wyszła pod jakimś pretekstem z bawialnego pokoju. Serce biło mi żywiej.

– Mam nadzieję, że koń pański zbytnio się nie zmęczył wówczas – odezwała się Dora, prześliczne podnosząc oczy. – Kawał to drogi!

Byłem zdecydowany zrzucić ciężar z serca.

– Tak – rzekłem – dla niego był to kawał drogi, gdyż go nic nie podtrzymywało.

– Biedny! Nie został nakarmiony? – spytała.

– Owszem... Owszem, nie brakło mu starań, tylko... Nie podtrzymywała go ta nadzieja szczęścia, którą żywiłem...

Dora opuściła splonioną twarz. Siedziałem na brzegu krzesła, sztywny, z bijącym sercem. Chwilę trwało milczenie. Po chwili Dora ozwała się:

– Była jednak w dniu tym chwila, kiedy to mniemane szczęście...

Czułem, że zbliża się rozwiązanie.

– Kiedy – ciągnęła Dora podnosząc czoło i brwi marszcząc – towarzystwo panny Kitt...

Było to nazwisko paniienki w czerwonej sukni.

– Zresztą – rzekła śmiejąc – nie wiem wcale, co pan nazywa szczęściem i nadzieją? Pan to mówi nie myśląc o tym. Któż może przeszkadzać robić, co się panu podoba? Jip! Nieznośne stworzenie, chodź no tu!

Nie wiem, jak to się stało, ubiegłem Jipa i nie ona go pochwyciła, lecz ja ją w ramiona. Teraz wymowny byłem, słowa płynęły mi jak potok, mówiłem jej, jak ją kocham; mówiłem, że nie potrafię żyć bez niej, że ją ubóstwiam. Przez cały ten czas Jip nie przestawał warczeć i ujadać, a gdy Dora, opuszczając mi na ramię jasną główkę, rozplakała się, stałem się jeszcze wymowniejszy. Niech tylko zażąda mego życia, poświęcę je bez wahania! Co mi tam życie bez niej, znieść bym tego nie mógł, nie chciałem. Kochałem ją od pierwszego spojrzenia, marzyłem o niej dniem i nocą, kochałem do szaleństwa i nikt, nigdy, nikogo nie kochał, nie kocha, kochać nie będzie tak czule, gorąco jak ja ją, Dorę, kochałem, kocham, wiecznie kochać będę.

Im w większy wpadałem zapał, tym głośniejsze Jip ujadał, i on jak ja, w inny tylko sposób, wpadał w szal w tej chwili.

Uspokoił się. Teraz siedziałem obok Dory na kanapie, Jip wlaźł na jej kolana burcząc tylko z cicha. Szczęście me nie znało granic; miałem wzajemność i słowo Dory.

Przypuszczam, żeśmy myśleli, chociaż bardzo niejasno, że się to skończyć musi małżeństwem, a Dora nawet mówiła wyraźnie, że nie pójdzie nigdy wbrew woli ojca. Byliśmy jednak oboje tak młodzi i nieogłędni, tak upojeni szczęściem i chwilą obecną, żeśmy o przyszłości nie myśleli wcale. Postanowiliśmy wprawdzie wyznania nasze utrzymać w tajemnicy, pewien jednak jestem, że myśl, aby w tym mogło być coś zdrożnego, nie powstała mi w głowie.

Panna Mills, którą wreszcie Dora przywiodła, wydawała się bardziej niż kiedykolwiek zamysłona. To, co zaszło pomiędzy mną a Dora, musiało obudzić echa jej wspomnień. Błogosławiła nas, zapewniała o niezmiennej swej przyjaźni, jak istota nie mająca już nic z doczesnym szczęściem wspólnego. Szczęśliwe, lube chwile!

Zdjąłem miarę z drobnego paluszka Dory, by zamówić dla niej pierścioneł z niezapominajką. Pamiętam jubilera, jak się uśmiechał nad rachunkową księgą, słuchając mych informacji i dając mi to, co mu się z turkusów samemu podobało. Pamiętam to tak dobrze i dokładnie,

że onegdaj jeszcze, spostrzegłszy przypadkiem taki sam pierścionek na palcu własnej mej córki, uczułem, jak mi na chwilę jakiś żal niewymowny ścisnął serce.

Wracałem do domu z mą tajemnicą, pełen szczęścia, Dory, niesiony na skrzydłach uczuć, obcy wszystkim i wszystkiemu, co nie było Dorą i mą miłością.

A schadzki nasze w ogrodzie i na bulwarach, w ciche letnie popołudnia! Od chwil tych polubiłem londyńskie wróble i szare ich opylone opierzenie miłsze mi było od błyszczących i różnobarwnych skrzydeł rajskich ptaków.

Kiedy zaś wybuchła pierwsza między nami sprzeczka – w tydzień może po zaręczynach – Dora odesłała mi pierścionek wraz z okrutnymi, na różowej ćwiartce papieru skreślonymi słowy: *Zrodzona z szalu miłość nasza rozpaczą skończyć się musi.*

Rwałem sobie istotnie z rozpaczy włosy na głowie, gorzkimi zalewając się łzami.

Pod opieką wieczornych cieni pobiegłem do panny Mills, sprowadziłem ją do kuchni i w cieniu olbrzymiego okapu komina prosiłem, aby przebłagała Dorę. Dobra panna Mills wróciła wkrótce, wiodąc gwiazdę moją, i długo, pamiętam, z kazalnicy zawiedzionych swych uczuć napominała nas, abyśmy dobrowolnie z zielonej oazy nie zbiegali na skwarne szlaki Sahary.

Oboje, pamiętam, płakaliśmy, a później tak byliśmy szczęśliwi, że szczęście nasze rozpromieniało mroki okapu komina, zmieniając kuchnię w przybytek miłości. Postanowiliśmy pisywać do siebie codziennie, a dobra panna Mills podjęła się pośredniczyć w tej korespondencji.

Szczęśliwe, błogie dni! Ze wszystkich minionych dni mego życia wspomnienie żadnych nie wywołuje mi na usta tak tkliwego i smętnego zarazem uśmiechu!

ROZDZIAŁ XXXIV CIOTKA ZADZIWIĄ MNIE

Natychmiast po zaręczeniu się z Dorą napisałem do Agnieszki. Napisałem list długi, w którym starałem się opowiedzieć jej, jak jestem szczęśliwy i jaką doskonałością jest Dora. Prosiłem, aby uczuć moich nie uważała za bezmyślną i ślepą namiętność lub wybryk młodocianej fantazji. Zapewniałem, że są niezgłębione i że jestem przekonany, iż nikt jeszcze nigdy nie kochał tak głęboko.

List ten pisałem pod wieczór, przy otwartym oknie, a tak żywo w pamięci stała mi Agnieszka, z jasnym swym, niezmaconym spojrzeniem, i samo to wspomnienie tak kojąco podziało na rozgorączkowanie, w jakim pozostawałem od niejakiego czasu, że mi łzy nabiegły do oczu. List był do połowy zaledwie napisany, siedziałem z głową opartą na ręku, marząc o tym, że Agnieszka niezbędnie byłaby potrzebna przy domowym moim ognisku, a obecność jej uświęciłaby poniekąd moje i Dory szczęście, gdyż w każdym wzruszeniu, czy je nazwiemy szczęściem i miłością, nadzieją czy rozczarowaniem, rozkoszą czy smutkiem, serce moje zwracało się ku Agnieszce, szukając ukojenia w jej przyjaźni.

O Steerforcie w liście mym nie wspominałem wcale. Pisałem tylko, że w Yarmouth ucieczka Emilki pograżyła wszystkich w boleści, mnie zaś zadała cios podwójny, dzięki pewnym, związanym z tym okolicznościami. Wiedziałem zresztą, jak Agnieszka jest domyślna, wiedziałem, czyje imię najpierw znajdzie się na jej ustach.

Odpowiedź na list ten nadeszła zwrotną pocztą. Czytając list Agnieszki zdawało mi się, że słyszę jej głos, głos luby, melodyjny. Cóż więcej ponadto powiedzieć mogę!

W ostatnich czasach Traddles odwiedził mnie parę razy, lecz ani razu nie było mnie w domu. Natomiast, zastawszy Peggotty i dowiedziawszy się od niej – chętnie każdemu udzielała tej wiadomości – że jest moją piastunką, zawiązał z nią znajomość i gawędził o tym i o owym, o mnie zwłaszcza. Tak przynajmniej utrzymywała Peggotty. Posądzam ją jednak, że ona to, gdy raz wpadła na mój temat, podtrzymywała rozmowę w nieskończoność. Poczciwa Peggotty!

Przypomina mi to nie tylko pewne popołudnie, kiedy wyczekiwałem. Traddlesa o naznaczonej przezeń godzinie, lecz i to, że pani Crupp zaprzestała najzupełniej wypełniać względem mnie jakie bądź swe zobowiązania pod pretekstem bytności Peggotty. Po kilku bardzo głośnych rozmowach na schodach, mających za przedmiot krytykę mej piastunki, a prowadzonych z niewidzialnym jakimś chyba duchem, gdyż wiedzieliśmy doskonale, że nie było

tam żywej duszy, pani Crupp, uważając, że to nic nie pomaga, zdecydowała się napisać do mnie list. Rozpoczęła od ogólnych poglądów na obowiązki i uczucia, zwłaszcza na tę okoliczność, że się względem mnie poczuwała do obowiązków i uczuć macierzyńskich. Dalej oznajmiła mi, iż życie jej nie zawsze było takie jak obecnie, lecz że we wszystkich sytuacjach i przypadkach życiowych szczególną żywiła niechęć i wzdarcę do szpiegów i plotkarzy. Nie potrzebuje, pisała, nikogo wymieniać, nie jej to jest rzeczą, każdy zresztą tak się wyśpi, jak sobie pościele, ona zaś z góry patrzy na szpiegów i plotkarki, zwłaszcza – słowa te były podkreślone – we wdowich szatach. Jeśli zaś młody dżentelmen pragnie zostać ofiarą natrętów, szpiegów i plotkarek – nie nazywa przecie nikogo po imieniu, uchowaj Boże! nie jej to jest rzeczą – zobaczmy, jak na tym wyjdzie; ona, pani Crupp, widzi się zmuszoną oznajmić, i to stanowczo, że nie chce i nie może pozostawać w jakich bądź stosunkach z podobnymi istotami i zrzeka się nawet spełniania swych obowiązków i dopóki rzeczy nie wrócą do uprzedniego stanu, dopóty, co niedziela rano, zostawiać będzie rachunek na mym biurku, zastrzega zaś sobie, dla oszczędzenia obu stronom przykrości, aby zawsze natychmiast i całkowicie był on zapłacony.

Po nakreśleniu znakomitego tego listu pani Crupp wzięła za zadanie życia stawianie zasadzek w formie kijów, polan, pogrzebaczy w celu narażenia Peggotty na połamanie nóg.

Egzystencja w podobnym osaczeniu wydawała mi się nieznośna, nie miałem jednak odwagi odeprzeć natarć pani Crupp.

– Jak się masz, kochany Copperfieldzie! – zawołał Traddles zjawiając się o naznaczonej godzinie. – Co porabiasz?

– Miło mi jest – rzekłem – widzieć cię wreszcie i żałuję, żeś mnie tylekroć nie zastał w domu. Tak byłem zajęty.

– Wiem, wiem! Naturalne to! Wszak twoja miła mieszka w Londynie.

– O kim mówisz? – zawołałem.

– O niej, o pannie D. – odrzekł rumieniąc się ze strachu, że popełnił niedyskrecję. – Mieszka w Londynie.

– Tak! W okolicach Londynu.

– Bo moja, jeśli sobie przypominasz – mówił ze smutnym spojrzeniem – jedna z dziesięciu, pamiętasz, mieszka aż w Devonshire, toteż w tym względzie o wiele jestem swobodniejszy od ciebie.

– Nie rozumiem – odrzekłem – jak żyć możesz, widując ją tak rzadko.

– Ha – odparł w zamyśleniu – nie ma czasu się dziwić, skoro nie ma na to rady. Zarumieniłem się.

– Podziwiam stałość twą i cierpliwość – zauważyłem.

– Doprawdy – uśmiechnął się – cóż w tym tak dziwnego. Nie wiesz, jakie to dobre, kochane, stałe, cierpliwe dziewczę. Uczę się od niej. Nie uwierzysz, jak co chwila zapomina o sobie, aby myśleć o tamtych dziewięciu.

– Najstarsza? – spytałem.

– O nie! Najstarsza to piękność!

Dostrzegł zapewne uśmiech, odpowiedzią tą wywołany, bo uśmiechnął się sam dobrodusznie, poprawił się.

– Nie to, żeby moja Zofia... Ładne imię, prawda, lubiłem je zawsze.

– Bardzo ładne – odrzekłem.

– Nie to tedy – ciągnął – żeby Zofia nie była ładna, w moich zwłaszcza oczach. Każdy przyzna, że to najmilsze pod słońcem dziewczę, ale tamta, piękność, piękność w całym znaczeniu tego słowa! Gestykulował, jakby rysował w powietrzu mgliste kontury.

– Doprawdy? – zauważyłem.

– Upewniam cię, piękność niezwykła, niepospolita! Stworzona do świata, do hołdów, których pozbawiają ją skromne ich materialne środki, nie dziw, że bywa nieco wymagająca, nieco czasem rozdrażniona. Zadaniem Zofii jest bawić ją i dostarczać rozrywek.

– Jest więc najmłodsza? – spytałem.

– O nie! – zawołał. – Dwie najmłodsze mają zaledwie po dziewięć i dziesięć lat. Zofia uczy je właśnie.

– Druga z rzędu – podszeptałem. – Nie. Druga z rzędu, Sara, chorowita. Wiesz, kręgosłup, biedne dziewczę! Przejdzie to, jak upewniają doktorowie, tymczasem jednak skazana jest na całoroczne leżenie. Zofia ją pielęgnuje. Zofia jest czwarta z kolei.

– Matka ich żyje? – spytałem.

– Żyje! Pod każdym względem wspaniała kobieta! Szkoda, że wilgotny tamtejszy klimat nie służy jej. Sparaliżowana prawie!

– O! – zawołałem.

– Niewesoło, prawda! W rodzinnym jednak życiu Zofia zastępuje matkę i własnej matce matkuje tyle, co i dziewięciu pozostałym siostrom.

Cnoty i zalety młodej tej osoby napełniały mnie najwyższym szacunkiem; pragnąc zaś z całego serca dobra i powodzenia pocziwego Traddlesa, spytałem go o pana Micawbera.

– Zdrow jest, o ile wiem – rzekł. – Nie mieszkam już z nimi.

– Ta-a-k?

– A tak! Widzisz bo – tu zniżył głos – na skutek smutnych okoliczności ukrywa się obecnie pod nazwiskiem Mortimera, wychodzi tylko, gdy ściemnieje, i to w okularach. Rucho-
mość opisana, miała już zostać zlicytowana, lecz pani Micawber wpadła w tak straszną roz-
pacz, że musiałem, doprawdy musiałem, nowy podpisać weksel. Gdybyś wiedział, jaką to
było pociechą dla biednej tej kobiety.

– Hm! – mruknąłem.

– Wprawdzie pociecha niedługo trwała. Zanim tydzień upłynął, druga nadeszła egzekucja. Odtąd musiałem się wynieść. Mortimerowie ściętnili się, jak mogli. Może ci się to wyda zbyt egoistyczne z mej strony, że o tym wspomnę, lecz i marmurowy stoliczek, i wybrana przez Zofię żardinierka poszły z tym wszystkim.

– Jaka szkoda! – zawołałem, zmartwiony tym, com słyszał.

– Przyznaję się, żałowałem obu tych przedmiotów, a przy licytacji nie mogłem wykupić, gdyż widząc, jak mi o nie idzie, nałożono na nie wysoką cenę, zresztą w tym czasie nie posiadałem ani grosza. Mam to jednak na oku, u tandeciarza na rogu Tottenham Court Road. Kupię nie dziś, to jutro, gdy spuści z ceny. Tylko, widzisz, tandeciarz, skoro mnie zoczy, zaraz cenę podnosi. Będąc zaś w tej chwili przy pieniądzach, chciałem cię spytać, czy nie namówiłbyś dobrej swej piastunki, aby mi towarzyszyła. Pokazałbym jej sklep tandeciarza, sam odszedł na bok, a kupiec odstąpiłby najpewniej.

Myśl ta uszczęśliwiała go, uważał ją za genialny wynalazek. Jakże to wybornie pamiętam!

Zapewniłem go, że kochana moja Peggotty z przyjemnością odda mu tę drobną usługę, pod warunkiem jednak, że odtąd ani pożyczać panu Micawber, ani ręczyć za niego, ani się podpisywać na jego wekslach nie będzie.

– Przyrzekam ci to tym chętniej – rzekł – żem się zastanowił, iż istotnie nie mam prawa czynić tego, przez wzgląd chociażby na Zofię. Masz moje słowo i tak dostałem za swoje. Nie wątpię jednak, że pan Micawber uściłby się z długu, gdyby mógł. Cóż, kiedy nigdy prawdopodobnie to ostatnie nie nastąpi. Muszę tu jednak w obronie pana Micawbera coś powiedzieć: oto ani razu nie mówił mi, że mi zapłaci, tylko że to powinno być zapłacone. Taki sposób mówienia dowodzi niewątpliwie pewnej uczciwości.

Nie chcąc się mu sprzeciwiać, milczałem. Po niedługiej chwili wyszliśmy do Peggotty, gdyż Traddles nie chciał spędzić wieczoru ze mną, po pierwsze ze strachu, aby stoliczek

marmurowy i żardinierka nie znalazły tymczasem innego kupca, po wtóre, ponieważ zwykł był spędzać wieczory na pisywaniu do swej najdroższej.

Nie zapomnę nigdy, jak się krył za węglem domu, gdy Peggotty targowała drogocenne sprzęty, jaki był niespokojny widząc, że wychodzi pomału i ze spuszczoną głową ze sklepu, jak się cieszył, gdy ją tandeciarz zawołał na powrót. Po wielu tym podobnych perypetiach udało się jej nabyć oba przedmioty stosunkowo tanio. Traddles nie posiadał się z radości.

– Nieskończenie wdzięczny jestem – mówił słysząc, że oba sprzęty dziś jeszcze odstawione być mogą do jego mieszkania – i gdybym nie bał się nadużyć twej dobroci... Nie będziesz się śmiać ze mnie, Copperfieldzie?

– Mów, o co idzie.

– Oto, jeśli by pani Barkis raczyła wynieść tylko ze sklepu żardinierkę, chciałbym ją sam, przez wzgląd, że to ją Zofia wybrała, zanieść do siebie.

Peggotty chętnie uczyniła zadość jego żądaniu, rozplątał się więc w podziękowaniach i z żardinierką w rękę, ostrożnie, rozpromieniony szedł przed nami ulicą.

Wystawy towarów zachwyciły Peggotty. Szliśmy tedy pomału, zatrzymując się na każdym kroku i sporo przeszło czasu, zanim wróciliśmy do domu.

Wchodząc na schody zauważyliśmy, że wszelkie zasadzki pani Crupp zniknęły jakimś cudem, natomiast dostrzegliśmy świeże ślady stóp ludzkich. Zdziwienie nasze wzmożło się jeszcze, gdy wszedłszy na schody zastaliśmy drzwi mego mieszkania otwarte na oścież, a z wewnątrz dochodziły nas głosy.

Spojrzelśmy po sobie nie wiedząc, co myśleć o tym, gdy uchylając drzwi bawialnego pokoju spostrzegłem ciotkę i pana Dicka. Ciotka siedziała niby Robinson Cruoe, obrzucona mnóstwem pak i paczek przeróżnego kalibru. Pan Dick, też z bagażem, trzymał w rękę olbrzymiego latawca. Oboje popijali herbatę.

– Kochana ciotko! – zawołałem. – Co za miła niespodzianka!

Uściskaliśmy się z ciotką i panem Dickiem, a nalewając herbatę pani Crupp orzekła, iż pewna była, że się pan Copperfield ucieszy widokiem tak kochanej i szanownej krewnej.

– Ach! – zawołała ciotka dostrzegłszy zmieszana jej obecnością Peggotty. – Jakże się miewasz?

– Przypominasz sobie ciotkę moją, Peggotty? – spytałem śpiesząc z pomocą mej piastunce.

– Na miłość Boga, chłopcze! – zawołała ciotka. – Nie nazywaj jej tym barbarzyńskim nazwiskiem. Wychodząc za męża, dostała przecie drugie. Pierwszą to spotykam kobietę, która na tym dobrze wyszła. Jakże się nazywasz po mężu?

– Barkis, do usług pani – odpowiedziała dygając Peggotty.

– To, to co innego, to mi przynajmniej chrześcijańskie nazwisko! Jakże się miewasz, Barkis?

Ośmielona uprzejmością mej ciotki, Peggotty biorąc podaną sobie dłoń skłoniła się powtórnie, niżej niż przedtem.

– Postarzałyśmy obie, jak widzę – mówiła ciotka. – Od ostatniego naszego spotkania sporo upłynęło czasu. Raz tylko spotkałyśmy się w dobrą chwilę! Trot, nalej mi jeszcze filiżankę herbaty.

Podąłem żadaną filiżankę herbaty ośmielając się zauważyć, że ciotka niewygodnie siedzi na kuferku.

– Przysunę kanapę lub przyniosę fotel, wygodniej ciotce będzie – powiedziałem.

– Dziękuję ci, kochanku! Wolę siedzieć na swoim.

Srogo spojrzała na panią Crupp.

– Zbyteczne już nam są usługi pani – zauważyła chłodno.

– Może przed odejściem zaparzyć jeszcze trochę herbaty? – spytała uprzejmie pani Crupp.

– Dziękuję, obejdzie się – odrzekła ciotka.

– Może jeszcze krążek świeżego masła? A może się pani da namówić na jajeczko? Świeżuteńkie! Tak bym chciała czymkolwiek usłużyć kochanej i szanownej pańskiej ciotce, panie Copperfield!

– Nic mi nie potrzeba – sucho i stanowczo rzekła ciotka.

Nie było rady, pani Crupp, uśmiechając się uprzejmie, zacierając ręce usłudźnie i dla okazania słabości swego zdrowia przechylając głowę na ramię, wycofała się za drzwi.

– Dick! – zauważyła ciotka. – Pamiętasz, com ci mówiła o dworakach fortuny?

Pan Dick, pomimo zdziwionego wzroku, utrzymywał, że pamięta.

– Należy ona do ich rzędu – zdecydowała ciotka. – Proszę cię, Barkis, zajmij się herbatą i nalej mi jeszcze filiżankę.

Dostatecznie znałem ciotkę, aby widzieć, że miała coś na sercu i myśli, wycieczka zaś jej do Londynu nie była częścią przejażdżką. Uważałem, jak badawczo spoglądała na mnie, gdy sądziła, że czym innym zajęty nie zauważę tego. Pod zwykłym jej chłodem i szorstkością dostrzegłem pewne wahanie i pytałem siebie, czym się jej mogłem narazić? Sumienie podsuwało mi wprawdzie imię Dory, lecz jakżeby się ciotka mogła o tym dowiedzieć?

Sądziłem, że dopiero wtedy wypowie wszystko, gdy znajdzie odpowiednią po temu chwilę. Siedząc obok niej, starałem się być swobodny, mowę zwracałem do przywiezionych w klatkach kanarków, pieściłem kota, lecz w rzeczy samej zmieszany byłem, a pan Dick, kiwający na mnie głową i wskazujący na ciotkę, gdy miała odwróconą od niego uwagę, nie uspokajał mnie bynajmniej.

– Trot! – ozwała się wreszcie, skończywszy pić herbatę, otarłszy usta i starannie otrząsnąwszy suknię. – Nie potrzebujesz odchodzić, Barkis – dodała – nie jesteś tu zbyt uczona. Otóż, Trot, jak sądzisz, czy jesteś mężny i odważny?

– Mam nadzieję – odrzekłem.

– Jak myślisz? Pytam cię.

– Tak sądzę, ciotko.

– Dobrze. Powiedz mi tedy, dlaczego powiedziałam niedawno, że wolę siedzieć na swej własności?

Nie domyślając się bynajmniej, nie miałem odpowiedzi.

– Mówiłam to dlatego – ozwała się ciotka – że jest to teraz wszystko, co posiadam. Zrujnowana jestem, chłopcze.

Gdyby się ziemia rozstąpiła, nie doznałbym podobnego wstrząśnienia.

– Dick wie o tym – mówiła ciotka kładąc mi spokojnie rękę na ramieniu. – Zrujnowana jestem. To mi tylko pozostało, co mam tu z sobą, i ten dom tam, który zostawiłam na opiece Janet, aby go wynajęła komuś. Barkis! Musimy się postarać o nocleg dla tego dżentelmena. Co do mnie, tu się pomieszczę, byle jak, na jedną to noc tylko. Jutro cośkolwiek przedsięwzięmy.

Wszystko to bolało mnie przez wzgląd na nią, na nią samą tylko, i nie mogłem przyjść do siebie, aż dopiero, gdy mi się rzuciła z płaczem na szyję wołając, że to ją zasmuca i niepokoi tylko ze względu na mnie. Po krótkiej chwili opanowała wzruszenie, mówiąc spokojnie i z godnością:

– Powinniśmy ciosy życiowe przyjmować z podniesionym czołem i nie pozwolić, by nas z nóg zbić miały. Pamiętaj o tym, Trot, chłopcze mój! Nie nas niepowodzenie, lecz my niedolę wszelką zwalczyć musimy.

ROZDZIAŁ XXXV

SMUTEK

Skoro ochłonałem z pierwszego, zwierzeniem się ciotki wywołanego wrażenia, zaproponowałem panu Dickowi przechadzkę do sklepiku pewnego mydlarza, gdzie będzie mógł zająć wolne po panu Peggotty miejsce.

Sklepik mydlarza znajdował się na Hungerford Market, a Hungerford Market wyglądało wówczas inaczej niż obecnie. Przed wejściem do domu był ganek, drewniane słupki tworzyły kolumnadę, co wprawiło w zachwyt pana Dicka. Przyjemność mieszkania ponad podobnym dziełem sztuki i dobrego smaku czyniła go niewątpliwie pobłażliwym dla wszelkich innych niedogodności; te wszelako ograniczały się do dolatującego ze sklepiku zapachu mydła i łoju oraz braku przestrzeni. Zresztą pan Dick najzupełniej był zadowolony z lokalu. Wprawdzie pani Crupp zdążyła już uprzedzić go, że „nie będzie tam miał dość miejsca, żeby pohuścić kota”, lecz pan Dick siadając w nogach łóżka i pocierając kolana zauważył tylko:

– Nie potrzebuję przecie huścić kota, nie huściłem kota nigdy, więc to mi wcale nie zawadza.

Starąłem się wy badać, czy rozumie całą wielkość zmiany zaszłej w położeniu mej ciotki. Nie rozumiał, jak się tego domyślałem zresztą, wiedział tylko, że mu ciotka powiedziała przedwczoraj: „Teraz dopiero przekonamy się, czy jesteś istotnie takim filozofem, za jakiego zawsze cię uważałam”. Upewnił ją że się na nim nie zawiedzie. A wówczas ciotka rzekła:

„Dick! Jestem zrujnowana”. A on na to: „Doprawdy?” Ciotka zaczęła wychwalać moc jego duszy, co mu niesłychaną sprawiło przyjemność. Potem nastąpił wyjazd do Londynu. W drodze jedli kanapki i pili porter.

Opowiadał mi to pogodny, wesół, siedząc na krawędzi łóżka i pocierając kolana, z szeroko otwartymi oczyma i łagodnym uśmiechem, który zrazu pobudził mnie do przekonywania go, że ruina to nędza, a nędza w głód łącno zmienić się może. Pożałowałem jednak mej szorstkości, widząc, jak zbladł nagle, a łzy, które puściły się mu z oczu, rozmiękczyłyby pewno twardsze od mego serce. Starąłem się pocieszyć go i przekonałem się wkrótce, że uprzedni jego spokój wypływał z nieograniczonego zaufania do mądrości i praktyczności najgodniejszej podziwu kobiety, jak zwykł był nazywać ciotkę. Nic ją, zdaniem jego, zwalić z nóg nie mogło.

– Cóż teraz poczniemy? – spytał mnie. – Jest memoriał...

– Najpewniej – odrzekłem. – Wszystko, co możemy dziś, kochany panie Dicku, przedsięwziąć, to zachować spokój, aby się ciotka nie domyślała nawet, żeśmy z sobą o tym mówili.

Zgodził się na to w zupełności, błagając mnie, abym go przestrzegł, jeśli się zapomni i uchylił z wytkniętej drogi. Muszę wyznać, że strach, któremu napędził, podziałał na niego ujemnie. Przez resztę wieczoru spoglądał na ciotkę oczyma pełnymi łez, poczuwając się zaś do tego odwracał głowę, by powstrzymać łzy, nie pomagało to jednak nawet wówczas, gdy siedząc nieruchomy przewracał oczyma. Na leżący na stole przy wieczerzy – niewielki wprawdzie – bochenek chleba spoglądał tak, jak gdyby spoza niego głód już wyglądał, a gdy go ciotka zachęcała do jedzenia, dostrzegłem, że skrzętnie chował do kieszeni okruchy chleba i sera. Pewien jestem, że myślał wówczas o zapasach dla nas wszystkich na czarną godzinę.

Ciotka ze swej strony zachowywała się z największym spokojem, co było przykładem dla nas wszystkich, a zwłaszcza już dla mnie. Uprzejma była niesłychanie dla Peggotty – z wyjątkiem, gdy mą piastunkę nazywałem jej dziwnym, z którym się ciotka pogodzić nie mogła, nazwiskiem. Chociaż wiedziałem, jak obco ciotka się czuje w Londynie, zdawała się być tym razem u siebie w domu. Zajmie mój sypialny pokój, ja zaś nocować będę w bawialnym, czuwając nad bezpieczeństwem. Szczęściem zawsze – przez wzgląd na pożar – mieszkaliśmy w pobliżu rzeki. Okoliczność ta widocznie ją uspokajała,

– Trot, kochanku – rzekła widząc, że się zabieram do przygotowania jej codziennego wieczornego napoju – nie trzeba.

– Jak to, nie? Ciociu!

– Zamiast wina wlej trochę piwa.

– Ależ mamy wino, a ciotka zawsze pijała wodę z winem – zauważyłem.

– Wino zachowaj na wypadek choroby, musimy oszczędzać, moje dziecko. Trochę piwa wystarczy mi teraz.

Myślałem, że biedny pan Dick trupem padnie! Znając jednak stanowczość mej ciotki, wyszedłem po piwo, że zaś późno już było, Peggotty i pan Dick wyszli wraz ze mną. Rozstaliśmy się na rogu ulicy. Pan Dick, z ogromnym latawcem w ręku, wydał mi się uosobieniem ludzkiej niedoli.

Wracając zastałem ciotkę chodzącą wzdłuż i -wszerz po pokoju. Szarpała palcami obrzeżenie nocnego czepka. Zagrzałem wodę, sporządziłem napój. Nałożywszy czepek zasiadła w fotelu.

– Wiesz co, kochanku, może i lepsze niż z winem – rzekła popijając – mniej to żółć rozgrzewa.

Z twarzy mej musiało przebijać niejakie powątpiewanie, gdyż dodała natychmiast:

– Tss! Tss! Dziecko! Daj Boże tyle biedy, ile jej w zmianie wina na piwo.

– Nie o sobie myślę, ciotko – odrzekłem.

– Więc cóż?

– To, że ja a ty, ciotko, to dwie różne rzeczy.

– Głupstwa gadasz, dziecko!

Zdawała się rozweselona, popijając wodę z piwem, w wesołości tej zaledwie przebijał pewien przymus.

– Trot – ozwała się po chwili – wiesz, że nie lubię na ogół obcych twarzy, ale ta twoja Barkis podoba mi się niewątpliwie.

– Cieszy to mnie nieskończenie, kochana ciotko – odrzekłem.

– Podziwiam tylko świat ten – mówiła pocierając nos – i nie rozumiem, jak można żyć z takim nazwiskiem. Myślę, że śmieszne po prostu.

– I ona może to myśli! Ależ nie jej w tym wina.

– A wiem, jednak to niewesołe. Dobrze, że ją teraz nazywać możemy po mężu, Barkis. Brzmi to wcale przyzwoicie. Niesłychanie przywiązana do ciebie? Trot, co?

– Życie by za mnie oddała.

– Życie? – mruknęła ciotka. – Wariatka ta chciałaby oddać wszystko, co posiada! Dowodzi, że nie wie, co robić z pieniędzmi!

Sądzę, że łza rozrzewnienia spłynęła do szklanki, którą ciotka w tej chwili podnosiła do ust.

– Najzabawniejsza pod słońcem kobieta – ciągnęła. – Od pierwszej chwili, gdy ją spostrzegłam, tam, przy biednej twej matce, zauważyłam już, że jest najzabawniejszą pod słońcem kobietą. Pocziwa!

Śmiała się, lecz ręczę, że dlatego tylko, aby mieć pretekst otarcia łez z oczu. Po chwili mówiła, znów popijając wodę z piwem:

– Niech się wielkie ulitują Nieba! Wiem wszystko, Trot! Barkis opowiedziała mi wszystko, gdyś wychodził z Dickiem. Wszystko wiem i tego tylko zrozumieć nie mogę, czego się chce tym opętanych dziewczętom. Głową mur rozbijać, co? Szalone!

– Biedna Emilka! – zauważyłem.

– O, biedna! Powinna była pomyśleć o tym, zanim spowodowała tyle smutku i bóleści. Biedna! Ucałuj mnie, chłopcze! Ciebie to żałuję, żeś zbyt wcześnie narażony został na tak gorzkie rozczarowanie.

Chciałem już odejść, ale zatrzymała mnie.

– A ty sam, dziecko – rzekła – wyobrażasz sobie, żeś zakochany?

– Wyobrażam! – zawołałem płonąć cały – ależ ja ją ubóstwiam, kochana ciotko!

– Tę swoją Dorę, co? Gotów jesteś wmawiać we mnie, że ta mała jest czarodziejką?

– Nikt, kochana ciotko, kto jej nie widział, nie może nawet wyobrazić sobie, jaka ona jest.

– Głupiutka? – zapytała ciotka.

– Głupiutka? – powtórzyłem zdumiony. Prawdę mówiąc, ani razu jeszcze nie zastanawiałem się, jaka jest lub jaka nie jest Dora. Była Dorą. Słowa ciotki uderzyły mnie jak coś najzupełniej nowego.

– Wietrznica?

– Wietrznica? – znów powtórzyłem.

– Pytam się tylko, kochanku, nie ubliżam jej wcale – rzekła ciotka. – To mi dobrana para! Wyobrażacie sobie zapewne, żeście stworzeni dla siebie i w życiu wyglądać będziecie jak dwie cukrowe piramidy na biesiadnym stole? Czy tak, Trot?

Postawiła to pytanie z tak dobrodusznym, na poły żartobliwym, na poły smutnym uśmiechem, że mi się uczułem rozrzewniony.

– Młodzi oboje jesteście, kochana ciotko – odrzekłem – młodzi i niedoświadczeni, wiem o tym, i w tym, co mówimy, i w tym, co myślimy, jest wiele niedorzeczności, lecz bądź co bądź kochamy się bardzo, kochamy szczerze i jeśli bym tylko mógł przypuścić, że Dora kiedykolwiek pokocha kogokolwiek drugiego lub że mnie kochać przestanie, lub że ja sam pokocham inną, lub ją kochać przestanę – nie wiem, co by się ze mną stało. Zmysły bym chyba postradali

– Ach, Trot! – uśmiechnęła się poważnie, potrząsając głową. – Ślepe, biedne dziecko!

– Ktoś, kogo znam dobrze – ciągnęła po chwili – posiada kochające, wierzące serce, serce, co mi przypomina tę biedną dziewczynę, twoją matkę. Ten ktoś liczy na siłę swego przywiązania, że go ono zawsze podtrzyma, że go zawsze podniesie, to jego głębokie, wierne, kochające serce.

– Gdybyś znała, kochana ciotko, siłę uczuć Dory! – zawołałem.

– Biedne, zaślepione dziecko! – powtórzyła raz jeszcze, a ja sam, nie wiedząc czemu, poczułem niby brak czegoś, niby chmurę zsuwającą się na mnie i ogarniającą mnie zewsząd. – Jednakże – mówiła ciotka – nie chcę bynajmniej zachwiać waszego zaufania do siebie, psuć wam szczęścia i chociaż są to uczucia dziecinne, a takie właśnie bywają częstokroć – uważaj, proszę, że mówię częstokroć, nie zaś zawsze! – zmienne. Chcę mówić o nich poważnie i w

nadziei, że przywiodą was do upragnionego celu. Dość będzie czasu biadać, gdy do niczego nie doprowadzą.

Słowa te nie były wprawdzie nader pocieszające, lecz byłem zadowolony, że ciotka wiedziała już, co się w mym sercu dzieje. Wnosząc zaś, że musi być strudzona po podróży, podziękowałem jej z wylaniem za dobroć i dowody przywiązania, jakimi mnie obsypuje, po czym życzyłem jej dobrej nocy. Po chwili nocny jej czepek znikł za drzwiami mego sypialnego pokoju.

Położyłem się, lecz nie mogłem, zasnąć. Rozpacz mnie ogarniała! Myślałem o zaszłej tak nagle zmianie w mym położeniu, o tym, co pan Spenlow powie o moim ubóstwie, o ciężącym na mnie sumiennym obowiązku powiedzenia wszystkiego Dorze i zwolnienia jej z danego mi, w innych warunkach, słowa. Myślałem o tym, co pocznę, zanim będę mógł zarabiać na swoje i ciotki utrzymanie, i o tym, że nie będę miał kieszonkowych pieniędzy, możliwości kupowania drobnych podarków dla Dory ani dosiadanania siwych rumaków, ani pokazania się w korzystnym świetle. Czuję wprawdzie, że były to egoistyczne pobudki, wstydzilem się, że przywiązuję tak wielką wagę do nędznej mamony, lecz przez miłość dla Dory nie mogłem obojętnie spoglądać na zaszłą w położeniu mym zmianę. Czuję, że powinienem w danym razie mieć na względzie ciotkę raczej niż samego siebie; jednakże byłem tak przywiązany do Dory, że wobec niej wszelkie inne znikły względy. Straszna to była noc.

Śniła mi się nędza w najrozmaitszych postaciach, a sny tak podobne były do jawy, że nie wiedziałem nawet, kiedym zasnął. Śniło mi się, że się wściekam z bólu, sprzedając ostatnie zapasy zapalek Dory, całe sześć pudełek za pół pensa, to znów, że się znajduję w nocnym negliżu w kancelarii i muszę znosić wymówki pana Spenlow za wystąpienie w podobnym stroju wobec klientów. To, że zgłodniały zbieram okruchy od sucharków, które codziennie punkt o pierwszej spożywać zwykł był Tiffey, to, że wykupuję świadectwo ślubu z Dorą mając tylko na zapłatę rękawiczkę Uriaha, której naturalnie Commons nie chce uważać za pieniądź. Jednocześnie czuję doskonale, że się znajduję we własnym mym mieszkaniu, miotany niby okręt na oceanie poduszek i piernatów.

I ciotka noc musiała mieć niespokojną. Słyszałem, jak się przewracała lub przechadzała tam i z powrotem po pokoju, a parę nawet razy, owinięta we flanelowy, nieskończenie wydłużający jej kibić szlafrok, zjawiała się na progu bawialnego pokoju i podchodziła aż do kanapy, na której leżałem. Za pierwszym razem porwałem się wystraszony i dowiedziałem się, że ją zaniepokoił dziwny jakiś odbłyśk na niebie, z którego wnioskowała, że Westminster stać musi w płomieniach. Chciała mnie spytać, czy w razie zmiany kierunku wiatru grozi Buckingham Street poważne niebezpieczeństwo? Za drugim razem sam udałem, że śpię, i słyszałem, jak pochylając się nade mną, kilkakrotnie wyszeptwała: „Biedne! Biedne dziecię!” Słowa te podwoiły boleść moją i wstyd. Gdy mnie same egoistyczne zajmowały względy, pocziwa ta kobieta nie o sobie myślała, lecz o mnie.

Trudno mi było wyobrazić sobie, aby noc, tak dla mnie ciężka i długa, mogła się wydawać komu bądź krótka i wesoła. Myślałem o tych, którzy w tej porze spędzali czas na tańcach i zabawie. Z kolei śniły mi się tedy zebrania towarzyskie, muzyka powtarzająca nieustannie jeden i ten sam motyw i Dora roztańczona, nie zwracająca na mnie najmniejszej uwagi. Muzykus grający na harfie usiłował właśnie przykryć ją szlafmycą, gdym się obudził i, widząc słońce w oknach, otrząsnął się ze snu gorączkowego.

Były wówczas – po dziś dzień istnieją może – rzymskie łaźnie w głębi jednej z ulic na Strandzie, w których niejednokrotnie brałem zimną kąpiel. Odziewszy się naprędce i pozostawiając ciotkę staraniom Peggotty, pobiegłem tam spieszenie, ochłodziłem gorączką spalone czoło, po czym udałem się na przechadzkę w stronę Hampstead, w nadziei, że mnie to orzeźwi. Jakoż istotnie zimna woda i świeże powietrze rozproszyły nocne mary. Przyszedłem do wniosku, że przede wszystkim trzeba mi się postarać pozbyć umowy z panami Spenlow i Jorkinsem, odebrać wyłożoną na ten cel przez ciotkę sumę. Zjadłszy w Heath skromne śniadanie,

z powziętym w duszy postanowieniem wracałem do Commons przez odświeżone deszczem ulice, wdychając woń letnich kwiatów, napelniających ogrody i dużymi wiązkami niesionych i wiezionych przez przekupniów do miasta.

Przybyłem tak wcześnie do kancelarii, że nawet o jakie dobre pół godziny wyprzedził Tiffeya. Usiadłem w ciemnym mym kątku i patrząc na oświetloną słońcem przeciwną ścianę, rozmyślałem o Dorze aż do zjawienia się wykrochmalonego pana Spenlow.

– Jak się masz, Copperfieldzie! – zawołał. – Poranek prześliczny!

– Prześliczny! – odrzekłem. – Czy nie mógłbym z panem pomówić chwilkę na osobności, przed odejściem pańskim do Trybunału?

– I owszem, służę.

Poszedłem za nim do jego gabinetu. Włożył togię i zaczął się przeglądać w wiszącym na ścianie zwierciadle.

– Przykro mi niezmiernie – począłem – lecz sprawa, o której chciałbym mówić z panem, niewesoła jest, dotyczy mej ciotki.

– Nie! – rzekł. – Doprawdy? Paraliż, co?

– Nie idzie tu o jej zdrowie – odparłem. – Poniosła znaczną pieniężną stratę, sędzę nawet, że jej pozostało bardzo mało.

– Wprawiasz mnie, Copperfieldzie, w zdumienie! – zawołał pan Spenlow.

Skinąłem głową.

– Istotnie – ciągnąłem – interesy ciotki są obecnie w tak opłakanym stanie, że chciałem spytać pana, czybyśmy nie mogli odwołać zawartej pomiędzy nami umowy, chociażby z pewnym z mej strony ustępstwem – dodałem zauważwszy chłodny wyraz jego twarzy.

Propozycja ta kosztowała mnie niesłuchanie. Wszak jak o łaskę błagałem o to właśnie, co mnie oddalić miało od Dory.

– Zerwać umowę? – rzekł. – Zrzekasz się kariery?! Starąłem się wytłumaczyć mu, że istotnie przyszłość moja staje się niepewna. Nie przestrasza mnie jednak ta niepewność, ja-kem to nie bez emfazy utrzymywał, lecz co do terażniejszości, wyznać musiałem, że pozostałem bez żadnych środków.

– Przykro mi słyszeć to – upewniał pan Spenlow – niesłuchanie przykro. Nie są to jednak motywy dostateczne dla zrywania weszłej już w życie umowy. Proceder ten nie znany w zawodzie naszym, niedogodny, wcale niedogodny, gdy jednocześnie...

– Jesteś pan nader łaskaw... – począłem.

– Ależ nie! – przerwał mi. – Nie ma o czym mówić, chciałem to tylko powiedzieć, że je-śli bym sam był zainteresowany, ale wspólnik mój, pan Jorkins... Nadzieje moje upadły. Pró-bowałem dalej.

– Czy nie wypadaloby mi – zauważyłem – rozmówić się osobiście z panem Jorkinsem, przedstawić mu obecne me położenie?

Pan Spenlow wstrząsnął energicznie głową.

– Uchowaj Boże! – zawołał. – Wiesz przecie dobrze, że oddaję każdemu sprawiedliwość, cóż dopiero memu wspólnikowi! Niestety, znam go dobrze! Nikt go lepiej ode mnie znać nie może i upewniam cię, że pan Jorkins nie jest skłonny do żadnych, ale to do żadnych ustępstw i podobnej propozycji nawet nie dopuści. Nic go nie powstrzyma nigdy na raz wytkniętej so-bie drodze. Mogę cię zapewnić. Sam zresztą musisz o tym coś wiedzieć.

Wiedziałem to tylko, że pan Jorkins interes prowadził zrazu na własną rękę i później do-piero dopuścił do spółki pana Spenlow oraz że mieszkał w pobliżu Montagu Square, w sta-rym, od dawna domagającym się odnowienia domu, że przybywał do kancelarii późno, od-chodził wcześniej, o nic nigdy nie był zapytywany, przesiadując cichutko na górze w gabi-necie, nad stołem wyłożonym starym, lecz czystym, chociaż nie zmienianym od lat, żółtym papierem.

– Czy ma pan co przeciw temu, abym propozycję mą osobiście przedstawił panu Jorkinowski? – spytałem.

– Nic nie mam przeciw temu – odparł pan Spenlow – tylko rady swe opieram na wielokrotnym doświadczeniu. Chciałbym się mylić tym razem, tak dalece pragnąłbym być ci, kochany Copperfieldzie, użytecznym i bynajmniej nie przeszkadzam rozmówić się w tej sprawie z moim współnikiem, jeśli tylko ci się zdaje, że to do czegoś może doprowadzić.

Korzystając z udzielonego mi, wraz z przyjacielskim uściskiem dłoni, pozwolenia, siedziałem jak przedtem w mrocznym mym kącie, wpatrzony w igrające na przeciwległej ścianie promienie słońca, marząc o Dorze i wyczekując przybycia pana Jorkinsa. Doczekawszy się go wreszcie, udałem się niebawem na górę i zapukawszy do drzwi jego gabinetu, znalazłem się przed zdziwionym niespodzianym mym zjawieniem się prawnikiem.

– Proszę pana, proszę, panie Copperfield – ozwał się wskazując mi krzesło.

Usiadłem i przystąpiłem od razu do wyłuszczenia sprawy, w tych samych mniej więcej słowach, co i panu Spenlow. Pan Jorkins nie wyglądał bynajmniej tak strasznie, jak go przedstawiano. Był to sześćdziesięcioletni starzec o otwartej, łagodnej twarzy. Zażywał tradycyjną chyba w jego zawodzie ilość tabaki, jak gdyby takowa potrzebna mu była do podtrzymania życia.

Słuchał mnie niespokojnie, a gdy skończyłem, zagadnął:

– Przypuszczam, żeś pan mówił już o tym z panem Spenlow?

Odpowiedziałem mu, że istotnie mówił i że pan Spenlow zasłania się jego imieniem.

– Twierdzi, że będę przeciwny? – spytał. Musiałem przyznać, iż istotnie pan Spenlow tak twierdzi.

– Przykro mi tedy bardzo – zaczął nerwowo – lecz istotnie nie mogę zgodzić się na pańską propozycję. Rzecz w tym... Przepraszam, śpieszę do banku, godzina minęła.

Powstał z pośpiechem i zabierał się do wyjścia. Zauważyłem, że mi odjął nadzieję załatwienia tak ważnej dla mnie sprawy.

– Tak – rzekł zatrzymując się przy drzwiach – tak, istotnie, ja to przeciwny jestem... Ostrzegam pana, panie Copperfield, że jeśli istotnie pan Spenlow ma coś przeciw temu...

– Osobiście nic nie ma, jak mnie upewnił – rzekłem.

– Och! Osobiście! – powtórzył z widoczną niecierpliwością. – Ja zaś upewnić mogę pana, że jest w tym coś. Nie! Nie ma nadziei, życzenie pańskie nie może być spełnione, co zaś do mnie, mam... mam ważny, nie cierpiący zwłoki interes.

Wybiegł po prostu z tymi słowy; przez całe trzy dni nie spotkałem go ani razu.

Pragnąc wyczerpać wszelkie możliwości doczekałem się powrotu pana Spenlow i prosiłem go, aby użył swego wpływu dla zmiękczenia współnika.

– Nie znasz go, nie znasz tak, jak ja go znam – mówił kiwając głową. – Daleki jestem od oskarżania współnika mego o przebiegłość, lecz wyznać muszę, że pan Jorkins dziwny miewa czasem sposób wypowiedzania się, zawsze zaś, niestety, niewzruszony bywa w raz powziętych postanowieniach. Nic go nie wzruszy, nic, wierz mi, kochany Copperfieldzie!

Gubiłem się w domysłach, który z dwóch współników był bardziej niewzruszony, i to tylko nie było dla mnie zagadką, że nie mógł już marzyć o wycofaniu wyłożonych przez ciotkę pieniędzy. Opuściłem kancelarię kierując kroki do mego mieszkania.

Starłem się wyobrażać sobie najgorsze, z najgorszym się oswajając i wytknąć sobie pewną linię postępowania wśród trudnych tych okoliczności, gdy dogonił mnie i zatrzymał się tuż obok jakiś pojazd. Podniosłem głowę. Ujrzałem wyciągniętą zza zasłony rękę i twarz, której widok napępiał mnie zawsze błogim wzruszeniem, odkąd ją po raz pierwszy ujrzałem pochyloną nad poręczą schodów starego domu, twarz przypominającą słodkie piękności na kościelnych malowane witrażach.

– Agnieszka! – zawołałem uszczęśliwiony. – Kochana moja Agnieszka! Co za miłe, w tej zwłaszcza chwili, spotkanie!

– Czy naprawdę? – spytała witając mnie przyjaźnie.
– Tyle ci mam do powiedzenia – mówiłem. – Sam już twój widok napelnia mnie pociechą i otuchą. Gdybym posiadał czarodziejską różdżkę, ciebie bym chyba wzywał.

– Mnie?

– A tak, no, zaraz po Dorze – odrzekłem rumieniając się.

– Naturalnie, że się Dorze należy pierwszeństwo – zaśmiała się Agnieszka.

– Lecz ty następujesz tuż zaraz – dorzuciłem. – Gdzie jedziesz?

Jechała do mego mieszkania celem odwiedzenia mej ciotki, że zaś dzień był pogodny, wysiadła z powozu, który trącił, jak się mogłem przekonać wsuwając głowę do środka, stajnię. Opłaciłem dorożkarza, podałem jej ramię i poszliśmy razem. Na widok jej nadzieja wstąpiła mi w serce. Odkąd miałem ją u swego boku, czułem się odrodzony.

Otrzymała od ciotki mojej list lakoniczny, bankierski, taki, jakie ciotka zwykła była pisywać. Ciotka pisała, że popadła w nieszczęście, opuszcza Dover, rozejrzała się w swym położeniu i nie chciała by nikogo tym niepokoić i martwić. Po otrzymaniu tego listu Agnieszka natychmiast przybyła do Londynu, żeby widzieć się z ciotką, gdyż istniało między nimi długoletnie, w czasie mego pobytu pod dachem pana Wickfielda powstałe, przywiązanie. Do Londynu Agnieszka nie przybyła sama, byli z nią razem ojciec jej i Uriah Heep.

– Zawiazali spółkę. Niech go... – zakląłem.

—Tak – rzekła Agnieszka. – Przyjechali tu dla interesów, a ja z tego skorzystałam... Jednakże miałam na celu nie tylko odwiedzenie was i zadośćuczynienie żądaniom przyjaźni. Nie lubię, Trot – może to uprzedzenie z mej strony – ale nie lubię puszczać ojca samego z nim.

– Czy zawsze wywiera on ten sam wpływ na twego ojca? – spytałem. Skinęła głową.

– U nas – rzekła – tyle teraz zmian zaszło, że trudno poznać stary nasz, kochany dom. Mieszkają z nami.

– Kto? – spytałem.

– Pan Heep ze swą matką. Zajął twój dawniejszy pokoik, wiesz.

Mówiąc to patrzała mi w oczy.

– Gdybym miał władzę nad jego snami, niedługo by tam sypiał! – zawołałem.

– Ja zawsze ten sam, co dawniej, zajmuję pokój – ciągnęła Agnieszka. – Ten, w którym uczyłam się dawniej. Jakże czas szybko bieży! Pamiętasz? Pokoik z tafelkami, za salonem. Pamiętasz?

– Czy pamiętam! Pokoik, na którego progu ujrzałem cię po raz pierwszy, z pękiem kluczy u boku!

– Ten sam właśnie – uśmiechnęła się Agnieszka. – Milo mi, żeś zachował to w pamięci. Byliśmy wówczas tak szczęśliwi!

– Bardzo! – potwierdziłem.

– Chronię się, jak mogę, najczęściej w mym pokoiku – mówiła Agnieszka – nie zawsze jednak udaje mi się uniknąć pani Heep. Nieraz, gdy wołałabym być sama, zmuszona jestem dotrzymywać jej towarzystwa. Zresztą nie mogę się na nią uskarżać. Jeśli zanudza mnie ustawicznym hymnem pochwalnym na cześć swego syna, wybaczyć to trzeba jej matczynej słabości, tym bardziej że Uriah jest istotnie dobrym synem.

Patrzyłem na Agnieszkę, lecz nie mogłem dostrzec cienia domysłu co do zamiarów Uriaha. Wzrok miała niezmacony, łagodny, zwykły uśmiech okalał jej usta.

– Najgorsze w tym wszystkim – rzekła – że mnie ich bytność pod naszym dachem rozdziela z ojcem. Pomiedzy nami ciągle jest Uriah i to przeszkadza mi czuwać... nie, to za śmiało może wyrażenie... nie czuwać, lecz pielęgnować ojca. Jeśli na niego działają zdradliwe wpływy, mam nadzieję, że przywiązanie moje przewycięży je z czasem, bo wszak prawdziwe uczucie mocniejsze jest od wszelkich kłesk i od zła wszelkiego.

Przy słowach tych znikł uśmiech z ust Agnieszki, pogodne jej oblicze zamroczyło się, że zaś zbliżyliśmy się do mego mieszkania, spytała mnie, czy wiadome mi są okoliczności, które

spowodowały ruinę mojej ciotki? Na przeczącą mą odpowiedź zamyśliła się. Zdawało mi się, że czuję drżenie jej opartej o me ramię ręki.

Zastaliśmy ciotkę samą. Wzburzona była. Zaszło bowiem jakieś nieporozumienie, całkiem nie związane z ostatnimi wydarzeniami – szło, jeśli się nie mylę, o zamieszkiwanie w umeblowanych pokojach płci pięknej – pomiędzy nią a panią Crupp, po czym ciotka bez ceremonii i nie zważając na spazmy gospodyni wyprawiła ją za drzwi, mówiąc jej wręcz, że trąci wódką. Sprawę tę pani Crupp wzięła do serca, grożąc odwołaniem się do państwowej sprawiedliwości.

Pomału jednak ciotka się uspokajała. Peggotty poprowadziła pana Dicka, by mu pokazać gwardyjskich jeźdźców. Widok Agnieszki ucieszył ciotkę. Gdy ta zdjęła kapelusz i usiadła pomiędzy nami, poczułem, jak błogo jest mieć ją przy sobie, jak dalece młode to dziewczę posiada zaufanie mej ciotki, ile w niej jest prostoty, szczerości, jak wierne i kochające ma serce.

Rozmawialiśmy o zmianie zaszłej w położeniu naszym, opowiedziałem o mych zamiarach i oporze, z jakim się spotkałem u mych pryncypałów.

– Postąpiłeś niestosownie – rzekła ciotka – lecz intencje twe były najlepsze. Pocziwy z ciebie chłopak! Mogę być z ciebie dumna. A teraz, kochane moje dzieci, rozważmy dobrze sprawę Betsey Trotwood.

Przy słowach tych Agnieszka zbladła wpatrując się uważnie w ciotkę. Ciotka patrzyła też uważnie na nią gładząc po grzbiecie kotkę.

– Betsey Trotwood – poczęła ciotka – nie o siostrze to twej mowa, Trot, lecz o mnie samej, która zwykła była zajmować się sama pieniężnymi swymi sprawami, posiadała pewien fundusik, wystarczający na jej utrzymanie, owszem, na którym, niewiele wydając, udawało jej się robić pewne oszczędności. Fundusik ten, za poradą swego prawnego doradcy, ulokowała w ziemi. Szło nieźle, procenty płacono regularnie, aż tu dnia pewnego zaświtało coś jej w głowie, zdawało się, że jest mędrszą od prawnika, doskonałego w swoim czasie prawnika, gdyż o twoim to, Agnieszko, mówię ojcu. Otóż Betsey chciała być mądra, ściągnęła kapitał, umieściła w zagranicznym banku, w paskudnym, jak się okazało, banku – dodała ciotka pocierając nos. – Otóż... straciła wszystko – mówiła po chwili dalej – do ostatniego grosza, z własnej winy. Bank ten był na końcu świata i tak się to wszystko skończyło. Nie ma co już o tym mówić.

Ciotka, mówiąc to, spoglądała triumfująco jakoś na Agnieszkę, której w miarę słów tych wracały na lica rumieńce.

– Czy tak istotnie, kochana pani? Czy to wszystko? – spytała Agnieszka.

– Wszystko! Jeszcze ci nie dosyć? Gdyby było jeszcze coś do stracenia, straciłoby się i to zapewne, ale że więcej nic już nie ma, więc i koniec historii.

Zrazu Agnieszka słuchała, dech wstrzymując, blednąc i rumieniąc się na przemian, teraz dopiero odetchnęła swobodniej. Domyślałem się! Biedaczka bała się, czy czasem to, co zaszło, nie stało się z winy jej nieszczęsnego ojca! Ciotka, śmiejąc się, ujęła obie jej dłonie.

– I oto wszystko! – powtórzyła. – Wszystko i chyba wypada mi dodać, jak w bajce... „i żyła szczęśliwa”. Może też dodam to kiedyś, a teraz, Agnieszko, radźmy. Głowę masz po temu, wiem to, a i ty, Trot, także, chociaż nie wypada mi wychwalać cię ciągle. Radźmy. Co mamy począć? Jest mój domek, ten przyniesie, przypuścimy, siedemdziesiąt funtów rocznie. Sądzę, że w tej cenie będzie można go odnając. I oto wszystko! – skończyła ciotka. Gdy się raz rozgadała, z trudem jej przychodziło zatrzymać potok swej wymowy.

– Jest wprawdzie Dick – dodała po chwili wypoczynku – to jest coś około stu funtów rocznie. Suma ta jednak nie może zostać wciągnięta w ogólny rachunek, gdyż musi być wydana na zaspokajanie jego osobistych potrzeb. Rozłączyłabym się z nim raczej, chociaż nikt oprócz mnie ocenić go nie potrafi, niż pozwoliłabym, żeby nie używał własnych pieniędzy na

osobiste swe potrzeby. Cóż tedy mamy przedsięwziąć, ja i Trot? Jakie jest twoje zdanie, Agnieszko?

– Moje zdanie – wtrąciłem – jest takie, że to ja muszę coś przedsięwziąć.

– Co, może wstąpić do wojska czy do marynarki? – zawołała ciotka. – Słyszeć o tym nie chcę. Zostaniesz proktorem, gdyż tak już postanowiono. Nie potrzebujemy więcej mundurów w rodzie. Nadto zaszczytu !

Chciałem właśnie wytłumaczyć, że nie miałem zamiaru obdarzać rodziny tego rodzaju zaszczytami, gdy Agnieszka przerwała mi pytaniem, na jak długo wynajęłem obecne swe mieszkanie.

– Słuszna jest twoja uwaga, kochanko – odrzekła ciotka. – Mamy je jeszcze na pół roku, chyba że zdarzy się sposobność odnajęcia, na co liczyć nie można. Ostatni lokator umarł tu. Nie dziw! Baba ta w nankinowym kaftanie zadreńczy na śmierć pięciu na sześciu. Mam jeszcze zresztą mały pieniężny zapas i zgadzam się z tobą, że najstosowniej będzie nam z Trotem mieszkać tu do upłynięcia terminu, wynajmując gdzieś izdebkę dla Dicka.

Obowiązkiem moim było zwrócić uwagę ciotki na nieprzyjemności, jakie na siebie ściągała, narażając się w ten sposób na ustawiczne zaczepki pani Crupp. Odpowiedziała mi, abym o to był spokojny, gdyż potrafi przy pierwszym wyzwaniu dać stosowną nauczkę, której zacna ta matrona nie zapomni do końca życia.

– Przychodzi mi na myśl – ozwała się nieśmiało, zwracając się do mnie, Agnieszka – że jeślibyś miał trochę czasu...

– Czasu mi nie brak, kochana Agnieszko. Kancelaryjne moje zajęcia kończą się zwykle o czwartej, a nadto ranki miewam swobodne. Tak czy owak – mówiłem rumieniąc się na wspomnienie godzin, które przewałęsałem po ulicach Londynu – czasu mam pod dostatkiem.

– Czy zgodziłbyś się tedy – rzekła zniżając głos – podjąć się obowiązków sekretarza?

– Czy zgodziłbym się!

– Bo to widzisz – ciągnęła – doktor Strong uchylił się od nauczycielskiego zawodu, przeniósł się do Londynu i pytał ojca, czyby mu nie mógł nastreczyć sekretarza. Sądzę, że miło by mu było obowiązki te powierzyć ulubionemu niegdyś uczniowi, a i tobie także...

– Agnieszko – zawołałem – widzisz, jakieś mi niezbędnie potrzebna w życiu! Jesteś istotnie moim dobrym aniołem, w takim cię też zawsze widzę świetle.

Agnieszka śmiejąc się i mając na myśli Dorę odrzekła, że mi jeden anioł stróż powinien wystarczyć. Przypomniała mi też, że ponieważ doktor Strong miał zwyczaj pracować rano i późno wieczorem, wszystko składa się wybornie. Co do mnie, sam nie wiedziałem, co mi się bardziej uśmiechało: czy perspektywa zarabiania na życie, czy praca pod kierownictwem ukochanego mego nauczyciela. Idąc za radą Agnieszki napisałem natychmiast list do doktora Stronga, zapowiadając mu się na godzinę dziesiątą nazajutrz rano. List zaadresowałem do Highgate, mieszkał bowiem w tej pamiętnej mi miejscowości, po czym nie tracąc czasu wrzuciłem do skrzynki pocztowej.

Agnieszka miała to do siebie, że wszędzie, gdzie się znalazła, stawała się niezbędna. Gdy wróciłem, zastałem kanarki ciotki fruujące jak tam, w Dover, fotel mój przysunięty do okna, jak tam bywał przysunięty fotel ciotki, a na oknie rozłożony wielki zielony, z Dover przywieziony wachlarz. Wiedziałem, kto to wszystko urządził, chociaż zdawać by się mogło, że wszystko zrobiło się samo. Spojrzawszy na półki domyśliłbym się też od razu, czyja dłoń uporządkowała moje książki, jeśliby nawet Agnieszka była o sto mil, nie zaś przy moim biurku, z uśmiechem spoglądająca na nieporządek, jaki tam panował.

Tamiza miała szczęście zadowolnić ciotkę. Wyglądała wcale nieźle w promieniach słońca, nie tak jednak, jak tam, w Dover, morze widziane z okien domku ciotki. Dla dymu, ściągającego się po ulicach Londynu, jak mawiała ciotka, i „przenikającego wszystko”, była pobłażliwa. W mieszkaniu moim, przy udziale Peggotty, przeprowadzono z tego powodu radykalny prze-

wrót. Podziwiałem to właśnie myśląc, z jakim to zwykle hałasem Peggotty dokonywa tego, co Agnieszka uczyniła po cichutku, gdy zapukano do drzwi.

– Ojciec! – rzekła Agnieszka blednąc. – Obiecał mi, że przyjdzie.

Otworzyłem drzwi. Wszedł nie tylko sam pan Wickfield, był z nim i Uriah Heep. Od dość dawna nie widziałem pana Wickfielda, a chociaż z tego, com słyszał od Agnieszki, byłem przygotowany, że go zastanę zmienionym, zmiana w nim zaszła uderzyła mnie jednak.

Nie to tylko, że postarzał, chociaż ubrany był ze zwykłą starannością, i nie to, że mu twarz pokrywał niezdrowy rumieniec, oczy miał przekrwione, a ręce drżały, do czego zresztą z dawien dawna przywykłem. Nie to, aby postradał coś ze swego dawnego sposobu bycia i powagi – w tym względzie nie zauważyłem żadnej zmiany. Uderzyła mnie przy właściwym mu poczuciu własnej wyższości pewna widoczna i aż lękliwa zależność od Uriaha Heepa. Tym razem role się zmieniły; widok Uriaha u władzy, a jego byłego pryncypała w tak upokarzającej od niego zależności, sprawił na mnie przygnębiające wrażenie. Widok małpy przewodzącej człowiekowi nie byłby mi bardziej wstrętny.

Pan Wickfield musiał to rozumieć. Wszedłszy opuścił głowę. Trwało to zaledwie mgnienie oka, gdyż Agnieszka podbiegła do niego mówiąc łagodnie:

– Ojczule! Oto panna Trotwood i Trot, których od tak dawna nie widziałeś.

Zbliżył się do nas, powitał uprzejmie. Zauważyłem zjadliwy uśmiech na twarzy Uriaha. Agnieszka musiała to też zauważyć, gdyż odwróciła się od niego.

Co ciotka widziała, a czego nie widziała, tego nikt pono nie zgadnie. Sądzę, że nikt chyba nie potrafi być tak nieprzeniknionym jak ona. Gdy chciała, twarz umiała zachować kamienną, bez przebłysku żadnego wrażenia. Nagle, jak zwykle, przerwała milczenie.

– Jak się masz, Wickfieldzie! – rzekła, a prawnik po raz pierwszy podniósł wzrok na nią. – Opowiadałam właśnie twej córce, jak dobrze wyszłam, nie słuchając ciebie i sądząc, że rdziejiesz w swym zawodzie, mój stary. Wzięłam na własną odpowiedzialność swe fundusze. Dobrze na tym wyszłam, nie ma co mówić. Naradzaliśmy się tu właśnie, co teraz mam poznać. Twoja Agnieszka nie dla proporcji tylko ma głowę na karku.

– Pozwolę sobie najpokorniej zauważyć – wtrącił Uriah — że najzupełniej podziwiam zdanie szanownej pani! Najszczęśliwszym byłbym, jeśliby panna Agnieszka weszła do spółki.

– Zostałeś sam przecie współnikiem, to wystarczy! – sucho odparła ciotka. – Jakże ci się powodzi?

Słowa te i ton, którym były wymówione, zmieszały Uriaha. Mnąc nerwowo woreczek, który trzymał w ręku, odpowiedział pokornie, że mu się dobrze powodzi i że spodziewa się, iż zastał pannę Trotwood w dobrym zdrowiu.

– A pan, panie Copperfield – zwrócił się do mnie – spodziewam się, że zastaję pana w dobrym zdrowiu? Miło mi widzieć pana nawet w obecnych okolicznościach, chociaż okoliczności te nie mogą zadowolnić pańskich przyjaciół, ale pan wie dobrze, że nie pieniądź stanowi o wartości człowieka, ale... nie potrafię wyrazić tego tak dobrze, jak bym pragnął... O! Nie pieniądź!

Uściskał mi rękę, nie w zwykły jednak sposób, lecz stojąc w pewnej ode mnie odległości i wstrząsając mi rękę z góry na dół i z dołu w górę, jak gdyby pompował wodę u studni.

– Jakże pan nas znajduje, panie Copperfield? – pytał. – Prawda, że pan Wickfield wygląda świetnie kwitnie, kwitnie! A nasza obecna firma? Lata nie przyniosły zmian, chyba tę, że pokorni i maluczcy, to jest matka moja i ja, zostaliśmy podwyższeni, a i to także, że się rozwinęła piękność panny Agnieszki.

Szarpał się i wykrzywił przy tym w taki sposób, że ciotka straciła cierpliwość.

– Niech go! – zawołała. – Co mu jest? Konwulsji dostał, co?

– Przepraszam panią, panno Trotwood – odparł Uriah. – Nie wiedziałem, że pani tak nerwowa.

– A to co nowego? – krzyknęła ciotka. – Ja nerwowa! Bynajmniej, mój panie, bynajmniej. Wyglądasz jak węgorz, jeżeli chcesz wiedzieć. Wijesz się jak piskorz. Co do mnie, jaszczurcze te konwulsje gniewają mnie po prostu, chociaż bynajmniej nie działają na moje nerwy.

Pan Heep wyglądał przerażony. Któż by nie był przerażony podobnym potokiem słów i tonem, jakim były wypowiedziane! Na zakończenie ciotka odwróciła się od Uriaaha wzruszając ramionami.

Uriah wziął mnie na stronę.

– Wiem o tym, panie Copperfield – począł – że panna Trotwood, jakkolwiek jest nader szanowną osobą, bywa czasem nieco żywa. Pamiętam, wszak znałem ją, gdy byłem skromnym pisarzem w kancelarii pana Wickfielda. Pamiętam i nie dziwię się, jeśli obecne okoliczności zaostrożają jej temperament. Dziwić się raczej wypada, że znosi to wszystko tak heroicznie! Otóż chciałem powiedzieć panu, panie Copperfield, że pomimo to matka moja i ja albo Wickfield i Heep, jeśli tak się panu lepiej podoba – jesteśmy do usług panny Trotwood, o ile to będzie w naszej możności.

– Uriah Heep – wtrącił pan Wickfield głuchym głosem, w którym wyczuwało się przymus – zna się na rzeczy. Potwierdzam z góry wszelkie jego oświadczenia i zobowiązania. Wiesz zresztą, że od dawna nie jesteś mi obojętny, kochany Copperfieldzie. Niezależnie od osobistych mych sympatii, piszę się na każde zobowiązanie Uriaaha.

– Och! Jaki to zaszczyt, jaka wielka nagroda za pracę posiąść podobne zaufanie! – zawołał Heep wykrzywiając się i szarpiąc pomimo otrzymanej dopiero co lekcji. – Cieszy mnie to tylko, panie Copperfield, że mogę mu dziś ulżyć trudu, być pomocą.

– Uriah Heep wielką mi jest pomocą – potwierdził tym samym głuchym głosem pan Wickfield. – Spadł mi niemały ciężar, odkąd dopuściłem go do spółki.

Czułem, że lis ten zmuszał prawnika, by wychwalał go tak przede mną. Nie spuszczał z nas oka, a na jego ustach wił się znany mi zjadliwy uśmiech.

– Odchodzisz, ojczu! – zawołała strwożona Agnieszka. – Spodziewałam się, że wrócimy razem, Trotwood nas odprowadzi.

Przypuszczam, że prawnik nie odpowiedziałby córce, nie zbadawszy pierwiej spojrzeniem, jakie jest w tej mierze zdanie jego współnika. Szczęściem Uriah uprzedził go.

– Nie opuściłbym państwa – rzekł – gdyby nie ważne interesy. Pozostawiam tu szanownego kolegę, jako przedstawiciela firmy. Scielę się do stóp panny Agnieszki. Żegnam pana, panie Copperfield, najniższy mój szacunek, panno Betsey Trotwood.

Przy słowach tych wyszedł, przesyłając nam ode drzwi jeszcze olbrzymią swą łapą poufale pozdrowienie.

Pozostaliśmy rozmawiając przez parę godzin o dobrych starych czasach. Pan Wickfield, pozostawiony Agnieszce, pod jej wpływem odzyskiwał dawny humor, chociaż cień przygnębienia nie ustępował mu z czoła. Poweselał jednak słuchając dawnych wspomnień wspólnego naszego niegdyś życia. Mówił, że mu się zdaje teraz, gdy pozostał sam ze mną i Agnieszką, jakoby nic się nie zmieniło, i że pragnie, aby tak mogło być istotnie. W spojrzeniu Agnieszki, w dotknięciu jej dłoni były czary, działające w dziwny sposób na prawnika.

Ciotka, która przez cały ten czas była wraz z Peggotty oddana gospodarskim sprawom, nie chciała odprowadzać pana Wickfielda z córką, lecz wyprawiła mnie. Pozostałem u przyjaciół mych na obiedzie. Po obiedzie Agnieszka usiadła przy ojcu, jak zwykła dawniej siadać, i naleła mu wina. Pił to, co mu podała, nie więcej, posłuszny jej jak dziecię. Wieczór spędziliśmy na rozmowie przy otwartym oknie. Gdy zapadł zmrok, prawnik położył się na kanapie, córka podsunęła mu pod głowę poduszki, a gdy się zbliżyła do okna, ujrzałem łzy w jej oczach.

Błagam Niebiosy, aby mi zachowały na zawsze wspomnienie słodkiego tego dziewczęcia i tego, czym mi była w życiu. Zapomnieć mógłbym chyba wraz z życiem, a i wówczas chciałbym lepiej tylko wszystko pamiętać i nie przestać myśleć o niej. Tyloma mnie natchnęła dobrymi zamiarami, tak wzmocniła i pokrzepiła! Przykładem i słowem kierowała wśród prób i

trudności życiowych i jej to chyba zawdzięczam tę trochę dobra, które udało mi się w życiu spełnić, jej – uniknięcie niejednego zła i niebezpieczeństw, a pokus wielu.

Siedząc obok mnie w zmroku, w zagłębieniu okna, rozmawiała o Dorze. Słuchała pochwalnych mych hymnów, a światło bijące z czoła Agnieszki opromieniało czoło mej ukochanej wyrazem zdwojonej niewinności! O Agnieszko! Siostro! Towarzyszko dni mych chłopięcych, czemuż nie domyślałem się wówczas tego, o czym dowiedziałem się znacznie później!

Wychodząc spotkałem na ulicy żebraka. Gdym podnosił głowę do okna, skąd mi błyskało jeszcze łagodne spojrzenie Agnieszki, drgnąłem słysząc tuż obok siebie szept cichy, żalony:

– Ślepy, ślepy, ślepy!

ROZDZIAŁ XXXVI ENTUZJAZM

Rozpocząłem dzień następny od zanurzenia się znów w zimnej wodzie w rzymskiej łaźni, po czym udałem się do Highgate. Nie byłem już tak przybity jak w dniu poprzednim. Nie straszyl już mnie wytarty surdut i nie marzyłem o siwych rumakach. Inaczej się teraz zapatrywałem na swe położenie. Obowiązkiem moim było przede wszystkim wywdzięczyć się ciotce za jej starania i dobrodziejstwa, raźnie wziąć się do pracy. Obowiązkiem moim było zużytkować doświadczenie wczesnego mego dzieciństwa i utorować sobie drogę wśród przeciwności wszelkiego rodzaju, iść wytrwale i dotrzeć wreszcie do Dory. Myśląc tak, szedłem wprost przed siebie pewnym, śmiałym krokiem.

Wyszedszy na drogę do Highgate i przypomniawszy sobie, wśród jakich marzeń zwykłem ją przedtem przebiegać, zrozumiałem całą zmianę zaszłą w mym życiu. Jednakże nie pognębiło mnie to bynajmniej. Wraz ze zmianą położenia wznosiły się przede mną nowe cele; czekała mnie praca, ale i królewska za nią nagroda. Nagrodą tą miała być Dora. Zdobyć ją sobie musiałem.

Myśl ta wprawiła mnie w taki zachwyt, że żałowałem niemal, iż mam jeszcze całe na plecach ubranie.

Ręce mi się rwały do usuwania piętujących się na mej drodze przeciwności. Pragnąłem jak najprędzej wypróbować siły moje i o małym nie prosił człeka rozbijającego przydrożne kamienie o użyczenie mi młota i łomu, tak mi spieszno było rozbijać skały piętujące się na drodze do Dory. Rozgrzałem się i zadyszałem, jak gdybym istotnie nie wiem jak ciężko pracował. W takim stanie doszedłem do wiejskiego domku, o którym wiedziałem, że był do wynajęcia. Czuję potrzebę zostać praktycznym, obejrzałem go tedy. Jak raz mógłby nam służyć, to jest Dorze i mnie. Był ogródek przed oknami, po którym Jip mógłby biegać swobodnie i szczekać na klientów zza sztachet, a na górze wyborny pokój dla ciotki. Oglądałem to kilkakrotnie, a pomimo to przybyłem godzinę wcześniej na miejsce. Miałem czas ochłonać i uspokoić się nieco.

Ochłonawszy, postanowiłem przede wszystkim odszukać doktora Stronga. Nie mieszkał on w tej samej stronie co pani Steerforth, nie mogłem jednak się oprzeć, by zrazu nie zwrócić się w tamtą stronę. Obszedłem ogród i przez kratę rzuciłem okiem na dom mego przyjaciela. Okiennice w jego pokoju były zamknięte, lecz drzwi od oranżerii otwarte na oścież i Róża

Dartle, z odsłoniętą głową, przechadzała się prędkim krokiem, podobna do owych dzikich zwierząt, co przemierzają wciąż swe klatki.

Odszedłem zasmucony, ze ściśniętym sercem. Kościół wieńczący obecnie wzgórze nie istniał podówczas jeszcze, nie było tedy zegara, który by mi dał miarę czasu. Na miejscu tym stał dom ceglany, w którym mieściła się szkoła. Dom ten, o ile sobie przypominam, przyjemne robił wrażenie.

Zbliżając się do willi doktora – śliczny to był domek, którego odnowienie i upiększenie sporo go kosztować musiało! – ujrzałem doktora we własnej osobie. Przechadzał się po ścieżce w ogrodzie, zupełnie jak za szkolnych moich czasów. Dokoła miał też starych swych towarzyszy: drzewa wysokie i parę gawronów przypatrujących mu się ciekawie i skaczących po trawniku. Wiedząc, że na próżno starałbym się zwrócić na siebie z takiej odległości jego uwagę, wszedłem przez furtkę do ogrodu i spotkałem go na zakręcie ścieżki. Przez chwilę patrzył na mnie z roztargnieniem, widocznie myśli miał zajęte czym innym, po chwili dopiero poznał mnie, uśmiechnął się z zadowoleniem i wyciągając do mnie obie dłonie.

– Kochany Copperfieldzie! – zawołał. – Wyszedłeś na człowieka! Jakże mi miło widzieć ciebie. Zmieniłeś się na korzyść! Jakże mi miło!

Witałem go z wylaniem, pytając o jego i pani Strong zdrowie.

– Zdrow jestem – odpowiedział – i Annie zdrowa. Ucieszy się twym widokiem! Zawsze cię lubiła, mówiła mi to jeszcze wczoraj wieczorem, gdy mi pokazała twój list. Pamiętasz Jacka Maldona? Przypominasz go sobie?

– Doskonale.

– Zapewne i temu dobrze się powodzi?

– Więc wrócił? – spytałem.

– Z Indii? – odrzekł doktor. – Wrócił. Nie znosił tamtejszego klimatu. Pani Markleham... przypominasz ją sobie?

Któż by ją mógł zapomnieć! I to tak prędko!

– Pani Markleham niepokoiła się ciągle o swego krewniaka, sprowadziliśmy go tedy z powrotem i wystaraliśmy się tu o miejsce, które mu bardziej przypada do smaku.

Znałem o tyle Jacka Maldona, że domyśliłem się od razu, iż „miejsce” to nie wymagało zapewne wielkiego nakładu pracy. Doktor, przechadzając się oparty na moim ramieniu, spoglądając na mnie łagodnym wzrokiem, ciągnął dalej:

– A teraz, kochany Copperfieldzie, co do twej propozycji. Uśmiecha mi się niesłychanie, lecz czy nie mógłbyś przedsięwziąć czegoś korzystniejszego dla siebie? Nie brak ci zdolności, masz dostateczne przygotowanie, fundament pod gmach przyszłości. Czy nie szkoda twego czasu na pracę podobną tej, którą ja cię obarczyć mogę?

Zarumieniłem się i zbyt może patetycznym tonem powtórzyłem mu prośbę, dodając, że mam już stały zawód.

– Prawda – zauważył doktor – masz zawód, ale mieć go i pracować nad nim są to jeszcze dwie różne rzeczy. Zresztą, czymże być może dla ciebie, mój drogi, siedemdziesiąt funtów honorarium rocznie?

– Podwoi to nasz obecny dochód – odrzekłem.

– Czyż tak? – zawołał doktor. – Smutno słyszeć! Zresztą, to niezupełnie siedemdziesiąt funtów rocznie, gdyż mam zamiar dodać pewną nagrodę młodzieńcowi, który ze mną będzie pracować – mówił opierając się na moim ramieniu.

– Kochany mistrzu! – rzekłem. – Winienem ci już tyle...

– Nie, nie! – przerwał mi.

– Prawdziwym będzie dla mnie szczęściem – kończyłem – ofiarować na twe usługi poranki i wieczory, jeśli sądzisz, że takowe warte są siedemdziesiąt funtów razem.

– Bo to widzisz – mówił doktor – takie liche wynagrodzenie za taką wielką pracę. No, no! Nie wiąże cię niczym. Rzucisz mnie, gdy ci się trafi coś lepszego. Co? Daj mi słowo. Wiesz, że zawsze rozwijałem w uczniach mych poczucie honoru.

– Słowo honoru – odrzekłem, jak za szkolnych bywało czasów.

– Tak, to zgoda – zawołał doktor uderzając mnie po ramieniu.

Nie przerywaliśmy przechadzki.

– Stokroć byłbym szczęśliwszy – rzekłem popadając w niewinne pochlebstwo – jeślibym został użyty do słownika.

Doktor zatrzymał się z uśmiechem. Poklepał mnie po ramieniu i zawołał z triumfem:

– Zgadłeś, mój drogi! Idzie tu właśnie o słownik.

Mogłoby chodzić o co innego? Słownikiem nabitą miał głowę i kieszenie, wylał mu on zewsząd. Upewniał, że odkąd wystąpił z nauczycielskiego zawodu, praca nad słownikiem postępuje szybko, zadziwiająco szybko, a godziny, które mogłem na to poświęcić: poranne i wieczorne, odpowiadały mu właśnie wybornie. W dzień zwykł był przechadzać się i układać notatki. Papiery jego były zresztą w nieładzie, gdyż Jack Maldon ofiarował mu wprawdzie swe usługi, lecz nie miał potrzebnej w takich rzeczach wprawy. Doprowadziliśmy to wkrótce do porządku i dopiero później, wszedłszy w bieg pracy, zauważyłem, ilu trudnościami poprzednik mój zasiał mi drogę. Nie tylko popełniał tysiące omyłek, lecz rękopisy doktora pokrył taką ilością sylwetek pięknych kobiecych twarzyczek i wytwornych oficerskich postaci, że m wybrnąć nieraz nie mogłem z labiryntu nic ze słownikiem wspólnego nie mających przedmiotów.

Doktor był niesłychanie ze mnie zadowolony. Umówiliśmy się, że co dzień rano przychodzić będę na parę godzin, jako też na dwie, trzy godziny wieczorem, z wyłączeniem sobotniego wieczoru i całej niedzieli.

Warunki te uważałem za nader dla siebie dogodne. Umówiwszy się tak, doktor poprowadził mnie do siebie celem przedstawienia swej żonie. Zastaliśmy ją w gabinecie męża, opylała książki, do których nikt, oprócz niej, nie miał prawa się dotknąć.

Opóźnili umyślnie śniadanie i zasiedliśmy razem do stołu. Zaledwie zaczęliśmy jeść, twarz doktorowej, bardziej jeszcze niż odległe dźwięki, oznajmiła mi o zbliżaniu się jeźdźca. Istotnie, wjechał na dziedziniec, po czym przywiązawszy konia do sztachet ogrodu, z zarzuconą na ramię uzdą, ze szpicrutą w rękę, zupełnie jak u siebie w domu, wkroczył do stołowego pokoju. Był to pan Jack Maldon. Indie nie zmieniły go bynajmniej na korzyść. Byłem zresztą w tym czasie wrogo nastawiony względem wszystkich młodzieńców nie pracujących z młotem w dłoni, w pocie czoła, tym samym Jack Maldon nie mógł wyrzucić na mnie pochlebnego wrażenia.

– Panie Jacku – ozwał się doktor – Copperfield!

Zamieniliśmy uścisk dłoni, niezbyt gorący co prawda, udzielony mi z pewnym odcieniem protekcyjności przez nowo przybyłego. Odcień ów zresztą nie tylko do mnie się stosował, zniknął jednak zupełnie wobec samej Annie.

– Czy pan już po śniadaniu? – spytał doktor.

– Rzadko kiedy jadam śniadanie – odrzekł wyciągając się niedbale na fotelu. – Tak to mnie nudzi!

– Co słyhać nowego? – spytał znów gospodarz domu.

– Najzupełniej nic nie wiem. Aha! W North panuje głód i powstały stąd zaburzenia. Młotłoch zawsze bywa głodny i zawsze się burzy.

Doktor zamyślił się. Po chwili, chcąc widać zmienić przedmiot rozmowy, odezwał się:

– Nic nowego! Brak wiadomości to właśnie – jak mówią – dobre wiadomości.

– A! Jest tam jeszcze w gazetach długie sprawozdanie o jakimś morderstwie. Zawsze ktoś bywa zamordowany. Nie czytałem nawet tego.

Obojętność na wszystko nie była jeszcze w one czasy uważana za oznakę wyższości, jak to można zauważyć obecnie. Teraz w największej to jest modzie. Dziś na każdym kroku spotykam panów i panie, zwiniętych w sobie jak gaśienice i szczyjących się tym, że ich nic wzruszyć i z tego stanu martwej obojętności wywieść nie zdoła. Dawniej mniej to było rozpowszechnione, toteż słowa i sposób bycia pana Jacka Maldona dziwiły mnie tym bardziej i bynajmniej nie poprawiały opinii, jaką wyrobiłem sobie o tym młodzieńcu.

– Przybyłem – mówił – dowiedzieć się, czy Annie życzy sobie być dziś wieczorem na operze? Ostatnie to dobre w tym sezonie przedstawienie i warto słyszeć tę śpiewaczkę. Wyborna, a doskonale przy tym szpetna – skończył, znów pograżając się w obojętności.

Doktorowi uśmiechało się wszystko, co mogło być dla jego żony rozrywką.

– Musisz pojechać, Annie, musisz.

– Wolałabym pozostać w domu – odrzekła Annie.

Nie patrząc wcale na swego krewniaka zwróciła się do mnie, wypytując o Agnieszkę, czy zamierzam ją odwiedzić i kiedy. Była zaś tak wzruszona, że chyba tylko człek tak zaślepiiony, jak doktor, mógł tego nie zauważyć.

Nie zauważył jednak. Owszem, wmawiał w nią, że będąc młodą, potrzebuje rozrywki i nie powinna zagrzebywać się u boku starego grzyba. Posłyszysz nową śpiewaczkę, a potem odśpiewa mu słyszane piosenki. Nie słysząc, nie mogłaby przecie tego uczynić. W ten sposób skłaniał żonę do przyjęcia propozycji krewniaka, którego zaprosił na obiad. Maldon odjechał wkrótce, zapewne do swych zajęć, z miną zupełnie rozleniwionego i znudzonego człowieka.

Ciekawy byłem nazajutrz, czy Annie dała się namówić do teatru. Nie, nie dała się namówić. Po południu odwiedziła Agnieszkę i namówiła męża, by jej towarzyszył. Wracali pieszo, wieczór był przesłiczny. Myślałem o tym, gdzie by się udała, jeśliby przypadkiem Agnieszki tego dnia nie było w mieście? Wywierała ona i na doktorową swój zbawczy wpływ.

Annie nie wyglądała na szczęśliwą. Nieraz pytałem siebie, czy szczerzy, czy przewrotny jest wyraz jej twarzy? Przypatrywać się jej mogłem swobodnie, gdyż zwykle siadywała przy oknie, gdyśmy pracowali z doktorem, lub przygotowywała śniadanie, któreśmy spożywali nie odrywając się od roboty. Gdy o dziewiątej odchodziłem, zostawiałem ją zwykle klęczącą u kolan męża i zapinającą mu kamasze. Na twarz jej padał cień od zielonych, za niskim oknem wijących się liści, a ja przez całą drogę do Commons myślałem o owym wieczorze w Canterbury, gdym ją widział tak samo u nóg czytającego męża.

Cały dzień miałem zajęty. Wstawałem o piątej rano, a wracałem do domu dopiero o dziewiątej lub dziesiątej wieczorem. Cieszyło to mnie, zdawało mi się ciągle, że praca zbliża mnie do mego celu, do Dory. Nie odkryłem przed nią jeszcze zaszłej w mym położeniu zmiany. Wiedząc, że za dni kilka wybiera się w odwiedziny do panny Mills, zamierzałem wszystko ustnie jej powiedzieć. W listach, pisywanych za pośrednictwem dobrej panny Mills, wzmiankowałem tylko, że mam jej wiele do powiedzenia. Tymczasem wyrzekłem się pomady, wody lawendowej i zdobyłem się na prawdziwą ofiarę, sprzedając trzy zbytkowne i eleganckie kamizelki.

Niezadowolony z tego wszystkiego i trawiony gorączką czynu, udałem się do Traddlesa. Mieszkał on teraz za przepierzeniem w domu przy Castle Street, Holborn. Wziąłem z sobą pana Dicka, który mi już parę razy towarzyszył na Highgate, odnawiając znajomość z doktorem, gdyż zmartwiony złym stanem interesów ciotki i przekonany najmocniej, że Murzyn i kajdaniarz mniej są ode mnie zapracowani, gryzł się tym, tracił apetyt i wiądl w beczynności. W takim nastroju sławny memoriał nie mógł być wykończony i im zawzięciej pan Dick nad nim pracował, tym częściej wypływała na wierzch głowa nieszczęsnego Karola I. Przekonany, że stan jego pogorszy się, jeśli nie uda się wmówić weń, że jest użyteczny i w taki lub inny sposób pomaga nam w trudnych okolicznościach, chciałem spróbować, czy czasem Traddles nie będzie mi w tym względzie przydatny. Pisałem mu już o wszystkim, co zaszło, i otrzymałem odpowiedź pełną współczucia, przyjaźni i poczciwości.

Zastaliśmy Traddlesa przy robocie, nad stosem papierów. Nieco świeżości przydawała poikowi żardinierka i mały okrągły stolik w kącie. Traddles przyjął nas przyjaźnie, a zwykła jego uprzejmość zdwojona jeszcze została względem pana Dicka. Pan Dick utrzymywał, że go musiał przedtem już spotykać.

– Prawdopodobnie – uspokoił się go jednocześnie.

Przed wszystkim chciałem zasięgnąć rady Traddlesa w następującej sprawie: słyszałem, że wielu znakomitych ludzi zaczynało karierę od pisania sprawozdań z posiedzeń Parlamentu, że zaś wiedziałem o pewnych związkach Traddlesa z dziennikarstwem, zapytywałem go w mym liście, co o tym sądzi? Teraz właśnie objaśniał mi, sam się dokładnie wywiedziawszy, że wprawa w streszczaniu i stenografowaniu tych rzeczy jest równie trudna, a może i trudniejsza do nabycia niż znajomość sześciu języków, dojść zaś do niej można, przy pracy, po kilku dopiero latach. Bądź co bądź, mogłem próbować. W zapale mym trudności mnie nie zrażały.

– Dziękuję ci, kochany przyjacielu – rzekłem. – Od jutra zaczynam.

Traddles zdawał się zdziwiony. Nie zmierzył jeszcze rozciągłości mego entuzjazmu.

– Natychmiast – mówiłem – kupuję sobie podręcznik i uczę się w Commons, gdzie niewiele mam do roboty. Będę stenografował tamtejsze sprawozdania dla wprawy.

Traddles szeroko otworzył oczy.

– Nie domyślałem się w tobie podobnej energii – zauważył.

Nie odpowiadając nic na to, zwróciłem rozmowę na pana Dicka.

– Pomyśl pan, panie Traddles, do czego byłbym zdolny – wmieszał się ten ostatni. – Mogę bębnić, ano i dąć potrafię.

Muzykalne te umiejętności uśmiechały się biedakowi. Traddles odrzekł mi z największą powagą:

– Ale pan jest, o ile wiem od Copperfielda, doskonałym kaligrafem.

– Wybornym! – potwierdziłem, mówiąc zresztą prawdę; pan Dick miał pismo czytelne i piękne.

– Mógłbym panu dostarczyć przepisywania.

Pan Dick spojrział wątpiaco na mnie.

– E, Trotwood? – spytał.

Potrząsnąłem głową, on też potrząsnął głową z westchnieniem.

—Opowiedz mi o memoriale – rzekł cicho.

Opowiedziałem Traddlesowi, jak to ów nieszczęsny Karol I bruździ memu przyjacielowi płacząc się mu pod piórem. Pan Dick patrzył smutno na Traddlesa trzymając w ustach wskazujący palec.

– Ale – rzekł z powagą Traddles – rękopisy, o których mówię, są gotowe, skończone, pan Dick nie miałby może z nimi zbyt wiele pracy. W każdym razie warto spróbować.

Nadzieja wstąpiła w serce starego mego przyjaciela. Odeszliśmy z Traddlesem na bok, aby ułożyć plan, wedle którego pan Dick miał rozpocząć nazajutrz pracę.

W mieszkaniu mym przy Buckingham Street postawiliśmy koło okna dwa stoły, kładąc na jednym akta, które pan Dick miał przepisywać, na drugim zaś słynny ów memoriał, z którym nie mógł sobie poradzić. Zleciliśmy mu, aby pierwsze przepisywał wiernie trzymając się tekstu, a gdy mu przyjdzie chętka zboczyć w kierunku Karola I, wracał do swego memoriału. Powtórzyliśmy mu kilkakrotnie to zlecenie, pozostawiając go na opiece ciotki. Ciotka opowiadała nam potem, że zrazu co chwila zwracał się do memoriału, po niejakiem jednak czasie zmęczyło go to widać i znudziło, gdyż oddał się przepisywaniu, pozostawiając memoriał, jak mówił, na potem, do stosowniejszej pory. Dość że, chociaż dawaliśmy mu wprawdzie łatwe do przepisywania rzeczy i sporo przeszło czasu, nim się w to wdrożył, chociaż nie obeszło się bez omyłek i namarnował tyle papieru, co początkujący poeta, do niedzieli zarobił dziesięć szylingów. Nie zapomnę nigdy zadowolenia, z jakim zmieniał w pobliskich sklepikach skarb

swój na sześciopensowe monety. Ułożywszy pieniądze w kształt serca na największej, jaka się znalazła, tacy, podał ciotce ze łzami rozrzewnienia i dumy. Zdawało się, że przekonanie, iż się stał użytecznym, działa nań magicznie. Jedno pewne – w dniu owym to biedne i wdzięczne stworzenie było najszczęśliwszym pod słońcem człowiekiem, który uważał ciotkę swoją za najznakomitszą w świecie kobietę, mnie zaś za najznakomitszego młodziana.

– Nie umrzemy teraz z głodu, nie umrzemy – upewniał ściskając mi dłonie. – Ja będę na nią pracował – dodawał klaszcząc w ręce.

Traddles zdawał się być nie mniej zadowolony. Nagle wyjmując list jakiś z kieszeni, zawołał:

– O mało nie zapomniałem zlecenia pana Micawbera.

Pan Micawber nie pomijał nigdy sposobności pisywania listów. Ten, zaadresowany do mnie, nosił nadto na kopercie napis: *Przez grzeczność Pana T. Traddlesa, Esquire.*

List brzmiał, jak następuje:

Kochany Copperfieldzie! Domyślasz się zapewne, że w położeniu mym zejść musiała jakaś zmiana, mówiłem ci bowiem, przy ostatnim naszym spotkaniu, że oczekuję zmiany pomyślnej z dnia na dzień. Właśnie zamierzam osiąść w jednym z prowincjonalnych miast naszej błogosławionej wyspy. W społeczeństwie tamtejszym żywioł rolniczy miesza się z żywiołem duchownym; co do mnie, zawód mój ściśle związany będzie z nauką. Pani Micawber naturalnie towarzyszy mi wraz z potomstwem naszym. Prochy nasze kiedyś odnalezione prawdopodobnie zostaną na zgliszczach starego cmentarzyska, gdyż miejsce, o którym mówię, sławne jest od Chin do Peru. Opuszczając nowożytny ten Babilon, w którym niejedno spotkało nas niepowodzenie, opuszczając go na lata długie, jeśli nie na zawsze, tak ja, jak pani Micawber pamiętamy, że pozostawiamy tu istotę ściśle związaną z domowym naszym ogniskiem. Jeśli w wigilię naszego odjazdu zechcesz towarzyszyć przyjacielowi naszemu, Panu Traddlesowi, do naszej skromnej siedziby, wyświadczysz istotną łaskę. Temu, co pozostaje na zawsze Ci oddany, Wilkinsowi Micawber

Ucieszyłem się wieścią, że się coś wreszcie istotnie zmieniło na pomyślniejsze w życiu państwa Micawber. Dowiedziawszy się zaś od Traddlesa, że zaproszenie było na ten sam dzień, udałem się z nim razem do ich mieszkania przy Gray's Inn Road.

Mieszkanie było tak ciasne, że zastałem bliźnięta (mieli teraz po lat osiem czy dziewięć) śpiące w bawialnym pokoju, gdzie pan Micawber przygotowywał ulubiony swój napój. Przy tej sposobności miałem przyjemność odnowić znajomość z panem Micawberem młodszym, w wieku lat dwunastu czy trzynastu, obdarzonym tą szczególną ruchliwością, którą odznaczają się wszyscy niemal jego rówieśnicy. Przedstawiony też zostałem pannie Micawber, w której, wedle wyrażenia jej ojca, pani Micawber odradzała się jak feniks z popiołów.

– Kochany Copperfieldzie – wołał gospodarz domu – zastajecie nas z panem Traddlesem na wyjeźdnym, darujcie mały nieład w domu!

Oglądając się po pokoju spostrzegłem, że istotnie rzeczy były już spakowane, pak zresztą było niewiele. Winszowałem pani Micawber zmiany.

– Nie wątpię – odrzekła – kochany panie Copperfield, o pańskiej przychylności, wiem, że się pan interesuje wszystkim, co nas dotyczy. Rodzina moja może nazywać to wygnaniem, jeśli się jej tak podoba, lecz matką jestem i żoną i nie opuszczę, nie, nie opuszczę nigdy mego męża.

Traddles, wezwany na świadka spojrzeniem pani Micawber, potwierdził to skinieniem głowy.

– Takie jest zresztą moje zapatrywanie się na rzeczy – ciągnęła – od chwili, kiedym przed ołtarzem ślubowała: „Ja, Emma, biorę sobie ciebie, Wilkinsa”.

Nie dawniej jak wczoraj wieczorem odczytywałam słowa małżeńskiej przysięgi i przysłałam do wniosku, że nie opuszczę nigdy mego męża. Tak, chociażby zapatrywanie się moje na słowa przysięgi było błędne, powtarzam, nie opuszczę go nigdy.

– Kochanie – przerwał jej zniecierpliwiony małżonek. – Zdaje mi się, że cię nikt o nic podobnego nie posądza.

– Wiem o tym, panie Copperfield – ciągnęła dalej – że drogi moje wiodą mnie teraz na obczyznę, a i to wiem, że liczni członkowie rodziny mojej, którym pan Micawber listami oznajmił o naszym postanowieniu, nie raczyli nam nawet odpowiedzieć. Jestem może przesądna, lecz nabrałam przekonania, że pan Micawber jest skazany na nieotrzymywanie odpowiedzi na mnogie listy, które rozpisuje na wsze strony. Milczenie rodziny mojej jest jasnym dowodem, że nie pochwała ona naszych zamysłów, lecz to mnie nie zawróci z drogi obowiązku. Nie dokazaliby nawet tego papa mój i mama, gdyby jeszcze żyli.

Ośmieliłem się zauważyć, że miała zupełną w tym słuszność.

– Nie bez ofiary – ciągnęła – przyjdzie mi się zagrzebać w diecezjalnym mieście, nie bez ofiary, tym cięższej jeszcze dla człeka z takimi, jak mąż mój, zdolnościami.

– O! Osiedlacie się państwo w diecezjalnym mieście? – zawołałem.

Pan Micawber, częstując nas gotowym już ponczem, odrzekł:

– Tak, w Canterbury. Umówiłem się z przyjacielem naszym, Heepem, przy którym spełniać mam zaszczytny obowiązek zaufanego sekretarza.

Zdziwienie moje zdawało się bawić nieskończenie pana Micawbera.

– Przyznać muszę – mówił – że przy omawianiu tego interesu wielce pomocne mi były rozwaga i przenikliwość mej żony. Rękawica, o której niegdyś, jeśli to sobie przypominacie, panowie, żona moja mówiła, została rzucona i podjęta przez przyjaciela naszego, pana Heepa. O! Przyjaciel ten nasz posiada znakomicie bystry umysł! Szanuję go niesłychanie. Pan Heep nie ustalił wprawdzie ostatecznej cyfry wynagrodzenia za pomoc, do jakiej mnie wzywa, lecz zrobił już wiele ratując nas w smutnym obecnym naszym położeniu. Honoraria pozostaną w wysokości położonych zasług. O, zasług! Nie chwaląc się, przyznać sobie muszę niepospolite zdolności, które złożę na ołtarzu obowiązku, wdzięczności i przyjaźni. Posiadam już pewną znajomość prawa, występowałem bowiem w niejednym cywilnym procesie, mam. zresztą zamiar wziąć się niezwłocznie do komentowania jednego z najświetniejszych naszych jurystów. Zbytecznym jest dodać, że mam na myśli pana Blackstone.

Rozważania te przerywane były uwagami pani Micawber, skierowanymi do młodego pana Micawbera. Siedział z podwiniętymi nogami, rozpierał się na stole, popychał pod stołem Traddlesa, deptał po nogach lub własne swe piszczele wyciągał tak daleko, jak gdyby wcale nie należały do niego. Włosy mu opadały aż w kieliszek, słowem, wydarzały mu się ustawicznie szczególniejsze jakieś, bacznym okiem matki pochwycone wypadki. Młody Micawber uwagi te przyjmował nader kwaśno, co zaś do mnie, podziwiałem zamiary pana Micawbera, nie rozumiejąc dobrze, do czego go dowieść mają. Wreszcie pani Micawber sprawę tę wyjaśniła.

– Gdy zaklinałam męża – rzekła – by działał rozważnie, miałam na myśli nie tę niższą gałąź prawną, lecz same wierzchołki olbrzymiego dębu, przekonana bowiem jestem, że mąż mój, gdy raz wstąpi w szranki tak odpowiednie swym uzdolnieniom, niebawem dojdzie wysoko, zostanie... jak to, panie Traddles, wyrazić? ...zostanie sędzią lub kanclerzem. Wszak droga, na jaką mąż mój obecnie wchodzi, nie zamyka drogi do tych zawodów?

– Kochanie – przerwał mąż jej spoglądając też na Traddlesa – mamy dość jeszcze czasu na rozstrzygnięcie podobnych kwestii.

– Mylisz się, mężu – odrzekła stanowczo – i największą twą wadą jest to właśnie, że nie bywasz dostatecznie przezorny. Jeśli nie dla siebie, to dla rodziny swej winienesz opierać wzrok na ostatnim punkcie horyzontów, jakie ci twoje otwierają zdolności.

Pan Micawber odkaszlnął, z wyrazem zupełnego zadowolenia połknął kilka haustów ponczu, spoglądając przy tym ciągle na Traddlesa, jak gdyby go pytał o zdanie.

– Rzecz w tym... – zaczął Traddles łagodnie. – Rozumiem praktyczną, że tak powiem, stronę kwestii.

– Właśnie tak! – potwierdziła pani Micawber. – Tak, kochany panie, i ja jestem przede wszystkim praktyczna w kwestiach tej wagi.

—Otóż praktyczną stroną jest, jeśli by nawet pan Micawber był adwokatem...

– Właśnie tak – potwierdziła pani Micawber i zwracając się do syna dodała:

– Wilkins, oczy kosisz, zobaczysz, że ci się na dobre skrzywią.

– ...nie miało to by nic wspólnego z sędziostwem czy czymś podobnym – kończył Traddles. – Tylko że dla jurystów drogi te stoją otworem, a pan Micawber nie może zostać jurystą, nie odbywszy na uniwersytecie pięcioletnich studiów...

– Więc zrozumiałam pana – przerwała mu pani Micawber z powagą – zrozumiałam, że po upływie tego właśnie czasu mąż mój może zostać sędzią lub kanclerzem. Czy tak?

– Mógłby zostać, jeśli go wybiorą – odrzekł Traddles kładąc nacisk na ostatnie słowo.

– Dziękuję panu – rzekła pani Micawber. – Doskonale rzecz tę rozumiem, a sumienie moje najzupełniej już jest zaspokojone tym, że wchodząc w nowy zawód mąż mój nie nadużyje przywileju. Mówię naturalnie jako kobieta i nie wyrażam się może dość ściśle, lecz byłam zawsze tego zdania, iż mąż mój posiada w najwyższym stopniu te właśnie zdolności, które nieboszczyk papa mój, gdym była jeszcze w domu, uznawał za najważniejsze... tak właśnie, za najważniejsze. Obecnie mąż mój wchodzi w zawód, w którym te wrodzone przymioty rozwiną się i szybko wysadzą go na przodujące miejsce.

Przy słowach tych pan Micawber wyglądał tak zupełnie, jak gdyby się już widział w kanclerskim fotelu. Potarł ręką łysinę i odezwał się z westchnieniem skromnej rezygnacji:

—Niepotrzebnie, kochanie, sprzedamy wyroki Opatrzności. Jeśli mam przywdziać perukę, to istotnie, fizycznie mówiąc, przygotowany jestem do tego należycie. Nie oplakuję też zbytecznie utraconych kędziorów. Przyroda najlepiej wie, co robi. Przejdźmy do innego przedmiotu. Syna mego, kochany Copperfieldzie, przeznaczam do stanu duchownego. Wyznam, że marzę dla niego o purpurze lub fioletach.

– Do stanu duchownego? – powtórzyłem mając ciągle w myśli Uriaha.

– Tak jest. Pyszny ma głos, zaczniesz karierę od śpiewania w chórach. Osiedlenie się nasze w diecezjalnym mieście, stosunki, jakie tam nawiążemy, ułatwią mu to znakomicie.

Spojrząwszy na młodego Micawbera zauważyłem, że głos jego był niby wypisany na jego czole, huknął nam tedy wesołą piosenkę. Powinszowawszy mu talentu wróciliśmy do uprzedniej rozmowy. Miałem myśl tak zaprzątą własnymi mymi kłopotami, że aż się zwierzyłem z nich pani Micawber. Nie potrafię nawet wyrazić radości obojga tych państwa na wieść o ruinie mej ciotki. Wprawilo to ich w wyborny humor, zdwoiło też zresztą i oznaki przyjaźni, jakimi mnie obsypywali.

Gdy poncz był już niemal na wyczerpaniu, zwróciłem się do Traddlesa mówiąc, że nie wypada nam pożegnać naszych przyjaciół, nie wychyliwszy toastu na cześć ich powodzenia. Pan Micawber nalał resztkę w kielichy, uściskaliśmy sobie ręce i z kolei ucałowałem panią Micawber składając jej najlepsze nasze życzenia wszelkiego dobra. Traddles, idąc za moim przykładem w pierwszym wypadku, w drugim powstrzymał się od demonstracji, nie usprawiedliwiony tak starą, jak moja z panią Micawber, znajomością.

– Kochany Copperfieldzie – podjął pan Micawber powstając z miejsca, oba wielkie palce trzymając założone w kieszonki kamizelki – kochany Copperfieldzie, towarzyszu mej młodości, i ty, wielce szanowny przyjacielu mój, Traddlesie! Pozwólcie, abym w imieniu własnym, tu obecnej żony mej, potomstwa naszego złożył wam najgorętsze podziękowanie za dobre życzenia, jakimi nas obdarzać raczyliście w przeddzień wyjazdu i rozstania – pan Micawber mówił tak, jak gdyby wyjeżdżał za ocean! – Rozpoczynamy nowe życie. U progu nieznannej przyszłości pozwolę sobie zrobić parę pożegnalnych uwag tu obecnym młodym moim przyjaciołom. Wszak powiedziałem już wszystko, co powiedzieć miałem! Jakiej bądź dosięgnę w nowym moim zawodzie pozycji socjalnej i towarzyskiej, za pośrednictwem uczonego tego ciała, którego zostaję niegodnym członkiem, od sztandaru mych zasad nie odstąpię nigdy,

sztandarem tym, niby królewskim baldachimem, pokryję głowę wiernej towarzyszki mego życia, tu obecnej pani Micawber. Nie! Nie zarumień! się ona nigdy za swego męża. Wobec chwilowego nacisku pieniężnego niedostatku, zobowiązań powziętych z zamiarem natychmiastowego wywiązania się z nich – czemu, niestety, przekorne przeszkadzały mi losy – zmuszony byłem nieraz nadziewać maskę niezgodną z przyrodzonym mym. usposobieniem. Mówię tu o tych okularach i przezwisku, do którego nie roszczę prawnych pretensji. Wszystko to dziś minęło, rozpierchło się jak chmury pod zwycięskiego słońca promieniem. Od dziś za tydzień stopy me deptać będą rodzinną mą ziemię, a czoło ozdobi własne me nazwisko – Micawber!

Wygłosiwszy szumną tę mowę, gospodarz domu usiadł na poprzednim swym. miejscu, łyknął szklanę ponczu, po czym dodał z namaszczeniem:

– Jedno mi jeszcze pozostaje do spełnienia, zanim godzina rozstania wybije, a tym. jest wymiar sprawiedliwości. Przyjaciół mój, tu obecny pan Traddles, dwa razy użył mi swego nazwiska i podpisu. W obu wypadkach zdarzyło się to w pamiętnych dla mnie okolicznościach. Po raz pierwszy pan Traddles wprowadzony został, pomimo swej wiedzy, w pułapkę.

Termin drugiego zobowiązania nie upłynął jeszcze. Pierwsza suma wynosiła, jeśli mnie pamięć nie myli, dwadzieścia trzy funty, cztery szylingi i dziewięć i pół pensa. Czy tak? Drugie zobowiązanie jest na osiemnaście funtów, sześć szylingów i dwa pensy. Wszak się nie mylę? Obie te sumy, razem dodane, wyniosą, zdaje mi się, czterdzieści jeden, dziesięć i jednaście i pół? Przyjaciół mój, Copperfield, zobowiąże mnie, jeśli zechce sprawdzić rachunek. Uczyniłem to chętnie.

– Wyjazd ze stolicy – ciągnął pan Micawber – bez uiszczenia się z długu zaciągniętego u szlachetnego przyjaciela obarczyłby mnie ciężkim wyrzutem. Przygotowałem tedy odpowiedni dokument. Oto jest weksel na czterdzieści jeden, dziesięć i jednaście i pół, opatrzony własnoręcznym mym podpisem. Teraz, gdy wszystko w porządku, sumienie mam spokojne i z pogodnym czołem w nowe wchodzę życie.

Mówiąc to, podał Traddlesowi weksel, życząc mu przy tym wszelkiego w życiu powodzenia. Przekonany jestem, że nie tylko dłużnik, lecz, kto wie, czy i nie sam wierzyciel weksel pana Micawbera i ten zadośćuczynienia. akt sprawiedliwości brali za dobrą monetę.

Czoło też pana Micawbera jaśniało niezmaconym zadowoleniem, gdy nam przyświecał, schodzącym ze schodów. Pożegnanie było nader serdeczne. Rozstawszy się z Traddlesem przed jego mieszkaniem, wracałem do domu rozmyślając o najrozmaitszych rzeczach, a między innymi o tym, co powstrzymywało pana Micawbera, że nigdy nie prosił mnie o pożyczkę? Kręty w podobnych razach, pamiętał może o tym, że jako dziecko był jego lokatorem, powierzonym niejako jego opiece? Z pewnością jednak nie miałbym siły ani możliwości oprzeć się jego propozycjom, jeśliby się na takowe kiedy zdecydował. Wiedziałem o tym i pewien jestem – a niech mu to służy jako dobre świadectwo – że sam on wiedział o tym lepiej jeszcze ode mnie.

ROZDZIAŁ XXXVII NIECO CHŁODNEJ WODY

Prowadziłem od tygodnia nowe życie i pracowałem trwając w mocnym postanowieniu, gdy uczułem, że zbliżam się do jakiegoś zwrotnego punktu. Chodziłem ciągle nadzwyczaj szybko, sądząc, że mnie to zbliża do celu; pracowałem może nawet nad siły, kochałem się w ofiarach wszelkiego rodzaju i miałem nawet poważny zamiar skazać się na dietę, żywić się samymi jarzynami, myśląc, że i w ten sposób poświęcać się będę dla Dory.

A Dora, moja mała, kochana Dora, niczego się nie domyślała z lakonicznych wzmianek w moich listach. Tak dobiegliśmy do następnej soboty. Wieczorem tego dnia wybierała się właśnie do panny Mills, gdzie miałem się zjawić natychmiast po wyjściu pana Millsa do klubu, o czym miała mi oznajmić klatka wystawiona w środkowym oknie salonu.

Osiedliliśmy się tymczasem na dobre przy Buckingham Street, a pan Dick uszczęśliwiony był przepisywaniem. Ciotce udało się pokonać panią Crupp wyrzuceniem za okno pułapek zastawionych przez gospodynię na schodach, a uczyniła to nie szczędząc gorzkich wymówek, i pani Crupp poczuła się zniewolona do pewnych ustępstw. Pozostawała odtąd w głębi swej kuchni, przekonana, że ciotka nie jest przy zdrowych zmysłach. Lecz że ciotka moja okazywała najzupełniejszą obojętność na opinię pani Crupp lub czyją bądź, pani Crupp zmykała przed nią, kryjąc się w najciemniejsze kąty, co znów sprawiało ciotce istotną satysfakcję. W celu spłoszenia jej wychodziła często bez potrzeby na schody lub korytarz, i to wówczas, gdy wiedziała, że spotkać może gospodynię.

Ciotka, lubiąca ład i czystość, wniosła w gospodarstwo moje taki porządek, że się zdawać mogło raczej, żem się wzbogacił, niż zbiedniał. Spiżarnię zmieniła w gabinet dla mnie, wzbogaciła mnie elegancką pościelą, która się na dzień kryła w szezlongu, na którym sypiałem w nocy, otoczyła mnie najtkliwszym staraniem i nawet biedna moja matka nie potrafiłaby czuć lepiej nade mną i otaczać tylu pieczyotami.

Peggotty uważała sobie za zaszczyt współzawodniczyć w tym z ciotką, darzącą ją pełnym zaufaniem. Musiała jednak wracać do Yarmouth; powoływały ją tam obowiązki względem bratanka.

– Bywaj mi zdrowa, Barkis – rzekła na pożegnanie ciotka. – Kto by powiedział, że mi tak żal będzie rozstawać się z tobą. Bądź mi zdrowa!

Odprowadziłem Peggotty na stację dylizansów. Płakała żegnając mnie i, jak niegdyś Ham, polecała nieobecnego brata mej przyjaźni. O panu Peggotty, od odjazdu jego, żadne nie dobiegały nas wieści.

– A teraz, Davy, moje kochanie – rzekła na odjeźdźnym – jeśli byś miał jakieś wydatki lub potrzebował pieniędzy, pamiętaj, że się mnie należy pierwszeństwo, pamiętaj, kochane moje dziecko własnej mej, dobrej pani!

Pomimo całej mej niezależności upewniłem ją, że jeśli bym potrzebował kiedy pożyczki, to do niej się udam, i wiem, że zapewnienie to ucieszyło ją tak, jak gdyby wręczyła już mi jakąś sporą sumę.

– I powiedz, Davy, moje kochanie – ciągnęła – powiedz temu swemu aniołkowi, ślicznotce swojej, jak pragnęłabym ją widzieć choć przez mgnienie oka.

Powiedz jej, że przed waszym ślubem, jeśli mi pozwolisz, przyjadę tu, aby ci na przyjęcie żony wystroić dom co się zowie.

Upewniłem ją, że to należy do niej i że nikt inny nie mógłby ubiec jej w tym względzie. Odjechała uspokojona i szczęśliwa.

Tysiąc mi się przez dzień cały, gdy siedziałem w Commons, układało w głowie projektów. Wieczorem, o naznaczonej godzinie, przechadzałem się pod oknami panny Mills. Pan Mills miał fatalny zwyczaj sypiać po obiedzie, toteż klatka nie zjawiała się w środkowym oknie salonu.

Trzymał mnie tak długo w oczekiwaniu tego wieczoru, że mu z całego serca życzyłem, by za spóźnienie się został w swym klubie skazany na zapłacenie kary. Wszedł wreszcie, ujrzałem Dorę we własnej osobie, wywieszającą u okna klatkę. Po chwili wychyliła się z balkonu, dostrzegłszy zaś mnie, wbiegła do salonu pozostawiając Jipa ujadającego z góry na olbrzymiego psa, który by mógł go zdusić jednym poruszeniem łapy.

Czekała mnie w drzwiach; Jip ujadał teraz na mnie, pokazując mi zęby jak rozbójnikowi. Weszliśmy wszyscy troje do salonu w najlepszej harmonii. Harmonię tę spłoszyłem pytając nagle Dorę, czy zdolna będzie kochać nędzarza.

Biedna moja mała Dora! Nędzarsz był to dla mej żebrak o żółtych, zapadłych policzkach, drewnianym szczudle, z psem o najeżonej sierści i z woreczkiem w pysku. Roześmiała się z mego pytania.

– Co za myśl! – zawołała. – Kochać żebraka!

– Doro! Luba! – rzekłem. – Ubogi jestem.

– Jak można być czymś tak niedorzecznym? – mówiła wydymając usteczka. – O, niedobry! Opowiadasz nam takie brzydkie rzeczy! Każę Jipowi ukąsić cię, niedobry!

Rozkoszna była! Musiałem jednak otworzyć jej oczy i powtórzyłem z największą powagą:

– A jednak prawdę mówię, straciłem wszystko.

– Jip, ugryź go, niech przestanie dziwaczyć! – zawołała Dora wstrząsając lokami.

Wyglądałem tak poważnie, że po chwili przestała jednak potrząsać lokami, położyła rękę na mym ramieniu, skrzywiła usteczka i rozplakała się na dobre. Straszne to było! Upadłem przed nią na kolana, błagając, by nie rozdierała mi serca; lecz Dora nie była w stanie zrozumieć mnie, szlochała wołając: „Och! Co za nieszczęście!” i jakże ją nastraszyłem. Gdzie Julia Mills? Chciała Julii Mills? A ja? Ja miałem odejść sobie i nie wracać już nigdy.

Wreszcie tysiącem próśb i zaklęć skłoniłem ją, że podniosła wzrok na mnie. Wzrok to był zrazu wystraszony, pomału jednak, wywołane najczulszymi pieszczotami, zapalały się w nim iskry tkliwości. Wsparta główkę na mych piersiach, otoczyłem ramieniem jej kibić i opowiedziałem jej, jak ją bardzo, nade wszystko kocham, a pomimo to, zostawszy ubogim, czuję się w obowiązku zwolnić ją z danego mi słowa. Mówiłem, że nie przeżyję tej straty, że mnie ubóstwo nie straszy, jeśli się ona tylko nie przełęknie, że mi ona bodźcem będzie do pracy, że myśląc o niej odważyć się mogę na najcięższe ofiary, że stałem się już praktycznym, przewidyującym człowiekiem. Mówiłem, o ile kawał zapracowanego chleba słodszy być może i

powinien od odziedziczonych bogactw i zbytków. Wymowny byłem, zwierzałem się jej z tego wszystkiego, co mi na sercu ciążyło, co mi myśl zaprzętało od chwili, w której ciotka oznajmiła mi o naszej ruinie.

– Czy kochasz mnie jeszcze, Doro?! – zawołałem czując dobrze, że jej serce bije dla mnie.

– O tak! Kocham! – rzekła. – Nie strasz mnie tylko.

Ja! Ja ją straszyc miałem!

– Nie mów mi o ubóstwie, o tej ciężkiej pracy – szeptała tuląc się do mnie.

– Najdroższa moja! Chleb zapracowany..

– O! Wiem, lecz nie chcę słuchać o tym chlebie. Jip musi mieć przecie co dzień o południu kawał pieczonej baraniny. Zdechłby biedaczek.

Zachwycony byłem jej naiwnością i wdziękiem pieszczotliwym. Upewniłem, że nie pragnąłem śmierci Jipa i że praca moja zapewni mu baraninę, do której przywykł. Kreśliłem obraz szczęśliwego, skromnego bytowania, opisywałem domek w Highgate, z pokojem na górze dla ciotki.

– Czy cię straszę teraz, Doro? – spytałem.

– O nie! Nie straszysz mnie już – mówiła – ale ciotka, spodziewam się, najczęściej będzie przesiadywać w swym pokoju! Nie jest starą gderaczką, prawda?

Kochałem. Dorę szalenie, lecz zauważyłem, że jest raczej niepraktyczna, i bolało mnie, że nie mogłem przelać w nią mego zapachu. Nie dawałem jednak za wygraną. Gdy się zupełnie uspokoiła i zaczęła bawić się targaniem uszu leżącego na jej kolanach Jipa, ozwałem się z wielką powagą:

– Chcę ci jeszcze coś powiedzieć, najdroższa!

– Byle nie o tych praktycznych rzeczach – odpowiedziała grymasząc – to mnie straszy!

– Duszko – rzekłem – nic w tym nie ma strasznego. Chciałbym właśnie, abyś się na to inaczej zapatrywała, abyś była dzielna i odważna.

– Och! To takie brzydkie.

– Mylisz się, najdroższa! Wytrwałość i silna wola pozwalają nam znosić o wiele gorsze rzeczy.

– Ależ ja nie mam wytrwałości ani silnej woli – wyznała wstrząsając lokami. – Jip! Ty wiesz, że nie! Pocałuj Jipa i nie mówmy już o tym.

Jakże tu było nie pocałować Jipa, gdy mi go podnosiła, nadstawiając zarazem pasowe swe usteczka. Jakże tu było nie pocałować Jipa, w sam nosek, jak tego chciała? Spełniłem jej życzenie, licząc na nagrodę, której mi też udzielono. Nie wiem już, gdzie się podziała cała powaga, w którą się zbroiłem! Przypomniałem ją sobie po jakimś czasie i rzekłem:

– Ale, Doro! Luba! Chciałem ci coś jeszcze powiedzieć.

Najsurowszy pustelnik padłby jej ofiarą, widząc, jak składa rączęta, abym jej znów nie przestraszył.

– Nie, nie będę cię straszył – upewniałem – chcę tylko, abyś czasem, choć rzadko, myślała o tym, żeś się związała słowem z człowiekiem bez funduszu...

– Dostyc, dostyc! – wołała. – Boję się tego!

– Nie masz się czego obawiać – upewniłem. – Chcę cię po prostu prosić, abyś, pomnąc na to, przykładała się nieco do domowego gospodarstwa, nauczyła się na przykład prowadzić rachunki.

Westchnęła i skrzywiła się. Biedna moja mała!

– Przyda to nam się kiedyś bardzo – ciągnąłem. – Gdybyś coś obiecała mi przestudiować, choć jedną kucharską książkę, uszczęśliwiłabyś mnie nieskończenie. Widzisz, Doro, luba, droga naszego życia nie jest równa i szeroka, musimy wiele usunąć z niej cierni, wywalczyć sobie szczęście, przełamać wiele trudności.

Dużo miałem jej jeszcze do mówienia o tym, lecz mi nie dała. Wystraszyła się znów. Gdzież była Julia Mills! Och! Ona chciała Julii Mills! A ja? Ja mogłem iść sobie i koniec.

Głowę traciłem, biegnąc tam i z powrotem po salonie. Możem ją zabił! Tak była blada! Spryskałem jej twarz wodą, padłem przed nią na kolana, rwałem włosy na głowie, czyniąc sobie najstraszniejsze wyrzuty. Błagałem ją o przebaczenie, o jedno chociażby spojrzenie. Przewróciłem całe pudełko z robotą panny Mills, szukając flakoniku z solami. Zamiast soli porwałem igielnik i zasypałem Dorę igłami. Pokazywałem pięści Jipowi, który się rzucał na mnie jak wściekły, słowem, straciłem głowę i popełniałem tysiące niedorzeczności. Nadeszła wreszcie panna Mills!

– Kto to uczynił? – zawołała niosąc pomoc przyjaciółce.

– Moje to dzieło – odrzekłem. – Ja to jestem tym zbrodniarzem, potworem! – mówiąc to, zagrzebałem twarz w poduszkach kanapy.

Zrazu panna Mills posadziła nas o sprzeczkę i o błąkanie się, jak mawiała, na piaskach Sahary, lecz dowiedziała się wkrótce prawdy, gdyż Dora rzuciła się jej ze łzami na szyję, wołając: „Ubogi! Wyrobnik!” Z kolei mnie się rzuciła na szyję, mówiąc, że mi odda wszystkie, jakie ma pieniądze, po czym płacząc i łkając wróciła w objęcia przyjaciółki.

Panna Mills urodziła się na to, by zostać naszym dobrym aniołem. Uspokoiła i pocieszyła Dorę, przekonała ją, że wyrobnikiem nie jestem – a zdaje mi się, że biedactwo to moje wyobrażało już sobie, że zostałem tragarzem lub czymś podobnym! Rozproszywszy tak wszelkie nieporozumienia, zajęła się herbatą, Dora zaś wyszła przemyć oczy wodą różaną. Zapewniłem pannę Mills o mej dozgonnej przyjaźni i wdzięczności, opowiadałem jej z kolei to, com tak niefortunnie usiłował być przedłożyć Dorze. Panna Mills, nader praktyczna osoba, zgodziła się ze mną najzupełniej, że chatka z ukochaną istotą więcej jest warta od chłodnych pałaców, że miłość jest wszystkim, wszystkim...

Któż to lepiej mógł wiedzieć ode mnie! Któż mógł .kiedy bądź kogo bądź kochać tak, jak kochałem Dorę! Na tę wyłączność panna Mills zgodzić się nie mogła i nie chciała; musiałem tedy wyznać, że miarę tę stosuję tylko do zdolności kochania brzydszej i silniejszej połowy ludzkości.

Oddałem się też pod sąd pannie Mills, czy mogłem obrazić lub wystraszyć Dorę wzmiankując o konieczności wprawiania się w gospodarstwo domowe, prowadzenie rachunków i przeczytania choć jednej kucharskiej książki.

Panna Mills odezwała się dopiero po głębokim namyśle :

– Szczera będę z panem, panie Copperfield! Częstokroć cierpienie i zawody zastępują doświadczenie lat sędziwych, toteż dziś już mogę być szczera i otwarta jak sama ksieni kanoniczek...

Westchnęła.

– Nie – ciągnęła po chwili smętnej zadumy. – Wymagania pańskie niestosowne są dla Dory. Dora nasza – to dziecię wiosny i słonecznych nadziei. Zapewne dobrze byłoby, jeśliby się mogła zająć prozaiczną tą stroną życia, zapewne, lecz...

Tu potrząsnęła wątpiaco głową.

Ośmielony szczerością panny Mills, spytałem ją, czy przez przyjaźń dla Dory i wzgląd na przyszłość nie zechce w tym właśnie kierunku wywrzeć niejakiego wpływu na Dorę. Zgodziła się na to chętnie i ośmieliłem się pieczy jej polecić kucharską książkę. Jeśliby mogła z czasem, nie zrażając Dory, skłonić ją do zaznajomienia się z tą arcyprozaiczną, lecz arcypożyteczną literaturą, oddałaby mi istotną usługę. I do tego zobowiązała się dobra panna Mills, bez zbytniego wszelako zapału.

Jednocześnie Dora wróciła do salonu, a wyglądała tak prześlicznie, że trudno było przypuszczać, iż przed chwilą lała gorzkie łzy rozpaczy. Okazywała mi tyle miłości, była tak czarująca, zwłaszcza każąc służyć Jipowi przed grzaneczką, a potem, za karę, zanurzając mu nosek w filiżance herbaty, iż zdawało mi się, żem był potworem, zakłócając pogodę jej umysłu i ciała.

Po herbacie przyniesiono harfę i Dora śpiewała francuską ulubioną swą piosenkę o tym, że niemożliwością jest zaprzestać kiedykolwiek tańców.

„La-ra-la! La-ra-la!” – śpiewała moja luba, a mnie sumienie coraz żywiej wyrzucało moje barbarzyństwo.

Raz jeszcze przed moim odejściem zachmurzyło się tego wieczoru niebo mej szczęśliwości. Nieszczęście chciało, wspomniałem coś, że przy tylu zajęciach wstawać muszę o piątej rano. Uderzyło to wyobraźnię Dory. Przedstawiłem się jej znów jako wyrobnik, może jako stróż nocny, gdyż posmutniała, nie chcąc więcej grać ni śpiewać.

Gdym ją żegnał, rzekła mi z milutkim swym grymasem (tak przemawiać miała zwyczaj do swych lalek i do Jipa):

– Proszę mi nie wstawać o piątej, brzydki, niegrzeczny chłopcze. Nie ma w tym sensu.

– Tyle mam pracy, najdroższa!

– Ale ja nie pozwalam – tupnęła nóżką. Niepodobna było powiedzieć wręcz tej rozkosznej, rozbawionej dziewczynie, że praca potrzebna była nam do życia.

– Bredzisz! Bredzisz! – wołała.

– Jakżebyśmy sobie poradzili bez pracy? – spytałem.

– Byle jak – odrzekła z niezmaconym spokojem. Sprawa cała, jej zdaniem, załatwiona była, zapieczętowała ją zaś tak słodkim całusem, że za żadne w świecie skarby nie odważyłbym się trwożyć więcej tej niewinnej duszyczki.

Po co! Kochałem ją i miłość moja wzmagala się z każdym dniem, tylko wobec trudności piętrzących się na mojej drodze ręce już mniej gorąco rwały mi się do dźwigania życiowych ciężarów. Nieraz wieczorem, siadając naprzeciw mej ciotki, przypominał mi się przestach Dory i wyobrażałem sobie, czy czasem pobrzękując po strunach gitary nie łatwiej niż z łomem i siekierą w rękę przedzierać się przez najeżonyi przeszkodami las życia? Rozmyślałem o tym i zdawało mi się, że głowę mą przysypuje szron siwizny.

ROZDZIAŁ XXXVIII ROZWIĄZANIE SPÓŁKI

Nie ostygłem w zamiarze odnoszącym się do posiedzeń parlamentarnych. Owszem, kułem żelazo na gorąco, pracując z prawdziwym godnym podziwu wytrwaniem. Nabyłem za cenę sześciu pensów praktyczną metodę stenografii i zatopiłem się w badaniu jej tajemnic, które mnie po kilku tygodniach doprowadziły do zupełnego zamętu myśli. Kropki, cętki, pałeczki, oznaczające raz to, drugi raz tamto, znaczenia zygzaków – wirowały mi w myśli na jawie i we śnie. Gdym się już przedarł przez te zawikłania i opanował alfabet przypominający przybytek egipskich tajemnic, zjawiały się orszaki nowych trudności w postaci tak zwanych znaczników. Okropne to było do opanowania. bo coś w rodzaju środka pajęczyny oznaczało „oczekujmy”, a coś w kształcie rakiety – znaczyło „niegodny”. Gdy mi się wreszcie udało zapamiętać i te szczegóły, dostrzegłem, że zapomniałem wszystkiego, czego się przedtem tak pracowicie wyuczyłem, a rozpoczynając znów od początku, zapomniałem dalszego ciągu, i tak dalej, i tak dalej. Doprowadzało to mnie do rozpacz.

Zupełnie bym też upadł na duchu, gdyby mi Dora nie była kotwicą na wzburzonym i trudności pełnym morzu żywota. Każdy krok naprzód zbliżał mnie do niej; posuwałem się tedy odważnie, wytrwale i po trzech czy czterech miesiącach rozpaczliwej walki Spróbowałem sił swoich w Izbie Gmin, na odezwie głośnego mówcy. Czy potrzebuję mówić, że mówca wyprzedzał mój ołówek, pozostawiając mnie w przekonaniu, że stracił czas na darmo!

Próżno! Nie poradziłem z tym sobie, mierzyłem za wysoko. Uciekłem się do Traddlesa i ten wniósł projekt dyktowania mi przemówień, stosując się do niewprawnego mego ołówka. Z wdzięcznością przyjąłem przyjazną tę usługę i odtąd co wieczór, po powrocie z Commons, otwieraliśmy przy Buckingham Street, w szczupłej izdebce parlamentarnej narady.

Gdyby to wszędzie podobne być mogły parlamenty! Ciotka i pan Dick, stosownie do potrzeby, przedstawiali rząd lub opozycję, a Traddles, przy pomocy sporego tomu przeróżnych mów, grzmiał przeciw nim, w proch ich rozbijał. Stół przedstawiał mównicę. Palcem przytrzymując stronicę księgi, drugą podnosząc rękę, Traddles, na przemiany Pitt, Fox, Sheridan, Burke, lord Castlereagh, wicehrabia Sidmouth lub Canning, rzucał najstraszniejsze oskarżenia przeciw ciotce i panu Dickowi. Siedząc opodal, z kajetem w ręku, starałem się dogonić jego słowa. Ciotka podobna bywała do samego kanclerza, tak z powagi, jak z krótkich wykrzykników: „Och! Nie! Tak!”, które stosowały się do tego, co słyszała, i które pan Dick powtarzał niechybnie i natychmiast. Na biednego pana Dicka spadały takie oskarżenia, takie odpowie-

działności, że czasem wyglądał przerażony, jak gdyby istotnie knuł spiski przeciw narodowym swobodom, angielską naruszał konstytucję i gotował ojczyźnie zgubę.

Nieraz bijąca dopiero północ i dopalające się w lichtarzach świece przerywały gorące te parlamentarne debaty, a rezultatem ich była wprawa moja. Mogłem już doganiać mowę Tradlesa i spocząłbym na laurach, gdyby nie to, że chcąc odczytać z trudem takim zebrane notatki, znalazłem się wobec nieprzeniknionych zagmatwań. Było to zupełnie tak, jak gdybym pracowicie i wiernie skopiował był chińskie napisy z pudeł do herbaty lub połyskujące złotem etykiety na zielonych i czerwonych butlach aptekarskich.

Nie było rady! Raz jeszcze trzeba było rozpocząć wszystko od samego początku i rozpocząłem na nowo, wszelkich dokładając starań, by zrozumieć i zapamiętać. Nie zaniedbywałem przy tym ani kancelarii, ani Commons i pracowałem, że pospolitego użyję porównania, jak koń pocztowy.

Pewnego dnia, udając się o zwykłej porze do Commons, zastałem pana Spenlow u wnijscia. Wyglądał niezwykle poważnie i mówił coś sam do siebie. Ponieważ zwykł był uskarżać się na bóle głowy – krótką miał szyję i zapracowywał się, moim zdaniem – przeląknłem się, czy nie zachorował czasem? Szybko rozproszył mój niepokój.

Zamiast odpowiedzieć ze zwykłą sobie uprzejmością na me powitanie, chłodnym zmierzył mnie okiem, prosząc z sobą do pobliskiej kawiarni, jak raz naprzeciw Commons, pod arkadą cmentarza Świętego Pawła. Udałem się za nim zmieszany, przestraszony niemal. W wąskim przejściu szedł pierwszy i zauważyłem, że niepokojąco jakoś pochylał na ramię głowę. Miałżeby Się domyślać, co zachodziło pomiędzy mną a Dorą?

Jeślibym już nawet nie domyślał się tego, idąc za nim do kawiarni, uderzyłoby to mnie jako fakt niezbity z chwilą, w której w osobnym gabinecie ujrzałem pannę Murdstone, we własnej osobie, wśród tac, na których spoczywały cytryny, oraz kilku drewnianych pudeł pełnych widelców i noży.

Panna Murdstone podała mi sztywno końce palców, pan Spenlow zamknął drzwi gabinetu, wskazał mi krzesło, sam zaś stanął, plecami obrócony do ognia.

– Niech pani z łaski swej pokaże panu Copperfieldowi to, co się znajduje w woreczku pani – przemówił wreszcie.

Woreczek ów, nieodstępny towarzysz panny Murdstone, pozostał mi pamiętnym z moich dzieciennych lat. Otwierał się i zamykał, niby gotowa kasać paszcza. Panna Murdstone, otwierając usta, wręczyła mi... ostatni mój, zapewnieniem niezmiennego przywiązania zakończony list do Dory.

– Wnoszę, że to pańskie pismo – odezwał się pan Spenlow.

Zarumieniłem się po uszy i nieswoim głosem odpowiedziałem :

– Tak, panie, moje.

– Nie myślę się też – ciągnął pan Spenlow wskazując całą paczkę listów, które panna Murdstone wyciągnęła z woreczka – sądząc, że i to wyszło spod pańskiego pióra?

Ze ściśniętym sercem wziąłem paczkę z rąk panny Murdstone, spoglądając na nagłówki listów. Brzmiały one: *Najdroższa moja Doro! Aniele mój! Ukochana i Jedyna*. Rumieniąc się pod badawczym wzrokiem pana Spenlow, twierdząco skłonić musiałem głowę.

– Nie trzeba, ślicznie dziękuję panu – rzekł pan Spenlow, skinieniem ręki odsuwając podawaną mu przeze mnie korespondencję – nie trzeba. Nie chcę pozbawiać pana tego. I cóż, panno Murdstone?

Słodkie to stworzenie oderwało wzrok od pokrywającego podłogę dywanu, przemawiając ze złośliwym namaszczaniem:

– Muszę wyznać, że od pewnego już czasu śledziłam stosunek panny Spenlow do pana Copperfielda. Powzięłam pewne podejrzenia, zaraz przy pierwszym ich z sobą spotkaniu. Nieprzyjemne wywarło ono na mnie wrażenie, a przewrotność natury ludzkiej bywa tak...

– Prosiłbym panią, panno Murdstone – przerwał pan Spenlow – o ograniczenie się do faktów, do samych faktów.

Panna Murdstone spuściła oczy, wstrząsnęła z niezadowoleniem. głową i sztywniejac bardziej jeszcze ciągnęła oschle:

– Skoro mam się ograniczać, jak pan tego sobie życzy, do faktów, uczynię to ile się da na zwięźlej, jeśli się to tak panu podoba. Powzięłam tedy, jakem to powiedziała, podejrzenia pewne co do wzajemnego stosunku panny Spenlow i pana Copperfielda i niejednokrotnie usiłowałam podejrzenia te sprawdzić, opierając je na pozytywnych danych. Nie wspominałam nic o tym przed ojcem panny Spenlow, wiedząc, jak w podobnych razach nakazywane przez obowiązek ostrzeżenia z niedowierzaniem bywają zwykle przyjmowane.

Pan Spenlow zdawał się wystraszony powagą i surowym spojrzeniem mówiącej. Starał się ją rozbroić łagodnym skinieniem ręki.

– Po powrocie moim do Norwood, po niebytności spowodowanej małżeństwem mego brata – ciągnęła dalej – i po powrocie do domu panny Spenlow, która w czasie mej nieobecności bawiła u przyjaciółki swej, panny Mills, zauważyłam pewne zmiany w zachowaniu się panny Spenlow. Zmiany te zaostrzyły uprzednie ma podejrzenia. Podwoiłam uwagę.

Biedna, biedna moja Doro! Jagnię pod smoczą opieką!

– I dopiero – kończyła – wczoraj wieczorem udało mi się pochwycić dowody. Dziwiła mnie mnogość otrzymanywanych przez pannę Spenlow od panny Mills listów. Korespondencja wydawała mi się za żywa. Ze się jednak zawiązała i trwała z upoważnienia ojca – tu nastąpiło nowe skinienie głową w stronę pana Spenlow – nie moją było rzeczą mieszać się w to czynienie. Jeśli mi już nie wolno nadmieniać o nieprawości natury ludzkiej, to co najmniej pozwolę sobie zauważyć niestosowność podobnie ślepego zaufania.

Pan Spenlow skłonił tylko głowę.

– Wczoraj zatem wieczorem, po herbacie, dostrzegłam jakieś papiery, które Jip szarpał i włóczył po posadzce. Co to za papiery? – spytałam Dorę. Panna Spenlow spiesznie obmacała swe kieszenie, krzyknęła i rzuciła się na Jipa. „Pozwól, kochanie” – zauważyłam uprzedzając ją.

Och, niegodziwy szpicu! Ty żeś nawarzył całej tej biedy!

– Panna Spenlow – ciągnęła panna Murdstone – usiłowała przejednać mnie przymilaniem się, pocałunkami, podarkami, klejnocikami. Jip wlaźł w sam kąt pod kanapę, skąd go zaledwie szczypcie od kominka wyprzeć zdołały. I wówczas jeszcze nie chciał wypuścić z zębów papieru, warczał, a gdy porwałam za papier narażając się na pokasanie, zawisł formalnie w powietrzu. Postawiłam naturalnie na swoim, a widząc, w czym rzecz, wymogłam na pannie Spenlow wydanie całej korespondencji.

Zamilkła zawierając jednocześnie woreczek i usta. Można ją było złamać, ale zgnać – nigdy!

– Słyszałeś pan, co mówiła dopiero co panna Murdstone? – spytał zwracając się do mnie pan Spenlow. – Cóż pan na to?

Obraz mojej ukochanej we łzach i niepokoju przez noc całą, samotnej, wystraszonej, skrzywdzonej, błagającej tę wiedźmę, chcącej ją przejednać pieszczotami, pocałunkami i podarkami, rozdzierał mi serce. Nie wiedziałem, co począć, usiłując zapanować nad wzruszeniem.

– To chyba odpowiedzieć mogę – począłem – że jeśli jest w tym wina, to moja tylko, a Dora...

– Panna Spenlow – przerwał mi surowo jej ojciec.

– ...uległa jedynie prośbom i namowom moim – ciągnąłem półknąwszy gorzką naukę. – Ja to błagałem ją o tajemnicę, czego obecnie wybaczyć sobie nie mogę.

– Trudno istotnie pochwalić pana – począł pan Spenlow przechadzając się tam i z powrotem po gabinecie. – Trudno! Postąpiłeś pan niegodnie, nadużyłeś mego zaufania! Przyjmując

dzentelmena, mniejsza z tym, czy dziewiętnasto-, czy dwudziestodziewięcio-, czy trzydziestodziewięcioletniego, dałem mu dowód zaufania. Nadużycie te jest czynem niegodnym, panie Copperfield.

– Wiem to i czuję – odrzekłem – lecz zamiaru tego nie miałem. Zapewnić o tym pana mogę szczerze, sumiennie, pod słowem honoru. Pokochałem pannę Spenlow...

– Ba! Głupstwo! – przerwał pan Spenlow czerwieniejąc cały. – Upraszam pana, panie Copperfield, abys o tym nie wspominał przede mną.

– Jakże i czym zdołam się tedy wytłumaczyć? – spytałem z całą pokorą.

– Nie tłumaczy to pana bynajmniej – rzekł stając przed kominkiem. – Czy policzyłeś pan swoje i mojej córki lata? Czy pomyślałeś o tym, na jaką nazwę zasługuje podkopywanie istniejącego pomiędzy córką a ojcem zaufania? Czy pomyślałeś o stanowisku, jakie córka moja zajmuje, o tym, jakie być mogą moje zamiary względem jej przyszłości? Czy zastanowiłeś się pan nad tym wszystkim?

– Istotnie, nie zastanowiłem się – odpowiedziałem z uszanowaniem i smutkiem, zarazem – lecz upewnić mogę pana, że zastanawiałem się nad własnym mym położeniem i gdy takowe panu wyjaśniłem, byliśmy już po słowie...

– Upraszam raz jeszcze pana, panie Copperfield – przerwał uderzając ręką w stół, bardziej niż kiedy bądź do Puncta podobny, pan Spenlow – upraszam raz jeszcze pana, panie Copperfield, abys oszczędzał mi wszelkich podobnych wzmianek.

Przy słowach tych rozległ się krótki, suchy, urwany śmiech skądinąd niewzruszonej panny Murdstone.

– Jedynie zmienione położenie, o którym panu mówiłem – ciągnąłem starając się wymijać wszelkie drażniące go wyrażenia – samo mnie zmusić mogło do ukrywania przez pewien czas... Odtąd wszelkich sił i woli, i energii dokładam, aby położenie to naprawić. Mam nadzieję, że mi się to uda z czasem. Niech mi pan tylko z łaski swej trochę zostawi czasu... Tak młodzi jesteśmy oboje...

– W tym to masz pan najzupełniejszą słusność – skłonił twierdząco głowa pani Spenlow. – Obojeście nader młodzi Wszystko to wierutne głupstwo, któremu raz przecie trzeba koniec położyć. Zabierz pan te listy i wrzuć je w ogień. Zwróć mi, proszę, listy panny Spenlow. Stosunki nasze, jak pan łatwo to pojmujesz, muszą się odtąd ograniczyć do samego Commons. Rozumiesz to pan, panie Copperfield, nie ma innego wyjścia. Zgódź się na to.

Nic nie rozumiałem i przystać nie chciałem. Przykro mi było, lecz działał na mnie bodziec silniejszy od rozsądku. Miłość dopominała się pierwszeństwa. Kochałem Dorę do ubóstwienia, posiadałem jej wzajemność. Nie wyrażałem tego wprost i bez ogródek, łagodziłem, jak mogłem, napomykając wszelako i nie odstępując od swego. Nie sądzę, abym był śmieszny, broniąc tak mej sprawy, a wiem, że w postanowieniach był niezłomny.

– Jeśli tak – odrzekł chłodno pan Spenlow – zwrócić muszę wszystkie me wpływy na córkę.

Panna Murdstone sarknięciem, będącym pośrodku między westchnieniem a jękiem, potwierdziła to przedsięwzięcie. Od tego nawet wypadalo zacząć.

– Spróbuję – ciągnął pan Spenlow – wpłynąć na córkę. Nie chcesz pan tedy, panie Copperfield, wziąć na powrót tych listów?

Położyłem je na stole. Prosiłem go tedy, aby nie miał mi za złe, lecz listów tych przyjąć z rąk panny Murdstone nie mogę.

– Ani z moich? – spytał pan Spenlow.

Ani z tego. Odpowiedź moja pełna była szacunku.

– Dobrze – rzekł tylko.

Nastąpiło milczenie. Nie wiedziałem, co począc: odejść czy pozostać. Poruszyłem się z miejsca i kierując ku drzwiom, miałem już wyrazić nadzieję, że postanowienia jego zmiękną

może podczas mej nieobecności, gdy przemówił trzymając rękę głęboko wpuszczoną w kieszeń:

– Wiadome jest zapewne panu, panie Copperfield, że posiadam pewien fundusz i córka moja najbliższą z całej rodziny i najukochańszą jest mi istotą?

Pośpieszyłem zapewnić go z zapalem, że miłość moja nie miała podobnych pobudek.

– Nie posądzam pana o to, panie Copperfield – odrzekł. – Owszem, lepiej byłoby dla pana i dla nas wszystkich, jeśli byś był bardziej interesowny... to jest rozsądniejszy i mniej pochopny do tych młodocianych niedorzeczności. Tak. Po prostu i w innym celu powiedzieć chciałem, że wiadomym panu być musiało, że mam fundusz, który przekażę mej córce?

– Zapewne.

– Przypatrzysz się zaś w Trybunale najrozmaitszym zawikłaniom, jakie powstają z ogólnego niemal wstępu ludzi, skądinąd najrozsądniejszych, do robienia testamentu, musiałeś pan wnioskować, że testament zrobił?

– Zapewne.

– Byłoby nie do darowania – ciągnął pan Spenlow ze wzrastającym namaszczaniem, podnosząc się na palcach i opadając na pięty, potrząsając jednocześnie głową – byłoby nie do darowania, jeśli by zamiary moje w tym względzie uzależnione były od jakiegoś przesądu. Byłoby to niewybaczonym szaleństwem i względy podobne nie powinny więcej zaważyć od pióra na szali. Winienem wszelako, jest to moim rodzicielskim obowiązkiem, ochronić córkę od następstw wszelkich nierozważnych w życiu kroków, jak na przykład niestosownego małżeństwa. Miałeś pan, panie Copperfield, dopuścić, abym zmuszony był otworzyć zapieczętowaną już kopertę i choćby najmniejszą wprowadzić zmianę w tym, co od dawna postanowione zostało?

Mówił to tak spokojnie, pogodnie, łagodnie, że się czułem niemal wzruszony. Zrezygnowany był, ale też w postanowieniach stały, poważny, niewzruszony, a przejęty nimi. Zdawało mi się, że łzy ma w oczach.

– Tymczasem – ciągnął pan Spenlow – naradz się pan, panie Copperfield, z panną Tro-wood lub z kim bądź doświadczonym i rozsądnym. Daję panu tydzień czasu.

Cóż jednak miałem począć? Miałem się wyrzec Dory i własnego szczęścia? Gdy mi zostawił tydzień do namysłu, miałem go ponownie zapewnić, że ani tydzień, ani lat tysiące w uczuciach moich nie przyniosą żadnej zmiany?

Nie było rady. Zapewniając o niezmienności mych uczuć, wyszedłem przeprowadzony ciemną ściągniętą brwią panny Murdstone. Brwią, mówię, nie spojrzeniem, gdyż brwi te najwydatniejszym były rysem jej twarzy, a wyglądała zupełnie tak, jak niegdyś, w bawialnym pokoiku w Blunderstone. Zdawało mi się, że wróciły pacholące me nauki, a myśl mą, zdolności, wyobraźnię znów dławi złowrogi wyraz brwi tych i oczu, niby czarodziejskie zaklęcie.

Gdy przyszedłem do kancelarii i po zamienieniu powitań ze starym Tiffeyem i innymi usiadłem w swym kątku rozmyślając o przepaści, co się pod moimi rozwarła stopy, i w rozpacz mej przeklinając sprawcę całej tej biedy, Jipa – taki mnie ogarnął niepokój o Dorę, że zrozumieć nie mogłem, jakim sposobem wysiedziałem na miejscu, nie porwałem za kapelusze i nie poleciałem do Norwood. Sama myśl o tym, jak ją tam dręczyć i straszyć musiano, o łzach, które nieboraczka przelewała, doprowadzała mnie do szaleństwa! Porwałem pióro i skreśliłem gorący list do pana Spenlow, błagając go, aby oszczędzał córkę i nie kazał jej pokutować za moją tylko winę. Błagałem go, by srogością nie łamał delikatnego tego, ustawicznej pielęgnacji wymagającego kwiecica. Na ogół, o ile pamiętam, list brzmiał tak, jak gdybym sam był ojcem Dory, a pan Spenlow okrutnym jakimś tyranem lub ludożercą. Zapieczętowany list położyłem na jego biurku i przez nie domknięte drzwi widziałem, jak wróciwszy rozpieczętował i czytał.

Przez cały jednak ranek nie wspomniał o tym ani słowa i dopiero wychodząc wezwał mnie i upewnił, że się niepotrzebnie troszczę o szczęście i spokój jego córki. Upewnił ją, mówił, że

wszystko to jest dzieciństwo, i poprzestał na tym. Uważał siebie – i istotnie był nim – za nader pobłażliwego i tkliwego ojca, mogłem więc oszczędzić sobie wszelkich w tej mierze niepokojów.

– Upierając się przy swoim, panie Copperfield – mówił – zmusisz mnie tylko do wysłania córki na czas pewien za granicę, oto wszystko! Lepsze jednak mam o panu mniemanie, namyślisz się i uspokoisz. Co zaś do panny Murdstone – potrafiłem bowiem, pisząc, o tę miłą damę – szanuję ją wielce i wdzięczny jej jestem za jej czujność, lecz zleciłem jej stanowczo, by nie dotykała słówkiem całego tego zajścia. Puśćmy to w niepamięć. O jedno upraszam pana, panie Copperfield, o to, abyś o tym zapomniał.

O to tylko! W kartce, którą pisałem do panny Mills, nie mogłem powstrzymać się od cytowania podobnych dzikich wymagań. Tylko tyle! Wymagano ode mnie, abym zapomniał Dory! Tyle tylko! Błagałem pannę Mills, aby się ze mną widziała tegoż jeszcze wieczoru, jeśliby zaś to nie mogło być z wiedzą i zezwoleniem jej ojca, aby raczyła przyjąć mnie tajemnie w izbie przy kuchni, gdzie stały magle. Pisałem jej, że bliski postradania zmysłów i ona sama tylko może mię ratować. List cały utrzymany był w stylu, którego by się sam pan Micawber nie powstydział.

Posłałem. Wieczorem zjawiłem się na ulicy przed zamieszkanym przez pannę Mills domem i chodziłem tam i z powrotem, dopóki nie doczekałem się pokojówki. Wprowadziła mnie do kuchennej izby. Przekonałem się wówczas, że nic jednak nie przeszkadzało mi zadzwonić jak zwykle u drzwi wchodowych i wejść do salonu, nic – chyba tylko zamiłowanie panny Mills do tajemniczości i romantyczności.

W kuchennej izbie oddałem się rozpaczom i wyrzekaniu. Wszak po to tylko przybyłem. Panna Mills otrzymała już kartkę od Dory. „Wszystko odkryte – pisała Dora – przybywaj, Julio! Przybywaj!” Panna Mills przypuszczając, że jej nie dopuszczą do przyjaciółki, nie udała się do niej. Gubiliśmy się oboje „na Saharze”.

Panna Mills posiadała bogaty dobór słów i lubiła się nim popisywać. Zdawało mi się, że chociaż mieszała łyzy swe z mymi łzami, rada była całej tej tragedii, lubowała się nią, rozplątywała. Przepaść, wedle słów jej, rozwarła się pomiędzy mną i Dorą i tylko miłość ponad przepaścią tą przerzucić mogła tęczy most nadziei. Miłość skazana jest na cierpienia i męczeństwo na tym padole łez! Takie już jest przeznaczenie! Ale serca uwikłane w pajęczę sieci muszą zerwać kiedyś więzy, a wówczas miłość zostanie pomszczona.

Niewiele było wprawdzie w tym, co mówiła, pociechy, lecz po cóż zwodnicze życie nadzieje? Czuję się bardziej jeszcze zrozpaczony, lecz upewniłem pocieszycielkę mą, że jest jedyną pozostałą mi przyjaciółką. Postanowione zostało między nami, że nazajutrz rano panna Mills uda się do Dory i spojrzeniem, jeśli nie słowem, upewni tę ostatnią o moim przywiązaniu. Rozstaliśmy się smutni i przygnębieni, co zresztą musiało w zupełności zadowolić pannę Mills.

Wróciwszy do domu zwierzyłem się ze wszystkiego ciotce – i pomimo że mnie uspokajała, położyłem się zrozpaczony. Zrozpaczony też wstałem nazajutrz. Była to sobota, udałem się do kancelarii.

Zdziwiłem się przyszedłszy tam. Posłańcy stali na ulicy, rozmawiając i spoglądając w zamknięte okna. Spiesznie wyminąłem ich i wbiegłem na schody. Stary Tiffey, po raz pierwszy w życiu zapewne, nie na swoim siedział krześle trzymając kapelusz w ręku.

– Straszne nieszczęście! – zawołał.

– Co? Cóż takiego? – pytałem.

– Pan Spenlow...

– Cóż się z nim stało?

– Umarł.

W oczach mi pociemniało. Jeden z aplikantów posadził mnie, odwiązał krawat, podał wody. Jak długo to trwało, nie potrafiłbym powiedzieć.

– Zmarł!
– Obiadował wczoraj w mieście i wracając do domu sam powoził, wysławszy naprzód, jak to zwykł był czynić, stangreta...
– I cóż?
– Powóz wrócił pusty do domu. Konie zatrzymały się przed stajnią, służący wybiegli ze światłem, w pojeździe nie było nikogo.
– Konie poniosły czy co?
– Nie wiadomo. Nie były wcale zgrzane – mówił Tiffey nakładając okulary – wyglądały tak, zwyczajnie. Lejce były porwane wprawdzie. Cały dom się poruszył. wybiegli szukać... Znaleźli o milę...
– Więcej niż o milę – poprawił jeden z młodszych aplikantów.
– A tak, masz pan rację – ciągnął Tiffey – więcej niż o milę, tam, w pobliżu kościoła. Leżał przy drodze, na wznak. Czy wyleciał, czy wyskoczył czując się niedobrze, nie wiadomo. Nie wiadomo też, kiedy skonał. Może i dyszał jeszcze, lecz już nie przemówił słowa. Pomoc lekarska była natychmiastowa, lecz niestety bezskuteczna.

Nie potrafię wyrazić wrażenia, jakie wieść ta wywarła na mnie. Nagłość wypadku tego z człowiekiem, z którym łączyły mnie interesy i uczucia, to opustoszałe nagłe i na zawsze miejsce w jego gabinecie, miejsce, na którym wyobraźnia moja rysowała go jeszcze – za każdym skrzypnięciem drzwi zdawało mi się, że wchodzi. Te przyciszone mowy i opowiadania, ci ludzie wchodzący przez cały ranek, by się czegoś dowiedzieć, to ustawiczne powtarzanie znanych mi już szczegółów – wszystko to rozumieją ci, co podobne przeżywali chwile. Ach! Sama śmierć jego budziła we mnie zazdrość. Ległbym w grobie z rozkoszą, by niepodzielnie zająć myśli i serce Dory. Zazdrościłem zmarłemu jej uczuć, jej żalu... zazdrościłem i tym, co ją pocieszać mogli i łzy jej ocierać! Nie wiem, co bym dał, aby ją od wszystkich oderwać i sam być z nią w te dni smutku i żaloby.

W podobnym, nie mnie tylko, sądzę, znanym nastroju, udałem się pod wieczór do Norwood, a dowiedziawszy się od służby, że znajduje się tam panna Mills, wróciłem i wysłałem ciotkę z listem do niej.

W liście tym szczerze opłakiwałem śmierć pana Spenlow prosząc pannę Mills, by zapewniła o tym Dorę, a i o tym także, że ojciec jej mówił ze mną z pobłażaniem, łaskawie, z tkliwością ojcowską wspominając córkę. Pisząc to, wyznaję, mniej miałem na celu pocieszyć strapioną, jak zmusić ją do myślenia o mnie. Sądziłem jednak, że tym samym czynię zadość sprawiedliwości wobec osoby zmarłego.

Nazajutrz ciotka moja otrzymała odpowiedź. List adresowany był do ciotki, odpowiedź mnie się tyczyła. Dora była w rozpacz i na zapytanie przyjaciółki, co każe powiedzieć, wołała tylko: „Och! Ojczulku, kochany mój ojczulku!” Nie zaprotestowała jednak, gdy panna Mills przesłała mi od niej pozdrowienia.

Po paru dniach zjawił się w kancelarii pan Jorkins. Zamknął się na rozmowę z Tiffeyem. Po kilku chwilach Tiffey uchylił drzwi wzywając mnie.

– Och! – zaczął pan Jorkins. – Szukamy właśnie z Tiffeyem testamentu nieboszczyka. Próżno przerzucamy szuflady, teki... Może byś pan nam pomógł?

Umierałem z niepokoju o Dorę, jej przyszłość, opiekę, jaką będzie miała, itp. Rozpoczęliśmy poszukiwania. Pan Jorkins otwierał szuflady jedną po drugiej, wytrząsał teki, ja i Tiffey przeglądaliśmy papiery odkładając na bok dotyczące się prywatnych interesów nieboszczyka. Tych ostatnich było niewiele. Zadanie swe spełnialiśmy w milczeniu, z powagą, ciche zamieniając słowo, gdyśmy natrafiali przypadkiem na pieczętkę, ołówek, pierścionek lub inne tym podobne, z pamięcią zmarłego związane drobnostki.

Przerzuciliśmy i opieczętowaliśmy kilka szuflad, gdy pan Jorkins przemówił stosując do zmarłego jak raz słowo w słowo to, co zmarły o nim zwykł był mawiać:

– Pan Spenlow był bardzo wymagający, nie dawał się zwieść z raz wytkniętej sobie drogi. Sami to zresztą najlepiej możecie wiedzieć, lecz sądzę, że nie pozostawił testamentu.

– Wiem, że pozostawił – rzekłem. Obaj zatrzymali się i spojrzeli po mnie.

– Na kilka godzin przed śmiercią – rzekłem – mówił mi właśnie, że się od dawna z tym załatwił.

Pan Jorkins i stary Tiffey zgodnie potrząsnęli głowami.

– Nieobiecujące to – zauważył Tiffey.

– Wcale nieobiecujące – dorzucił pan Jorkins.

– Nie wątpi pan zapewne... – począłem.

– Kochany panie Copperfield – przerwał mi Tiffey, kładąc rękę na moim ramieniu i przy-
mykając oczy – gdybyś miał moje doświadczenie, wiedziałbyś, że w żadnym wypadku ludzie
tak mało nie zasługują na wiarę jak w kwestii testamentu.

– Właśnie – wtrąciłem – nieboszczyk tak samo utrzymywał.

– Aha! Skończone! – zdecydował Tiffey. – Teraz to ręczyć mogę, że testamentu nie ma.

Dziwne to mi się wydawało, niepojęte, bo okazało się, że istotnie testamentu nie było, a
nawet, o ile z pozostałych papierów można było wnosić, nie było śladu, aby kiedy bądź nie-
boszczyk o tym myślał, nie było ani szkicu, notatki, brulionu, nic zgoła. Niepojęte mi się też
zdawało to, że stan interesów zmarłego nie wydawał się wcale zadowalniający. Trudno było
dojść, co komu kiedy opłacił, ile pozostał dłużnym, co posiadał. Owszem, zdawać by się mo-
gło, że od lat już wielu sam dobrze o tym nie wiedział. Pomału doszliśmy do przekonania, że
aby dorównać stopie będącej podówczas w modzie w Commons, wydawał więcej, niż na to
pozwalają skromne jego dochody, i stracił osobisty, jeśli go kiedy bądź posiadał, fundusz.
Pozostawała ruchomość w Norwood, a Tiffey, nie domyślając się, jakie wszystko to posiadało
dla mnie znaczenie, obliczał, że po zapłaceniu długów, nie licząc lub zmniejszając do mini-
mum to, co winien był firmie, zostanie może jakie tysiąc funtów najwyżej.

W sześć jakoś tygodni po śmierci mego pryncypała – a nie potrafię wyrazić, ilem przecier-
piał niepokoju! – panna Mills donosiła mi jeszcze, że na każdą o mnie wzmiankę biedna moja
mała Dora odpowiada tylko: „Och! Ojculek! Drogi mój, kochany ojczulek!” Dowiedziałem
się przy tym, że nie miała krewnych oprócz dwóch starych ciotek, sióstr swego ojca, za-
mieszkałych w Putney, które od lat kilku zerwały niemal zupełnie stosunki z bratem. Nie za-
szło, jak to panna Mills utrzymywała, żadne nieporozumienie, lecz z okazji jeszcze chrzcin
Dory zostały zaproszone tylko na herbatę, gdy, ich zdaniem, winny były zostać zaproszone na
obiad – i wówczas to odpisały, „że lepiej dla obu stron wszelkie stosunki przykrócić”. Otdąd
każdy poszedł swą drogą.

Damy te wyłoniły się dopiero teraz z cienia, proponując Dorze, aby zamieszkała przy nich
w Putney. Dora ściskając je i płacząc wołała: „Och tak! Niech ciocie zabiorą mnie i Julię
Mills, i Jipa do Putney”. Tam się też wszyscy wkrótce po pogrzebie udali.

Jak znajdowałem czas na wycieczki po Putney, powiedzieć nie potrafię. Dość, że często
błąkałem się po tamtej okolicy. Panna Mills, w imię łączących nas więzów przyjaźni, prowa-
dziła dziennik. Spotykaliśmy się czasem, a gdy nie mogła mnie widzieć, przesyłała mi stroni-
ce, które odczytywałem w Commons i które przechowywałem niby skarb. Za przykład niech
następne służą wyjątki:

*Poniedziałek. Biedna moja kochana Dora ciągle przybita. Ból głowy. Zauważyła, jak J.
jest wymuskany. D. pieści J. Budzi to wspomnienia dając upust łzom. (Czy łzy są istotnie rosą
serca?) J.M.*

*Wtorek. D. osłabiona i zdenerwowana. Prześlicznie blada. (Czy nie zauważamy tego przy
świecie księżycy?). D., J.M. i J. używają przejażdżki. J. wygląda przez okno i szceka wściekle,
co wywołuje błady uśmiech na usta D. (Z takich to ogniów składa się pasmo życia). J.M.*

*Środa. D. stosunkowo weselsza. Śpiewałam jej, jako najodpowiedniejsze jej usposobieniu
„Wieczne dzwony”. Nie uspokoiło to jej, owszem przeciwnie, wywołało łzy. Zacytowałam*

wiersz o młodej gazelli. Na próżno. J.M. Odwołałam się do cierpliwości i kamiennej rezygnacji. (Czemu kamiennej?) J.M.

Czwartek. D. uspokaja się. Noc lepsza, na lica wracają barwy róży. Wzmianka o D.C. Ostrożnie, z daleka. D. wybucha płaczem: „Och, Julio! Złym, niegodziwym byłam dzieckiem!” Uspokajają ją pieszczoty. Maluje obraz D.C. nad mogiłą. Nowe wzruszenie: „Och! Co począć, co mam począć! Weźcie mnie gdziekolwiek bądź”. Przestrach. D. mdleje, woda z pobliskiego wyniesiona zajazdu. (Poetyczny zbieg okoliczności: mozaikowa rączka u drzwi, jak mozaikowe jest życie ludzkie). Ach! J.M.

Piątek. Dzień pełen zdarzeń. W kuchni zjawia się posłaniec z niebieską torbą po buciki do reperacji. Służąca odpowiada: „Nie rozkazano”. Człowiek ten upiera się przy swoim. Służąca zostawia go w kuchni z J. i idzie się dowiedzieć. J. nie ma. D. w rozpacz. Posyła na policję. Nieznajomego poznać można po dużym nosie, ramiona jak poręcz na moście. Poszukiwania. J. wciąż nie ma. D. płacze niepokieszona. Wzmianka o gazeli, ale bezskuteczna. Pod wieczór zjawia się jakiś chłopak. Wprowadzają go. Nos duży, ale ramiona niepodobne do poręczy. Żąda nagrody, wie, gdzie się pies znajduje, bliższych szczegółów odmawia. Oplacony, wiedzie kucharkę do sąsiedniego domu, gdzie znajdują J. przywiązanego za łapkę do nogi stołu. Radość D., która skacze około J. jedzącego wieczerzę. Ośmielona szczęśliwym obrotem rzeczy, wspominam znów D.C. D. wybucha płaczem i woła: „Och! Nie! Nie! Nie! Nie powinnam myśleć o niczym oprócz biednego mego ojczulka!” Ścisła J. i szlocha, zasypia wreszcie. (D.C. niech ufa skrzydłom czasu). J.M.

Panna Mills i jej dziennik była to jedyna moja w owe dni pociecha. Ujrzyć tę, która na krótką przedtem chwilę widziała Dorę, czytać imię Dory na stronicach jej dziennika, boleć z nią i przez nią, było mą jedyną rozkoszą. Zdawało mi się, że zamieszkał w pałacu na lodzie, który roztopniał pozostawiając wśród ruin tylko mnie z panną Mills; że zły czarodziej jakiś zarysował magiczne koło wokół niewinnej boginki mych myśli, pozostawiając mi owe skrzydła czasu, jedyną śmiertelników pociechę.

ROZDZIAŁ XXXIX WICKFIELD I HEEP

Ciotka, przerażona zapewne moją rozpaczą, zdecydowała, abym jechał do Dover pod pretekstem dowiedzenia się, jak tam stoją rzeczy z jej wynajętym wiejskim domkiem, i zawarcia nowej z dzierżawcą umowy. Janet weszła w służbę u doktorowej Strong, gdzie ją codziennie widywałem. Zrazu niechętnie opuszczała Dover, czy pomna zasad, w których była ćwiczona – nie wiem. Owszem, posądzam, że odmówiła starającemu się o jej rękę pilotowi dlatego jedynie, że się jej nie podobał.

Chociaż ciężko mi było rozstać się z panną Mills, rozumiałem, dlaczego ciotka pragnie wydalić mnie z Londynu, a nadzieja spędzenia kilku godzin z Agnieszką uśmiechała mi się obietnicą ukojenia. Porozumiałem się tedy z doktorem Strongiem co do trzydniowej nieobecności – doktor zwolniłby mnie nawet na czas dłuższy, lecz na to nie stawało mi odwagi – zdecydowałem się jechać.

Co do Commons, nic mnie tam nie wstrzymywało. Prawdę mówiąc, nie posiadaliśmy osobliwej wziętości wśród proktorskich sław i spadaliśmy coraz niżej. Interesy pod kierownictwem pana Jorkinsa słabły, a chociaż pan Spenlow ożywił je był bardzo, nie zdołał jednak oprzeć kancelarii na trwałych podstawach, toteż ostatnia katastrofa zachwiała interesy zupełnie. Czulem to i rozumiałem. Pan Jorkins mimo powagi swej firmy był człowiekiem spokojnym, obojętnym, leniwym. Związany z nim, oplakiwałem coraz więcej zaprzepaszczone w tym interesie pieniądze mej ciotki.

I nie na tym koniec. Commons osaczone było pokątnymi doradcami, a i takimi, co nadużywali lub nadużywać pozwalali swej proktorskiej godności. Przyciśnięci potrzebą, powiększyliśmy tę bandę, korzystając z usług pokątnych doradców w nadziei, że nam spraw następczą. Świadczenia do zamęścia i tym podobne błahostki opłacały się nam stosunkowo najlepiej, faktorzy rozstawieni zostali po wszystkich przejściach dla łapania przechodniów w żałobie lub o zafrasowanym wyglądzie. Zlecenie to spełniane było tak skrupulatnie, że mnie samego zaczepiono parę razy, wsuwając w rękę adres naszej kancelarii. Powstawały stąd częste nieporozumienia i nasz własny faktor – służył przedtem w szynku – chodził przez kilka dni z podbitym okiem. Inny znów porwał gwałtem jakąś damę w żałobie ciągnąc ją do adwokata, w którego służbie pozostawał. Parę razy podobnych przyprowadzono mi jeńców. Co do świadków w sprawach małżeńskich, doszło do tego, że interesanci padali ofiarą silniejszego. Jeden z naszych aplikantów zwykł był siadywać w kapeluszu, by, gdy zajdzie potrzeba, czym prę-

dziej mógł dostarczyć żądanych świadków. Faktorstwo to utrzymało się, sądzą, po dziś dzień. Ostatni raz, gdy tamtędy przechodził, krępy jakiś jegomość w białym fartuchu wpadł na mnie i szepcząc „świadeństwo do ślubu” gotów był ciągnąć do „swego” adwokata.

Ale wracajmy do Dover.

W wiejskim domku wszystko zastałem w porządku, mogłem nawet pocieszyć ciotkę zapewnieniem, że nowi mieszkańcy, wierni jej zleceniom, zawzięcie wojują przeciw oślarzom i osłom. Po załatwieniu spraw miejscowych wybrałem się wczesnym porankiem do Canterbury. Zima wróciła, a chłodne wietrzne powietrze, spadające płatki śniegu orzeźwiły mnie nieco.

Wchodząc do Canterbury doznałem kojącego wrażenia na sam widok starych, znanych mi ulic. Te same co dawniej napisy, nazwiska i znane twarze! Jakże dużo, dużo, zdawało mi się, ubiegło czasu, odkąd byłem tu w szkołach. Dziwiłem się tylko, że odtąd tak niewiele tu zmian zaszło, zanim spostrzegłem, jak mało sam się zmieniłem. Dziwne, lecz kojący wpływ Agnieszki zdawał się przenikać nawet zamieszkałe przez nią miejsca. Sędziwe wieżyce katedry, krakanie wron, zwiększające bardziej od ciszy samej wrażenie samotności, otwarte bramy zawalone dawno spadłymi z cokołów posągami, głębokie framugi stuletnimi owinięte bluszczami, stare domy, sielankowe na pola otwierające się widoki, ogrody i sady, wszystko to owiane było dziwnym, spokojnym jakimś urokiem.

Przybywszy do domu pana Wickfielda, na dole, w pokoju, w którym przedtem pracował Uriah, zastałem pana Micawbera z piórem w ręku. Odziany czarno, szeroki i barczysty, szczupłą wypełniał izdebkę.

Ucieszył się i zmieszał nieco widząc mnie. Chciał natychmiast wieść mnie do Uriaha, na com się wszelako nie zgodził.

– Znamy się z dawien dawna z tym starym domem – rzekłem – sam trafię, gdzie mi potrzeba. Jakże się panu wiedzie w nowym zawodzie?

– Kochany Copperfieldzie – rzekł – dla człowieka obdarzonego bujną imaginacją prawnicza drobiazgowość jest nieco... nużąca. Nawet przy korespondencji niepodobna popuścić wódze wyobraźni i dać się rozwinąć stylowi. Poza tym zawód to szczytny! Szczytny zawód!

Oznajmił mi, że zamieszkał w dawnym mieszkaniu Uriaha i że pani Micawber będzie uszczęśliwiona przyjmując mnie pod własnym dachem.

– Skromne to progi – mówił – że użyję ulubionego wyrażenia mego przyjaciela Heepa. Skromne progi, pierwsze szczeble wysokiej drabiny.

Spytałem go, czy istotnie zadowolony jest z opieki Heepa.

Obejrzał się na drzwi, a widząc, że zamknięte, odpowiedział głosem zniżającym:

– Kochany Copperfieldzie! Człek pracujący pod naciskiem pieniężnych zobowiązań bywa zwykle ofiarą pewnych niedogodności. Konieczność ubiegania się o zaliczkę niedogodności tych nie umniejsza bynajmniej. To tylko powiedzieć mogę, że zacny przyjaciel mój Heep odpowiada nadziejom, których wymienił zresztą nie potrzebuję, w sposób przynoszący zaszczyt zarówno jego głowie, jak i sercu.

– Nie sądziłem, aby posiadał materialne środki? – zauważyłem.

– Daruj mi, proszę – rzekł pan Micawber przygryzając wargi – mówiłem z przekonaniem.

– Cieszę się, żeś pan nabrał tak zadowalniających przekonań.

– Wdzięczny ci jestem, kochany Copperfieldzie – odrzekł i natychmiast zanucił ulubioną jakąś piosenkę.

– Często widzisz pan pana Wickfielda? – spytałem.

– Niezbyt często – odparł z pewnym lekceważeniem. – Człek to zapewne najzacniejszy, ale... ale zastały, przestarzały.

– Czy czasem nie dzięki swemu wspólnikowi? – rzekłem.

– Pozwól, kochany Copperfieldzie – ozwał się po chwili zmieszania – pozwól, że pewną uczynię uwagę. Cieszę się tu zaufaniem, ale na dotykaniu tematów pewnych nie pozwalam

sobie nawet z panią Micawber, przez lat tyle towarzyszką mej doli i niedoli. Otóż pozwolę sobie zauważyć, że przyjaznym naszym zwierzeniom powinna zostać wytknięta pewna granica, tak, pewna granica. Po jednej stronie pozostawimy to wszystko, co jest potrzebą wymiany umysłowej i serdecznej, po drugiej to, co się tyczy spraw i interesów „Wickfield i Heep”. Sądzę, że nie obrażę młodego mojego przyjaciela proponując mu zachowanie rzeczowej granicy?

Chociaż dostrzegłem zaszłe w nim zmiany, dające wiele do myślenia o nowo obranym zawodzie, nie mogłem się obrazić za to, co mówił, i upewniłem go o tym.

– Jeszcze lepiej, kochany przyjacielu! – rzekł ściskając mi dłonie. – Co do panny Wickfield, uważam ją za kobietę ze wszech miar wielką. Uosobienie to wdzięku, dobroci i rozumu. Na honor – kończył całując końce swych palców i skłaniając ze szlachetną powagą głowę – na honor! Doskonalszej nie znam kobiety!

– Cieszę się tym – rzekłem.

– I gdybyś nie zapewnił był nas – ciągnął dalej – w pamiętne owo popołudnie, że ulubioną twą literą jest D, sądziłbym doprawdy, że A być nią powinna.

Któż z nas nie doznał w życiu takiego wrażenia, jak gdyby to, co mówi lub czyni, słyszy lub widzi, było powtórzeniem rzeczy mówionych, słyszanych, widzianych, dokonanych kiedyś już, kiedyś... jak gdyby otaczające nas osoby, przedmioty, dźwięki z odległej, odległej przeszłości wyłaniały się jak echo, odbicie jakiegoś. Nigdy żywiej jak w tej chwili nie doznałem potem tego wrażenia.

Pozegnałem więc Micawbera, zlecając mu tysiące ukłonów dla żony i dzieci. Pozostawiając go z piórem w rękę, kiwającego głową, czułem wyraźnie, że pomiędzy nim a mną stanęło coś, co zmieniało doszczętnie charakter uprzednio pomiędzy nami istniejącego stosunku.

Nikogo nie zastałem w salonie. Nikogo – oprócz śladów przebywania tam pani Heep. Uchyliłem drzwi do pokoju Agnieszki. Siedząc przed staroświeckim, pięknym biurkiem, piła.

Podniosła głowę. Co za szczęście wywołać słodki uśmiech podobny temu, co ją opromieniła cała; to spojrzenie, to serdeczne powitanie!

– Agnieszko – mówiłem siadając przy niej – jakże mi Ciebie brakło w ostatnich czasach.

– Doprawdy! Znów! – zawołała.

Skinałem głowę.

– Nie wiem, jak to się dzieje – mówiłem – lecz gdy znajduję się z dala od Ciebie, brak mi czegoś. Z dawien dawna przywykłem, abyś myślała za mnie, nie umiem się obejść bez rady twej i pomocy.

– O co Ci idzie? – spytała.

– Nie tak to łatwo powiedzieć. Wszak umiem być wytrwały, prawda?

– Oczywiście – odrzekła.

– I cierpliwy? – pytałem bardziej nieśmiało.

– Tak, prawie! – zaśmiała się Agnieszka.

– A jednak gryzę się, martwię, potrzebuję zachęty, podpory.

– O co Ci zatem idzie? – spytała ze słodką powagą.

– O to. Przybyłaś, pamiętasz, do Londynu i znalazłem natychmiast w Tobie potrzebne oparcie. Przybyłem tu i dość mi było spojrzeć na Ciebie, by się uspokoić. Otaczające mnie i niepokojące okoliczności najmniejszej nie uległy zmianie, lecz ja to zmieniam się do niepoznania pod wpływem Twojej, Agnieszko, obecności. Wytłumacz mi, jak to się dzieje.

Głowę miała spuszczoną. Zapatrzyła się na płonący na kominku ogień.

– Nic w tym nie ma nowego – ciągnąłem. – Powtarza się to od lat tyłu, w większych i mniejszych rzeczach. Dawniej frasowały mnie drobnostki, dziś sprawy wielkiej wagi, lecz dawniej czy dziś frasunek czuję tylko z dala od przybranej mej siostrzyczki...

Podniosła głowę i anielskie spojrzenie. Ucałowałem podaną mi rękę.

– Gdy nie mam cię, Agnieszko, przy sobie, głowę tracę i tysiące popełniam niedorzeczności, przy tobie czuję się ukojony, szczęśliwy. Jak pielgrzym u celu podróży, znajduję spoczynek.

Czułem tak głęboko, com mówił, że mi łzy wzbierały w głosie i napływały do oczu, które zakryłem dłonią. Jakie we mnie w tej chwili walczyły sprzeczności, częściej niż się zdawać może rozdzierające serca i życie ludzkie, o ile szczęśliwszy byłbym idąc za tajemniczym i zgłuszonym serca głosem, nie wiem. Wiem to tylko, że mi istotnie przy Agnieszce spokojnie było, pogodnie, błogo.

Godnym swym, siostrzanym, tkliwym zachowaniem, cichym, dźwięcznym głosem, wpływem swym, który z miejsc przez nią zamieszkanym święte jakieś czynił przybytki, uspokoiła mnie; opowiedziałem jej o wszystkim, co zaszło od ostatniego naszego spotkania.

– Widzisz – rzekłem kończąc – na ciebie tylko mogę liczyć.

– Ależ nie na mnie – odrzekła z uśmiechem – nie na mnie chyba, a na inną.

– Myślisz o Dorze?

– Najpewniej.

– Widzisz to, Agnieszko, nie mówiłem ci jeszcze, że Dora jest raczej... jakże to powiedzieć... nie to, aby polegać na niej nie było można, o nie! lecz jest raczej nieśmiały, bojaźliwym, delikatnym stworzeniem. Niepraktyczna przy tym. Jeszcze przed śmiercią ojca, gdy wyznawał jej wszystko... Ale pozwól, niech ci to opowiem.

Opowiedziałem Agnieszce szczegółowo rozmowę mą z Dorą i nie omieszkalem wspomnieć o kucharskiej książce jako też o rachunkach i gospodarstwie. Żadnego zgoła nie ominąłem szczegółu.

– Och, Trotwood – uśmiechnęła się Agnieszka. – Zawsze ten sam! Zawsze chcesz płynąć przeciw prądowi. Po co ten pośpiech i to jeszcze z tak nieśmiały, niepraktycznym dziewczęciem! Biedna Dora!

Nie zdarzyło mi się słyszeć słów łagodniejszych i bardziej pobłażliwych. Zdawało mi się, że ją widzę obejmującą i całującą Dorę, a w tym udzielaniu opieki Dorze mieściła się jakaś łagodna dla mnie nagana. Zdawało mi się, że widzę Dorę tulącą się do Agnieszki, skarżącą się na mnie z dziecięcym uroczym grymasem.

Serce moje przepełnione było wdzięcznością i uwielbieniem dla Agnieszki. W olśniewającej perspektywie widziałem obie je razem, złączone przyjaźnią, dopełniające się wzajemnie.

– Więc jakże mam postępować? – pytałem odrywając wzrok od ognia, a myśl od jasnej tej perspektywy. – Co mam teraz czynić?

– Sądzę – odrzekła Agnieszka – że obowiązkiem twym jest zwrócić się wprost do pań, co ją wzięły pod swą opiekę. Tajemniczość nieszlachetnie wygląda w podobnych wypadkach. Tak mi się zdaje.

– I tak jest zapewne, jeśli ci się tak zdaje – odrzekłem.

– Nie posiadam potrzebnego w podobnych razach doświadczenia – mówiła wahając się – lecz czuję, tak, wyraźnie czuję, że tajemniczość ta niegodna jest ciebie.

– Mnie niegodna! Boję się, Agnieszko, czy nie za wysokie masz o mnie wyobrażenie?

– Niegodna ciebie i pocziwej twej natury – powtórzyła. – Otóż na twym miejscu napisałabym do tych dwóch pań. Opisałabym szczerze, otwarcie, jak to było, i prosiłabym o pozwolenie bywania w ich domu i starania się pod ich okiem o rękę Dory. Zważając na młode twe lata i pozycję, którą masz jeszcze do zdobycia w świecie, zgodziłabym się, będąc na twym miejscu, na wszelkie stawiane przez nie warunki. Prosiłabym, skoro to uznają za stosowne. Nie byłabym – dodała łagodnie – zbyt natarczywa ani gwałtowna, licząc zresztą na własną wierność i wytrwanie, a i na Dorę.

– Ale – zarzuciłem – jeśli zaczną straszyć Dorę, grozić jej, a ona znów będzie płakać i wspomnieć o mnie nie zechce?

– Jestże to możliwe?! Pomyśl! – uśmiechnęła się Agnieszka.

– Tak – odrzekłem – nieboraczka jak ptaszę pieśczośliwa. Zresztą kto wie, jakie są te dwie stare panny. Stare panny bywają tak dziwaczne!

– Nie zdaje mi się – rzekła wznosząc na mnie jasne swe spojrzenie. – Zresztą nie zastanawiałabym się nad tym. Na twoim będąc miejscu, myślałabym po prostu o tym, jak postąpić wypada, i tak bym postąpiła.

Rozmowa ta rozproszyła wszelkie me wątpliwości. Lżej mi się zrobiło na sercu, chociaż rozumiałem całą rozciągłość przedsiębranego kroku. Po południu, siedząc przy biurku Agnieszki, układałem list do opiekunek Dory. Przedtem jednak zszedłem na dół, aby powitać pana Wickfielda i Uriaha Heepa.

Tego ostatniego zastałem w nowej, świeżo otynkowanej, w ogrodzie wybudowanej kancelarii. Marnie wyglądał wśród stosów ksiąg i papierów. Przywitał mnie w zwykły sobie sposób, łasząc się i upewniając, że nie słyszał o mym przybyciu od pana Micawbera, o czym zresztą pozwałam sobie powątpiewać. Powiódł mnie do gabinetu pana Wickfielda, ogołoczonego z wielu dawniej zapelniających go, a teraz Uriahowi służących przedmiotów. Stanąwszy przed kominkiem i kościstą ręką pocierając podbródek, zdawał się nie baczyć na moje z byłym jego pryncypałem powitanie.

– Zostaniesz u nas, prawda, przez cały czas swego tu pobytu – mówił pan Wickfield spoglądając na Uriaha.

– Nie wiem, czy będzie miejsce? – spytałem.

– Z przyjemnością, paniczu... Ach! Przepraszam, stare przyzwyczajenie! Przepraszam! Z przyjemnością ustąpię panu dawnego jego pokoju, który obecnie właśnie zajmuję – ozwał się krzywiąc Uriah.

– Nie, nie trzeba, po co masz się kępować – wtrącił pan Wickfield – znajdzie się inny pokój.

– Och! Nie zrobiliby mi to żadnej przykrości – upewniał Uriah.—Owszem, z przyjemnością, z przyjemnością...

Przerwałem niemiłe te wylewy uczuć, upewniając, że zostanę pod warunkiem, jeśli mi dadzą inny, jaki bądź pokój. Rzecz tę załatwiwszy i pożegnawszy współników wróciłem na górę.

Spodziewałem się zastać Agnieszkę samą, lecz pani Heep prosiła o pozwolenie dotrzymania nam towarzystwa pod pretekstem, że pokój Agnieszki jest cieplejszy, a reumatyzm dokucza jej srodze. Z całą przyjemnością wyrzuciłbym babę wraz z jej reumatyzmem na cztery wiatry, lecz nie było rady. Zmuszony byłem powitać ją uprzejmie, rozpytując o zdrowie.

– Najpokorniej panu dziękuję – mówiła. – Niewiele mi potrzeba. Bylebym była spokojna o mego Uriaha! Jakże go pan zastał? Jak mój Uriah wygląda?

Wyglądał tak marnie jak zawsze. Odpowiedziałem więc, że nie dostrzegłem w nim żadnej zmiany.

– Więc nie zauważył pan żadnej zmiany! Ośmielę się być innego zdania! Nie zauważył pan, jak zmizerniał nieborak?

– Nie zdaje mi się – odrzekłem.

– O! Bo pan nie patrzył macierzyńskim okiem! – zawołała.

Oko to, złowrogie dla każdego, oprócz syna – kochali się nawzajem istotnie – prześliznąwszy się po mnie, spoczęło na Agnieszce.

– A pani, panno Wickfield. Czy też nie zauważyła, jak jest zmieniony, jak wychudł biedaczek? – pytała pani Heep.

– Nie zauważyłam – odpowiedziała Agnieszka nie odrywając oczu od roboty. – Sądzę, że się pani zbyt mocno troszczy.

Pani Heep westchnęła głęboko, zajmąwszy się robieniem pończochy.

Nie opuściła nas na jedną chwilę. Przybyłem wcześniej i pozostawało jeszcze kilka godzin do obiadu, lecz nie ruszyła się z miejsca, migając szydełkiem z monotonią przelewającego się

w klepsydrze piasku. Ani na chwilę nie opuściła kominka. Usiadłem za biurkiem, w pobliżu, za panią Heep, usiadła z robótką Agnieszka. Gdy układając list do ciotek Dory podniosłem oczy, spotkałem anielską twarz, słodkie spojrzenie dziewczęcia, lecz czułem jednocześnie złowrogie, na obojgu nas ciężące, nas oboje śledzące oko wiedźmy, opadające szybko, przy zetknięciu się z moim. Zdawało mi się, że wiąże zdradliwą sieć, a siedząc tak przed ogniem podobna była do czarownicy miotającej złowrogie zaklęcia.

I w czasie obiadu nie spuszczała nas z oka. Po obiedzie przyszła kolej na syna i gdyśmy pozostali sami z panem Wickfield, przylgnął do mnie aż do znudzenia. W salonie czekała mnie znów matka. Było to nie do zniesienia. Usiadła przy fortepianie, gdy Agnieszka grała, prosząc o jakąś ulubioną przez syna – poziewał on wtedy w najlepsze – balladę. Oglądała się ciągle na niego i upewniała, że jest zachwycony. Zresztą, cokolwiek mówiła, miała zawsze jedynaka na celu. Widocznie naznaczone sobie spełniała zadanie.

Tak zszedł cały wieczór. Matka i syn, jak dwa nietoperze, zawiśli nad tym domem, omraczając go plugawymi skrzydłami. Gniewało to mnie i gryzło. Noc miałem niespokojną, na jutro rozpoczęły się te same stróżowania, wraz z tą samą pończochą.

Nie mogłem ani przez kwadrans porozmawiać sam na sam z Agnieszką. Zaledwie zdołałem pokazać jej mój list. Prosiłem, by wyszła przejść się ze mną, lecz pani Heep jednocześnie zaczęła uskarżać się na reumatyzm i jękami zmusiła ją do dotrzymania sobie towarzystwa. O zmroku wyszedłem sam, rozmyślając, czy wypada mi skrywać dalej przed Agnieszką to, z czym mi się Uriah zwierzył w Londynie. Chwila każda wzmagala mą niepewność.

Wyszedłem za miasto, dobrze znaną mi ścieżką, w zmroku dostrzegłem przechodnia. Był to Uriah Heep. Doganiał mnie.

– Co takiego? – spytałem.

– Ależ pan prędko chodzi – zauważył. – Mam nogi nie od parady, a jednak ledwom pana dogonił.

– Dokąd? – spytałem.

– Tam gdzie i pan, panie Copperfield, jeśli pan nie pogardzi towarzystwem starego znajomego. Mówiąc to i wykrzywiając się szedł obok mnie.

– Uriah! – począłem łagodnie, po dość długim milczeniu.

– Panie Copperfield!

– Szczerze mówiąc i bez obrazy, wyszedłem na przechadzkę... by umknąć ciąglego towarzystwa, na jakie jestem skazany.

Spojrzał na mnie spode łba.

– Pan ma na myśli mateczkę, panie Copperfield!

– Nie zaprzeczam temu.

– Aha! Ale bo widzi pan, położenie nasze jest tak skromne, wiemy o tym, wiemy, toteż zmuszeni jesteśmy czuwać, by nas kto czasem nie uprzedził. Zresztą – dodał zuchowato – w miłości, jak w polityce, wszystkie środki są dozwolone.

Podnosząc pomału kościste ręce pocierał podbródek chichocząc z cicha. Nigdy jeszcze nie był podobniejszy do złośliwego pawiana.

– Bo to widzi pan, panie Copperfield – ciągnął chichocząc i kiwając głową – niebezpieczny z pana współzawodnik, niebezpieczny.

– Czy z mego to powodu osaczyłeś pannę Wickfield i we własnym ją domu szpiegujesz? – spytałem.

– Ostre to słowa, panie Copperfield...

– Rozumiej je, proszę, jak ci się podoba, i domyśl się, co znaczą.

– Bynajmniej. Pańska to rzecz, panie Copperfield, nadawać im znaczenie.

– Sądzisz tedy – mówiłem, siląc się na spokój przez wzgląd na Agnieszkę – że mi panna Wickfield jest milszą, niż mogłaby być rodzona siostra?

– Ha – odrzekł – mógłbym nie odpowiadać na podobne pytanie. Może tak, a może i nie.

Nie! Nie spotkałem się nigdy jeszcze z podobnym spojrzeniem. Było to spojrzenie upiora.

– Cóż dalej? – rzekłem. – Tedy panna Wickfield...

– Agnieszka! – zawołał przekrzywając się i wijąc – moja Agnieszka! Czemu jej pan nie nazywasz po imieniu?

– Niech ją nieba strzegą – mruknąłem.

– O! Dziękuję! Dziękuję za to życzenie!

– Zmuszony zatem jestem wyznać ci to, co w każdym innym razie wyznałbym chyba tylko przed Jackiem Ketch¹...

– Przed kim? – spytał odchylając dłonią ucho i przechylając się ku mnie.

– Przed katem – rzekłem, gdyż widok jego nasunął mi mimowolnie to porównanie. – Wiedz zatem, że jestem zaręczony z inną. Cóż, zadowala cię to?

– Czy pod słowem honoru? – pytał. Byłem tak oburzony, że się zawahałem. Porwał tymczasem mą rękę i wstrząsnął nią wołając:

– Och! Panie Copperfield! Panie Copperfield! Czemuś mi się nie zwierzył tego wieczoru, w którym otworzyłem panu me serce, pamiętasz pan, tego pamiętnego wieczoru, kiedyś mi udzielił noclegu na kanapie przed kominem! Gdybym wiedział, odwołałbym, ręczę za to, mateczkę. Wszak mi pan wybaczysz tę ostrożność? Miłość jest podejrzliwa. Jaka szkoda, jaka wielka szkoda, żeś mi się pan wtedy nie zwierzył! Nastreczałem panu sposobność, ale pan nie zaszczycił mnie swym zaufaniem, nie, nigdyś pan mnie nie lubił, ja to tylko lubiłem zawsze i lubię pana!

Mówiąc to potrząsał ciągle moją dłoń swymi wilgotnymi, zimnymi palcami. Nie mogłem jej wycofać. Trzymał ją pod rękawem swego fioletowego płaszcza, wiodąc mnie pod ramię.

– Może byśmy wrócili – rzekł skręcając ku miastu, nad którym wznosił się srebrny sierp miesiąca na nowiu.

– Zanim skończymy raz na zawsze z tym tematem – rzekłem, długie przerywając milczenie – chcę, abyś wiedział, jak dalece uważam Agnieszkę za cel niedościgły dla twych marzeń. Nie bliższą jest zaiste ciębie od tego tam miesiąca.

– Czy tak? – rzekł. – Niechże się pan przyzna, panie Copperfield, że mnie pan nigdy nie lubił, chociaż ja, ja zawsze miałem dla pana najwyższą sympatię. Zawsześ mnie pan uważał za pokorniutkie, niziutkie, niegodne stworzenie.

– Nie lubię fałszywej pokory.

– Czy tak? Ależ pan nie wiesz doprawdy, jak dalece skromne jest moje pochodzenie. Ojciec i ja wychowani zostaliśmy w ludowej szkółce, a i matka wychowanie zawdzięcza publicznemu miłosierdziu. Wpajano w nas pokorę, wpajano od rana do nocy. Uczono nas pokory względem tego i owego, musieliśmy pilnie baczyć, aby nie przekroczyć nigdy naznaczonych nam granic, ustępować z drogi możniejszym i dostojniejszym.

A któż nie był możniejszym i dostojniejszym od nas, biedaków! Pokorą ojciec zdobył sobie stanowisko pedla. Pokorą zdobył miejsce zakrystiana. Znano go z tej strony, a ojciec mawiał mi ustawicznie: „Pokorny bądź, synu, pokora niebiosą przebija”. Miał rację ojczulek!

Po raz pierwszy dopiero zauważyłem, że ta przybrana pokora istotnie dziedziczna być może. Podziwiając jej kwiecie, nie myślałem wcale o nasieniu.

– Dzieckiem jeszcze będąc – ciągnął Uriah – przekonałem się, co pokora może. Pokornie zjadałem najskromniejsze kęski i pokornie zatrzymałem się na stosunkowo niskim stopniu nauk, mówiąc sobie: basta! Czy pan pamięta, panie Copperfield, jak mi się pan ofiarował z lekcjami łaciny? Nie przyjąłem, pokora mi nie dozwoliła. Nieboszczyk ojciec mawiał: „Ludzie lubią czuć swą wyższość, uniażaj się”. Uniazałem się więc, uniażam – zyskałem tym trochę władzy!

¹ Jack Ketch – słynny kat angielski, żyjący w XVII w. Jego nazwisko stało się później synonimem słowa: kat.

Mówił to, wiem, gdyż widziałem twarz jego w blasku księżyca – mówił, aby mnie ostrzec, że władzy tej użyje w potrzebie. Nie, nigdy, ani przez chwilę nie wątpiłem o jego zręczności i przebiegłości, lecz teraz dopiero zrozumiałem całą jej rozciągłość, zrozumiałem, jak go to długie upokorzenie się uczyniło niskim, zaciętym.

Tyle było korzyści z owych zwierzeń, że wypuścił mą rękę ze swych zimnych, wilgotnych dłoni, pocierając z zadowoleniem brodę. Szliśmy obok siebie, lecz już nie pod ramię, nieliczne tylko zamieniając między sobą słowa.

Czy to uczynione zwierzenia, czy też inne względy wprawiły go w wyborny humor, ale przy stole był rozmowniejszy, zapytywał matkę, czy nie znajduje go za starym na kawalerski stan, spoglądając przy tym na Agnieszkę w taki sposób, że z przyjemnością połamalbym mu żebra i wypchnął, gdybym mógł, za drzwi!

Gdyśmy, mężczyźni, pozostali sami, wpadł w lepszy jeszcze humor, że zaś pił mało lub wcale, upojenie jego pochodziło widać z wewnętrznych pobudek. Pewien był wygranej, a obecność moja zdawała się go ośmielać.

Zauważyłem już przedtem, że zachęcał pana Wickfielda do libacji. Rzucone mi przez odchodzącą Agnieszkę wymowne spojrzenie skłoniło mnie do zaproponowania tym panom, zaraz po pierwszym kieliszku, abyśmy udali się do salonu. Ubiegł mnie Uriah.

– Rzadko mamy przyjemność widywać miłego naszego gościa – zwrócił się do siedzącego naprzeciw siebie pana Wickfielda – może byśmy, za pozwoleniem pańskim, wypili jego zdrowie? Zdrowie pańskie, panie Copperfield!

Zmuszony byłem dotknąć zimnej i śliskiej wyciągniętej ku mnie dłoni. Z odmiennym bardzo uczuciem uściśnąłem drżącą dłoń jego współnika.

– A teraz, kolego – mówił Uriah – jeśli mi wolno nazywać tak pana, panie Wickfield, czyje mamy pić zdrowie?

Piliśmy zdrowie mej ciotki, pana Dicka, Commons, Uriaha piliśmy dwukrotnie. Biedny pan Wickfield rozumiał swą słabość, zdawał się być nią upokorzony w oczach Uriaha, widocznie też pragnął mu we wszystkim dogodzić. Pomijam triumf tego ostatniego, widoczne niemal naigrzanie się ze starca i nieszczęsnego jego nałogu, pomijam wszystko to, gdyż serce mi się ściska na samo wspomnienie, a pióro odmawia posłuszeństwa.

– A teraz, kolego – mówił Uriah – moja, za pozwoleniem waszym, kolej. Wnoszę toast na cześć tej, co jest ozdobą płci swojej!

Ojciec Agnieszki trzymał właśnie w ręku wypełniony po brzegi kielich. Postawił go na stole, podniósł wzrok na wiszący na ścianie, a tak do córki podobny portret, potem zakrył oczy ręką i opuścił głowę.

– Czymże jestem, by wnosić ten toast? – mówił Uriah. – Ośmiela mnie jeno przywiązanie moje, uwielbienie bez granic.

Żadna w oczach mych zadawana tortura biednemu starcowi nie wzruszyłaby, nie oburzyła mnie tyle, co to wewnętrzne cierpienie, to upokorzenie, które zdawał się powstrzymywać zaciśniętymi na czole dłońmi.

– Agnieszka to, Agnieszka Wickfield – ciągnął Uriah nie podnosząc oczu i może nieświadom tego, co czyni – jest, że się ośmielę tak wyrazić, ozdobą płci swojej. Wszak mogę wyznać to pomiędzy nami! Jest ona chwałą dla ojca, a dla męża...

Nie! Nie potrafię wyrazić jęku, z jakim pan Wickfield porwał się z miejsca.

– Co to? – spytał blednąc Uriah. – Co to? Nie postradałeś pan przecież zmysłów, panie Wickfield! I jeśli powiem, że pragnę uczynić pańską Agnieszkę moją Agnieszką, mam co najmniej takie, jak i każdy inny, prawo wyrazić to życzenie. Ośmielę się nawet powiedzieć, że większe niż kto bądź mam do tego prawo.

Obejmowałem starca, błagając go w imię córki zaklinając, aby się uspokoił. Sądziłem istotnie, że zmysły postradał. Rwał włosy, wydierał mi się, milcząc i nie chcąc nawet spojrzeć na nikogo. Rzucał się blady, pomieszany... Straszny to był widok.

Błagałem go, aby się uspokoił, wysłuchał mnie. Niech wspomni na córkę i na to, jak się wraz z Agnieszką wychowywałem pod jego skrzydłem, jak ją czcę, kocham niby rodzoną siostrę. Chciałem bądź co bądź przywołać go do zmysłów, uspokoić. Błagałem go, aby niczym nie dał poznać córce, co zaszło. Pomału wracał do przytomności, spójrział na mnie obłąkanym z początku wzrokiem, potem coraz przytomniej.

– Agnieszka! – zawołał wreszcie. – Drogie, ukochane dziecię moje! I ty pocziwy, kochany chłopcze, znam was i kocham, lecz spójrz na tego!...

Wskazał na Uriaha. Ten blady, z zaciśniętymi ustami, wił się i przekrzywił, zawiedziony w swych nadziejach. Przerachował się widocznie.

– Spójrz na mego oprawcę – mówił pan Wickfield. – On to doprowadził mnie do tego oplakanego stanu, szczebel po szczeblu spychał z drabiny honoru, spokoju, szczęścia.

– Co! Ja, ja to zepchnąłem pana z drabiny honoru i czci! Ja zakłóciłem spokój i domowe szczęście! – wołał piniąc się Uriah i zaraz, chcąc wszystko to zapewne załagodzić, dodawał: – Niechże się pan tak nie gniewa, panie Wickfield. Jeślim się za daleko posunął, wstrzymać mnie przecież można. Nie ma w tym nic złego.

– Sądziłem – mówił zwrócony do mnie pan Wickfield – że kierują nim proste pobudki. Chciałem go przywiązać do siebie, we własnym jego interesie. Widzisz, jak mi się udało! Patrz!

– Powstrzymaj go, panie Copperfield – zawołał Uriah cofając się i wyciągając swój długi wskazujący palec – powstrzymaj go! Może wyrzec słowo, którego pożałuje i którego sam pan pożałujesz, żeś usłyszał.

– Nic nie powiem – zawołał z rozpaczą starzec – lepiej mi jednak byłoby mieć cały świat przeciw sobie, niż znajdować się w twojej mocy!

– Słuchaj pan – ciągnął ostrzegawczo Uriah – słuchaj pan, panie Copperfield, zamknij mu usta przez przyjaźń samą. Po co masz pan, panie Wickfield, mieć cały świat przeciw sobie? Czy przez wzgląd na córkę? Ba! Ja i pan wiemy, co wiemy, to i dość! Na co budzić śpiące lichy! Nie ja to pewnie uczynię. Załagodzimy całe to nieporozumienie. Posunąłem się za daleko, co? Zgoda! Niech i tak będzie. Zgoda!

– O! Trotwood, chłopcze mój! – zawołał pan Wickfield łamiąc ręce. – Do czegom doszedł i jak nisko spadłem, odkąd widziałeś mnie po raz pierwszy tu, pod tym dachem. Pobłażliwość zgubiła mnie. Folgowałem sobie, by zapomnieć o cierpieniu, i żal mój srogi po utraconej matce mego dziecięcia, i miłość sama dla córki przedzierzgnęły się w słabość występłą. Zniszczyłem wszystko to właśnie, com najgoręcej umiłowałem. Wiem to, widzisz sam. Sądziłem, że można jedną tylko na świecie istotę umiłować i zapomnieć o reszcie. Sądziłem, że jedną oplakując można zerwać z żalem i boleścią świata całego. W tym cała leży omyłka. Zostałem pastwą mego serca tak, jakem się nad nim pastwił. Samolubny w żalu i boleści, w przywiązaniach samolubny, samolubny w ucieczce przed pamięcią i w zapomnieniu samolubny, upadłem. Och! Jakże nisko upadłem! Nienawidzić mnie, gardzić mną musisz!

Upadł na krzesło łkając. Uniesienie mijało, Uriah wysunął się z kąta, w który się uprzednio cofnął.

– Nie wiedziałem, com czynił – mówił łkając starzec – ale on wiedział. Stał się cieniem moim, jak zły duch podszeptował mi wszystko i widzisz, jaki mi młyński u szyi uwiązał kamień. Zdziwiłeś się niemało zapewne, zastając go tu – jako mego współnika. Słyszałeś, co dopiero mówił, cóż więcej rzec mogę?

– Powiedziałeś pan już i tak za wiele – wtrącił wyzywająco Uriah. – Nie brałbyś tego wszystkiego tak do serca, no... ano, na trzeźwo. Jutro sam pan to przyznasz. Jeśli, powtarzam, posunąłem się za daleko, to i cóż? Nie ma o czym mówić.

Drzwi się otwały i weszła Agnieszka. Śmiertelnie była blada; otoczyła ramieniem szyję ojca mówiąc poważnie:

– Niezdrow, widzę, jesteś, ojczulku! Chodź, pójdziemy. Oparł się na jej ramieniu wychodząc. Zdawał się pogiębiony przygniatającą go hańbą. Zamieniłem z Agnieszką spojrzenie. Domyślała się, co zaszło.

– Nie przypuszczałem, że się tak obrazi – ozwał się Heep, skoro drzwi za odchodzącymi się zamknęły. – Na honor, nie przypuszczałem. Przejdzie to do jutra i w najlepszej znów będziemy harmonii. Pracuję przecież dla jego dobra i korzyści.

Nie odpowiedziałem mu i poszedłem wprost na górę, do bawialnego pokoju, gdzie niegdyś trawiłem wieczory z książką u boku Agnieszki, pod okiem jej ojca. Północ wybiła, gdy poczułem na ramieniu dotknięcie Agnieszki.

– Wcześniej jutro odjedziesz; przyszedłem de pożegnać.

Oczy miała zapłakane, lecz była spokojna.

– Niech cię Nieba mają w swojej opiece – dorzuciła ujmując moją rękę.

– Agnieszko – przemówiłem – droga moja, kochana Agnieszko! W czym mógłbym być ci pomocnym?

– W Bogu mam nadzieję – odrzekła.

– A ja w niczym pomóc nie mogę, ja, co ci własne me przyniosłem troski?

– Chcesz ulżyć moim? To niepodobna! Dziękuję ci, przyjacielu!

– Nie moją to rzeczą – mówiłem – dawać ci rady, szlachetna moja, dobra, rozumna Agnieszko! Nie moja to rzecz. Ale wiesz przecie, jak mi droga jesteś, i możesz mi przyrzec, że się nie poświęcisz nigdy.

Wydała się zmieszana. Nigdy jej taką nie widziałem, cofnęła dłoń z mej dłoni i sama się cofnęła.

– Powiedz mi, obiecaj, że nie uczynisz tego nigdy, Agnieszko, droga, jedyna siostrzyczko moja! Że nigdy nie zapomnisz o królewskiej cenie takiego jak twoje serce, takiej jak twoja miłości!

O długo, długo zapomnieć nie mogłem chwilowego wyrazu jej twarzy i spojrzenia. Było tam zdumienie, wyrzut, żal jakiś, lecz wszystko to trwało zaledwie oka mgnienie i rozplynęło się w słodkim uśmiechu, z którym zapewniła mnie, że się o nią bać nie powinienem. Bratem mnie nazwała żegnając.

Ciemno jeszcze było i dzień nie wzeszedł, gdy nazajutrz wyjeżdżał. W białych braskach rozświtu myślałem o Agnieszce, gdy u drzwiczek pojazdu ukazała się ohydna twarz Uriaha.

– Copperfieldzie – ozwał się głosem przypominającym zgrzyt zardzewiałego żelaza – sądziłem, iż miło ci będzie posłyszeć na odjeźdźnym, że burza zażegnana. Wychodzę właśnie od niego. Pogodziliśmy się najzupełniej. Skromna moja pozycja i pokorny jestem, lecz... użyteczny, niezbędny, rozumie on to na trzeźwo. Poczciwy to człek bądź co bądź!

Mruknąłem coś niewyraźnego. Pochwalałem, że oddaje sprawiedliwość swemu pryncypałowi.

– Zapewne – odparł – niewiele znaczy pochwała takiego jak ja człowieka, lecz głos najpokorniejszy przebija Niebiosą. Wszak i panu musiało się zdarzać po niedojrzałe sięgać gruszki?

– Zapewne.

– Otóż właśnie mnie to się wczoraj wieczorem zdarzyło. Ale to nic. Gruszka dojrzeje! Mamy czas, a cierpliwym być umiem.

Rozplynął się w pożegnaniach u drzwiczek odjeżdżającego dylizansu. Nie wiem, co przeżuwał w ustach dla rozgrzewki, bo ranek był chłodny, lecz wiem, że smakował szeroką gębą, tak jak gdyby gruszka już była dojrzała, jak gdyby oblizywał po niej usta.

ROZDZIAŁ XL WĘDROWIEC

Wieczorem długo przy Buckingham Street rozmawialiśmy z ciotką o tym, com opowiadał powyżej. Ciotka zmartwiła się i przez parę godzin przechadzała po pokoju z założonymi na piersiach rękoma. Zauważyłem, że tak przechadzać się zwykła, gdy była wzruszona czy wzburzona. Tym razem potrzebowała snadź większej przestrzeni, gdyż otwarła na oścież drzwi do sypialnego pokoju i chodziła tam i z powrotem mierzonym, śmiałym krokiem. Pan Dick siedział w milczeniu przed kominkiem.

Po odejściu pana Dicka usiadłem do przepisywania listu do ciotek Dory. Ciotka tymczasem zmęczona chodzeniem usiadła przed ogniem unosząc jak zwykle rąbek sukni, tylko że nie trzymała jak zwykle szklanki z gorącym napojem na kolanach, lecz pozwalając, by przestygał na kominku, założyła rękę na rękę, oparła na nich brodę i wpatrywała się we mnie bacznie. Spotykałem się z jej wzrokiem za każdym razem, gdym podniósł oczy, a wzrok ten zdawał się mówić: „Nie gniewam się, mój drogi, lecz jestem zdumiona i zasmucona”.

Tak byłem zajęty, że dopiero po jej odejściu zauważyłem, że pozostawiła wieczorną swą porcję nietkniętą. Zapukałem do drzwi chcąc podać jej szklankę. Otworzyła.

– Dziękuję ci, nie mam dziś do niczego serca, dobranoc – rzekła potrząsając głową.

Nazajutrz rano przeczytała list mój pisany do ciotek Dory. Zadowolona zeń była. List wysłałem, wyczekując cierpliwie odpowiedzi. Tak minął cały tydzień, aż pewnego popołudnia wyszedłem był właśnie z Commons. Padał śnieg.

Dzień był chłodny, dął północno-zachodni wiatr, lecz ze zmierzchem ucichł i tylko śnieg słał się dużymi płatkami, przyciszając turkot kół i szmer stóp ludzkich. Ulice zdawały się opierzone na białe.

Najkrótsza droga do domu – a przy podobnej pogodzie najkrótszą obierałem drogę – wiodła przez St. Martin's Lane. Kościół, nadający nazwę przejściu, stał wówczas nie w tak otwartym jak obecnie miejscu. Przy bramie spotkałem kobietę. Spojrzała na mnie i przeszła na drugą stronę. Twarz ta była mi znana. Musiałem ją gdzieś widzieć. Gdzie? Tegom przypomnieć sobie nie mogłem, lecz widziałem już ją przedtem, za to mogłem ręczyć.

Na stopniach świątyni stał mężczyzna, złożony na świeżym śniegu zrzucony z pleców worek. Ujrawszy go poznałem od razu. Nie wiem, czy mnie zdziwienie przykuło do miejsca, lecz przechodzień odwrócił się, postąpił naprzód i oko w oko stanąłem z panem Peggotty.

Wówczas przypomniałem też sobie, gdzie widział dopiero dojrzaną twarz kobiecą. Była to Marta, ta sama, której niegdyś Emilka w kuchni mojej piastunki dawała jałmużnę... Marta ta sama, obok której, wedle zapewnień Hama, pan Peggotty nie pozwoliłby Emilce zatrzymać się na jedno oka mgnienie, za nic – za wszystkie mórz i łądów skarby.

Uściskaliśmy się. Przez długą chwilę żaden z nas nie mógł przemówić.

– Panie Davy – ozwał się wreszcie – kochany paniczu! Co za miłe spotkanie!

– Równie miłe jak niespodziane, stary mój, dobry przyjacielu!

– Miałem właśnie dowiedzieć się o pana dziś wieczorem, lecz usłyszałem tam, w Yarmouth, gdzie zachodził, że ciotka panicza mieszka tym razem z paniczem, i bałem się, czy nie za późno. Chciałem tedy zejść jutro rano, wcześniej, przed odejściem w dalszą drogę.

– W dalszą drogę? – spytałem. – Dokąd?

– Nie wiem, gdzie oczy poniosą – rzekł wstrząsając długie, śniegiem przysypane włosy.

Istniało jeszcze podówczas boczne wejście na dziedziniec gospody „Golden Cross”, pamiętnej mi z powodu okoliczności wiążących się właśnie z jego niedolą. Wziąłem go pod ramię i weszliśmy razem. Dwie czy trzy sale otwarte miały na dziedziniec drzwi i okna, wybrałem tę, w której nie było nikogo.

Przy świetle zauważyłem, że mu włosy porosły długie, a twarz ogorzała od słońca i wiatrów. Posiwał. Zmarszczki na czole i koło oczu pogłębiły się, snadź wszelkim przygodom i niepogodom stawiał czoło. Trzymał się jednak prosto, jak ten, co wytrwale do określonego, wytkniętego dąży celu. Nic go zatrzymać lub zawrócić z drogi nie mogło. Otrząsnął śnieg z płaszcza i kapelusza, otarł twarz, po czym usiadł naprzeciw mnie przy stole, tyłem do drzwi i wyciągnawszy swą szorstką dłoń ścisnął mnie znów silnie za rękę.

– Opowiem paniczowi, gdzie byłem i co słyszałem – rzekł. – Byłem daleko, lecz dowiedziałem się mało.

Zadzwoiłem na służbę, zgodził się na szklankę piwa i czekając, aż je ogrzeją, usiadł zamysłony. Na twarzy jego rozlana była powaga. Nie ośmieliłem się przerywać milczenia.

– Gdy małym była dzieckiem – począł podnosząc powoli głowę – prawda ciągle o morzu, o tych siwych sukniach, w które morze przyobleka się w dni pochmurne, i o tych połyskach słonecznych, które w dni pogodne odbija, mnoży na grzbiecie każdej fali! Uderzało to jej dziecięcą wyobraźnię, dlatego może, że jej ojciec utonął, i zdawało się jej, może myślała, że odpłynął gdzieś daleko ku zawsze zielonym brzegom.

– Zgodne to z dziecięcymi wyobrażeniami – zauważyłem.

– Gdyśmy ją stracili – mówił pan Peggotty – przyszło mi na myśl, że on wywiózł ją tam daleko, na obce brzegi. Cuda jej musiał opowiadać, cuda jej musiał, gołąbce mojej, obiecywać, tam daleko! Po widzeniu się z jego matką pewien już byłem, że tak jest, a nie inaczej. Przepłynąłem tedy kanał i znalazłem się we Francji.

Drzwi się uchyliły. Wpadło parę płatków śniegu. Więcej się jeszcze uchyliły, z cicha, ostrożnie przytrzymywała je ręka jakaś.

– Odszukałem tam – ciągnął pan Peggotty – pewnego dżentelmena, który był u władzy, i opowiedziałem mu o celu mej podróży. Zaopatrzył mnie w różne papiery, chciał dać pieniędzy, lecz tych nie potrzebowałem. Podziękowałem mu tedy ślicznie. „Będziemy pisać i mówić o panu, gdzie tylko się da – upewniał. – Nie zginiesz wśród obcych.” Wyraziłem mu raz jeszcze mą wdzięczność i puściłem się w drogę.

– Sam, pieszo? – spytałem.

– Po większej części pieszo – odrzekł – czasem wozem z jadącymi na targ chłopami, w pustych czasem dyliżansach, często w towarzystwie ubogich jakichś żołnierzy. Rozmawiać nie mogliśmy z sobą, lecz zawsze nie szliśmy osamotnieni po pustej drodze.

– Przybywając do miast – ciągnął – wchodziłem do karczm, wyszukując kogo bądź, kto by rozumiał po angielsku. Wówczas objaśniałem, że poszukuję mej bratanicy, i wywiadywałem się o znajdujących się w hotelach i zajazdach cudzoziemców, i pytałem, czy kto nie wi-

dział gdzie podobnej do Emilki kobiety? Rozpytawszy, szedłem dalej. Pomału, gdym się gdzie zjawiał, zauważyłem, że coś już o mnie słyszano. Wieśniacy wynosili mi jedzenie i picie, zapraszali na nocleg i niejedna matka, mająca równe wiekiem Emilce córki, wyczekiwała na mnie na rozstajnych drogach, pytając, czym nie wpadł na ślad zaginionej. Niektórym z nich śmierć wydarła ich dziewczęta. Bogu wiadomo, ile mi te kobiety okazały współczucia i dobroci.

W uchylonych ostrożnie drzwiach stała Marta. Pewien tego byłem i drżałem, by oglądając się, nie spostrzegł jej czasem pan Peggotty.

– Nieraz – ciągnął – sadzały mi na kolana swe dziatki, zwłaszcza dziewczątka, i nieraz wieczorem siadywałem na progu chat ich tak, jakbym siadywał wśród własnej dziatwy. O, moje kochanie!

Łzy go dławiły. Położyłem dłoń na ręce, którą zakrył oczy.

– Dziękuję, paniczu – rzekł. – To przejdzie.

Po chwili odjął rękę od oczu i zakładając ją na piersi, ciągnął:

– Nieraz rano przeprowadzały mnie poza wieś, a gdym żegnał je dziękując, wyglądały zawsze tak, jak gdyby rozumiały moje słowa. Przybyłem wreszcie na brzeg morza. Nietrudno mi było, psu morskiemu, dostać się do Włoch. Tam znalazłem się od razu jak w znajomym miejscu. Ludziska zawsze byli dla mnie względni i dowiedziałem się, że ją widziano, tam w górach, w Szwajcarii. Ktoś, kto znał jego lokaja, opowiedział mi, że widział ich razem podróżujących. Dniem i nocą podążałem w góry, ale im dalej szedłem, tym dalej góry uciekały. Przeszedłem je wreszcie, do upatrzonego dotarłem miejsca. Tu dopiero pomyślałem, co poczną, gdy ją zobaczę.

U drzwi podsłuchiwała wciąż ta sama kobieta; ręce jej wyciągnęły się ku mnie błagalnie, abym jej nie zdradził.

– Ani na chwilę, nigdy – twierdził pan Peggotty – nie zwątpiłem o niej. Niech tylko, myślałem sobie, ujrzy mnie, głos posłyszysz, przypomni dom opuszczony, dzieciństwo swe, chociażby królową została, myślę sobie, do nóg mi upadnie. Wiedziałem, że tak będzie. Wiedziałem. Ani na chwilę nie wątpiłem. Ileż razy śniło mi się, że woła „stryju” i jak martwa w objęcia mi pada. „Emilko serce moje, wszystko przebaczone, zapomniane, wracajmy razem do domu”.

Umilkł na chwilę, potrząsnął głową i tak dalej mówił:

– Nic o nim nie chciałem wiedzieć, Emilka wszystkim mi była. Kupiłem dla niej prostą, wieśniaczą suknię i wiedziałem, że pójdzie za mną po kamienistej drodze i nie opuści mnie więcej. Przykryć ją nową tą suknią, precz odrzucić wszystko, co przedtem miała na sobie, wziąć ją pod ramię, wracać z nią, zatrzymywać się po to tylko, by wypoczęły strudzone jej nogi, zranione biedne serce, oto o czym myślałem. Na niego nie spojrzełbym nawet. Ale, panie Davy, spóźniłem się. Odjechali! Gdzie? Dowiedzieć się nie mogłem. Jedni mówili – tam, inni – ówdzie. Chodziłem tam, chodziłem ówdzie, ale nigdzie nie mogłem znaleźć. Wróciłem do domu.

– Dawno?

– Przed kilku dniami. Wieczorem spojrzałem w okna łodzi, świeca stała. Zbliżywszy się zajrzałem do środka. Przed ogniem siedziała poczciwa pani Gummidge, sama, jak było umówione. Zapukałem do drzwi mówiąc: „Nie bój się, ja to, ja sam, Daniel”. Wszedłem. Anim przypuszczał kiedy, aby łódź mogła być tak pusta.

Z kieszeni na piersiach wydobyl ostrożnie paczkę, zawierającą dwa czy trzy listy. Rozłożył je na stole.

– To pierwszy – rzekł wybierając. – Nadszedł w tydzień po moim odejściu. Pięćdziesiąt funtów w banknotach w kopercie pod moim adresem. Ktoś położył to na progu. Kochanie moje! Oszukać mnie chciała zmieniając pismo.

Starannie, po dawnych załomach, złożył kartkę i odsunął ją na bok.

– Ten – mówił rozkładając drugi list – pani Gummidge otrzymała przed dwoma czy trzema miesiącami. Popatrzył na list i podając mi go dodał:

– Niech panicz z łaski swojej przeczyta.

Czytałem, co następuje:

Ach! Co tam pomyślicie widząc to pismo i widząc, że moja to niegodziwa kreśli ręka. Nie dla mnie, nie zasługuję na to, ale przez pamięć na stryja otwórzcie mi serce na chwilę. Proszę i błagam o to. Weźcie kawałek papieru i napiszcie na nim jedno, jedyne słówko: jak się stryj miewa i co mówi o mnie, jeśli tam jeszcze mnie wspominać kiedy! Czy wieczorem, wracając, ogląda się jeszcze czasem za tą, którą niegdyś tak czule kochał? Serce mi pęka, gdy myślę o tym. Klękam przed wami i błagam, abyście nie byli dla mnie tak srodzy, jak na to zasługuję, wiem, że zasługuję, lecz abyście się zlitowali nade mną i napisali mi jedno, jedyne słówko. Nie nazywajcie mnie „waszą” ani „kochaną”, ani żadnym z tych słodkich imion, do których utraciłam prawo, ale zlitujcie się nade mną, donieście coś o kochanym stryju, którego już nigdy, nigdy oczy me nie ujrzą.

Droga pani! Jeśli nie chcesz otworzyć mnie niegodnej swego serca, wysłuchaj pokornej i gorącej prośby, spytajcie tego, komu największą wyrządziłam krzywdę, czyją żoną powinnam była zostać, jak macie postąpić, a jeśli on się ulituje i powie, żebyście do mnie napisali słówko, jedno słówko – a myślę, że tak powie, gdyż dobrym był zawsze, litościwym – powiedzcie mu, nic więcej, tylko to, że gdy w nocy słyszę szum wiatru, myślę zawsze, że wieje stamtąd od niego i od stryja pędzi wprost do nieba ze skargą na mnie niegodziwą. Powiedzcie mu, że jeśli jutro umrzeć mogła (Och! Jak tego gorąco, gorąco pragnę!), ostatnim tchnieniem błogosławić będę jego, stryja, cały mój dom kochany.

I w tym liście były pieniądze, pięć funtów. I te, jak tamte, pozostały nietknięte. Pan Peggotty odłożył je wraz z listem w kopertę. Dodany był szczegółowy adres, lecz odmienną pisany ręką i tak zawily, że nie mógł dostarczyć wskazówek dla odnalezienia piszącej.

– Czy odpowiedzieliście na ten list? – spytałem.

– Pani Gummidge – odparł pan Peggotty – nie bardzo piśmienna, ale Ham napisał brulion, który poczciwa kobieta, jak mogła, najstaranniej przepisała. Oznajmiła Emilce, że poszedłem ją szukać, i przesłała jej ostatnie moje – pamiętasz pan? – słowa.

– A ten trzeci list?

– Nie list to, lecz znów pieniądze, dziesięć funtów i kartka: *Od szczerego przyjaciela*. Tak jak w pierwszej kopercie. Ale tamtą położono na progu, to nadeszło onegdaj pocztą. Otóż stempel posłużył mi za wskazówkę. Tam idę.

Stempel wskazywał nadreńskie miasto. Wyszukał w Yarmouth kupca, który znał tę miejscowość i użyczył mu mapy. Mapę tę pan Peggotty rozłożył teraz na stole i oparłszy brodę na jednej ręce, wskazującym palcem drugiej wodził po niej pracowicie.

Spytałem go o Hama. Potrzęsnał głową.

– Pracuje – odrzekł – poczciwiec, na dobre sobie wszędzie zasłużył imię. Każdy mu sprzyja i on każdemu pomoc gotów. Słowa skargi nikt jeszcze z ust jego nie słyszał, ale siostra moja utrzymuje – niech to pomiędzy nami zostanie – że już po nim.

– Łatwo w to wierzyć! Biedak!

– Ot tak, powiem, paniczowi, istotnie pomiata swym zdrowiem i życiem. Znajdziesz go, gdzie najcięższa praca i gdzie największe niebezpieczeństwo, tam jego pełno. Spokojny, łagodny jak zawsze. Znają go i kochają wszystkie dzieci w Yarmouth.

Zebrał listy, złożył starannie, związał razem i schował niemal z czułością w zanadrze. Tymczasem z uchylonych drzwi zniknęła twarz kobieca; tylko płatki śniegu wpadały do wewnątrz.

– A teraz – powiedział pan Peggotty spoglądając na swój wór podróży – ponieważ widziałem się z paniczem, jutro raniutko ruszać mogę dalej. Panicz widział, co mam z sobą –

wskazał kieszeń na piersiach – i to mnie tylko niepokoi, aby mi się jakie nieszczęście nie przytrafiło, zanim zdołam zwrócić te pieniądze. Jeślibym zmarł albo zginął gdzie czy został okradziony, a pieniądze te nie wróciły tam, skąd wyszły, nie miałbym chyba i w grobie spokoju. Dlatego tylko chciałem wrócić.

Powstał i ja także. Uścisnęliśmy się przed wyjściem.

– Przebiegnę tysiące mil – mówił – i nie spocznę, aż mu oddam precz te pieniądze. Byle znaleźć Emilkę! Jeśli nie uda mi się odnaleźć jej, gdybyż przynajmniej dowiedzieć się mogła, żem szukając wyzionął ducha! Na tę wieść to już pewno wróci do domu.

Wyszliśmy. W nocnym mroku mknęła przed nami kobieca postać. Zatrzymałem pana Peggotty przy drzwiach, dopóki postać ta nie znikła mi zupełnie z oczu.

Wspomniał o gospodzie przy drodze do Dover, gdzie znajdzie skromny, tani nocleg. Odprowadziłem go do Westminster Bridge i rozstaliśmy się na grobli! Zdawało mi się, że coś zmilkło i w głąszę zapadło wraz z oddalającym się w śnieżnej zamieci wędrowcem.

Wróciłem na dziedziniec zajazdu, szukając dojrzanej tam twarzy. Znikła. Nawet ślady kroków śnieg zasypał. Moje tylko świeże ślady pozostały widoczne, a i te zaczęły znikać, gdym się za nimi oglądał.

ROZDZIAŁ XLI CIOTKI DORY

Nadeszła na koniec wyczekiwana odpowiedź. Staruszki przesyłały pozdrowienie panu Copperfield, wraz z zapewnieniem, że list jego wzięły pod rozwagę dla dobra obu stron. Wyrażenie to mrowiem mnie przejęło nie tylko dlatego, że dotyczyło zajęć uprzednich, lecz i dlatego, że zauważyłem już w życiu, iż wyrażenia podobne bywają zwykle nader elastyczne, dają się najrozmaiciej naginać do okoliczności i do niczego nie zobowiązują. Dalej panny Spenlow uważały za rzecz niestosowną omawiać przedmiot „takiej wagi” korespondencyjnie i prosiły pana Copperfielda o ustne porozumienie. W naznaczonym dniu oczekiwały jego odwiedzin w towarzystwie, jeśli można, zaufanego jakiego przyjaciela.

Na list ten pan Copperfield odpisał natychmiast oświadczając, że stosownie do żądania panien Spenlow w naznaczonym przez nie dniu będzie miał zaszczyt przedstawić się im w towarzystwie przyjaciela swego, pana Tomasza Traddlesa, jurysty. Po wysłaniu tej odpowiedzi pan Copperfield wpadł w nerwowe podniecenie, w którym do dnia odwiedzin pozostał.

Położenie zaostrzało się tym bardziej, że brakło mi pomocy panny Mills, bowiem pan Mills, który zawsze stawać musiał w poprzek mym planom – tak mi się przynajmniej zdawało – postanowił udać się właśnie do Indii. Po co do Indii? Po to chyba, aby tym utrudnić moje obecne położenie? Czyż nie prowadził handlu ze Wschodem, który mi się przedstawiał jako stopy kaszmirów i słoniowej kości? Czyż w młodości swej nie zamieszkiwał Kalkuty? Małoż mu tego było? I oto teraz znów w te gorące kraje chciał dążyć? Nie tylko sam odjeżdżał, lecz ciągnął za sobą córkę, która obecnie wyjechała na wieś, by pożegnać krewnych. Dom w Londynie zwijali, rozprzedając meble i sprzęty. Nawet magiel przejść miał w obce ręce. Przewrót kompletny, a jam nie miał jeszcze czasu przyjść do siebie po uprzednim wstrząsie.

Długo debatowano, jak mam się ubrać na tę ważną wizytę. Walczyłem pomiędzy chęcią wyglądaną jak najlepiej a strachem skompromitowania czymś mej powagi w oczach panien Spenlow. Usiłowałem zachować miarę, ciotka pochwaliła to umiarkowanie, a pan Dick, gdyśmy z Traddlesem schodzili ze schodów, cisnął za mną stary trzewik.

Traddles był najpocziwszym pod słońcem chłopakiem, kochałem go z całego serca, lecz mógłby na tę okazję lepiej wyszczotkować włosy. Włosy te nieszczęsne sterczały mu na głowie jak kolce jeża. Spojrzałem nań z przerażeniem. Mogło to nas zgubić.

Ośmieliłem się zauważyć to, prosząc go jednocześnie, czyby nie mógł przyplaszczyć włosów.

– Zrobiłbym to chętnie – rzekł zdejmując kapelusz i gładząc czuprynę – ale widzisz, nic nie pomaga, nie ma na to rady.

– Jak to, nie ma rady?

– Ano! Widzisz, nic nie pomaga! Przygniótłbym stufuntowym ciężarem, podłożyłbym pod prasę, nic nie pomoże – znów się podniosą. Nie masz wyobrażenia, jaka to uparta szczecina.

Zdetonowany byłem, lecz zachwycony jak zawsze prostotą i dobrocią mego przyjaciela. Powiedziałem mu, że chyba jego upór wyraża się we włosach, gdy tymczasem on sam zawsze skłonny bywa do wszelkich ustępstw.

– Och! Z tymi włosami! – mówił Traddles. – Stoją mi one na zawadzie od samej kolebki. Żona mego wuja cierpieć ich nie mogła, działały jej na nerwy. O mało co nie stanęły też pomiędzy mną a Zofią.

– Nie podobały jej się?

– Jej? Owszem, ale starsza siostra, wiesz, owa piękność, żartowała z nich ciągle... sądzę, że się wszystkie śmiały.

– Przyjemne! – zauważyłem.

– A tak – dobrodusznie odparł Traddles – bawi to je, utrzymują, że Zofia pukiel mych włosów, który posiada, pod prasą trzymać musi. Śmiejemy się z tego.

– Wiesz co, mój drogi – rzekłem – muszę się uciec do twego doświadczenia. Gdyś się zakochał w swej Zofii, czy byłeś zmuszony oświadczać się jej rodzinie? Czy przeżyłeś podobne memu dzisiejszemu przejście?

Po poczciwej jego twarzy przemknęła chmura.

– Ze mną, widzisz, niełatwa była sprawa – rzekł. – Mówiłem ci już, jak dalece Zofia jest użyteczna w rodzinie. Nie mogą się tam bez niej obejść: nie przypuszczali, aby kiedykolwiek miała wyjść za męża, i nazywali ją nawet zawsze „starą panną”. Toteż gdy z największą ostrożnością wspomniałem o zamiarach moich pani Crewler...

– Matce?

– Matce, żonie wielbnego Horacjusza Crewlera. Gdy wspomniałem z największą ostrożnością, krzyknęła i zemdląła. Miesiące upłynęły, zanim ośmieliłem się przemówić powtórnie.

– Jakże to było ?

– Pomógł mi sam wielbny Horacjusz. Najgodniejszy to pod słońcem człowiek. Przekonał żonę, że winna zrobić tę ofiarę, że zaś ofiara odległa jeszcze jest, powinna mi wybaczyć. Co do mnie, upewniam cię, zdawało mi się, że jestem co najmniej jastrzębiem w gołębniku.

– Ale siostry musiały być za tobą?

– Nie mogę tego powiedzieć. Gdy skończyłem z matką, przyszła kolej na Sarę, wiesz, tę, co niedomaga, chorą na kręgosłup.

– Pamiętam.

– Załamała rękę, przewróciła oczy, zbladła jak chusta, padła bez zmysłów. Przez dwa dni nic do ust nie wzięła oprócz grzanek z wodą.

– Nieznośna dziewczyna – zauważyłem.

– Przeciwnie, mój drogi, śliczne to, kochane dziewczę. Taka przy tym uczuciowa. Wszystkie one zresztą są uczuciowe. Zofia mówiła mi potem, że nikt nie zdoła wyobrazić sobie, jakich się od Sary nasłuchiwała wyrzutów. Wierzę bardzo. Czuję, jakbym popełnił jakąś zbrodnię. Po Sarze przyszła kolej na pozostałe osiem, a na każdej wywarło to piorunujące wrażenie. Dwie najmłodsze, te, których wychowaniem Zofia się zajmuje, znieawidziły mnie.

– Teraz się przynajmniej z tobą pogodziły?

– Ta-ak, trochę. Nie mówimy o tym, a zwłoka i niepewność mego położenia uspokajają je nieco. Wyobrażam sobie, co to będzie przy zaślubinach. Wesele podobne będzie pogrzebowi. Czym zdołam ukoić żal ich, gdy im odbiorę Zofię?

Mówił to, pamiętam, zupełnie poważnie, zafrasowany, na co zresztą wówczas nie zwracałem szczególniejszej uwagi, tak zajęty byłem sobą. Zbliżaliśmy się właśnie do mieszkania

ciotek Dory, a wzruszenie moje wzrastało. Traddles zaproponował, by odświeżyć się szklanką piwa. Wypiwszy je zadzwoniliśmy do drzwi panien Spenlow.

Wydało mi się, gdy służąca otworzyła nam, że oczy niezliczonego tłumu na mnie się zwracają. Przeszedłszy przez pusty hall, w którym wisiał barometr, znaleźliśmy się w małym bawialnym pokoju z wychodzącymi na ogródek drzwiami. Pamiętam, że po zdjęciu kapelusza włosy Traddlesa przedstawiały widok opłakany: wyglądał jak te komiczne, za naciśnięciem sprężyny z pudełek wyskakujące figury. Pamiętam, że stary, na konsoli stojący zegar nie uderzał tak silnie jak bijące mi w piersiach serce. Pamiętam, że się oglądał nieśmiało dokoła, spodziewając się dostrzec choć cień Dory. Pamiętam, że z dala dochodziło warczenie Jipa. Pamiętam wreszcie, że odepchnąłem Traddlesa pod kominiek kłaniając się nisko przed dwiema starszkami, przedstawiającymi zdrobniały i szerniały wizerunek nieboszczyka pana Spenlow.

– Proszę siadać – ozwała się jedna z nich. Potknąłem się o Traddlesa, o mało nie usiadłem na kotce i teraz dopiero zauważyłem, że pan Spenlow musiał być najmłodszym z rodzeństwa, a pomiędzy siostrami było sześć do siedmiu lat różnicy. Młodsza trzymała w ręku mój list nadając ton całej wizycie. Na list spoglądała przez szkła. Obie jednakowo były odziane, lecz młodsza odznaczała się pewną elegancją, miała więcej wstążek, bransolet, szpilek, była żywsza w ruchach. Obie zresztą spokojnie i wytwornie trzymały się prosto, a starsza z założonymi na piersiach rękoma podobna była do posągu.

– Panie Copperfield – przemówiła młodsza zwracając się do Traddlesa.

Zły początek. Traddles wyjaśnił, że to ja właśnie jestem panem Copperfieldem. Obie panie zdziwiły się bardzo. Tam, gdzie z dali, dochodziło warczenie Jipa. Ktoś go upominał chcąc uciszyć.

– Panie Copperfield – zwróciła się już tym razem do mnie dama z listem.

Ukloniłem się.

– Siostra moja Lawinia – ozwała się starsza dama – znając się na podobnych sprawach, powie panu, panie Copperfield, cośmy uchwały jako najstosowniejsze dla zapewnienia szczęścia obu stron.

Z czasem dowiedziałem się, że znajomość spraw sercowych panna Lawinia zawdzięczała niejakiemu panu Ridgerowi, który grywał w wista i uchodził za zakochanego w jej osobie. Zdaniem moim, pan Ridger najniesłuszniej był o to posądzany i żadna poszlaka nie zdradzała nigdy stanu jego uczuć, lecz obie te panie, panna Lawinia i panna Klarysa, najmocniej były przekonane, że od oświadczyn powstrzymała go tylko śmierć przedwczesna (około sześćdziesiątki) z nadmiernej ilości zażywanych trunków, jak utrzymywali niektórzy, z miłości, wedle przekonania starych panien. Przechowywano jego portret o rozkwitłym, wymownie przeciw tymże posądzeniom świadczącym nosie.

– Nie wspominajmy przeszłości – rzekła panna Lawinia. – Zapieczętowała ją śmierć naszego brata.

—Wprawdzie—dodała panna Klarysa – nie widywałyśmy się prawie z bratem naszym, lecz nie istniały pomiędzy nami żadne poważne nieporozumienia. Francis szedł swoją, my zaś swoją drogą, uważając, że tak lepiej będzie dla stron obu, jak też istotnie było.

Obie siostry, mówiąc, pochylały się nieco w przód, obie też, gdy kończyły mówić, prostowały się. Panna Klarysa nie rozkładała złożonych na piersiach rąk, czasem tylko końcami palców wygrywała ciche jakieś arie, menuety zapewne, gawoty może.

– Położenie bratanicy naszej – mówiła panna Lawinia – zmieniło się bardzo ze śmiercią jej ojca, toteż mamy prawo wnioskować, że wraz ze zmianą położenia zmieniłby się i pogląd naszego brata w sprawie dotyczącej celu pańskich odwiedzin, panie Copperfield. Nie mamy powodu powątpiewać o charakterze i zdolnościach pańskich i przekonane jesteśmy, o tak, święcie przekonane o przywiązaniu pańskim do bratanicy naszej.

Upewniłem je, że się nie mylą, że nikt nigdy nikogo nie kochał, nie mógł kochać tak, jak ja kocham Dorę. Traddles pomrukiwał twierdząco.

Panna Lawinia miała zabrać głos, gdy panna Klarysa, powracając do wspomnień o bracie, przerwała jej:

– Jeżeliby matka Dory, a żona brata naszego Francisa, nie sądziła, że nie ma u jej stołu dość miejsca dla pomieszczenia całej rodziny, lepiej by na tym wyszły obie strony.

– Siostro! Klaryso! Zapomnijmy o tym – upewniała Lawinia.

– Siostro! Lawinio! – odparła starsza. – Wiąże się to z obecną naszą rozmową. W to, co do ciebie należy i w czym wprawniejsza jesteś ode mnie, mieszać się nie myślę, ale w tym znów mam głos swój i zdanie. Otóż, powtarzam, dla obu stron lepiej byłoby, jeśliby matka Dory, a żona brata naszego Francisa, od razu postąpiła otwarcie. Wiedziałybyśmy, czego się mamy trzymać. Powiedziałybyśmy jej: „Prosimy cię, nie zapraszaj nas nigdy” – i wszelkim nieporozumieniom położony byłby raz na zawsze kres.

Gdy panna Klarysa milkła, panna Lawinia zaczynała mówić przyglądając się ustawicznie przez szkła listowi, który trzymała w ręku. Oczy miały obie okrągłe, ptasie. W żywości ruchów ich, w całej drobnej postawie było też coś ptasiego. Podobne były do kanarków. Panna Lawinia tak mówiła:

– Siostra moja Klarysa i ja użyczamy panu, panie Copperfield, pozwolenia bywania w naszym domu w charakterze starającego się o bratanicę naszą, Dorę Spenlow.

– Jeśli się podobało bratu naszemu – wtrąciła Starsza – zamknąć się w murach Commons, nie nasza to była rzecz. Skoro Francis, jak i żona jego mogli sobie wybrać, jakie się im podobało towarzystwo, to chyba ja i Lawinia też możemy wybrać sobie takie, jakie się nam podoba.

Ponieważ pytanie to zwracało się do mnie i do mego przyjaciela, obowiązkiem naszym było udzielić twierdzącej odpowiedzi. Nikt nie potrafiłby określić, co zawierało mruczenie Traddlesa, co do mnie, zapewniłem o słuszności tego zdania.

– Siostro Lawinio! Mów, duszko – ozwała się panna Klarysa.

Panna Lawinia mówiła:

– Z wielką uwagą siostra moja Klarysa i ja przeczytałyśmy list pański, panie Copperfield. Pokazałyśmy go ostatecznie bratanicy naszej i omówiłyśmy z nią jego treść. Nie wątpimy, że wyobrażasz pan sobie, iż ją kochasz...

– Wyobrażam! – zawołałem. – Och! Pani... Powstrzymało mnie ptasie spojrzenie panny Klarysy.

Nie powinienem był przerywać wyroczni.

– Bo to – ciągnęła spoglądając znacząco na siostrę panna Lawinia – prawdziwe, głębokie, stałe, dojrzałe przywiązanie nie bywa skore do oświadczyń. Wyraża się lęklwym milczeniem, skromne jest, cofa się, wyczekuje. Takie bywa prawdziwe, głębokie, dojrzałe przywiązanie! Czasem życie całe przejdzie, a ono się nawet nie wychyli z cienia.

Nie wiedziałem wówczas, do czego ta mowa była skierowana, lecz po kiwaniu głową panny Klarysy domyśliłem się aluzji ukrytej w tych słowach.

– Natomiast lekkie – ciągnęła panna Lawinia – o jakże lekkie uczucia młodzieńcze, w porównaniu z tymi, o których dopiero mówiłam, wyglądają jak pył przy skale. Z tego to względu siostra moja Klarysa i ja niepewne byłyśmy, co w tym wypadku począć, panie Copperfield i panie...

– Traddles – powiedział mój przyjaciel.

– Przepraszam pana! Tak właśnie, Traddles – mówiła panna Lawinia spoglądając przez szkła na mój list. – Tak właśnie, Traddles, jurysta.

Traddles zarumienił się po uszy.

Co do mnie, chociaż nie byłem jeszcze do tego upoważniony, zdawało mi się, że słowa panny Lawinii, ciekawość takich szczegółów jak zawód mego przyjaciela najlepsze mi rokują

nadzieje. Zdawało mi się, że panna Lawinia bierze młodociane me uczucia pod swą opiekę, a panna Klarysa wtóruje jej zwracając się pamięcią ku bratu i zerwanym z nim stosunkom. To dodało mi odwagi, by zapewnić ponownie te panie, że kocham Dorę więcej, niż zdołam wyrazić, niż kto bądź zrozumieć to potrafi. Odwołałem się do świadectwa przyjaciela mego Traddlesa; poparł mnie z zapałem, jak gdyby szło o przekonanie całego aeropagu sędziów. Wywarło to na staruszkach jak najlepsze wrażenie.

– Mówię zresztą z własnego doświadczenia – odezwał się Traddles – ponieważ sam jestem zaręczony z młodą osobą, jedną z dziesięciu siostr w Devonshire, i na razie nie wiem jeszcze, kiedy miłość ma uwieńczona zostanie...

– Więc zgadzasz się pan na to, com dopiero rzekła – zawołała uradowana panna Lawinia – że prawdziwe przywiązanie skromne bywa, cofające się, wyczekujące...

– Najzupełniej się z tym zgadzam, pani.

Panna Klarysa pokiwała głową patrząc na siostrę, panna Lawinia zaś zamieniła z nią spojrzenie i westchnęła cicho.

– Siostro Lawinie! Oto flakonik z octem! – zawołała panna Klarysa.

Panna Lawinia podniosła do nosa flakonik i patrząc przyjaźnie na Traddlesa mówiła dalej:

– Siostra moja i ja nie wiedziałyśmy doprawdy, panie Traddles, co myśleć o tym młodocianym przywiązaniu. Mogło ono być złudzeniem tak ze strony pana Copperfielda, jak i bratanicy naszej.

– Córki brata Francisa – wtrąciła panna Klarysa. – Ha! Jeśliby matka Dory, a żona brata naszego, uważała za stosowne wezwać nas do swego stołu, lepiej byśmy знаły naszą bratanicę i wiedziały, co o tym sądzić. Mów dalej, siostro Lawinio!

Panna Lawinia odwróciła mój list, szukając wzrokiem uwag, jakie na nim poczyniła ołówkiem.

– Wypada nam, panie Traddles – poczęła zasięgnąwszy rad owych notatek – wypróbować uczucia, z jakimi się przyjaciel pański oświadcza. Ale dotychczas nie wiemy jeszcze ostatecznie, co o nich sądzić mamy. Dla naocznego przekonania się o ich wartości, upoważniamy pana Copperfielda do bywania w domu naszym.

– Nigdy nie zapomnę wdzięczności, jaką winienem paniom! – zawołałem uszczęśliwiony.

Ale – dodała panna Lawinia – na razie przynajmniej, chcemy traktować wizyty pana Copperfielda jako składane nam, ciotkom Dory. Nie zobowiązujemy się niczym, dopóki nie nadarzy się nam sposobność...

– To jest, dopóki tobie nie nadarzy się sposobność, siostro Lawinio – wtrąciła panna Klarysa.

– Niech i tak będzie – westchnęła panna Lawinia – dopóki tedy nie nadarzy mi się sposobność wypróbowania tych uczuć.

– Zgodzisz się zapewne, Copperfieldzie – zwrócił się do mnie Traddles – na słuszność stawianego żądania?

– Najzupełniej! – zawołałem uszczęśliwiony.

– W takim razie – mówiła panna Lawinia znowu zaglądając do swych notatek – musimy nadto wziąć od pana Copperfielda słowo honoru, że nie będzie w tajemnicy przed nami dążył do żadnych porozumień z bratanicą naszą, żadnego nie uczyni kroku, z którego by się pierwszej nie zwierzył nam...

– Tobie, siostro Lawinio!

– Niech i tak będzie – westchnęła panna Lawinia – z którego by się tedy mnie nie zwierzył. Na to musimy mieć słowo pana Copperfielda, aby żadne w tej mierze nie powstało nieporozumienie. Jeśli pan, panie Traddles, lub przyjaciel pański możecie mieć w tym względzie jakąś wątpliwość, pozostawimy to wam do namysłu.

Zapewniłem, że namysł jest niepotrzebny, zobowiązałem się słowem honoru, biorąc Traddlesa na świadka, i oświadczyłem, że gardziłbym sam sobą, jeślibym się w najmniejszej mierze sprzeniewierzył danemu słowu.

– Stój pan – zawołała panna Lawinia podnosząc rękę – stój pan! Umówione było między nami, że damy panom kwadrans czasu do namysłu. Odetchniemy tedy, za pozwoleniem...

Darmo upewniałem, że namysł jest zbyteczny. Tak było umówione, więc wyszły pełne ptasiej godności, pozostawiając mnie z Traddlosem, który się rozplątał w powinszowaniach. Równo po upływie kwadransa zjawiły się szeleszcząc jedwabnymi sukniami, tak jak gdyby ptasie skrzydła ciągnęły po zeschniętych jesiennych liściach.

Powtórzyłem uprzednie przyrzeczenie.

– A teraz twoja kolej, siostrzo Klaryso! - rzekła panna Lawinia. Panna Klarysa po raz pierwszy rozłożyła ręce, otwierając mały leżący przed nią notatnik.

– Miło nam będzie – mówiła czytając w notatniku – widywać co niedzielę pana Copperfielda przy naszym stole. Obiadujemy o trzeciej.

Skłoniłem się.

– W tygodniu miło nam będzie gościć u siebie pana Copperfielda wieczorem. O pół do siódmej pijamy herbatę.

Znów się skłoniłem.

– Zatem dwa razy na tydzień – rzekła – odwiedzać nas pan zechce.

Znów się skłoniłem.

– Może też wzmiankowana w liście pańskim ciotka jego, panna Trotwood, odwiedzić nas raczy? Jeśli wymiana wizyt ma wyjść na dobre dla obu stron, chętnie je przyjmujemy i oddajemy wzajemnie. Lecz jeśli, jak to sądził nasz brat, Francis, przerwanie stosunków ma wyjść na dobre obu stronom, to znów co innego.

Upewniłem, że ciotka moja pragnie mieć zaszczyt poznać te panie, chociaż w rzeczy samej wątpiłem, aby się mogły wzajemnie sobie podobać. Tak załatwiwszy całą tę sprawę, ucałowałem z kolei ręce obu staruszek.

Wówczas panna Lawinia, przeprosiwszy Traddlesa, zaproponowała mi przejście z nią do dalszych pokojów. Przebiegł mnie dreszcz rozkoszy. Przy samych drzwiach, a może i z uszkiem u klamki, stała moja Dora! Jip siedział w kominku, z pyszczkiem owiniętym ręcznikiem.

Och! Jakże piękna była w czarnej, żałobnej sukni! Jak płakała, nie mogąc się długo uspokoić! Jakże byłem szczęśliwy! Wydobyliśmy Jipa z kominka i uwolniliśmy z więzów. Warczał i sapał długo jeszcze.

– Doro! Droga moja, jedyna, moja Doro!

– O! Nie!

– Czyż nie jesteś moją, na zawsze moją?

– Tak, ale... takim wystraszona!

– Wystraszona! Doro!

– Nie mogę go ścierpieć, po co on tu przyszedł?

– Kto, kochanie?

– A ten, ten tam twój przyjaciel. Co mu do tego wszystkiego? Głupi być musi, prawda? Czarująca była z dziecięcym kapryśnym grymasem;

– Najlepszy pod słońcem chłopak! – zawołałem.

– Ależ nam „najlepszy pod słońcem chłopak” niepotrzebny.

– Poznasz go i polubisz, zobaczysz – upewniałem i przekonywałem. – Ciotka moja wkrótce tu przybędzie, polubisz ją pewno.

– Nie, nie, nie przyprowadzaj jej tu – mówiła Dora wśród szybkich pocałunków, załamując rączkę. – Nie, nie chcę, to taka nudna, zła, stara musi być baba! Nie chcę jej widzieć, Doady...

„Doady” było spieszczaniem imienia Dawid.

Co tu mówić. Śmiałem się, podziwiałem moją grymaśnicę, kochałem ją. Pokazała mi nowe sztuczki, których wyuczyła Jipa. Na mgnienie oka służył oparty o poręcz fotela i natychmiast opadał na cztery łapki. Przypatrywałem się temu całymi godzinami, pozostawiając Traddlesa na pastwę obu staruszek, lecz panna Lawinia uznała za stosowne przerwać mą ekstazę. Panna Lawinia lubiła bardzo Dorę i upewniała, że za młodu zupełnie była do niej podobna. Jakże się więc bardzo zmieniła! Bawiła się Dora jak cackiem. Chciałem prosić Dorę, by wyszła i pozwoliła mi przedstawić sobie Traddlesa, lecz uciekła na tę propozycję, zamykając się na klucz w swoim pokoju.

Gdyśmy wyszli, Traddles powiedział:

– Wszystko jest jak najlepiej! Jakież to miłe staruszki! Nie zdziwi mnie wcale, jeśli się na kilka lat przede mną ożenisz.

– Czy twoja Zofia jest muzykalna? – pytałem.

– O tyle, o ile potrzeba, by dawać siostrzyczkom lekcje muzyki – odrzekł.

– Czy śpiewa?

– Czasem, piosenki, wiersz, dla rozweselenia rodzeństwa, wcale nieuczenie.

– A grywa na gitarze?

– O, nie!

– Maluje?

– Wcale nie.

Z dumą obiecałem przyjacielowi memu, że posłyszysz Dorę grającą na gitarze, śpiewającą, że pokażę malowane przez nią kwiaty. Odpowiedział, że mu to sprawi prawdziwą przyjemność i tak wracaliśmy do domu pod rękę w wybornych humorach. Mówił mi o swej Zofii, jak zawsze, z ufnością, przywiązaniem. Nie porównywałem jej nawet w myśli z Dorą, przyznając jednak w głębi serca, że dla Traddlesa poczciwa ta, zacna dziewczyna będzie stosowną żoną.

Naturalnie ciotka dowiedziała się natychmiast o pomyślnym obrocie całej sprawy. Ucieszona tym szczęściem obiecała złożyć wkrótce wizytę ciotkom Dory, lecz wieczorem, kiedym pisał do Agnieszki, chodziła wzdłuż i wszerz pokoju tak długo, że mi się zdawało, iż noc całą tak przechodzi.

List mój do Agnieszki był długi i wylewny. Opowiadałem jej, jak pomyślnym skutkiem uwieńczone zostały jej rady. Odpisała mi odwrotną pocztą. List był serdeczny, pełen najlepszych nadziei, wesół. Odtąd taką ją widziałem. Czasu mi brakło literalnie, do Putney kawał był drogi, a chodziłem tak często, jak mogłem. Proponowane wieczorne herbaty okazały się niepraktyczne i zmuszony byłem prosić pannę Lawinię o pozwolenie spędzenia w ich domu sobotnich popołudni. Jak uczeń wyglądałem końca tygodnia.

Z przyjemnością też zauważyłem, że ciotka moja serdeczniej jakoś, niżelim się spodziewałem, zaprzyjaźniła się z ciotkami Dory. Panie te pośpieszyły do niej z rewizytą i odtąd widywały się regularnie co trzy, cztery tygodnie. Widziałem wprowadzić, że ciotka moja gorszyła ciotki Dory niezbyt ścisłym przestrzeganiem form towarzyskich, za wczesnymi lub za późnymi odwiedzinami, noszeniem czepków i kapeluszy raczej wedle swych upodobań niż mody i tym podobnym pomijaniem konwenansów. Przywykły jednak do niej z czasem, pełne poślazania dla tego, co nazywały „brakiem kobiecości”. Co do mej ciotki, chociaż raziły ją zapewne ptasie ruchy i ptasie wyobrażenia ciotek Dory, nadto mnie kochała, aby drobnostkom podobnym większą przypisywać wagę. Wszystko się tedy składało na trwałość ogólnej harmonii.

Zakłócił ją tylko Jip. Za każdym przyjęciem mej ciotki wyszczerzał zęby, wlażył pod krzesło i nie tylko warczał ustawicznie, lecz wył od czasu do czasu, nie mogąc przewyciężyć swej antypatii. Wszelkich próbowano sposobów: klapsów, gróźb, pieszczot. Przewożono go nawet na Buckingham Street (gdzie zresztą pogryzł się z kotami i ogólnego napędził strachu) – nic nie pomogło. Uspokajał się czasem na parę minut, kładł się na brzuszku, wyciągał pyszczek na łapkach i wył z cicha, a tak żałośnie, że nie pozostawało nic, jeno związać go i posadzić, jak to było zwyczajem Dory, na pokutę do kominka. Za każdym razem, gdy anonsowano ciotkę, Dora zakrecała mu główkę i pyszczek ręcznikiem i sadzała go tam, jak więźnia.

W tym pomyślnym stanie rzeczy jedno mnie niepokoiło, a mianowicie, że się Dora zdawała lubować w roli cacka i klejnocika. Ciotka, z którą się zaprzyjaźniła, nazywała ją „kwiatkiem”; panna Lawinia zajęta była tylko trefnieniem jej włosów, ubieraniem jej jak lalkę. Za panną Lawinia szła krok w krok panna Klarysa i dziwne, lecz wszyscy traktowali Dorę trochę tak, jak ona swego Jipa.

Zdecydowałem się wspomnieć jej o tym i pewnego dnia na przechadzce – panna Lawinia łaskawie dozwolić nam raczyła przechadzać się razem – wspomniałem, prosząc, by zmieniła swój tryb życia.

– Widzisz, najdroższa – mówiłem – nie jesteś już dzieckiem.

– Niedobry! – odrzekła strojąc zagniewane minki. – Ciągłe się gniewasz.

– Gniewam? Niedobry?

– Wszyscy mnie lubią i dobrze mi z tym.

– Najpewniej wszyscy cię kochają, czyż gorzej by ci jednak było, jeśliby cię traktowano mniej po dziecinnemu?

Spojrzała na mnie z wyrzutem i prześlicznie zaczęła szlochać. Jeśli mi się nie podoba, to po cóż starałem się o nią? Jeśli jej znieść nie mogę, to po cóż jestem przy niej? Czemu nie odejdę sobie... na zawsze?

Cóż miałem robić! Jeno pocałunkami spijać drżące na jej jedwabistych rzęsach łzy!

– Jestem tak przywiązana do ciebie, Doady – mówiła – a tyś taki okrutny.

– Okrutny! Ja dla ciebie, droga ty moja?!

– Nie przyczepiaj się więc ciągle, nie gderaj, a zobaczysz, jaka będę milutka – mówiła stulając usteczka jak pączek róży.

Zachwycony byłem! Prosiła mnie o kucharską książkę i o to, abym ją uczył prowadzić rachunki. Przy następnych odwiedzinach przyniosłem jej ślicznie oprawiony zbiór kucharskich przepisów, pokazałem jej wzorowe rachunki mej ciotki, podarowałem śliczne pudełko z ołówkami i masę kratkowanych zeszytów.

Cóż, kucharskie przepisy nabawiły ją bólu głowy, a liczby do łez prowadziły. Nie chciały się, jak mówiła, za nic zgadzać. Zeszyty pokryte zostały niezapominajkami i przeróżnymi, mniej lub więcej wiernymi podobiznami moimi i Jipa.

Próbowałem ustnych wykładów w czasie sobotnich przechadzek. Mijając na przykład sklep rzeźnika, mówiłem:

– Wyobraź sobie, najdroższa, żeśmy się już pobrali i potrzebujesz kupić na obiad baraniny. Jaką byś wybrała?

Najdroższa moja opuszczała główkę i wydymała usteczka. Woląca całować mnie, niż o tym mówić.

– Jaką byś wybrała? – powtarzam zbrojąc się w stoicyzm.

Pomyślała i po chwili zawołała w triumfem:

– Tę naturalnie, którą by mi rzeźnik wskazał. To jego rzecz. O! Ty, niedobry!

I tak, gdy ją raz spytałem, spoglądając na przepisy, jak by mi zrobiła dobrą duszoną polędwicę, odrzekła, że kazałaby zrobić kucharce, i położyła swe prześliczne rączęta na mym ramieniu.

Ostatecznie książka służyła głównie do zastawiania Jipa w kącie, lecz Dora tak bywała zajęta tą czynnością, tak wdzięcznie przy tym trzymała ołówek w ząbkach lub groziła nim faworytowi, że ostatecznie musiałem być zadowolony.

Za to gitara, malowanie kwiatów i piosenki o nieustających nigdy tonach: tra-la-la, tra-la-la – szły w najlepsze i wówczas nic nie stawało pomiędzy nami. Czasami brała mnie ochota zwrócić uwagę pannie Lawinii, czy nie zanadto psuje i rozpieszcza cacko-Dorę? Czasami sam siebie chwytalem na gorącym uczynku, że ulegam ogólnemu nastrojowi, ale nie zawsze...

ROZDZIAŁ XLII

OMYŁKA

Czuję, że nie moją rzeczą opowiadać, w tym nawet dla obcych nie przeznaczonym pamiętniku, ile pracowałem w tym okresie i jaki wpływ miała ciężąca na mnie odpowiedzialność względem Dory i jej ciotek. Dodam tylko do tego, com przedtem już napisał, że wytrwałość i cierpliwość, w którą musiałem się zbroić, pomagały mi dojrzewać szybko i w nich to dopatruję się źródła wszelkiego mego powodzenia. Wiele mi się rzeczy w życiu udało. Niejeden, walcząc i pracując ciężej ode mnie, do równie pomyślnych nie doszedł rezultatów, a powodzenie to przypisuję przyzwyczajeniu do pracy systematycznej, porządku, oszczędności, w których się w owym okresie mego życia ćwiczyłem. Niebu wiadomo, że pisząc to nie ulegam częściej chęci wynoszenia własnych zasług. Człek przeglądający własne swe życie, jak to obecnie czynię, spotyka się z niejednym zaniedbaniem, opuszczeniem, z niejedną wewnętrzną walką, w której zwycięstwo nie po najlepszej zostało stronie, z niejednym marnie roztrwonionym darem, z niejednym wyrzutem sumienia, chcę tu po prostu zanotować, że jeśli dążyłem kiedy do czego, to wytrwale, że jeśli się czemu poświęcałem, to najzupełniej, a wielkim i mniejszym celom oddawałem się z całego serca. Nie sądziłem nigdy, aby wrodzone czy nabyte zdolności obyć się mogły bez pracy, wytrwałości i wytkniętego celu. Takim tylko warunkom towarzyszyć może powodzenie. Zdolności i pomyślny zbieg wypadków podtrzymują zapewne drabinę, po której człek się wspina, lecz szczeble jej stanowią żywioły, nie dające się zetrzeć i zniszczyć; wytrwałości i cierpliwości nic zastąpić nie może. Toteż podporą mi w życiu niewątpliwie było przede wszystkim to, że w każda me przedsięwzięcie wszystkie wkładał siły, po wtóre, że nie ustawał w zamiarach, nie popadł nigdy w apatię.

Zawdzięczam wszystko głównie Agnieszce. Pragnę zaznaczyć to przed dalszym ciągiem niniejszego opowiadania.

Przybyła ona w odwiedziny na parę tygodni do doktorostwa Strong. Doktor był przyjacielem pana Wickfielda i chciał się z nim otwarcie w wielu rozmówić kwestiach. Wspomniał coś o tym Agnieszce widząc się z nią, czego następstwem były powyżej wzmiankowane odwiedziny. Pan Wickfield przybył z córką do Londynu. Nie zdziwiłem się nazbyt, gdy mi Agnieszka powiedziała, że poszukuje w pobliżu mieszkania dla pani Heep, której reumatyzmy wymagały kuracji, ani też, gdy zaraz nazajutrz Uriah, jako wzorowy syn, odwiózł matkę do stolicy.

– Bo to, widzi pan – mówił narzucając mi swe towarzystwo podczas przechadzki po ogrodzie doktora Stronga – miłość bywa zazdrosna... Co najmniej pragnie mieć na oku przedmiot swych uczuć.

– O kogóż byłbyś znów zazdrosny? – spytałem chłodno.

– O! Dzięki panu, panie Copperfield, o nikogo w szczególności, to jest w każdym razie o żadnego mężczyznę

– Więc o kobietę chyba – zauważyłem.

Spojrzał z ukosa czerwonymi swymi oczyma i uśmiechnął się.

– Doprawdy, paniczu – to jest panie Copperfield – zawsze się myślę, niech mi pan wybaczy, stare nałogi! – tu położył zimną i wilgotną dłoń na mej ręce. – Doprawdy, umiesz pan wszystko ze mnie wydobyć, chociaż nie chciałem nic wzmiankować o pani Strong, nie chciałem, doprawdy.

– Co mam przez to rozumieć? – spytałem.

– Prawnikiem jestem przecie – wykrzywił się – i nadaję słowom mym to tylko, jakie mieć mogą, znaczenie.

– A spojrzeniom?

—Spojrzeniom! No! Ciężki z pana sędzia śledczy! Spojrzeniom?

– Tak jest, spojrzeniom? – pytałem. Zdawał się być rozbawiony, śmiał się, pocierał brodę i nie podnosząc oczu mówił pomału:

– Gdy byłem tylko pokornym, nędznym aplikantem, pani Strong spoglądała na mnie z góry. Zawsze ciągnęła do siebie mą Agnieszkę, rozkochana była w panu, panie Copperfield, ale ja – co ja tam znaczyć mogłem w jej oczach. A i w jego – dodał po chwili milczenia, pocierając wciąż brodę.

– Czy nie znasz doktora?! – zawołałem. – Chcesz, aby myślał o tych, których nie widzi!

Spojrzał na mnie z ukosa, wydał policzki, pocierając je ze zdwojoną energią.

– Nie doktora mam na myśli, wcale nie! – zawołał. – Mówiłem o panu Maldon.

Serce zamarło mi w piersiach. Wszystkie tedy moje domysły i niepokoje na ten temat, szczęście i cześć ukochanego mego nauczyciela – były w mocy tego łotra.

Przestał pocierać twarz i wciągając policzki, które się zmieniły w dwa doły, nie spuszczał mnie z oka, patrząc ciągle z ukosa.

– Śliczna to kobietka, nieprawdaż? – mówił po chwili. – Oj! Niełaskawie dla mnie usposobiona. Nic dziwnego. Nie posiadam względów pięknych pań, ale... ale mam oczy, które bacznie przyglądają się wszystkiemu od dawna. My, ubodzy, pogardzani, mówimy zwykle mało, ale za to patrzymy... bacznie.

Usiłowałem wydać się spokojnym i obojętnym, lecz z twarzy jego widziałem, że mi się to zgoła nie udaje.

– A teraz – ciągnął podnosząc triumfalnie blade brwi nad zaczerwienionymi powiekami – a teraz nie dam się wyprzedzić, nie pozwolę buntować mej Agnieszki, znajdę sposób przykrócenia tej przyjaźni. Nie na rękę mi ona. Uchylę wszelkie niepotrzebne wpływy, nie dam się wysadzić!

—Sądzisz drugich wedle siebie, podejrzewasz wszędzie spiski i podejścia – zauważyłem.

—Może być – odrzekł – ale, że użyję wyrażenia szanownego mego ongi pryncypała, kolegi obecnie, mam powód, dla którego trzymać się muszę oburącz. Nie powinienem dać się wysadzić, jako nic nie znaczący człowiek. Nie zniosę nikogo, kto mi wchodzi w drogę. Doprawdy, panie Copperfield, nie potrzeba mi włączyć w drogę.

– Nie rozumiem – odrzekłem.

– Doprawdy? – spytał szarpiąc się. – Doprawdy?! Dziwi mnie to! Bywasz pan zwykle tak sprytny i domyślny! Innym razem wytłumaczę to panu. Czy nie pan Maldon to, konno, tam przy bramie?

– Zdaje się – odpowiedziałem siląc się na obojętność.

Uriah zasłonił usta śmiejąc się tak, że aż się trząsał, chociaż żadnego nie wydawał dźwięku. Tak byłem oburzony całym jego zachowaniem, że odszedłem bez dalszych uwag, pozostawiając go samego w ogrodzie.

Nie tego wieczoru, o ile pamiętam, lecz następnego, w sobotę, zaprowadziłem Agnieszkę do Dory. Odwiedziny te umówione były naprzód z panną Lawinią. Czekano nas z herbatą.

Targały mną duma i niepokój. Chciałem się pochwalić narzeczoną i niepokoiłem się tym, jaka się wyda Agnieszce. Przez całą drogę do Putney sam, gdyż Agnieszka była wewnątrz, ja zaś zewnątrz omnibusu, wyobrażałem sobie Dorę, kiedy wygląda najlepiej. Raz zdawało mi się, że chciałem, aby wyglądała tak, drugi raz owak; czułem się rozgorączkowany.

Pewien byłem, że w każdym razie będzie prześliczna, nigdy mi się jednak nie wydawała tak piękna, jak tego wieczoru. Nie zastaliśmy jej w bawialnym pokoju, gdzie przedstawiłem Agnieszkę ciotkom Dory. Chowała się gdzieś nieśmiało. Wiedziałem teraz, gdzie jej szukać, i zastałem, jak zwykle, tuż pode drzwiami. Nie chciała zrazu wcale wychodzić, potem prosiła choć o pięć minut zwłoki, a gdy na koniec położyła mi na ramieniu małą rączkę, była tak zarumieniona i ładna, jak chyba nigdy! Nie! Jeszcze była ładniejsza, gdy zbladła wchodząc do salonu.

Bała się Agnieszki. Przedtem jeszcze mówiła mi, że Agnieszka jest „za rozsądna”, ale teraz, ujrawszy ją tak poważną, dobrą, tkliwą, krzyknęła rozradowana i rzuciła jej się w objęcia.

Szcześliwy byłem, najszcześliwszy pomiędzy nimi dwiema, siostrzanym splecionymi uściskiem. Dora patrzała śmiało w piękne jasne oczy Agnieszki.

Panna Lawinia i panna Klarysa zdawały się podzielać me zadowolenie. Wesoło zasiedliśmy do herbaty, panna Klarysa na pierwszym miejscu; krajałem tort, gdyż obie staruszki lubiły słodczyce; panna Lawinia spoglądała na nas tak, jak gdyby nasze szczęście było jej dziełem.

Agnieszka wszystkim przypadła do serca. Starła się zjednać sobie Dorę, a nawet Jipa, który odpowiadał nader uprzejmie na jej zaczepki. Żartowała z Dory, gdy ta nie chciała zająć swego zwykłego, obok mnie, miejsca. Dora oswajała się z nią pomału.

– Rada jestem – rzekła po herbacie – żeś mnie polubiła. Sądziłam, że ci się nie spodobam, a teraz, po odjeździe Julii Mills, żadnej nie mam przyjaciółki.

Przy tej sposobności przypomniałem sobie, że nie powiedziałem jeszcze, iż panna Mills odjechała. Jeździłem z Dorą do Gravesend, by ją pożegnać na okręcie. Jedliśmy tam imbir i inne zamorskie przysmaki i pozostawiliśmy pannę Mills we łzach na pokładzie, z nie zapisaną książką w ręku, w której miała prowadzić nowy pamiętnik, rozpoczynający się opisem oceanu.

Agnieszka zauważyła, że nie najlepiej chyba musiałem o niej mówić, skoro Dora wątpić mogła w jej sympatię.

– Przeciwnie – zawołała Dora wstrząsając kędziorami – tyle mi dobrego mówił o tobie, że aż byłam przestraszona! Tak bardzo liczy się z twoim zdaniem.

– Zdanie moje – odrzekła Agnieszka uśmiechając się – nie jest w stanie wpłynąć na jego uczucia. Nie ma ono żadnego znaczenia.

– Ale o mnie, proszę, nie myśl źle – prosiła przymilając się Dora.

Żartowaliśmy z niej. Dora nazwała mnie głuptasem, oświadczyła, że mnie wcale nie lubi i wieczór uleciał na skrzydłach czasu, lekki jak pajęczne nici w pogodne dni jesienne. Zbliżała się chwila odjazdu. Stałem przed kominkiem, a Dora zakradła się cichutko, by mnie jak zwykle pocałować na pożegnanie.

– Nie sądzisz, że gdybyśmy się już dawniej przyjaźnili – rzekła z błyszczącym wzrokiem, drobną rączką niedbale bawiąc się guzikiem mego surduta – byłabym może mądrzejsza.

– Bredzisz, duszko! – odrzekłem.

– Bredzę – pytała nie patrząc mi w oczy – czyś tylko pewien, że bredzę?

– Najpewniejszy.
– Zapomniałam – pytała kręcąc wciąż nieszczęsny guzik – w jakim stopniu jesteście z sobą spokrewnieni?

– Wcaleśmy nie spokrewnieni, istnieje jednak pomiędzy nami braterskie przywiązanie.

– Dziwię się, żeś się zakochał we mnie – ciągnęła, drugi z kolei dręcząc guzik.

– Mógłśm cię spotkać i nie pokochać?

– A gdybyś nie spotkał?!

– A gdybyśmy się oboje nie urodzili?! – zaśmiałem się wesoło, zastanawiając się jednak, co ją skłoniło do podobnych pytań. Przy moich piersiach, igrając kolejno z wszystkimi guzikami surduta, migotały jej białe rączki, jasne kędziory opływały skłaniającą się na moje ramię główkę, oczy pokrywały opuszczone zasłony długich rzęs. Podniosła wzrok i wspinając się na paluszki pocałowała mnie raz, drugi, trzeci, dłużej, goręcej niż zwykle.

Gdy nadeszło towarzystwo, śmiała się i figlowała już jak zwykle. Chciała, aby Jip zaprezentował odjeżdżającym wszystkie swe umiejętności. Lecz że tych było mnóstwo, a Jip szczególną nie odznaczał się karnością, daleko było do końca, gdyśmy usłyszeli nadjeżdżający omnibus. Nastąpiły czule i spieszne pożegnania. Dora obiecywała pisywać do Agnieszki, prosząc, aby nie uważała jej listów za niedorzeczne. Agnieszka obiecywała odpisywać. Przy oknie omnibusu powtórzyły się jeszcze raz pożegnania. Potem Dora, pomimo nawoływań panny Lawinii, wybiegła raz jeszcze wołając, aby Agnieszka nie zapomniała swych przyrzeczeń, do mnie zaś potrzęsła loczkami.

Omnibus dowiózł nas do Covent Garden. Stamtąd mieliśmy wziąć drugi do Highgate. Z niecierpliwością oczekiwałem chwili, kiedy mi Agnieszka powie coś o Dorze. Chwaliła ją. Zachwycała się pięknnością i wdziękiem mej wybranej. Z właściwym sobie taktem zwracała uwagę moją na obowiązki, jakie przyjąłem względem tego osieroconego dziecka.

Nigdy, nie, nigdy nie kochałem Dory tak głęboko i gorąco, jak tego wieczoru. Gdyśmy znów opuścili omnibus, kierując się ku domowi doktora Stronga, powiedziałem to Agnieszce.

– Gdyś siedziała obok niej – mówiłem – zdawało mi się, że jesteś tak jej, jak i moim dobrym aniołem.

– Biedny ze mnie anioł – odrzekła – ale wierny.

Czysty głos jej szedł mi prosto do serca, z serca też powiedziałem:

– Tak cię znów widzę pogodną, Agnieszko, że mi do serca wstąpiła otucha i myślę, że domowe twoje sprawy ułożyły się pomyślnie.

– Uspokoiliam się – rzekła – weselsza jestem.

Spojrzałem na jasną, spokojną, ku gwiazdom podniesioną twarz.

– Nie, w domu żadne nie zaszły zmiany – ozwała się po kilku chwilach.

– Żadnej nowej zmiany, daruj to pytanie, Agnieszko, w tym, o czym była mowa podczas ostatniej mej u was bytności?

– Żadnej – odrzekła.

– Dużo myślałem o tym.

– Zapomnij, pamiętaj tylko, że polegam na uczuciu i prawdzie – rzekła, a po chwili dodała: – I nie bój się, proszę, abym się kiedy zdecydowała na krok ów, którego się lękasz dla mnie.

Chociaż właściwie nie przypuszczałem nigdy, aby się nań kiedy mogła zdecydować, słysząc z ust jej to zapewnienie, uczułem spadający mi z serca ciężar. Upewniłem ją o tym.

– A teraz – rzekłem – niewiele już mamy przed sobą czasu. Kiedyż się znów, kochana Agnieszko, zobaczymy? Kiedy znów przyjedziesz do Londynu?

– Prawdopodobnie nieprędko – odpowiedziała. – Lepiej, żeby ojciec siedział w domu. Nieprędko się zapewne zobaczymy, lecz ponieważ będę pisywać do Dory, będziemy o sobie wzajemnie, za jej pośrednictwem, wiedzieli.

Zbliżaliśmy się do domku doktora. Późno już było, lecz w oknie pokoju pana Stronga świeciło się jeszcze. Agnieszka pożegnała mnie.

– Nie dręcz się – mówiła podając mi rękę – naszymi troskami. Największą dla mnie pociechą będzie twe szczęście. Bądź pewien, że jeśli kiedy w czym bądź potrzebowała twej pomocy, wezwę cię! Niech cię Bóg ma w swej pieczy!

Uśmiech jej promienny, srebrny ton głosu przypomniały mi ją znów taką, jaką widziałem obok Dory. Stałem jeszcze chwilę spoglądając na gwiazdy, z sercem ukojonym, pełnym miłości i przywiązania, po czym zawróciłem ku domowi. Uszedłem już kilka kroków, gdy uderzyło mnie światło w pracowni doktora; poczułem wyrzuty sumienia, że sam, bez mej pomocy, męczy się pracą nad słownikiem. Zawróciłem tedy, pragnąc się o tym przekonać, a w każdym razie życzyć mu dobrej nocy. Otworzyłem drzwi.

Jakież było moje zdziwienie, gdy ujrzałem w świetle przyćmionej lampy Uriaha. Stał opierając się trupią swą ręką o stół, drugą przysłaniając usta. Doktor siedząc w fotelu skrył twarz w dłoniach. Pan Wickfield wystraszony dotykał jego ramienia.

W pierwszej chwili sądziłem, że doktor zasnął, lecz spotkawszy się ze spojrzeniem Uriaha zrozumiałem, o co idzie. Chciałem się cofnąć, lecz doktor dostrzegł mnie i żywym ruchem powstrzymał.

– W każdym razie – ozwał się Uriah szarpiąc i wykrzywiając niezgrabną swą postać – nie mamy potrzeby rozgłaszać faktu na miasto całe, można rozważyć go przy zamkniętych drzwiach.

Cicho, na palcach, zbliżył się do pozostawionych przeze mnie otworem drzwi, zamknął je starannie, a powróciwszy na to samo miejsce, wrócił do uprzedniej pozycji. Okazywane przezeń współczucie oburzyło mnie nad wszelki wyraz.

– Obowiązkiem moim, panie Copperfield, było – począł – nadmienić doktorowi o tym, o czym mówiliśmy z panem.

Spojrzałem nań tylko, nie odpowiadając, a zbliżywszy się do kochanego, starego mego nauczyciela, przemówiłem słowami pociechy i przywiązania. Położył mi na ramieniu rękę, jak to zwykł czynić, gdy był małym chłopięciem, nie podniósł jednak siwej głowy.

– Zdaje mi się, panie Copperfield – ciągnął słodko Uriah – że nie rozumiesz pan, w czym rzecz. Otóż za najświętszy uważałem obowiązek zwrócić uwagę czcigodnego doktora na postępowanie jego małżonki. Uczyniłem to wbrew mym chęciom, doprawdy, upewnić o tym pana mogę, panie Copperfield! Temat to nader nieprzyjemny, lecz obowiązek przede wszystkim.

Dziwię się, że go nie chwycił za kołnierz i nie wytrząsł z wstrętnego cielska potwornej duszy.

– Mówiliśmy już o tym z panem, panie Copperfield – ciągnął – ale niejasno, gdyż żaden z nas swobodnie przedmiotu tego nie chciał dotykać. Zdecydowałem się na to wreszcie i powiedziałem właśnie czcigodnemu doktorowi, że... co pan powiada?

Jęk wyrwał się z piersi starca, jęk ten kamień by poruszył, ale nie Uriaha.

– Że – ciągnął on słodkiutko, łaszac się pokornie – każdy, kto raz ujrzy małżonkę czcigodnego doktora i pana Maldona, zauważyć może, iż nie są sobie obojętni. Przyszedł nareszcie czas – chociaż nie naszą jest rzeczą wtrącać się – aby otworzyć oczy czcigodnego doktora na to, co już wszem i każdemu z osobna wiadomym było przed odjazdem jeszcze pana Maldona do Indii. Nikt też nie wątpił, po co pan Maldon z Indii wracał i co go tu zatrzymuje. W chwili gdyś pan wszedł, panie Copperfield, odwołałem się do obecnego tu mego kolegi – tu przekrzywił się w stronę pana Wickfielda – zobowiązując go, aby zaświadczył, co sam tylokrotnie zauważył. Dalej tedy, dalej, panie Wickfield! Kolego, zaświadczy, proszę.

– Na Boga żywego – stłumionym, drżącym głosem, dotykając ramienia przyjaciela, mówił pan Wickfield – na Boga żywego, kochany doktorze! Nie przypisuj zbyt wagi nie dającym się może usprawiedliwić podejrzeniom, domysłom.

– Ha! – zawołał Uriah – co za smutne, a wymowne zeznanie tak wiernego przyjaciela! Gdy był jeszcze aplikantem, pamiętasz, Copperfieldzie, ileśmy razy zauważyli, jak się

wzdrygał, nie śmiejąc w dobroci swej i przyjaźni przerwać niestosownego dla panny Agnieszki stosunku.

– Przyjacielu mój drogi, kochany przyjacielu! – drżącym głosem mówił prawnik – nie zważaj na to. Wiesz, że słabością moją było szukać we wszystkim przyczyn i to mnie zaślepiło, nasuwało niczym częstokroć nie usprawiedliwione podejrzenia.

– Więc miałeś podejrzenia? – głucho, nie podnosząc głowy, odezwał się doktor Strong. – Podejrzewałeś?

– Śmiało, śmiało, kolego! – zachęcał Uriah.

– Zapewne – bełkotał prawnik – zapewne. Zdawało mi się nawet, żeś takowe sam powziął, mój przyjacielu!

– Ja? Nie, nie, nigdy! – z patosem rozpaczliwie zaprzeczył starzec.

– Tak mi się zdawało – uniewinniał się pan Wickfield. – Chciałeś go przecie wysłać za granicę?

– Tak, dla dogodzenia Annie i zapewnienia przyszłości towarzysze z jej lat dziecińczych. Dlatego tylko.

– Wierzę, gdy mi to mówisz; przekonałem się teraz, że dlatego tylko, lecz wówczas... ja zaś w zaślepieniu swym upatrywałem w tej różnicy wieku...

– W tym to rzecz, jak pan widzi, panie Copperfield – zauważył Uriah z ubliżającym politowaniem.

– Kobieta – ciągnął prawnik – tak młoda jeszcze, piękna, chociaż musiała cię szanować, wychodząc za ciebie uległa, jak mi się w zaślepieniu mym zdawało, pobudkom mniej szlachetnej może natury. Zapomniałem, widzisz, o tysiącnych w lepszym świetle rzeczy takie stawiających wypadkach. Sam pomyśl o tym, na rany Chrystusa!

– Ile w nim dobroci! – zauważył kiwając głową Uriah.

– Jeden tylko miałem pogląd – upewniał pan Wickfield – ciasny, wyłączny pogląd, a teraz błagam cię i zaklinam, przyjacielu najdroższy, abyś to wziął pod uwagę, gdy nie mogę uniknąć...

– Niepodobna już uniknąć – wtrącił Uriah. – Śmielej, kolego! Rzeczy stanęły tak, że wszelkie niedomówienia zaostrzają tylko sytuację.

– Więc prawda – zawołał prawnik spoglądając z rozpaczą na swego współnika – prawda! Posądzałem ją, że nie jest wierna swym obowiązkom, i bolało to mnie, że córka moja przyjaźni się z nią, skorom widział... a raczej skoro mi błędne moje teorie nasuwały nie usprawiedliwione zapewne posądzenia. Lecz wierzaj mi, nigdy przed nikim nie wspominałem, a teraz – kończył zgaszonym głosem – jeśli ciężko ci słyszeć, co mówię, wierzaj, ciężiej mi jeszcze mówić, wierzaj i ulituj się nade mną.

Doktor wyciągnął rękę, którą pan Wickfield uściskał, nisko pochylając głowę.

– Pewien jestem – wwinął się jak piskorz w zaległe milczenie Uriah – że przedmiot to nader jest dla wszystkich nas tu obecnych nieprzyjemny. Lecz skoro raz już o tym mowa, pozwolę sobie dodać, że i Copperfield zauważył to nieraz!

Stłumionym z oburzenia głosem spytał go, jak śmie powoływać się na mnie.

– Och – zawołał wywijając się cały – przestań prosić! Wszystkim nam wiadomo, jak jesteś dobry, uprzejmy, nikomu nie chcesz się narazić, lecz pamiętasz, cośmy onegdaj wieczorem mówili? Rozumiałeś mnie doskonale, doskonale, kochany Copperfieldzie. O! Nie zaprzeczaj, proszę. Przeczenie twe pochodzi z najlepszych intencji, cóż, kiedy, jak widzisz, nie ma już na to rady.

Widziałem, jak się zwróciły na mnie oczy kochanego mego nauczyciela, i widziałem, co wyczytały we wzburzonej mej twarzy. Przeczenie na nic by się nie zdało. Milczałem.

Doktor powstał wreszcie z miejsca i przeszedł się parę razy po pokoju. Oparł się o poręcz opuszczonego dopiero fotela i od czasu do czasu podnosząc do oczu chustkę, mówił z przedziwną, cześć mu przynoszącą prostotą:

– Moja wina – rzekł – moja wina. Ja to naraziłem tę, którą powinienem był osłaniać, na próby i oszczerstwa – oszczerstwem nazywam bowiem każde nie wypowiedziane nawet posądzenie. Uniknęłyby ich, gdyby nie ja.

Uriah potakiwał głową.

– Uniknęłyby ich – powtórzył doktor. – Stary jestem, jak widzicie, panowie, i czuję, że dni me policzone. Lecz życie kładę za cześć i wiarę tej, o której mówiliśmy dopiero.

Bardziej rycerskiej, piękniejszej i szlachetniejszej postaci jak tego starca, gdy powyższe wymawiał słowa, żaden mistrz pędzla stworzyć nie potrafi.

– Lecz – ciągnął – nie jestem przygotowany do odparcia oszczerstw i posądzeń, na które przez nieszczęsne to małżeństwo naraziłem Annie. Wiem, że bywam roztargniony i nie mogę stanowczo odrzucać uwag ludzi baczniejszych ode mnie, różnych wiekiem, stanowiskiem. Byłoby to niedarowaną z mej strony zarozumiałością.

Nieraz podziwiałem jego dobroć i tkliwość względem młodej żony, lecz teraz zachowanie jego, sposób, w jaki stawał w jej obronie, zachwyciły mnie.

– Ożeniłem się z nią żoną – mówił – gdy była młodzieńkiem stworzeniem i nie miała ukształtowanego charakteru. Moją było rzeczą rozwijać ją i kształcić. Znałem jej ojca i ją znałem od kolebki, podziwiając przymioty, jakimi obdarzyła ją natura. Jeślim ją skrzywdził – jak to dopiero widzę – nadużywając przywiązania jej i wdzięczności, korzę się przed nią z całego serca.

Przeszedł się po pokoju, wrócił na poprzednie miejsce i zaciskając dłoń na poręczy fotela, mówił drżącym głosem:

– Sądziłem, że mym opiekuńczym skrzydłem zasłonię ją przed burzami i trudami życia. Wyobrażałem sobie, że pomimo różnicy lat spokojny u boku mego stworzę jej żywot. Nie traciłem z pamięci niedalekiej zapewne chwili, gdy ją, młodą i piękną, lecz dojrzałą, uwolnię z wszelkich krępujących ją więzów. Honorom ręczę, panowie, takie, a nie inne były uczucia i pobudki moje.

Wewnętrzne światło opromieniało sędziwą twarz jego, dostatecznego słowom udzielając świadectwa.

– Szczęśliwy z nią byłem – ciągnął – i po obecnej chwilę błogosławiłem dzień naszego połączenia.

Głos mu się załamał, chwilę milczał, potem znów mówił:

– Zbudzony z marzeń – a przez całe życie w tym, jak w innych kierunkach marzycielem jeno byłem —z marzeń zbudzony widzę istotnie, że nie mogła znaleźć u mego boku zadowolenia. Młodość ma niezaprzeczone, pogwałcić się nie dające prawa. Naturalnym biegiem rzeczy nie mogła być obojętna dla rówieśnika swego, towarzysza lat dziecięcych. Z żalem spoglądać na niego musiała. Widzę to teraz, rozumiem, przypominam wiele wskazówek, na które, do straszego tego przebudzenia, głuchy byłem i ślepy. Poza tym jednak, upewniam was, panowie, życie i cześć żony mej pozostać winny wolne od wszelkiego zarzutu.

W oczach zapaliły mu się przelotne ognie, głos podniósł i wzmocnił przy ostatnich słowach. Umilkł, po chwili ciszy znów mówił:

– Co do mnie, pozostaje mi tylko znieść z pokorą przeświadczenie o popełnionej omyłce i następstwa, jakie pociągnęła za sobą. Nie ja jej, lecz ona to mnie czynić winna wyrzuty. Osłaniać ją przed nieporozumieniem, jakie powstać mogło, nawet wśród przyjaciół naszych, jest moim obowiązkiem... Im bardziej ciche wieść będziemy życie, tym łacniej zadość uczynię wymaganiom tego obowiązku, gdy zaś nadejdzie chwila – oby ją miłosierne Nieba przyspieszyć chciały! – że ją śmierć uwolni z tych więzów, spokojnie, ufając jej, na rękę jej zawrę powieki, pozostawiając ją lepszej doli.

Nie widziałem go, gdyż łyzy mi przesłaniały oczy. Wychodząc zatrzymał się jeszcze na progu.

– Odkryłem wam, panowie, głąb serca – rzekł. – Pewien jestem, że ją uszanujecie i żadnym słowem nie poruszycie całej tej dzisiejszej sprawy. Wickfieldzie, przyjacielu stary, podaj mi rękę.

Pan Wickfield pośpieszył podać mu ramię. Wyszli nie mówiąc ani słowa. Uriah spoglądał za nimi.

– Ta-a-k! – rzekł po chwili, zwracając się do mnie. – Innego, co prawda, spodziewałem się rozwiązania, ale czego wymagać od tego uczonego głupca. Zaślepiiony! No! Wysadziłem przynajmniej, kogo chciałem, i to coś znaczy!

– Nędzniku! – zawołałem puszczając wodze oburzeniu. – Jak śmiałeś wciągać mnie w niecne swe intrygi, jak śmiesz obecnie, łotrze ty jakiś, zwierzać mi się z takowych!

Stając z nim oko w oko, czytałem ze znanej mi tak dobrze jego twarzy to, co mi zresztą wiadome już było. Zastawił na mnie niecne sieci, aby mnie dręczyć i upokorzyć. Podła jego twarz budziła dziwne swędzenie mej dłoni. Uderzyłem go z taką siłą, że mi się zdawało, iż z ręki mej posypały się iskry.

Chwycił mnie za rękę. Staliśmy tak oko w oko, długo, tak długo, że mi widział, jak stopniowo na twarzy jego bladły czerwone, przez palce moje pozostawione ślady.

– Copperfieldzie! – syknął wreszcie. – Oszalałeś, postradałeś zmysły!

– Chciałem się raz pozbyć ciebie, nędzniku, psie niegodny! – zawołałem wyrwijając rękę, którą ścisnął nerwowo w zimnej, śliskiej swej dłoni.

– Czy tak? – rzekł pocierając mimo woli płonącą zapewne z bólu twarz. – Nie uda ci się to już może.

– Przekonałem cię przynajmniej, jak dalece gardzę tobą. Nie boję się niecnych twych pogroźek. Nie możesz już nawarzyć nic gorszego nad to, coś nawarzył.

Zrozumiał doskonale, że to, co mnie dotąd powstrzymywało i wiązało względem niego, musiało zostać stanowczo pominięte. Zapewnienie Agnieszki rozwiązało mi istotnie ręce.

Milczał. We wbitym we mnie jego wzroku mieniły się wszystkie odcienie podłości i wściekłości.

– Zawsze był przeciw mnie – rzekł wreszcie, odejmując rękę od twarzy. – Od dawna wiedziałem o tym.

– Myśl sobie, co ci się podoba – odparłem ze wzgardą.

– A ja cię jednak zawsze lubiłem – dorzucił. Nie raczyłem odpowiedzieć i wzięwszy kapelusz chciałem wyjść. Stał pomiędzy mną a drzwiami.

– Do kłótni trzeba, by obie strony były niezadowolone – zauważył. – Ja nie mówię tego o sobie.

– Idź do diabła! – zawołałem.

– Ciszej! Pożałujesz może tych słów! Unosząc się dajesz mi przewagę nad sobą. Przebaczam ci wszakże.

– Ty mi przebaczasz! Ty?

– Tak, ja! Rzucasz się na mnie, odwracasz ode mnie, który ci byłem prawdziwym przyjacielem – ale powtarzam: dla zwady potrzeba dwóch wrogów, a ja twym wrogiem nie będę i pomimo wszystko, pomimo twej woli pozostanę przyjacielem. Wiesz teraz, czego się masz spodziewać.

Konieczność prowadzenia tej rozmowy ściszoną głosem – Uriah mówił cały czas cicho i z wolna, ja głośno i szybko – nie zdołała mnie uspokoić. Odpowiedziawszy mu, że wiem doskonale i zawsze wiedziałem, czego się po nim można spodziewać, odepchnąłem go ode drzwi wychodząc na dziedziniec. Natychmiast wszelako dostrzegłem, że szedł tuż za mną. Wracał do pobliskiego mieszkania zacnej swej rodzicielki. Dogonił mnie.

– Mówię ci, Copperfieldzie – syknął mi nad uchem, gdyż nie raczyłem nawet odwrócić głowy —mówię ci, że to ty w fałszywym stawiasz się położeniu.

Czułem, że ma rację i to mnie właśnie rozjątrzało.

– Nie poradzisz na to – ciągnął – nie możesz mi przeszkodzić, abym ci przebaczył. Nie, nie wspomnę o tym nikomu, nawet rodzonej matce. Postanowiłem przebaczyć ci i dziwię się tylko, że mogłeś pozwolić sobie podnieść rękę na tak nędznego, tak pokornego jak ja robaka.

Miał słuszość. Lepiej mnie znał, niżeli ja znałem siebie. Gdybyż przynajmniej mnie wyzywał, ale nie! Dręczył tylko, drażnił, na wolnym dopiekał ogniu!

Gdym wyszedł nazajutrz rano, kościelne dzwony nawoływały wiernych do modlitwy. Spotkałem go idącego z matką. Powitał mnie, jak gdyby nic nigdy pomiędzy nami nie zaszło, zmuszając mnie do pozornej grzeczności. Musiałem mu wybić zęby, gdyż miał twarz podwiązaną czarną jedwabną chustką, która bynajmniej nie przyczyniła się do upiększenia go. Mówił, że wraca właśnie od dentysty, który mu wyrwał ząb. „Czemu nie wszystkie?” – pomyślałem bardziej szczerze niż miłosiernie.

Doktor, tłumacząc się złym stanem zdrowia, większą część dnia spędził samotnie w swej pracowni. Tydzień co najmniej upłynął od wyjazdu Agnieszki i jej ojca, zanim wróciliśmy do dawnych zajęć. Doktor podał mi raz nie zapieczętowaną, do mnie adresowaną kopertę, w której powtarzał zlecenie zachowania w tajemnicy wypadków pamiętnego wieczoru. Tajemnicę tę powierzyłem tylko ciotce. Nie mogłem poruszać jej z Agnieszką, która się niczego nie domyślała.

Nie domyślała się też pani Strong, o ile mogłem wnosić. Przynajmniej sporo czasu upłynęło, zanim dostrzegłem w niej zmianę. Zmiana ta nasuwała się na kształt powolnej, jesiennej chmury. Zrazu tylko dziwić ją zdawało się łagodne współczucie w postępowaniu męża. Pragnął, aby matka jej zamieszkała z nimi i rozweseliła jej samotność. Nieraz, pracując z doktorem, widziałem, jak mu się przypatrywała bacznie; nieraz, powstając nagle z miejsca, opuszczała pracownię ze łzami w oczach. Powoli piękność jej trwałym omroczyła się smutkiem. Pani Markleham przebywała wprawdzie teraz ciągle z córką, lecz ciągle mówiąc i mówiąc, nie miała czasu, by zauważyć cokolwiek.

I nie tylko pani Strong zmieniała się w oczach. Mąż jej zestarzał się, posmutniał widocznie, tylko w dobroci jego, łagodności, tkliwości dla żony żadna nie zaszła zmiana. Raz, był to dzień jej urodzin i jak zwykle, lecz nieśmiało jakoś, lękliwie, usiadła z robotą przy oknie w pracowni, widziałem, jak wziął ją za głowę, pocałował w czoło i odszedł spiesźnie. Skamieniała, podobna do posągu. Po chwili opuściła pogiębioną głowę, z oczu jej popłynęły łzy.

Czasem, gdyśmy zostawali sami, zdawało mi się, że chce coś do mnie powiedzieć, lecz nigdy nie wyrzekła słowa. Doktor szukał dla niej rozrywek, których by poza domem mogła używać pod okiem matki. Dogadzało to przepadającej za zabawami pani Markleham, lecz córka jej stosowała się z widocznym przymusem do woli męża. Wszystko zdawało się jej obojętnym.

Nie wiedziałem już, co mam myśleć. Ciotka też, która przechadzała się wieczorami całymi po swym pokoju, gubiła się w domysłach. Jeden pan Dick zdawał się przenikać te domowe tajemnice.

Co myślał o tym, co zauważył, powiedzieć nie potrafię. Wspominałem już o jego uwielbieniu dla doktora Stronga; przywiązanie zaś wszelkie obdarzone bywa tak rozwiniętą intuicją, że zrównać może istoty niższego rozwoju z najbardziej rozwiniętymi. Serdeczna ta intuicja rozświeciła mroki zalegające umysł pana Dicka.

Przybywszy do Londynu, wszedł od razu w dawne swe prawa towarzyszenia uczoneму w jego długich przechadzkach po ogródku. Było to zupełnie tak jak niegdyś w Canterbury. Pan Dick był najszcześliwszym, gdy mu doktor odczytywał swój słownik, najnieśczęśliwszym zaś człowiekiem stawał się z chwilą, gdy manuskrypt znikał w kieszeni szlafroka autora. Gdyśmy z doktorem byli zajęci w pracowni, przechadzał się po ogródku z panią Strong, pomagając jej doglądać kwiatów i grządek. Zdaje mi się, że rzadko zamieniali z sobą więcej niż parę słów na godzinę, lecz mimo to rozumieli się doskonale, lubili się najpewniej wzajemnie i zadzierzgnęło to pomiędzy nimi pewne silne więzy.

Gdy przypomnę go sobie, z nieprzeniknioną twarzą idącego za doktorem i słuchającego trudnych wyrazów ze słownika, gdy przypomnę go sobie noszącego flance i nasiona za doktorową, klęczącego przy grzędach i pielącego je dużymi, obleczonymi w rękawice rękoma, każdym ruchem, spojrzeniem wyrażającego to, czego nikt by równie wymownie nie zdołał wyrazić: chęć zadowolenia jej, za pośrednictwem każdego wazonu, kwiatka, grudki ziemi oświadczającego jej swą przychylność, zapominającego dla niej i przy niej nawet o nieszczęsnym swym królu Karolu, niestrudzonego w usługach – gdy przypomnę go sobie tak dobrym, kochającym, wiernym, wstydę się niemal, żem go posądzał o brak zdrowych zmysłów.

– Nikt się oprócz mnie na nim nie poznał – upewniała z zadowoleniem ciotka, gdy z nią o tym mówił. – Niejedną on nam jeszcze zgotuje niespodziankę.

Zanim rozdział ten skończę, wywołać muszę jedno jeszcze wspomnienie. W czasie pobytu pana Wickfielda i Agnieszki u doktora zauważyłem, że co rana pocztylion przynosił dwa lub trzy listy do Uriaha. Poznawałem na kopercie zamaszyste pismo pana Micawbera. Wnosiłem tedy, że interesy jego musiały się poprawić, i jakież było moje zdziwienie, gdy pewnego poranku otrzymał od jego żony list następującej treści:

Canterbury, poniedziałek wieczorem. Zdziwi Pana zapewne, Panie Copperfield, list mój, a bardziej jeszcze jego treść, najwięcej zaś tajemnica, o którą Pana upraszam. Uczucia moje jako żony i matki potrzebują wynurzenia, że zaś nie mogę w danym razie zwrócić się do mej – zawsze ku panu Micawberowi pewną niechęć żywiącej – rodziny, postanowiłam ze wszystkiego zwierzyć się Panu, jako najlepszemu i najdawniejszemu naszemu przyjacielowi i lokatorowi.

Oznajmić Panu muszę, kochany Panie Copperfield, że pomiędzy mną a mężem mym – nie opuszczę go nigdy! nigdy! – istniało zawsze wzajemne zaufanie. Czasem wprowadził pan Micawber działając bez zasięgnięcia rad moich lub skrywał przede mną termin jakiegoś weksla – jak to właśnie obecnie miało miejsce – lecz na ogół mąż mój nie miał tajemnic dla wiernej swej towarzyszki i co wieczór zdawał mi szczegółowe sprawozdanie z całego dnia. Wyobrazisz Pan sobie łącznie, kochany Panie, jaką przejmującą boleścią napelnia mnie obecnie dostrzeżona w tym względzie zmiana. Zmienił się mąż mój, chowa tajemnice jakieś przed wierną towarzyszką swej doli i niedoli – to jest przed małżonką – i gdy upewnię Pana, że oprócz tego, iż od rana do zmierzchu przebywa w kancelarii, tyle dziś wiem o jego życiu, co o życiu Patagończyków, że użyję tylko utartej przenośni.

Nie na tym koniec! Pan Micawber posmutniał, spochmurniał. Zbojętniał dla starszego syna i pierworodnej córki, przestał się szczyścić bliźniętami i zimnym okiem spogląda na nowo przybyłe w naszym rodzinnym kole niemowlę. Z największą trudnością wydostać od niego można grosz na domowe wydatki, często wspomina o uregulowaniu rachunków, ani słowa zaś wydobyć z niego nie można o zagadkowej tej zmianie.

Ciężko to, ciężko jest znosić. Serce mi pęka. Jeśli – znając środki, którymi rozporządzam – zechce mi Pan przyjaznej udzielić rady i wskazówki ku rozwiązaniu trudnego tego dylematu, zobowiąże mnie Pan nieskończenie, dodając jedno więcej do tylu dawnych zobowiązań. Dzieci moje przesyłają Panu przyjazne pozdrowienie, a nowo przybyły, w rodzinnym naszym kółku nieznanym, niewinny, zagadek pełen uśmiech, ja zaś, kochany Panie Copperfield, pozostają z niezmienną dla Pana przyjaźnią.

Emma Micawber

Na list ten mogłem dać tylko jedną radę: pozyskać utracone zaufanie męża łagodnością i ciepłością, w czym zresztą, jak dodałem, pani Micawber celowała. Jednakże list jej dał mi wiele do myślenia.

ROZDZIAŁ XLIII RZUT OKA W PRZESZŁOŚĆ

Raz jeszcze zastanowię się nad minionym okresem mego życia, przywołam pamięcią cienie dni tych, otaczające zewsząd własny cień mój. Mijały tygodnie, miesiące, lata, mijały, jak letnie mijają dni, jak zimowe mijają wieczory! Przechadzki z Dorą to wśród słonecznej pogody, to po śniegiem przysypanych ulicach, niedzielne przechadzki po ukwieconych łąkach w lecie i zimą nad ściętą w sople lodu rzeką! Minęły dni, tygodnie, miesiące, minęły jak w morze zbiegające fale rzeki.

W domu dwóch staruszek najmniejsze nie zachodziły zmiany. Zegar nad kominkiem jednostajnie wybijał godziny, a w hallu wisiał barometr. I zegar, i barometr mylą się często, polegać na nich nie warto, ślepo im jednak wierzyliśmy.

Dobiegłem pełnoletności, skończyłem dwadzieścia jeden lat. Każdy przez to przechodził, lecz niech przypomnę sobie, com w owym czasie już osiągnął.

Udało mi się wreszcie przeniknąć tajniki stenografii i podwoić moje dochody. Wyrobiłem sobie nawet pewne imię w tej gałęzi i uczęszczałem stale do Parlamentu w celu zasilania „Porannego Dziennika”. Co wieczór notowałem nigdy nie spełnione przepowiednie lub projekty, objaśnienia nie wyjaśniające niczego. Po uszy nurzałem się w słowach, w potokach słów. Odtąd Brytania wryła mi się w wyobraźnię jako spłakana niewiasta lub opierzona, piórami kancelistów naszpikowana kuropatwa, spętana czerwonym sznurkiem. Dowiedziałem się, co znaczy i ile warta jest polityka. Nie ma ona we mnie i nie zyska nigdy wiernego syna.

Traddles próbował też sił na tym polu, lecz mu nie szło. Niepowodzenie jednakże nie zakłóciło pogody jego umysłu. Nie robił nigdy z siebie kogoś wielkiego. Pracował w dziennikarstwie zbierając i rejestrując fakty, które inni rozwijali lub upiększali. Oddał się adwokaturze. Wejście jego do adwokatury suto obiano grzonym winem.

Inną obrałem sobie jeszcze drogę i drżącą ręką próbowałem swych sił w literaturze, wysyłając utwory me w sekrecie do różnych tygodników. Płacono mi za nie. Źródła moich dochodów liczyć już mogłem na palcach.

Przenieśliśmy się z Buckingham Street do podmiejskiego domku, który już kiedyś ściągnął moją uwagę i pragnienie. Ciotka miała się ode mnie przenieść do jeszcze mniejszego, znajdującego się w pobliżu domku. Po co? Ano, bo się miałem żenić.

Żenić? Tak, z Dorą. Otrzymałem zezwolenie panny Lawinii i panny Klarysy, które się przy tym trzepotały jak kanarki w klatce. Panna Lawinia, zajęta wyprawą bratanicy, nie miała

chwili spokoju, przepatrując modele i wzory i rozprawiając z młodzieńcami zawsze uzbrojonymi w miarę i nożyce. Krawiec, z wpiętą w klapę od surduta igłą, nie wychodził z domu, a zdawało mi się, że, czy to gdy jadł, czy gdy pił, czy gdy sypiał – nie rozstawał się nigdy z napastrkiem. Luba moja została ich lalką. Ciągłe jej coś przymierzano nie zostawiając nas w spokoju ani na pięć minut. Co chwila słyszałem: „Prosimy panią, panno Doro”.

Panna Klarysa z moją ciotką wertowały znów cały Londyn, szukając potrzebnych nam sprzętów, a co gorsza, upatrzonych nie kupowały od razu, lecz kazały nam oglądać, a gdyśmy się wybierali na owe oględziny, Dora zamiast rusztu do kuchni kupowała na przykład chińską pagodę z dzwoneczkami na szczycie, jako budkę dla Jipa. Jip znów potrzebował sporo czasu, by przywyknąć do nowej rezydencji. Za każdym razem, gdy włąził lub raczej gdy wpychano go do pagody, dzwoneczki poruszały się i dzwoniły, czego się bardzo bał.

Peggotty przybyła, aby pomóc mi się urządzać. Pracowała od rana do nocy. Myła i szorowała wszystko, co się tylko dało, doprowadzając do stanu takiego połysku, jakim świeciło jej własne czoło. Zacząłem teraz spotykać jej brata, samotnie błądzącego wieczorami po ciemnych ulicach i zaglądnącego w oczy każdej przechodzącej kobiecie. Nie zaczępiałem go nigdy, wiedząc, czego szuka... czego się lęka.

Dziwnie też poważnie wyglądał Traddles, gdy raz po południu spotkał się ze mną w Commons, gdzie czasem dla formy przesiadywałem. Było to w przeddzień urzeczywistnienia najpiękniejszych mych marzeń – odbierałem właśnie potrzebne mi do ślubu świadectwo.

Była to ćwiartka papieru, którą Traddles oglądał na wszystkie strony, ze zdziwieniem niby. Wypisano na niej i połączono imiona Dawida Copperfielda i Dory Spenlow, a niżej znajdowała się urzędowa pieczęć, uświęcająca nasz związek, oraz formalne, błogosławiące, tanio zresztą kupione zezwolenie na nasze szczęście samego canterburskiego arcybiskupa.

Snem mi się to zdawało, błogim snem. Nie wierzyłem, że to się może spełnić, a jednak zdawało mi się jednocześnie, że każdy z przechodniów musi wiedzieć, że się mam nazajutrz żenić. Zastępca ułatwił mi załatwienie wszystkich formalności, a Traddles, chociaż bez potrzeby, towarzyszył mi wszędzie.

– Mam nadzieję – mówiłem mu – że wkrótce zjawisz się tu także. Życzę ci, aby to nastąpić mogło jak najprędzej.

– Dziękuję ci za dobre życzenia – odparł. – I ja się tego spodziewam, myśląc z prawdziwą radością, że kochane to dziewczę gotowe czekać choćby najdłużej.

– O której godzinie pójdziesz ją spotkać na stację dyliżansów? – spytałem.

– O siódmej – odrzekł spoglądając na swój gruby srebrny zegarek, ten sam, z którego w szkole wy dobył kiedyś kółko do zbudowania młyna. – Panna Wickfield przybędzie o tej samej godzinie?

– Nieco później, o wpół do ósmej.

– Czuję się tak szczęśliwy – twierdził poczciwy chłopak – jak gdybym sam miał się żenić, a nie potrafię już wyrazić wdzięczności za zaproszenie mej Zofii na drużkę wraz z panną Wickfield. Nie uwierzysz, jak to mnie wzrusza.

Uściskaliśmy się. Rozmawialiśmy tak, chodziliśmy razem, jedliśmy obiad, a wszystko to zdawało mi się snem.

O naznaczonej godzinie Zofia przybyła do ciotek Dory. Nie była może piękna, lecz posiadała nad wyraz przyjemną i sympatyczną powierzchowność. Pełna była prostoty, szczerości, wdzięku. Traddles nie bez pewnej dumy przedstawił nam swą narzeczoną. Zacierał ręce i włosy mu się na głowie jeżyły. Z wdzięcznością i zadowoleniem przyjmował nasze powinnowania.

O wpół do ósmej przywiozłem Agnieszkę, szczęśliwy, że widzę znowu wśród nas jej drogą twarz. Agnieszka lubiła bardzo Traddlesa, który cieszył się z możliwości przedstawienia jej „kochanego swego dziewczęcia”.

Wciąż jednak snem mi się to wszystko zdawało. Wieczór przeszedł wesoło, przyjemnie, tylko ja nie mogłem w pełni cieszyć się swoim szczęściem, trawiony wewnętrznym jakimś niepokojem, podniecony tak, jak gdybym nie spał kilka nocy z rzędu. Zdawało mi się, że to nie dziś, lecz co najmniej przed miesiącem dostałem z Commons spoczywające w bocznej kieszeni mego surduta świadectwo.

Nazajutrz udaliśmy się wszyscy razem na oględziny naszego, to jest Dory i mego, domu. Nie mogłem sobie wyobrazić siebie w nim jako gospodarza, czułem się raczej intruzem, zdawało mi się, że gospodarz wylezie gdzieś z kąta. Domek był śliczny, nowy, wszystko w nim lśniło czystością. Kwiaty dywanów wyglądały jak świeżo zerwane, tak samo gałązki na tapecie; białe firanki, różowe mebelki dodawały uroku. Przy lustrze wisiał ulubiony przeze mnie słomkowy kapelusz Dory z niebieskimi wstążkami, a w kącie stała gitara, każdy zaś wchodzący potraçał dzwonki pagody Jipa, za dużej co prawda w szczupłym mieszkaniu.

Jeszcze jeden wieczór do snu podobny. Przed odejściem do domu chciałem zobaczyć Dorę, ale jej nie było. Panna Lawinia tajemniczo oznajmiła mi, że wkrótce nadejdzie. To „wkrótce” wydało mi się nieco przydługie, gdy nagle usłyszałem przy drzwiach szelest i pukanie.

Otworzyłem. Spotkały mnie błyszczące oczy Dory. Panna Lawinia przymierzała jej ślubną suknię. Objąłem mą narzeczoną. Panna Lawinia krzyknęła. Mogłem zgnieść woal. Dora śmiała się i płakała zarazem... Snem mi się to zdawało.

– Czy ci się to podoba, Doady? – pytała Dora.

– Czy mi się podoba!

– Czyś tylko pewien, że mnie kochasz, ale to bardzo kochasz?

Odpowiedź groziła woalowi, więc panna Lawinia zaczęła mi tłumaczyć, że Dora jest teraz tylko do patrzenia, że mam tylko z dala patrzeć i podziwiać ją. Dora stała chwilę przede mną jak święta z obrazka, a potem zrzuciła szybko woal i zaczęła skakać dokoła pokoju, pytając Jipa, czy jej do twarzy w ślubnym stroju i czy się Jip na nią nie gniewa, że wychodzi za męża. Następnie zaś kazała mu służyć, zastawiając go słynną naszą kucharską książką.

Wróciłem do domu, pytając siebie, sen li to czy jawa? Nazajutrz wcześniej bardzo pojechałem po ciotkę.

Nigdy przedtem nie widziałem jej tak wyglądającej! Odziana w jedwabną żółtą suknię i biały kapelusz wyglądała przedziwnie; ubierała ją Janet. Peggotty była już gotowa, ponieważ także wybierała się do kościoła. Pan Dick, który obiecał prowadzić mą narzeczoną do ołtarza, kazał się ufryzować. Wyglądał równie rozpromieniony jak Traddles, który niebawem nadszedł.

Pamiętam to wszystko, chociaż zdaje mi się, że nic wówczas nie widziałem. A jednak prawdą to było, jawą. i odczuwałem pewną litość dla tych przechodniów, którzy śpiesząc do codziennych swych zajęć, w szczęściu mym nie mieli uczestniczyć.

Przez całą drogę ciotka nie wypuszczała ręki mej ze swych dłoni. Gdyśmy się zatrzymali przed kościołem, uściśnęła mi ją silnie, całując mnie jednocześnie.

– Niech cię Bóg błogosławi, chłopcze, dziecko moje – rzekła. – Cały ranek myślę o biednej twej matce!

– I ja też myślę o niej, ciotko, a i o tym, co ci zawdzięczam – rzekłem.

– Sza! – przerwała i podała dłoń Traddlesowi, który z kolei uściskał pana Dicka, pan Dick mnie, po czym weszliśmy do kościoła.

Cicho tam było i spokojnie, uciekłbym jednak jak przed wybuchem piekielnej maszyny, tylko że już było za późno!

Wszystko to snem mi się zdawało.

Snem – przybycie ich wraz z Dorą, snem – kobieta, co nam nasze wskazywała miejsca. Myślałem przy tym. pamiętam, dlaczego otwieranie kościelnych ławek jest specjalnością bab, i to jakich bab! Myślałem, dlaczego ścieżki Pańskie takimi porastać mają chwastami.

Weszli księża. W kościele było kilku rybaków, a najbliżej mnie stojący marynarz zaprawiał powietrze zapachem araku. U ołtarza rozpoczęto nabożeństwo. Słuchaliśmy z przykłądną pobożnością.

Panna Lawinia w roli dodatkowej drużki płakała poświęcając zapewne szlochami te pamięci nieboszczyka Ridgera; panna Klarysa szukała flakonika z solami; Agnieszka zdawała się całkowicie zajęta Dorą, a ciotka moja usiłowała zachować niewzruszony wygłąd, chociaż łzy ciekły jej po twarzy. Dora, cała drżąca, mówiła szeptem.

Kłęczeliśmy obok siebie. Powoli Dora zdawała się uspokajać, lecz nie wypuszczała ręki Agnieszki. Ceremonia skończyła się. Wszyscyśmy po sobie spojrzeli uśmiechając się poprzez łzy, jak wiosennym dżdżem splukane słońce. Dora w zakrystii rozplakała się na dobre, wołając swego „ojczulka, kochanego ojczulka”.

Uspokojono ją, wpisaliśmy się w parafialne księgi. Poszedłem po Peggotty, pragnąc, by się też podpisała jako świadek. Peggotty uściskała mnie i ocierając łzy mówiła, że była na ślubie moich rodziców.

Pamiętam, wiodąc prześliczną mą żonę, przechodziłem wśród dwóch rzędów ciekawskich, dwóch rzędów ławek, posągów, organów i kościelnych okien, a w myśli majaczyły mi dawne, z dzieciństwa uniesione wspomnienia kościoła w Blunderstone.

Dokoła rozlegały się szepty. Podziwiano młodość naszą i urodę oblubienicy. Jadąc z powrotem, w powozach gwarzyliśmy wesoło. Zofia upewniała, że gdym zapotrzebowałem od Traddlesa powierzonego mu świadectwa, drżała ze strachu, czy czasem narzeczony jej owego dokumentu nie zgubił lub czy mu go nie wyciągnęli kieszonkowi złodzieje. Agnieszka zdawała się bardzo wesoła, Dora zaś tak ją polubiła, że ani na chwilę nie chciała się z nią rozdzielić i przez cały czas trzymała Agnieszkę za rękę.

Śniadanie było obfite i smaczne; jedliśmy, pili, a mnie się wciąż zdawało, że wszystko to jest tylko snem, nawet smak pozywanych potraw i wychyłanych kielichów, przestając być jawą, zamieniał się w miłość i małżeństwo.

Pamiętam, przemawiałem jak we śnie, nie wiedząc, o czym i do kogo. Pamiętam, wesoło nam było, dobrze; nawet Jip spożywał marcepany, które mu, nawiasem mówiąc, zaszkodziły.

Pamiętam, konie zajechały i Dora poszła do swego pokoju przebrać się. Ciotka i panna Klarysa pozostały w salonie. Przy śniadaniu ciotka wznosiła zdrowie ciotek Dory, co ją bardzo rozbawiło.

Wreszcie Dora już była gotowa, a panna Lawinia zalewała się łzami, tracąc prześliczne to cacko! Okazało się, że Dora zapomniała tego i owego. Zaczęła się bieganina, szukanie, a potem wszyscy otoczyli Dorę, nastąpiły pożegnania. Cała w barwnych wstążkach, najdroższa moja wyglądała niczym żywy kwiat, ledwie ją płaczącą i śmiejącą się zarazem wyrwał z ich objęcia.

Chciałem nieść Jipa, który miał nam towarzyszyć w poślubnej podróży, lecz Dora oparła się temu stanowczo. Jej to było rzeczą niańczyć kochanego psiaka, który inaczej pomyślałby może, że go – raz wyszedłszy za mąż – zaniebduje. Wreszcie wyszliśmy pod rękę z domu. Na progu Dora zatrzymała się.

– Jeśli się naraziłam komu, darujcie – zawołała wybuchając płaczem.

Pociągnąłem ją za sobą. Raz jeszcze przystanęła, chciała uściskać Agnieszkę – tak, dla Agnieszki niech będą ostatnie jej pocałunki.

Odjechaliśmy wreszcie. Nie sen to, lecz jawa! Miałem obok siebie własną mą, lubą, kochaną żoneczkę!

– Czyś zadowolony, ty brzydki chłopcze – pytała Dora – i czyś pewien, ale to bardzo pewien, że nie pożałujesz nigdy?

.....

Wywołałem w pamięci obraz chwil tych... wracam do mej opowieści.

ROZDZIAŁ XLIV

NASZE GOSPODARSTWO

Dziwne mi się wydało po upływie miodowego miesiąca znaleźć się z Dorą w małym naszym domku. Wyszedłem był z powszedniego trybu życia, zaniedbałem zajęcia, samą zajęty miłością.

Dziwne mi się zdawało mieć ją ciągle przy sobie, nie potrzebować wychodzić z domu, by ją zobaczyć, nie tęsknić za nią, nie pisywać do niej, nie gubić się w planach i wykrętach, by spędzić z nią sam na sam chwil kilka. Czasem wieczorem, odrywając oczy od pracy i widząc ją siedzącą naprzeciw mnie, dziwiłem się, że tak pozostała sama ze mną i nikt nic na to powiedzieć nie może. Minał okres narzeczeństwa, pozostaliśmy we dwoje, wolno nam było i trzeba podobać się sobie wzajemnie – zawsze.

Gdy mnie posiedzenia Parlamentu zatrzymywały do późna poza domem, wracałem, dziwiąc się na samą myśl, że Dora mnie czeka. Dziwiłem się, gdy wychodziła mi naprzeciw i gdyśmy we dwoje zasiadali do wieczerzy. Zdumiewałem się, gdy zawijała w obecności mojej włosy w papiloty! Przywyknąć do tego nie mogłem.

Chyba para ptasząt, które nie orzą i nie sieją, tyle co my, Dora i ja, wiedzieć mogła o praktycznej stronie życia. Mieliśmy służącą i ta prowadziła całe gospodarstwo. Posądzając Marię Annę, że jest nieodrodną córką samej chyba pani Crupp. Miała talent zmieniania domu w piekło! Nazywała się Paragon² i wszystko w niej odpowiadało tej nazwie. Posiadała obszerne świadectwa przeróżnych uzdolnień i doskonałości. Była to niewiasta dojrzała, o surowej powierzchowności, cała w krostach, posiadała w gwardii kuzyna o nieskończenie długich pieszczelach. Nie mieścił się w mundurze, a w małym naszym domku robił wrażenie olbrzyma; że zaś ściany nie odznaczały się szczególną grubością, sapanie jego rozchodziło się z kuchni po całym domu.

Świadectwa opiewały nadto uczciwość i wstrzemięźliwość skarbu, co się nam dostał w udziale. Musiała widocznie być chora wtedy, kiedym ją widział z butelką przy ustach, i dzięki to zapewne ulicznemu stróżowi ginęły nasze łyżeczki do herbaty.

Przygniatała nas bądź co bądź całym ciężarem swej doskonałości. Czuliśmy nasze niedoświadczenie i niezaradność, pozostawaliśmy na jej łasce, a raczej niełasce, gdyż wspaniało-

² Paragon – szlachetny kamień, diament; w przenośni – wzór doskonałości.

myślność nie wchodziła w skład tej doskonałości. Ona to była powodem pierwszej naszej sprzeczki.

– Kochanie – rzekłem raz do Dory – jak uważasz, czy Maria Anna ma jakiegokolwiek wyobrażenie o czasie?

– Czemu, Doady? – spytała Dora podnosząc zdziwione oczy.

– Bo już piąta, kochanie, a mieliśmy jeść obiad o czwartej.

Dora spojrzała na zegar i zauważyła, że musi się śpieszyć.

– Przeciwnie – zauważyłem wyjmując zegarek z kieszeni – opóźnia się o pięć minut.

Żoneczka usiadła mi na kolana i dla uspokojenia zaczęła rysować ołówkiem różne linie i wykrzykniki na moim czole i nosie. Było to istotnie bardzo przyjemne, lecz, niestety, nie nasycające. Po kilku chwilach odezwałem się:

– Czy nie upomniałabyś Marii Anny?

– Nie! nie! Za nic, Doady!

– Czemu nie, kochanie?

– Bo jestem gąską i ona wie to aż nadto dobrze.

Zmarszczyłem brwi.

– O! O! Już ten brzydki grymas – śmiała się Dora śliniąc ołówek w różowych swych usteczkach, dla lepszego oznaczenia na moim czole linii „brzydkiego grymasu”. Byłem zachwycony.

– Teraz – wołała – chłopczyk mój greczny. Z uśmiechem mu bardziej do twarzy.

– Duszko! Kochanie!

– Nie! Nie! Nie pozwalam! Ty, Sinobrody!

– Kochanie moje – rzekłem – musimy czasem porozmawiać poważnie. Usiądź tu przy mnie, bliżej, i oddaj mi ołówek. Dobrze. Otóż, miła...

Drobna jej rączka tonęła w mojej. Jakże mała była jej ślubna obrączka!

– Otóż... trudno się, widzisz, obejść bez obiadu.

– N... n... nie – odrzekła cicho.

– Drżysz, Doro! Co ci?

– Gniewasz się na mnie?

– Ja? Chcę tylko porozmawiać z tobą rozsądnie.

– To jeszcze gorsze od gniewu – wybuchnęła. – Ja nie po to wychodziłam za mąż, aby rozmawiać rozsądnie! Jeśli chciałeś ze mną, niebogą, rozsądnie rozmawiać, trzeba było uprzedzić. Niedobry!

Chciałem ją przekonać, odwróciła się ode mnie, potrząsając loczkami i powtarzając ustawicznie:

– Niedobry! Okrutny!

Nie wiedziałem, co począć, przeszedłem się parę razy po pokoju.

– Doro, kochana!

– Nie, nie jestem kochana. Żałujesz zapewne, żeś się ze mną ożenił, inaczej nie przemawiałbyś mi do rozsądku.

Oskarżenie to było tak niesprawiedliwe, że musiałem wziąć je poważnie.

– Bzdurzysz i udajesz dzieciątko, Doro – rzekłem. – Przypomnij sobie, wczoraj musiałem wyjść o naznaczonej godzinie i nie mogłem skończyć obiadu, a onegdaj byłem niezdrów, gdyż zjadłem nie dogotowane potrawy. Dziś, jak mi się wydaje, wcale nie dostanę obiadu, a śniadania doczekać się było niepodobna, bo woda nie chciała się zagotować. Nie wyrzucam ci tego, duszko, mówię tylko po prostu, że to niezbyt przyjemne.

– O! Niedobry! Okrutny! – płakała Dora. – Mówi, że jestem nieznośną żoną.

– Doro! Kiedyż to mówiłem?

– Czyż nie mówiłeś, że jestem nieprzyjemna?

– Mówiłem, że nasze gospodarstwo nieprzyjemne.

– Na jedno to wychodzi!

Przekonana snadź o tym była, gdyż płakała gorzko. Przeszedłem się znów po pokoju. Byłem w rozpacz, rozbiłbym sobie głowę o ścianę, tak gorzkie czułem wyrzuty sumienia. Usiadłem przy Dorze.

– Nie, Doro, droga moja, żadnych ci nie czynię wyrzutów. Obojeśmy niedoświadczeni i obojgu wiele pozostaje do nabycia. Chciałem cię tylko, luba moja, przekonać (postanowiłem był raz przecie sprawę tę załatwić), żeś powinna pilnować służącej, rządzić domem.

– I ty, ty mi to możesz wyrzucać?! – szlochała Dora. – Czyż nie wiesz, że onegdaj, jak tylko posłyszałam, że lubisz rybę, poszłam sama, Bóg wie jak daleko, by ci zgotować tę niespodziankę?

– I wdzięczny ci byłem, tak wdzięczny, że nie wspomniałem nawet, że kupiony łosoś wystarczyłby na sześć osób i kosztował więcej, niż wydawać możemy.

– A zdawałeś się zadowolony – westchnęła Dora – nazwałeś mnie „myszką”.

– I teraz cię, jeśli chcesz, tysiącrotnie tak nazwę!

Serduszko jej do żywego snadź było zadrażnione, bo się nie dawała pocieszyć. Szlochała i wzdychała, a mnie, jako winowajcę biedy, sumienie gryzło. Musiałem przy tym wyjść, wróciłem późno i cały wieczór nie miałem spokoju. Zdawało mi się, że popełnił monstrualną zbrodnię.

Wróciłem do domu po północy i przestraszyłem się bardzo, zastawszy ciotkę.

– Cóż się stało? – zawołałem. – Uspokój się, chłopcze – mówiła – kwiatek nasz był nie w humorze, więc dotrzymywałam jej towarzystwa, oto wszystko.

Opuściłem głowę, byłem pogiębiony. Czułem, że mnie ciotka nie spuszcza z oka. Widocznie też była niespokojna.

– Upewniam cię, ciotko – mówiłem – że się dręczył cały wieczór wiedząc, że się tu Dora martwi. Upewniam cię, że się chciałem z nią zgodnie i łagodnie rozmówić na temat naszego gospodarstwa i nie przypuszczałem, że się obrazi.

Ciotka wstrząsnęła zachęcająco głową.

– Powinieneś się uzbroić w cierpliwość, Trot.

– Zapewne! Niebo biorę na świadka, że tylko chciałem być rozsądny.

– Wierzę. Cóż! Kwiatek nasz bardzo delikatny, lada powiew wiatru zwarzyć go może. Pamiętaj o tym, kochany mój chłopcze.

Jakże wdzięczny byłem ciotce, w głębi serca, za jej dobroć i pobłażanie dla Dory.

– Może byś, kochana ciotko – przerwałem milczące wpatrywanie się w ogień – może byś sama zwróciła uwagę Dory na te domowe sprawy.

– Nie, Trot, nie prosz mnie nawet o to – odrzekła takim głosem, że podniosłem głowę.

– Oglądając się poza siebie – mówiła – myślę o tych, których już wśród nas nie ma, a z którymi powinnam była na lepszej pozostawać stopie. Jeśli sąd mój o małżeństwie bywał za srogim, wina to własnego mego, gorzkiego doświadczenia. Ale nie w tym rzecz! Byłam przez lat wiele ostrym sędzią, a dziwaczką jestem po dziś dzień i pozostanę taka, lecz z tobą, Trot, wzajem nieśmy dobrze na siebie wpłynęli. Ty mi przynajmniej, dziecko, wiele, wiele zrobiłeś dobrego i poróżnić się z tobą nie chcę.

– Może to być kiedy, kochana ciotko, mowa o poróżnieniu pomiędzy nami?

– Dziecko jesteś – mówiła ciotka układając starannie fałdy sukni. – Nie trzeba być jasnowidzącą, aby wiedzieć, czym by się skończyło moje wmieszanie się w wasze domowe sprawy. Moją rzeczą pieścić naszą kotkę, starać się, aby była wesoła i swobodna. Przypomnij sobie, Trot, własne dzieciństwo, powtórne małżeństwo swej matki; o wiele lepiej byłoby, jeśli by nikt pomiędzy wami nie stawał.

Ciotka miała słuszość. Wdzięczny jej tylko być mogłem.

– Ha! – ciągnęła. – Nie trać odwagi, jesteśmy u samego początku, a Rzym nie od razu zbudowany został. Nikt na wybór twój nie wpływał.

Po czole ciotki przemknął cień, lecz po chwili mówiła z zupełną pogodą:

– I wybrałeś sobie śliczną, kochającą istotkę. Obowiązkiem twym i największą – wiem to i wcale ci nie prawię kazania – przyjemnością być winno i będzie radowanie się zaletami, które żona twa posiada, nie zaś wyszukiwanie tych, na których jej zbywa. Jeśli możesz, rozwiń w niej te, których braknie, lecz – tu ciotka potarła koniec nosa – przywykaj raczej obchodzić się bez nich. W każdym razie przyszłość od was samych zależy, nikt wam pomóc, nikt się pomiędzy was mieszać nie może i nie powinien. Takie jest małżeństwo, dziecko moje! Niechże Nieba mają was w swej pieczy.

Mówiąc to, pocałowała mnie.

– A teraz – dodała – zapal mi latarnię i odprowadź mnie do bramki (pomiędzy naszymi dwoma domkami było przejście przez ogród), uściśnij ode mnie na dobranoc nasz kwiatek i pamiętaj, abys mnie nigdy tu nie wzywał jako stracha. Dość mi być strachem dla samej siebie.

Zawiązała chustkę na głowie i wyszliśmy razem. Gdy, stojąc we własnym już ogródku, podniosła latarnię w górę, by oświetlić sobie drogę, zdawało mi się, że znów dostrzegłem w jej twarzy cień niepokoju. Nie zastanawiałem się jednak nad tym. Słowa jej pobudziły mnie po raz pierwszy do myślenia, że istotnie musimy z Dorą sami sobie budować przyszłość, na niczyją nie licząc pomoc.

Dora w pantofelkach wyszła na moje spotkanie, rzuciła mi się z płaczem na szyję, przyznając, że była przekorna, ale bom był taki zły, okrutny, bez serca. Przyznałem wszystko, co chciała, i postanowiliśmy w najlepszej wierze, że pierwsza ta sprzeczka będzie zarazem ostatnią.

Służące były istną naszą domową kłeską. Kuzyn Marii Annie zbiegł z pułku i ukrywał się, jak się okazało, w naszej spiżarni, zanim nie został schwytany przez towarzyszy broni. Tego już było za dużo. Wypowiedziałem służbę Marii Annie i zdziwiłem się spokojowi, z jakim to przyjęła. Później dopiero dostrzegłem brak łyżeczek i spadły na mnie różne dawne, w przekonaniu mym zapłacone, rachunki. Po Marii Annie przyszła do nas na służbę pani Kidgerbury, najstarsza z mieszanek Kentish Town, wyborna jakoby sprzątaczką, której jednak wiek i siły nie dozwalały spełniać przyjętych na się obowiązków. Po pani Kidgerbury nastąpiła inna doskonałość, wcale znośna zresztą kobiecina, która tę tylko miała wadę, że co dzień przewracała się niosąc tacę z naczyniem. Ustawiczne i niezliczone szkody zmusiły nas odprawić ją i wrócić do pani Kidgerbury. Przebraliśmy cały zastęp niezdolnych, zanim natrafiliśmy na młodą i ładną dziewczynę, która uczęszczając na jarmarki stroiła się w kapelusze Dory.

Wszyscy nas wszędzie oszukiwali. W sklepach dawano nam najgorsze towary, raki bywały puste, mięso łykowate, bochenki chleba wypróżnione. Sam zasięgałem rady kucharskiej książki co do smażenia pieczeni. Próżno! Pieczeń zawsze bywała twarda, wszystko zresztą spalone lub surowe.

Przekonałem się, że niepowodzenie kosztowało drożej od bankietowania, a przeglądając rachunki kupców doszedłem do wniosku, żeśmy mogli wybrukować ulicę osetkami masła, tyle go u nas wychodziło. Co do pieprzu, jeśliśmy nie podtrzymywali sami handlu tym artykułem, to pewno kilka rodzin musiało się bez niego, z przyczyny nadmiernej naszej konsumpcji, obchodzić. A jednak spiżarnia świeciła pustkami.

Nie nam jednym zapewne zdarzało się przyjmować przeprosiny i tłumaczenia praczki za poszarpaną i zagubioną bieliznę czy też płacić karę i słuchać wymysłów komisarza policyjnego, gdy sadze zapaliły się w kominie, specjalne jednak szczęście mieliśmy do amatek spirytualiów i nie wiem, ile zapłaciłem butelek rumu, dżinu, wódki, zapisanych w pobliskich szynkach na imię – mej żony.

Pierwszym naszym gospodarskim, występem był obiad dla Traddlesa. Zaprosiłem go spotkawszy się z nim w mieście, że zaś chętnie przyjął zaproszenie, napisałem natychmiast do Dory, że go po południu przyprowadzę z sobą. Pogoda była prześlizna. Idąc rozmawialiśmy ciągle o moim szczęściu. Traddles całkowicie był nim przejęty, mówił, że nie pojmuje już

większej dla siebie radości, niż mieć takie jak ja domowe ognisko, a przy nim czekającą go Zofię.

Najbardziej wymagający człowiek byłby zadowolony z gospośi, która zasiadła z nami do stołu. Jadalnia, co prawda, mogła być obszerniejsza. Nie wiem, jak to się działo, lecz pokój był zawsze przepelniony i nie sposób było coś znaleźć, może dlatego zresztą, iż rzecz żadna, oprócz pagody Jipa, o którą zawsze zawadzić wypadało, nie miała przeznaczonego miejsca. W danym wypadku Traddles tak był ściśnięty pagodą, gitarą Dory, jej sztalugą, moim biurkiem, że pomimo jego upewnień „pełno, pełno miejsca”, podziwiać tylko mogłem zręczność, z jaką posuwał ściśnięte łokcie.

Życzyłbym też sobie, aby Jip mniej chodził po stole i nie pakował nosa do talerzy, a łap do półmisek. W danym wypadku uważał za obowiązek blokować Traddlesa, warczeć za każdym kawałkiem, który przyjaciel mój połykał, lub drapać Tomcia po rękawie i pozbawiać go najsmakowitszych kąsków.

Znając tkliwość Dory i słabość jej dla ulubieńca, nie sprzeciwiałem się temu. Z tegoż samego powodu nie mówiłem ani słowa o harcach półmisek ze stołu na posadzkę, o nie zachęcającym wyglądzie obitych karafek, o gromadzeniu się przed Traddlesem talerzy i sosjerek. Gdym zabrał się do krojenia przypalonej pieczeni, zdziwił mnie osobliwy kształt pieczeni, jak gdyby ktoś uparł się, by sprowadzić dla nas tak zły gatunek baraniny, ale milczałem, nie dzieląc się z nikim moimi wrażeniami.

– Co tam masz na tym półmisku, duszko? – spytałem wreszcie. Dora mrugała do mnie porozumiewawczo.

– Ostrygi – rzekła nieśmiało.

– Więc i o tym pomyślałaś, gospośiu luba! – zawołałem uradowany.

– Ta-a-k, Doady.

– Wybornie! Wiem, że je Traddles lubi.

– Ta-a-k – mówiła potrząsając loczkami – kupiłam całą baryłkę, kupiec upewniał, że są doskonałe, ale... ale... boję się... coś się stało... niezupełnie zdają się dobre.

W oczach Dory mieniły się łzy.

– Żle są otwarte – uspokajałem ją. – Podnieś wierzchnią skorupkę.

– Ależ kiedy się nie daje – mówiła mieszając się coraz bardziej.

– Wiesz co – wtrącił przypatrzawszy się ostrygom Traddles – są doskonałe, ale nigdy, jak widzę, nie były otwarte.

Istotnie, nie były otwarte i nie posiadaliśmy potrzebnych na to nożyków. Patrzyliśmy tedy na ostrygi, a jedliśmy baraninę z kaparami. Zjedliśmy do ostatniego kaska, a gdybym się nie sprzeciwił, poczciwy Traddles, przez uprzejmość i w celu pokazania, jak mu nasz obiad smakuje, połknąłby cały półmisek surowego mięsa. Byłaby to już zbytńia, na ołtarzu przyjaźni złożona ofiara. Szczęściem posiadaliśmy resztki szynki dla dokończenia nieposilnego obiadu.

Żoneczka moja tak była zmieszana, tak wystraszonymi oczyma na mnie patrzała, tak się ucieszyła, widząc, z jaką pokorą znoszę szereg tych przeciwności! Najprzyjemniejszy spędziłyśmy wieczór. Dora opierała się o moje krzesło, gdyśmy z Traddlesem popijali wino. szepcząc mi co chwila na ucho, że jestem poczciwy, dobry chłopiec, bom się nie gniewałem, nie zżymałem. Nalewała nam herbatę, z właściwym sobie wdziękiem, w malutkie, lalczyne, które sama wybrała, filiżanki. Któż by przy tym zarzucić mógł chińskiemu napojowi smak nieosobliwy? Zagraliśmy z Traddlesem partię wista, a Dora tymczasem śpiewała przy gitarze. Znow mi się miłość, małżeństwo wydały snem rozkosznym. Dawnoż to było, gdym ją pierwszy raz tak śpiewającą słyszał?

Po wyjściu Traddlesa żona moja przysunęła się do mnie.

– Smutno mi, Doady! Naucz mnie być dobrą gospośią.

– Przede wszystkim sam się muszę wyuczyć, nie lepszym od ciebie, droga moja, jestem gospodarzem.

– Aha! Ty to się nauczysz, tyś mądry!
– Bredzisz, myszko!
– Chciałabym – ozwała się po długim milczeniu – wyjechać gdzieś na wieś, na calusieńki okrągły rok, mieszkać z Agnieszka.

Trzymała skrzyżowane na moim ramieniu ręce, opierając o nie brodę i podnosząc na mnie błękitne oczy.

– Dlaczego? – spytałem.

– Boby mnie wyuczyła, poprawiłabym się przy niej.

– Wszystko ma swą rację, kochanie! Agnieszkę wychował tak jej ojciec. Od dzieciństwa była taką, jaką ją dziś znamy.

– Czy będziesz mnie nazywał, imieniem, które sobie wymyśliłam? – spytała Dora nie zmieniając pozycji.

– Powiedz! – prosiłem z uśmiechem.

—To taka zabawna nazwa – odrzekła potrząsając loczkami. – Dziecinna żona.

Śmiejąc się, pytałem mą dziecinna żonę, skąd jej na myśl przyszła ta dziwaczna nazwa? Zbliżyła twarz swą do mojej, nachylając rączkami moją głowę.

– Ja nie chcę, ty brzydki, niedobry, żebyś imieniem tym zastąpił własne moje imię i wołał tak na Dorę, chcę, abyś myśląc o mnie, miał mnie za dziecinna żonę. Chcę, abyś, gdy ci przyjdzie chęćka rozgniewać się, mówił sobie: „E! Nie warto! Toż to dziecinna żona!” Gdy cię znienierpliwię, mów sobie: „Wszak wiedziałem od dawna, że mam dziecinna żonę”, a gdy nie będę taką, jaką byś mnie widzieć pragnął, a pewna jestem, że nigdy nie będę, powiedz sobie: „Jednakże moja dziecinna żona kocha mnie z całego serca”.

Nie, nie brałem jej nigdy na serio, byłoby to możliwe?! Lecz kochające, tkliwe jej serce rozradowało się wszystkim, com jej na to powiedział. Prawdziwa to była dziecinna żona. Usiadła na ziemi koło pagody Jipa, wszystkie trącając z kolei dzwonki, za karę, jak mówiła, bo Jip był niegrzeczny. Rozespany Jip nie chciał się nawet gniewać na dzwonki.

Słowa Dory, prośba jej silne na mnie wywarły wrażenie. Dziś jeszcze z ómy czasu wywołuję wdzięczny wizerunek mej ukochanej, czuję jej drobne rączęta splecione na moim ramieniu, widzę wzniesione ku mnie spojrzenie, słyszę pieszczotliwe słowa. Nie odpowiedziałem na nie tak, jak odpowiedzieć powinienem, młody i niedoświadczony byłem! Lecz znalazły one drogę do mego serca.

Wkrótce potem Dora oznajmiła mi, że będzie doskonałą gospodynią. Przygotowała zeszyty rachunkowe, notatniki, zszyła nawet porwane przez Jipa stronicę kucharskiej książki, słowem, wszelkich dokładała starań, aby się, jak mawiała, „poprawić”. Cóż, liczby te, niegodziwe liczby! Nigdy, tak jak przedtem, nie chciały się schodzić! A gdy wpisała parę notatek w notatniku, Jip wlaź z łapami i zatarł wszystko ogonkiem. Drobne jej paluszki powalane były atramentem... Oto jedyny rezultat jej usiłowań.

Czasem, gdy pracowałem wieczorem w domu – pracowałem zaś wiele i imię moje zaczynało być znane wśród pisarzy – odkładałem pióro, przypatrując się mej dziecinnej żonie i jej usiłowaniom poprawy. Przede wszystkim przynosiła rachunkową księgę, kładła ją na stole, otwierała w miejscu, które Jip w przeddzień był zatarł, i wołała psa, by mu to pokazać. Za karę brzydki, niegodziwy Jip miewał nosek umorusany atramentem. Dobrze mu tak, niech będzie grzeczny. Następnie układała Jipa na stole lub kazała mu udawać lwa. Była to ulubiona jej sztuczka, chociaż, co prawda, jakkolwiek by Jip przyjmował pozę, trudno było dopatrzeć się w nim podobieństwa do króla pustyni. Czasem Jip był posłuszny, często jednak uciekał i chował się pod kanapę. Wówczas Dora brała pióro. Włosek jakiś przeszkadzał pisać. Szła szukać drugiego pióra. Papier zalewał, pióro skrzypiało i miła moja mawiała cichutko, do siebie: „Co za nieznośne pióro, przeszkadza Doady”. Kończyło się odrzuceniem pióra i książki rachunkowej, którą, śmiejąc się w głos, ciskała we „lwa”, to jest w Jipa.

Czasem znów, gdy była w bardzo poważnym nastroju. siadała z rachunkami, kartkami i innymi dokumentami, podobnymi raczej do papilotów niż do rachunków. Porównywała je, liczyła paluszkami prawej ręki na paluszkach lewej, a nie mogąc się doliczyć, wyglądała tak zafrasowana, zasepiona! Oczywiście musiałem jej przyjść z pomocą.

– Cóż tam, Doro?

Spoglądała na mnie smutnie.

– Nie schodzą się. W głowie mi się mąci i zaczyna boleć.

– Poczekaj, spróbujemy razem, zejść się może.

Zaczynałem wyjaśniać, a Dora słuchała uważnie przez całe nieraz pięć minut. Po pięciu minutach stawała się roztargniona, ziewała, potrząsała loczkami, gładziła moje włosy, wyciągała kołnierzyki, przekrzywiała mi twarz. Jeśli mimo te zaczepki przeciągałem rachunki, zasepiała się, w coraz większe popadała roztargnienie, a mnie stopniowo zaczynały nękać wyrzuty sumienia. Przypominała mi się dawniejsza wesołość i swoboda mej dziecinniej żony, odkładałem tedy pióro i sam pierwszy prosiłem o gitarę.

Pracy miałem nawał, kłopotów trochę, lecz chowałem to w sobie, nie chcąc zachmurzać czoła Dory. Nie miałem zapewne racji. Widzę to teraz, przerzucając karty mego sumienia i życia. Czuję, że mi w sercu pozostało stare jakieś, puste miejsce, a świadomość ta napęłnia mnie smutkiem, choć nie goryczą. Często przechadzając się w dni pogodne i przypominając sobie złotą wiosnę mej młodości, widzę, że mi w szczęściu mym brakowało czegoś; braki te utonęły jednak w mgłę przeszłości, obecnej nie omraczając chwili. Wówczas już czułem, że wolałbym znaleźć w żonie doradcę, przyjaciółkę, oparcie, żem nieraz potrzebował zachęty, rady, rozumiem jednak, że połączenie takie było nieosiągalnym szczęściem na tej ziemi.

Zaiste, nader młodym byłem małżonkiem, niedoświadczonym, obeznanym tylko z wypadkami i smutkami, o których była mowa w tym pamiętniku, jeśli zatem popełniałem omyłki, to z przywiązania oraz z braku doświadczenia. Przekonany o tym jestem i to mnie uspokaja.

Niedoświadczony i pełen przywiązania, wziąłem na własne barki cały ciężar trosk domowych. Gospodarstwo szło uprzednim trybem, więcej niż kulawo, lecz przywykłem do tego, a Dora cieszyła się, widząc mnie pozornie zadowolonym. Wróciła jej uprzednia, dziecięca swoboda i wesołość. Bawiła się drobnostkami i śmiała całe dni.

Gdy w Parlamencie przedłużały się rozprawy i późno w noc wracałem do domu, Dora zwykła wybiegać na me spotkanie. Gdy spędzałem wieczory w domu pisząc, siadywała przy mnie, nie zważając na spóźnioną porę, cichutko, tak cicho, żem ją posądzał nieraz, że się zdrzemnęła. Lecz dość mi było podnieść wzrok, by się spotkać z rozbłyśniętym, błękitnym jej spojrzeniem.

– O, chłopcze ty mój, chłopcze! – powiedziała raz, gdy zamykał szufladę biurka.

– O, dziewczę ty moje, dziewczę! Malutka – odrzekłem całując ją – tobie to już dawno pora spać.

– Nie odsyłaj mnie do łóżeczka – prosiła tuląc się do mnie.

– Doro!

Czułem jej łzy na mej szyi.

– Doro, co ci jest! Czujesz się niezdrowa, nieszczęśliwa?

– Zdrowa jestem, szczęśliwa, lecz powiedz, powiedz, że nie będziesz odsyłał mnie spać, dopóki sam piszesz.

– Przyjemny widok dla twych pięknych oczu, i to o północy!

– A piękne mam oczy? – pytała uśmiechając się poprzez łzy.

– O, ty mała zalotnico!

Nie, nie była zalotna ani próżna, wiedziałem to, chciała mi się tylko podobać,

– Jeśli tedy ładne mam oczy – mówiła – zostanę i będę zawsze patrzeć, jak piszesz. Naprawdę więc uważasz moje oczy za ładne?

– Bardzo ładne.

– Dobrze, nie będziesz mnie już odsyłał do łóżka?
– Czuwanie nie zdwoi, Doro, ich blasku.
– Owszem, nieznośny chłopcze! Wiem, że jak tu będę, to nie zapomnisz o mnie snując wszystkie te bajki, które wypisujesz! Czy się nie zagniewasz, gdy ci powiem coś bardzo, ale to bardzo niedorzecznego? – kończyła podnosząc ku mnie twarzyczkę.

– Co takiego, czarodziejko moja?
– Pozwól mi trzymać i podawać ci pióra! Nie mam nic do roboty przez te długie, długie godziny, w których tak bywasz zajęty! Pozwól mi podawać ci pióra.

Dziś jeszcze łyzy mam w oczach, gdy przypomnę sobie radość, jaką ją nappełniło me zezwolenie. Odtąd siadała zawsze przy moim biurku z pękiem zatemperowanych piór. Uszczęśliwiona była, gdy mi się pióro psuło, natychmiast podawała nowe, dumna ze współudziału w mej pracy. Często, aby ją zadowolnić, prosiłem o przepisanie ćwiartki lub dwóch manuskryptu. Promieniała wówczas. Przynosiła z kuchni bibułę, nie było końca przygotowaniom. Wszystko wpierv musiała wytłumaczyć Jipowi i przekonana była, że dzieło wtedy dopiero wykończone zostanie, gdy każdą stronicę ozdobi swym podpisem. Tak wykończone kopie przynosiła mi z zadowoleniem pensjonarki, a gdy pochwaliłem, zarzucała mi ręce na szyję. Stare, lube wspomnienia!

Nanizala też na kółko wszystkie klucze i pobrzękiwała nimi, zawiesiwszy sobie u paska. Wprawdzie szuflady i szafy nie bywały nigdy zamknięte, a klucze służyły do zabawy lub drażnienia Jipa, lecz Dorę tak to zadowalniało, że i mnie ostatecznie musiało zadowalniać.

Zdawało jej się, że jest gosposią – istnie lalczywego, w lalczym domu, lalczym trybem prowadzonego gospodarstwa.

Tak szły rzeczy. Dora okazywała ciotce mej równie tkliwe jak i mnie przywiązanie, mówiąc, że się jej dawniej bała i myślała, że jest „złą, starą babą”. Nie widziałem, aby ciotka kiedy bądź i dla kogo bądź była tak pobłażliwa jak dla Dory. Zasługiwała się nawet niewdzięcznemu Jipowi, który na uprzejmość jej wieczystym odpowiadał warczeniem. Słuchała co dzień gry na gitarze, chociaż wiem, że nie lubiła muzyki, nie krytykowała nigdy na ustawiczną krytykę zasługujących kucharek, kupowała jako niespodzianki wszystko, co się Dorze podobało, a wchodząc do nas, od progu już wołać była zwykła:

– Gdzież jest nasz kwiatek?!

ROZDZIAŁ XLV

PAN DICK SPEŁNIA PRZEPOWIEDNIE CIOTKI

Przeszło już sporo czasu, odkąd przestałem pracować z doktorem, lecz mieszkając w jego sąsiedztwie widywałem go często. Kilka razy byliśmy u niego na obiedzie lub herbacie. Herod-baba królowała ciągle pod dachem zięcia. Nie zmieniła się wcale i te same zawsze motyle zdobiły jej czepiec.

Podobnie do wielu innych spotykanych matek, pani Markleham bardziej od córki spragniona była zabawy. a jak wszelkie tego rodzaju baby dogadzała sobie, poświęcając się niby dla dobra córki. Zastosowywała się tedy w zupełności do żądań zięcia, poszukując rozrywek, niby to dla Annie.

Nie chcąc tedy, nie wiedząc o tym, jątrzyła ranę jego serca. Lekkomysłność i egoizm częstokroć, niestety, nie opuszczają nas w przejrzałym, że tak rzec można, wieku i boję się bardzo, czy przez lekkomyślność i egoizm pani Markleham nie utwierdzała doktora w przekonaniu, że jest ciężarem dla młodej żony, że wszelka łączność uczuć jest niemożliwa przy podobnej różnicy wieku.

– Duszo moja kochana – mówiła na przykład – sam to rozumiesz przecie, że Annie nie może więdnąć tu jak w więzieniu.

Doktor potakując skłaniał głowę.

– Gdy dosięgnie mego wieku – dodawała wachlując się – to co innego. Mógłbyś mnie zamknąć w czterech ścianach, na dwa spusty, a nie zatęskniłabym do świata, ale Annie nie jest swoją matką.

– Zapewne, zapewne – potakiwał doktor.

– Najpocziwszym jesteś pod słońcem stworzeniem – kończyła przerywając ruch przeczący zięcia – powtarzam w oczy, co za oczy zwykłam mówić, najlepszym pod słońcem jesteś stworzeniem, wszystkim to wiadomo, ale jasne jest, że nie możesz we wszystkim zgadzać się z Annie.

– Nie, zapewne! – smutnie odrzekł doktor.

– Naturalnie, że nie. Weźmy na przykład chociażby ten słownik! Jakie to poważne, potrzebne dzieło! Wyjaśnia znaczenie i pochodzenie słów. Gdyby nie słowniki, nazywalibyśmy nożem albo widelcem na przykład łóżko. No! Prawda! Ale też niezaprzeczona prawda, że żaden słownik nie zdoła w szczególny sposób zainteresować Annie. Co, czy nieprawda?

Doktor kiwał głową.

– Otóż właśnie – ciągnęła Herod-baba, uderzając go zalotnie wachlarzem po ramieniu. – Najwięcej w tobie cenię to, że będąc sam stary, rozumiesz potrzeby młodego wieku. Zrozumiałeś charakter i usposobienie Annie i to właśnie mnie zachwyca.

Nawet na miłej twarzy doktora malowała się bolesna niecierpliwość, wywołana niewczesnymi tymi pochwałami.

– Toteż – dodawała uderzając go żartobliwie po ramieniu – masz mnie na swe usługi, w każdym razie i o każdej dobie liczyć na mnie możesz, zawszem gotowa towarzyszyć Annie czy to do teatru, czy na koncerty, wystawy – wszędzie. Nie zwracaj uwagi na moje zmęczenie – obowiązek, przede wszystkim obowiązek.

Dotrzymała słowa. Była z rzędu tych, które mogą wytrzymać wiele rozrywek bez zmęczenia. Siedząc w najwygodniejszym fotelu, oglądała przez okulary wszystkie dzienniki, wynajdując zawsze coś, czego Annie z pewnością jeszcze nie widziała. Próżno doktorowa protestowała.

– Nie wiesz, duszko, co mówisz – mawiała jej matka. – Okazałabyś się doprawdy niewdzięczną, nie stosując się do woli męża.

Mawiała to zwykle w obecności doktora i argument ten, o ile zauważyłem, przekonywał Annie. Stosując się do woli męża i matki, wszędzie towarzyszyła Herod-babie.

Rzadko kiedy towarzyszył paniom pan Maldon. Zapraszały czasem Dorę i moją ciotkę, czasem samą Dorę.

Zrazu nie podobało mi się to, lecz przypomniawszy sobie słowa i zapewnienie doktora w pamiętny ów wieczór, uwierzyłem im, nabierając przekonania, że same tylko pozory były przeciw Annie.

Ciotka, znajdując się sam na sam ze mną, pocieszała mnie, utrzymując, że nie rozumie tego wszystkiego. Pragnęła, aby się to jak najlepiej skończyło, sądziła wszelako, że Herod-baba na szczęśliwe rozwiązanie sytuacji wpłynąć nie mogła. – Chyba – dodawała – Herod-baba odszpili od czepka motyle i ofiaruje je kominiarzowi, by nimi ustroił swój kapelusz w dniu Święta Wiosny³.

Zresztą w tym jak i we wszystkim najczęściej polegała na panu Dicku. Nosił się on, jak twierdziła, z pewną myślą. – Byle ta myśl dojrzała – dodawała – a pan Dick zadziwi nas wszystkich!

Nie domyślając się pokładanych w sobie nadziei, pan Dick pozostawał w tych samych co przedtem stosunkach z panem i panią Strong. Nie posuwał się dalej i nie cofał, jak drzewo, które zapuści korzenie. Co do mnie, wyznaję, nie dowierzałem, by był zdolny do jakiej bądź inicjatywy.

Pewnego wieczoru, w kilka miesięcy po naszym ślubie, uchylił drzwi bawialnego pokoju, w którym siedziałem sam, pisząc. (Dora z ciotką poszły na herbatę do panien Spellow.)

– Mam ci coś powiedzieć, Trot – rzekł nieśmiało. – Czy ci nie przeszkadzam?

– Ani trochę. Proszę, panie Dicku.

– Trotwood – rzekł kładąc palec na nosie. – Zanim usiądę, pozwolę sobie zrobić pewną uwagę. Znasz ciotkę?

– Tak sądzę – odparłem.

– Zadziwiająca to kobieta!

Powiedziawszy to, westchnął, jak gdyby zrzucił z siebie ciężar, i siadając spojrzał na mnie z większą niż zwykle powagą.

– A teraz, chłopcze – zaczął – postawię ci pytanie.

– Tyle, ile się panu, kochany panie, podoba.

– Co pan myśli o mnie? – spytał krzyżując na piersi ramiona.

– Myślę, że pan jest starym, kochanym przyjacielem.

³ Aluzja do tradycyjnego, maskaradowego pochodu w dniu Święta Wiosny, przypadającego w maju; zwyczaj ten datuje się w Anglii od czasów pogańskich.

– Dziękuję ci, chłopcze! – zawołał śmiejąc się i ściskając mi ręce – dziękuję, ale nie w tym rzecz. Chciałem cię spytać, co o mnie myślisz w tym względzie...

Wymownym ruchem wskazał swe czoło.

Przez chwilę, zmieszany, nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Sam mnie wybawił z kłopotu.

– Słaby, co? – spytał.

– Ta-a-k, może – odrzekłem.

– A co! – zawołał uradowany. – Odjęli, widzisz, pełno trosk z tamtej głowy, przygniatając nimi moją.

Zacierał ręce, jak gdyby chciał wyrazić wielkie jakieś zmieszanie.

– Jakoś to mi pomieszali – mówił. Skinąłem tylko głową.

– Słowem – mówił zniżając głos do szeptu – mam bzika, co?

Chciałem mu zaprzeczyć.

– Nie, nie – przerwał mi – wprawdzie ona w to nie wierzy, ale ja wiem, że tak jest. Oho! Gdyby nie ona, byłbym dawno najniezwyklejszym pod słońcem stworzeniem i Bogu tylko wiadomo, jak nędzne wiódłbym w zamknięciu życia! Ale wywdzięczam się jej, wywdzięczam. Nie wydaję ani pensa z pieniędzy, które zarabiam przepisując. Odkładam je i sporządziłem testament, w którym wszystko jej zapisuję. Będzie bogata! Zobaczysz.

Wyjął z kieszeni chustkę, otarł oczy, po czym znów starannie złożył chustkę i szybkim ruchem schował ją do kieszeni, co wyglądało, jak gdyby zarazem schował tam moją ciotkę.

– Uczony jesteś, Trot – mówił – mądry, i sam wiesz, jak znamienitym uczonym jest doktor! Wiesz także, jakim mnie zaszczyca zaufaniem. Nie jest zarozumiały, chociaż taki rozumny! Owszem, skromny, tak skromny, że przestaje chętnie nawet ze mną, nieukiem. Wypisałem też imię jego na latawcu i wysłałem tam, wysoko, wraz ze skowronkami. Latawiec porywał się wypisanym na nim imieniem i obłoki też.

Upewniłem go, że istotnie doktor zasługiwał na takie odznaczenie.

– A piękna, śliczna jego żona – ciągnął – to gwiazda, jasna gwiazda! Widziałem, jak błyszczy – tu przysunął się ku mnie i położył mi na kolanach rękę – ale są chmury, chłopcze, są chmury!

Zdawał się wzruszony. Potakiwałem mu głową.

– Jakie chmury? – spytał nagle, wpatrując się we mnie bacznie.

Odpowiedziałem mu na to z cicha, lecz wyraźnie, tak jak się coś objaśnia dziecku.

– Są pomiędzy nimi nieporozumienia pewne, tajemnicze, zrodzone może z różnicy wieku, na niczym może nie oparte.

Pan Dick powtarzał moje słowa, po każdym skłaniając głowę. Gdy skończyłem, milczał chwilę, trzymając wciąż rękę na mych kolanach.

– Doktor się na nią nie gniewa? – spytał wreszcie.

– Nie – odrzekłem. – Kocha ją.

– Rozumiem!

Zawołał to z taką żywością, przymrużając oczy i rozsiadając się na krześle, że go o większego niż kiedy bądź posadził bzika. Nagle spoważniał. Wyciągnął z kieszeni chustkę do nosa i wraz z nią przypomniał sobie ciotkę.

– Zdziwiająca kobieta! – rzekł, a po chwili dodał: – Czemuż ona temu nie zaradzi?

– Przedmiot to zbyt drażliwy!

– A ty, uczony chłopcze? – dotknął mnie wskazującym palcem.

– Dla tejże samej przyczyny – odrzekłem.

– Rozumiem! – zawołał porywając się z miejsca i trzęsąc się cały z zadowolenia tak mówił:

– Szalona pałka, bziki, wariat, ktoś, kogo znasz zapewne, zrobi to, czego najmędrsi nie mogą uczynić. Ja ich pogodzę, zobaczysz, pogodzę! Spróbuję. Na mnie nikt się przecie gniewać

nie będzie, nie weźmie mi za złe. Wszak jestem tylko panem Dickiem, kto tam na mnie, choć i głupstwo jakie palnę, zważać będzie?

Odetchnął głęboko. W tej samej chwili rozległ się u bramy turkot dorożki. Ciotka i Dora wracały.

– Ani słowa o tym, cośmy dopiero mówili – szepnął mi do ucha – ani słowa. Jeśli ma być bieda, niech spada na tego głuptaska Dicka. Już od jakiegoś czasu rozmyślałem nad tym, a teraz rozumiem. Dobrze!

Nie powiedział już na ten temat ani słowa więcej, lecz przez resztę wieczoru dawał mi ciągle znaki milczenia, w zdumienie wprawiając ciotkę.

Przeszło parę tygodni, a ku wielkiemu memu zdziwieniu nie słyszałem nic więcej o powziętych przez pana Dicka zamiarach. Zdawało mi się nawet, że mu to wywietrzało z myśli.

Pewnego wieczoru Dora nie chciała wyjść z domu i sam z ciotką poszedłem do doktora. Jesień już była, wieczór wilgotny, liście szeleszcząc pod naszymi stopami napełniały powietrze wonią przypominającą mi Blunderstone. Wiatr stare nawoływał wspomnienia.

Ściemniło się, zanim doszliśmy do mieszkania doktora. Pani Strong wracała właśnie z ogrodu, gdzie pan Dick pozostał jeszcze ścinając róże. Doktor zajęty był w swej pracowni z kimś, kto miał odejść natychmiast. Weszliśmy do bawialnego pokoju i usiedliśmy w cieniu okna. Między takimi przyjaciółmi jak my ceremonie były zbyt ciche.

Zaledwie usiedliśmy, wpadła z gazetą w rękę pani Markleham wołając:

– O! Na Boga! Annie! Czemuś mnie nie ostrzegła, kto jest w gabinecie!

– Mogłamże wiedzieć – łagodnie odrzekła córka – że mamie potrzebna ta wiadomość?

– Potrzebna? – oburzyła się padając na kanapę Herod-baba. – Nigdy się tak jeszcze nie przestraszyła.

– Czy mama wchodziła tam? – spytała Annie.

– Czy wchodziłam?! – zawołała z emfazą – naturalnie, że wchodziłam, i jak sądzicie, panno Trotwood, panie Dawidzie, na co natrafiłam? Poczciwiec ten sporządzał testament.

Córka jej spojrzała wystraszona.

– Sporządzał testament – prawiała Herod-baba kładąc gazetę na stolyczku i uderzając po niej ręką. – Co za przezorność, co za poczciwość! Muszę powiedzieć, jak to było. Muszę, aby dać świadectwo tej poczciwej duszy. Wiadomo zapewne pani, panno Trotwood, że w tym domu oczy stracić można. Niepodobna doczekać się światła. A i jednego przyzwoitego w całym domu nie ma fotela, gdzie by wygodnie, z gazetą w ręku usiąść było można. Chyba w pokoju mego zięcia. Podążyłam tam, dostrzegłszy światło, i cóż ujrzałam? Oto dwóch jegomościów, prawników zapewne, stojących przy biurku. Doktor z piórem w ręku mówił... Annie, duszko, słuchaj, co mąż twój mówi! Oto własne jego słowa: „Wyrażam tym, panowie – mówił, Annie, czy słyszysz? – Wyrażam tym pełne me zaufanie do pani Strong i zostawiam jej bezwarunkowo wszystko, co posiadam”. Jeden z jegomościów powtórzył: „bezwarunkowo wszystko”, a ja ze wzruszonym macierzyńskim sercem zawołałam: „Przepraszam” i wybiegłam z pokoju.

Pani Strong otworzyła drzwi i wyszła na balkon, gdzie oparła się o barierę.

– Czyż nie podziwiasz pani, panno Trotwood, i ty, panie Davy, czy nie podziwiacie – paplała stara – przezorności, dobroci doktora? Widzę teraz dobrze, że na moje wyszło. Gdy mnie doktor zaszczylił był odwiedzinami i oświadczył się o córkę, powiedziałam Annie, pamiętam co do słowa, powiedziałam jej: „Duszko, zobaczysz, że doktor zrobi dla ciebie więcej nawet, niż mu obowiązek będzie nakazywać”.

Posłyszeliśmy dzwonek, prawnicy odchodzili.

– Skończone – mówiła Herod-baba wsłuchując się – skończone! Podpisał, przypieczętował, złożył! Teraz może spokojnie umrzeć. Co za dusza! Annie, duszko, idę do gabinetu, z gazetą, bo nie mogę obejść się bez nowin. Panno Trotwood, panie Davy! Wszak zobaczycie się z doktorem?

W mroku komnaty, zamykając nóż ogrodniczy, stał pan Dick. Ciotka moja pocierała nos gwałtownie. Był to niemy, lecz wymowny protest przeciw natręctwu Herod-baby. Nie wiem już jednak, kto z nas pierwszy wszedł do gabinetu ani jakeśmy się tam znaleźli, pamiętam tylko, żeśmy zastali gospodarza domu przy biurku, wśród ulubionych mu ksiąg, z opartą na rękę głową. Jednocześnie do pokoju wsunęła się blada i drżąca jego żona. Pan Dick wprowadził ją pod ramię, położył rękę, budząc z zadumy, na ramieniu doktora, a gdy ten podniósł zdumiony wzrok, Annie osunęła się przed nim na kolana i wraz z dłońmi wzniosła na męża spojrzenie, co mi na zawsze wraziło się w pamięć. Gazety wypadły z rąk zdumionej pani Markleham.

Powaga i łagodność doktora, błagalna postawa jego żony, wyraz twarzy pana Dicka, zadowolenie, z jakim ciotka moja szeptała: „I to ma być wariat!” – wszystko to widzę, słyszę jeszcze.

– Doktorze! – przemówił pan Dick – niechże pan spojrzysz.

– Annie, dziecko moje! – zawołał doktor – ależ nie tak, nie u moich nóg.

– Owszem – rzekła z cicha – tak, i niech nikt, proszę, nie odchodzi. Mężu mój, ojcze! Przerwij grobowe to milczenie, powiedz, co stanęło pomiędzy nami?

Pani Markleham odzyskała mowę. Oburzyła się macierzyńska jej duma.

– Annie! Duszko! – zawołała grzmiąco. – Powstań natychmiast! Nie upokarzaj siebie i swej rodziny! Chcesz chyba, bym zmysły postradała!

– Próżne słowa, mamu – odparła Annie. – Twoje tu nawet prawa gasną wobec męża mego.

– Moje! Moje! Wyrodna córko! – wołała pani Markleham. – Wody!

Wszystcyśmy pozostali głusi na to wołanie i Herod-baba mdlała i cuciała się sama.

– Annie – mówił z czułością doktor biorąc żonę za obie ręce. – Dziecko moje, nie z twojej to winy zaszły zmiany w stosunku naszym. Ja sam temu winienem, wiem to, i wierzaj mi, przywiązanie moje do ciebie, uwielbienie, szacunek w najmniejszej nie zmieniły się mierze. Kocham cię, poważam, z całego serca pragnę twego szczęścia. Powstań, Annie! Proszę.

Nie powstając z kolana i podnosząc na niego wzrok załzawiony, przytuliła się do niego. Po chwili opuściła głowę na jego kolana mówiąc:

– Jeśli mam tu przyjazną duszę, która by chciała mówić za mnie i za mego męża, jeśli mam przyjazną duszę, która by chciała wyjaśnić dziwne nieco podejrzenie, błagam ją o wyjaśnienie okrutnej tej sytuacji.

Przez chwilę nikt nie odpowiadał, zdobyłem się wreszcie na odwagę.

– Pani Strong – rzekłem – wiem coś, co mi mąż pani polecił zachować w tajemnicy, lecz co wyjawic teraz stało się obowiązkiem moim. Pozwoli mi pani mówić?

Spojrzała na mnie poprzez łzy. Zrozumiałem, że jestem na dobrej drodze.

—Spokój nasz domowy w twoich, kochany Copperfieldzie, pozostaje rękach – rzekła. – Mów, proszę, i nic nie ukrywaj; wiem z góry, że mi nikt nie zdoła powiedzieć nic takiego, co by zaćmiło dobroć i szlachetność mego męża! Niech więc żaden wzgląd na mnie cię nie wstrzymuje. Za wszystko odpowiem, tu przed nim, a tam przed Bogiem!

Po słowach tych zbyt czynnym byłoby pytać o pozwolenie doktora. Opowiedziałem tedy szczegółowo, łagodząc tylko wyrażenia Uriaha, scenę, która odegrała się w tym samym gabinecie. Któż zdoła zliczyć wykrzykniki, którymi Herod-baba ustawicznie przerywała moje opowiadanie.

Annie słuchała z opuszczoną na kolana męża głową. Gdym skończył, ujęła rękę męża i podniosła ją do ust. Pan Dick podniósł ją. Stojąc, nie odrywając spojrzenia od męża, mówiła:

– Wyspowiadam się ze wszystkiego, com miała na sercu, odkąd wyszłam za mąż. Teraz, gdym się dowiedziała, wszystko opowiedzieć to muszę.

– Nie, Annie – przerwał jej mąż łagodnie – nie potrzeba, dziecko moje. Nie wątpiłem nigdy o tobie, ufałem ci, ufam w zupełności.

– Owszem, muszę otworzyć serce przed tym, któremu zawdzięczam spokój całego życia i którego z każdym dniem bardziej Kocham i szanuję.

– Istotnie – wtrąciła pani Markleham – zaświadczyć mogę...

– Ach! Herod-baba! – syknęła ciotka.

– I pozwolę zauważyć sobie – ciągnęła pani Markleham – że szczegóły są chyba zbyt cenne...

– Jedynie mąż mój sądzić o tym może – odrzekła jej córka, nie zwracając się wcale do matki. – Jego to rzecz wysłuchać mnie. Jeśli tym, co powiem, zmartwię cię, mamo, przebac mi. Sama cierpiałam ciężko i długo.

– Na honor! – zaklęła Herod-baba.

– Gdy byłam jeszcze dzieckiem – zaczęła Annie – pierwsze moje wspomnienia i wrażenia wiązały się z łagodnym i cierpliwym nauczycielem, kochanym przyjacielem mego ojca! Wzbogacił on umysł mój pierwszymi wiadomościami, kierował mną i rozwijał mój charakter. Sądzę, że nauki z innych ust przyjęte nie miałyby na mnie nigdy tak dobrego wpływu.

– Za nic masz zatem swą matkę?! – przerwała z oburzeniem pani Markleham.

– Nie mówię tego, mamo! Oddaję mu tylko, co się należy – łagodnie odrzekła Annie. – Wzrastałam w tych uczuciach, w głębokim, wdzięcznym przywiązaniu do mego nauczyciela. Uważałam go za przewodnika, za ojca i pochwała z ust jego inną dla mnie od wszelkich pochwał miała cenę. Gdybym nie wierzyła nikomu, zawierzyłabym jemu, gdyż całą mą posiadał ufność. Wiesz, mamo, jak niedoświadczona i młoda byłam, gdyś mi nagle przyjaciela tego przedstawiła jako starającego się o moją rękę.

– Niejednokrotnie już to obecnym tu opowiadałam – rzekła pani Markleham.

– Czemuż choć raz nie zatrzymasz języka za zębami? – mruknęła moja ciotka.

– Uczułam – ciągnęła Annie nie zmieniając postawy i głosu – jak gdyby coś się zmieniło, jak gdybym coś straciła. Czuję się zmieszana, niepewna, dzieckiem byłam prawie i bolała mnie zmiana stosunku, do którego przywykłam, w którym wzrosłam. Tak dobry był jednak dla mnie, że mę się czuła zaszczycona jego wyborem. Wysłałam za niego.

– W kościele Świętego Alfonsa w Canterbury – podpowiedziała pani Markleham.

– Bodaj cię! – mruknęła ciotka.

– Nie ważyłam ani przez chwilę – mówiła z wzmagającym się rumieńcem Annie – materialnych korzyści tego związku. W sercu mym nie było miejsca na podobne wyliczenia. Pełne ono było czci i wdzięczności i daruj mi, mamo, aleś ty to pierwsza nasunęła mi myśl, że i mnie, i jego dotknąć mogą tak nędzne posądenia.

– Ja?! – zawołała pani Markleham.

– Bez wątpienia, nie tu nie pomoże wachlowanie się – mruknęła ciotka.

– Było to pierwszym mym nieszczęściem, pierwszą boleścią – mówiła Annie. – Dręczyło to mnie, lecz nie, nie z takich powodów, jak ci się zdawać może, mój mężu, i w sercu mym nie było myśli, uczucia, boleści, której byś obcym pozostał.

Podniosła oczy, składając ręce. Nikt z nas o prawdzie słów jej wątpić by nie śmiał. Doktor patrzył na nią.

– Nie jest to winą mamy – mówiła – intencje jej zawsze były najlepsze, wiem to, lecz widząc wymagania, jakimi obarczono cię w mym imieniu, twą wspaniałomyślność, która była powodem posąden najlepšíego i mającego interes twój na uwadze pana Wickfielda, uczułam po raz pierwszy spadający na mnie ciężar zarzutu, jakobym zaprzedać mogła uczucia me, młodość, życie całe. Nie potrafię powiedzieć i mama nie potrafi wyobrazić sobie goryczy tego uczucia. Wiedziałam przecie, że wychodząc za mąż podobnie nędznym nie uległam podobkom.

– Oto wdzięczność, na jaką zasłużyłam – rozsłochała się pani Markleham. – Za tyle starań! Traktują mnie teraz, jakbym była postrachem!

– Bodajś nim została! – zaklęła przez zęby ciotka.

– Było to wówczas właśnie, gdy mama tak się troszczyła o los kuzyna Maldona. Lubiłam go też bardzo. Kochaliśmy się dziećmi jeszcze będąc i jeśli by się życie me inaczej ułożyło, wyobraziłabym sobie zapewne, że go kocham, może bym wyszła za niego i na zawsze została unieszczęśliwiona. Największym nieszczęściem w małżeństwie jest różność charakterów i usposobień.

Mówiła pomалу, lecz bez wahania. Ostatnie jej słowa uderzyły mnie i chociaż nie chciałem stracić ani słowa z jej opowieści, powtarzałem w głębi serca:

– Największym nieszczęściem w małżeństwie jest różność charakterów i usposobień!

– Od dawna już – ciągnęła Annie — spostrzegłam, że pomiędzy mną a kuzynem moim nie było nic wspólnego i jeśli bym nawet nie miała tylu innych powodów wdzięczności dla mego męża, wystarczyłoby ten już, że mnie zasłonił przed omyłką własnego mego niedoświadczonego serca.

Słowa jej przenikały nas; spokojne były jak przedtem.

– Widząc, jak Maldon nadużywał narzuconej memu mężowi w imię moje wspaniałomyślności, myślałam, o ile lepiej byłoby, żeby sam sobie wywalczył drogę przez życie. Czułam, że na jego miejscu nie cofnęłabym się przed żadną ofiarą, przed najcięższą pracą, nie posądzałam go jednak o nic gorszego aż do wieczoru poprzedzającego jego wyjazd do Indii. Wieczoru tego przekonałam się, że był fałszywy i niewdzięczny. Wieczoru tego też poczułam wyraźniej niż przedtem nieufną, przeciw mnie skierowaną baczność pana Wickfielda. Zrozumiałam, jak ciężkie posądzenia omraczają me życie.

– Posądzenia! Nie, nie, Annie! – zaprzeczył doktor.

– Wiem, że nie powstały one w twojej myśli i sercu – rzekła – i gdy wieczoru tego złożyłam skołataną głowę na twych kolanach, pod skrzydłem twym szukając ochrony przeciw słowom i wyznaniom, które odważono mi się czynić, a które najwyższą byłyby zniewagą wówczas nawet, jeśli bym istotnie była istotą sprzedajną i niską, za jaką mnie brano – wielkie jakieś oburzenie zmroziło mi na ustach słowa skargi.

Pani Markleham z westchnieniem opadła na poręcz fotela, wypuszczając z rąk wachlarz.

– Odtąd nigdy inaczej jak w twojej obecności – ciągnęła ze spokojem Annie – nie zamieniłam z nim jednego słowa. Lata przeszły, odkąd usłyszał z ust moich, jakie jest tu jego w tym domu stanowisko. Dobroć twa dla niego, zajęcie się jego karierą, poszukiwanie dla mnie rozrywek i przyjemności wzmagały niedolę mą i gniotącą mi pierś tajemnicę.

Usunęła się znów na kolana przed mężem, wołając:

– Pozwól, niech skończę, mam jeszcze coś powiedzieć i źle czy dobrze, raz zacząwszy, powiedzieć muszę. Nie wiesz, jak bardzo przywiązana byłam do ciebie i jak mi te ciężkie, dokoła mnie istniejące posądzenia ciążyły. Młoda, niedoświadczona, nie znajdowałam nigdzie potrzebnych mi rad i oparcia. Nikomu nie mogłam zaufać! Pogląd mamy na nasze małżeństwo tak różny był od mego, usta mi zamykała zresztą sama cześć dla ciebie, samo pragnienie zachowania twego szacunku.

– Annie! Dobra moja, pocziwa Annie! – zawołał doktor.

– Jeszcze słówko. Myślałam nieraz, ile jest takich, które, jeśli byś je pojął, nie omroczyłyby ci czoła i imienia spowodowanym przeze mnie, chociaż tak niewinnie, cieniem. Zaczęłam myśleć, że istotnie lepiej by mi było pozostać uczennicą twą i córką. Bałam się, czy czasem nauki twoje nie natrafiły na niewdzięczny grunt, a nie śmiałam mówić, czekając z poddaniem się woli boskiej chwili, kiedy się to wszystko wyjaśni, kiedy pewna będę twego zaufania.

– Chwila ta nadeszła dawno – odrzekł doktor – i jedna ją odtąd tylko straszna omroczyła godzina.

– Postanowiłam – mówiła Annie – skryć w sobie całą mą boleść, wstyd, oburzenie, lecz widząc cię w ostatnich czasach tak zmienionym, przybitym, domyślałam się czegoś strasznego. Wiem teraz, że domysły moje nie były płonne, i teraz dopiero zmierzyłam głębie zaufania, jakieś we mnie położył. Wiem, że ci się nigdy niczym wywdzięczyc nie potrafię, lecz wie-

dząc to, śmiało znów podnoszę na ciebie oczy, czczę cię, mój ojczy, kocham, drogi mężu, i śmiało wyznaję, że cię nigdy myślą nawet nie obraziła, wierna ci i przywiązana zawsze byłam.

Zarzuciła mu ręce na szyję. Starzec złożył skołatana głowę na jej ramieniu i siwe jego włosy zmieszały się z jej kasztanowatymi puklami.

– O, osłoń mnie na zawsze – mówiła – zapomnij o tej domniemanej różnicy wieku, przypomnij ją wówczas chyba, gdy się znajdzie potrzeba ostrzeżenia mnie lub pouczenia. Z dnia na dzień, z roku na rok wzrastało moje przywiązanie do ciebie, wiedziałam, o jaką opieram się skałę.

W czasie zaległej po tych słowach ciszy ciotka podeszła do pana Dicka i ucałowała go z wylaniem. Miała rację; pocałunkiem tym przywołała biedaka do rzeczywistości. Zdawał się być w siódmym niebie, a uniesiona w powietrze lewa noga groziła mu utratą równowagi.

– Wiedziałam, że masz głowę nie od parady – mówiła z triumfem ciotka. – Pokazałeś raz przecie, do czegoś zdolny.

Mówiąc to pociągnęła go za rękaw, dała mu znak głową i wyszliśmy razem z pracowni doktora.

– Miała za swoje ta baba! – mówiła ciotka wracając do domu – dobrze jej tak; samo to zadowolnia mnie dostatecznie.

– Zmieszała się biedaczka! – zauważył zawsze gotowy współczuć pan Dick.

– Biedaczka! Zmieszała się! – oburzyła się ciotka. – Gotów byłbyś rozczulać się i nad krokodylem.

– Nie wiem, czym widział kiedy krokodyla – dobrodusznie zauważył pan Dick.

– Wszystkiemu winna była ta przeklęta baba! – mówiła z oburzeniem ciotka – wszystkiemu. Na co się matki mieszają w małżeństwa swych córek? Nie ich to rzecz. Zbytek macierzyńskiej tkliwości! Szukają w tym, o ile się zdaje, zadosyćuczynienia za wydanie na świat nieszczęsnych stworzeń. Nie prosiły one przecie o to, a tu dręczą je domniemaną macierzyńską troskliwością. O czym tak myślisz, Trot?

Myślałem o wszystkim, co zaszło, com słyszał, lecz najgłębiej mi w pamięci i sercu ugrzęzły słowa Annie:

– Największym nieszczęściem w małżeństwie jest różność charakterów i usposobień.

A dalej:

– Własnego serca młodociana omyłka...

I dalej jeszcze:

– Wiedziałam, o jaką skałę opiera się moje przywiązanie.

Byliśmy u drzwi naszego domu. Pod stopami mymi szeleściły zwiędłe liście, dał wiatr je-sienny.

ROZDZIAŁ XLVI WIEŚCI

Od roku mniej więcej – nie ufam mej pamięci co do dat – musiałem być żonaty, gdy pewnego wieczoru, w czasie samotnej przechadzki i rozmyślenia o książce, którą miałem właśnie pisać (powodzenie moje bowiem na tej drodze wzrastało), przechodziłem przed domem pani Steerforth. Zdarzało mi się nieraz przechodzić tamtędy, ponieważ mieszkałem w sąsiedztwie, unikałem tego jednak, jak tylko mogłem. Tym razem musiałbym nadłożyć zbyt wiele drogi.

Przechodząc rzucałem zwykle na dom ten przelotne spojrzenie i przyśpieszałem mimowolnie kroku. Omroczony bywał i ponury, a zawsze zamknięte, ciemne, z opuszczonymi storami okna wyglądały opłakanie. Gęsty szpaler wiódł przez dziedziniec do drzwi wejściowych, ponad którymi nie zasłonięte roletą okno świeciło pustką. Nie pamiętam, abym kiedy widział w oknach światło i jeślibym nie znał mieszkańców tego domu, myślałbym zapewne, że w nim spoczywają chyba zwłoki jakiejś bezdziejnej istoty, wyobraźnia moja wysnuwałaby tysiące wniosków i wątków.

Znając historię tego domu, starałem się myśleć o nim jak najmniej. Niestety, pamięć moja nie mogła oddalać się wraz z krokami; rozbudzona, długo pozostawała z marami dni ubiegłych. Wieczoru tego dziecięce wspomnienia w szczególny sposób zmieszały się z marzeniami ostatnich dni przepelnionymi budzącą się nadzieją, w niejasnym przeczuciu czekających mnie rozczarowań i doświadczeń. Z głębokiej zadumy zbudził mnie głos jakiś, głos kobiety. Długa przeszła chwila, zanim przypomniałem sobie służącą pani Steerforth, tę, która dawniej nosiła we włosach błękitne wstążki. Nie nosiła ich teraz i stosując się zapewne do ogólnego tonu domu zastąpiła błękitne brunatnymi.

– Proszę pana – mówiła – czyby pan nie chciał wejść na chwilę i pomówić z panną Dartle.

– Czy panna Dartle przysyła po mnie? – spytałem.

– Nie w tej chwili, lecz to na jedno wyjdzie – odrzekła. – Przed paru dniami widziała pana przechodzącego tędy i kazała mi usiąść z robotą na schodach i czekać pana powrotu. Ma coś panu powiedzieć.

Poszedłem, pytając służącą o zdrowie pani Steerforth. Dowiedziałem się, że się miewa niedobrze i nie opuszcza prawie swego pokoju.

Panna Dartle była w ogrodzie. Siedziała na skraju tarasu, z którego rozciągał się widok na miasto. Wieczór był ciemny z czerwonymi odbłyskami na obłokach. Patrząc na rysującą

się na tym ponurym tle panoramę, na oświecone szczyty, pomyślałem, że było to tło odpowiednie dla wspomnień nieubłaganej kobiety.

Powstała na moje spotkanie. Bledsza była i mizerniejsza niż dawniej i oczy jej wydały mi się bardziej rozbłysłe, a szrama na twarzy wyraźniejsza.

Spotkanie nasze nie mogło być przyjazne, rozstaliśmy się w gniewie i żalu. Starła się ukryć wyraz wzgardy przebijający z jej twarzy.

– Pani ma mi coś do powiedzenia – rzekłem chłodno nie siadając i tylko opierając rękę o poręcz wskazanego mi krzesła.

– Tak jest – odrzekła – chciałam spytać, czy dziewczka ta została odnaleziona?

– Nie.

– Uciekła jednak!

Usta jej drgały powstrzymywanymi obelgami.

– Uciekła? – powtórzyłem.

– Tak, od niego – zaśmiała się sucho. – Zapewne nie zostanie odnaleziona. Nie żyje już może.

Nigdy nie widziałem w niczyich oczach przeblysku tak zimnego okrucieństwa.

– Istotnie – odparłem – życzenie śmierci jest najlepszym życzeniem, jakie dla niej chować może inne niewieście serce, i cieszę się, że czas zmiękczył uczucia pani, panno Dartle.

Nie raczyła odpowiedzieć, zaśmiała się znów sucho i krótko.

– Wiem, że przyjaciele tej nieszczęsnej i interesującej damy są pana przyjaciółmi, toteż sądziłam, że i pana zajmą wieści o niej.

Skłoniłem się.

Powstała ze złośliwym uśmiechem i zbliżając się do otwartego okna, podniesionym głosem, lecz z nieopisaną wzgardą zawołała jak na psa nędznego:

– Pójdź tu!

Po czym zwracając się na wpół ku mnie rzekła:

– Liczę na to, że się pan w obecności mej powstrzyma od wszelkich wymówek lub sprzeczek.

Skłoniłem powtórnie głowę, nie wiedząc wszelako, o co jej idzie. Po chwili zjawił się Littimer we własnej osobie.

Skłonił się z uszanowaniem stając za krzesłem panny Dartle. Pomimo wzgardy przebijającej w każdym jej ruchu, pomimo złośliwego triumfu błyskającego w świecących jej oczach, opuściła się na krzesło z pewnym wdziękiem, wdziękiem złej wróżki z bajki.

– Teraz – ozwała się rozkazująco, nie patrząc na sługusa i rękę podnosząc do szramy na swej twarzy – opowiedz panu, co wiesz.

– Pan James i ja, pani...

– Nie zwracaj się do mnie – przerwała wzdragając się.

– Pan James i ja, panie...

– Ani do mnie – rzekłem stanowczo.

Littimer, wcale nie zbity z tropu, głębokim ukłonem zaznaczył gotowość do zupełnego posłuszeństwa i patrząc w dół tak powiedział:

– Pan James i ja byliśmy za granicą z tą młodą osobą, odkąd pod opieką mego pana opuściła była Yarmouth. Zwiedziliśmy moc obcych krajów: Francję, Szwajcarię, Włochy.

Mówiąc przebierał palcami, jak gdyby wygrywał na niemym jakimś instrumencie.

– Pan James – ciągnął – niezwykle gorąco upodobał tę osobę. Podziwiałem jego stałość! Nigdy, odkąd byłem na jego usługach, nie widziałem go tak gorąco i długo jednym zajętego przedmiotem. Przyznać też wypada, że młoda ta osoba zdolna była, giętka, wyuczyła się wybornie obcych języków i własnych tylko unikała ziomków. Zauważyłem, że się ogólnie wszędzie podobała.

Panna Dartle podniosła rękę do piersi. Spojrzał na nią z ukosa i przygryzł drgające powstrzymanym uśmiechem usta.

– Bardzo się podobała ogólnie i wszędzie – powtórzył. – Toaleta, słońce, nieba pogodne wiele mogą, ale przede wszystkim miała wdzięki potrzebne do zwrócenia na siebie uwagi. Ogólną też wszędzie zwracała uwagę.

Zatrzymał się. Wzrok panny Dartle po dalekich błdził horyzontach, przygryzała zaciśnięte, lecz drgające wargi.

– Tak trwało czas niejaki – ciągnął Littimer. – Młoda osoba bywała czasem przybita i smutna i z czasem zauważyłem, że to właśnie nudzi mego pana, nie podoba mu się. Wróciła dawna jego zwykła ruchliwość, a jednocześnie wzmagał się jej smutek – i przyznać muszę, niewesoła była moja pozycja pomiędzy tymi dwojgiem. Trzeba było łagodzić, zażegnawać. Udaowało się to przez czas dłuższy, niżbym sam mógł to przypuszczać.

Panna Dartle oderwawszy wzrok od dalekich horyzontów przeniosła go na chwilę na mnie. Littimer odchrząknął, przestąpił z nogi na nogę i tak ciągnął:

– W końcu po wielu łzach, wyrzutach, scenach pan James wyjechał pewnego dnia z okolic Neapolu, gdzieśmy rozkoszną mieli willę. Obiecywał wrócić za dni parę, na mnie włożywszy obowiązek załagodzenia potem całej tej sprawy ku ogólnemu zadowoleniu. Pan James...

Zająknął się, odchrząknął.

– Pan James najlepsze miał intencje względem młodej tej osoby, proponował nawet małżeństwo z kimś, kto by na przeszłość patrzył przez palce, a był wcale dobrą i odpowiednią jej urodzeniu partią. Pochodzenie jej jest, że tak powiem, nader gminne.

Przestąpił z nogi na nogę. Domyślałem się, że łotr mówił o sobie. Panna Dartle także była tego pewna.

– Obowiązkiem mym było rozmówić się w tym względzie z ową młodą osobą, uwolnić pana mego od kłopotów i przykrości i pracować nad pogodzeniem go z jego rodziną. Przystąpiłem do rzeczy. Nic nie może dać wyobrażenia o rozpacz młodej osoby, gdy się dowiedziała, że została opuszczona. Szalała. Sądziłyśmy, że się targnie na życie. Trzeba ją było gwałtem powstrzymać, by nie wyskoczyła oknem lub nie rozbiła sobie głowy o marmurową posadzkę.

Panna Dartle przechyliła się na poręcz krzesła, w pół przyzymkając oczy. W wyobraźni jej zarysował się obraz sprawiający jej widoczną rozkosz.

– Lecz gdy dotknął drugiej strony mego posłannictwa – mówił nie bez pewnego zmieszania Littimer zacieraając ręce – zamiast być wdzięczną za najlepsze intencje, młoda osoba pokazała, czym jest, wybuchnęła, i jeśli bym się nie miał na baczności, przelałaby krew moją.

– Najlepiej to o niej świadczy – mruknąłem oburzony. Littimer skłonił głowę, jak gdyby mówił sam o sobie: „Doprawdy! Młody jeszcze jesteś!”

– Dość – ciągnął – żeśmy byli zmuszeni zamknąć ją i mieć na oku, bojąc się, by sobie czy komu nie zrobiła co złego. Pomimo to udało się jej wyłamać kratę w oknie, którą uprzednio sam jak najstaranniej założyłem, spuścić się po dzikim winie rozpiętym na zewnętrznej ścianie domu. Odtąd przepadła bez wieści.

– Zapewne nie żyje – uśmiechnęła się panna Dartle na samą myśl o śmierci nienawistnego dziewczęcia.

– Może się istotnie utopiła – odrzekł niecny sługus. – Bardzo to być może. A może znalazła pomoc wśród nadbrzeżnych rybaków, ich żon i dzieci. Przywykła do podobnej kompanii i ciągle się z nimi zadawała. Bywało, całymi dniami w czasie nieobecności pana przesiadywała w ich łodziach. Pan James gniewał się, gdy się dowiedział, że im opowiadała, iż była sama córką rybaka i w ojczyźnie swej przywykła do tych samych zajęć.

Emilko piękna! Nieszczęsna Emilko! W wyobraźni mojej mignął obraz ciebie siedzącej wśród ubogiej, lecz własnej dziatwy, wsłuchanej w szczebiot, w którym słyszałabyś słodkie

imię matki, gdybyś została żoną rybaka, jak to było twym przeznaczeniem. Tam, na obcym brzegu, morze, wielkie morze, wtórowało smutnym twym myślom powtarzając niezmiennie:

„Nigdy już, nigdy!”

– Gdym się przekonał – rozpoczął znów Littimer – że nie ma na to rady, pani...

– Mówiłam już, byś się nie zwracał do mnie – odparła Róża ze wzgardą.

– Ale pani dopiero co raczyła przemówić do mnie – odrzekł. – Przepraszam. Obowiązkiem moim jest być posłusznym.

– Spełniaj tedy swój obowiązek, kończ opowiadanie i odejdź!

– Gdym się przekonał – ciągnął z niskim ukłonem – że żadne nie pomogą poszukiwania, udałem się do mego pana, gdyż miałem jego adres, i oznajmiłem mu, co zaszło. Uniósł się tak dalece, że m się widział zmuszony podziękować mu za służbę. Wiele znieść mogłem, ale są granice wszelkiej obrazie. Uderzył mnie po prostu. Wiedząc o istniejących pomiędzy nim i matką jego nieporozumieniach, postanowiłem wrócić do Anglii i opowiedzieć...

– Za moje pieniądze – zwróciła się do mnie panna Dartle.

– Tak właśnie, pani... i opowiedzieć, co zaszło. Poza tym, nie posiadam dalszych wiadomości. Pozostaję dotąd bez miejsca i poszukuję obowiązku.

Panna Dartle spojrzała na mnie, spojrzeniem tym pytając, czy nie chcę jeszcze postawić jakiego pytania.

– Chciałbym wiedzieć – rzekłem zwracając się do panny Róży, nie zaś do niecnego sługusa – czy otrzymywała pisywane do niej z Anglii listy?

Littimer milczał wbijając wzrok w ziemię i przebierając palcami.

Panna Dartle zwróciła się wzgardliwie ku niemu.

– Z przeproszeniem pani – rzekł – chociaż sługą jestem, nie wszystkim jestem obowiązany opowiadać i zachodzi pewna różnica między panią, panną Dartle, a panem Copperfieldem. Jeśli ten żąda jakiej ode mnie wiadomości, niech raczy sam mnie pytać. Oto, co ośmielę się zauważyć, z przeproszeniem pani, panno Dartle.

Po chwili walki z sobą podniosłem wzrok na niego, pytając:

– Słyszałeś me słowa, możesz je uważać za pytanie. I cóż?

– Panie – odrzekł – zachodzi pewna różnica w odsłonieniu tajemnic mego pana jego matce a panu. Powiem wszelako, że wątpię, aby leżało w interesach pana Jamesa zachęcanie do podobnej korespondencji, mogącej tylko wzmacniać smutek i niezadowolenie młodej tej osoby. Poza tym nic panu powiedzieć nie mogę.

– Czy już wszystko? – spytała mnie panna Dartle.

Skłoniłem głowę, lecz widząc, że Littimer ma odejść, dodałem:

– Wszystko. Zrozumiałem doskonale, jaką rolę w tym wszystkim grał ten jegomość. Ostrzegę poczciwego człowieka, który był drugim ojcem temu nieszczęśliwemu dziewczęciu. Niechże się ma na baczności.

– Dziękuję panu, lecz pozwolę sobie zauważyć, że szczęściem w ojczyźnie naszej nie ma niewolników i nikt sam sprawiedliwości wymierzać nie ma prawa. Ci, co tego próbują, szkoda więcej sobie niż innym Nie mam tedy żadnego powodu do strachu.

Mówiąc to skłonił mi się nisko, a niższy jeszcze ukłon złożywszy przed panną Dartle, odszedł. Spoglądaliśmy po sobie przez chwilę.

– Mówi nadto – ozwała się przygryzając usta – że pan jego opływa obecnie brzegi Hiszpanii, dogadzając morskim swym zamiłowaniem. Niewiele i to pana obchodzić może i służy tylko za wstęp do tego co mi pozostało do powiedzenia.

Zwróciła się wprost do mnie, z oczu jej sypały się iskry.

– Ów szatan kanonizowany przez pana, owa ladacznica żyje zapewne, bo takie ziółko nie ginie. Pragniecie zapewne odnaleźć tę perełkę waszą? I my tego samego pragniemy, aby po wtórnie nie wpadł w jej szpony. Łączy nas tedy obecnie wspólny cel i oto dlaczego ja, ja sa-

ma, która bym chciała zdeptać tę nędznicę, posłałam po pana, abyś się dowiedział, jak rzeczy stoja.

Po nagłej zmianie zaszłej na jej twarzy domyśliłem się, że ktoś się zbliża. Była to pani Steerforth. Podała mi chłodno rękę, zachowując się ze zwykłą sobie powagą. Zauważyłem jednak, że pamiętała moje dawne przywiązanie do jej syna. Zmieniona była bardzo i chociaż trzymała się prosto i wyniośle, twarz jej nie była ta sama, a włosy pobieleły zupełnie. Gdy usiadła, wydała mi się piękna jak dawniej. Przypomniały mi się z dni mych dziecięcych zapamiętane jasne jej spojrzenia.

– Czy pan Copperfield uwiadomiony został o wszystkim? – spytała.

– Tak – odrzekła Róża.

– Słyszał, co Littimer mówi?

– Słyszał.

– Dobre z ciebie dziecko, Różo – rzekła, a zwracając się do mnie dodała:

– Zamieniłam kilka listów z byłym przyjacielem pańskim, lecz nie naprowadziło go to na drogę obowiązku i rozsądku. Pobudki moje wiadome są panu. Jeśli przyzwoity ten jegomość, który tu był z panem i dla którego, jak widzę, nic więcej zrobić nie mogę, doścignie celu swych poszukiwań, zasłoni to mego syna przed powtórными zasadzkami. Gotowa jestem nagrodzić.

Mówiąc to patrzyła w dal nieokreśloną.

– Pani – odrzekłem – rozumiem doskonale pobudki pani, lecz upewnić panią mogę, że to dziewczę znane mi od dzieciństwa ulec musiało namowom i obietnicom jej syna, a gdy się one nie spełniły, nie przyjmie szklanki wody z jego lub pani rąk, choćby konała z pragnienia. Myli się pani bardzo co do charakteru tego dziewczęcia.

– Nie, Różo, nie – uprzedziła wybuch swej towarzyszki pani Steerforth. – Niech i tak będzie. Słyszałam, żeś się pan ożenił?

Odpowiedziałem, że istotnie od niejakiego już czasu jestem żonaty.

– I dobrze się panu powodzi? Mało mnie wieści dochodzi w odosobnieniu moim, słyszałam jednak, że imię pańskie coraz większego nabiera rozgłosu.

– Istotnie – rzekłem – udało mi się zyskać pobłażliwych czytelników.

– Ma pan matkę? – spytała łagodniej.

– Nie mam, pani.

– Szkoda, dumna byłaby z syna! Żegnam pana.

Wziąłem podaną mi rękę. Chłodna była i spokojna, jak gdyby w piersiach kobiety tej nie wrzały wulkany żalu. Duma nadała jej rysom kamienny wyraz. Wzrok tonął w dali.

Odchodząc zauważyłem, że obie z jednostajnym natężeniem w dal patrzyły. Ogarniały je z wolna wieczorne cienie. Tu i ówdzie zapalono lampy, chociaż czerwone blaski na zachodzie nie pogasły jeszcze zupełnie. Z doliny powstawała podnosząc się białą parą gęsta mgła. Zdało się, że zaleje wszystko, występując do walki nawet z wieczornymi cieniami. Pamiętam i dziś mnie jeszcze wspomnienie to mrowiem przejmujące. Zanim powtórnie spotkałem te dwie kobiety, fale burzliwego morza rozbiły się u ich stóp.

Rozmyślając o tym, czegom się dowiedział, postanowiłem jak najprędzej oznajmić wszystko panu Peggotty.

Zaraz nazajutrz tedy rozpocząłem poszukiwania. Włóczył się ciągle to tu, to tam, lecz wracał do Londynu i nieraz o zmroku widziałem, jak się snuł po placach i ulicach, ze strachem spoglądając na przechadzające się po trotuarach kobiety.

Miał tu nawet w pobliżu Hungesford Market malutkie mieszkanie. Tam tedy poszedłem i dowiedziałem się, że szczęściem jest w mieście. Poszedłem na górę.

Czytał siedząc przy oknie zastawionym doniczkami. Pokoik był mały, lecz czysty i świeży. Domyśliłem się od razu, że miał być gotów na przyjęcie tej, której niezmordowanie poszuki-

wał. Nie słyszał pukania do drzwi, podniósłszy oczy dopiero wtedy, gdy położył rękę na jego ramieniu.

– Panicz! – zawołał widocznie zadowolony. – Dziękuję za tę niespodziankę i witam z całego serca. Siadaj pan.

– Przyszedłem – mówiłem – podzielić się z panem, panie Peggotty, wiadomościami...

– O Emilce?

Zbladł wpatrując się we mnie bacznie.

– Nie wiadomo, gdzie się znajduje – mówiłem. – To tylko wiadomo, że nie jest już z nim razem. Słuchał i milczał wpatrując się we mnie. Nie zapomnę nigdy tego spojrzenia. Gdy skończył opowiadanie, milczał jeszcze z głową opartą na rękę. Zdawać by się mogło, że wzrokiem ściga postać ukochanego dziewczęcia, obojętny na wszystko, co nią samą nie jest.

Gdy skończył, skrył twarz w dłonie. Udałem, że patrzę przez okno.

– Jak się panu zdaje, paniczu? – spytał mnie wreszcie.

– Sądzę, że żyje – odrzekłem.

– Nie wiem – odparł – nie miała może dość sił, by znieść ten cios... Wszak były tam owe błękitne fale, o których zwykła była dawniej mawiać? Czy śniło się biedaczce, że ją w nich pogrzebią?

Mówił to stłumionym, wystraszonego głosem, przechadzając się po małej izdebce.

– A jednak – mówił po chwili – ani na chwilę nie przypuszczałem, aby nie żyła. Szukałem jej dniem i nocą, zimą i latem, czyżby mnie przecucia moje tak zmylić miały?

– Nie! – dodał opierając się silnie o stół, z wyrazem nagłego postanowienia. – To być nie może! Emilka żyje! Jak, gdzie, nie wiem, lecz żyć musi!

Wyglądał jak w natchnieniu, czekałem, aż nieco ochłonie, i wówczas dopiero usiłowałem wytłumaczyć mu, jak ostrożnie teraz wypada postępować.

– Teraz, przyjacielu... – zacząłem.

– Dziękuję, dziękuję – mówił ściskając mi ręce.

– Jeśli dotrze, jak to przypuszczać należy, do Londynu, zechce się tu zapewne ukrywać. Łatwo jest kryć się w tak wielkim mieście i jeśli nie wróci do domu...

– Nie wróci do domu – powtórzył kiwając smętnie głową. – Jeśli by uciekła stamtąd z własnej woli, to co innego, wówczas wróciłyby.

– Jeśli tedy – ciągnąłem – nie wróci, jak to jest prawdopodobne, do domu, jest ktoś, kto ją tu prędzej niż inni odnaleźć zdoła. Proszę cię, nie oburzaj się pan na to, co powiem, pomyślniejszy, jaki cel mamy przed sobą – pamiętasz Martę?

– Z naszego miasta? Odpowiedzią mi był wyraz jego twarzy.

– Jest ona w Londynie.

– Spotykałem ją na ulicy – odrzekł wzdragając się.

– Nie wiesz jednak może, że zanim Emilka uciekła z domu, była miłosierna dla niej, pomagała jej wraz z Hamem. A i to dodać muszę, że wówczas wieczorem, gdyśmy rozmawiali w oberży, podsłuchiwała u drzwi naszą rozmowę.

– Wieczorem, gdy śnieg padał? – spytał zdziwiony.

– Właśnie – odrzekłem. – Odtąd nie widziałem jej. Chciałem po rozstaniu naszym z nią mówić, lecz się już oddaliła. Wówczas nie chciałem nawet wspominać o niej przed tobą, teraz zaś widzę, żeśmy powinni z nią się porozumieć. Rozumiesz mnie?

– Aż nadto – odrzekł szeptem, gdyż mimo woli zniżaliśmy stopniowo głos, szeptem też kończyliśmy rozmowę.

– Mówiłeś pan, żeś ją spotykał? – pytałem. – Mógłbyś ją odszukać, mnie to raczej przypadek w tym posłuży.

– Wiem chyba, gdzie szukać – mruknął.

– Ściemniło się – zauważyłem. – Może byśmy zaraz razem poszli.

Zgodził się na moją propozycję. Zauważyłem, z jaką starannością ustawił przed odejściem wszystko w izdebce: zapalił świecę, posłał łóżko i dostał nawet z szafy dawną suknię Emilki. Nie mówił nic przy tym, ja też zachowałem milczenie. Od jakże dawna codziennie tak jej wyczekiwałem!

– Był czas – mówił schodząc ze schodów – kiedym sądził, że Marta niewarta pyłu spod stóp Emilki. Niechże mi Chrystus wybaczy ten brak miłosierdzia!

Idąc z nim rozpytywałem go o Hama. Mówił mi to samo, co przedtem: Ham pracował, zagłuszał się pracą, nie wyrzekał, nie skarżył się nigdy.

Spytałem go, co sądzi o usposobieniu bratanka względem tego, który spowodował wszystkie te nieszczęścia. Co by na przykład Ham począł, jeśliby spotkał Steerfortha?

– Nie potrafię powiedzieć – odrzekł. – Myślałem o tym nieraz i nie wiem, co mam sądzić.

Przypomniałem mu rozmowę, którą mieliśmy nad morzem, nazajutrz po ucieczce Emilki.

– Pamiętasz pan wyraz oczu Hama, gdy patrząc na morze mówił: „wszystko ma swój koniec”.

– Pamiętam.

– Co przez to rozumiał?

– Pytałem o to siebie nieraz, paniczku, nie znajdując zadowalniającej odpowiedzi. Ciekawa rzecz, że chociaż Ham wygląda tak spokojnie, nie ośmieliłem się nigdy dotknąć w rozmowie z nim tej sprawy. Nie powiedział nigdy złego słowa, to pewne, ale i to pewne, że jak morza, tak i tego, co on ma w sercu, nikt nie zgłębi!

– Wiem – rzekłem – i to mnie właśnie niepokoi.

– I mnie – rzekł pan Peggotty – niepokoi pozorny jego spokój. Dałby Pan Bóg, aby się ci dwaj nigdy nie spotkali.

Weszliśmy do City. Milcząc szliśmy razem, a starca podtrzymywał jedyny cel życia, jaki sobie wytknął; pochłaniał go tak, że wśród tłumu nawet zdawał się samotny. Dochodziliśmy właśnie do Blackfriars Bridge, gdy obrócił się ku mnie, wskazując idącą po drugiej stronie ulicy kobietę. Poznałem ją.

Przeszliśmy na drugą stronę ulicy i już mieliśmy ją zaczepić, gdy przyszło mi na myśl, że lepiej może w spokojniejszym miejscu, z dala od tłumu rozmówić się z nią o zajmującej nas sprawie. Szepnąłem towarzyszowi swemu, abyśmy raczej szli za nią nie zaczepiając jej. Ciekaw też byłem, dokąd dąży.

Pan Peggotty zgodził się na to. Szliśmy za nią w pewnej odległości, nie tracąc jej z oczu, lecz i nie zbliżając się nadto, gdyż oglądała się często. Raz zatrzymała się, przysłuchując grającej w jakiejś kawiarni muzyce. Stanęliśmy też. Szła tak długo, a my za nią. Widać było po szybkim jej kroku, że ma cel wytknięty. Wybierała najludniejsze ulice i to mnie utwierdziło w moich domysłach. Skrzyła wreszcie w wąski, ciemny, pusty zaułek.

– Teraz rozmówmy się z nią – rzekłem przyśpieszając kroku.

ROZDZIAŁ XLVII

MARTA

Byliśmy przy Opactwie Westminsterskim. Zawróciliśmy, żeby ją spotkać, gdyż Opactwo było punktem, przy którym skręciła w ciemny boczny zaułek. Szła teraz tak szybko, żeśmy ją zaledwie przy Millbank dogonić zdołali. Słyszac kroki doganiających ją, przebiegła na drugą stronę ulicy i nie oglądając się wcale przyśpieszyła kroku.

Przez bramę zastawioną na noc wozami mignęła nam rzeka. Dotknąłem ramienia mego towarzysza. Lepiej było, nie tracąc jej z oczu, pozostawać w cieniu domów, jak najciszej stąpając, by jej nie wystraszyć.

Była tam i dziś jest jeszcze, na zbiegającej ku rzece ulicy, budowla drewniana, należąca zapewne do dawniejszego przewozu. Leżała jak raz w miejscu, gdzie się uliczka kończy pozostawiając wąskie przejście pomiędzy domami a korytem rzeki. Gdy do miejsc tych dobiegła Marta, zatrzymała się nagle. To więc było jej celem. Teraz szła powoli, wzdłuż rzeki, zapatrzona w nią.

Przedtem myślałem, że wejdzie do któregoś z domów nadbrzeżnych, i żywiłem niejasną nadzieję, że to nam posłuży za wskazówkę. Widok rzeki nasunął mi jednak myśl, że Marta nie pójdzie dalej. Miejsca te dziwnie ponure były, smutniejszych, bardziej opuszczonych nie znajdziesz chyba w całym Londynie. W pobliżu sterczały więzienne mury, odarte, ślepe, porośłe mchem. Zielska i chwasty obrastały drogę i puste place. Po jednej stronie wznosiły się oficyny nie dokończonych domów, po drugiej stosy żelastwa i drzewa nagromadzone do budowy okrętów, koła, korby, rury, wiosła, kotwice, dzwony, żagle i tym podobne przedmioty, zwiezione tu widać przez przedsiębiorcę, leżały wryte własnym ciężarem w wilgotny grunt. Rzekłbyś, że się usiłują skryć przed okiem przechodniów. Szczęk i huk kuźni przerywał ciszę nocy, omroczonej wydostającym się z ich kominów dymem. Szlamowata pluskająca grobla ciągnęła się pomiędzy stosami drzew, po których czepiało się coś na kształt lepkich zielonkawych warkoczy. Podarte zeszlóroczne ogłoszenia o topielcach wały się w mule i szlamie. Istniało podanie, że w miejscach tych grzebano trupy w czasie Wielkiej Zarazy⁴, i groza tej legendy rozciągała się nad całą okolicą. Miejsca te podobne były do zagrobowej mary wylaniającej się z zakażonego koryta rzeki.

⁴ Wielka Zaraza – mowa tu o zarazie, która nawiedziła Londyn w r. 1665, dziesiątkując ludność miasta i wywołując na czas dłuższy poważny zastój ekonomiczny.

Jak gdyby sama była częścią odpadków wielkiego miasta, dziewczyna zatrzymała się u brudnego ich stosu, oczu nie odrywając od biegu mętnej wody.

Na brzeg powyciągane łodzie pozwoliły nam zbliżyć się do niej. Dałem znak ręką panu Peggotty, aby pozostał w ukryciu, sam się zaś wysunąłem naprzód. Drżałem, wyznając, zbliżając się do tej samotnicy, której bieg szybki ku wytkniętemu celowi, a celem tym były wartkie fale rzeki, napełniał mnie strachem i grozą.

Mówiła coś sama do siebie. Chusta się jej osunęła z ramion; zapatrzona w wodę załamała rękę, podobniejsza do lunatyczki niż do poruszającej się na jawie istoty. Czułem, że się natchmiast, w moich oczach, rzuci do rzeki. Porwałem ją za rękę wołając:

– Marto!

Krzyknęła szarpiać się z nie ludzką siłą w mych rękach i nie wiem, czybym dał jej sam radę, gdyby mi w pomoc silniejsza dłoń nie przyszła. Widząc, że nie podoła nam, podniosła na nas oczy i osunęła się wycieńczona na ziemię. Podnieśliśmy ją i odnieśli dalej, kładąc na suchych kamieniach. Szlochała i jęczała. Po niej jakimś dopiero czasie podniosła się, z rozpaczą załamując rękę.

– Rzeko! O! Rzeko! – zawołała.

– Cicho! Uspokój się – prosiłem, lecz nie przestawała załamywać rąk, wciąż łkając:

– Rzeko! O! Rzeko! Należy ona do mnie tak, jak ja do niej. Odpowiednia to dla mnie i mnie podobnych towarzyszka. I ona wypływa tam spośród pól zielonych, świeżych, by się zgubić w ciasnych, brudnych ulicach i spłynąć w zawsze wzburzone morze. Taka i moja dola.

Głos, którym wyrzekła te słowa, dał mi pojęcie o jej rozpacz.

– Nie uniknę tego – mówiła – nie ucieknę od niej, rzeka goni mnie w dzień i w nocy. Dla niej, dla niej samej zdątną być mogę. Straszna, okropna falo!

Gdy tak rozpacziała, na twarzy towarzysza mego mogłem wyczytać historię jego bratanicy, jeślibym nawet nic o niej nie wiedział. Nigdy przedtem ani potem, na żadnej ludzkiej twarzy nie widziałem wyrazu takiego przestachu i współczucia, jakie malowały się w całej postaci starca. Drżał na całym ciele, a dotykając ręki jego przekonałem się, że była jak lód zimna.

– Mówi w gorączce – szepnąłem mu. – Uspokoi się wkrótce.

Nie wiem, co mi na to odrzekł, widziałem, że mu się usta poruszyły, lecz słów nie słyszałem. Wyciągniętą, zeszywniałą dłonią wskazywał nieszczęsną dziewczynę.

Płakała teraz z ukrytą w rękę twarzą, leżąc prawie u nóg naszych, żywy obraz upadku i nędzy! Wiedząc, że nic od niej nie wydostaniemy, dopóki będzie w tym stanie, powstrzymałem chcącego ją podnieść starca, wyczekując cierpliwie, aż się nieco uspokoi.

– Marto – rzekłem wreszcie, pomagając jej powstać – czy poznajesz mego towarzysza?

Oparła się o wywróconą łódź, siły ją opuszczały.

– Poznaje – szepnęła.

– Szliśmy tu za tobą – rzekłem.

Milcząc potrząsnęła głową; nie podnosząc oczu miała w rękę chustę, nie wiedząc zapewne, co czyni; drugą rękę przyciskała do czoła.

– Czyś się uspokoiła o tyle, aby mi móc odpowiadać – pytałem – gdyż chcę mówić z tobą o czymś, co cię bardzo zajmie. Pamiętasz ów śnieżny wieczór u drzwi oberży?

Łzy puściły się z jej oczu. Wnoszę, że przerywanymi słowy dziękowała mi, że w jej ówczesnym podśluchującej nie odpędziłem.

– Nie powiem nic na swą obronę – mówiła. – Niegodna jestem, stracona! Nie ma dla mnie nadziei. Lecz błagam cię, panie, powiedz mi, że się nie przyczyniła niczym do tego nieszczęścia.

– Nie przypisywałem ci go nigdy – odparłem żywo, uderzony gorącą jej prośbą.

– Pan to był, prawda – mówiła ciszej – tam w kuchni, wówczas, gdy się zlitowała nade mną i była tak dobra, i nie odwróciła się, nie odepchnęła jak inni. Zlitowała się, pomogła! Pan to był?

– Ja – odrzekłem.

– O! – zawołała. – Jeślibym miała na sumieniu jej niedolę, od dawna już byłabym na dnie rzeki! Z obarczonym takim grzechem sumieniem nie przeżyłabym ani jednej zimowej nocy.

– Znany nam jest powód jej ucieczki – rzekłem. – Sądziłem, że tobie także jest znany.

– O – wołała – lepiej by było, jeślibym więcej miała serca, ona tak dobra była dla mnie zawsze, same łagodne, zachęcające miała słowa! Mogłamże namawiać ją do złego, wiedząc, czym sama zostałam? Największą goryczą we własnym mym upadku była ta myśl, że się z nią rozstała na wieki!

Pan Peggotty zakrył twarz rękoma.

– Kiedym się jeszcze przed ową śnieżną nocą – ciągnęła – dowiedziała od kogoś z naszego miasta, co tam zaszło, bolało mnie przypuszczenie, że mnie może, wiedząc, że była niegdyś jej towarzyszką, posądzają tam o sprowadzenie jej z dobrej drogi. Niebu wiadomo, życie bym oddała dla zwrócenia czci jej imieniu.

Rozpacz jej była rozdzierająca.

– Co tam życie moje! – wołała. – Śmierć byłaby mi wybawieniem! Żyłabym, raczej dożyła starości, włócząc się po tych przeklętych ulicach, patrzyłabym, jak słońce wschodzi i zachodzi na tych brudnych domach, myśląc o tym, jak się niegdyś przeglądało w okienku moim budząc mnie do uczciwej pracy. Ha! Nawet żyć bym była gotowa, jeślibym męką tą okupić miała jej zbawienie.

Opuściła się znów na ziemię, co chwila zmieniała postawę, miotając się, zamykając oczy na słabe wieczorne światło, opuszczając na piersi ciężką od zgryzot głowę.

– Co pocznę – wołała – nieszczęsna, wstyd i hańbę nosząca z sobą, samotna, opuszczona!

Nagle zwróciła się do towarzysza mego.

– Zabij mnie – wołała – ulituj się nade mną! Gdy dumą twą była, sądziłeś, że skalam ją dotykając rąbka jej sukni i nie uwierzyłbyś żadnym mym zakłębom, żadnym słowom. I dziś jeszcze spłonąłbyś ze wstydu, jeślibyś dostrzegł, że zamieniamy z sobą choćby słówko. Nie skarzę się, nie przyrównywał się do niej, wiem, jaka dziś nas jeszcze dzieli przepaść, chcę tylko pomimo hańby mej i wstydu wyrazić wam mą wdzięczność, zapewnić, że ją kochałam i kocham. O! Nie sądź proszę, że straciła możność kochania! Zabij mnie za to, czym jestem, i za to, że ją niegdyś znała, lecz nie sądź, abym była niewdzięczna!

Pan Peggotty z roztargnieniem spoglądał na błagającą, a gdy mówić przestała, podniósł ją.

– Marto! – rzekł – niech mnie Nieba ukarzą, jeśli cię mam sądzić srogo. Ostatnim byłbym z ostatnich! Czas wielkie przynosi zmiany.

Zatrzymał się, a potem:

– Tak, dżentelmen ten i ja pragniemy rozmówić się z tobą. Dowiesz się, co nas tu sprowadziło. Słuchaj.

Miał zupełną nad nią przewagę. Drżąca stała przed nim, oczu podnieść nie śmiejąc, zdawało się jednak, że powolna mu będzie we wszystkim.

– Słyszałaś – mówił pan Peggotty – śnieżnej owej nocy rozmowę mą z panem Davy i wiesz, że poszukuję mej bratanicy, kochanej mej bratanicy – powtórzył – gdyż wiedz, Marto, że ją dziś kocham więcej jeszcze, niż przedtem kochałem.

Zakryła twarz rękoma.

– Mówiła mi ona niegdyś – ciągnął pan Peggotty – żeś sierota, bez ojca i matki, nikt nie czuwał nad tobą, nie osłaniał przed niebezpieczeństwami życia. Gdybyś miała kogo, kto by cię sercem całym kochał, zrozumiałabyś może przywiązanie me do mej bratanicy.

Drżała cała. Podniósł z ziemi rzuconą chustę okrywając Martę troskliwie.

– Wiem też – ciągnął – że gdyby mnie tylko zobaczyła, poszłaby za mną na koniec świata, widząc, że ją kocham tak samo, nie, więcej stokroć niż przedtem, pomimo wszystko, co nas rozdzieliło.

Milczał chwilę, a po chwili tak mówił:

– I ja, i pan Davy przypuszczamy, że wcześniej czy później oprze się biedaczka o Londyn. I pan Davy, i ja, i wszyscy wierzymy, żeś najzupełniej niewinna wszystkiemu, co się przytrafiło. Mówisz, że dobra, litościwa była względem ciebie. Niech jej Bóg to nagrodi! Wiem dobrze, jak dobrą, litościwą zawsze była! Wdzięczną jej, mówisz, pozostałaś, kochasz ją, dopomóżże nam znaleźć ją, a Bóg ci to pewnie tam policzy.

Po raz pierwszy podniosła wzrok na mówiącego. Zdawać by się mogło, że uszom swym nie wierzy.

– Czyż mi zaufacie? – spytała głucho.

– Najzupełniej – odrzekł pan Peggotty.

– Więc mogę przemówić do niej, jeśli ją spotkam, podzielić z nią własne, jeśli takowe będą miała, schronienie i nic jej nie mówiąc, ostrzec was, wskazać, gdzie się znajduje? – pytała powstrzymując oddech.

– Tak – odrzekliśmy jednocześnie.

Podnosząc w niebo oczy ślubowała służyć nam wiernie i wytrwale. Jeśliby ustać w tym kiedy miała, niech cel ten, dla którego życie swe poświęca, pozostawi ją w większej jeszcze nędzy i rozpacz niż ta, która ją obecnie doprowadziła na brzeg rzeki. Niech ją opuści wówczas litość ludzka i miłosierdzie Boże!

Mówiła to, nie podnosząc głosu, cicho, nie nam, lecz tym tam nocnymi mrokami pokrytym niebiosom. Wyrzekłszy to, wpatrzyła się spokojnie w mętne nurty rzeki.

Opowiedzieliśmy jej aż do najdrobniejszych szczegółów wszystko, cośmy sami wiedzieli. Słuchała nas z natężoną uwagą, a chociaż często mieniła się na twarzy, w spojrzeniu jej mallowało się dopiero co powzięte postanowienie. Oczy jej nabiegły łzami, zachowywała się jednak spokojnie.

Gdyśmy skończyli, spytała, gdzie i jakim sposobem mogłaby się w potrzebie z nami porozumieć. Pod mdłym światłem przydrożnej latarni, na wydartej z notatnika kartce skreśliłem oba adresy, pana Peggotty i mój. Schowała je w zanadrze. Na moje zapytanie, gdzie mieszka, odpowiedziała dopiero po chwili wahania. Lepiej było istotnie nie pytać jej o to.

Pan Peggotty szepnął mi na ucho to, o czym zresztą sam myślałem. Sięgnąłem do kieszeni po pieniądze, lecz żadne prośby, namowy, argumenty nie zdołały skłonić jej do przyjęcia najmniejszego chociażby zasiłku. Starąłem się przekonać ją, że pan Peggotty, jak na stan swój, biedny nie był i że obaj z nim nie chcieliśmy, aby sama, służąc nam, najmniejsze poniosła wydatki. Nic nie pomogło. Nawet przewaga pana Peggotty na nic się tym razem nie zdała. Marta pozostała niewzruszona.

– Znajdę jaką robotę – mówiła.

– Tymczasowy przynajmniej przyjm zasiłek – prosiłem.

– Nie – mówiła – nie chcę i nie mogę przyjąć ani grosza. Choćbym umierała z głodu, nie przyjąłabym. Dając mi pieniądze odebralibyście tym samym zaufanie i... i jedyny cel, który mnie zatrzymuje przy życiu.

– W Imię Najwyższego Sędziego – zawołałem – w imię Tego, który przenika głębie serc ludzkich, odrzuć okrutne to przypuszczenie! Któż z nas, jeśli jest w stanie, nie spełni dobra dla samego dobra?

Usta jej drżały, a twarz bardziej jeszcze zbladła, gdy odpowiedziała:

– Chcecie mnie nędzną osłonić nawet przed wyrzutami sumienia, chcecie wmówić we mnie, żeś zdolna do dobrego, gdy same zatrute dotąd zbierałam plony. Zaufaliście mi, od tak dawna nikt we mnie zaufania nie pokładał... Oto, co wiem i czego nie zapomnę.

Powstrzymała cisnące się do oczu łzy, z lekka dotknęła ręki pana Peggotty i odeszła. Musiała być od dawna chora; teraz dopiero zauważyłem, jak chuda była i mizerna. Zapadłe głęboko oczy opowiadały o nędzy, a może i o głodzie.

Postępowaliśmy za nią o kroków kilka i tak doszliśmy do ładnych i oświetlonych ulic. Wierzyłem święcie jej obietnicom, pan Peggotty podzielał w zupełności me przekonanie, po-

zostawiliśmy ją tedy samą, kierując się z powrotem na Highgate. Przez jakiś czas starzec mi towarzyszył, potem rozeszliśmy się, każdy w swą stronę, prosząc Boga, by pobłogosławił przedsięwzięciom naszym.

O północy dopiero wróciłem do domu. Zatrzymałem się chwilę na progu, licząc uderzenia zegara na wieży Św. Pawła. Ku zdziwieniu memu spotrzełem otwarte drzwi zamieszkanego przez ciotkę domku. Na ścieżkę padało światło.

Bojąc się, czy ciotki mej co nie przestraszyło, wszedłem do ogródka. Jakież było moje zdziwienie, gdy dojrzałem stojącego tam mężczyznę.

Pił z trzymanej w rękę butelki. Stałem jak wryty, ukryty zresztą za krzakiem, gdyż księżyc wypłynął właśnie zza chmury. Nieznajomy był tym samym, którego uważałem za wytwór fantazji pana Dicka, tym samym, któremu niegdyś spotkał z ciotką na ulicy.

Pił i jadł jak zgłodniały, wzrok zapuszczając ciekawie we wnętrze podmiejskiego domku. Z kolei z niecierpliwością pewną, jak gdyby mu było pilno, spojrzął w okno, w którym się świeciło.

Światło zamigotało, ciotka zjawiała się na progu. Dawała mu, widziałem, pieniądze.

– Ba! Tyle tylko! – zauważył.

– Nie mam więcej – odrzekła.

– Z tym nie odjadę, możesz to wziąć z powrotem.

– O! Niegodziwcze! – oburzyła się ciotka. – Jak możesz!... Ale co tam mówić o tym, znasz mą słabość, więc jej nadużywasz. Aby się raz na zawsze pozbyć twych odwiedzin, zmuszona będę chyba pozostawić cię własnej doli, którąś sobie zgotował.

– Czemuś tego nie uczyniła dotąd? – spytał złośliwie.

– Pytasz mnie? – zawołała. – Maszże serce?!

Liczył obojętnie pieniądze, a gdy przeliczył, odezwał się:

– I to wszystko, co mi dać zamierzasz?

– Co dać mogę – odrzekła. – Zubożałam, wiesz przecie. Czegóż jeszcze tu stoisz i narzucasz się moim oczom?

– Obdartus jestem – zauważył – prawda, niewesołe wiodę życie.

– Ogołociłeś mnie z całego niemal mienia – mówiła ciotka – a serce zraniłeś tak głęboko, że przez długie lata zawarła była dla wszystkich i na wszystko. Oszukałeś mnie, postąpiłeś bez czci i sumienia. Odejdźże i, jeśli możesz, żałuj za zło spełnione, nie dodając nowych krzywd do już wyrządzonych.

– Tak, tak – zaśmiał się z cicha. – Wszystko to nader moralne. Na razie muszę się tym, jak widzę, zadowolnić.

Mieszają go jednak łzy mej ciotki i ze spuszczoną głową przechodził przez ogródek. Wyprzedziłem go, spotkaliśmy się u furtki i zmierz yli wzrokiem.

– Ciotko – zawołałem podnosząc głos – widzę, żeś została znów zaniepokojona przez tego natręta! Pozwól, niech się z nim rozmówię.

– Dziecko – odparła ciotka porywając mnie za ramię – daj pokój! Daj mi ochłonać!

Siedliśmy w bawialnym pokoiku. Ciotka rozwinęła wielki swój, zielony wachlarz, kryjąc się za nim. Widziałem, że od czasu do czasu podnosi chustkę do oczu. Po kwadransie może odezwała się spokojnym już głosem:

– Trot, człowiek ów jest mężem moim.

– Mężem?! – zawołałem zdumiony. – Mąż twój umarł przecie!

– Dla mnie umarł, lecz żyje – odrzekła.

Zdumiony byłem. Po chwili ciotka mówiła:

– Betsey Trotwood nie zdaje ci się zdolna do tkliwych uczuć, był czas jednak, w którym zawierzyła człowiekowi temu, z całego kochając go serca. Wywdzięczył się, łamiąc jej życie i serce. Wówczas raz na zawsze pogrzebała uczucia, zrzekła się ich, zdeptała.

– Droga ciotko!

– Rozstałam się z nim wspaniałomyślnie. Było to tak dawno, że przyznać to sobie już dziś mogę. Wspaniałomyślnie! Postępowanie jego względem mnie tego było rodzaju, z którym mogła rozstać się na dogodnych dla siebie warunkach, lecz nie uczyniłam tego. Zmarnował, com mu dała, upadał coraz niżej, inną poślubił, stał się awanturnikiem, graczem, oszustem. Widziałeś, czym jest obecnie! Lecz niegdyś... O, niegdyś, gdym wychodziła za niego, wyglądał inaczej i wierzyłam mu, widziałam w nim uosobienie męskiego honoru!

W słowach i głosie ciotki przebijała mimo woli duma dawnych, okrutnie odtrąconych uczuć.

– Dziś niczym mi jest, i mniej niż niczym, lecz zamiast oddać go w ręce sprawiedliwości, wolę odzierać się ze wszystkiego, co mam, oddawać mu, co zbiorę, byle tylko nie wracał tu. Szalona byłam wychodząc za niego i dziś jeszcze popełniam być może szaleństwo, nie chcąc, aby się rozwiła ostatecznie ta mara przeszłości mojej. Kochałam go, widzisz, dziecko moje, całym kochałam sercem!

Westchnęła i poczęła starannie gładzić fałdy sukni.

– Tak to, mój kochany – rzekła – opowiedziałam ci początek, środek i koniec mej historii. Nie wspominajmy więcej o tym. Nigdy. Nie mów też, proszę, o tym nikomu. Niewesoła historia! Niech pozostanie pomiędzy nami.

ROZDZIAŁ XLVIII DOMOWE SPRAWY

Pisałem powieść, nie przerywając przecie dziennikarskich zajęć. Gdy się ukazała, wielkiego doznała powodzenia. Nie ogłuszyły mnie pochwały, chociaż nie pozostawałem na nie obojętny. Znałem zresztą lepiej niż kto bądź wartość mego dzieła; zauważyłem niejednokrotnie, badając ludzką naturę, że ten, kto ma dane do tego, by polegać na sobie lub swych zdolnościach, nie popisuje się nimi chętnie przed innymi. Na tym opierała się cała moja skromność, a powodzenie było bodźcem do doskonalenia się.

Nie mam zamiaru kreślić tu historii mych literackich utworów. Mówią one same za siebie i pozostawiam je samym sobie. Wspominam tu o nich tyle, o ile wiążą się z prywatnym moim życiem.

Mając pewne powody, by wnioskować, że tak natura, jak i inne okoliczności utworzyły ze mnie pisarza, oddałem się z ufnością temu powołaniu. Jeślibym nie miał powyższego przekonania, energię i wytrwałość zwróciłbym w inną stronę, szukając bacznie, do czego mnie natura i okoliczności najlepiej usposabiały.

Pisując w dziennikach i gdzie indziej z codziennie wzrastającym powodzeniem, zaniechałem stenografii. Pewnego wieczoru po raz ostatni przenieśliśmy na papier piszczące nuty parlamentarnej orkiestry, szczęśliwy, że się ich raz na zawsze pozbywam.

Z półtora roku musiało upłynąć od mego ożenku. Po wielu nieudanych próbach pozostawiliśmy gospodarkę samej sobie, żyjąc z dnia na dzień. Trzymaliśmy młodego wyrostka, którego głównym zajęciem było ustawiczne wojowanie z kucharką. Całe jego życie było jedną burdą. W najniestosowniejsze chwile i często, gdyśmy mieli gości, drzwi od kuchni otwierały się z łomotem, wpadał przez nie jak z procy wyrzucony nasz służący, a za nim leciały różne kuchenne naczynia. Usiłowaliśmy pozbyć się go, lecz nie chciał odejść. utrzymując, że się przywiązał do nas; będąc zaś mazgajem zalewał się łzami na każdą wzmiankę o wydaleniu. Sierotą był, a że jedyna jego siostra wyniosła się, skoro się go pozbyła, do Ameryki, obiecywał wiekować u nas. Co chwila ocierał oczy rękawem surduta lub nos końcem chustki, wyłażącym mu wieczyście z kieszonki.

Nieszczęsny ten wyrostek ustawicznych nabawiał mnie kłopotów. Patrzałem, jak rósł – a rósł jak na drożdżach – drząc na myśl, że mu się wysypią wasy – ba! wasy! – że posiwieje pod moim dachem! Straciłem wszelką nadzieję pozbycia się go i w odległą spoglądając przyszłość obliczałem kłopoty, jakie mi mógł sprawić starzejąc się przy nas.

Nie przeczuwałem jednak katastrofy, która mi posłużyła do wydalenia go. Ukradł zegarek Dory. Jak wszystko, co stanowiło nasze mienie, zegarek nie mając przeznaczonego sobie miejsca nie był nigdy schowany! Sprzedawszy, roztrwonił pieniądze na przejażdżki pomiędzy Londynem a Utbridge. Piętnastego dopiero dnia znalazł się w końcu na Bow Street⁵. Znalaziono przy nim trochę tylko drobnych.

Następstwa całej tej historii o wiele by mniej były przykre, gdyby nie okazywał żalu, nie czynił zeznań na raty. Raz robił zeznania dotyczące się pewnego kosza w piwnicy, w którym zamiast wina zastaliśmy opróżnione i odkorkowane butelki. Sądziliśmy, że się na tym skończy, aleśmy się dowiedzieli, co mamy myśleć o kucharce. Rozbudzone wyrzuty jego sumienia wyjawiały, że kucharka ta posiada córeczkę, która co wieczór wynosi żywność, a węgiel nasz sprzedawany był mleczarzowi; że połudwice idą na bok i tak dalej, i tak dalej. Innym znów razem okazało się, że dostawca piwa zamierzał włamać się do naszej piwnicy i trzeba było go aresztować. Słowem, ujrzałem się ofiarą takich oszustw i zamachów, że nie wiem, co bym dał, żeby trzymał język za zębami i przestał mnie narażać na ciągłe sprawy, dochodzenia i obarczać kosztami i kłopotami.

Doszło do tego, że uciekałem z domu na widok zbliżającego się policjanta. Życie me stało się nie do zniesienia, dopóki nie wywieziono go, a i potem zarzucał nas listami. Przed wysyłką zapragnął widzieć Dorę. Dała się wzruszyć gorącymi jego prośbami i zemdląca weszła do więzienia. Z czasem został jakoby gdzieś pastuchem. Gdzie? Nie wiem. Nie sięgają tak daleko geograficzne moje wiadomości.

Wszystko to dało mi wiele do myślenia i nasunęło poważne wątpliwości co do kierunku własnej egzystencji. Pewnego wieczoru ośmieliłem się zwrócić na to uwagę Dory.

– Smutno mi, najdroższa moja – mówiłem jej – pomyśleć, że nasz brak oszczędności i systematyczności nie tylko nas naraża na ustawiczne materialne straty, lecz psuje nadto innych.

– Nic już o tym nie mówiłeś od niejakiego czasu – odrzekła Dora – oto znów rozpoczynasz. Niedobry!

– Ależ, Doro! Pozwól, niech ci wytłumaczę...

– Nie jestem ciekawa – nadąsała się Dora.

– Lecz ja chcę rozmówić się z tobą w tym względzie. Zostaw Jipa.

Dora przytknęła pyszczek ulubieńca do mego nosa mówiąc: „Boli!” Chciała mnie rozśmieszyć, widząc zaś, że to się jej nie udaje, wsadziła go do pagody, po czym usiadła naprzeciw mnie, składając z rezygnacją rączki.

– Rzecz w tym, kochanie – rozpocząłem – że złe mamy sługi.

Rozwijałbym dalej ten temat, lecz Dora była zdumiona po prostu. Ciekawa była, jakie na to wymyślę lekarstwo. Szczepienie cnoty, co? Uważałem za stosowne mówić dalej bez osłonek.

– Nie tylko, widzisz, kochanie, narażamy się na materialne straty i tysiączne przykrości, lecz sługi nasze wystawiamy naszym domowym bezładem na ustawiczne pokusy, psujemy każdego, kto w dom nasz wchodzi, a odpowiedzialność spada po części na nas.

– O! Co za oskarżenie! – zawołała Dora, szeroko otwierając oczy. – Twierdzić, że mogę skraść zegarek!

– Bredzisz, Doro, najdroższa! Kto tu mówił coś podobnego?

– Kto? Ty sam, ty! Dopiero co mówiłeś, że dajesz zły przykład. O! Porównać mnie z nim!

– Z kim?

– Z tym chłopcem, złodziejem! – mówiła szlochając na dobre. – O, zły, okrutny, porównać z nim swą własną, rodzoną żonę. Trzeba było dawniej powiedzieć, co o mnie myślisz, dawniej, przed ślubem! O! Myśleć, że jestem tyle warta, co jakiś niegodziwy złodziej! Biedna ja!

⁵ Bow Street – ulica w Londynie, gdzie mieści się główna komenda policji.

– Doro najdroższa – przekonywałem ją, usiłując oderwać jej chusteczkę od oczu – to, co mówisz, nie tylko jest dziecinne, lecz brzydkie. Sama wiesz, jak dalece mijasz się z prawdą.

– Aha! Zarzucałeś mi zawsze kłamstwo, a teraz mnie zarzucasz! O biedna ja! Biedna! Co pocznę teraz?

– Proszę cię, miła, uspokój się, bądź rozsądna, słuchaj, co ci mam i muszę powiedzieć. Widzisz, najdroższa, przede wszystkim to my powinniśmy wypełniać nasze obowiązki, a wówczas dopiero możemy być wymagający. To pewne, że narażamy nasze sługi na ustawiczne rozmijanie się z obowiązkami. Niedbałość nasza, rozrzutność, lekkomyślność zgubnie na nich oddziaływać muszą. Psujemy ich, to widoczne! Powinniśmy się nad tym zastanowić. Dręczy to mnie i niepokoi. Oto wszystko, com ci chciał powiedzieć. No! Nie gniewaj się, najdroższa!

Długo nie chciała oderwać od oczu chusteczki, chlipała skarżąc się cichutko, lecz żałośnie. Jeśli się dręczę, to po cóż się żeniłem? Trzeba się było rozmyślić, chociażby w przeddzień ślubu, przed ołtarzem nawet. Jeśli mnie unieszczęśliwia, to niech ją odeślę do jej ciotek, do Putney, albo lepiej do Julii Mills, do Indii! Julia byłaby uszczęśliwiona i nie porównywałaby jej pewno z nieletnim przestępcą. O, nie, nigdy!

Słowem, była tak nieszczęśliwa i tak mnie przez to martwiła, że wyrzuciłem sobie usiłowania przemówienia jej do rozsądku. Inną trzeba było obrać drogę.

Inną? Jaką? Rozwijać ją. Utarte to słowo dźwięczne jest. Postanowiłem tedy rozwijać Dorę.

Wziąłem się do dzieła. Gdy Dora kaprysiła po dziecinnemu, a mnie samemu wtedy najmniej byłoby dogadzać jej, stroiłem się w powagę i – pozostawaliśmy oboje niezadowoleni z siebie. Innym razem mówiłem jej długo i szeroko o tym, co mnie zajmowało, lub czytywałem Szekspira, co ją nużyło i nudziło. Od czasu do czasu karmiłem ją zasadami i maksymami lub strzępkami praktycznych wiadomości, które się obijały o jej obojętność jak groch o ścianę. Próbowałem na najrozmaitsze sposoby, lecz „rozwijanie” postępowało żółtym krokiem. Pośażdam nawet Dorę, że uważała Szekspira za największego pod słońcem nudziarza.

Wciągnąłem był do spisku, pomimo jego wiedzy, Traddlesa i gdy odwiedzał nas, otwierałem przed nim, ku zbudowaniu Dory, skarbnicę wszystkich mych praktycznych i elementarnych wiadomości. I to zdawało się raczej gnębić Dorę. Stawała się nerwowa, jakby wystraszona, spoglądała na mnie jak żak na bakałarza, safandulę, gderacza. Sam z czasem takim się sobie wydawałem, zdmuchując pyłki ze zrywanych przez mnie dziecinnych kwiatów.

Trwało to z miesiąc. Przekonawszy się, że to do niczego nie prowadzi, a skwasić może nas oboje, zacząłem rozmyślać, czy czasem nie zabrałem się do tego zbyt późno?

Było to więcej niż prawdopodobne i usiłowania moje były zbyteczne. Postanowiłem tedy zadowalniać się moją dziecinną żoną taką, jaką była. Zmęczyła mnie rola pedagoga, widziałem, że krępował Dorę. Kupiłem jej parę kolczyków, obrozę nową dla Jipa i wszystko wróciło do poprzedniego stanu rzeczy.

Dorę uszczęśliwiły podarki! Ucałowała mnie z czułością, pozostał jednak z uprzedniej nieudanej próby chłód pewien pomiędzy nami. Usiłowałem rozwiązać go, na przyszłość postanowiwszy wszelkie lody i ciężary na własne brzoń barki.

Usiadłem przy mej żonie, sam jej włożyłem w uszy kolczyki, mówiąc jej czule, że od niejkiego czasu nie był dla niej tym, czym być winienem, i że mi to wybaczyć powinna.

– W rzeczy samej – mówiłem – usiłowałem być rozsądny.

– I mnie uczyć rozsądku – spytała lękliwie – czy tak, Doady?

Ucałowałem wzniesione na mnie nieśmiało oczy, pytaniem rozchylone usta.

– Na nic się to nie zda – mówiła wstrząsając główką i pobrzękując kolczykami. – Na nic. Znasz mnie przecie. Dzieckiem jestem i chcę, abyś mnie za takie uważał. Jeśli więcej będziesz ode mnie wymagał, nie potrafię cię zadowolnić. Czy ci się nigdy nie zdaje, że lepiej byś zrobił...

- Co, najdroższa? – spytałem widząc, że się zacięła.
- Nic – odrzekła.
- Nic? – spytałem.

Zarzuciła mi ręce na szyję, zaśmiała się, nazwała siebie ulubionym swym przezwiskiem: „gaska”, skryła wreszcie na moim ramieniu twarzyczkę, w takiej ilości loczków, że trudno je było rozgarnąć.

- Zrobiłbym lepiej nie ucząc rozsądku mej żoneczki – pytałem śmiejąc się. – Co?
- A! widzisz! Tegoś chciał, ty brzydki chłopcze!
- Ale to już przeszło – mówiłem – kocham ją taką, jaka jest.
- Czy tylko prawdę mówisz? – pytała przytulając się do mnie.
- Prawdę! Po co mam pragnąć zmieniać to, co mnie uszczęśliwiało i uszczęśliwia. Najbardziej ci do twarzy, Doro moja, gdy jesteś sobą! Porzućmy tedy wszelkie próby i wróćmy do dawnego szczęścia.
- Szczęścia! – powtórzyła. – Od rana do nocy, od nocy do rana. I nie będziesz się gniewał, chociaż się znajdują czasem w domu jakie małe nieporządki? Nie będziesz?
- Nigdy.
- O, nie powiesz mi już, że psuję sługi, daję zły przykład? O! Ty niegodziwcze!
- Nigdy! Przenigdy!
- Bo widzisz, wolę być głuptaskiem niż nieszczęśliwą. Prawda?
- Najlepiej bądź sobą. Najlepsza rzecz pod słońcem.
- Pod słońcem! O, dużo tam jest miejsca, Doady!

Wstrząsnęła główką, podniosła błyszczące swe oczy, ucałowała mnie, roześmiała się wesoło i poskoczyła nakładać Jipowi nową obrożę.

I tak się skończyły moje usiłowania kształcenia, rozwijania mej żony. Nie byłem stworzony na męża-pedagoga, nie umiałem wziąć się do dzieła, pogodzić to z jej występowaniem w roli dziecinnej żony. Postanowiłem więcej pracować nad własnym doskonaleniem się. Nie, nie chciałem zmienić się w gderacza, dręczyciela biednej, kochanej Dory!

I tak ciernie życia zostały dla mnie samego, padły mi osamotnieniem na serce. Uciec przed tym nie mogłem. Uczucie to wzmoгло się – chociaż sobie jasno z tego sprawy nie zdawałem – podobne do rozplywających się w nocnej ciszy, nieuchwytnych jakichś dźwięków. Z całego serca kochałem żonę, szczęśliwy byłem... lecz nie tym szczęściem, o którym niegdyś marzyłem. Brakowało mi czegoś.

Dziś, wchodząc w głąb mojego życia i serca, badam na nowo rozbudzone to uczucie. Brakowało mi czegoś, co było nie spełnionym i nie dającym się już spełnić marzeniem mej młodości; spostrzegłem, co niejednen z nas spostrzegł, i napełniło mnie to wielkim smutkiem – żem nie znalazł w żonie przyjaciółki, współpracownicy, podpory.

W nieodwołalnej tej rzeczywistości była jedna prawda ogólna, nieunikniona; drugiej, tyczącej się mnie samego, dałoby się uniknąć. Myśląc o nieziszczonych marzeniach mej młodości, myślałem o dniach spędzonych z Agnieszką i jasne te chwile, pod starym dachem przebyte wspólnie, powstawały mi w pamięci na kształt mar jakichś. Chwile te mogły się powtórzyć – ale nie na tym świecie.

Czasem rozmyślałem o tym, co by to było, jeślibyśmy się z Dorą nie spotkali? Osoba jej tak ściśle związana była z całym moim istnieniem, że były to płonne rozmyślenia, rzeczywistość rozwiewała je jako puchy marne.

Kochałem Dorę, kochałem ją sercem całym i to, co wyżej mówiłem, spoczywało niejasne, zgłuszone w głębi mej duszy. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, nie wpływało to w najmniejszej mierze na słowa me i postęпки. Przyjąłem na siebie dobrowolnie wszelkie domowe troski, Dora jak przedtem podawała mi pióra i obojeśmy czuli, że burza zażegnana, a cień zwarty w odpowiednich mu granicach. Kochała mnie szczerze, dumna ze mnie była i gdy Agnieszka napisała jej, z jaką przyjemnością starzy moi przyjaciele czytają me utwory i po-

chlebne o nich zdanie krytyków, przeczytała mi to ze łzami radości w oczach, oświadczając, że najukochańszy i najmądrzy z ludzi.

„Własnego serca młodociana omyłka”. Te słowa pani Strong utkwiły mi w pamięci. Często w nocy, budząc się, powtarzałem je sobie machinalnie, we śnie czytywałem je wypisane tajemniczą jakąś ręką na ścianach domów. Niedoświadczony miałem, wiem to teraz, serce, gdy pokochał Dorę, i gdyby doświadczony było, nie cierpiałoby skrycie tego, co przecierpiałoby wówczas.

„Największym nieszczęściem w małżeństwie jest różność charakterów i usposobień.” I te pamiętałem słowa!

Pragnąłem podciągnąć Dorę do mych zainteresowań, nie udało mi się. Pozostawało mi teraz dostosować się do niej i być szczęśliwym. Dźwigać samotnie wszystkie życiowe ciężary i być jeszcze szczęśliwym! Powiniennem był wszelkich ku temu dołożyć starań i istotnie starania te dobrym uwieńczone zostały skutkiem.

Drugi rok mego małżeństwa szczęśliwszy był od pierwszego. Życie Dory było odtąd pogodne i bez troski.

Pod koniec tego drugiego roku pogorszyło się zdrowie Dory. Zrazu cieszyłem się myśląc, że delikatniejsze od moich, niemowłące dłonie i uśmiechy zmieniają małą dziecinną żonę w matkę. Próżne marzenia! Mała duszyczka przez chwilę zaledwie gościła na tym ziemskim padole i odleciała na skrzydłach śmierci.

– Gdy tylko będę mogła wstać – mówiła Dora do mej ciotki – będę biegać na wyścigi z Jipem. Zrobił się taki ociężały i leniwy.

– Sądzę, duszko – zauważyła siedząca przy niej z robotą w ręku ciotka – że mu to niewiele pomoże. Jip starzeje się.

– Starzeje! – zawołała Dora szeroko roztwierając oczy. – O! Jakie to dziwne, zabawne! Jip stary!

– Nieunikniona to kolej, kochanie – mówiła wesoło ciotka – przywyka się zresztą do tego łatwo. Spójrz na mnie. Godzę się jakoś ze starością.

– Ale Jip? – mówiła Dora spoglądając z litością na ulubieńca. – Biedny mój mały Jip!

– O! Pociągnie on jeszcze długo – mówiła uspokajająco ciotka gładząc ją po policzku, a Dora tymczasem wychyliła się z łóżka wołając Jipa, który wprowadził podniósł łapki i usiłował służyć na rozkaz swej pani, lecz wywrócił się zadyszany, kaszląc.

– Trzeba mu sprawić na zimę flanelową kołderkę – zauważyła ciotka – biedne psisko! A złe! Kasałby mnie wyziewając ducha.

Dora wzięła go na swe łóżko; rzucił się dalej na ciotkę, a to tym zajadlej, im się pilniej przypatrywała. Jip uważał okulary za największą osobistą obrazę. Dora z trudnością go ułagodziła. Gdy zmęczony, zziębnięty był przy niej, okręcając sobie o palec długie jego uszko, Dora powtórzyła zamyślona:

– Nawet mój mały, biedny Jip!

– O! – zauważyła ciotka – wiele ma jeszcze siły, a jeszcze więcej złości. Długie przeżyje lata! Jeśli chcesz, kwiatku ty mój, mieć psa, który by biegał z nim na wyścigi, kupię ci.

– Dziękuję cioci, ale nie.

– Nie? – spytała ciotka podnosząc okulary.

—Nie chcę mieć drugiego psa – rzekła Dora. – Zasmuciłoby to Jipa! Jego tylko zresztą mogę tak lubić, on mnie znał przed wyjściem mym za mąż i nie warczał wcale na Doady, nawet gdy go po raz pierwszy widział. Nie, nie lubiłabym innego psa. Jipie mój, mały, dobry, kochany!

– Masz słuszość, duszko – rzekła ciotka gładząc jej twarz.

– Ciocia się nie gniewa? – pytała przymilając się.

– Pocziwe dziecko – zawołała ciotka całując ją z rozczuleniem – za cóż miałabym się gniewać? Nie myślisz tego.

– Nie, nie myślę – odrzekła – tylko jestem zmęczona i chcę pogrymasić. Grymaśnica ze mnie nie lada, zwłaszcza gdy mowa o Jipie. Znamy się z sobą od tak dawna. Jipie mój, stary, kochany! Nie, nie bój się, nie opuszczę cię, nie sprzeniewierzę ci się, choć postarzejesz.

Jip lizał ręce swej pani.

– Ale tyś jeszcze nie stary, nie opuścisz mnie, Jipie, nie zostawisz mnie samej? – mówiła pieszcząc się ze swym ulubieńcem.

Kochana, śliczna Dora! Następnej niedzieli Traddles, który zwykle z nami w dniu tym obiadował, zapewniał, że za dni kilka znów biegać będzie. „Za dni kilka...” Powtarzaliśmy to ciągle... i znów „dni kilka”... a Dora powstać nie mogła z łóżka. Wyglądała prześlicznie i była wesoła, tylko te drobne stopki, tańczące dawniej ustawicznie na wyścigi z Jipem, nie chciały się poruszyć.

Z rana znosiłem ją na dół, wieczorem wnosiłem na górę. Zarzucała mi, śmiejąc się, ręce na szyję, a Jip skakał, szczekał, machał ogonkiem, nie rozumiał zgoła, co to znaczy. Ciotka, drepcząc za nami, ugiwała się pod stosami szalów i poduszek, a pan Dick nie ustąpiłby nikomu obowiązku przyświecania pochodowi. Nieraz Traddles spoglądał na nas z dołu, a Dora dawała mu przeróżne zlecenia do „najukochańszego dziewczęcia”. Pochód nasz wyglądał wesoło, najweselsza zaś była moja pieszczotka.

Lecz czując ją taką lekką, coraz to lżejszą na mych rękach, serce mi się ścisnęło dziwną trwogą, przeczuciem czegoś nieokreślonego, a nieuniknionego. Nie chciałem zastanawiać się nad tym. Bałem się nazwać po imieniu, przyznać przed samym sobą. Raz wieczorem słysząc słowa odchodzącej ciotki: „dobranoc, kwiatku!” pochyliłem się nad biurkiem, czując, że mnie łązy dławią. O! Fatalne, fatalne imię! Kwiaty tak szybko przekwitają, okwitłe opadają tak prędko...

ROZDZIAŁ XLIX

WCIĄGNIĘTY JESTEM W KABAŁĘ

Pewnego poranku otrzymałem pocztą z Canterbury adresowany do Commons list, który zdziwił mnie niemało:

Kochany Panie!

Niezależne ode mnie okoliczności przerwały od niejakiego czasu stosunki, które pamięć moja przechowuje w perspektywie i blasku najmilszych wspomnień i nie dających się wyrazić uczuć. Fakt ten łącznie ze sławą, jaką zjednały panu talent jego i autorskie zasługi, nie pozwala mi odtąd zwracać się do towarzysza młodości z dawną poufałością. Wystarcza mi wiadomość, że imię jego pozostanie na zawsze wyryte w archiwach naszego domu – mam na myśli starannie przez żonę mą przechowywane dokumenty, odnoszące się do byłych naszych lokatorów. Dokumenty te zaświadczą przed potomnością o stosunkach, jakie istniały pomiędzy nami.

Nie jest rzeczą człeka, znajdującego się dzięki przeszłym swym czynom i zbiegowi niepomyślnych okoliczności w sytuacji przypominającej tonącą łódź – że pozwolę sobie użyć żeglarskiego tego porównania! – wdawać się w powinszowania i pochwały. Godniejsze ręce niech wawrzynowe spletają wianki.

Jeśli zawód pański pozostawi mi wolną chwilę dla przeczytania słów tu skreślonych, spyta pan siebie tedy, co jest przedmiotem niniejszej korespondencji? Pozwolę sobie zauważyć, że pytanie powyższe nie zdziwi mnie bynajmniej. Owszem, uznam je za najzupełniej racjonalne, upewniając zarazem, że przedmiot to wcale nie pieniędzy natury.

Nie zastanawiając się dłużej nad własnymi zdolnościami i zasługami, umiejętnością powstrzymywania gromów i kierowania palącą błyskawic iskrą, pozwolę sobie zauważyć mimochodem, że najpiękniejsze marzenia moje rozwiane zostały, spokój zniszczony, strawiona radość żywota mego, serce zatrute, czoło na zawsze zasepione. Robak się w bujnym zalągl kwiecie, przepelniała się goryczy czara, posiew podcięty u samych korzeni. Im prędzej to się skończy, tym lepiej.

Postawiony wśród najcięższych okoliczności, którymi nawet z żoną podzielić się nie mogę, przez wzgląd na jej potrójną rolę, jako niewiasty, żony i matki, postanowiłem raz skończyć z tą nędzą, pozostawiając sobie dwie doby zwłoki dla ostatecznego zwiedzenia stolicy, tego cmentarza najlepszych mych wspomnień. Pomiedzy innymi miejscowościami zwiedzę naturalnie tamtejsze więzienie. List niniejszy ma na celu oznajmienie panu, że pojutrze o siódmej

wieczorem znajdę się przy południowej bramie tego przybytku, arcypomocniczego w cywilnych procesach.

Ośmielam się upraszać dawnego mego przyjaciela, pana Copperfielda, jako też najszanowniejszego pana Tomasza Traddlesa – jeśli tenże istnieje i zamieszkuje obecnie Londyn – o spotkanie się ze mną w powyżej oznaczonym miejscu i łaskawe odnowienie dawniejszego naszego stosunku i kończę niniejszy list ostrzeżeniem, że ujrzą rozbite resztki tego, co pozostało niby z rozwalonej wieży... Wilkins Micawber.

P.S. Nie zaszkodzi może dodać, że żona moja nic nie wie o moim postanowieniu.

List ten przeczytałem kilkakrotnie i chociaż znałem zawilgość stylu piszącego, jego zamiłowanie w metaforach i kreśleniu sążnistych o lada głupstwie listów, domyślałem się, że tym razem zająć musiało coś niezwykłego. Kilkakrotnie tedy list odczytywałem rozmyślając o tym, gdy właśnie nadszedł Traddles.

– Nigdyś nie przybył bardziej w porę – zawołałem witając go. – Pomożesz mi rozwiązać zagadkę. Dziwny list otrzymałem od pana Micawbera.

– Dziwne! – zawołał Traddles – a ja od pani, i z tym właśnie przyszedłem.

Mówiąc to, zgrzany pośpiesznym chodem, z najeżonymi włosami, Traddles wymienił ze mną listy. Patrzyłem na wyraz jego twarzy, z jakim przebiegał list pana Micawbera. Podniósł brwi powtarzając na głos:

– „Powstrzymywania gromów i kierowania palącą błyskawic iskrą...” Niech go! – zaklął.

Co do mnie, wziąłem się do studiowania stylu pani Micawber.

Pozdrowienie panu Tomaszowi Traddles – pisała – jeśli raczy jeszcze pamiętać starą swą znajomą i zechce jej poświęcić chwilkę drogiego swego czasu. Upewniam Pana T. T., że nie ośmieliłabym się nadużywać znanej mi jego dobroci, gdyby mnie do tego nie zniewoliła ostateczność.

Z rozdartym sercem wyznać muszę, że zmiana, która zaszła w usposobieniu i postępowaniu mego męża wobec rodziny, zmusza mnie wziąć pióro do ręki. Pan T. wyobrazić nawet sobie nie zdoła, jak wielka jest wyżej wzmiankowana zmiana. Pan Micawber stał się porywczy, skryty tak dalece, że zakrawa to na pomieszanie zmysłów. Rzadki bywa dzień bez wybuchu i sceny i Pan T. zrozumie, z jakim uczuciem widzę się zmuszoną wyznać, że przywykła codziennie słyszeć z ust męża mego, ojca licznej – a w tej liczbie dwoje bliźniąt i ostatnie nasze niemowlę! – rodziny, że się zaprzedał... strach powiedzieć!... diabłu! Tajemniczość, skrytość zastąpiła poprzednio pomiędzy nami istniejące zaufanie. Najmniejsza rzecz, nawet pełne tkliwości zapytanie, co by wołał jeść na obiad, wywołuje groźbę... ach! rozstania. Onegdaj jeszcze na wzruszającą prośbę o dwa pensy na pierniczki pokazał nieszczęsnym bliźniętom scyzoryk.

Niech mi pan T. wybaczy dotykane bolesnych tych domowych szczegółów. Bez nich pan T. nie miałby dokładnego pojęcia o okropności mego położenia.

A teraz, czy mi pozwolonym zostanie wyjawić cel niniejszego listu? Polecić siebie przyjaźni pana T.? O, tak, niewątpliwie! Znana mi jest jego dobroć.

Nielatwo zmylić kobiece, kochające oko! Pan Micawber wybiera się do Londynu i chociaż dziś przy śniadaniu zasłaniał kartkę z adresem przygotowanym do przypięcia do walizy, oko nieszczęsnej żony tajemnicze pochwyliło pismo! Czyż się ośmielę błagać Pana T., by się widział ze zblakłym moim małżonkiem i usiłował odwieść go na prawą drogę obowiązku, opuszczonej powrócić rodzinie. O, to byłoby za wiele!

Jeśli pan Copperfield pamięta jeszcze skromną, prawie nie znaną, dawną swą przyjaciółkę, to może Pan T. zechce prosić go w imieniu moim, aby z nim razem współdziałał raczył. W każdym razie pozwolą sobie zastrzec, aby list i zeznania niniejsze pozostały pomiędzy nami. Jeśli Pan T. raczy – co uważam za nieprawdopodobne – odpowiedzieć na niniejsze pismo, zechce list swój adresować do Canterbury, poste restante, gdyż adresując wprost do mnie zgubiłby szczerze oddaną Emmę Micawber.

– Co myślisz o tym liście? – spytał mnie Traddles, gdy go powtórnie przebiegał wzrokiem.

– A ty co myślisz o tamtym? – spytałem nawzajem, widząc, że czyta jeszcze marszcząc brwi.

– Wnoszę – odrzekł – że oba razem wzięte posiadają znaczenie głębsze od zwykłej korespondencji państwa Micawberów, nie domyślam się jednak, o co idzie. Oba listy zdają się mi pisane w dobrej wierze. Biedaczka! (słowa te stosowały się do pani Micawber) Trzeba jej w każdym razie odpisać, uspokoić ją, upewnić, że się zobaczymy z jej mężem.

Zgodziłem się na to tym chętniej, żem wyrzucał sobie lekceważenie uprzednio otrzymanego listu. Zdziwił mnie był wprawdzie w swym czasie, lecz nadto byłem zajęty własnymi sprawami i zapomniałem o tym, a myśląc od czasu do czasu o starych swych znajomych, podziwiałem tylko, jakie to „pieniężne zobowiązania” zatrzymują ich w Canterbury i dlaczego pan Micawber zdawał się unikać mnie, odkąd został u Uriaha?

Napisałem tedy list pocieszający do pani Micawber w swoim i Traddlesa imieniu, który też obydwaj podpisaliśmy. Odnosząc go na pocztę, gubiliśmy się w domysłach nad zawartą w korespondencji małżonków tajemnicą. Po południu zwierzyliśmy się ze wszystkiego ciotce i postanowiliśmy stawić się punktualnie na wezwanie pana Micawbera.

Chociaż znaleźliśmy się w umówionym miejscu o kwadrans wcześniej, już go tam zastaliśmy. Stał oparty o mur więzienny, z założonymi na piersiach rękoma, spoglądając na kominy więzienne z taką poetyczną melancholią, z jaką spoglądałby na gałęzie drzew, pod którymi spędził młodzieńcze lata.

Gdyśmy go powitali, zdawał się zmienionym, nie był tak, jak zwykle, uprzejmy i słodki. Nie był też odziany w czarny oficjalny surdut, lecz w stary jakiś, który ściągał na piersiach rozmawiając z nami; tylko monokl wisiał jak zwykle i obszerny kołnierzyk jak zwykle był wykrochmalony.

– Panowie – ozwał się powitawszy nas – okazujecie się wiernymi w potrzebie przyjaciółmi. Pozwólcie, niech się przede wszystkim dowiem, jak zdrowie obecnej pani Copperfield i *in spe* pani Traddles, gdyż przypuszczam, że przyjaciel nasz Traddles nie wstąpił jeszcze w związku małżeńskie.

Podziękowaliśmy za jego uprzejmość, udzielając żądanych wieści. Zwrócił potem uwagę naszą na starożytność murów, pod którymi staliśmy, po czym rozpoczął od „Upewniam was, panowie”. Przerwałem prosząc go, by zechciał odłożyć na bok wszelkie ceregiele i mówił z nami jak ze starymi przyjaciółmi.

– Wzrusza mnie, kochany Copperfieldzie – zawołał ściskając mi dłoń – twa serdeczność! Spotkanie nasze w tym miejscu świadczy o szlachetności serca ludzkiego. Chciałem właśnie powiedzieć, jak głęboko wzruszony jestem spoglądając na miejsca, w których spędziłem najprzyjemniejsze godziny mego życia.

– Dzięki zapewne żonie pańskiej – zauważyłem. – Jakże się miewa?

– Dziękuję panu – dostrzegłem chmurę, co mu na wzmiankę o żonie omroczyła czoło – dziękuję, nieźle. I oto Bench⁶, miejsce, gdzie się nie rozlegają ustawiczne kołatania wierzyteli, gdzie nie słychać od rana do nocy pogrzebowych dzwonów „pieniężnych zobowiązań”, nie ma troski o procesy, miejsce, którego mieszkańcy używać mogą wczasu w spokoju. Oto, panowie, wiekopomne miejsca, w których dziatwa moja bawiła się w słońcu, unikając mrokami zaległych kątów. Znany mi tu kamień każdy, tłumaczy to niniejsze me wzruszenie!

– Sporo odtąd upłynęło czasu – zauważyłem.

– Tak, panie! – odrzekł z goryczą. – Będąc mieszkańcem tego przybytku sprawiedliwości, śmiało każdemu patrzałem w oczy i urwałbym głowę temu, kto by się ośmielił obrazić mnie. A teraz!...

⁶ Mowa o King's Bench – wielkim więzieniu londyńskim, przeznaczonym głównie dla dłużników. Z więzieniem tym połączone są słynne więzienia: Fleet i Marshalsea.

Odwracając się ze smutkiem od więziennych murów, pan Micawber przyjął moje ramie, drugą ręką oparł się na ramieniu Traddlesa i tak odeszliśmy razem.

– Są granice – mówił oglądając się poza siebie – granice na szlaku wiodącym do mogiły, których człek nie chciałby przestąpić. Taką właśnie granicą jest na drodze życia mego ów przybytek sprawiedliwości.

– Na smutną pan zdajesz się być nastrojony nutę – wtrącił Traddles.

– Zgadłeś pan!

– Spodziewam się – ciągnął uprzejmie Traddles – żeś pan nie stracił zamiłowania w nowo obranej karierze. Sam jestem, jak pan wiesz, prawnikiem.

Pan Micawber odpowiedział milczeniem.

– Cóż porabia przyjaciel nasz, Heep? – spytałem przerywając milczenie.

– Kochany Copperfieldzie – zawołał żywo, blednąc przy tym, pan Micawber – jeśli masz pryncypała mego i pracodawcę za swego przyjaciela, smuci to mnie nieskończenie. Jeśli za mego, uśmiechnąć się tylko na to ironicznie mogę. Na wszelkie zaś tyczące się pracodawcy mego zapytania odpowiem jedynie, że nie wiem, jak się miewa, lecz wygląda lisowato, że nie powiem: szatańsko. Pozwolisz mi nie zatrzymywać się dłużej na przedmiocie, który mnie w prawnej mej karierze do szaleństwa niemal doprowadza.

Wyraziłem żal mój, zem nie wiedząc, dotknął tak drażliwej kwestii i chcąc jak najprędzej zatrzeć złe wrażenie, pośpieszyłem spytać o zdrowie pana i panny Wickfield.

– Panna Wickfield – odrzekł, tym razem czerwieniąc się, pan Micawber – jest zawsze wzorem wszelkich doskonałości. Ona to sama jest gwiazdą wśród mroków tego nędznego padołu i uwielbienie me dla niej nie zna granic. Odprowadźcie mnie, proszę, na stronę, gdyż w stanie, w którym się obecnie znajduję, potrzebuję wypoczynku.

Odwiedliśmy go na bok, w ciasną uliczkę. Oparł się o mur, otarł chustką czoło. Jeśli i ja byłem tak poważnie jak Traddles nastrojony i wyglądałem równie surowo, nie wesołym był pan Micawber towarzystwie.

– Niedolą moją jest – mówił łzawie – to właśnie, że się najlepsze moje intencje i uczucia przeciw mnie obracają. Uwielbienie me dla panny Wickfield tkwi mi jak cierń w łonie. Lepiej by mi było być włóczęgą i żebrakiem! Zgryzota ta zgon mój przyśpieszy!

Nie odpowiadając na te lamentsy, czekaliśmy cierpliwie, aż otrze ostatnie łzy, poprawi kołnierzyk i dla odwrócenia zapewne uwagi rzadkich przechodniów zanuci piosenkę, przekrzywając kapelusz na bok. Zaproponowałem mu, czy nie zechciałby przejechać do mej ciotki i tam przenocować.

– Zaprawi pan nam poncz wedle swej recepty – mówiłem – a wśród starych przyjaciół oderwie się od trapiących go smutnych myśli.

– A może – dodał Traddles – zwierzenie się umniejszy panu troski...

– Róbcie ze mną, panowie, co się wam podoba – odrzekł – jestem jak zwiędła, przez słońce spieczona trawa... chciałem powiedzieć, że mnie zmogły żywioły.

Doprowadziliśmy go pod rękę do omnibusu i dotarliśmy bez przeszkód do Highgate. Sam nie wiedziałem, co mówić, Traddles musiał być w tym samym co ja usposobieniu, a pan Micawber zachowywał ponure milczenie. Usiłował chwilami być wesoły, rozpoczynał nucić jakieś piosenki, lecz popadał znów w smutek jeszcze bardziej widoczny przy tych nieudatnych próbach wesołości. Kapelusz mu się przechylił na bok, a uszy tonęły w kołnierzyku.

Zawiozłem go do ciotki, nie do siebie, przez wzgląd na stan zdrowia Dory. Ciotka przyjęła go uprzejmie. Ucałował jej rękę, odszedł do okna i tam czas jakiś, z podniesioną do oczu chustką, walczył ze swym smutkiem.

Pan Dick był w domu. Z natury swej tak czuły na każde nieszczęście, pospieszył natychmiast uściskać dłoń nowo przybyłego. Uściskom tym nie było końca, co znów zdawało się wzruszać niesłychanie pana Micawbera.

Powtarzał nieustannie: „Wdzięczny panu jestem, z całego serca wdzięczny”. Z kolei rozczulało to znów dobrego staruszka.

– Przychylność tego zacnego dżentelmena – mówił pan Micawber do ciotki – podcina mnie, że pozwolę sobie użyć wyrażenia utartego pomiędzy sportowcami. Podobne dowody przychylności, podobna gościnność do głębi wzruszać muszą przywalonego niedolą, walczącego z losem człowieka.

– Przyjaciel mój, pan Dick, nie jest pospolitym człowiekiem – stwierdziła z zadowoleniem moja ciotka.

– Przekonany o tym jestem, upewnić panią mogę – stwierdził pan Micawber zamieniając nowy z panem Dickiem uścisk dłoni. – Rozczulony jestem tą serdecznością.

– Jakże się pan czuje? – pytał pan Dick troskliwie.

– Nieźle, dziękuję panu!

– Niech się pan mocno trzyma – zalecał pan Dick.

Pan Micawber rozrzewnił się i z dłonią w dłoni nowego przyjaciela zaczął:

– Przeznaczeniem moim było, w tej panoramie, jaką jest życie ludzkie, napotykać tu i ówdzie oazy. Tak zielonej, świeżej, ożywczej, jak tutaj, nie spotkałem nigdzie.

Innym razem wszystko to bawiłoby mnie nieskończenie, teraz jednak czułem w tym wszystkim przymus i obserwując bacznie mego gościa widziałem w nim walkę pomiędzy chęcią zwierzania się z czymś i chęcią zachowania tajemnicy. Walka była tak widoczna, że się aż gorączkował. Traddles siedząc na brzegu krzesła, z poburzonymi i sterczącymi włosami, wpatrywał się w pana Micawbera, nie mogąc zdobyć się na słowo. Ciotka, chociaż też pilnie obserwowała gościa, zachowywała największą wśród nas równowagę, podtrzymując rozmowę.

– Pan jesteś odwiecznym przyjacielem mego siostrzeńca – mówiła – żałuję, że nie miała przyjemności znać pana dawniej.

– Pani! – odpowiedział pan Micawber – to ja na tym straciłem najwięcej, nie mając zaszczytu znać

pani wówczas, gdy nie był jeszcze takim, jak obecnie, rozbitkiem!

– Rodzina pańska w dobrym, mam nadzieję, pozostaje zdrowiu? Pan Micawber pochylił głowę.

– Pani! – rzekł z rozpaczą – wyrzutkom, obcym dobrej doli zdrowie zwykle służyć.

– Co też pan mówił! – zawołała ze zwykłą sobie szczerością ciotka.

– Losy rodziny mojej – prawił pan Micawber – na niepewnej zawisły szali, mój pracodawca...

Zamilkł oddając się cały obieraniu cytryny i przyrządzaniu ponczu.

– Więc pracodawca... – podpowiedział pan Dick.

– Dziękuję panu za to przypomnienie – zawołał pan Micawber.

Zamienili uścisk dłoni.

– Pracodawca mój – ciągnął – pan Heep, zaszczycił mnie raz uwagą, że jeśliby nie honoraria, których udzielać mi raczy, zostałbym chyba kuglarzem jarmarcznym, połykał węże i noże i żywił się powietrzem. Wówczas dzieci moje musiałyby przewracać koziołki, a pani Micawber wtórowałaby nam na pozytywce!

Nożem trzymany w ręku pan Micawber uczynił wymowny ruch: Tak, miałyby to miejsce po jego chyba śmierci! Po czym wziął się znów do obierania cytryn.

Ciotka oparła się łokciem o okrągły, zawsze w pobliżu niej stojący stoliczek, wpatrując się w mówiącego. Pomimo wstrętu do wyciągania z niego zwierzeń, do których nie byłby skłonny, pochwyciłbym go może tym razem za słowo, lecz wyglądał zbyt zajęty swą czynnością: sypał do wazy cukier, grzał wodę itp. Przeczynałem po drzeniu jego rąk i ciągłych pomyłkach, że zbliża się kryzys; jakoż istotnie odepchnął wazę, powstał z miejsca i kryjąc twarz w chustecę do nosa, rozplakał się.

– Kochany Copperfieldzie – mówił łkając – przyrządzenie ponczu wymaga świeżego umysłu i uwagi, na którą się zdobyć nie mogę.

– Mów pan, kochany panie, co panu jest – nalegałem. – Jesteś wśród prawdziwych swych przyjaciół.

– Wśród przyjaciół? – wybuchnął z rozpaczą. – Właśnie dlatego, że się znalazłem wśród przyjaciół, nie mogę dłużej wytrzymać. Pytacie mnie, panowie, co mi jest? Pytajcie raczej, w czym rzecz? Rzecz w podłości, rzecz w nikczemności, oszustwie, fałszerstwie, knowaniach niecnym, a wszystkiemu temu na imię – Heep.

Ciotka klasnęła w dłonie, wszyscyśmy się porwali z miejsca jak piorunem rażeni.

– Ha! Powiedziałem – wołał pan Micawber machając chustką do nosa i rękoma, tak jak gdyby wypłynął z zalewającej go fali. – Powiedziałem! Niewiele mi pozostaje życia, dni me policzone, pozbawiony jestem wszystkiego, co może przy życiu utrzymać. Galerami mi była u tego łotra służba, galerami! O! Oddajcie żonę moją, dzieci, rodzinnego życia niewinne i święte pociechy, wskrzesicie dawnego Micawbera z nędznika, który nie śmiałyby rozwiązać rzemyka u obuwia tamtego, i każcie mi jutro noże i węże połykać, a chętnie to uczynię.

Unosił się. Staralem się go uspokoić. Próżno. Unosił się coraz bardziej, niepodobna było dojść z nim do słowa.

– Nie! – wołał gorączkując się, gestykulując, sapiąc – dłonią nie dotknę dłoni uczciwego człowieka, dopóki nie zdemaskuję, nie zgniotę jaszczurki tej, padalca – Heepa! Nie pozwolę sobie z niczyjej korzystać gościnności, góry poruszę z posad i cały wybuch Wezuwiusza cisnę na głowę tego łajdaka – Heepa. Jeść, pić – pod tym zwłaszcza dachem – ponczu wychylać nie mogę, zanim nie wydrę oczu, nie splunę w twarz łgarzowi temu – faryzeuszowi. Nie! Nie chcę znać nikogo, słowa nie przemówię, nie spocznę, zanim nie zgniotę, w atomy nie rozprószę zdrajcy tego, krzywoprzysięzcy – Heepa!

Bąłem się, by nie dostał apoplektycznego ataku. W gardle go dławilo nazwisko Heepa, drżał cały, a potem opadł bezsilny na krzesło, wodząc po nas błędnym wzrokiem, czerwony, siny, z kroplami potu na czole, złamany. Chciałem mu pośpieszyć z pomocą, porwałem szklankę wody, powstrzymał mnie jednak, wyciągając patetycznie rękę.

– Nie! Copperfieldzie! Nie! Nie zbliżaj się do mnie, aż... aż... panna Wickfield... zadosyć-uczynienie... ze szpon tego szatana – Heepa.

Zdawało się, że podtrzymuje go jedynie nienawiść.

– Tajemnica – mówił urywanym głosem, szeptem raczej – przed światem całym – bez wyjątku – tajemnica. Za tydzień – od dziś – rano przy wszystkich – tu – obecnych – nie wyłączając ciotki – dobrodziejki – w hotelu – w Canterbury, gdzie ja i pani Micawber – zerwiemy maskę z tego nędznika – Heepa. Ani słowa więcej – cyt! – odchodzę – nie jestem w stanie – sprowadzę – na ślady zdrajcy – Heepa...

Imię to samo podtrzymywało go, dodając siły do wymawiania słów oderwanych. Porwał się z miejsca i wybiegł z domu, pozostawiając nas w zdumieniu, niepokoju, nadziei, wzruszonych. Ale i tym razem nie zdołał oprzeć się pokusie pisania listów, bośmy nie ochłonęli jeszcze z pierwszego wrażenia, a już z pobliskiej oberży, do której w tym tylko zaszedł, jak się okazało, celu, przyniesiono list następnym.

Sekretny

Kochany panie!

Zechciej pan wy tłumaczyć mi przed swą szanowną ciotką za uniesienie, któremu w obecności jej uległem. Był to wybuch tłumionych uczuć, lawy wewnętrznej, dającej się łacniej odczuć, niż opisać.

Sądzę, że był zrozumiany co do naznaczonego terminu; od dziś dnia za tydzień w Canterbury, w przybytku publicznej zabawy, tam właśnie, gdzie niegdyś żona moja i ja mieliśmy zaszczyt połączyć z pańskim głosem nasze w pieśni nieśmiertelnego piewcy!

*Po wypełnieniu obowiązku, po wymierzeniu sprawiedliwości, co mi pozwoli znów śmiało
ludziom w oczy patrzeć, oddalę się, spragniony wiecznego spoczynku. W ciasnej i ciemnej
mogile spocząć choć w wieku sile.*

Wilkins Micawber

ROZDZIAŁ L

SPRAWDZA SIĘ SEN PANA PEGGOTTY

Kilka miesięcy przeszło od naszego spotkania z Martą. Nie widziałem jej odtąd, lecz wiedziałem, że się porozumiewała kilka razy z panem Peggotty. Nie odkryła nic i nie było nadziei, aby odkryć co mogła względem losów Emilki. Wątpiłem, wyznając, aby starania nasze do pomyślnych doprowadzić mogły rezultatów. Przypuszczałem, że Emilka już nie żyje.

Pan Peggotty był niewzruszony. Wytrwałość jego nie miała miary. Chociaż drżałem na samą myśl ciosu, na jaki wiara ta i nadzieja były wystawione, tyle w nich było powagi, religijnego niemal namaszczenia, że się przed nimi skłaniałem z podziwem i poszanowaniem.

Nie ograniczał się zresztą do biernego wyczekiwania. Przyzwyczajony do ustawicznej pracy, wiedział, że nie ma prawa na samą spuszczać się Opatrzność. Wiedział, że sami sobie winniśmy pomagać. Widziałem go, jak się puścił do Yarmouth na samo przypuszczenie, że może przypadkiem umówione światło nie znajduje się w oknie chaty-łodzi. Za lada ogłoszeniem w dziennikach, mającym cień związku z przedmiotem jego poszukiwań, brał kij w rękę, w dalekie i niestety płonne udając się wędrówki. Pływał tam i z powrotem do Neapolu, na mocy opowieści panny Dartle, a w wędrówkach tych ograniczał, jak mógł, swoje potrzeby, oszczędzając pieniądze dla Emilki, na chwilę, w której skarb ten swój odnajdzie. Nie wyrzekł przy tym słowa skargi, nie utyskiwał nawet na trudy i niewygody podróży.

Dora widywała go często i bardzo polubiła. Widzę go stojącego obok kanapy, na której leżała, mnącego kapelusz w silnej ręce. Widzę błękitne oczy mej pieścioszki, wznoszące się na niego z nieśmiałym podziwem! Czasem, gdy zachodził do mnie o szarej godzinie, zapalał fajkę i przechadzaliśmy się pomału tam i nazad po ogródku, stawał mi żywo w pamięci dom jego cichy, mały, w dniach mego dzieciństwa poznany.

Raz tak przechadzając się ze mną powiedział, że w przeddzień zastał był Martę wyczekującą przed jego mieszkaniem. Prosiła go, by pod żadnym warunkiem nie wydalął się z miasta, zanim się z nim powtórnie nie zobaczy.

– Czy nie mówiła dlaczego? – spytałem.

– Pytałem ją o to – odrzekł – lecz nie odpowiedziała mi nic stanowczego, zleciła tylko, abym się nie oddalał, a sama śpiesznie odeszła.

– A mówiła, kiedy mniej więcej wróci?

– Nie – rzekł podnosząc w zadumie rękę do czoła. – I o to pytałem, lecz, odpowiedzieć, jak zapewniła mnie, nie mogła.

Wzbronilem był sobie zachęcać go i nieziszczone zapewne podsycać nadzieje, toteż zostawiając przy sobie wszelkie domysły zauważyłem tylko, że zapewne niedługo każe na siebie czekać.

W parę tygodni potem przechadzałem się samotny po moim ogródku. Wieczór ten pozostał mi na zawsze w pamięci. Był to drugi z kolei w naznaczonym przez pana Micawbera tygodniu wyczekiwania. Deszcz padał przez dzień cały i powietrze przesycone było wilgocią. Liście na drzewach były mokre i ciężkie, niebo zachmurzone. Deszcz przestał jednak w końcu padać i ptaszki rozśpiewały się w najlepsze. W miarę jak zapadał wieczór, milkły i pomału zapadła dokoła wieczorna, wiejska cisza, przerywana szmerem opadających z liści kropel deszczu.

Z boku, pomiędzy zielonością pnących się roślin i bluszczu, otwierał się widok na drogę. Zamyślony spojrzałem przypadkiem w tym kierunku i dostrzegłem przywołującą mnie ręką kobiecą postać.

– Marta?! – zawołałem wychodząc z ogródka.

– Czy może pan pójść ze mną? – szepnęła żywo. – Byłam u niego, lecz go nie zastałam. Zostawiłam kartkę na jego stole. Mówili tam, że niebawem nadejdzie. Są wieści! Może pan iść ze mną natychmiast?

Wyszliśmy. Uczyniła ruch taki, jak gdyby zalecała mi pośpiech i milczenie, i zawróciła ku miastu. Przyjść musiała pieszo, wskazywała na to jej odzież.

Spytałem ją, czy tędy droga, i na twierdzącą odpowiedź zatrzymałem pustą przejeżdżającą dorożkę, do której wsiedliśmy. Na zapytanie moje, gdzie jechać, odpowiedziała: „W stronę Golden Square, byle prędzej”, po czym cofnęła się w głąb pojazdu, ręką zakrywając oczy. Zdawać by się mogło, że nie zdoła znieść dźwięku ludzkiego głosu.

Miotany pomiędzy nadzieją i strachem, nie wiem, co bym dał za wyjaśnienia, o które pytać nie śmiałem. Jechaliśmy tedy w milczeniu. Czasem wychylała się z dorożki, jak gdyby przynaglić pragnęła bieg koni; poza tym pozostawała spokojna.

Wysiedliśmy w pobliżu wskazanego przez nią miejsca. Kazałem dorożkarzowi, na wszelki wypadek, czekać. Marta oparła się na moje ramieniu i poszliśmy jedną z ciemnych, wąskich uliczek, której domy wytworne niegdyś zostały obecnie przytułkiem ubóstwa. Przed jednym z takich domów Marta puściła me ramię, ruchem ręki wskazując, bym szedł za nią.

Dom był gęsto zaludniony. Na każdym piętrze uchylały się drzwi, wyglądały liczne, kobiece i dziecięce głowy, na schodach co krok mijaliśmy jakichś mieszkańców.

Jeszcze przy bramie, spojrzawszy w górę, w każdym oknie widziałem także głowy, wychylające się spomiędzy doniczek z kwiatami. Schody były szerokie, opatrzone masywną, rzeźbioną poręczą. Nad drzwiami i oknami gzymsy przedstawiały gipsowe kosze kwiatów i owoców, lecz pleśń i kurz pokryły smętne te szczątki minionej świetności. Próchno, wilgoć i czas nadwreżyły stopnie, uginające się pod krokami, miejscami zapadające się. Zauważyłem, iż usiłowano wlać w te szczątki nowe życie. Nędznym materiałem połatano największe dziury. Wyglądało to na małżeński związek starej magnatki z ubogim żakiem; niedobrane stadło odwracało się od siebie z niechęcią. Na górnych piętrach brakowało szyb, inne znów okna na głucho zabite były deskami, a przez liczne otwory, które zamiast wypuszczać, wpuszczały smrodliwe powietrze, widzieć się dawały inne temu podobne domostwa. Dziedziniec w głębi zdawał się jedną kupą śmieci.

Weszliśmy na samo poddasze, wyprzedzeni przez jakąś kobiecą postać. W niepewnym świetle na zakręcie dojrzeć mogłem, że się postać ta chwilę zatrzymała wyżej u drzwi. Po chwili ujęła klamkę, weszła.

– Co to? – szepnęła przystanąwszy Marta. – Weszła do mego pokoju, nie znam jej.

Lecz ja poznałem. Była to ku memu zdziwieniu panna Dartle.

Zaledwem zaczął pokrótce tłumaczyć towarzysze mej, żem znał tę damę, gdy doszły nas spoza drzwi głosy – lecz słów nie można było pochwycić. Marta uchyliła ostrożnie, w mil-

czeniu, boczne drzwi i znaleźliśmy się w ciasnej, podobnej do szafy izdebce; przymknięte drzwiczki wiodły do pokoju, który nazwała swoim.

Tu zatrzymaliśmy się. Tchu nam brakowało, a Marta położyła mi szybko dłoń na ustach. Przez uchylone nieco drzwi dojrzałem pokój dość obszerny, łóżko, a na ścianach widoczki przedstawiające okręty i morskie wybrzeża. Ani panny Dartle, ani osoby, z którą rozmawiała, dojrzeć nie mogłem. Nie mogła też dojrzeć ich stojąca poza mną Marta.

Gdyśmy weszli, głosy ucichły i ciężkie zaległo milczenie. Marta, nie zdejmując mi z ust dłoni, drugą przyłożyła do ucha.

– Nie idzie mi wcale o to, czym ją zastała, czy nie – ozwała się wreszcie wyniośle panna Dartle. – Nie dla niej tu przyszedłem, a ciebie chciałem widzieć.

– Mnie? – spytał cichy, łagodny głos, który nappełnił mnie dreszczem, był to bowiem głos Emilki.

– Tak, ciebie – odparła ostro panna Dartle. – I cóż, nie płoniesz ze wstydu?

Głos ten ostry, niemiłosiernie słowa, przepojone nienawiścią i wzdargą, uplastyczyły mi ją, chociaż widzieć nie mogłem. Czulem pożerający płomień jej oczu, drżące i sine wargi, głęboko na pobladyłych chudych policzkach występującą szramę.

– Chciałem – mówiła – zobaczyć igraszkę chwilowej zachcianki, którą się James Steerforth prędko znudził, bezwstydnice, co mu się uwiesiła u szyi, stając się uragowiskiem motłochu w swym rodzinnym mieście, nadętą, wymuskaną kochankę podobnych jemu paniczów. Chciałem widzieć, jak to wyglądać może.

Coś zaszeleściło. Widocznie nieszczęsna, słowami tymi policzkowana dziewczyna rzuciła się ku drzwiom, uciekać chciała, lecz panna Dartle powstrzymała ją zapewne. Chwilę panowało milczenie.

Gdy się panna Dartle ponownie odezwała, głos jej syczał przez zaciśnięte zęby, tupiała nogą.

– Stać mi tu albo wszyskim tam na głos powiem, kim jesteś, po imieniu cię nazwę. Nie puszcze cię, chociażbym ci wszystkie wyrwać miała włosy.

Słowom tym odpowiedział jęk przyciszony i nowe zaległo milczenie. Nie wiedziałem, co przedsięwziąć. Chciałem skrócić tę wstrętą scenę, z drugiej znów strony czulem, że rzeczą pana Peggotty było zjawić się pomiędzy nimi. O, kiedyż, kiedy nadejdzie!

– I tak – zaśmiała się zjadliwie panna Dartle – mam ją wreszcie, tę nierządnice, widzę. Trzebaż być głupim, aby się dać wziąć na tę udaną skromność i niewinność, na tę zwieszoną głowę świętoszki!

– O! Na miłość boską – zawołała Emilka – oszczędzaj mnie, pani. Kiedy już znasz nieszczęsną mą historię, zlituj się, jeśli chcesz, by się nad tobą zlitowano.

– Nade mną? – sarknęła dumnie panna Dartle. – Jak śmiesz równać się ze mną, cóż może być między nami wspólnego?

– Obieśmy kobiety! – wybuchnęła łkaniem Emilka.

– Patrzcie ją – syknęła panna Dartle – szczyci się swą hańbą. Ależ ja gardzę tobą, pomiatam, brzydzę się. Kobieta! Powiedz raczej: zakała niewieściego rodu!

– O! Zasłużyłam na to – łkała Emilka – lecz jakże strasznie to brzmi! Dobra, kochana pani! Pomyśl, com przecierpiała, jak nisko upadłam! Marto! O, Marto! Wróć! Wróć prędzej, ratuj mnie!

Panna Dartle przysunęła krzesło, na którym usiadła, jak raz naprzeciw drzwi. Teraz mogłem ją widzieć; spoglądała w dół, może na wijącą się z bólu u nóg swych Emilkę. Światło padało na jej twarz, widziałem zacięte usta, a w oczach blask triumfu.

– Cyt! Słuchaj mnie – mówiła. – Schowaj dla innych całą tę komedię! Nie wzruszaj mnie ani łzy twe, ani uśmiechy na zawołanie, ladacznico ty jakaś!

– O, nie mów tak! Ulituj się, nie mów, bo skonam lub zmysły postradam! – wołała Emilka.

– Niewielkim to byłoby nieszczęściem, niedostateczną karą za twe zbrodnie – odparła nieubłagana kobieta. – Czy wiesz tylko, coś uczyniła, dom cały pogrążając w osamotnieniu i rodzinne zrywając stosunki?

– Dzień i noc o tym tylko myślałam —łkała Emilka – dzień i noc!

Widzę ją, gdyż właśnie dostrzegłem w chwili, gdy to mówiła – na klęczkach, bladą, z załamanyimi rękoma,, żaławionymi oczyma, podniesioną głową, którą opływały w nieładzie jasne jej włosy.

– We dnie i w nocy myślałam o tym i ciągle mam przed oczyma dom mój rodzinny taki, jakim go po raz ostatni widziałam... wieczorem... przed opuszczeniem... na zawsze! Domu mój! Stryju! Drogi, kochany stryju! Gdyby mógł on wiedzieć przynajmniej, co cierpiałam, z jaką boleścią myślałam o przywiązaniu, które tak srodze zawiodłam. O! Jeślibym wiedziała, że się gniewa, że mnie przeklina, lżej by mi może było, ale teraz żadnej, żadnej nie mam pociechy, wiedząc, jak mnie tam oni kochali, jak im rozdarłam serce...

Schylła się, chciała może pochwycić rąbek szaty tej, którą o litość błagała, lecz Róża Dartle nie miała tkliwego serca. Siedziała zaciskając usta, niewzruszona, dumna, wzgardliwa. Ręczyć mogłem, że musi wysilać całą swą wolę, by nie zdeptać leżącej u nóg jej dziewczyny. Widziałem to i wiedziałem... Ach! Czy już nigdy pan Peggotty nie nadejdzie?

– Co za bezczelność – syknęła opanowawszy swą wściekłość. – Co za bezczelność w tych nikczemnicach! Jej dom! Jej rodzina! Czy przypuszczasz, abym się choć przez chwilę nad tym mogła zastanawiać? Jej dom! Jej rodzina! Tam pieniądz wszelkie łzy i krzywdy łatwo zaciera. Byłaś częścią towaru tych handlarzy, na sprzedaż i kupienie, jak wszystko, co posiadają.

– Nie! O, nie! – zawołała Emilka. – O mnie możesz pani mówić, co ci się podoba, ale tamtych nie krzywdź, nie ubliżaj im, nie mniej oni od ciebie, pani, uczciwi i musisz ich uszanować, chociażbyś nade mną nie miała litości!

Panna Dartle cofnęła się, uchylając rąbek sukni, który zrozpaczone i błagające dziewczę chwycić usiłowało.

– Mówiłam – rzekła głucha na wołanie Emilki – o jego rodzinie, o domu, w którym ja mieszkam. Ha! – zaśmiała się mierzając okiem klęczącą. – Przedmiot to godny poróżnić matkę-damę z synem-dżentelmenem! Nie zdałabyś się nawet na kuchenną dziewczkę w domu, w który wniosłaś niesnaski, zgryzoty, poróżnienie, ty worku nadbrzeżnych śmieci, niecne narzędzie chwilowych zachcianek paniczów!

– Nie! Nie! – krzyknęła Emilka i załamała dłonie z rozpacz. – Gdy stanął na mej drodze, bodajbym w dniu tym skoła, cnotliwa byłam i niewinna, jak każda z nas, narzeczoną tak pocziwego człowieka, jak często i największej nie dostanie się w udziale pani. Mieszkając w jego domu, musisz przecie sama wiedzieć, jaką posiada on przewagę nad sercem biednego, słabego dziewczęcia! Nie! Nie mówię tego na mą obronę, lecz wiem i on sam wie dobrze, jakich sposobów, jakich zakłęb i świętych obietnic użył, by mnie uwieść. Wierzyłam, ufałam mu, bom go kochała.

Róża Dartle porwała się z miejsca, odskoczyła i zamierzyła się na Emilkę z taką wściekłością i nienawiścią, że się o mało nie znalazł pomiędzy nimi. Uderzenie nie dosięgło ofiary, ręka panny Dartle opadła. Stała drżąc od stóp do głowy, z takim wyrazem zemsty i nienawiści, z jakim obym się nie spotkał raz drugi.

– Kochałaś! Ty! Tyś kochała!?! – zawołała wyciągając przed siebie ręce i chwiejąc się na nogach.

Emilka uchylła się przed wymierzonym w nią uderzeniem, nie mogłem znów jej dojrzeć.

– Ona go kochała! Ona, i mnie to śmie mówić, bezczelna! Ależ nierządnicę tę zasiec by różgami! Czemuż nie mogę kazać siec tę dziewczkę, na śmierć zasiec...

O, gdyby to było w jej mocy, nie zawahałaby się pewno! Gdyby pręt jaki miała pod ręką!

Pomału wściekłość jej opadała, roześmiała się cicho, ostro, wyciągając rękę w stronę tej, którą uważała za zakalę ludzkości.

– Kochała! Ona! Ścierwo to! I śmie mi mówić, że dbał o nią, może kochał, co? Handlarze ci, nędznicy; samym żyją kłamstwem!

Szyderstwo jej gorsze było od wściekłości. Co do mnie przynajmniej, z dwojga złego wolałbym być ofiarą tej drugiej. Na chwilę krótką jednak popuściła wodze wściekłości i zamykając się znów w chłodnym, bezlitosnym, wzdurliwym szyderstwie, ciągnęła:

– Przyszłam tu, o źródło niepokalanej miłości, aby raz w życiu przecie zobaczyć, jak wyglądają tobie podobne. Widziałam. Ciekawość moja została zaspokojona. Chciałam cię też ostrzec, abyś co prędzej skryła się pod ten tam dach swój rodzinny, na łono rodziny, którą pieniądze łącznie zdołają pocieszyć. Inaczej gotowaś znów „uwierzyć, zaufać, pokochać”. Co? Czy nie tak? Sadziłam, żeś już szerniałym szychem, zszarganą, raz na zawsze precz odrzuconą marną igraszką, a tu tymczasem zastałam panienkę, skromniśkę, niewiniątko! Złoto pierwszej próby, serce przepełnione ufnością! Ha! Miłością! Pyszna rzecz, przepyszna! Jeszcze mam ci coś powiedzieć. Słuchaj! Słuchaj mnie, ty niepokalany aniele! Słuchaj i wiedz, że dotrzymam słowa.

Znów w niej wściekłość górę brała, umilkła tedy na chwilę, zaciskając usta i pięści, po chwili uprzednim suchym, ostrym głosem tak mówiła:

– Schowaj się pod rodzinnym swym dachem, czy gdzie ci się podoba, byle głęboko, daleko, na zawsze. Zejdź z oczu ludzkich w jak najcichszy kąt ziemi czy piekiel – mogiła najbezpieczniejszym, wierz mi, byłaby ci schronieniem. Dziwię się doprawdy, że to wierne, kochające serce dotąd najspokojniej bije i nie pękło z żalu? Co? Są przecież środki przyspieszające podobne rozwiązanie...

Emilka krzyknęła stłumionym głosem. Powstała, zasłuchana niby w czarowną jakąś melodię.

– Dziwne jest to zapewne z mej strony – ciągnęła Róża Dartle – lecz niepodobna mi oddychać powietrzem, którym ty oddychasz. Wydaje mi się ono zatrute, skalane, cuchnące. Pozbyć się ciebie muszę, bądź co bądź, i jeśli do jutra tu pozostaniesz, ogłoszę cię za to, czym jesteś. Słyszysz! W domu tym uczciwe mieszkają kobiety, żony, matki i nie zgodzą się przechowywać pośród siebie podobną zarazę. Gdzie byś się nie wyniosła, nie dam ci pozostać w Londynie, słyszysz, nie dam, chyba – ano, chyba w domu, co ci rodzinnym winien być domem, w roli, jaka ci się z prawa należy. Temu to się wcale nie myślę sprzeciwiać. Z pomocą tego samego dżentelmena, który, jak twierdzisz, ubiegał się o honor otrzymania twej ręki, potrafię pozbyć się ciebie.

O, długoż jeszcze, długo, znosić będę musiał te obelgi?... Czyż już nigdy, nigdy pan Peggotty nie nadejdzie?

– Och! – jęknęła Emilka, tak żałośnie, że zmiękłoby kamienne serce. Kamienne – ale nie Róża Dartle! – Och, cóż pocznę! – jęczała Emilka.

– Co poczniesz? – zaśmiała się panna Dartle – czyż nie pozostają ci wspomnienia tkliwości, miłości, szacunku Jamesa Steerfortha? Wszak chciał cię, słyszałam, wydać za własnego lokaja. Co? Czy nie tak? Możesz poślubić zacnego sługusa, któremu cię zostawił w spuściźnie. Albo też one, te wspomnienia, przeświadczenie o własnej niewinności, słuszne nasycenie się zdobytym w świecie i wśród ludzi powodzeniem i sławą, nie przeszkodzą ci zapewne uszczęśliwić „uczciwego” starającego się o twą rękę, którym się szczyciłaś dopiero. Poza tym zostaje ci już śmierć sama. Zrozpaczonemu nietrudno znaleźć ujście rozpacz. Na anielskich skrzydłach łatwo być musi w samo wzbić się niebo.

Na schodach rozległo się stapanie. Znałem chód ten ciężki, pewny. On to! Chwała Bogu!

Panna Dartle usunęła się spod drzwi, przez które ja patrzyłem, zabierając się do wyjścia.

– Pamiętaj tylko – dodała kładąc rękę na klamce – że dla wiadomych mi powodów zdecydowana jestem zniszczyć cię lub zedrzeć maskę z twej twarzy i wepchnąć tam, gdzie być po-

winnaś. Pamiętaj. Zniknij mi lepiej raz na zawsze z oczu, bo ostrzegam cię raz jeszcze, że spełnię, co mówiłam.

Kroki rozlegające się na schodach zbliżały się.

—Stryju!...

Straszny krzyk rozdarł piersi Emilki. Wyszedłem z ukrycia: pan Peggotty podtrzymywał zemdloną bratanicę. Patrzył na nią długo, potem nachylił się, pocałował i wyjmując z kieszeni chustkę twarz jej nią zasłonił.

– Paniczu – rzekł mi z cicha – Ojciec Niebieski wysłuchał modłów moich. Sen mój się sprawdził. Niechże mu będą dzięki i chwała, że sobie tylko wiadomymi drogami przywiódł mi z powrotem ukochane to dziecko.

Powiedziawszy to tuląc ją do siebie, zniósł ją z nakrytą twarzą, sztywną i nieprzytomną ze schodów.

ROZDZIAŁ LI

POCZĄTEK DŁUGIEJ PODRÓŻY

Nazajutrz wczesnym rankiem przechadzałem się po ogródku z ciotką – ciągle bowiem czuwając nad Dorą nie używała ona prawie ruchu – gdy mi oznajmiono przybycie pana Peggotty. Wchodził właśnie do ogródka z odkrytą głową, jak to zwykł był czynić w obecności mej ciotki, którą wielce szanował. Ciotka, nie mówiąc słowa, podała mu rękę, ściskając dłoń jego tak serdecznie, że chyba istotnie słowa byłyby zbyteczne. Pan Peggotty zrozumieć to musiał doskonale.

– Odchodzę, Trot – rzekła – kwiatek nasz już się musiał zbudzić.

—To może ja przeszkadzam pani tak wczesnym przyjściem – ozwał się pan Peggotty.

– Możesz mieć coś do powiedzenia Copperfieldowi, mój przyjacielu... – odparła ciotka – lepiej wam będzie beze mnie.

– Z przeproszeniem pani – odrzekł pan Peggotty – uważałbym za dowód łaski, jeśliby pani pozostać raczyła.

– Jeśli tak, to co innego – odpowiedziała ciotka i biorąc pod ramię pana Peggotty powiodła go do altanki w głąb ogrodu. Usiedliśmy z ciotką na ławeczce; pan Peggotty nie usiadł, oparł się tylko ręką o stół ogrodowy. Gdy stał tak milcząc i obracając w rękę kapelusz, nie mogłem powstrzymać się od zauważenia, jak wiele energii i siły woli było w jego twarzy okolonej siwymi, gęstymi włosami.

– Odprowadziłem wczoraj wieczorem drogie me dziecię – począł podnosząc na nas oczy – do mieszkania, w którym od tak dawna jej oczekiwałem. Przez kilka godzin była nieprzytomna, nie wiedziała, gdzie się znajduje, a gdy mnie poznała, rzuciła mi się do nóg i jak w modlitwie wszystko wyznała. Gdym usłyszał jej głos, co tam w domu brzmiał niegdyś tak wesoło, gdym ją ujrzał w pyle płaczącą niby u nóg Zbawiciela, serce mi się okropnie ścisnęło, pomimo całej mej radości.

Podniósł rękę do oczu, otarł rękawem wielkie łzy i tak ciągnął:

– Trwało to krótko. Odnalazłem ją i chciałem dowiedzieć się, jakimi drogami podobało się Opatrzności połączyć nas. Nie wiem doprawdy nawet, po co wspominałem o sobie i swych uczuciach. Mniejsza o mnie...

– Poczciwą masz duszę – rzekła ciotka – i pewnie znajdziesz swą nagrodę.

Pan Peggotty, na którego siwą głowę słońce poprzez gąszcz liści roniło złote prążki, skłonił się zdziwiony dobrym mniemaniem ciotki i tak prowadził dalej przerwana opowieść:

– Kiedy Emilka uciekła – mówił z bolesnym brwi ściągnięciem – z domu, w którym, jak to panicz wie, padalec ten, niech go...! trzymał jak uwięzioną, noc była ciemna. Szczęściem błyszczały gwiazdy. Była nieprzytomna i biegła wzdłuż morskiego wybrzeża, a sądząc, że dobieży tak aż do naszej łodzi, wołała biedaczka, abyśmy się odwrócili, bo wraca. Słyszała płacz swój i wołanie, jak gdyby to nie jej był głos, ale inny jakiś goniący ją, a uderzając się o skały i kamienie nie czuła nic, jak gdyby się sama zmieniła w skałę. Biegła tak, mając ogień w oczach i szum w uszach. Nagle, to jest, zdawało się jej, że nagle, rozświtało. Dzień był wilgotny i wietrzny, spostrzegła, że leży na kamienistym brzegu, a jakaś kobieta mówi do niej, pytając tamtejszym językiem, co się stało?

Znać było, że opowiadający widzi przed sobą to, co opowiada. W miarę jak mówił, rysowało się to wyraźnie w jego wyobraźni, mówił też bardziej obrazowo, niż to obecnie potrafię powtórzyć. Wówczas i mnie, słuchającemu, zdawało się – pamiętam! – że na własne oczy widział to wszystko, tak to opowiadał wiernie, szczegółowo, plastycznie.

– Gdy Emilka – mówił – przypatrzyła się lepiej spłakanymi swymi oczyma tej kobiecie, poznała w niej jedną z tych, z którymi zwykła była rozmawiać nad zatoką. Chociaż odbiegła daleko, знаła jednak całe wybrzeże, gdyż dalekie przedtem odbywała wycieczki. Kobieta ta nie miała jeszcze dzieci, bo od niedawna była zamężna, ale spodziewała się mieć niedługo. Modłę się do Najwyższego, aby to dziecię zostało jej pociechą, chlubą, szczęściem. Niech ją czci i kocha, będzie podporą jej starości, aniołem w tyra i w przyszłym życiu!

– Amen – dodała ciotka.

– Przedtem przyglądała się nieraz – mówił pan Peggotty – siadając na uboczu, Emilce, gdy ta rozmawiała z dziećmi. Nie śmiała się zbliżyć. Emilka zauważyła ją i zaczęła z nią rozmawiać, a że obie bardzo kochały dzieci, polubiły się wzajemnie. Odtąd zawsze dawała Emilce kwiaty. Oto teraz spytała, co zaszło, a gdy Emilka wszystko szczerze opowiedziała, zabrała ją... do swego domu.

Tu pan Peggotty zakrył ręką oczy. Dobroć nieznajomej kobiety wzruszała go więcej niż wszystko.

Nic. przerywaliśmy mu z ciotką ani opowiadania. ani milczenia.

– Mała to, ciasna była chatka – mówił – lecz znalazło się w niej miejsce dla Emilki. Mąż jej był na morzu. Skryła tedy Emilkę, zalecając tajemnicę najbliższym sąsiadom. Emilka tymczasem leżała w gorączce i – co najdziwniejsze i czego zrozumieć nie mogę – zapomniała od razu mowy tamtejszej, chociaż ją umiała. Zapomniała najzupełniej i tylko po swojemu mówić mogła. Pamięta, niby przez sen, jak leżała, mówiąc ciągle po angielsku, czego nikt zrozumieć nie mógł. Ciągle się jej zdawało, że tuż obok jest łódź nasza. Ciągle błagała otaczających, żeby posłali powiedzieć nam, że umiera, prosi przebaczenia i błaga, o jedno, jedno słówko. Ciągle się jej też zdawało, że ten, o którym wspominałem, już wiadomy paniczowi, zagląda przez okno, szuka jej, pochwyci... Czepiała się wówczas rąk i sukien dobrej tej kobiety, wołając, aby ją broniła, skryła! Ciągle też miała ogień w oczach i szum w uszach i straciła miarę czasu. Nie wiedziała, co wczoraj, co dzisiaj, co jutro, i wszystko, co było i będzie w jej życiu i czego nie było i nie będzie nigdy, wirowało około niej. Wszystko to było smutne, straszne, śmiała się jednak, śpiewała. Nie wiem już, jak długo to trwało, wreszcie przyszedł sen głęboki, długi, a potem leżała słaba, bezsilna jak dzieciątko małe...

Zatrzymał się, przerażony wywoływanymi obrazami. Po kilku chwilach milczenia tak mówił:

– Było to pogodne popołudnie, gdy się przebudziła. Takie spokojne i ciche, że słyhać było szmer odpływu morza. Zdawało się jej, że to niedziela i że jest w domu, i dziwiła się tylko, skąd się wzięła ta winna latorośl u okna. Wówczas nadeszła dobra ta kobieta i wówczas dopiero Emilka domyśliła się, że nasza łódź nie jest tam obok, ale hen, daleko. Przypomniała sobie, gdzie się znajduje... wszystko przypomniała! Z płaczem rzuciła się dobrej kobiecie na

łono, na którym pieści ona teraz swe dzieciątko, uśmiechając się do niego pięknymi swymi oczyma.

Każde wspomnienie dobrej tej kobiety rozrzewniało go do łez. Płakał błogosławiąc ją z głębi serca.

– Ulżyło to mojej Emilce – mówił opanowawszy wzruszenie, które sercem całym podzielałem i które wyciskało łzy z oczu ciotki. – Ulżyło to jej, zaczęła się poprawiać, lecz zapomniała zupełnie tamtejszej mowy i zmuszona była porozumiewać się na migi. Z każdym dniem się poprawiała, powoli, lecz widocznie, usiłując przy tym uczyć się nazw rzeczy, które się jej zdawały nowymi, nigdy przedtem nie słyszczanymi dźwiękami. Pewnego wieczoru siedząc w oknie, patrzyła na małą dziewczynkę bawiącą się na brzegu, która nagle wyciągnęła do niej rękę mówiąc to, co po naszymu byłoby: „Oto muszla, córko rybaka”. Przedtem nazywali ją, jak to tam jest we zwyczaju „piękną panią”, lecz Emilka nauczyła ich nazywać siebie „córka rybaka”. Teraz, gdy posłyszła dziewczynkę mówiącą: „Oto muszla, córko rybaka”, rozplakała się i nagle przypomniała sobie zapomnianą mowę.

– Gdy się wzmocniła – ciągnął po chwilowym milczeniu pan Peggotty – postanowiła opuścić dach dobrej kobiety, co ją przytuliła, i wrócić do Anglii. Mąż tej kobiety wrócił był do domu i we dwoje wyprawili ją małym kupieckim statkiem do Livorno, a stamtąd do Francji. Emilka miała trochę pieniędzy, ale o wiele mniej, niż potrzeba byłoby na opłacenie starań. Nic wziąć nie chcieli i, chociaż wiem, że są ubodzy, niech to, co zrobili dla niej, zapisane im zostanie tam, gdzie złodziej nie wtargnie i ogień nie pochłonie. To, co zrobili dla niej, paniczku, nie da się żadnym doczesnym opłacić skarbem!

– Emilka przybyła tedy do Francji i dostała się do jakiejś podróżującej damy, jako służąca. Wówczas – niech go Nieba nigdy na moje nie sprowadzą drogi! – zjawił się ten padalec. Gdy go ujrzała i chociaż on jej nie widział, na nowo ogarnął ją niepokój, uciekła. Wylądowała w Dover.

– Nie wiem, co się jej stało – ciągnął Peggotty – lecz chociaż przez całą drogę myślała o tym tylko, by dostać się do domu, skoro stanęła na swej ziemi, przeleżała się. Czego? Może sądziła, że jej nie przebaczymy i nie ulitujemy się nad nią, a może – żeśmy ze smutku pomarli. „Stryju – powiedziała – największym strachem napełniało mnie to, że się stała niegodną waszego przywiązania. Serce mi się krajało, ale nie śmiałam zbliżyć się do progu, który pragnęłam oblać łzami, pokryć pocałunkami i skonać na nim tak, abyście mnie z rana znaleźli już umarłą”.

– Poszła tedy – ciągnął łzy połykając – do Londynu, gdzie biedaczka nie była nigdy, samiusienka, bez grosza, młoda taka, ładna, poszła do Londynu! Na samym wstępie zaraz spotkała ją jakaś porządna, jak się jej zdawało, kobieta, która obiecała wynaleźć jej robotę, szycie, obiecała nocleg, wywiedzieć się o mnie... Niecna kobieta! Lecz gdy dziecię moje – zawołał z zapalem wdzięczności – znalazło się nad przepaścią, o której myśl sama krew mi w żyłach ścina, Marta dotrzymała danego nam słowa, uratowała ją!

I mnie z piersi wydarł się okrzyk radosny.

– Paniczku! – mówił pan Peggotty silnie ściskając mi dłonie – panicz mi pierwszy mówił o niej, postąpiła uczciwie, bardzo uczciwie, dziękuję paniczowi. Wiedziała, smutnym nauczona doświadczeniem, gdzie szukać Emilki i jak postąpić. Opatrzność Boska czuwała nad nią, niebogą! Marta blada i wystraszona zbudziła Emilkę z pierwszego głębokiego snu. „Wstań – mówiła – bo ci grozi większe od śmierci nieszczęście. Wstań i uciekajmy stąd”. Tamte, należące do tego domu, zatrzymać je chciały, ale Marta się nie dała. „Precz ode mnie – wołała – widzicie, że jestem marą, co ją wyrzywa z otwartej przepaści!” Opowiedziała Emilce, że mnie widziała, że jej przebaczył, że ją kocham, szukam jej. Naprędce odziała ją we własne suknie, słabą i drżącą wyniosła niemal na własnych rękach z tej jaskini, nie odpowiadając nikomu, jak gdyby głucha była na wołania i słowa, przeszła pomiędzy nimi, unosząc wyrwaną z nory zatracenia Emilkę.

– Pielęgnowała ją – ciągnął pan Peggotty – noc całą, a potem udała się szukać mnie i pani-cza, panie Davy, nie wspominając przed Emilka, dokąd idzie, boby się mogła skryć lub uciec, broń Boże. Jak się ta okrutna pani dowiedziała, gdzie jest Emilka, w głowę zachodzę! Może to ten padalec wyszedł, dowiedział się, co jest prawdopodobne, od rajfurki? Mniejsza z tym! Dość że mi Nieba wróciły moją Emilkę!

– Całą noc przesiedzieliśmy razem – mówił. – Sporo przeszło czasu, zanim ocuciłem ją, pozwoliłem wypłakać się, a potem tuląc do serca jej głowę, wysłuchałem wszystkiego. Siedząc tak, wiedzieliśmy dobrze, że zaufać sobie i nawzajem na siebie liczyć możemy.

Zamilkł. Stał z opartą o stół ręką, spokojny, pewien siebie.

– Było mi to niby promieniem jasnym – ozwała się wreszcie ciotka – gdym niegdyś powzięła zamiar zostać chrześną matką twej siostry, Trot, tej Betsey, co mnie zawiodła. Teraz czuję, że mało co zrobiłoby mi tak wielką przyjemność, jak trzymać do chrztu dziecko tej tam poczciwej kobiety we Włoszech.

Pan Peggotty skłonił tylko potakująco głową. Wszyscy pozostaliśmy w milczeniu, oddając się własnym myślom. Ciotka ocierała to nos, to oczy, uśmiechając się na przemian i mrucząc coś do siebie.

– Zdecydowałeś już coś na przyszłość, kochany przyjacielu? – spytałem pana Peggotty.

– Najzupełniej – odrzekł. – Mówiłem już o tym z Emilką. Świat szeroki i drogi nasze powinny być tam, za morzami.

– Chcą emigrować – objaśniłem ciotkę.

– Tak – potwierdził z uśmiechem pan Peggotty. – Nikt tam w Australii nie rzuci na moją niebogę kamieniem. Razem nowe rozpoczniemy życie.

Spytałem, czy naznaczył termin odjazdu.

– Byłem już – odrzekł – w porcie i rozpytywałem o odchodzące okręty. Możemy jechać za sześć, siedem tygodni. Obejrzałem ten statek.

– Odjedziecie sami? – spytałem.

– Hm! – odrzekł – siostra moja tak przywiązana jest do panicza... Zresztą, jak wiadomo paniczowi, zostanie tu ktoś, komu potrzebna będzie.

– Biedny Ham!

– Siostra moja – tłumaczył ciotce pan Peggotty – zajmuje się jego gospodarką. Przywiązał się do niej.

Czysto rozmawia z nią otwarcie o tym o czym nie wspomniałby przed nikim innym Biedak! Niepodobna pozbawiać go tej ostatniej pociechy.

– A pani Gummidge? – spytałem.

– Otóż to i kłopot z panią Gummidge – odrzekł – Dużo o tym myślałem. Między nami mówiąc, pani Gummidge, gdy tylko wspomni swego nieboszczyka. wnet wyrzeka, beczy, z przeproszeniem pani, tak czasem u nas płacz nazywają. Otóż ja, który znałem nieboszczyka i wiem, ile wart był, rozumiem to doskonale, ale inni, kto wie, czy rozumieją.

Zgodziliśmy się na to z ciotką.

– Otóż, jeśliby siostra moja mogła się z nią pogodzić, nie na zawsze, nie, na czas jakiś, zanim pani Gummidge znajdzie dla siebie cokolwiek dogodniejszego... Co do mnie, płacić jej będę regularnie, do końca życia, małą sumkę na skromne, lecz wygodne utrzymanie. Nie trzeba, aby została w opuszczeniu i nędzy, ponieważ morze dawno już pożarło poczciwego męża! Lepiej z tym tu jej będzie, niż tam pod obcym za morzami niebem.

Pomyślał o wszystkim i wszystkich, oprócz siebie.

– Emilka – mówił – zanim odjedziemy, będzie tu ze mną. Biedaczka potrzebuje spokoju i wypoczynku. Tymczasem przygotowuje potrzebną do podróży odzież, zajmie to ją i mam nadzieję, że się uspokoi będąc ze swym kochającym stryjem.

Ciotka moja potakiwała ku widocznemu zadowoleniu pana Peggotty.

– Jest jeszcze coś – mówił sięgając w zanadrze i wyjmując paczki, którym widział przedtem. – Oto wiadome paniczowi pieniądze: pięćdziesiąt funtów i jeszcze dziesięć. Chcę do tego dodać to, co wzięła stamtąd na drogę. Pytałem ją, ile miała, nie mówiąc, w jakim pytam celu. Trzeba to dodać. Mogłem się pomylić, niech panicz przeliczy. Podał mi rachunek. Wszystko się zgadzało.

– Dziękuję panu, panie Davy. Otóż pieniądze te, jeśli pan nic nie ma przeciw temu, włożę w kopertę, którą zaadresuję do niego samego, a wszystko razem w drugą, pod adresem jego matki. Napiszę do niej parę słów tylko, jakie to są pieniądze i że wyjeżdżam na zawsze i odebrać mi ich nie mogą.

Powiedziałem mu, że miał w tym najzupełniejszą słusność.

– Powiedziałem, że jeszcze jest jedno – mówił ze smętnym uśmiechem, składając paczkę pieniędzy i chowając ją na powrót do kieszeni – a tymczasem jest jeszcze drugie. Otóż sam nie wiedziałem, jak powiedzieć Hamowi o wszystkim, co zaszło. Napisałem do niego i oznajmiłem mu, że jutro sam przyjadę wszystko uporządkować i pożegnać się z nimi w Yarmouth.

– Chcesz pan może, abym ci towarzyszył? – spytałem uważając, że ma coś jeszcze na sercu.

– Jeśliby panicz był łaskaw – odrzekł – lżej im tam będzie widząc panicza.

Ponieważ Dora czuła się lepiej i chciała, abym jechał, kiedym to jej opowiedział, obiecałem panu Peggotty, że mu będę towarzyszyć. Jakoż nazajutrz rano siedzieliśmy w dyliżansie, przebywając raz jeszcze razem dobrze znaną drogę do Yarmouth.

Wieczorem przechodząc przez ulice – pan Peggotty, pomimo nalegań mych, niósł jak dawniej mą walizę – spojrzałem na drzwi sklepu „Omer i Joram”. Stary mój znajomy siedział z fajką. Chcąc pozostawić pana Peggotty samego podczas pierwszych chwil spotkania z siostrą i bratankiem, zatrzymałem się.

– Jakże się miewa pan Omer? – spytałem wchodząc do sklepu.

Rozwiązał ręką dym fajki, by mi się lepiej przyjrzeć. Poznawszy mnie, ucieszył się bardzo.

– Powstałbym na powitanie tak miłego i rzadkiego gościa – zawołał – lecz nogi mi już nie służą. Gdyby nie te nogi i brak oddechu, miałbym się wybornie.

Winszowałem mu humoru i dobrego wyglądu i wówczas dopiero zauważyłem, że siedzi w fotelu na kółkach.

– Wyborny wynalazek! – rzekł pochwyciwszy me spojrzenie. – Lekkie jak piórko i łatwo daje się kierować. Mała Mini, wnuczka moja, wie pan, córka Minnie, popycha go bez trudu i najprzyjemniejsze odbywamy przejażdżki! Do palenia fajki też bardzo dogodny to fotel.

Nie widziałem nikogo, kto by tak jak pan Omer umiał dobre we wszystkim wynajdywać strony. Sparaliżowany, nękany astmą, chwalił przyjemność palenia fajki w fotelu na kółkach.

– Upewniam pana – mówił – że nigdy nie miałem jeszcze tylu odwiedzających, co teraz. To ten, to ów wstąpi na pogawędkę. Aż dziwić się doprawdy trzeba! A w gazetach! Odkąd skazany jestem na to siedzące życie, dwa razy tyle co najmniej bywa ciekawych rzeczy do czytania. Czego się teraz człek nie naczyta! Oto, co mnie podtrzymuje! Gdyby to broń Boże ucierpiał wzrok mój lub słuch, co bym biedny począł! Nogi, to mniejsza! Nogi, pókim ich używał, skracały mi tylko oddech, oto i wszystko, a teraz skoro chcę wyjechać na miasto lub chociażby na wybrzeże, wołam sobie tylko Dicka – najmłodszego naszego czeladnika – i jadę najpardoniej, jak sam Lord-Mayor Londynu.

Dusił się prawie od śmiechu i z zadowolenia.

– Bóg z wami – mówił pykając z fajki – trzeba tylko umieć pogodzić zło i dobro, to najważniejsze w życiu. Joram doskonałe, wyborne robi interesy.

– Miło mi to słyszeć – rzekłem.

– Pewien tego byłem – odrzekł. – Joram i Minnie to para gołąbków! A nogi! Co tam nogi!

Ta wżgarda dla własnych i, o ile by się zdawać mogło, wielce użytecznych członków była godna podziwu.

– A ponieważ mówimy o czytaniu – ciągnął – mówmy i o pisaniu. Jakże pan, panie Copperfield, ślicznie i zajmująco pisze. Doczytuję do ostatniego słowa i ani razu nie zdrzemałem się nad pańskimi utworami.

Śmiałem się z tej oceny, w gruncie rzeczy dała mi ona wiele do myślenia.

– Zaręczam panu słowem honoru – mówił pan Omer – że gdy widzę na stole książkę: jeden, dwa, trzy tomy, czuję się dumnym na samą myśl, że mam zaszczyt znać od dawna – oj! od jak dawna – rodzinę autora. Pamięta pan przejażdżkę do Blunderstone? Nie większy był pan wtedy od tego oto malca.

Zmieniłem temat rozmowy wspominając Emilkę. Wiedziałem, że się nią interesował, że lubił ją; opowiedziałem mu o jej powrocie i spotkaniu, dzięki Marcie, ze stryjem. Słuchał mnie z zajęciem, a gdy skończył, zawołał;

– Cieszę się szczerze. Dawno nie słyszałem równie dobrych wieści! O to, to, to! Co teraz począć z tą nieszczęsną Martą?

– Dotknął pan właśnie – rzekłem – sprawy, o której rozmyślałem od wczoraj, ale o której nic jeszcze panu powiedzieć nie potrafię. Pan Peggotty nie nadmienił nic a nic; mnie też delikatność mówić o tym wzbraniała. Pewien jednak jestem, znając go, że nie zapomni o niej.

– Ponieważ się pan tym zajmują – mówił pan Omer – niechże i ja mam w tym udział. Niech mi pan oznajmi, co zostanie przedsięwzięte, a gotów będę służyć, czym mogę. Zawszem utrzymywałem, że to niezła dziewczyna, i na moje wyszło. Minnie, wiem to, rada będzie z tego. Kobiety bywają, widzi pan, pełne sprzeczności. Jej matka była kropla w kroplę taka sama. W gruncie rzeczy złote to serce, tak sobie dla zasady napada na Martę, a naprawdę to sama gotowa wspomóc ją i wesprzeć. Licz pan na mnie, gdy zajdzie potrzeba i coś tam postanowicie. Proszę tylko o słówko. Kiedy człowiek osiągnie metę, w której się koniec życia zbiega z początkiem, kiedy go – chociaż to rzecz wcale dogodna – wożą jak niemowlę w wózku, miło mu przyczynić się do czyjogoś szczęścia lub spokoju. I nie o sobie to tylko mówię – dodał. – Myślę, widzi pan, że wszyscy pomału zbliżamy się do kresu życia, bez względu na wiek starszy czy młodszy, ponieważ czas nie zatrzymuje się w biegu. Trzeba tedy korzystać z każdej nadarzającej się sposobności, a wtenczas nabierzemy prawa do zadowolenia ze wszystkiego, co nas spotyka. Otrząsnął popiół z fajki kładąc ją przy sobie.

– Pozostaje jeszcze – mówił pocierając ręce – ten narzeczony Emilki. Najpocziwszy w całym mieście chłopiec! Zachodzi tu do mnie -wieczorami, to na gawędkę, to znów żeby mi poczytać. Pocziwy chłopak Całe jego życie jest jednym pasmem pocziwości.

– Przybyłem właśnie, by widzieć się z nim – rzekłem.

– Doprawdy? – zawołał. – Kłaniaj się mu pan ode mnie. Minnie i Jorama nie ma w domu, są na wieczorynce. Żałować będą, że nie mieli zaszczytu widzieć pana! Minnie rzadko kiedy dom opuszcza – „dla ojca”, jak mówi. Dziś namówiłem ją grożąc, że jeśli zostanie, położę się przed zachodem słońca. Tak to Joram i ona poszli na wieczorynkę.

Śmiał się zadowolony; uściskałem mu dłoń życząc dobrej nocy.

– Chwilkę – zawołał. – Nie puszczę pana, nie pokazawszy mu mego słonia! Ho, ho! Nie widziałeś pan nic podobnego! Mini! Mini! – Po chwili do sklepu wbiegło ładne, świeże dziewczę o rozpuszczonych, falujących włosach.

– Oto mój słon – śmiał się pan Omer pieszcząc wnuczkę. – Dalej, duszko!

Dziewczę otwarło drzwi do przyległego, znanego mi niegdyś bawialnego pokoju – zmieniono go teraz na sypialny pokój pana Omera – po czym potrząsając włosami skryło się za poręczą fotela dziadka.

– Słonie bodą, gdy chcą coś podnieść – objaśnił śmiejąc się pan Omer. – No, słoniu mój! Raz, dwa, trzy!

Fotel obrócił się i nie zważając o nic potoczył do przyległego pokoju ku największemu zadowoleniu chorego. Oglądał się na mnie z prawdziwym triumfem.

Poważając się trochę po znanych mi ulicach, po czym skierowałem kroki ku mieszkaniu Hama, Peggotty zamieszkała z bratankiem, dom swój wraz z koniem i wózkiem odstępując spadkobiercom Barkisa. Ręczyłbym, że jest to ten sam powolny rumak.

W małej, czystej kuchence zastałem ich wszystkich, łącznie z panią Gummidge, przyprowadzoną z łodzi przez samego pana Peggotty, gdyż wątpię, czy kto inny zdołałby ją skłonić do opuszczenia stanowiska. Pan Peggotty opowiedział już im snadź wszystko, gdyż pani Gummidge i Peggotty ocierały fartuchami oczy, a Ham wyszedł był na dwór. Wrócił niebawem, ciesząc się mym przybyciem. Sądzę istotnie, że bytność moja dnia tego wśród nich wszystkim im była po sercu.

Siląc się na wesołość, rozmawialiśmy o szansach na wzbogacenie się, jakie ma pan Peggotty tam za morzami, o ciekawych opisach, jakimi będą przepełnione jego listy. Nie wspominaliśmy imienia Emilki, chociaż rozmowa nieraz dokoła niej krążyła. Ham zdawał się najpogodniejszy spośród nas.

Lecz Peggotty, odprowadzając mnie do małej izdebki, w której na półce spoczywała księga z krokodylami, powiedziała mi, że się rana jego serca nie zabiłiła. Spokój to był pozorny. Pracował nad siły, a czasem wieczorami wspominał przeszłość, życie w łodzi, mówił o Emilce, gdy była dzieckiem, nie wspominał o niej tylko nigdy jako o kobiecie.

Zdawało mi się jednak, że Ham chce pomówić ze mną na osobności. Postanowiłem wyjść nazajutrz na jego spotkanie, gdy wracać będzie z roboty. Postanowiwszy to, zasnąłem. Nocy tej, po raz pierwszy od dawna, świeca nie paliła się w oknie, pan Peggotty bujał się w swym hamaku w starej łodzi, a wiatry jak dawniej kołysały go do snu.

Cały dzień następny zajęty był porządkowaniem domostwa. Pakował i wysyłał do Londynu przedmioty,

które mu mogły być potrzebne, inne przeznaczał na sprzedaż, inne znów zostawiał pani Gummidge. Ta ostatnia pozostawała z nim dzień cały. Pod wieczór, pragnąc raz jeszcze zwiedzić te miejsca, udałem się tam, urządzając się tak jednak, by przedtem jeszcze spotkać Hama.

Wiedziałem, gdzie pracuje, i w tamtą udałem się stronę. Spotkaliśmy się na nadbrzeżnych piaskach i szliśmy razem. Nie myliłem się, miał mi istotnie coś do powiedzenia i zaledwieśmy uszli kilkadziesiąt kroków, zagadnął nie podnosząc oczu:

– Czy ją panicz widział?

– Chwilę – odrzekłem. – Zemdloną.

– A jak panicz myśli, czy ja mam ją widzieć? – spytał.

– Może za ciężką próbą byłoby to dla niej – odrzekłem.

– Właśnie tak myślałem: ciężką, za ciężką...!

– Lecz – ozwał się łagodnie – jeśli chcesz, abym jej co od ciebie powiedział lub napisał, jeśli mi co dla niej zlecisz, wierz mi, prośbę twą wiernie spełnię.

– Wiem to, paniczu! – odparł. – Istotnie chcę jej coś powiedzieć lub napisać.

– Słucham.

Szliśmy chwil kilka w milczeniu.

– To, że jej przebaczam – począł. – Nie, nie że ja przebaczam, lecz proszę, by mnie przebaczyła, żem się jej narzucił z uczuciami mymi. Sądzę, paniczu, że jeśli bym się jej nie narzucił, nie oświadczał, zachowałaby dla mnie siostrzane uczucia, ufałaby mi, zwierzyła się, uratowałbym ją wówczas może.

Ścisnąłem mu dłoń.

– Czy to jej tylko mam powiedzieć? – spytałem.

– Jeszcze coś – rzekł i zamilkł.

Duży kawał uszliśmy w milczeniu, a gdy zaczął mówić, głos jego był stłumiony. Mówił powoli, cicho, lecz wyraźnie, zatrzymywał się często.

– Kochałem ją, Kocham jej wspomnienie. Teraz szczęściem byłoby dla mnie zapomnieć o niej, lecz wiem, że tego nie potrafię. Ale pan, paniczku, będąc tak uczonym, znajdziesz może sposób, by wmówić w nią, że... że nie bardzo głęboka ta rana... Przejdzie i choć ją Kocham, żałuję; ale ona się tym nie powinna martwić ani też sobie wyrzucać. Niech jej paniczku powie wszystko, co może ulgę jej przynieść, tylko niech wie, że nigdy się już nie ożenię, nikt jej nigdy w sercu mym nie zastąpi. Niech jej paniczku to powie, a i to, że się modłę za nią codziennie.

Z prawdziwym współczuciem ścisnąłem męską jego dłoń, upewniając, że wypełnię to zlecenie.

– Dziękuję paniczku – rzekł. – Dziękuję, że paniczku chciał mnie widzieć, że towarzyszył staremu. Ciotka pojedzie jeszcze do Londynu i zobaczy się z nim przed wyjazdem, ale ja go już prawdopodobnie nie zobaczę nigdy. Pewny tego jestem. Nie mówimy o tym z sobą i niech zostanie tak, a nie inaczej, tak lepiej. Widząc go, gdy już będzie odpływał, powiedz mu, paniczku, jak przywiązany jestem do niego, był on więcej niż ojcem sierocie!

Przyrzekłem mu powtórzyć to panu Peggotty.

– Dziękuję, paniczku – mówił ściskając mi ręce. – Wiem, gdzie paniczku teraz idzie. Do widzenia.

Wskazał ręką łódź, gdzie by mu ciężko było wejść, i poszedł przed siebie. Patrząc za odchodzącym w księżycowym blasku, widziałem, jak się zwrócił twarzą do jasnej srebrnej smugi na morzu. Pomału znikł mi z oczu.

Drzwi łodzi były otwarte, a łódź pusta, wyjąwszy starą skrzynię, na której pani Gummidge siedziała z koszykiem w ręku i wzniesionym na pana Peggotty wzrokiem. Ten wsparty o komin zapatrzył się w gasnące główne.

Słyszając me kroki podniósł głowę i przemówił wesoło:

– Paniczku przyszedł pożegnać stare kąty. Opróżniłem je do szczętu.

– Istotnie, nie traciłeś pan czasu, – zauważyłem.

– Nie, nie traciliśmy czasu. Pracowaliśmy we dwoje, a pani Gummidge...

Mówiąc to, spoglądał na nią, lecz pani Gummidge pozostawała nieporuszona.

– Na tej to skrzyni – mówił, głos do szeptu zniżając, pan Peggotty – siadywaliście, paniczku, z Emilką. Wezmę ją z sobą, wyniosę stąd ostatnią. A to pański ciasny sypialny pokój. Pamiętasz, paniczku? Wieczór dziś smutny, jak przystało!

Istotnie, wiatr wył z cicha, lecz płacząco, wokół opuszczonego domostwa. Pusto w nim było... Nawet muszelkami wysadzone ramki lusterka znikły ze ściany. Przypomniało mi się własne moje dzieciństwo, pierwsza tu spędzona noc, zanim jeszcze ta wielka, straszna w dziecięcych mych losach nie zaszła zmiana;

Przypomniała mi się mała, rumiana, niebieskooka dziewczeczka, co oczarowała mnie wówczas. Przypomniał mi się Steerforth i zdjął mnie jakiś niepokój. Zdawało mi się, że jest w pobliżu, że go spotkam na pierwszym zakręcie ulicy.

– Nieprędko – z cicha mówił pan Peggotty – stara ta łódź nowych znajdzie mieszkańców. Mówią, że przynosi nieszczęście.

– Do kogóż należy? – spytałem. – Do pewnego majstra, cieśli. Oddam mu dziś jeszcze klucze.

Zajrzeliśmy do drugiej izdebki i wróciliśmy do pani Gummidge, siedzącej nieruchomo na skrzyni, z koszem w ręku. Pan Peggotty stawiając świecę na kominie, prosił ją, by wstała, gdyż chce skrzynię wynieść na dwór, zanim zgasi w domu światło.

– Danielu! – zawołała nagle, zrywając się z miejsca, upuszczając kosz i rzucając mu się na szyję. – Danielu, Kochany człowieku, ostatnie moje pożegnalne w tym domu słowa będą, że nie pozostanę tu bez was. O nie porzucaj mnie, Danielu! Nie opuszczaj!

Tak nagle zaskoczony, pan Peggotty spoglądał ze zdziwieniem to na mnie, to na panią Gummidge.

– Nie opuszczaj, Danielu! – wołała ta ostatnia —zabierz mnie z sobą i z Emilką! Służyć wam będę zawsze i wiernie! Jeśli są niewolnicy tam, gdzie się udajecie, zostaną waszą niewolnicą, lecz nie opuszczaj mnie, Danielu, nie pozostawiaj tu samotnej.

– Moja dobra kobieto! – perswadował pan Peggotty – nie wiesz, jak to daleko, jakie tam ciężkie życie.

– Wiem, wiem – twierdziła – i ostatnie me pod tym dachem słowa będą, że skonam na tym progu, jeśli mnie z sobą nie weźmiecie. Silna jestem, mogę kopać ziemię, pracować mogę, żyć byle czym. Zobaczysz, będę cierpliwa, nie posłyszysz słowa skargi lub utyskiwania. Nie, nie przyjmę od ciebie grosza, chociażbym zdechnąć miała z głodu. Chcę jechać tam z Emilką i tobą. Chociażby na koniec świata pojedę. Wiem, co to. Wiem, że myślisz, iż jestem ciężka i nudna, ale zobaczysz, jak się zmienię. Zobaczysz, jak się już zmieniłam. Nie na próżno siedziałam tu samotna, wyczekując was, myśląc o waszej niedoli. Paniczu, panie Davy, niech panicz za mną przemówi. Znam jego, znam Emilkę od dziecka, wiem, czego im potrzeba, sługą im zostaną, pracować będę na nich wszystkich i pocieszać ich. Danielu! Kochany Danielu! Weźcie mnie z sobą.

Mówiąc to, całowała mu rękę okazując wdzięczność i przywiązanie, na które stokroć zasłużył.

Wynieśliśmy skrzynie, zgasili światło, zamknęli drzwi na klucz i pozostawiliśmy łódź jak pustą, ciemną plamę na tle miesięcznej nocy. Nazajutrz wracaliśmy dyliżansem do Londynu... Pani Gummidge z koszykiem swym była z nami. Po raz pierwszy zapewne w życiu zdawała się zupełnie szczęśliwa.

ROZDZIAŁ LII WYBUCH

Na dobę przed terminem, oznaczonym w tak tajemniczy sposób przez pana Micawbera, ciotka radziła się mnie, co ma zrobić, gdyż nie chciała odstąpić Dory. Jakże Dora była lekka, coraz lżejsza; gdym ją wnosił i znosił ze schodów!

Wbrew tedy żądaniu pana Micawbera postanowiliśmy, że ciotka pozostanie w domu, zastąpi ją zaś pan Dick we własnej osobie. Tak było postanowione, gdy nagle Dora oświadczyła, że nie wybaczy nigdy swemu brzydkiemu chłopcu, jeśli ciotka pod jakim bądź pretekstem pozostanie w domu.

– Nie będę mówić z ciotką – mówiła potrząsając loczkami – przez cały dzień ani się odezwę, będę nieznośna, pozwolę Jipowi warczeć i szczekać, będę patrzeć na ciotkę jak na nieznośną starą babę.

– Ty kwiatku! – śmiała się ciotka – wiesz przecie, że się beze mnie obejść nie możesz.

– Owszem, mogę – mówiła Dora. – Ciocia mi na nic, na nic niepotrzebna. Czy ciocia potrafi biegać za mnie dzień cały na dół i z dołu na górę? Ciocia mi nigdy nie opowiada bajki o Doady, kiedy to przyszedł bosy, kurzem pokryty... Och! Biedne moje małe biedactwo! Ciocia mnie nigdy nie pieści, nie dogadza mi. – Tu Dora ucałowała ciotkę. – Nie, nie! Ja to tak tylko żartem mówię.

Niby ciotka mogła brać to na serio!

– Niech ciocia słucha – mówiła po chwili, znów grymasząc – ciocia musi być tam, musi pojechać. Nie dam cioci spokoju, aż ciocię wyprawię. Zobaczy ciocia, jak zatruję życie memu chłopcu, jeśli ten brzydka nie weźmie jej z sobą. Nieznośna będę i Jip będzie nieznośny. Czemu to – dodała odrzucając włosy i patrząc kolejno to na ciotkę, to na mnie – nie mielibyście pojechać, gdy potrzeba, i na tak długo, jak potrzeba? Czy to ja taka jestem chora?

– Co za myśl! – zawołała ciotka.

– Dziwaczysz – rzekłem całując Dorę.

– Wiem, że jestem dziwaczna – mówiła wodząc powoli wzrokiem i nadstawiając usta do pocałunku – toteż musicie pojechać, bo inaczej nie będę wam wierzyć i płakać będę.

Widziałem z twarzy ciotki, że mięknie, Dora też to zauważyła. Uśmiechnęła się.

– Gdy wrócicie, opowiecie mi, jak tam było. Toż nałamię sobie głowy, aby zrozumieć i spamiętać! Nie rozumiem wszystkich tych interesów, pojąć doprawdy nie mogę, a są w tym jakieś interesy, prawda? Jeśli trzeba będzie dodawać czy odejmować, to już nie moja rzecz.

Mój brzydal będzie marszczył czoło. Co? Czy tak, Doady? Jedźcie no, jedźcie. Nie będzie was tylko przez dzień jeden i Jip doskonale mnie upilnuje tu bez was, Doady wniesie mnie przed odjazdem na górę i nie zejde na dół, aż powrócicie. Dam wam list do tej brzydkiej Agnieszki, która mnie dotąd nie odwiedziła.

Zgodziliśmy się tedy, że pojedziemy oboje z ciotką i. że Dora jest małą despotką, że udaje tylko chorą, by ją więcej pieściono. Bawiło to ją nieskończenie i wieczorem we czworo, to jest ciotka, pan Dick, Traddles i ja wyjechaliśmy do Canterbury.

We wskazanym nam przez pana Micawbera hotelu, do któregośmy przybyli w nocy, zastałem list, pan Micawber pisał mi, że się na pewno zjawi nazajutrz o wpół do dziewiątej rano. Przeszliśmy potem przez napełnione wonią przeróżnego jada, nigdy nie przewietrzane korytarze do sypialnych naszych pokoi.

Wczesnym rankiem wybiegłem na miasto. Pocziwe stare ulice. Znów stałem w cieniu kościołów i kruzganków. Kawki i wrony jak dawniej obsiadały kościelne dachy, a wysokie wieże spoglądały na rozległy krajobraz, na łąny pól żyznych, na wód strumienie, spoglądały ciche, niewzruszone, obce biegowi czasu i zmianom, jakie on przynosi. Tylko głos dzwonów o zmianach tych nie mówi. Wybijał wiek ich sędziwy i młodociane mojej Dory lata; opiewał skon tych wielu, co nigdy nie doczekali się starości, zaledwie na świat Boży wyjrzeni, pokochali i znikli w przestworzach jak kręgi na wodzie.

Z rogu ulicy przypatrywałem się staremu domostwu prawnika, nie zbliżając się jednak, w strachu, by mnie nie poznano i bym nie zniweczył niechęcy planów pana Micawbera. Poranne słońce przeglądało się w szybach złocąc je, a jednocześnie otucha jakaś wstępowała mi w serce. Wyszedłem za miasto i dopiero po jakiejś godzinie wróciłem na główne ulice, które się tymczasem z nocnej swej ciszy otrząsnęły. Pomiędzy stojącymi na progach sklepów kupcami poznałem dawnego mojego wroga, rzeźnika. Na rękę trzymał drobne dziecię i zdawał się być najspokojniejszym pod słońcem obywatelem.

Zasiadając do śniadania wszyscyśmy byli niespokojni, a wskazówki zegara, posuwające się ku dziewiątej godzinie, niepokój nasz wzmagaly. Oprócz pana Dicka nikt z nas nie udawał nawet apetytu. Ciotka pierwsza wstała od stołu, przechadzając się tam i z powrotem po pokoju, Traddles, siedząc na kanapie, trzymał wprawdzie dziennik w rękę, lecz oczu od drzwi nie odrywał, co zaś do mnie, to wyglądałem przez okno zapowiedzianego gościa. Z uderzeniem wpół do dziewiątej zjawił się na rogu ulicy.

– Idzie – oznajmiłem – i nie w oficjalnym swym stroju.

Ciotka zawiązała wstążki od kapelusza i ściągnęła szal na piersiach, jak gdyby chciała być gotowa na wszystko. Traddles wziął się też do zapinania surduta, a pan Dick, zdumiony, a może i wystraszony tymi przygotowaniami, nałożył kapelusz na głowę. Zaledwie nałożył, już go musiał zdjąć na powitanie wchodzącego pana Micawbera.

– Panie i panowie! – ozwał się pan Micawber. – Witam państwa! Kochany panie, oceniam dobroć pańską.

Przy tych słowach uściskał dłoń pana Dicka.

– Czy jadłeś pan śniadanie? Może ponczyku? – spytał pan Dick przybyłego.

– Za nic w świecie – wołał Micawber, zatrzymując wyciągniętą do dzwonka rękę pana Dicka. – Za nic w świecie. Apetyt opuścił mnie od dawna, panie Dixon.

Nowe to nazwisko przypadło do smaku panu Dickowi, który ponownie uściskał dłoń nowego swego przyjaciela śmiejąc się dziecinnie.

– Dick – rzekła ciotka – baczość!

Pan Dick spoważniał i zarumienił się.

– A teraz – zwróciła się ciotka do pana Micawbera, nakładając rękawiczki – gotowiśmy pójść, chociażby na krater Wezuwiusza.

– Istotnie, pani – odrzekł pan Micawber – będziesz wkrótce świadkiem wybuchu. Panie Traddles! Pozwoli mi pan wyjaśnić obecnie, żeśmy się już z panem porozumiewali.

– Tak, istotnie – odrzekł Traddles odpowiadając na zdumione me spojrzenie. – Pan Micawber zasięgał rad moich w tej sprawie. Radziłem mu wedle mych przekonań.

– Albo myślę się bardzo – mówił pan Micawber – albo to, co mam wyjaśnić, nader doniosłe posiada znaczenie.

– Tak wnoszę – wtrącił Traddles.

– Przy podobnych warunkach – mówił pan Micawber – panie i panowie, zechcecie może poddać się chwilowo przewodnictwu tego, który chociaż niegodny, by go uważano za coś więcej niż zbłąkanego wśród ludzkości przechodnia, jest jednak bliźnim waszym, wykolejonym z przyrodzonych swych przeznaczeń, ofiarą nagromadzonych a zawiłych okoliczności!

– Ufamy panu, panie Micawber – rzekłem – i gotowiśmy we wszystkim zastosować się do pana.

– Ufność pańska, panie Copperfield, zawiedziona nie zostanie! Upraszam o pozwolenie ulotnienia się na pięć minut, po czym będę miał honor witać tu obecnych, a przybyłych dla odwiedzenia panny Agnieszki Wickfield, w kancelarii Wickfield i Heep, na której pozostają żoldzie.

Ciotka i ja spojrzeliśmy na Traddlesa, który się skłonił potakująco.

– Nic więcej na daną chwilę nie mam do powiedzenia – zawołał pan Micawber kłaniając się i znikając nam sprzed oczu blady, zmieniony i widocznie niespokojny.

Na pytające moje spojrzenia Traddles odpowiadał tylko uśmiechem, skłaniając najeżoną włosami głowę. Wyjąłem tedy zegarek z kieszeni licząc minuty. Ciotka poszła za mym przykładem. Po upływie pięciu minut Traddles podał jej ramię i w milczeniu udaliśmy się wszyscy do starego domu prawnika.

Na dole, w kancelarii, zastaliśmy pana Micawbera przy biurku. Pisał czy też udawał, że pisze. Linię miał zatkniętą za surdut, skąd wystawała jak dzida.

Zdawało mi się, że do mnie w danym razie należy pierwsze słowo; powitałem go tedy:

– Jak się pan miewa, panie Micawber?

– A! Pan Copperfield! – odrzekł z powagą. – Witam pana! Czym mogę panu służyć?

– Czy zastaliśmy w domu pannę Wickfield? – spytałem.

– Pan Wickfield – odrzekł – jest słaby i leży na reumatyczną gorączkę, lecz nie wątpię, że panna Wickfield uradowana będzie odwiedzinami najlepszych swych przyjaciół. Proszę państwa.

Wprowadził nas do stołowego pokoju, tak dobrze mi znanego i otwierając drzwi byłego gabinetu zaanonsował donośnie:

– Panna Trotwood, pan Dawid Copperfield, pan Tomasz Traddles i pan Dixon.

Nie widziałem był Uriaha od owego pamiętnego wieczoru u doktora Stronga, kiedym go wypoliczkował.

Odwiedziny nasze zdziwiły go wielce, nie bardziej wszelako, niż zdumiewały nas samych. Brwi nie ściągnął z tej już najlepszej przyczyny, że nie było co ściągać, zmarszczył się tylko tak, że mu się aż oczy gdzieś zapadły, a żywy ruch ręki podniesionej do brody zdradził pewien niepokój. Trwało to oka mgnienia. Po chwili lasił się pokornie i usłużnie.

– Ach! – wołał. – Co za niespodzianka widzieć tu na raz wszystkich najczcigodniejszych mych przyjaciół. Witam pana, panie Copperfield! Witam w dobrym zdrowiu i powodzeniu! Mam nadzieję, że pani Copperfield przychodzi do zdrowia? Zasmuciła nas wieść o jej chorobie, zasmuciła nieskończenie.

Wzdragalem się, gdy mi dłoń podawał, lecz cóż miałem począć.

– Panna Trotwood! – wykrzywił się w zjadliwym swym uśmiechu. – Wiele wody upłynęło od czasu, gdy mnie tu pani widywałeś jako aplikanta. Pamiętam, zwykłem być tam, przy bramie, pilnować pani konia! Cóż, nie zmieniłem się odtąd, upewniam panią, zem się wcale nie zmienił.

– A, tak – oschle odparła ciotka. – Pozostałeś pan tym, czym obiecywałeś być od młodości.

– Dzięki pani! O, dzięki za tak dobre o mnie mniemanie. Micawber! Oznajmij gości panie Agnieszce i matce mojej. Mateczka moja uszczęśliwiona będzie przybyciem tak miłych a niespodziewanych gości.

– Może przeszkadzamy panu? – spytał Traddles, którego wzrok spotkał się z unikającym naszych spojrzeń wzrokiem Uriaha.

– Bynajmniej, panie Traddles – upewniał Uriah zacierając zimne swe, wilgotne ręce. – Roboty tu bywa sporo. My, prawnicy, rzadko kiedy wypocząć możemy, zwłaszcza w obecnej chwili, przy chorobie pana Wickfielda. Poczytuję jednak sobie nie tylko za obowiązek, lecz za prawdziwą przyjemność zastąpić go i wyręczyć we wszystkim. Panowie się z sobą, panie Traddles, z bliska, o ile sędzę, nie znali? Ja sam, raz tylko, o ile sobie przypominam, miałem zaszczyt spotkać pana?

– Nie, nie znałem pana Wickfielda! – odrzekł Traddles. – Inaczej od dawna miałbym pana, panie Heep, na oku.

W tonie odpowiedzi było coś, co zapaliło w oku Uriaha złowrogi niepokój. Cały jednak sposób bycia Traddlesa nacechowany był taką naturalnością i swobodą humoru, że po chwilowym wzdraganiu się, odrzekł:

– Szkoda! Szkoda! Uwielbiałbyś pan, ręczę, tego człowieka, a słabostki jego zjednałyby mu chyba tylko pańskie współczucie. Jeśli kto jednak ma tu śpiewać pochwały mego współnika, to pierwszeństwo należy się obecnemu pomiędzy nami panu Copperfieldowi. Nieograniczoną bowiem żywi przyjaźń dla tej rodziny.

Wejście Agnieszki zwolniło mnie z obowiązku odpowiadania temu niegodziwcowi. Zdała mi się zmęczona czuwaniem, stroskana, mniej niż zwykle spokojna. Powitanie jej było jednak, jak zawsze, serdeczne i ciepłe.

Uriah, podpatrujący to powitanie, zrobił na mnie wrażenie szatana podpatrującego anioła. Jednocześnie Traddles zamienił z panem Micawberem znak porozumienia i Traddles nieznacznie wysunął się z pokoju. – Na co czekasz? – spytał Uriah Micawbera. Ten zaś, z ręką na zapuszczonej za surduta linii, stał wyprostowany u drzwi, patrzył wprost w twarz Uriaha, jak równy w równego, podczas gdy Uriah mierzył go okiem zwierznika.

– Możesz odejść – powtórzył, a widząc, że się podwładny nie rusza z miejsca, zniecierpliwiony dodał:

– Mówię ci przecie, że możesz odejść, słyszysz?

– Słyszę – odparł niewzruszony pan Micawber.

– Więc czemu tu stoisz?

– Bo... ano... bo mi się tak podoba! – wybuchnął pan Micawber.

Uriah pobladł, poczerwieniał, każdy mięsień drgał mu w twarzy.

– Głupcem jesteś i arogantem – syknął siląc się na uśmiech. – Wszyscy to wiedzą i boją się bardzo, że zmuszonym będę wydalić cię. Pomówimy o tym później.

– Jeśli jest łotr pod słońcem – krzyknął unosząc się pan Micawber – z którym za wiele już mówiłem, to najpewniej Heep!

Heep cofnął się, jakby w same ugodzony piersi. Mętym i wściekłym potoczył po nas wzrokiem.

– Oho! Zasadzka! – syknął. – Zebraliście się tu, by mnie podejść. Zmówiłeś się, Copperfieldzie, z moim aplikantem. Ale ostrożnie! Wiemy, co o sobie myśleć mamy. Wiadomo, że pomiędzy nami wielkich afektów nie ma i nie było. Jesteś, odkąd cię znam, nadętym mazgajem, zazdrościłeś mi mego wyniesienia się, lecz znajdę na ciebie broń, przeciwstawię się twym intrygom. Micawber! Mówiłem ci już, byś wyszedł.

– Panie Micawber – rzekłem – jegomość ten wygląda istotnie tak, jak gdyby był przyparty do muru. Postap pan z nim, jak na to zasłużył.

– O! Zacni, szlachetni – śmiał się z cicha Uriah ocierając grube krople potu, co mu wystąpiły na czoło. – Przekupywać mego podwładnego! Te szumowiny społeczne, tego wyrzutka, jakim zresztą byłeś i ty, Copperfieldzie, zanim cię jako żebraka i włóczęgę nie przygarnięto. Przekupywać go, by mnie oczernić jego oszczerstwami! Pięknie! Bardzo pięknie! I pani to, panno Trotwood, znosisz? Wstrzymaj go lub ja zatrzymam męża pani! Ha! Ha! Znam tę historię! Czego, prawnicy, nie wiemy! A pani, panno Wickfield, przez wzgląd na ojca nie powinna być się w to wszystko wdawać. Ojciec twój jest w moich rękach; zgubić go mogę jednym słówkiem. Aha! Widzicie, z kim macie do czynienia, widzicie! Pomyślcie o tym dobrze. Pomyśl, Micawber, że cię zdeptać mogę, a teraz opamiętaj się i oddal, póki czas!

– Gdzie matka!?! – zawołał i obejrawszy się spostrzegł, że nie ma Traddlesa. Sięgnął ręką do dzwonka. – Ha! Napadać kogoś we własnym jego domu!

– Oto i pani Heep! – rzekł Traddles wprowadzając do pokoju matkę godną swego syna. – Pozwoliłem sobie przedstawić się sam tej damie.

– Kimże jesteś, aby się przedstawiać – wrzasnęła Uriah – i co tu robisz?

– Jestem przyjacielem i pełnomocnikiem pana Wickfielda – odrzekł spokojnie, lecz stanowczo Traddles. – Oto pełnomocnictwo uprawnione i własną jego podpisaną dłońią. Działam w jego imieniu.

– Spoiliście starego osła – wołał Uriah blednąc – i wymogliście na nim ten podpis podstępem chyba!

– Tak, były tu podstępny niewątpliwie – odparł Traddles nie tracąc zimnej krwi – pan o tym najlepiej możesz wiedzieć. Odniesiemy się wreszcie w tej kwestii do obecnego tu pana Micawbera.

– Ury... – poczęła błagając pani Heep.

– Niech matka trzyma lepiej język za zębami – syknął czuły synalek – nigdy potem nie żałował ten, który milczał.

– Ależ, Ury...!

– Cicho! I zostawić mnie w spokoju. Dam sobie sam radę.

Chociaż wiadome mi było od dawna, ile jest fałszu w służalstwie jego, korzeniu się, łaszeniu, nie wyobrażałem sobie tak olbrzymiej hipokryzji, jak ta, z której obecnie został odarty. Nagle zrzucona maska opadła, skoro ją uznał za nieużyteczną, szczycił się swą nikczemnością; do muru przyparty, miał nadzieję wywinąć się nam i własnym swym obronić jadem. Zdumiewał mnie, chociaż go od tak dawna, tak dobrze znałem.

Nic już nie powiem o jego wyzywającym, na mnie zwróconym spojrzeniu. Wiedziałem zawsze, że mnie nienawidzi, i pamiętałem ślady mej ręki na jego policzku. Lecz gdy wzrok jego przeniósł się na Agnieszkę, pełen wściekłości zawiedzionych niecnych nadziei, wzdrygnąłem się na samo wspomnienie dni i lat przebytych z nim pod jednym dachem.

Pocierał ręką brodę, spoglądając na nas spode łba, krwią nabiegłymi oczyma. Zwrócił się znów do mnie, skowycząc zniewagi.

– Uważałeś, że ci wolno, Copperfieldzie, tobie, dumnemu i pysznemu, podłazić tu, przekupywać mi podwładnych. Masz to za rzecz godziwą! Tobie to uchodzi, lecz cóż byś powiedział, gdybym to ja był na twym miejscu? Mnie to uszłoby jednak. Nie jestem paniczem, nie jestem dżentelmenem, chociaż chwała Bogu nie poniewierałem się nigdy po ulicach i gościńcach, nie wycierałem kątów u żadnych Micawberów! Ale pan! Pan! I nie boisz się następstw swego przedsięwzięcia! Nie boisz się mej zemsty. Możesz we własne uwikłać się sieci. Dobrze tedy! Kiedy tak, to tak! Zobaczmy! Dobrze. Pytajmy Micawbera, niech mówi, zapłacono mu za to i doskonale snadź wyuczono lekcji.

– Widząc, że słowa jego i miotane obelgi na nikim nie wywierają wrażenia, usiadł na rogu stołu, wkładając ręce do kieszeni, a nogę zakładając na nogę.

Pan Micawber, którego uniesienie powstrzymałem ruchem ręki i który przez zaciśnięte zęby nie przestawał mruzczyć: „Łotr! Łotr!”, wyciągnął teraz z zanadrza linę, niby miecz obo-

sieczny, a z kieszeni dokumenty. Otworzywszy je, począł z największym zadowoleniem czytać, napawając się pięknnością stylu:

– Przezacna panno Trotwood i wy, panowie!...

– A niech go! – mruknęła ciotka. – Znów zabazgrał całą ryzę papieru!

Pan Micawber, nie zważając na tę przerwę, czytał dalej;

– ...Staję tu przed wami, panie i panowie, jako oskarżyciel największego łotra, jaki kiedykolwiek i gdziekolwiek istniał!

Pan Micawber, nie odrywając oczu od papieru, wskazał linią Heepa.

– Zamiarem moim – ciągnął – nie jest uniewinnienie samego siebie, nieszczęsnej od kołębki ofiary pieniężnych zobowiązań. Zawsze byłem igraszką okoliczności i wypadku. Nędza, Głód, Rozpacz i Szaleństwo, razem lub z osobna, były mi stałymi towarzyszami.

Zapał, z jakim pan Micawber opisywał siebie jako ofiarę wyżej wymienionych nieszczęść, równał się tylko patetyczności, z jaką deklamował swe arcydzieło. Od czasu do czasu kiwał głową w mimowolnym zachwycie nad szczególnie, w wyobrażeniu jego, udanym jakimś zwrotem.

– Pod naciskiem to Nędzy, Głodu, Rozpaczy, Szaleństwa wstąpiłem do kancelarii, biura firmy prowadzonej przez Wickfielda i Heepa, przez Heepa w rzeczy samej. Heep i Heep sam jest tu osią wszystkiego. Heep i Heep sam jest Falszerzem i Oszustem!

Uriah, sinoblady, poskoczył chcąc wyrwać papier z rąk czytającego, lecz pan Micawber zasłonił się zręcznie, odbijając napastnika trzymaną w prawej ręce linią. Dłoń Uriaha opadła, a uderzenie rozległo się po całym pokoju.

– Diabli by cię porwali – jęknął Uriah. – Dam ja tobie!

– Jeszcze krok jeden – krzyknął pan Micawber – a roztrzaskam ci głowę. Podejdz no! Podejdz!

Nigdy nie widziałem nic zabawniejszego, wówczas nawet już tak sądziłem, nad widok pana Micawbera, który wywijał w powietrzu linią, niby mieczem, siedząc w kącie, gdzieśmy go wepchnęli; wyłamał się stamtąd ustawicznie, wołając wyzywająco:

– Podejdz no! Podejdz!

Przeciwnik jego zaś, mrużąc coś i obwijając chustką zranioną rękę, usiadł znów ze zwieszoną głową, na rogu stołu.

Pan Micawber ochłonawszy czytał dalej:

– Honoraria przy wstąpieniu mym do kancelarii i w służbę Heepa nie zostały dokładnie określone. Wahały się pomiędzy dwudziestu i dwudziestu sześciu szylingami tygodniowo. Reszta zależęć miała od moich uzdolnień, czyli inaczej mówiąc od stopnia mej nikczemności, chciwości, nędzy i ogólnego moralnego, czyli raczej niemoralnego podobieństwa, jakie się okaże pomiędzy mną a Heepem. Mamże mówić, że wkrótce widziałem się zmuszony udać o pieniężny zasilek – dla podtrzymania żony i wzrastającej rodziny – do tegoż Heepa? Zobowiązania moje zostały prawnie, stosownie do prawodawstwa tej Krainy, odnotowane. W ten sposób wpadłem w sieć Heepa!

Podziwiać należało zadowolenie, z jakim pan Micawber smutne te opiewał dzieje. Kunszt stylu zasłaniał przebyte nędze. Tak czytał dalej:

– Rzeczony Heep obdarzał mnie swym zaufaniem o tyle, o ile potrzebne mu to było do strącenia z własnych bark odpowiedzialności za piekielne iście przedsięwzięcia. Wówczas to, Szekspirowskiego użyję tu wyrażenia, począłem „rozdwajać się, wahać, dręczyć”! Zauważyłem bowiem, że wymagano ode mnie fałszowania dokumentów i ustawicznego wyzyskiwania osobistości, którą pozwolę sobie oznaczyć literą W., i że pan W. wyzyskiwany był, oszukiwany w najhaniańbniejszy sposób przez łotra, któremu na imię Heep i który wszywał się w pokorę, przyjaźń i wdzięczność dla tym łacniejszego podejścia rzeczzonego dżentelmena W. Złe to było zapewne, lecz, jak to zauważył filozofujący Duńczyk z tą szerokością poglądów właściwą epoce królowej Elżbiety: „Najgorsze jest już poza nami”.

Pan Micawber tak był zachwycony cytatem, że powtórzył go parę razy, szukając niby miejsca, na którym przerwał był czytanie.

– Nie jest zamiarem moim – czytał dalej – wchodzić w wyszczególnianie wszelkich nadużyć, jakich osoba, którą pozwalam sobie oznaczać literą W., została ofiarą i w które, niestety, wplątany byłem i ja. Celem moim, po rozważeniu „być albo nie być”, wedle słów Szekspira, sprzedawać się lub nie sprzedawać, działać lub nie działać, zostało wykrycie głównych nadużyć i krzywd wyrządzonych rzeczonemu dżentelmanowi W. przez łotra Heepa. Pobudzany cichą tą wewnętrzną pobudką i inną jeszcze, zewnętrzną, którą pozwolę sobie określić jako pana W., przedsięwzięłem tajemnicze dochodzenie, ciągnące się przez całe okrągłe dwa-nastacie miesięcy.

Odczytywał to niby akt Parlamentu, wsłuchując się w brzmienie własnego głosu.

– Otóż – czytał rzucając spojrzenie na Uriaha i trzymając w pogotowiu na wszelki wypadek linię – oto, o co oskarżam Heepa!

Powstrzymaliśmy oddech. Uriah podniósł głowę.

– Po pierwsze – czytał pan Micawber – gdy władza rzeczzonego pana W. osłabła – nie moja to rzecz wdawać się w poszukiwania przyczyn onego osłabnięcia – gdy władza rzeczzonego pana W. osłabła, on, Heep, starał się umyślnie wikłać sprawy i interesy. Gdy rzeczony pan W. najmniej bywał ku temu usposobiony, on, Heep, podsuwał mu najważniejsze dokumenty, oszukując go co do ich treści.

– I tak: skłonił rzeczzonego pana W. do uppełnomocnienia Uriaha do podjęcia pewnego, wcale znacznego legatu i użycia takowego w celu pokrycia długów, w rzeczywistości nie istniejących. Całej tej sprawie nadał obrót taki, jak gdyby inicjatywa oszustwa wyszła od rzeczzonego pana W., a nadto, faktu tego używa obecnie jako broni przeciw temuż dżentelmanowi, grożąc mu tym ustawicznie.

– Będziesz musiał mi tego dowieść, Copperfieldzie – wtrącił głucho Uriah.

– Panie Traddles – zawołał pan Micawber – zechciej spytać tego oto Heepa, kto po nim zajął dawny jego lokal?

– Ten oto głupiec! – syknął Uriah.

– Spytaj go – ciągnął pan Micawber – czy mieszkając tam prowadził dziennik i notatnik? Uriah zmieszał się widocznie.

– Albo czy spalił ów notatnik – kończył pan Micawber. – A gdy odpowie „tak” i spyta, gdzie są jego szczątki, zwróć, się pan do mnie, Wilkinsa Micawbera, a udzielę panu potrzebnych wyjaśnień.

Pełne zapału słowa oskarżyciela wzruszyły matkę, która w przerażeniu zawołała:

– Ury! Ury! Ukorz się, moje dziecko, wejdź w układy.

– Cyt, matko – syknął czuły synalek – mieszasz się w nie swoje rzeczy! Przestraszona, sama nie wiesz, co pleciesz. „Ukorz się” – zaśmiał się, spoglądając na mnie z ukosa. – Niejednemu już ja, z całą pokorą, ukorzyłem.

Pan Micawber majestatycznie poprawił kołnierzyk, schował w nim brodę i dalej mówił:

– Po wtóre, o ile zauważyłem, doszedłem i sędzę, Heep kilkakrotnie...

– Ba, dowód! – zaśmiał się Uriah. – Cicho, matko!

– Będzie natychmiast dowód – krótko odparł pan Micawber. – Otóż po wtóre: Heep kilkakrotnie, o ile zauważyłem, doszedłem i przekonany jestem, fałszował na rachunkach, księgach i dokumentach podpis rzeczzonego dżentelmena, pana W., w pewnym zwłaszcza wypadku, na co mam niezbite dowody, a mianowicie...

I znów pan Micawber wpadł w zachwyt nad licznie zgromadzonymi zwrotami. Nie była to jemu tylko samemu właściwa słabostka. W ciągu życia zauważyłem ją niejednokrotnie, mógłbym nawet powiedzieć, że jest to słabostka ogółu ludzi. Przy udzielaniu na przykład legalnych zeznań, składaniu przysięgi, świadkowie szukają słów efektownych, których wymawianie zwykło ich napełniać niekłamanym zadowoleniem. Dawne kościelne klątwy po-

wstały na podobnej zasadzie. Forma ich imponowała słuchaczom. Mówimy o despotyzmie słów, lecz sami raczej rozgłaszamy takowe przy łada okazji.

Jak przy paradnych występach nie zwracamy uwagi na znaczenie naszych ubiorów, o ile zadowolnia nas ich liczba i blask – tak samo szyk słów miewa pierwszeństwo przed ich doniosłością. I tak jak niejeden pada ofiarą zbytnej wystawności – i zbyt liczni niewolnicy buntują się często przeciw swym panom – mógłbym wymienić naród pewien, któremu nadużycie słów niechybnych przyczynia kłopotów i większych jeszcze przyczyni.

Pan Micawber czytał oblizując się niemal:

– Rzeczony dżentelmen, jako że pan W. czuł się słaby, w przypuszczeniu, że zgon jego byłego pryncypała sprowadzić może pewne dla niego, Heepa, niepomyślne odkrycia i zachwiać jego w rodzinie tej przewagę, jak to się mnie, Wilkinsowi Micawber, zdaje – chyba, że córka owego dżentelmena, panna W., przez dziecięce przywiązanie lub skutkiem ubocznych jakich wpływów, sprzeciwi się stanowczo rozpatrywaniu pozostawionych przez ojca interesów – on, Heep, wystawił sobie okazały weksel na sumę pożyczoną niby panu W., dla rzekomego „osłonięcia jego honoru”. Sumy tej pan W. w rzeczy samej nigdy nie widział. Wszystko to ja, Wilkins Micawber, świadczę, jest fałszerstwem i oszustwem Heepa. Mam tu oto kilka prób fałszowania podpisu pana W. Tu i owdzie pozostały szczątki ze spalonego notatnika. Ale nie o te próby nam idzie, posiadam sam dokument.

Uriah podskoczył do biurka, otworzył, lecz nagle opamiętał się i zwrócił ku nam.

– Posiadam dokument – czytał pan Micawber spoglądając w zeszyt jak kaznodzieja głoszący kazanie. – Jest on w moim posiadaniu, to jest, właściwie mówiąc, złożony został w ręce tu obecnego pana Traddlesa.

– Tak jest – potwierdził Traddles.

– Ury! Ury! – zawołała matka – ukorź się, wejdź w układy. Panowie! Znam mego syna, wiem, że się ukorzy. Dajcie mu tylko czas do namysłu! Panie Copperfield, pan go zna przecie, wie, jak bywa pokorny.

Dziwne! Stara trzymała się metody, której się syn jej odrzekł.

– O, matko – ozwał się gryząc chustkę, którą obwiązał był uderzoną rękę – lepiej byś mi w łeb palnęła.

– Kocham cię, mój synu – płakała stara i pewien byłem, że mówiła prawdę; syn i matka dobrali się jak dwa ziarnka maku. – Kocham cię i nie mogę ścierpieć, abyś tak wyzywająco przemawiał do państwa. Narażasz się, moje dziecko! Tam na górze, gdy mi pan ten – wskazała Traddlesa – powiedział, że wszystko odkryte, upewniłam go w twym imieniu, że się ukorzysz, przeprosisz, ustąpisz. Widzicie, panowie, jak jestem pokorna, niechże moja przynajmniej wzruszy was pokora!

– Czy nie widzisz, matko – pieniać się ze złości mówił Uriah wskazując krogulczym swym palcem mnie jako sprawcę całej tej awantury – czy nie widzisz, jak tym wszystkim, co pleciesz, zadowolniasz Copperfielda?

– Powstrzymać się, synu, nie mogę – płakała stara – widząc, jak na oślepiec lecisz na niebezpieczeństwo, zadzierając nosa. Ukorź się, ukorź, na lepsze ci to wyjdzie.

Milczał gryząc chustkę do nosa, a potem zwracając się ku mnie:

– I co tam jeszcze nawymyślaliście? – zawył.

Pan Micawber pośpieszył nawiązać przerwany ciąg swych oskarżeń.

– Po trzecie i ostatnie. Jestem w możności przedstawić fałszowane przez Heepa księgi, jako też jego własnoręczne, na własny użytek robione notatki o istotnym stanie rzeczy. Dokumenty te stanowią nie dopalone ćwiartki notatnika, odnalezione przez żonę mą, panią Micawber, w popiołach komina, w zajęтым przez nas po Heepach mieszkaniu. Mam w ręku dowody tego, jak przez lat wiele Heep wykorzystywał zaufanie, słabość, rodzicielskie przywiązanie, usterki i słabości, a nawet cnoty nieszczęsnego pana W., dowiodę, że pan W. na wszelkie sposoby, moralnie i materialnie, był oszukiwany przez Heepa, którego celem było

wyniesienie się, wzbogacenie i owładnięcie panem i panną. Ostatnimi jeszcze czasy wymógł na rzeczonym dżentelmenie nie tylko zrzeczenie się udziału w spółce, lecz i symulowana sprzedaż wszelkich ruchomości pod dachem tym pozostających, w zamian za dożywocie, które on, Heep, wypłacać miał swemu byłemu zwierzchnikowi. Dowiodę, że sieci te, począwszy od kłamliwych, budzących popłoch sprawozdań, wprowadzania pana W. w wątpliwe spekulacje, gdy nie posiadał potrzebnych w ręku pieniędzy, dostarczanie mu takowych na lichwiarskie procenty z własnej swej, czyli jego raczej, kieszeni – są zawile i tak dalece opłatały pana W., że się w nich o mało nie udusił. Bankrut, jak sądził, z zaszarganą czią i opinią, ujrzał się w rękach potwora, który stając mu się niezbędnym, do tym pewniejszej popychał go zguby. Na wszystko to i na wiele więcej niezbite posiadam dowody.

Szepnąłem parę słów płaczącej na poły radośnie, na poły z żalu Agnieszce. Powstałiśmy z miejsc, sądząc, że pan Micawber dotarł do końca swego arcydzieła.

Lecz ten, wyrzekłszy „za pozwoleniem”, rozpoczął na nowo:

– Skończyłem. Pozostaje mi jeszcze udowodnić powyższe oskarżenia, po czym z nieszczęsną mą rodziną zniknąć z widnokregu, gdzie jestem zakałą. Szybko to spełnimy. Pierwsze umrze z wycieńczenia niemowlę nasze, najślabszy członek rodziny, po czym, naturalnym biegiem rzeczy, przyjdzie kolej na bliźnięta. Niechże i tak będzie! Co do mnie, pobyt w Canterbury podkopał mnie, a procesy i więzienie za długi dokonają reszty. Sądzę, że trudy i niebezpieczeństwa dochodzenia, których małą tylko częścią przedstawiłem powyżej, poszukiwania czynione pod naciskiem grozy i piętężnych kłopotów, prowadzone od wschodu do zachodu słońca, pod bacznym okiem tego, którego zbyt czynnym byłoby nazwać wcielonym szatanem, wszystko to razem wzięte, wraz z uwzględnieniem ojcowskich mych uczuć i chronicznego ubóstwa, będzie niby krople odżywczej rosy na przedwczesnej mej mogile. Więcej nie żądam! Niechże o mnie, jak o szlachetnym marynarzu bohaterze, z którym pozwolę sobie w danym razie współzawodniczyć, powiedziane będzie, że skonał: za Ojczyznę, Rodzinę i Piękno. Pozostają etc. Wilkins Micawber.

Pan Micawber, wzruszony, lecz dumny, z zadowoleniem złożył długi manuskrypt, ofiarując go z głębokim ukłonem mej ciotce.

W pokoju, w którym znajdowaliśmy się, stała znana mi z dawien dawna żelazna szafa. Klucz z niej nie był wyjęty. Domysł snadź jakiś mignął w myśli Uriaha, bo poskoczył ku szafie, otworzył. Była pusta.

– Gdzie księgi?! – zawołał mieniać się straszliwie na twarzy. – Skradziono mi je!

– Moje to dzieło. Dostałem dziś rano jak zwykle, wcześniej tylko nieco, klucz i wybrałem, co mi było potrzeba – rzekł pan Micawber.

– Bądź pan spokojny – upewnił Uriaha Traddles – księgi i papiery znajdują się w moim posiadaniu, pilną o nich będę miał pieczę.

– Przechowujesz rzeczy kradzione! – zawołał Uriah.

– Dozwolone to w pewnych razach.

Tu, ku największemu memu zdziwieniu, zachowująca się dotąd wzorowo spokojnie ciotka poskoczyła do Uriaha porywając go za kołnierz.

– A wiesz, czego ja chcę, niegodziwcze? – zawołała.

– Kaftana bezpieczeństwa – odparł.

– Nie, mego dobra, funduszu. Agnieszko, duszko, milczałam, dopóki sądziłam, że jest to dziełem twego ojca. Nie pisałam słówka samemu nawet Davy, wmawiałam, że straciła na nieudanej spekulacji, ale teraz, kiedy wiem, komu to zawdzięczam, muszę się policzyć z tym niegodziwcem! Trot, pomożesz mi odebrać od niego, co się nam należy.

Czy się ciotce zdawało, że Heep nosi jej fundusz za kołnierzem, nie wiem, lecz to wiem, że się energicznie zawijała koło jego gardła. Musiałem się wmieszać upewniając ciotkę, że prawnie odbierzemy, co do nas należy. Uspokoila się i usiadła na uprzednim miejscu, jak gdyby nic nigdy nie zaszło.

Przez cały ten czas pani Heep wołała na syna, aby się ukorzył, i czepiała się naszych kolan, błagając i obiecując niestworzone rzeczy. Wreszcie syn posadził ją gwałtem na krześle i stając przed nią i przytrzymując jej ramię spytał mnie z nienawistnym spojrzeniem :

– Cóż teraz zamierzacie począć?

– Natychmiast ci to powiem – odrzekł mu Traddles.

– Czy to Copperfield nie ma języka? – mruknął Uriah. – Wiele bym dał temu, kto by mnie upewnił, że mu go wyrwano.

– Uriah się ukorzy! – wołała stara. – Nie zwracajcie państwo uwagi na jego słowa.

– Oto, co zamierzamy – przerwał Traddles. – Przede wszystkim i natychmiast oddasz nam akta.

– Przypuśćmy, że nie oddam.

– Po co to przypuszczenie? Oddasz, musisz oddać. Przyznać muszę, że po raz pierwszy uderzyła mnie jasność, rozsądek, zimna krew, praktyczność postępowania Traddlesa.

– Po wtóre – mówił – musisz być przygotowany na zwrócenie wszystkiego, coś nieprawnie zagarnął, wszystkiego, do ostatniego pensa. Po trzecie, księgi, akta, dokumenty, waluty – wszystko to w naszych pozostanie rękach.

– Ależ – rzekł Uriah – dajcie mi przynajmniej czas do namysłu.

– Zapewne, lecz papiery natychmiast zostaną nam wręczone i, krótko mówiąc, prosić pana będziemy o nieopuszczanie własnego pokoju i niewidzenie się z nikim.

– Nie chcę – syknął Uriah.

– W takim razie jest krata więzienna i chociaż prawo nie tak pośpiesznie wymierzy nam sprawiedliwość, ciebie zasłużona nie ominie kara. Wiesz to sam i rozumiesz doskonale. Copperfieldzie, pójdź, proszę, na Guildhall i przywołaj paru policjantów.

Tu pani Heep zaczęła na nowo szlochać, rzucając się do nóg Agnieszce i błagając, by się wstawiła za jej synem. Wszystko to prawdą było, przyznawała, lecz Uriah się ukorzy.

Co zaś Uriah przedsięwzięłby, jeśliby mu stało odwagi, przewidzieć trudno, tak jak przewidzieć trudno, co przedsięwzięłby kundel obdarzony lwią siłą i nieśmiałością. Tchorzem był do szpiku kości, cała jego nikczemność na wierzch wyszła.

– Stój! – zawołał na mnie, ocierając zimny pot z czoła. – Matko, nie ma rady, oddaj im dokument. Poszukaj.

– Może pan zechce pomóc – zwrócił się Traddles do pana Dicka.

Dumny z danego sobie zlecenia, pan Dick towarzyszył pani Heep do jej pokoju jak wierny pies pasterski. Niewiele jednak tym razem musiał mieć kłopotu z powierzoną swą strażą owieczką. Pani Heep przyniosła nie tylko żądane papiery, lecz całą skrzynkę, w której były zamknięte, gdzieśmy znaleźli wiele innych, w przyszłości nader nam użytecznych dokumentów.

– Dobrze – rzekł Traddles przejrzawszy je starannie. – A teraz namyśl się, panie Heep. Powtarzam panu, nie ma innego wyjścia, a i czasu do stracenia nie mamy.

Uriah nie podnosząc oczu posunął się ku drzwiom, tu stanął i rzekł:

– Nienawidzę cię, zawszem cię nienawidził, Copperfieldzie! Powstałeś z niczego i zawsześ był przeciw mnie.

– Ja ci to już raz mówiłem – odrzekłem – sędzę, żeś ty to był przeciw światu całemu. Zastanów się na przyszłość, gdyż chciwość i przebiegłość zawsze się w końcu przeciw samym sobie obróca. Pewnik to taki jak śmierć.

– Albo taki jak te, których uczono w szkole – odmruknął Heep. – Tej właśnie, gdzie mnie ćwiczone w pokorze: od dziewiątej do jedenastej słyszałem, że praca jest przekleństwem, a od jedenastej do pierwszej, że jest radością, szczęściem i tak dalej. Twoje kazanie podobne jest do tamtych. Na nic mi się pokora nie zdała, chociaż bez niej nie ujarzmiłbym mego współnika. A ty, Micawber, mój junaku, posłyszysz ty jeszcze o mnie.

Pan Micawber stał ciągle w obronnej pozycji i dopiero gdy Uriah zniknął za drzwiami, zwrócił się do mnie z prośbą, abym wraz z całym towarzystwem zechciał być świadkiem jego pogodzenia się z rodziną.

– Gdyż stopniały lody – mówił – wznoszące się pomiędzy nami, to jest między panią Micawber i mną. Odtąd dzieci moje i autor ich istnienia mogą się połączyć w zupełnej jedności.

Ponieważ wszyscyśmy zaciągnęli względem niego dług wdzięczności za znakomitą, oddaną nam dopiero co usługę, zgodziliśmy się niezwłocznie na jego wezwanie. Choroba ojca przywoływała jednak Agnieszkę do łóżka chorego, a Traddles musiał się upewnić co do osoby swego więźnia, tak że tylko ciotka, pan Dick i ja pójść mogliśmy z panem Micawberem. Żegnając łube dziewczę, któremu tyle zawdzięczałem, i myśląc, od jakiej obroniona została niedoli, błogosławiłem niedole własnego mego dzieciństwa. Bez nich nie byłbym zapewne poznał pana Micawbera.

Mieszkał niedaleko, że zaś wchodziło się wprost z ulicy do mieszkania, gdy pan Micawber popchnął gwałtownie drzwi, znaleźliśmy się na łonie jego rodziny.

– Emmo! Żono moja! – zawołał rzucając się w objęcia małżonki.

Pani Micawber krzyknęła padając w objęcia małżonka; panna Micawber niańcząca owego nie znanego mi przybysza, o którym opiewał ostatni list pani Micawber, podskoczyła, przybysz zakwilił, bliźnięta objawiły swą radość pewnymi niezbyt przyzwoitymi, lecz najzupełniej niewinnymi przypadłościami, a pan Micawber, rozgoryczony widąc dawnym jakimś rozczarowaniem czy doświadczeniem, rozbeczał się na dobre.

– Emmo! – mówił pan Micawber – chmury się rozdarły. Odtąd nic już nie zachwieje wzajemnego naszego zaufania. Pozdrawiam cię, uczciwe ubóstwo! – wołał ze łzami rozrzewnienia. – Pozdrawiam cię, nędzo, głodzie! Pozdrawiam was, łachmany, burze, żebractwo! Niczym jesteście w porównaniu do zgody i rodzinnego wzajemnego zaufania.

Wołając tak posadził żonę na krzesło i z kolei wszystkie swe uściskał dzieci, którym pozdrowienia ojca zbyt pomyślnej nie wróżyły przyszłości. Obiecał im, że wkrótce śpiewać będą chórem na ulicach i placach miasta.

Lecz pani Micawber ze zbytku wzruszenia zemdłała, więc przed utworzeniem chóru wypadało pomyśleć o przywołaniu jej do życia. Zajął się tym ciotka moja do spółki z panem Micawberem, po czym nastąpiła prezentacja. Teraz dopiero pani Micawber dostrzegła mnie i poznała.

– Niech pan wybaczy, panie Copperfieldzie – mówiła podając mi rękę – lecz słaba jeszcze jestem, a to wyjaśnienie ostatniego nieporozumienia pomiędzy mną a mężem zaskoczyło mnie tak nagle.

– Czy to cała rodzina pani? – uprzejmie pytała ciotka.

– Jak na teraz, cała – odrzekła.

– A ten najstarszy chłopak, na co się kieruje?

– Przybywając tu – głos zabrał ojciec – marzyłem dlań o stanie duchownym, to jest chciałem poświęcić go katedralnym chórom. Niestety, nie było wolnego miejsca dla tenora i syn mój zamiast w świątyni poszedł śpiewać w ogródkach i oberżach.

– Zamiary jego są najlepsze – wtrąciła pani Micawber.

– Ośmielę się tak wnosić, duszko, zamiary jego są najlepsze, tylko w czyn ich nie wprowadza.

Rozgoryczenie pana Micawbera wzięło górę nad łzami i nie bez złości spytał, co miał począć. Urodzić się cieślą, malarzem kiczów, ptakiem? Pójść na przyległą ulicę i sklep otworzyć czy iść do sądu i ogłosić się prawnikiem? A może szturmem zdobyć operę? Co miał począć, gdy go niczego nie wyuczono?

Ciotka moja po chwili zastanowienia przemówiła:

– Dziwię się, panie Micawber, że panu nigdy na myśl nie przyszła emigracja.

– Pani – odrzekł zagadniony – marzeniem to było mej młodości, dążeniem dojrzałego wieku.

Pewien byłem, pomimo tych zapewnień, że mu się myśl ta po raz pierwszy nasuwała.

– Sza! – rzekła spoglądając ku mnie ciotka – byłoby to najlepszym wyjściem dla pana i pańskiej rodziny.

– A kapitał? Kapitał? – pytał ponuro pan Micawber.

– W tym rzecz, droga moja pani – wtrąciła jego żona.

– Kapitał! – zawołała ciotka. – Oddałeś nam pan usługę, olbrzymią usługę! Po prostu, jak gdyby mienie moje z ognia wyrwane zostało. Zrobimy coś dla pana.

– Jałmużny – odparł pan Micawber – przyjąć nie mogę. Nie zgadzają się z tym me zasady, lecz jeśli na słowo moje mogę zaciągnąć pożyczkę, tak, powiedzmy, na pięć procent rocznie, z przedłużeniem terminu, dopóki coś nowego nie zajdzie...

– Zapewne! – przerwała mu ciotka. – Na jakich pan zechcesz warunkach. Pomyślcie o tym, państwo! Zastanówcie się dobrze. Pewni przyjaciele Dawida wybierają się właśnie do Australii, może będziecie razem z nimi odpłynęli? Bylibyście sobie wzajemną pomocą. Zastanówcie się nad tym, zważcie dobrze.

– Jedno tylko pozwolę sobie zadać pytanie – ozwała się pani Micawber. – Pytanie dotyczące klimatu.

– Najpiękniejszy pod słońcem.

– Właśnie, i to jest gruntem, z którego następne wyłaniają się pytania. Czy w stronach tamtych okoliczności będą sprzyjały rozwojowi przyrodzonych i nabytych zdolności mego męża? Czy przedstawiają się dlań szansę zostania, jak na początek, chociażby gubernatorem którejś z wysp Oceanu Spokojnego? Czy będzie tam miał sposobność rozwinięcia przyrodzonych swych i nabytych zdolności?

– Lepszej chyba nie ma – odparła ciotka – dla uczciwego i pracowitego człowieka.

– Właśnie – mówiła z praktyczną swą dokładnością pani Micawber – właśnie, dla uczciwego i pracowitego człowieka! Ośmieliłabym się dodać: i dla przedsiębiorczego. Tak, właśnie! Sądzę, że istotnie Australia byłaby odpowiednim polem dla męża mego.

– Ja też, droga pani – twierdził pan Micawber – najmocniejsze żywię przekonanie, że przy obecnych okolicznościach, jest to najodpowiedniejsze dla mnie i mej rodziny pole. Spotkać się tam możemy jeszcze z wielkim losem! Przestrzeń nie zraża mnie, a o wdzięczności mej za łaskawą ofertę pani zbytecznie byłoby mówić.

Mamże opisywać, z jakim zapałem pogrążył się w otwierających się nadziejach na przyszłość lub z jaką znajomością rzeczy i praktyczną dokładnością pani Micawber zaczęła dyskutować nad obyczajami mieszkańców wysp Oceanu Spokojnego. Za każdym razem, gdy mi się przypomniała ulice Canterbury w dzień targowy, widzę pana Micawbera idącego z nami, przejętego nowym tym projektem i oceniającego byki i cielęta okiem doświadczonego farmera.

ROZDZIAŁ LIII NOWY RZUT OKA W PRZESZŁOŚĆ

Znów się muszę zatrzymać. O, moja ty dziecinna żono. W tłumie, przesuającym się w pamięci mojej, jest postać cicha i wdzięczna, co w dziecięcym swym uroku i niewinnej miłości woła mnie: „Zatrzymaj się, obróć wzrok na kwiat zerwany i przedwcześnie zwiędły!”

Zatrzymuję się. Wszystko zresztą inne znika mi przed oczu, ginie we mgle wspomnień, wszystko, oprócz Dory i małego naszego domku. Nie wiem już, jak długo chorowała. Tak wiele myślałem o tym, że stracił miarę czasu. Może to i nie trwało zbyt wiele tygodni i miesięcy, lecz mi się ten okres czasu zdaje bardzo długi i ciężki.

Przestali mnie już pocieszać zwykłą obietnicą: „Trzeba jeszcze dni kilka poczekać”. W głębi mej duszy zjawiała się wątpliwość, czy nadejdzie ów upragniony dzień, w którym znów ujrzę mą żonę biegającą po domu z Jipem.

I Jip postarzał się nagle, strasznie postarzał. Może mu zabrakło tych zabaw ze swą panią, co podtrzymały jego młodość. Osowiał, ocieżał, wzrok tracił, osłabł i nie czekał już na ciotkę, tylko się tulił do niej, siedzącej u wezglowia Dory, i lizał jej ręce.

Dora leżała ciągle uśmiechnięta, nie okazując najmniejszego zniecierpliwienia, nie skarżąc się nigdy. Mawiała, żeśmy dobrzy dla niej; że jej kochany, brzydki chłopiec zamecza się czuwając nad nią, dogadzając jej; że ciotka nie sypia, zawsze czuwa, czynna, dobra. Czasem odwiedzały ją obie do ptaszków podobne staruszki, ciotki jej. Wówczas przypominaliśmy sobie zaślubiny nasze i minione dni.

Dziwne bywają chwile spokoju, niby zawieszenia, w życiu, co ucieka. Przypominam sobie długie godziny spędzone w cichym, mrocznym pokoju, błękitne oczy mej dziecinnej żony, wlepione we mnie, drobne jej paluszki z mymi splecione palcami. Wiele, wiele podobnych godzin mógłbym policzyć, lecz wśród wszystkich trzy chwile najżywiej mi stoją w pamięci.

Było to z rana. Dora, uczesana dłońmi ciotki, rozpuściła włosy na poduszki, każąc mi podziwiać ich połysk, długość i barwę.

– Nie, nie pysznię się już nimi – mówiła widząc, że się uśmiecham – nie żartuj ze mnie, brzydki chłopcze, ale widzisz, mawiałaś, że są piękne, chwaliłaś je i gdyś mi zawrócił głowę, stałam często przed lustrem, myśląc, czyby cię bardzo uszczęśliwił pukiel mych włosów? Pamiętasz, Doady? O małoś nie zwariował, gdy ci go dałam.

– Pamiętam. Było to w dniu, w którym malowałaś otrzymane ode mnie kwiaty, a ja mówiłem, jak jestem w tobie zakochany.

- Ale ja ci wówczas nie chciałam powiedzieć i przyznać się, że płakałam ze szczęścia nad tymi kwiatami, bo wiedziałam, żeś mnie naprawdę pokochał. Gdy wstanę, Doady, i będę mogła chodzić, jak dawniej, pójdziemy, prawda, obejrzeć wszystkie te stare, kochane kąty? Będziemy przechadzać się po tamtych ścieżkach. I o biednym ojczulku nie zapomnimy. Prawda?
- Tak, droga moja! Będziemy szczęśliwi, bardzo szczęśliwi. Tylko mi prędko wyzdrowiej.
- Wyzdrowiej już niedługo, coraz mi lepiej, sam to widzisz przecie...

.....

Było to znów wieczorem. Siedziałem na tym samym fotelu, u tego samego łoża, ta sama twarz promienna i piękna zwracała się ku mnie. Milczeliśmy, lecz uśmiech nie zniknął z ust Dory. Nie znosiłem już jej na dół, nie wstawała już wcale z łóżka.

- Doady!
- Doro moja!
- Czy będziesz myślał o mnie jako o bardzo niedorzecznej, gdy ci coś powiem? Słyszałam wprawdzie, że pan Wickfield jest niezdrowy, ale chce mi się, i to koniecznie, widzieć Agnieszkę.
- Napiszę jej to.
- Doprawdy?
- Natychmiast.
- Dobry, kochany chłopcze! Chodź, Doady, bliżej, otocz mnie ramieniem. Tak, dobrze. Widzisz, kochany, to nie czczy kaprys. Muszę ją widzieć, naprawdę muszę.
- Wierzę ci, najdroższa moja, i pewien jestem, że Agnieszka po otrzymaniu listu natychmiast przybędzie.
- Czy tam na dole jest ci beze mnie bardzo teraz smutno, samotnie? – pytała Dora z zarzucenymi na mą szyć rękami.
- Jakżeby mogło być inaczej, kiedy patrzę na puste twe krzesło.
- Puste krzesło! – przytuliła się do mych piersi i milczała chwilę. Po niej jakim czasie podniosła oczy błyszczące, pytając z uśmiechem: – Więc ci brak, Doady, biednego głuptaska, grymaśnej dziewczyny?
- Słuchaj, co ci odpowie moje bijące przy twoim serce.
- O, mój mężu! Tak mi błogo i tak smutno!
- Garnąc się coraz bliżej do mnie, śmiała się i wzdychała, potem długo leżała cichutko, spokojnie.
- To wszystko! – ozwała się wreszcie. – Napisz do Agnieszki, że ją ściskam i chciałabym bardzo, ale to bardzo, widzieć ją. Jest to jedyne moje życzenie.
- Poza szybkim wyzdrowieniem, Doro droga!
- O, Doady! Myślę czasem... wiesz, taki ze mnie głuptasek, niedorzeczna taka grymaśnica; myślę czasem, że to już nigdy nie nastąpi.
- Nie mów tak, nie myśl, najdroższa!
- Postaram się nie myśleć, Doady. Wiesz, szczęśliwa jestem, że mój chłopiec czuje się tam samotny wobec opustoszałego miejsca swej dziecinnej żony.

.....

Było to w nocy. Siedziałem przy niej. Agnieszka przyjechała i dzień cały i wieczór spędziła z nami. Ona, ciotka i ja nie odstąpiliśmy Dory dnia tego ani na chwilę. Niewieleśmy mówili, lecz Dora zdawała się zadowolona i wesoła. Teraz zostaliśmy we dwoje.

Czym wiedział, jak mało mej dziecinnej żonie pozostaje do życia? Powiedzieli mi to. Powiedzieli, com sam widział, wątpię jednak bardzo, czy w to wierzyłem. Przestałem być pa-

nem siebie, odrywałem się od łóżka żony, by płakać. Myślałem o Tym, co sam płakał nad rozstaniem się żyjących z umarłymi, przypominałem sobie wzruszający ten epizod, starałem się uspokoić, pocieszyć, ale... ale w rzeczy samej nie mogłem uwierzyć w ów bliski a ostateczny koniec. Jej ręka była w moich dłoniach, serce biło przy sercu, przywiązanie jej żyło, promieniało ciepło, słodkie... Nie, nie mogłem wyrzec się nadziei, że można jeszcze uratować Dorę.

– Mam ci coś do powiedzenia, Doady – rzekła ze słodkim spojrzeniem. – Myślałam o tym wiele, wiele razy. Czy się domyślasz?

– Ja, droga moja?

– Bo widzisz, zdawało mi się, że ci to samemu przychodziło nieraz na myśl... Doady, kochanie. Boję się, czy nie byłam za dziecinna.

Głowa moja leżała na jej poduszkach; patrzyła mi wprost w oczy i mówiła to cicho, z wolna, słodko. Serce mi się ścisnęło. Mówiła o sobie w czasie przeszłym!

– Zbyt byłam dziecinna, zbyt młoda. Nie o wieku tylko mówię, lecz o doświadczeniu, charakterze, usposobieniu, o wszystkim. Grymasnym, rozpieszczonym wydawałam się dzieckiem. Trzeba się nam było raczej kochać, jak zwykle młodzi się kochają, a potem zapomnieć o sobie. Myślę, Doady, że nie byłam odpowiednią żoną!

Powstrzymując łzy, mówiłem:

– Miła moja! I ja zbyt młodym byłem mężem.

– Nie wiem – odrzekła z dawnym, zalotnym potrząśnięciem główki – nie wiem, może. Ale jeśli bym więcej była uzdolniona na żonę, to przemieniłabym i ciebie. Zresztą tyś bardzo rozumny, a ja...

– Wszak żyliśmy szczęśliwie, Doro?

– Bardzo, bardzo szczęśliwie! Ale, kto wie, z czasem znudziłaby może kochanego mego chłopca dziecinna żona. Z każdym rokiem mniej odpowiednią byłaby mu towarzyszką. Coraz byś więcej czuł, czego ci braknie w domu. Bo widzisz, ja bym pewnie się już nie zmieniła. Toteż lepiej jest tak, jak się stało.

– O Doro! Doro! Nie mów tak! Serce mi rozdzierasz tymi wymówkami...

– Wymówkami? – mówiła całując mnie. – O, mój ty drogi, jedyny! To nie wymówki, tyś na nie nigdy, niczym nie zasłużył, i tak cię kocham, że nie wymawiałabym ci nic, nigdy. Nigdy ci ostrego nie powiedziałam słówka? Prawda, Doady? To i to, że ładną byłam lub że ci się ładną zdawałam, jest całą mą zasługą... Doady! Czy tam na dole beze mnie bardzo, ale to bardzo samotnie?

– Bardzo! O, bardzo!

– Nie płacz, Doady! A moje krzesło?

– Na zwykłym miejscu.

– O! Jak mój brzydki chłopiec płacze! Cicho! No, cicho! Uspokój się, drogi, miły! A teraz musisz mi coś przyrzec. Mam coś powiedzieć Agnieszce. Idź po nią, zawołaj tu, a gdy z nią mówić będę, niech tu nikt, ani nawet ciotka nie wchodzi. Chcę pomówić z nią sam na sam. Muszę pomówić na osobności.

Obiecałem jej, co chciała, lecz zrazu nie mogłem, niestety, polecenia jej spełnić.

– Mówię ci, że lepiej będzie tak, jak będzie – mówiła tuląc się do mnie. – O! Doady! Doady! Po wielu, wielu latach nie potrafiłbyś kochać lepiej swej dziecinnej żony, jak kochałeś dotąd, dobry, poczciwy Doady! A może by ci się ona tak sprzykrzyła, że nie mógłbyś kochać jej i w połowie tak, jak dotąd kochałeś. Wiem, że była bardzo dziecinna, niedorzeczna. Lepiej jest tak, jak się stało.

.....

Zastałem Agnieszkę na dole i zakomunikowałem jej życzenie Dory. Wyszła pozostawiając mnie samego z Jipem.

Jego chińska pagoda stała przed kominkiem. Jip, owinięty we flanelowe kołderki, usiłował drzemać. Na niebie wznosił się miesiąc. Patrząc przez okno, nie mogłem łez powstrzymać. Ogromny ciężar przygniatał mi serce.

Siedziałem przed kominkiem, rozmyślając i gorzko wyrzucając sobie wszystkie te stłumione, mimowolne myśli, co mnie nachodziły od chwili, gdym się ożenił. Myślałem o tych wszystkich drobnostkach, co zaszły między mną a Dorą, i czułem, że to z drobnostek składa się cała suma życia. Z fali wspomnień wylaniała się Dora taka, jaką ujrzałem po raz pierwszy, upiękuszona młodzieńczą moją miłością i tymi czarami, które rozlewają miłość i młodość. Czyżby istotnie lepiej być miało... Cicho! O, Cicho, serce!

Jak czas przechodził, nie wiem. Z zadumy zbudził mnie stary i wierny towarzysz mej dziecinnej żony, Jip. Nie mogąc znaleźć sobie miejsca, niespokojny wylał z budki, wił mi się u nóg, skrobał do drzwi, rwał się na górę.

– Nie, nie dzisiaj, Jip, nie dzisiaj!

Wrócił, legł u nóg moich, zaskomlał i zdechł.

– Agnieszko! Agnieszko!

O! Ten wyraz współczucia na jej twarzy, te łzy płynące z oczu, ta niema i ostatnia prośba, dłoń wznosząca się ku niebiosom.

– Agnieszko!

Po wszystkim. Ciemność mnie ogarnia, pustka i cisza...

ROZDZIAŁ LIV

UKŁADY PANA MICAWBERA

Nie będę się zastanawiał nad stanem mej duszy przywalonej boleścią. Zdawało mi się, że nie mam przed sobą żadnej przyszłości, że się już wszystko dla mnie skończyło i grób jedynym pozostał mi schronieniem. Zdawało mi się, nie w pierwszych jednak chwilach. W pierwszych chwilach nie myślałem wcale i dopiero potem zdjęła mnie rozpacz. Popadłbym w nią może wcześniej, gdyby nie wypadki, które zrazu zaniepokoiły, a potem powiększyły moją boleść. Dość że przeszło wiele czasu, zanim z niej sobie sprawę zdać mogłem i uspokoiłem się o tyle, żem mógł myśl i pamięć zatrzymać na pięknych i czystych stronicach, wydartych raz na zawsze z księgi mego życia.

Nie wiem dotąd, jak i kiedy postanowione zostało, że wyjadę za granicę, w podróży i zmianie miejsca szukając nie dającego się znaleźć zapomnienia. Największy wpływ na wszystko, cośmy wówczas przedsiębrali, wywierała Agnieszka, lecz w sposób tak łagodny i nieznaczny, żem z tego sobie sprawy nie zdawał.

Teraz tylko widzę, że w dawnym, doznawanym przeze mnie w jej obecności wrażeniu tego cichego ukojenia, co spływać zwykło z witraży okien gotyckich świątyń, było przeczucie tego, czym mi ona będzie w dniach próby. Odkąd stanęła przede mną podnosząc ku niebu rękę w najcięższej chwili niego życia, była mi aniołem pocieszycielem. Z jej to objąć śmierć uniosła moją dziecinną żonę, uśmiechniętą i pogodną, jak mi powiedziała, skórom mógł to słyszeć, a gdym z pierwszego ochłonał odrętwienia, pierwsze łzy jej, współczucie, ciche słowa pociechy niby balsam na biedne moje spływały serce.

Lecz wróćmy do rzeczy.

Miałem wyjechać za granicę. Tak było postanowione. Teraz, gdy mi ziemia zabrała wszystko, co pozostało po mej słodkiej Dorze, czekałem tylko ostatecznego – wedle słów pana Micawbera – „starcia w proch” Heepa i odjazdu emigrantów.

Na żądanie Traddlesa, który mi w nieszczęściu mym niezrównane dawał dowody przyjaźni, pojechaliśmy wszyscy, to jest ciotka, Agnieszka i ja, do Canterbury.

Udaliśmy się wprost do mieszkania państwa Micawberów, gdzie Traddles pracował nad pomyslnym rozwiązaniem całej sprawy. Na widok mej żałoby dobra pani Micawber rozplakała się. W sercu jej pozostały przez życie nie wyczerpane skarby uczucia.

– I cóż – spytała na wstępie ciotka – myśleliście państwo o emigracji?

– Droga pani – odrzekł Micawber – w imieniu własnym, tu obecnej mej żony i dzieci, nie potrafię wyrazić się lepiej jak słowami poety: „Czółno nasze na brzegu, ale łódź na morzu”.

– Tym lepiej – zdecydowała ciotka. – Pewna jestem, że to wam na dobre wyjdzie.

– Pani! Co za zaszczyt – uklonił się pan Micawber i spoglądając w notatnik swój tak począł:

– Co zaś do pieniężnego wsparcia, pozwalającego nam spuścić łódź naszą na wody oceanu przedsiębiorczości, zastanowiłem się nad tym z ekonomicznego, że tak rzec mogę, stanowiska. Wydam weksel – nie potrzebuję dodawać, że spisany zostanie z zachowaniem wszelkich przez prawo wymaganych formalności – płatny za osiemnaście miesięcy i dni trzynastie. Z początku proponowałem wprowadzić roczny termin, lecz rozmyśliłem się, że czas to może niedostateczny na to, aby się coś zmieniło. Może się nam tak od razu – ciągnął obrzucając komnatę spojrzeniem, które mierzyło przestrzenie dziewiczych łąk i gruntów – nie da urządzić i stawić czoła zobowiązaniom. O pracę nie musi być łatwo w odległych krainach, do których zmierzamy...

– Wpisz pan termin, jaki się panu podoba – machnęła ręką ciotka.

– Pani – ciągnął pan Micawber – żona moja i ja nie pozostajemy obojętni na dowody łaski wspaniałomyślnych opiekunów naszych, a w interesach punktualność przede wszystkim. Stańliśmy u wrót nowego życia. Nie odwrócimy już kart przeszłości. W takich wypadkach muszę baczyć na zostawienie dobrego przykładu synowi memu i pozostać punktualny w interesach, jak wypada pomiędzy uczciwymi ludźmi.

Ostatnie słowa powtórzył raz i drugi.

– Przedstawię tedy – ciągnął – weksle, ułatwienie w handlu, które, sędzę, zawdzięczamy Żydom; mieli oni zbyt wiele do czynienia z nimi, gdyż są narodem uzdolnionym do handlu. Ale jeśli państwo wolą obliż lub coś innego, zgodzę się chętnie, by sprawę załatwić jak człowiek z człowiekiem.

Ciotka moja zauważyła, że obie strony zgodzą się najpewniej co do formalności, o które pan Micawber potraça.

– Co do rodzinnych moich przygotowań – mówił dalej pan Micawber z dumą – wobec przeznaczenia, przeciw któremu śpieszymy, najstarsza córka moja codziennie o piątej rano uczęszcza do najbliższej mleczarni, by się wyuczyć sztuki – jeśli to sztuką nazwać można – dojenia krów. Młodsze jej rodzeństwo ma za zadanie studia, o ile się da najszczegółowsze, nad obyczajami gołębi i kur, utrzymywanych w najuboższej części naszego miasta. Dwa razy bliźnięta przyprowordzone zostały przez władze miejscowe do domu, pod zarzutem włóczęgostwa. Ja sam ściśle obserwuję piekarstwo, syn zaś mój Wilkins chodzi z taczką, gotów przewozić powierzone mu przedmioty, chociaż go tragarze z profesji ostro parę razy poturbowali.

– Doskonale, wybornie! – chwaliła zachęcająco ciotka. – Nie wątpię, że i pani Micawber jest bardzo zajęta!

– Kochana pani – odrzekła pani Micawber przybierając najpraktyczniejszą minę – wyznać muszę, że nie uprawiam rolnictwa, a nawet i rybołówstwa, chociaż wiem, że mnie te zajęcia czekają na obcym brzegu. Krótkie chwile, w których mogłam oderwać się od domowych zajęć, poświęcać musiałam rozpisywaniu listów do mej rodziny. Sędzę bowiem, kochany panie Copperfield – z dawien dawna zwykła zwracać się do mnie w ten sposób – sędzę bowiem, że wybiła godzina zapomnienia i przebaczenia wzajemnych uraz. Rodzina moja winna wyciągnąć dłoń do pana Micawbera, a pan Micawber winien dłoń wyciągnąć do mej rodziny! Przyszła chwila, w której lew i jagnię z jednego pić będą źródła.

Zgodziłem się na to chętnie.

– W każdym razie, kochany panie Copperfield – mówiła – tak się na rzeczy te zapatruję. Gdy byłam w domu z mamą i papą, papa mój zwykł był, przy każdej sposobności, zapytywać; „Jak się na to moja Emma zapatruje?” Było to zapewne rodzicielskie zaślepienie, lecz co

do chłodu, który powstał pomiędzy rodziną mą i mym mężem, musiałam wyrobić sobie stałe, chociażby mylne przekonania.

– Zapewne, zapewne – potwierdziła ciotka.

– Tak właśnie – ciągnęła pani Micawber – myślę się może, prawdopodobnie nawet się mylę, lecz osobiście odnoszę wrażenie, że to strach mej rodziny przed tym, że mąż potrzebował wciąż pieniężnych zasiłków, stworzył przepaść pomiędzy rodziną moją a panem Micawberem. Przypuszczam – przypuszczenie to istotnie honor czyniło jej domyślności – przypuszczam, że niektórzy członkowie rodziny mojej bali się, aby mąż mój nie wymagał od nich ich nazwiska. Nie mówię tu o zapraszaniu na chrzestnych rodziców, lecz o podpisach i poręczeństwie.

Domyślność, jaką się szczyciła, z dawien dawna znana mi była, lecz zdawała się wprawiać w zdumienie .mą ciotkę, która zawołała nagle:

– Łatwo się tego można było domyślić!

Nie zważając na przerwę, pani Micawber tak ciągnęła:

– Dziś, gdy mąż mój jest w przededniu otrząśnięcia się z pieniężnych od tak dawna gnębiących go okoliczności, dziś, gdy staje on na progu nowej kariery, na gruncie odpowiednim swoim uzdolnieniom – głęboko bowiem przekonana jestem, że zdolności męża mego potrzebują pola i rozpędu... tak właśnie: pola i rozpędu – rodzina moja pozbyć się może dawnych swych uprzedzeń. Pragnę tedy, aby nastąpiło spotkanie i pojednanie na pożegnalnej, kosztem rodziny mej, wydanej uczcie, gdzie by główni jej członkowie mieli możliwość wznieść zdrowie odjeżdżającego na obce brzegi, dostarczając mężowi memu sposobności wyłuszczenia i rozwinięcia planów swych i zamysłów.

– Kochanie – ozwał się z pewnym nieukontentowaniem pan Micawber – uważałbym za stosowniejsze trzymać się przy końcu na uboczu. Plany me i zamysły nie zadowolnią twej rodziny. Członkowie jej, zdaniem mym, razem wzięci są snobami, a pojedynczo – skończonymi hultajami!

– O, nie, mój mężu – potrząsnęła głową żona – nie rozumiałeś ich nigdy i oni cię nie rozumieli!

Pan Micawber odkaszlnął.

– Nie rozumieli cię nigdy, mężu – twierdziła. – Pojąć, zrozumieć nie byli w stanie! Żałować ich trzeba.

– Przykro mi, droga Emmo – mówił pan Micawber – jeśli mi się w uniesieniu wymknęło za dosadne słówko. Wiem jednak, że opuszczę ojczyznę nie żegnany przez twą rodzinę. Odwrócą się ode mnie, jak odwracali dotąd, i lepiej nie pogarszać stosunków naszych. Jeśliby jednak odpowiedzieli na twoje pismo, pewna być możesz, że się nie oprę twym żądaniom. Załatwiwszy w ten sposób ową kwestię, pan Micawber podał żonie ramię i spoglądając na stosy papierów, nad którymi siedział Traddles, oświadczył, że pozostawi nas na czas jakiś samych.

– Kochany Copperfieldzie – gdyśmy pozostali sami, rzekł Traddles, ze współczuciem, które mu łzami napełniło oczy. – Kochany Copperfieldzie, daruj, żem cię niepokoił, lecz sprawa ta i ciebie dotyczy; trzeba zresztą, byś się oderwał od twej boleści.

– Przede wszystkim – rzekłem mu – musimy się zająć interesami ciotki. Wiesz, czym była dla mnie.

– Wiem. Któż by o tym zapomniał!

– W ostatnich czasach – mówiłem – coś ją szczególnie musiało zaniepokoić. Wyjeżdżała parę razy z Londynu, nie mówiąc mi dokąd, parę razy wychodziła wczesnym porankiem, a późnym wieczorem dopiero wracała. Wczoraj jeszcze, i pomimo projektowanej na dziś jazdy, wróciła o północy. Znasz ją i wiesz, jak jest wytrwała. Nie mówi mi ani słowa o swych kłopotach.

Ciotka słuchała tego, co mówiłem, blada, smutna. Gdym skończył, łzy popłynęły jej z oczu. Ujęła mnie za rękę.

– Nic to, Trot! Nic, dziecko moje! Dowiesz się z czasem o wszystkim. A teraz, Agnieszko, kochanko, przystąpmy do interesów.

– Muszę oddać panu Micawberowi sprawiedliwość – mówił Traddles – że chociaż sam dla siebie pracować, o ile się zdaje, nie umiał, pracował w danym razie z prawdziwym zapalem. Sądząc po jego działalności w ostatnich czasach – jeśliby zawsze tak działał, posiwiłby od pracy. Od rana do nocy grzebał się w papierach i księgach, nie licząc listów, które po kilka razy dziennie pisywał do mnie z kancelarii pana Wickfielda, a czasem i poprzez stół, gdy siedząc naprzeciw mnie, mógłby przecie doskonale myśl swą słownie wyrazić.

– Pisanie listów – zawołała ciotka – jest jego żywiołem!

– Pan Dick – mówił Traddles – dokazywał też cudów. W chwilach gdy mógł stracić z oczu Heepa, którego strzegł jak żrenicy oka, poświęcał się cały pielęgnowaniu pana Wickfielda. Jego starania, by zostać nam użytecznym, jego użyteczność, już to w poszukiwaniu potrzebnych papierów, już to w przepisywaniu takowych, była dla nas prawdziwym bodźcem.

– Niepospolity to człowiek – zauważyła ciotka – zawszem to utrzymywała. Trot zresztą wie to sam dobrze.

– Z prawdziwą radością donieść pani mogę, panno Wickfield – mówił Traddles – że ojciec pani czuje się znacznie lepiej. Pozbawiony zmory, co go od tak dawna uciskała i dręczyła, wraca do sił z każdym dniem. Może już nawet skupić osłabiony swój umysł i udzielać nam pewnych wyjaśnień i wskazówek, bez których nie doszlibyśmy do ładu w iście zawitych nieraz sprawach. Ale do rzeczy.

Mówił to zapewne w celu uspokojenia Agnieszki i obudzenia jej zaufania, gdyż rozprawiając o interesach musiał nieraz wspominać jej ojca.

– Otóż – począł powiódłszy okiem po rozłożonych na biurku papierach – rozejrzawszy się dobrze we Wszystkim i rozwikławszy cały ten kłębek, doszedłem do przekonania, że pan Wickfield jest w stanie godnie i bez obaw stawić czoła położeniu.

– Dzięki Niebu! – zawołała Agnieszka.

– To jednak – ciągnął Traddles – co po splaceniu zostanie, jest tak małe, że może lepiej byłoby nadać inny bieg sprawie. Przyjaciele ojca pani, panno Wickfield, doradzaliby mu może, aby odstąpił kancelarię...

– Myślałam nad tym, Trotwood – przerwała Agnieszka zwracając się do mnie – i zdaje mi się, nawet wbrew zdaniu przyjaciela, któremu tak wiele zawdzięczam, że to nie powinno nastąpić.

– Pozwolę sobie zauważyć – rzekł na to Traddles – że nie doradzam bynajmniej tego kroku. Obowiązkiem moim było tylko nadmienić.

– Dziękuję panu – serdecznie, lecz z powagą rzekła Agnieszka. – Miło mi, że się zgadzamy i jednakowo zapatrujemy na tę kwestię, bo, gdy ocalimy honor ojca, cóż mi więcej pozostanie do życzenia! Pragnieniem mym było wyrwać go spod zgubnego wpływu i poświęcić się pielęgnowaniu jego starości. Jedyńm to mym życzeniem, szczytem marzeń. Wziąć zaś na własną odpowiedzialność jego przyszłość będzie dla mnie szczęściem równającym się niemal szczęściu, jakie mi sprawia ocalenie jego honoru i uwolnienie z tak zabójczej odpowiedzialności.

– Czy obmyślałaś tę przyszłość? – spytałem.

– Niejednokrotnie, wierz mi, proszę – odrzekła. – Pewna jestem powodzenia, a pewność tę opieram na przychylności, jaką mi okazują mieszkańcy naszego miasta. Zrozum mnie, proszę. Nie potrzebujemy wiele. Mogę wydzierżawić nasz stary kochany dom, sama zaś otworzę szkołę. Będę użyteczna, a zatem szczęśliwa.

Słodycz głosu jej tak żywo przypominała mi ten stary kochany dom i własne moje wygasłe domowe ognisko, żem się zdobyć nie mógł na słowa.

Traddles udawał, że czegoś pilnie szuka wśród papierów.

– Przejdźmy teraz, panno Trotwood – rzekł – do własności pani.

– Aha! – odparła ciotka. – Przede wszystkim muszę zastrzec, że jeśli się to roztrwonilo, obejdę się i nadal bez tego; jeśli się jednak coś da odebrać, bardzo będę rada.

– Suma wynosiła początkowo osiem tysięcy funtów w obligacjach.

– Najzupełniej tak.

– Nie mogę się tu doliczyć trzech...

– Trzech tysięcy, prawda?

– Tak, pani.

– Wszystko w porządku, trzy tysiące sama odebrałam. Tysiąc przeszło na kancelarię Trota, a dwa mam u siebie. Gdy wszystko było stracone lub gdy za stracone uważałam, wolałam o tym przemilczeć, chowając je na czarną godzinę. Chciałam cię zresztą wypróbować, Trot, ciebie i Dicka. Zachowaliście się szlachetnie, odważnie, byliście pełni delikatności i oddania. Tss! Nie mówcie do mnie. Nerwy mi się rozstroiły.

Kto by powiedział! Siedziała wyprostowana jak zwykle. Umiała panować nad sobą, o, umiała!

– Szczęśliwy tedy jestem – zawołał Traddles – udało mi się bowiem wyrwać wszystko!

– Nie wiesz mi tylko – rozkazała ciotka. – Jak to, proszę pana?

– Sądziłaś pani zapewne, że pan Wickfield źle sumę tę ulokował?

– Istotnie tak sądziłam. Tss! Agnieszko! I dlatego to właśnie milczałam.

– Obligacje te – mówił Traddles – zostały rzeczywiście sprzedane na mocy pani pełnomocnienia. Lecz mamże mówić, kto się zajmował transakcją, czyj był podpis, kto właściwie był nabywcą? Pieniądze te, jak i innych wiele, uwięzły w kieszeni łotra, który tak niecierpliwie nadużywał zaufania pana Wickfielda. Oszukiwał on panią tylko przez słabość i pod naciskiem przemocy, płacąc pani czas jakiś procenty od sumy, którą uważał za zaprzepaszczoną.

– Biedak! – rzekła ciotka. – Wszystko przyjął na siebie! Napisał do mnie list szalony, oskarżając się o zawiedzenie mego zaufania, o złodziejstwo po prostu i tak dalej. Otrzymawszy list ten, pojechałam do niego, poprosiłam o świecę i w jego obecności spaliłam ów list, zlecając mu, by się postarał wybawić, jeśli się jeszcze da, i mnie, i siebie, a zwłaszcza by się opamiętał i oszczędzał przez wzgląd na córkę. Tss! Mówię wam, jeśli które z was piśnie słówko, uciekam.

Milczeliśmy tedy. Agnieszka skryła twarz w dłoniach.

Po chwili ciotka rzekła do Traddlesa:

– Więc udało ci się istotnie, poczciwy przyjacielu, wyrwać pieniądze od tego łotra?

– Fakt to – odrzekł Traddles. – Tak go pan Micawber

osaczył, tyle miał nań gotowych sposobów, że się nie zdołał nam wywinąć. Najciekawsze, że co do tej sumy, przekonany jestem, że ją zagarnął mniej przez chciwość, a bardziej przez nienawiść do Copperfielda. Powiedział mi to zresztą wręcz. Powiedział, że wydałby drugie tyle i więcej, byle mógł go zgubić.

– Ha! – mruknęła ciotka podnosząc brwi i spoglądając z ukosa na Agnieszkę. – Cóż ten przezacny młodzian porabia?

– Nie wiem doprawdy! Wraz ze swą matką, która ciągle lamentowała, szlochała, upraszała i niechcący zdradzała syna, wyjechał onegdaj wieczorem dylizans sem. Tyle tylko wiem o nim. Wyjechał wściekły na mnie i na pana Micawbera.

– Czy wnosisz, że mu co pozostało? – spytałem.

– Nie wątpię – odrzekł Traddles. – Pełne ma jeszcze kieszenie. Zdaje mi się jednak, że go pieniądź nie zatrzyma na dobrej drodze. Znasz go zresztą lepiej ode mnie. Jest tak skończonym hipokrytą, że do wszelkich swych celów krzywymi będzie dochodził drogami. Zawsze posądzać będzie i nienawidzić każdego, co najniewinniej na drodze tej mu stanie, i tym sposobem wikłać się nie omieszka. Po tym, co tu zaszło, wątpić o tym niepodobna.

– Podle stworzenie, liche! – zauważyła ciotka. – A teraz wróćmy do Micawbera.

– Prawda – uśmiechnął się Traddles wesoło – raz jeszcze muszę śpiewać jego pochwały. Gdyby nie jego cierpliwość i wytrwałość, nie osiągnęlibyśmy ani w połowie równie pomyślnych rezultatów. Muszę jeszcze dodać, że o ile mi się zdaje, nie kierowały nim żadne poboczne względy. Heep drogo by mu opłacił milczenie. Działał i pracował dla zasady.

– I ja tak myślę – rzekłem.

– Cóż mu damy? – spytała ciotka.

– Zanim do tego przyjdzie – rzekł nieco zmieszany Traddles – musimy jeszcze rozważyć pewną okoliczność. Weksle podpisane przez Micawbera na imię Heepa oraz owe zaliczki...

– Będą spłacone.

– Dobrze. Nie wiem tylko, gdzie ich szukać, a panu Micawberowi, zanim odpłynie, grozi areszt.

– To go wykupimy – zdecydowała ciotka. – Wiele tam tego będzie?

– Pan Micawber przedstawił mi swe „ugody”, nazywa on to ugodami! Wszystko zliczwszy będzie ze sto kilkanaście funtów szterlingów.

– Więc ile mu damy, wliczając naturalnie w to powyższą sumę? Agnieszko, duszko, pomożesz mi potem policzyć. Co? Pięćset. Prawda?

Na to i ja, i Traddles radziliśmy raczej zaopatrzyć emigranta w mniejszą sumę, a zadowolnić Heepa.

Radziliśmy nadto opłacić przejazd państwa Micawberów, dając im w ręce sto funtów szterlingów. Dodałem, że uprzedzę co do ich charakteru i usposobień pana Peggotty, współtowarzysza podróży, na którego ręce złoży się resztę pieniędzy. Byłem też zdania, aby dla zbliżenia tych dwojga opowiedzieć panu Micawberowi część historii pana Peggotty. Rozważaliśmy gorąco te kwestie ku obopólnemu, jak się wkrótce okazało, zadowoleniu zainteresowanych.

Widząc, że Traddles z niepokojem spogląda na mnie, prosiłem go, aby dopowiedział, co ma jeszcze do mówienia.

– I ty, kochany Copperfieldzie – mówił – i ciotka twoja, darujcie mi, jeśli bolesnego dotknę przedmiotem. Muszę jednak w pewnym kierunku pobudzić waszą pamięć. W pamiętnym dniu oskarżenia Heepa nadmienił on coś o mężu twej ciotki?

Ciotka, panując nad sobą, spokojnym skinieniem głowy odpowiedziała na to pytanie.

– Było to może czcym tylko naigrawaniem się? – zapytał Traddles.

– Nie – krótko odpowiedziała ciotka.

– Więc osoba ta, przepraszam panią, osoba ta miałażby rzeczywiście istnieć i pozostawać w jego mocy?

– Tak jest, istotnie.

Wówczas Traddles z wydłużoną nieco miną wyjaśnił, że w tym względzie ani on, ani pan Micawber nie zdołali nic wydobyć od Heepa, który mając podobną broń w ręku szkodzić nam może.

Ciotka pozostała spokojna, tylko łzy napłynęły jej do oczu.

– Masz rację, poczciwy przyjacielu – rzekła – i dobrze, żeś nas ostrzegł.

– Może ja... lub Copperfield możemy...

– Nic nie możecie. Dziękuję wam serdecznie. Trot, dziecko moje. Pusta to groźba! Niechże pan i pani Micawber wrócą; nie mówcie tylko do mnie ani słowa.

Mówiąc to wygładziła, obyczajem swym, fałdy sukni, siedząc wyprostowana i spoglądając na drzwi.

– Otóż pani i pan Micawber – ozwała się, gdy weszli – przepraszamy państwa, żeśmy wam tak długo kazali czekać. Teraz powiem wam, cośmy tu dla was uradzili.

Tu, ku największemu zadowoleniu rodziny, z włączeniem obecnej dziatwy, oznajmiła panu Micawberowi, że może, na jaki chce termin, wystawić weksel. Pobiegnął natychmiast po

stemplowy papier, lecz po chwili wrócił zalany łzami, oznajmiając nam, że wszystko przepadło. Byliśmy na to przygotowani, szło o powzięte względem Uriaha zobowiązania. Po krótkiej jednak chwili, uspokojony w tym względzie, wypełnił weksel, a czynność ta rozweselała go zwykle na równi z czynnością przygotowywania ponczu. Przejęty, dokonywał jej z artystycznym zacięciem, przechylając głowę i przymrużając lewe oko, zaglądając przy tym do mnóstwa notatek i tak dalej.

– A teraz – ozwała się ciotka moja – dam panu dobrą radę, abyś się raz na zawsze zrzekł podobnego zajęcia.

– Pani – odrzekł – noszę się właśnie z zamiarem uroczystego wpisania tego ślubu na pierwszej białej karcie księgi, którą przyszłość otwiera przede mną. Chcę wierzyć – twierdził z namaszczeniem – że tu obecny syn mój pierworodny, Wilkins, włoży raczej, jak niegdyś Koriolan⁷, rękę do ognia, niż żywić nią będzie węża, co wyssał krew spod serca nieszczęśliwego jego ojca!

W jedno mgnienie oka pan Micawber zmienił się w obraz ostatecznej rozpaczki, spoglądając na węża ponuro, lecz nie bez pewnego zamięlowania, złożył weksle i schował je do kieszeni.

Na tym skończył się ów wieczór. Byliśmy znużeni, a ciotka i ja mieliśmy nazajutrz wracać do Londynu. Umówiliśmy się, że państwo Micawberowie wkrótce tam się za nami udadzą sprzedawszy ruchomość swą pobliskiemu piekarzowi, że interesy pana Wickfielda likwidować będzie Traddles, o ile można szybko, że Agnieszka przybędzie też do Londynu. Noc spędziliśmy pod starym dachem prawnika, skąd wyjazd Heepa był jakby oddaleniem się zarazy. Leżąc w dawnym mym pokoiku, czułem się jak wracający do domu żeglarz.

Gdyśmy nazajutrz przybyli, nie do mnie, lecz do ciotki, wieczorem, przed rozejściem powiedziała mi ona:

– Czy chcesz, Trot, wiedzieć, co mi od niejakiego czasu leży na sercu?

– I owszem, ciotko. Jeśli kiedy, to teraz pragnąłbym podzielać twe troski.

– Dostyc masz własnej boleści, dziecko moje, i dlatego nie chciałam cię mymi zaprzętać troskami.

– Wiem to, kochana ciotko! Lecz teraz powiedz mi, proszę, co cię trapi?

– Czy chcesz mi towarzyszyć jutro rano w pewnej wycieczce?

– Chętnie.

– O dziewiątej. Powiem ci wówczas wszystko.

Wyjechaliśmy tedy nazajutrz o dziewiątej, jak było umówione. Minęliśmy kilkanaście ulic i zatrzymaliśmy się u wrót szpitala. U podjazdu stał skromny karawan. Woźnica poznawszy mą ciotkę, ruszył z miejsca. Pojechaliśmy za nim.

– Domyślasz się, Trot, kto to umarł?

– W szpitalu? – spytałem.

– Tak.

Siedziała obok mnie wyprostowana i spokojna, po twarzy jej jednak spływały łzy.

– Był tu już przedtem – mówiła – chory był od dawna, złamany, strawiony chorobą. Gdy spostrzegł, że źle z nim, prosił, aby posłano po mnie. Żałował przeszłości, żałował.

– A! Tu więc bywałaś, ciotko, ostatnimi, czasy?

– Tu! przesiadywałam przy nim długie godziny.

– Zmarł tego wieczoru, gdyśmy jeździli do Canterbury? – spytałem.

Ciotka skłoniła głowę.

– Nikt mu już szkodzić nie mógł – rzekła. – Próżne to były pogroźki. Jechaliśmy za miasto, na cmentarz Hornsey.

– Wolałam pochować go tu niż tam w mieście – rzekła. – Tu się urodził.

⁷ Koriolan – żyjący na przełomie VI i V wieku p.n.e. dumny patrycjusz rzymski, obrońca przywilejów arystokracji. W legendach przedstawiany on jest jako wzór synowskiego poświęcenia i przywiązania.

Wysiedliśmy i poszliśmy za trumną. Dół był wykopany.

– Dziś jest trzydziesta szósta rocznica mego ślubu – rzekła ciotka wracając z cmentarza.

Wracaliśmy w milczeniu, ciotka trzymała mą rękę.

– Piękny to był mężczyzna – rzekła nagle. – Strasznie się zmienił.

Rozpłakała się rzewnie, lecz prędko zapanowała nad sobą.

– Nerwy się rozstroiły – mówiła – ale to przejdzie.

W domu zastaliśmy list z poczty. Poznałem pismo pana Micawbera.

Canterbury, piątek.

Czcigodna Pani i kochany Copperfieldzie!

Czarowna obiecana kraina, co się od niedawna wylonila z horyzontów przyszłości, ginie na zawsze we mgle ciemnej, przed okiem tego, którego losy już się rozstrzygnęły.

Oprócz znanej państwu, czekała mnie druga jeszcze prawna zasadzka, Heep contra Micawber, i jedna ze stron padła ofiarą komornika i więziennej celi!

Skazany na to i na szybki już koniec, gdyż mi sił nie staje w dźwiganiu ustawicznej moralnej tortury, stanąłem u wrót śmierci. Błogosławię was, przeczacni państwo, i żegnam na wieki! Przechodzień zwiedzający ponure mury więzienia czytać będzie wryte paznokciem na kamieniu nieznane litery.

W. M.

P. S. Otwieram list mój, by dodać, ze wspólny nasz przyjaciel, pan Tomasz Traddles (który tu jeszcze bawi i doskonałym cieszy się zdrowiem) opłacił należność i prawne koszty w imieniu wspaniałomyślnej panny Trotwood. Ja i rodzina moja w siódmym jesteśmy niebie.

ROZDZIAŁ LV BURZA

Zbliżam się do jednego z wydarzeń w moim życiu tak niczym nie dającego się zmazać, tak okropnego, tak dalece związanego ze wszystkim, com tu opowiadał, że od chwili, jakem się wziął do pisania tego dziennika, cień jego rósł i wzmagał się, na kształt rosnącego ku zachodowi cienia wielkiej, samotnej, na płaszczyźnie stojącej wieży, sięgając gdzieś aż do mego dzieciństwa.

Lata upłynęły, a wciąż wraca ono do mnie jeszcze w snach. Wywarło na mnie tak piorunujące wrażenie, że po dziś dzień groza jego unosi się nade mną. Przypomina mi je każdy burzliwy powiew wichru, widok morskiego wybrzeża. Staje mi przed oczyma żywo, wyraźnie, przerażająco. Opowiem, jak to było, a zdaje mi się, że pamiętam żywo każdy najdrobniejszy szczegół.

Zbliżał się czas odjazdu emigrantów i kochana moja piastunka przybyła do Londynu. Żaloba moja serce jej krajała. Widywałem często to ją, jej brata, Micawberów, którzy się z nimi zaprzyjaźnili, nie widywałem tylko wcale Emilki.

Pewnego wieczoru, na krótko przed ich odjazdem, zostałem sam z Peggotty i jej bratem. Rozmawialiśmy o Hamie. Peggotty opowiadała właśnie, jak czule ją żegnał i jak umiał panować nad sobą. W ostatnich zwłaszcza czasach dawał dowody prawdziwej męskości charakteru. Kochana moja Peggotty mogła o tym mówić długo i szeroko, my zaś słuchaliśmy z równym zajęciem szczegółów, których, przebywając z nim teraz ciągle, udzielić nam mogła.

Opuściliśmy z ciotką nasze domki w Highgate, ciotka zamierzała wrócić do własnego domku w Dover, ja zaś wyjeżdżałem za granicę, i najeliśmy czasowo mieszkanie przy Covent Garden. Wracając do domu po tej rozmowie z mą piastunką i jej bratem, myślałem o ostatniej rozmowie z Hamem w Yarmouth i o tym, że chciałem napisać do Emilki wszystko, co mi zostało zlecone, i list oddać odjeżdżającemu panu Peggotty. Teraz zdawało mi się, że lepiej byłoby uczynić to zaraz. Może Emilka miała też coś do przesłania Hamowi? Wypadało mi nastrożyć jej po temu sposobność.

Napisałem do niej tedy natychmiast, wróciwszy do domu. Pisałem, że go widziałem i obiecałem mu zakomunikować jej poniższe słowa i zapewnienia. Powtórzyłem wiernie i dosłownie, co mi zlecił. Ani ja, ani nikt w świecie nie mogliśmy nic dodać do słów tak pełnych uczucia i wierności. List zapieczętowany, z dołączeniem słówka do pana Peggotty, pozostawiłem do odesłania nazajutrz rano. Świtało prawie, gdym się położył.

Bardziej byłem snadź osłabiony, aniżelim sądził, gdyż długo jeszcze nie mogłem zasnąć i późno już było nazajutrz, gdy mnie z ciężkiej drzemki zbudziła obecność mej ciotki. Czulem przez sen, jak się to niejednokrotnie zdarza, jej obecność.

– Trot, dziecko moje – rzekła, gdym otworzył oczy – nie chciałam cię budzić, lecz pan Peggotty jest tu, czy może wejść?

– Proszę – odrzekłem i po chwili wszedł pan Peggotty.

– Oddałem Emilce list panicza – mówił ściskając mi dłoń. – Oto, co napisała. Prosiła, aby panicz to przeczytał i jeśli się paniczowi wyda stosowne, wręczył Hamowi.

– Czytałeś pan? – spytałem.

Skłonił głową.

Otworzyłem list Emilki; brzmiał, jak następuje:

Wiadomości od Ciebie otrzymałam. Jakże Ci potrafię podziękować za Twoją niezrównaną dobroć?

Słowa Twe głęboko wzięłam do serca, pozostaną tam do mej śmierci. Ranią mnie i bolą, nieskończoną zarazem przynosząc pociechę. Powtarzać je będę w modlitwie, bo Twoja i Stryja dobroć są dla mnie miarą miłosierdzia Bożego.

Żegnaj mi na zawsze. Na zawsze, drogi, dobry, kochany Przyjacielu! Na zawsze na tym tu świecie, bo może tam darowane mi zostanie i przebaczone wszystko i znów się z Tobą połączę jako niewinne dziecię. Niech wszystkie na Ciebie spłyną błogosławieństwa. Żegnaj mi, żegnaj!

Słowa te skropione i zamazane były łzami.

– Czy mogę powiedzieć jej – pytał pan Peggotty, gdym skończył czytać – że się panicz podejmie poselstwa?

– Najpewniej – odrzekłem – i myślę...

– Co paniczu?

– Że mu to sam odwiozę. Mam jeszcze czas pojechać do Yarmouth i wrócić, zanim odpłyniecie. Myślę o nim często, myślę o samotności, w jakiej tam pozostaje. Odwiozę mu list Emilki, a na odjezdnym będziesz pan mógł powiedzieć jej, że to uczynił. Przynależem mu spełnić jego zlecenie, niechże je w zupełności wypełnię. Nie mam teraz zresztą żadnego zajęcia, miejsca sobie znaleźć nie mogę, dziś jeszcze wieczorem pojedę.

Chociaż nie zgadzał się na to, widziałem, jak mu tym dogodzi, i to by mnie zachęciło, jeślibym potrzebował zachęty. Na prośbę moją udał się na stację dyliżansów zamówić dla mnie miejsce. Wieczorem jechałem raz jeszcze po dobrze mi znanej drodze.

– Co myślisz – spytałem woźnicę zaraz przy pierwszej za Londynem stacji – co myślisz o tych chmurach? Dawnom nie widział podobnych.

– Ani ja, panie – odrzekł. – Wiatr się zrywa piekielny. Niewesoło tam będzie na morzu. Pięknych się niebawem dowiemy rzeczy.

Niebo pokrywała zupełna ciemność, zmieszana z czymś podobnym barwą do dymu z płonącego mokrego drzewa, a wichrem niesione chmury gromadziły się w zbite wały, rosły, większe od przestrzeni pozostałej pomiędzy nimi a najgłębszą przepaścią ziemską. Wśród chmur czarnych, kłębiących się, wypływał chwilami miesiąc blady, przerażony jakimś nagłym a nieuniknionym zaburzeniem w przyrodzie. Dzień cały był wietrzny, lecz teraz wszystkie wichry, rzekłbyś, naraz wypadły na przestworza szalejąc po ziemi, a po niebie ścigając chmury.

W miarę jak noc zapadała, chmury zgęszczały się, a wiatr dał coraz wścieklej. Konie kilkakrotnie zatrzymywały się, nie mogąc go przemóc. Nieraz w noc tę wrześnie, ciemną zawracały i nie chciały iść dalej. Zdawało się wówczas, że lada chwila dyliżans, konie i podróżni, niby piórko, zdmuchnięci zostaną z powierzchni ziemi. Deszcz na kształt świstu stalowych prętów przerzynał powietrze. Żadne drzewo, żaden płot nie udzielał nam schronienia. Zatrzymywaliśmy się w czystym polu, nie mogąc posuwać dalej.

Wiatr nie ucichł i o świcie, lecz wzmógł się jeszcze na sile. Widziałem niejedną burzę, podobnej nie widziałem nigdy. Późno przybyliśmy do Ipswich, gdyż musieliśmy wywalczyć każdy krok naprzód. Rynek zapelniony był ludźmi. Wszyscy zerwali się wcześniej, w obawie, by wicher nie pozrywał dachów i nie powywracał kominów. Niektórzy gromadząc się przed oberżą, gdzieśmy przeprzęgali konie, opowiadali o kawałach ołowiu, zerwanych z katedralnej wieży niby listki róży, inni o wyrwanych z korzeniami i powalonych na drogę olbrzymich drzewach. Burza nie ustawała i wicher dał coraz wścieklej.

W miarę jak się z największą trudnością posuwaliśmy ku morzu, dmący stamtąd wiatr wzmagał się jeszcze i długo przedtem, zanim dojrzeliliśmy morze, mieliśmy usta pełne soli i słone krople gryzły nam oczy, siekąc twarz niemiłosiernie. Płaskie wybrzeże Yarmouth stało pod wodą, a strumienie wezbrane toczyły się z hukiem i szumem. Na morzu, gdyśmy je dostrzegli, piętrzyły się fale, podobne do wież i niebotycznych skał, sięgające chmur i grożące im. W mieście stojący na progach domów obmokli mieszkańcy dziwili się tym, co podróżować mogli w taką porę.

Zajechałem do starej, znanej mi oberży i wyszedłem natychmiast nad morze. Ulice zarzucone były mułem, piaskiem, gontami, dachówkami, które ludziska zmiotli w kupy. Morze bryzgało wokół pianą. Na brzegu byli nie tylko żeglarze i rybacy, lecz połowa miejskiej ludności: to walcząc z burzą i chwiejąc się pod pędem wichru, to czając się za starymi skrzypiącymi statkami i łodziami; spoglądali z trwogą w dal na wzburzone morze. Były tam od zmysłów odchodzące żony i matki. Gdzież się schronić przed tym orkanem mogli nieobecni ich mężowie i synowie? Byli starzy marynarze, spoglądający bacznie na chmury i ze zwątpieniem kiwający głowami. Byli zaniepokojeni właściciele okrętów i łodzi, wystraszone dzieci zaglądające w twarze wystraszonych rodziców. Wielu z wystawionymi na morze lunetami zdawało się w śmiertelnym niepokoju śledzić ruchy uderzającego na nich nieprzyjaciela.

Gdym wśród wirowania wichru, deszczu, piasku, kamieni, piekielnego huku, szumu, jęku dostrzegł samo morze, przeraziłem się. Nigdy nie widział podobnej grozy! Piętrzące się fale waliły na brzeg gotowe zdruzgotać, zalać miasto całe. Cofały się potem z rykiem w niezgłębione jakieś zapadając się przepaście. Pootwierały się i zapadały białe, spienione ich grzbiety, roztrzaskując się na tysiące części, biegly zasilać i wydymać nowe nadbiegające z dala góry. Góry te ruchliwe wygładzały się w równiny, wzbijały się w prostopadłe lub chropowate ściany skał płynnych, leciały, niewidoczną ręką ciskane, olbrzymie bałwany, o brzeg się z jękiem roztrzaskując, zmienne, niepochwytne, rozszalałe, w coraz nowe wcielając się kształty, coraz nowych szukając ujść i odpływów. Tam w głębi morze podnosiło się nagromadzonymi falami, ponad którymi kłębiły się chyże, gęste chmury. Niżej szybował ptak białopióry, samotny. Niebo groziło morzu, a morze porywało się, hucząc, na niebo.

Nie zastawszy Hama wśród rybaków i żeglarzy, którzy podobnej nie pamiętali burzy i po dziś dzień zaliczają ją do najstraszliwszych, jakie nawiedziły nasze brzegi, poszedłem do jego mieszkania. Było zamknięte. Nikt nie odpowiedział na moje pukanie. Udałem się tedy na plac, gdzie zwykle pracował. Tu powiedziano mi, że go nie było w mieście, pojechał do Lowestoft wezwany do naprawy jakiegoś okrętu. Nazajutrz miał wcześniej wrócić.

Wróciłem do oberży, lecz daremnie próbowałem zasnąć; umyłem się, ubrałem i tak mi czas zszedł do czwartej po południu. Niecałe pięć minut siedziałem przed ogniem, w kawiarni, gdy służący dorzucając węgli oznajmił mi, że dostrzeżono na morzu resztki dwóch okrętów, widziano też jakieś inne statki usiłujące dobić do brzegów. „Niech nieba mają w swej opiece biedaków – skończył. – Zginą, jeżeli, broń Boże, nastąpi noc podobna do ostatniej”.

Czułem się przybity, samotny, a nieobecność Hama napełniła mnie trwogą nieodpowiednią wcale tak zwykłemu wypadkowi, jak niezastanie go w Yarmouth.

Wypadki ostatnich czasów podkopały mi siły i podróż w burzliwą noc pozostawiła swe ślady. W zamęcie myśli i wspomnień traciłem miarę czasu i odległości i jeślibym, wyszedłszy na ulicę, spotkał kogokolwiek, o kim wiedziałbym, że się znajduje podówczas w Londynie,

nie zdziwiłoby to mnie i nie zastanowiło bynajmniej. Roztargniony, miałem jednak myśli przepełnione wspomnieniami, jakie te miejsca budziły. Wspomnienia powstawały żywe, wyraźne, tłumne...

W takim nastroju wzmianka służącego o dojrzanych statkach złała się, pomimo mej woli, z niepokojem o Hama. Przeczucie mówiło mi, że musiał wracać morzem z Lowestoft i zginąć. Niepokój mój wzrastał do tego stopnia, że postanowiłem przed obiadem jeszcze wstąpić tam, gdzie zwykł był pracować, i rozpyłać towarzyszy, czy nie wiedzą czasem, jak miał wracać: lądem czy morzem? Jeśli morzem, zdecydowany byłem natychmiast wyjechać na jego spotkanie i przywieźć go lądem.

Zamówiłem obiad i wyszedłem pośpiesznie do fabryki. O mało co się nie spóźniłem. Stróż z latarnią w ręku zamykał bramę. Roześmiał się na me pytanie, upewniając, że człowiek przy zdrowych zmysłach nie mógł nawet marzyć o morskich wycieczkach w podobną porę, a Ham Peggotty posiadał przecie nie tylko rozum, ale i żeglarskie doświadczenie.

Przekonany tym oczywistym argumentem, wracałem zawstydzony do oberży. Wiatr szalał, a jego świst i wycie, skrzypienie drzwi i okiennic, kołatanie takie, że mi się zdawało co chwila, iż dach zrywa i zmiata dom cały, szum i ryk morza wzmagały się od południa i tym straszniejsze robiły wrażenie, że wszystko to pokryły nieprzeniknione ciemności.

Nie mogłem ani jeść, ani nawet usiedzieć spokojnie na miejscu. Jakiś wewnętrzny niepokój, zewnętrznej tej odpowiadający burzy, budził w mej pamięci tysiące różnych wspomnień. W głębi serca pozostawał ciągle głuchy niepokój o Hama.

Nie tknąłem prawie obiadu i próżno starałem się pokrzepić winem. Zdrzemnąłem się wprawdzie na chwilę, siedząc przed kominkiem, nie tracąc wszelako świadomości ani szalejącego tam na dworze orkanu, ani miejsca, w którym się znajdowałem. Tylko groza i burzy, i miejsca tego wzrosła do nadludzkich rozmiarów. Z drzemki obudziłem się drżąc cały, zimnym oblany potem, pod wpływem dręczącej, tajemniczej, opisać się nie dającej trwogi.

Chodziłem tam i z powrotem po pokoju, próbowałem czytać gazetę, wsłuchiwałem się w szum burzy, wpatrywałem się w ogień i wzory, które płomień tak jasno nieraz i wyraźnie rysuje. Jednostajny, monotony tik-tak wiszącego na ścianie zegara drażnił mnie ciągle. Postanowiłem położyć się.

Wieść, że służący zamierzali czuwać całą noc, była uspokajająca. Kładłem się zmęczony, rozbity, z ciężką nad wyraz głową, lecz gdy tylko przyłożyłem głowę do poduszki, przeszło mi to jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Czulem się rozbudzony, z podnieconą wrażliwością. O śnie nie było co i myśleć.

Leżałem, wsłuchując się w szum wichru i morza, wyobrażając sobie, to że słyszę krzyki jakieś, strzały w oddali, wołania o pomoc, sygnały, to znów, że się w mieście zapadają wichrem kołatanie domy. Wstawałem kilkakrotnie i podnosiłem rolety. Nie, nigdzie nic nie mogłem dojrzeć, oprócz błysku własnej mej świecy i odbicia na ciemnym tle szyb własnej mej poblądłej twarzy.

Niepokój mój wzrósł wreszcie do takiego stopnia, że nie mogąc dłużej wytrzymać, ubrałem się i zszedłem na dół. W obszernej kuchennej izbie, u której belek zwieszały się półcie słoniny i wianki cebuli, słudzy zebrani razem siedzieli naokoło dużego stojącego naprzeciw komina stołu. Ładna dziewczyna, zatykająca sobie uszy fartuchem, z oczyma wlepionymi we drzwi, porwała się z miejsca wystraszona moim zjawieniem się. Jak gdybym był duchem. Inni, mniej płochliwi, zdawali się zadowoleni raczej z powiększenia się towarzystwa. Jeden z obecnych mężczyzn, przedłużając rozpoczętą rozmowę, spytał mnie, czy to prawda, że dusze rozbitków unoszą się na skrzydłach burzy?

W towarzystwie tym pozostałem co najmniej ze dwie godziny. Lepsze to było od samotności. Parę razy otwierałem drzwi wyglądając na podwórze. Po ulicy walił piasek i piana morską, a drzwi bez pomocy paru mężczyzn zamknąć nie mogłem.

Pokój mój, gdy do niego wróciłem, wydał mi się ponury. Tak jednak byłem znużony, że niebawem zasnął. Sny miałem najrozmaitsze, zdawało mi się jednak ciągle, że miota mną wiatr. Pomału, tracąc wszelką samowiedzę, znalazłem się w obronnej jakiejś wieży, wśród kanonady, z dwoma przyjaciółmi – nie potrafiłbym tylko ich nazwać.

Grzmienie dział było ustawiczne i przeciągłe; nie mogłem dosłyszeć, co mi mówili, coś jednak, com chciał i powinien był słyszeć! Musiałem natężyć słuch i... zbudziłem się. Dzień był już wielki, ósma czy dziewiąta godzina, na dworze szalał wichur hucząc niby kanonada dział. Pukano do drzwi.

– Co tam? – spytałem.

– Statek się rozbił! – zawołano. – Tuż przy brzegu!

Porwałem się na równe nogi, o statek ten pytając.

– Dwumasztowy statek z Hiszpanii czy Portugalii wiozł owoce. Niech pan śpieszy, bo wkrótce nic z niego nie pozostanie.

Wołający oddalił się pośpiesznie, po schodach rozlegał się jego głos. Równie pośpiesznie odziałem się i wyszedłem.

Po ulicy ludzie biegli w kierunku morza. Pobiegłem za nimi, wyprzedzając niejednego. Teraz miałem morze przed sobą.

Wiatr ustał nieco, wycie jego nie tak było już straszne jak to, które mi się śniło, lecz morze po całonocnej burzy straszniejsze i groźniejsze jeszcze było niż minionego wieczoru. Wydęte, nabrzmiące jakby, ciemne fale podnosiły się i opadały z rykiem, podobne do konwulsyjnych wstrząśnięć.

W ogólnym zamieszaniu, huk, szumie wiatru i morza nie dojrzałem zrazu rozbijającego się okrętu. Wichur tamował mi oddech, a przed oczyma majaczyły czuby i szczyty wzdętych bałwanów. Na pół zaledwie odziany żeglarz nagą po ramię, tatuowaną ręką wskazał mi w lewo. Wówczas, o Nieba, dojrzałem go! Jeden maszt strzaskany leżał wśród stosu porwanych lin i żagli bijąc boki miotanego, kręcącego się na miejscu statku. Usiłowano snadź maszt odciąć. Rozbitkowie pracowali jeszcze uzbrojeni w siekiery, a wśród nich górował jeden, o wijących się włosach, czynny, energiczny. Wtem rozległ się znowu olbrzymi, głuszący huk burzy i morza! Powstał krzyk. Ludzie, krokwie, beczki, bale, żagle i liny, wszystko to zniknęło pod nadbiegła hordą wzdętych bałwanów...

Drugi maszt sterczał jeszcze obwieszony łachmanami porwanych lin i żagli. Okręt dał już był raz nurka, tłumaczył mi ten sam żeglarz, co go wskazywał, i dodał, zdaje mi się, że znów wypłynie i kto wie, może ostatecznie da się coś uratować.

Było to prawie niemożliwe. Morze miotało statkiem tak wściekle, że chyba żadne nadludzkie wysiłki podołać mu nie mogły. Żeglarz nie skończył jeszcze mówić, gdy na brzegu rozległ się nowy krzyk. Czterech ludzi, wyrzuconych przez bałwany, czepiało się masztu, ten z wijącymi się włosami był pierwszy.

Przy maszcie znajdował się dzwon. Okręt wił się i szarpał podobny szaleńcowi w śmiertelnych zapasach, i dzwonił, a dźwięki zmieszane z wołaniem rozbitków przebijały przez szum wichru i ryk morza. Znowu statek zniknął nam sprzed oczu i raz jeszcze wypłynął. Z czterech ludzi było na nim już tylko dwóch. Na brzegu wzmogła się śmiertelna rozpacz, mężczyźni z jękiem załamali ręce, kobiety z łkaniem odwróciły głowy. Niektórzy biegali tam i z powrotem, wołając o niemożliwy ratunek. Sam byłem pomiędzy tymi ostatnimi. Oszalały, błagałem marynarzy o niesienie pomocy tym dwóm nieszczęsnym, walczącym na oczach naszych z niechybną śmiercią.

Odpowiadali mi bezładnie, że łódź ratunkowa była już spuszczone, lecz daremnie. Mówili, że nie znajdzie się taki szaleniec, co by się ważył rzucić w morze z liną ratunkową. Nie było co i próbować.

Wśród zebranych na brzegu widzów straszego tego dramatu zauważyłem ruch jakiś i nagle dostrzegłem Hama. Rzuciłem się do niego błagając o pomoc dla tonących, lecz wstrzymał

mnie wyraz jego twarzy. Wyraz ten znałem. Ten sam to, który zauważyłem po ucieczce Emilki! Zrozumiałem niebezpieczeństwo. Uczepiłem się go gwałtownie, błagając żeglarzy i rybaków, by go nie puszczali, trzymali na brzegu...

Nowy krzyk rozdarł powietrze. Okrutny, bezduszny żagiel znów opadł, pokrywając dwóch walczących o życie – opadł, podniósł się, rozwinął triumfalnie ponad głową jedyne z rozbitków, co pozostał uczepiony do masztu.

Ach, gdybym był w mocy przezwyciężyć to okrucieństwo sytuacji i odwieść od powziętego zamiaru tego zdecydowanego na śmierć człowieka.

– Paniczu – rzekł Ham spokojnie, ściskając mi silnie dłoń – jeśli godzina moja wybiła, tym lepiej, jeśli nie, przywołać ją pora. Bóg z tobą, paniczu, i z wami wszystkimi. Hej, bracia, powrozów!

Odrzącił mnie stanowczo, lecz łagodnie. Ludzie nas rozdzielili. Zrozumiałem, że utrudniam ratunek. Nie wiem już, com mówił i co mi odpowiadano, widziałem tylko, jak na brzegu zawrzało. Ham znikł mi z oczu, otoczony rybakami. Po chwili dopiero, odziany w ratunkowe przybory, z powrozem w rękę, drugim uwiązany dokoła pasa, wszedł śmiało w wodę. Rybacy stanęli rzędem za nim.

Szczałki statku, widziałem to nawet mym niedoświadczonym okiem, musiały zatonać. Kałuża roztrzaskała fale. Życie czepiającego się masztu rozbitka zawisło na włosku. Dziwny miał on kapelusz, czerwony, ale nie taki, jakie zwykle noszą majtkowie. Powiewał nim ku nam, a dzwon tam nad nim, przy maszcie, pogrzebowe, zdawało się, wydzwaniał psalmy. Widzę go, widzę – ten ruch ręki przypomniał mi nagle tego, co był mi niegdyś, najukochańszym. przyjacielem!

Ham śledził morze. Na brzegu zaległa cisza śmiertelna, nad morzem szalała burza. Ham obejrzał się na tych, co trzymali opasujące go sznury, i rzucił się w spienione bałwany. Wyrzuciły go na brzeg.

Był ranny. Dojrzałem krew, pomimo to, zamieniwszy kilka słów z rybakami, rzucił się ponownie.

Bałwany porwały go, wzbijając, to znów ciskając w odmęty i morskie przepaści, lecz, bądź co bądź, mimo parcia wichru i fali, dopływał do statku. Jeszcze jedno, dwa uderzenia silnych tych i muskularnych ramion, a pochwyci maszt z zawieszonym na nim... Wtem olbrzymia, zielonkawa podniosła się góra, niczym nie powstrzymana, nadbiegła, uderzyła o maszt strzaskany, opadła – nic nie pozostało na powierzchni wody. Nic.

Wirowały szczątki czegoś; ciągniono coś na brzeg pracowicie, z nateżeniem mięśni, myśli, spojrzeń. Wyciągnięto go tuż u nóg mych – martwego. Przeniesiono do najbliższego domu. Byłem przy nim, próbując wraz z innymi wszystkich sposobów ratunku. Fale, w które się rzucił, miotając nim zabiły go... Przeszło bić szlachetne serce.

Nie było żadnej nadziei. Sam pozostałem przy zwłokach. Z ciężkiej zadumy zbudził mnie rybak, co znał nas, mnie i Emilkę, gdyśmy byli jeszcze dziećmi.

– Panie – mówił ze łzami w oczach i pobladłymi ustami – może by pan z łaski swej wyszedł.

Opierając się na ramieniu, które wyciągnął, by mnie podeprzeć, spytałem go pełen trwogi:

– Czy morze wyrzuciło inne jeszcze zwłoki?

– Tak jest – odrzekł.

– Znane mi?

Nic nie odpowiedział, lecz wiódł prosto na brzeg.

Tam właśnie, gdzieśmy niegdyś małymi dziećmi będąc zbierali z Emilką muszle, a gdzie teraz leżały strzaskane burzą ściany dawnej łodzi, obok połamanego dachu, pod który wniósł krzywdy tyle, leżał, z głową opartą na rękę tak, jak zwykłem go być widywać śpiącym niegdyś... w szkole.

ROZDZIAŁ LVI NOWA I STARA RANA

Nie potrzebowałeś, Steerforcie, prosić mnie w ostatniej naszej rozmowie – mógłbym przypuszczać, że będzie ostatnią! – nie potrzebowałeś prosić, bym, bądź co bądź, dobrze zachował po tobie wspomnienie. Takie tylko zachowałem i to, com teraz miał przed oczyma, nie mogło zamknąć ci mego serca!

Przynieśli nosze, złożyli go na nich, żagle przykryli i ponieśli przez ulice. Wszyscy go tu znali, lubili za odwagę i wesołość. Przez ludne ulice, poprzedzani wielką ciszą, nieśli go do domu przez śmierć już zamieszkanego.

Lecz zanim złożyli go, obejrzeni się po sobie, spojrzeli na mnie i na niego, zrozumieli, w prostocie serc swoich, że nawet po śmierci ci dwaj nie mogli pozostawać tu razem.

Ponieśliśmy go tedy znów przez miasto, do oberży. Gdybym mógł jako tako zebrać myśli, posłałem po Jorama i zleciłem mu, by zajął się przewiezieniem zwłok do Londynu. Czułem, że na mnie ciąży obowiązek przygotowania matki jego do straszego ciosu. Obowiązek ten spełnić chciałem wiernie.

Postanowiłem wyjechać wieczorem, by uniknąć ciekawości ludzkiej, lecz chociaż zbliżała się północ, gdyśmy opuszczali oberżę, na ulicach pełno było ludzi. W miarę jak posuwaliśmy się przez miasto, orszak rósł, aż za miastem wreszcie znalazłem się w pustym polu, sam ze zwłokami przyjaciela lat chłopięcych.

Był cichy i pogodny dzień jesienny, turkot kół tłumiły opadłe i zaścielające drogę liście, inne, złotożółte i purpurowe, zdobiły jeszcze drzewa, gdy o południu stanął w Highgate. Wysiadłem z powozu i pieszo zbliżyłem się do domu pani Steerforth.

Dom wyglądał jak zwykle. Żadnej nie podniesiono rolety i na dziedzińcu nie było znaku życia. Wiatr ustał, w powietrzu zupełna panowała cisza.

Odwagi mi brakło, by zadzwonić. Myślałem się zatrzymać u bramy, a gdy potracił dzwonek, zdawało mi się, że sam dźwięk jego zdradzi tajemnicę mych odwiedzin. Drzwi otwarła mi służąca.

- Z przeproszeniem pańskim – rzekła przypatrując mi się uważnie – pan słaby?
- Wzruszony i zmęczony – odrzekłem.
- Może się coś przytrafiło panu Jamesowi?
- Cyt! Tak, istotnie, przytrafiło mu się coś, o czym oznajmić muszę jego matce. Zastałem panią Steerforth w domu?

Zaniepokojona służąca oznajmiła mi, że pani jej rzadko kiedy wyjeżdża nawet na przejażdżkę, nie wychodzi prawie ze swego pokoju i nie przyjmuje nikogo, lecz że zapewne ze chce się ze mną widzieć. Jest tam na górze i panna Dartle jest przy niej. Co mam oznajmić?

Dałem jej mą kartę wizytową, zleciwszy jak największy spokój. Miała powiedzieć po prostu swej pani, że pragnę ją widzieć. Czekając powrotu służącej usiadłem w salonie. Pusty był i zasłonięte miał okna. Harfa stała nie tknięta snadź od dawna. Na ścianie wisiał jego portret z lat dziecięcych; biurczko, w którym matka chowała jego listy, stało na swym miejscu. Czy je przegląda jeszcze czasem? Czy je kiedykolwiek będzie odczytywać!?

W domu taka panowała cisza, żem z dala już słyszał lekkie kroki powracającej sługi. Pani jej słaba była i zejść do salonu nie mogła, lecz prosiła mnie na górę, do swego pokoju.

Nie upłynęło kilka minut, a stałem przed nią. Nie w jej jednak, lecz w syna zastałem ją pokój! Pokój ten zajęła zapewne przez pamięć dla nieobecnego. Otaczały ją należące do syna przedmioty, nie tknięte, rzekłbyś, odkąd komnatę tę opuścił. Pomimo to, witając mnie, czuła się w obowiązku nadmienić coś o tym, że się tu znajduje tylko wypadkowo, gdyż pokój ten doktorowie uznali za zdrowszy i obszerniejszy.

Nie opodal, jak zwykle, stała Róża Dartle. Pierwszym rzuconym na mnie spojrzeniem czarnych, płomiennych oczu pochwycić musiała, że złe przynoszę wieści. Szrama wystąpiła ostro na jej lica. Cofnęła się, zapewne w obawie, by wyraz jej twarzy nie zdradził wzruszenia, lecz oczy jej przeszywały mnie.

– Smutno mi widzieć pana w żałobie – ozwała się pani Steerforth.

– Owdowiałem, pani.

– Zbyt młody pan jesteś na tak ciężką stratę. Współczuję panu, współczuję. Oby ci czas boleść ukoił.

– Ufam – odrzekłem – że czas wszystkich nas ukoï, kochana pani. Wobec najstraszliwszych ciosów nie powinniśmy wątpić o tym.

Zaniepokoił ją głos mój wzruszony i łzy w oczach. Zdawało się, że bieg jej myśli zatrzymał się nagle i zmienił kierunek.

Usiłowałem spokojnie wymówić imię jej syna, lecz głos mój zdradził mnie swym drżeniem. Imię to powtórzyła za mną kilkakrotnie, jak przyciszone echo. Siłąc się potem na spokój, spytała mnie z wymuszonym chłodem:

– Syn mój chory?

– Słaby.

– Widziałeś go pan?

– Widziałem.

– Pogodziliście się tedy?

Nie mogłem na to odpowiedzieć ani twierdząco, ani przecząco. Odwróciła się, szukając Róży Dartle; skorzystałem z tej chwili, by ruchem ust powiedzieć tej ostatniej:

– Nie żyje!

Dla odwrócenia uwagi pani Steerforth, spotkałem wzrok jej ze względnym spokojem, chociaż widziałem, jak za krzesłem jej Róża z rozpaczyny załamała nad głową ręce, zanim skryła w nich swą twarz.

Piękna pani – o, jak podobna, jak podobna do niego! – wpatrywała się we mnie pytająco. Prosiłem ją, aby zebrała wszystkie swe siły dla wysłuchania tego, com jej miał powiedzieć. Czemużem raczej do płaczu jej nie namawiał! Zdawało się, że skamieniała od razu.

– Gdym tu był po raz ostatni – począłem – panna Dartle mówiła mi, że pływa on tu i ówdzie. Jeśli to prawda, że onegdajszej nocy był na morzu i w nader niebezpiecznym miejscu, i jeśli widziany statek był istotnie...

– Różo! – krzyknęła pani Steerforth. – Do mnie, Różo!

Podeszła, lecz bez słowa pociechy i ukojenia. Z oczu jej tryskał ogień, wybuchła głośnym śmiechem.

– Oto do czego doprowadziła twa duma, szalona kobieto! – zawołała. – Zdziwił cię wreszcie, tracąc życie, słyszysz, życie tracąc!

Pani Steerforth z jękiem opadła na poręcz krzesła i osłupiałym wzrokiem patrzyła na Różę.

– Tak! – zawołała Róża Dartle uderzając się gwałtownie w piersi. – Patrz na mnie, jęcz i przeklinaj, lecz patrz na mnie! Tu! Syna twego dzieło! Podniosła rękę do przecinającej twarz jej blizny. Pani Steerforth jęczała tylko – och! Jęk ten serce mi rozdzierał. Skarga bez słów i łez, której towarzyszył automatyczny jakiś ruch głowy, twarz kamienna, nieporuszona. Jęk wychodzący poprzez zaciśnięte – z szatańską rzekłbyś mocą – usta i zęby.

– Czy to pamiętasz – mówiła nieubłagana Róża Dartle – czy pamiętasz, jak odziedziczywszy dumę twą i porywczosć, któreś pieszczotami w nim rozwijała, skaleczył mnie, na całe oszpecił życie, do śmierci napiętnował swym niezadowoleniem. Patrz na mnie i jęcz, i przeklinaj własne swe dzieło.

– Panno Dartle – wtrąciłem – na Chrystusa rany...

– Wypowiem raz przecie, co mam na sercu – zwróciła się do mnie z rozbłysłymi oczyma. – Nie mieszaj się, proszę, w nie swoje sprawy! A ty, dumna matko dumnego a wiarołomnego syna, patrz na mnie, jęcz i przeklinaj dziedzictwo swe, jęcz nad swym własnym odbitym w nim zepsuciem, jęcz nad stratą jego, nad moją jęcz zgubą.

Łamała ręce; wstrząsały nią całą konwulsyjne dreszcze.

– Ha! Cierpiałaś przez samowolę jego! Cierpiałaś przez dumę i porywczosć, sama go tymi nakarmiwszy jady. Wyssał je z mlekiem twych piersi. Widzisz, jak i czym dzieło twe uwięzione zostało!

– O, panno Dartle! – wtrąciłem ponownie – jak się pani nie wstydzisz! Gdzie masz serce!

– Mówiłam – odparła – że powiem wszystko, nic mnie już wstrzymać nie zdoła. Milczałam dotąd, przez długie milczałam lata, teraz na mnie kolej mówić. Kochałam go stokroć więcej, niżej go sama kochała! Kochałabym go, nie prosząc nawet o wzajemność. Jeślibym została jego żoną, jak niewolnicę nagiąłby mnie do swych fantazji, za słowo jedno, całe bym mu, bez wahania, oddała życie! Któż to lepiej ode mnie wiedzieć może? Tyś była wymagająca, dumna, samolubna. Moje kochanie zdeptać mogło całą twą nędzną czułościowość.

Tupała nogą, a oczy jej błyszczały.

– Patrz! – wołała, znów rękę do blizny podnosząc. – Patrz! Gdy się opamiętał, dostrzegł to i żałował. Śpiewałam mu, mówiłam z nim, okazywałam zajęcie wszystkim, co go zajmowało. Gdy lepszy był i szczerzy, wówczas to kochał mnie. Tak, kochał mnie i nieraz zbywając cię czczym słówkiem do bijącego i gorącego serca mnie tulił.

Mówiła to z dumą. Wspomnienie to pobudzało najlepsze z jej uczuć.

– Zostałam, czegoż by nie wymógł na mnie! Byłam mu lalką, rozrywką bezczynnych godzin, rzucaną i znów braną gwoli kaprysów igraszka. Gdy się nudził, byłam znudzona, a gdy kaprys mijał, nie poruszyłabym palcem ręki, by na nowo zadzierzgać węzły, zostałabym nawet jego żoną, gdyby tego zażądał. Rozstaliśmy się bez słowa. Musiałaś to zauważyć i cieszyłaś się z tego w duszy. Odtąd byłam pomiędzy wami dwojgiem zużytym, lecz potrzebnym sprzętem, bez oczu, uszu, czucia, pamięci! Jęcz, jęcz nad nim, lecz nie nad nędznym kochaniem swym, bo ci powtarzam, kochałam go stokroć więcej!

Stała prosto, oko w oko ze skamieniałą z bólu niewiastą, niemiłosierną, nieubłagana, głucha na jęk rozdzierający.

– Panno Dartle – rzekłem – jeśli pani niezdolna odczuć boleść tej nieszczęsnej matki...

– A mojej kto współczuł boleści? – przerwała mi gwałtownie. – Niech jęczy i przeklina własny zasiew, którego plon dziś zbiera.

– I jeśli jego winy... – ciągnąłem.

– Winy! – zawołała wybuchając spazmatycznym płaczem. – Winy! Kto go śmie oskarżać! Miał on serce i duszę wartę tysiąca przyjaciół, do których się skłaniał.

– Nikt go pewnie – odrzekłem – więcej ode mnie nie kochał i nie cenił i dlatego mówię pani, że jeśli nie masz współczucia dla jego matki i jeśli gorycz, z jaką wspominasz winy jego...

– To nieprawda! – krzyknęła targając sobie włosy. – Ja go kochałam!

– ...Nie może być zapomniana – ciągnąłem – w podobnej nawet chwili, spójrz pani na tę nieszczęsną, chociaż tak, jak gdybyś ją tu po raz pierwszy dopiero widziała, i śpiesz jej z pomocą.

Ani twarz, ani cała postać pani Steerforth nie drgnęła. Siedziała sztywna, z szeroko otwartymi oczyma z zaciśniętymi ustami, tylko się z jej piersi wydierał jęk cichy i głowa poruszała się z wolna, automatycznie. Nagle panna Dartle rzuciła się przed nią na kolana i zaczęła jej rozluźniać suknię na piersiach.

– Bądź przeklęty! – zawołała, rzucając mi spojrzenie, w którym wściekłość mieszała się z rozpaczą. – Przeklęty bądź ty i ta godzina, w której przestąpiłeś próg tego domu!

Wyszedłem dzwoniąc na służbę, lecz odchodząc widziałem, jak klęcząc przed nią objęła zeszywniałą kobietę pokrywając ją łzami i pocałunkami, najczulszymi nazwami i słowami usiłując przywołać do życia. Wyszedłem nie bojąc się już zostawić ich samych.

Później wwiódłem go pod dach rodzinny. Ustawiliśmy zwłoki w pokoju pani Steerforth. Stan jej, jak mi powiedziano, najmniejszej nie uległ zmianie. Panna Dartle ani na krok od niej nie odstępowała, przywołano lekarzy i najrozmaitszych próbowano środków, nic nie pomagało. Leżała sztywna, nieruchoma, jedynym śladem życia był jęk cichy.

Przeszedłem przez wszystkie pokoje zasłaniając okna. W pokoju, w którym spoczął, zasłoniłem na ostatku. Podniosłem zwiśla dłoń i długo ją tuliłem do serca. Wszystko zamarło, w grobową głuszę zapadło. Tylko jęki matki głuszę tę przerywały.

ROZDZIAŁ LVII EMIGRANCI

Jedno mi jeszcze pozostało przed folgowaniem żalowi, jaki powyższe wypadki wywołały, a mianowicie – skryć je przed odjeżdżającymi. Niech odjadą spokojni. Nie miałem czasu do stracenia.

Tego samego jeszcze wieczoru wzięwszy na stronę pana Micawbera zleciłem mu czuwanie, by wieści o tym, co zaszło, nie dotarły do pana Peggotty. Obiecał mi to solennie, zamierzając przejmować dzienniki.

– Nie dojdą do niego – twierdził ze zwykłą sobie emfazą – chyba poprzez to serce.

Tu wypada mi nadmienić, że pan Micawber, odpowiednio zapewne do zmienionej swej pozycji społecznej, przybrał minę dziwnie zuchwałą, wyzywającą. Niejeden mógł go wziąć za syna dzikich stepów, który spędziwszy czas jakiś w kraju cywilizowanym, z radością powraca znów do ojczystych, dzikich zakątków. Sprawił sobie ceratowe ubranie i ogromny z wykrzywionymi brzegami słomkowy kapelusz. Z teleskopem pod ramieniem, przypatrując się z miną głębokiego znawcy chmurom, wyglądał jak marynarz, co zjadł zęby w swoim zawodzie. Cała też jego rodzina była pod bronią. Pani Micawber miała na głowie kapelusz, który nie zakrywał jej nawet warkocza, i spowiła się szalem równie ciasno, jak mnie niegdyś przy pierwszym ze mną spotkaniu skrępowwała ciotka. Szal, skrzyżowany na piersiach, związany był w stanie w olbrzymi węzeł. Młody Micawber nosił marynarską kurtę i najdziwniejsze, jakie mi się kiedy bądź widzieć zdarzyło, szarawary, a bliźnięta wyglądały jak konserwy wtłoczone w puszki. Pan Micawber i pierworodny syn jego nosili ciągle przy tym odwinięte rękawy, góto-wi, rzekłbyś, na pierwsze zawołanie stanąć do pracy lub bójki.

Tak właśnie zastaliśmy ich wieczoru tego na drewnianych stopniach, znanych wówczas pod nazwą: Hungerford Stairs, przypatrujących się odpływaniu łodzi uwożącej część ich mieszkania. Opowiedziałem Traddlesowi wszystko, co zaszło. Zmartwił się tym bardzo i podzielał me zdanie, aby zachować tajemnicę przed odjeżdżającymi. Tutaj to zastaliśmy pana Micawbera i otrzymaliśmy jego obietnicę.

Rodzina Micawberów mieszkała w pobliżu, w brudnej oberży, której okna wychodziły na owe drewniane stopnie. Jako emigranci zwracali oni na siebie ogólną uwagę. Woleliśmy tedy schronić się do izdebki na poddaszu, z widokiem na rzekę. Zastaliśmy tam ciotkę i Agnieszkę, zajęte szyciem wygodniejszej odzieży dla dzieci. Pomagała im Peggotty, mając przed sobą nieodstępne swe pudełko do robót i stary kawałek wosku, co tylu przeżył.

Niełatwo mi było odpowiadać na pytania, którymi mnie zarzuciła, ani też szepnąć panu Peggotty, że spełnił jego zlecenie. Uszczęśliwiło go to, a własna żaloba wytłumaczyła smutek rozlany na mej twarzy.

– Kiedy rozwijacie żagle? – spytała ciotka. Pan Micawber, który uważał za obowiązek swój przygotować do wieści ciotkę i swą żonę, odrzekł, że prędzej, niż sądził.

– A zatem? – spytała ciotka.

– Oznajmiono mi, pani – rzekł – żeśmy powinni być jutro przed siódmą rano na pokładzie.

– Jutro? Tak prędko! – zawołała ciotka. – Jestże to pewne, panie Peggotty?

– Tak, pani – odrzekł. – Odplywamy rano, a panicz Davy i siostra moja, jeśli zechcą, zobaczą nas raz jeszcze po południu w Gravesend.

– Nie możecie o tym wątpić – pośpieszyłem zapewnić.

– Do tej też chwili ja i pan Peggotty musimy ciągle czuwać razem nad transportem bagaży – ozwał się Micawber spoglądając na mnie znacząco. – Emmo, duszko – dodał cmokając ustami – przyjaciel nasz pan Tomasz Traddles prosi mnie, bym mu dozwolił zaordynować ingredencje potrzebne dla przygotowania kordiału, co wraz z rostbefem pozostanie nieoddzielny od wspomnień starej, którą porzucić mamy, ojczyzny, słowem, domyślasz się, duszko, że mowa o ponczu. W poprzednim biegu życia nigdy nie pozwoliłbym sobie korzystać z uprzejmej propozycji naszego przyjaciela i nadużywać pobłażliwości tu obecnych panny Trotwood i panny Wickfield, lecz... dziś...

– Co do mnie – ozwała się ciotka – z przyjemnością wypiję za powodzenie waszej podróży.

– I ja też – dorzuciła Agnieszka.

Pan Micawber udał się tedy niezwłocznie do kawiarni, gdzie go doskonale znano i skąd wrócił obładowany niezbędnymi do zrobienia ponczu ingrediencjami. Zauważyłem, że scyzoryk, którym obierał cytryny, był niezwyklej długości. Ocierał go z pewną niedbałością o rękaw swego surduta, jak przystało człowiekowi pierwotnych obyczajów. Pani Micawber, z dwojgiem starszych dzieci, została zaopatrzona w takież same praktyczne scyzoryki, a bliźnięta miały uwiązane u pasków olbrzymie drewniane łyżki. W przewidywaniu też życia w pustyni, pan Micawber, chociaż mu nietrudno było dostać w Londynie szklanki, rozlewał poncz w małe cynowe, podróżne snadz kubki. Zdawało się zresztą, że mu ulubiony jego kordiał szczególnie smakuje z tego kubka, który za każdym razem wycierał chustką do nosa i chował w olbrzymiej kieszeni.

– Rozstajemy się – mówił z zadowoleniem – ze zbytkami i wykwintami starego ładu. Obywatele dziewiczych lasów nie mogą przecie korzystać z wytworów cywilizacji krain wolnych i oświeconych.

W tej chwili zawezwano pana Micawbera na dół.

– Przeczcucie mówi mi – ozwała się pani Micawber – że to ktoś z mej rodziny.

– Jeśli tak – pan Micawber uniósł się, jak to zwykle bywało przy każdej wzmiance o rodzinie żony – jeśli tak, ów ktoś, czy to on, ona czy ono, kazał nam na siebie czekać zbyt długo! Niechże teraz poczeka z kolei.

– Mężu – upomniała go z cicha żona – w podobnej chwili...

– Pięknym za nadobne! – wołał pan Micawber, powstając z miejsca. – Odepchnięty byłem.

– Nie ty, ale rodzina moja straciła na tym – upewniała pani Micawber – a jeśli poczuła w końcu, co straciła, i wyciąga dziś dłoń zgody, niechże dłoń ta nie zostanie odepchnięta.

– Niech i tak będzie – rzekł pan Micawber z rezygnacją.

– Zrób to, jeśli nie dla nich, to dla mnie – błagała go żona.

– Słowa twe, Emmo, w danej chwili są mi rozkazem. Wiem, że nie jestem i nie będę ciężarem twej rodziny, lecz nie chcę, by członek takowej, który przyjazną do mnie dłoń wyciąga, odszedł z niczym.

Rzekłszy to pan Micawber wyszedł. Pani Micawber wyraziła niepokój o zapalczywy temperament męża. Po kilku chwilach służący z dołu wrócił podając mi kartkę, na której było napisane: „Heep przeciw Micawberowi”.

Z dokumentu tego dowiedzieliśmy się dalej, że pan Micawber znowu aresztowany, wpadł w nowy paroksyzm rozpaczy, prosząc przy tym, bym mu przez oddawcę niniejszego przysłał szczyryk i kubek, które mogą mu być potrzebne w ostatnich dniach życia, spędzonych w okowach. Jako dowód przyjaźni upraszał mnie, bym odwiedzał czasem jego rodzinę w przytułku i zapomniał o „nieszczęsnym stworzeniu”, to jest o nim samym.

W odpowiedzi na pismo to udałem się niezwłocznie, by zapłacić dług. Pan Micawber siedział zaszepiony w kącie pokoju i patrzył ponuro na urzędnika sądowego, który przybył tu z wyrokiem. Po uwolnieniu uściskał mnie z wylaniem i wziął się do zapisywania opłaconej sumy w swoim notatniku, wielkie rzeczy robiąc z pół pensa, którego opuściłem przy podliczaniu.

Notatnik ten przypomniał mi snadź inne jeszcze zobowiązania. Gdy wrócił, a nieobecność swoją wyjaśnił „niezależnymi od siebie okolicznościami”, wyjął duży arkusz papieru złożony w kilkoro i cały pokryty długimi rzędami cyfr, starannie wykaligrafowanymi. Tylu cyfr razem nie zdarzyło mi się widzieć w żadnym szkolnym zeszytcie. Były to spisy procentów i procentów od procentów, jak się okazało. Po rozejrzeniu się w swych notatkach i pracowitym wylizaniu, nakreślił weksel płatny za dwa lata, dwa miesiące i dni czternaście, który to weksel wręczył Traddlesowi, zapewniając o swej wdzięczności i wypłacalności.

– Mam jednak przecucie – mówiła pani Micawber w zamyśleniu potrząsając głową – że rodzina moja zjawi się na pokładzie w chwili naszego odjazdu.

Pan Micawber musiał też mieć przecucia jakieś w tym względzie, lecz ich nie wyjawiał.

– Jeśli będziesz pani pisywać do kraju – ozwała się ciotka – nie zapomnij, proszę, udzielić nam wieści o sobie.

– Kochana pani – odrzekła pani Micawber – miło mi będzie myśleć, że mogą panią interesować wieści o nas, i nie omieszkać z pewnością takowych udzielać. Ufam też, że pan Copperfield, jako stary znajomy i dobry przyjaciel, pozwoli pisywać do siebie od czasu do czasu tej, która go znała, zanim jeszcze bliźnięta posiadały świadomość istnienia.

Odpowiedziałem, że listy jej prawdziwą sprawić mi będą przyjemność, jeśli znajdzie sposobność przesyłania takowych.

– No, sposobności, chwała Bogu, nie zabraknie – zawołał pan Micawber. – Ocean jest obecnie traktem okrętów, spotykać je będziemy na każdym kroku. Jest to – ciągnął bawiąc się monoklem – po prostu spacer, przejażdżka. Przestrzeń istnieje tylko w wyobraźni.

Jakże to dziwne a jednak podobne było do niego! Wyjeżdżając z Londynu do Canterbury wyobrażał sobie, że udaje się na krańce świata, lecz gdy porzucił Anglię dla Australii, przestrzeń traktował lekko, była to dlań przejażdżka, ot, po prostu niewinna wycieczka w sąsiedztwo.

– W drodze – mówił – zabawimy się gawędką, a muzykalne uzdolnienia mego syna przyczynią się do ogólnej rozrywki. Pani Micawber, jeśli jej zdrowie pozwoli, zaśpiewa nam niejednokrotnie ulubioną balladę, delfiny i inne morskie stwory dostarczą sposobności podziwiania ich, budząc ustawiczną ciekawość. Słowem, uwaga i wyobraźnia nasza tak będą zajęte, że się zdziwimy, gdy przyjdzie pora wylądowania.

Mówiąc to wychylał kubki ponczu, jak gdyby nie wiem wiele już razy przepływał tam i z powrotem ocean i posiadał nie wiem już jakie żeglarskie doświadczenie.

– Co do mnie, kochany panie Copperfield – mówiła pani Micawber – mam nadzieję, że niektórzy członkowie rodziny mojej wrócą do dawnej ojczyzny. Nie marszcz się tak, mężu, nie mówię tego o nas samych, lecz o dzieciach dzieci naszych. Pomimo całej żywotności nowych flanców, przeszczepionych na świeży grunt, niepodobna mi decydować się na ostatecz-

ne zerwanie starych więzów i gdy potomstwo nasze wzbogaci się w siły, fortunę i znaczenie, pragnęłabym widzieć je znów tu, na Łonie macierzystej Brytanii.

– Kochanie – zauważył pan Micawber – pozwolę sobie zauważyć, że mało co zawdzięczam Brytanii i nie żywię przeto dla niej podobnie przyjaznych uczuć.

– Mylisz się, mój mężu – mówiła pani Micawber – gdyż odjeżdżasz na dalekie, obce brzegi, w celu wzmocnienia, nie zaś rozluźnienia istniejących pomiędzy sobą a Albionem więzów.

– Więzy te do niczego mnie dotąd nie zobowiązały, a nie śpieszno mi wcale zadzierzgnąć nowe – mruknął pan Micawber.

– I znów mylisz się, mój mężu – mówiła pani Micawber – nie doceniasz sił własnych. Więzy pomiędzy tobą a Albionem wzmogą się przez ten krok, któryś przedsięwziął, a również zadzierzgną się i nowe.

Pan Micawber słuchał zapewnień żony, siedząc rozparty w fotelu, z podniesioną brwią, na poły zgadzając się z jej zdaniem.

– Kochany panie Copperfield – mówiła pani Micawber – pragnęłabym, aby mąż mój zrozumiał swe zadanie. Wydaje mi się rzeczą wielkiej wagi, by od pierwszej chwili pojął wymagania nowego położenia. Znając mnie od tak dawna, wiesz, kochany panie Copperfield, że nie mam tak zapalczywego, jak mąż mój, temperamentu. Usposobienie moje jest, że tak rzec mogę, na wskroś praktyczne. Wiem, jak daleką przed sobą mamy drogę, wiem, że nas czekają przeróżne trudy i niewygody. Na oczywistość tę nie zamykam dobrowolnie oczu, lecz znając zarazem mego męża, wiem, jak rozległymi rozporządza środkami, i dlatego właśnie chcę, aby zdawał sobie jasno sprawę z obecnego swego zadania.

– Pozwolę sobie zauważyć, kochanie – ozwał się pan Micawber – że zdaję może sobie sprawę w zupełności...

– Nie sędzę, mężu – odrzekła. – Położenie męża mego, kochany panie Copperfield, wychodzi z ram powszedniości. Mąż mój udaje się w odległe krainy z tym, by zostać tam od razu zrozumianym i ocenionym. Otóż pragnę, by się oparł stanowczo na kotwicy przyszłości, mówiąc sobie: „Ziemię tę podbić muszę, zaszczyty, bogactwo, wpływowe i przodownicze stanowiska, wszystko to mi się z prawa należy”.

Pan Micawber spoglądał na nas tak, jak gdyby przyznał żonie najzupetniejszą słuszność.

– Pragnę, nie wiem, czy zdołam to jasno wyrazić – ciągnęła pani Micawber – pragnę, jednym słowem, by mąż mój podbił Fortunę, jak ongi Cezar podbił świat. Oto, kochany panie Copperfield, cel, zdaniem moim, godny ofiar i pracy. Chcę, aby od pierwszej chwili podróży mąż mój wsparł się na kotwicy przyszłości mówiąc: „Dość zwłoki, dość zawodów i rozczarowań, ograniczonych środków. Dobrze to było na stałym lądzie, ale nie tu, wobec dziewiczej przyrody! Teraz kolej na mnie!”

Pan Micawber założył ręce na piersiach; decyzja malowała mu się na twarzy.

– W ten to sposób – dowodziła pani Micawber – mąż mój zawładnąć zdoła położeniem i dlatego zauważyłam, że zacieśni, nie zaś rozluźni więzy pomiędzy sobą a Brytanią, bo wiem przecie, że raz opanowawszy władzę w Australii, posiedzie też w Anglii pewne znaczenie. Kobietą tylko jestem, kochany panie Copperfield, lecz niegodną byłabym siebie i papy mego, jeślibym o tym zwątpić miała. Byłoby to słabością nie do darowania.

Przekonanie o niezbitości własnych argumentów dodawało słowom pani Micawber nie znanego mi przedtem brzmienia.

– I oto dlaczego – ciągnęła – pragnę, abyśmy w przyszłości wrócić mogli do rodzinnego kraju. Mąż mój – niepodobna mi nie przyznać tej ewentualności – zapisze wielką stronicę w historii i zmuszony zostanie do zrobienia czegoś i dla ojczyzny, która mu dała życie, ale nie dała odpowiedniego uzdolnieniom jego pola do działania.

– Kochanie – ozwał się pan Micawber – przywiązanie twe wzrusza mnie. Wiesz przecie, jak wielkie zaufanie pokładam w twej praktyczności. Niechże się wypełni to, co się ma wy-

pełnić! I niech mnie Nieba skarżą, jeśli bym zamierzał skrzywdzić moją ojczyznę, pozbawiając ją raz na zawsze wartości nagromadzonych w mym potomstwie!

– Wybornie – zdecydowała ciotka, a skłaniając się ku panu Peggotty dodała:

– Piję za waszą pomyślność. Niech wam Nieba wszelkim błogosławia powodzeniem.

Pan Peggotty postawił na ziemi bliźnięta, które trzymał na kolanach, by potrącić o nasze szklanki. Gdy zamieniał uścisk dłoni z panem Micawberem, uśmiech opromienił ogorzałą jego twarz i pewien byłem, że ten, gdzie by go losy nie rzuciły, zjedna sobie serca ludzkie, spokój sumienia i dobre imię.

Nawet bliźnięta zatopiły w cynowym kubku ojca drewniane swe łyżki, łącząc się w ten sposób z dorosłymi. Po chwili ciotka i Agnieszka powstały. Nastąpiły pożegnania. Wszyscy się popłakali. Dzieci czepiały się rąk i szyi Agnieszki. Pozostawiliśmy biedną panią Micawber całą we łzach. Szlochała w pokoiku rozświeconym jedną nędzną świeczką.

Kiedym przyszedł nazajutrz, dowiedziałem się, że odpłynęli już o piątej rano. Rozstania podobne to mają do siebie, że nędzna ta, wczoraj dopiero poznana oberża i drewniana przystań zdały mi się naraz puste i smutne, dziwnym owiane chłodem.

Następnego dnia po południu udaliśmy się ze starą mą piastunką do Gravesend. Okręt otoczony był niezliczonymi barkami. Wiatr był pomyślny, czekano tylko hasła do odpływu. Nająłem łódź i po kilku chwilach byliśmy na pokładzie.

Czekał tu już na nas pan Peggotty. Oznajmił mi, że przed chwilą pan Micawber był znów aresztowany z powodu Heepa i on, pan Peggotty, stosownie do naszych zleceń, opłacił należność. Wszelkie obawy moje, by na odjeździe złe ich nie doszły wieści, rozpierchły się na widok pana Micawbera, który przybierając wysoce opiekuńczą minę upewnił mnie, że na chwilę nie odstąpi swych współtowarzyszy podróży.

Obraz, który się przedstawił moim oczom, był tak niezwykły, w kajucie tak pełno było i ciasno, że nie mogłem nic zrazu rozróżnić. Gdym się lepiej rozpatrzył, zdawało mi się, że mam przed sobą obraz malowany przez Ostade'a.⁸ Pomiędzy drągami, skrzyniami, linami, węzełkami, kuframi, baryłkami i najróżnorodniejszymi bagażami, oświetlonymi żółtym światłem zadymionych latarni lub szarym, wdzierającym się z zewnątrz mrokiem, gromady ludzi żegnały się z sobą lub zaznajamiały, rozmawiając, płacząc, śmiejąc się, jedząc i pijąc. Niektórzy weszli już w posiadanie szczupłej, przeznaczonej im przestrzeni, rozkładając małe swe gospodarstwa, sadzając na stołkach drobne dzieci, podczas gdy inni szukali sobie dogodnego miejsca. Począwszy od parotygodniowych niemowląt, a skończywszy na zgrzybiałych starcach, którym już może tylko parę tygodni pozostawało do życia, od rolników unoszących na obuwiu grudki rodzimej gleby do kowali zachowujących jeszcze na skórze resztki rodzimej sadzy, wiek każdy i zawód miał tu przedstawicieli ściśniętych między pokładami, na niewielkiej przestrzeni.

Rozglądając się dokoła, ujrzałem siedzącą na uboczu, z jednym z dwojga bliźniąt na kolanach postać podobną do Emilki. Zwróciła na nią uwagę moją druga kobieca postać, która mi przypominała Agnieszkę, pocałunkiem żegnająca siedzącą dziewczynę, lecz obie straciłem natychmiast z oczu. Tymczasem zbliżała się chwila, w której mieliśmy się rozstać. Peggotty płakała siedząc na kuferku, a pani Gummidge, przy pomocy czarno odzianej kobiety, układała rzeczy pana Peggotty.

– Ostatni się tedy raz widzimy z paniczem – mówił pan Peggotty. – Czyśmy czegoś nie zapomnieli może?

– Jedną rzecz – odrzekłem – Martę.

Ale pan Peggotty dotknął tylko ramienia kobiety w czerni – była to Marta.

– Niech ci to Nieba nagrodzą! – zawołałem. – Bierzesz ją z sobą?

⁸ Adrian van Ostade – żyjący w XVII w. malarz holenderski. Malował głównie obrazy rodzajowe.

W odpowiedzi Marta wybuchnęła łzami. Słów mi nie stawało, uściskałem tedy milcząco dłoń pocziwego człowieka. Szanowałem go i kochałem sercem całym.

Obcy oddalili się szybko z okrętu, mało już kto pozostał. Mówiłem mu właśnie to, co mi zlecił powiedzieć na odjeździe ten, który zamieszkał już był krainę wieczności. Wzruszyło go to bardzo, lecz stokroć bardziej wzruszyły mnie zlecenia, które mi pozostawiał, nie wiedząc, że się już z nich wywiązać nie zdołam.

Trzeba było odchodzić. Ucałowałem go, wziąłem pod ramię płaczącą mą piastunkę i oddaliłem się szybko. Na pokładzie pożegnałem panią Micawber. Wyglądała, czy nie nadejdzie jeszcze kto z jej rodziny a ostatnimi jej słowy było zapewnienie, że nie opuści nigdy męża.

Łódź nasza odpłynęła nieco i zatrzymała się opodal. Słońce zachodziło jasne, pogodne, statek rysował się na zachodnim niebie wyraźnie we wszystkich swych liniach i załamach. Widok to był wspaniały, pełen zarazem smętku i nadziei – rozwijający żagle okręt, na którego pokładzie cisnęła się cicha i nieruchoma, z odkrytymi głowami, ciżba emigrantów.

Niedługo cisza ta trwała. Z licznych łodzi rozległy się okrzyki, które niby echa zwracał odpływający okręt. Serce mi się ścisnęło i biło tak, żem sądził, iż z piersi wyskoczy. W powietrzu powiewały chustki i kapelusze... Ujrzałem ją wówczas.

Ujrzałem ją u boku stryja, drżącą i opartą o jego ramię. Wyciągniętą ręką wskazywał jej nas. Spostrzegła i podniosła chustkę na znak pożegnania. Och!

Emilko! Piękna, wsparta na tym ramieniu, Emilko! Opieraj się na nim śmiało i silnie, tak śmiało, jak on cię szukał, wiedziony wielkim swym przywiązaniem.

Oświecały ich różowe zachodu blaski... pomału znikli w oddali. Mrok nocy opadał na wzgórza Kentu, gdyśmy wylądowali, i na moją duszę padł cień jej chłodny.

ROZDZIAŁ LVIII NIEOBECNOŚĆ

Ogarnęła mnie noc czarna, pełna widm zawiedzionych nadziei, wspomnień, omyłek, bóleści, żalów, Wyjechałem z Anglii, nie zdając sobie jeszcze jasno; sprawy z ciosu, który mnie dotknął. Porzuciłem wszystko, co miłe mi było, w przekonaniu, że to już przeżył, pozostawił poza sobą! Podobny do śmiertelnie ranionego na polu bitwy, który rany nawet nie czuje, nie wiedziałem, jaki cierń unoszę w głębi mego serca.

Świadomość ogarniała mnie pomału, stopniowo. Bolesne uczucie, z którym odjechałem, wzrastało i pogłębiało się z dniem każdym. Zrazu było to niejasne poczucie jakiejś straty, pustki, ciężar jakiś nieznośny na sercu i duszy. Stopniowo przychodziła świadomość wszystkiego, com stracił tracąc miłość, przyjaźń, cel życia. Wszystko to zachwiało się, rozwiało: pierwsza młodości ufnej uczucia, przywiązanie, nadzieje, zapał; zamki na lodzie młodocianej wyobraźni i młodocianego serca. Zostały po nich pustka, ruiny, odległe, mroczne jakieś horyzonty...

Jeśli żal mój był samolubny, to nie zdawałem sobie z tego sprawy. Płakałem po utraconej mej dziecinnej żonie, zwiędłej jak kwiat; płakałem po tym, co mógł i powinien był zyskać sobie poklask i uwielbienie tysięcznego tłumu, tak jak zyskał był moje w szkolnych latach; płakałem po tym szlachetnym, złamanym sercu, które ukoiliły chłodne fale morza; płakałem po rozproszonych pod obcym niebem mieszkańcach tego cichego zakątka, gdzie dzieckiem będąc przysłuchiwałem się wyciom wiatru.

Smutki gromadząc się w sercu moim zgasiły ostatnie promyki nadziei. Zmieniałem miejsca, wszędzie za sobą unosząc ten ciężar. Przygniatał mnie, pozbawiał sił, sądziłem, że mnie nic już nigdy nie zdoła orzeźwić.

Zdawało mi się czasem, że umrę z rozpacz. Wówczas albo myślałem, że chcę umrzeć na ojczystej ziemi i zabierałem się wracać, lub też wałęsałem się z miasta do miasta, w nadziei, że ucieknę od goniącego za mną wszędzie smutku.

Niepodobna mi teraz wyliczyć wszystkich faz rozpacz, zniechęcenia, nudy, które przebywałem. Istnieją sny nie dające się dokładnie powtórzyć, chociaż jasno tkwią w pamięci, i gdy wspomnieniem zwracam się do tej epoki mego życia, wydaje mi się ona takim właśnie snem. Mijałem obce, nie znane mi miasta, zamki, kościoły, pałace, dzieła sztuki, groby, przedziwne jakieś ulice i place, stare siedliska historii i legend, mijałem jak we śnie, wlokąc za sobą gniotący mnie ciężar, niejasne unosząc wrażenie i wspomnienie wszystkiego, com wi-

dział. Mroki, które zaległy mi duszę, dostępne były samej tylko boleści... O, byle choć raz doczekać rozświtu!

Przez wiele miesięcy nosiłem się z tymi dławiącymi mnie mrokami, a miałem powody powstrzymujące mnie od powrotu do Anglii. Czasem przejeżdżałem z miejsca na miejsce gnany wewnętrznym niepokojem; czasem dłużej nieco na jednym pozostawałem miejscu, nie mając celu przed sobą ani pobudki, co by mnie podtrzymało mogła.

Byłem w Szwajcarii. Przedarłem się tam z Włoch przez najwyższe szczyty Alp i błąkałem się z przewodnikiem w niedostępnych górach. Nie wiem nawet, co mi mówiła ich wspaniała groza i samotność. Wiem tylko, że zdumiewały mnie tylko szczyty i przepaści, rwące strumienie, biel śniegu i kryształowe lodowe iglice. Zdumiewały i nic więcej.

Raz pod wieczór schodziłem do doliny, w której zamierzałem spocząć. Schodząc stromą, najeżoną trudnościami ścieżką, z dala już widziałem u stóp moich tę dolinę, nęcącą urokiem dziwnego spokoju. Po raz pierwszy poczułem wówczas, że smutek mój łagodnieje jakby, pozbywa się ciężaru ostatecznego zwątpienia, ostrości rozpacz. Słaby, lecz ciepły promyk jakiejś nadziei błysnął mi w duszy!

Schodziłem w dolinę, a na śnieżnych, otaczających ją zewsząd szczytach gorzało zachodzące słońce. Podnóża gór tworzących ciasną wąską kotlinę, w której leżała wioska, spowiadała bogata roślinność, wyżej zaś ciemne sosny i jodły broniły kotlinę od lawin obrywających się z białych szczytów. Do skał przytulone drewniane, do gniazd podobne domki, ponad którymi nowe piętrzyły się skały, wyglądały w porównaniu z nimi tak małe i nikłe, jak dziecięce cacka. Zabawką się też zdawała cała wioska z drewnianymi mostkami, przerzuconymi ponad szumiącym po łomach skał strumieniem. W ciszy wieczornej dolatywał z dala prosty śpiew pasterski, ale żem widział ponad sobą przepływające nisko obłoki, nie chciałem wierzyć niemal, aby śpiew ten nie miał być nadziemskim. Wówczas to, po raz pierwszy od dawna, we wspaniałym tym wieczornym spokoju, usłyszałem kojący głos wielkiej pocieszycielki człeka – przyrody – i zatapiając twarz w wilgotne mchy płakałem tak, jakem od śmierci żony nie płakał jeszcze.

W wiosce czekały mnie dopiero co nadeszłe listy. Były to pierwsze, które otrzymałem w czasie mej podróży. Sam przestałem prawie pisywać, ograniczając się do przesyłania mego adresu i paru słów, które uspokajały ciotkę co do stanu mego zdrowia.

Otworzyłem kopertę, list był od Agnieszki. Czują się spokojna, szczęśliwa, użyteczna. Życie się jej ułożyło tak, jak tego pragnęła. Tyle tylko mówiła o sobie, reszta długiego listu mnie była poświęcona.

Nie udzielała mi rad żadnych, nie przypominała obowiązków, pisała mi tylko ze zwykłą sobie prostotą, że polegała na mnie. Takim jak ja boleść winna wyjść na dobre. Spadające na mnie ciosy winny mi wzmocnić serce. Toteż Agnieszka była pewna, że zamiary moje dojrzeją w walce z boleścią, a talent rozwinie się i stężeje. Sława moja obchodziła ją, pragnęła, abym pracował i aby praca moja została wynagrodzona powodzeniem, zadowoleniem własnym, czcią i miłością ludzi. Wiedziała, że w sercu mym, jak zgoła w każdym szlachetnym sercu, boleść nie może się przedzierzgnąć w słabość. Jeżeli przejścia dziecięcego mego wieku urobiły mnie takim, jakim byłem, to cięższe klęski powinny uczynić mnie jeszcze silniejszym, a to, czego mnie nauczyły, powinienem przekazać czytelnikom moim. Polecała mnie Temu, co do chwały Swej powołał moją pieśzcotkę, zapewniała, że żywi dla mnie zawsze te same siostrzane uczucia, myślą towarzysząc mi wszędzie, dumna z mego powodzenia, lecz o wiele więcej jeszcze licząc na to, czego powinienem dokonać.

Złożony list schowałem na piersi, myśląc o tym, czym przed godziną jeszcze byłem? Śpiew rozwiął się w powietrzu, zachodnie gasły blaski, w mrokach wieczoru białe szczyty gór zlały się z obłokami, a jednak czułem, że gnębiące duszę mą nocne mroki roztrąca ciepłe uczucie, którego nazwać jeszcze nie mogłem. Czułem tylko, że mi Agnieszka droższa i bliższa była niż kiedy bądź.

Kilkakrotnie list jej odczytywałem i tego jeszcze wieczoru odpisałem, jak bardzo potrzebowałem jej wsparcia, jak bez niej nie mógłbym zostać tym, czym widzieć mnie pragnęła. Ona mi była dobrym natchnieniem, pobudziła energię i pragnienie, by zostać takim, jakim mnie widzieć chciała.

Pracowałem nad sobą. Za trzy miesiące kończył się rok mej żałoby. Do tego czasu postanowiłem żadnych nie podejmować przedsięwzięć i pracować tylko nad sobą. Cały ten czas mieszkałem w owej dolinie lub jej okolicach.

Po trzech miesiącach postanowiłem pozostać na czas dłuższy za granicą, w Szwajcarii, którą polubiłem od pamiętnego tego wieczoru. Postanowiłem wziąć się do pióra, pisać.

Stosowałem się do rad i wskazówek Agnieszki, natchnienia szukałem i znajdowałem na łonie przyrody, własne serce otwierając dla tych uczuć ludzkich, przed którymi zamknąłem się, własnymi zajęty nieszczęściami. Niewiele przeszło czasu, a już w obcej tej dolinie tyłu prawie liczyłem przyjaciół, co niegdyś w Yarmouth, a gdym, po zimie spędzonej w Genewie, wrócił z wiosną, powitania ich – chociaż nie w ojczystej mej brzmiące mowie – przypominały mi niemal rodzinne strony.

Pracowałem od rana do wieczora, późno w noc nieraz. Napisałem powieść osnutą na własnych przeżyciach i posłałem to Traddlesowi, który nader dla mnie korzystnie ułożył się z wydawcą. Ziomkowie, których spotykałem, przynosili mi echa wzrastającego mego powożenia. Po krótkim wypoczynku rozpocząłem nową powieść; zająłem się nią bardzo. W miarę jak praca się posuwała, przejmowałem się nią coraz bardziej, wkładając w książkę tę wszystkie siły, jakimi rozporządzałem. Była to trzecia z kolei moja powieść. Napisałem ją dopiero do połowy, gdy owładnęła mną chęć powrotu do domu.

Pomimo pracy używałem dużo ruchu i powietrza, toteż zdrowie me, nadwątłone w chwili wyjazdu z Anglii, znacznie się wzmocniło. Wiele widziałem, podróżowałem wiele i, jak wnoszę, rozszerzyłem krąg mych wiadomości.

Powiedziałem już wszystko, com uważał za stosowne powiedzieć o tym okresie mego życia, jednego tylko nie dotknąłem. Nie zamilczałem wszelako w celu skrycia czegoś, gdyż opowieść niniejszą uważam za swój pamiętnik, chciałem po prostu samą głąb mych myśli i uczuć zbadać na końcu. Zaczynam tedy.

Niepodobna mi wniknąć w tajemnice własnego serca do tego stopnia, by oznaczyć chwilę, w której zacząłem myśleć o Agnieszce jako o osobie, do której winienem był skierować młodzieńcze me uczucia. Nie potrafię powiedzieć, w jakim stopniu żalu mego i boleści imię jej związało się z myślą, że niebacznie odtrąciłem jej miłość. Czułem to może i dawniej, czułem już jako brak czegoś niedoścignętego, lecz dopiero gdym się ujrzał tak samotnym i zbolełym, myśl ta wyraźne przybrała kształty.

Gdybym był wówczas bliżej niej, zdradziłbym się prawdopodobnie w ten lub ów sposób. Tego się właśnie bałem i dlatego przedłużyłem pobyt za granicą. Nie przeniósłbym utraty choć małej części jej siostrzanych uczuć, a zdradziwszy się raz, nadwreżyłbym istniejący pomiędzy nami braterski stosunek.

Pamiętam, że braterski ten stosunek sam dobrowolnie wybrałem, że jeśli kiedy uczucia jej względem mnie innej były natury – a teraz zdawało mi się, że istotnie była chwila, w której tak było – sam takowe odepchnąłem. Myśląc o niej i o wspólnie spędzonych dniach dziecięcych widziałem, że ją sam wygnałem z raju młodzieńczych mych marzeń, miłość oddając innej, nie zaś tej, do której z prawa należała. Sam, jednym słowem, wytworzyłem istniejący pomiędzy nami obecnie braterski, a nie inny stosunek.

Z początku, czytając wyraźnie już we własnym sercu, zdałem się dostrzegać odległą chwilę, w której uda mi się może naprawić omyłkę przeszłości i posiadać Agnieszkę. Zarazem jednak nadzieja ta bladła i opuściła mnie zupełnie. Jeśli nawet kochała mnie kiedyś, to pokładanym w niej zaufaniem, otwarciem przed nią obłąkanego mego serca utrudniać jej musiałem przetworzenie tego uczucia w siostrzane przywiązanie. Zwycięstwo nad własnym sercem

kosztować ją musiało wiele, lecz było też z pewnością zupełne. Jeśli zaś nie kochała mnie nigdy, mógłbym przypuszczać, że teraz pokocha?

Wobec stałości jej charakteru, zawsze uznawałem swą słabość, lecz teraz poczucie to wzmogło się jeszcze bardziej. Czymkolwiek zostałbym dla niej lub ona dla mnie, dawniej godniejszy jej byłam bez wątpienia. Czas płaci, czas traci. Z odpowiedniej nie skorzystałem chwili.

Cierpiałem, myśli te gryzły mnie i dręczyły, lecz czułem zarazem, że zboleły i zwątpiały nie mam prawa narzucać się kobiecie, od której odsunąłem się niebacznie, gdy uczucia me świeże były, pełne zapалу, wiary w siebie i w świat cały. Nie skrywałem już przed samym sobą, jak drogą mi teraz była, lecz wracałem do ojczyzny z głębokim przekonaniem, że stracił odpowiednią chwilę i stosunek nasz pozostać winien nadal taki, jaki był dotąd.

Nieraz myślałem też o Dorze i z cieniem jej przeżywałem wypadki lat ostatnich, myśląc o tym, że nieraz zdarzenia, które nas ominęły w następstwach, nie mniejsze posiadają znaczenie. Lata, o których Dora mówiła, mijały zmieniając mnie, dojrzywałem i, kto wie, przyszlaby może spóźniona chwila żalu, żeśmy, jak to powiedziała moja żona, nie zostali jako chłopiec z dziewczęciem. Z tego, co istniało w moim sercu dla Agnieszki, starałem się wyciągnąć moralną korzyść, uczyłem się panować nad sobą i poznawać samego siebie. A myśląc o tym, co być mogło, dochodziłem do przekonania, że nie nastąpi to już nigdy.

Takie to myśli i uczucia wrzały w samej głębi mego serca od wyjazdu do powrotu do kraju, to jest przez całe długie trzy lata. Trzy lata też upłynęły od chwili, gdy okręt unoszący naszych emigrantów rozwinął był żagle, kiedy o tej samej zachodniej porze zawijałem do ojczyńskich brzegów, patrząc na odbicie okrętu w zaróżowionym zwierciadle cichych wód przystani.

Trzy lata! Sporo nagromadzonego czasu, co, gdy raz minie, krótkim się zdaje. Kochałem ziemię ojczystą, drogą mi była Agnieszka... ale Agnieszka nie zostanie już moją nigdy... mogła nią być... ale minęło to, przeszło...

ROZDZIAŁ LIX POWRÓT

Wylądowałem w Londynie w zimne jesienne popołudnie. Mroczno było i dżdżysto i naraz ujrzałem więcej mgły i błota, niżelim widział przez lata całe. Musiałem iść spory kawał drogi, zanim spotkałem dorożkę, a chociaż obmokłe domy pochylające nad rynsztokami swe okapy przypomniały mi starych znajomych, nie mogłem oprzeć się myśli, że, bądź co bądź, starzy ci przyjaciele ciemny i ponury mają wygląd.

Zauważyłem nieraz – niejeden to musiał zauważyć – że dość wyjechać z dobrze znanych miejsc, by powróciwszy zastać tam zaszłe zmiany. Spoglądając przez okna pojazdu zauważyłem, że stare, odarte z tynku, nie wiem przez wiele lat nie tknięte domostwo na Fish Street Hill zniesione zostało, a ciemny, cuchnący zaułek rozszerzony i oczyszczony. Prawie żem się spodziewał ujrzeć zmiany i w katedrze Świętego Pawła!

O zmianach zaszłych w losach niektórych przyjaciół moich byłem uprzedzony. Ciotka moja wróciła do Dover, a Traddles, wkrótce po moim odjeździe, nabył pewnej wziętości w sądownictwie. Mieszkał obecnie w Gray's Inn i pisał mi w ostatnim liście, że się zbliża dawno oczekiwana chwila połączenia się z najukochańszą pod słońcem dziewczyną. Spodziewali się wprawdzie mego powrotu na Boże Narodzenie, nie sądzili jednak, abym tak pośpieszył. Nie uprzedzałem ich umyślnie o dniu mego przyjazdu, chcąc sprawić niespodziankę, niemniej uczułem smutek pewien i niezadowolenie widząc, że mnie nikt nie czeka i nie wita. Smutny i samotny wjeżdżałem w mgliste ulice Londynu.

Rozweseliły mnie nieco dawno znane, rześciste oświetlone magazyny i sklepy i z lżejszym już sercem wysiadałem przy Gray's Inn. Przypomniały mi się minione dawno chwile, gdy m zajężdżał do Golden Cross, zaszłe odtąd zmiany... była to zwykła kolej rzeczy.

– Pod jakim numerem mieszka pan Traddles? – spytałem służącego, grzejąc się przez kominikiem.

– Holborn Court Nr 2 – odrzekł zagadniony.

– Pan Traddles nabywa, zdaje mi się, wziętości jako prawnik? – spytałem.

– Bardzo być może – odparł obojętnie służący. – Nic o tym panu nie mogę powiedzieć.

Służący, człek w pewnym już wieku, suchy i szczupły, spoglądał z pewnym uszanowaniem na swego towarzysza, barczystego, czarno ubranego mężczyznę, który z powagą kocielnego powstał z miejsca, gdzie siedział w głębi jadalni wśród ksiąg i papierów.

– Pan Traddles – objaśnił go służący numer pierwszy. – Pan Traddles spod numeru 2 w Holborn Court.

Powagi pełen jegomość skinął głową i zwrócił się ku mnie.

– Pytałem właśnie – rzekłem – o wziętość, jaką rzeczony pan Traddles cieszy się w sądownictwie.

– Nic nie wiem o nim – głośno i dobitnie odrzekł służący numer drugi.

Gotów już byłem ubolewać nad losem przyjaciela.

– Młody to jeszcze zapewne prawnik? – spytał mnie z kolei złowieszczy osobnik. – Od jak dawna jest w sądownictwie?

– Od lat trzech blisko.

Służącemu przedmiot rozmowy zdał się zapewne tak blahy, że zmienił go, pytając, co bym zyczył sobie na obiad.

Teraz dopiero poczułem się zupełnie w rodzinnym mym kraju i wiedziałem, co mam sądzić o Traddlesie. Przepadł! Zażądałem ryby i rostbefu, a tymczasem stanąłem przed ogniem, rozmyślając o losach przyjaciela.

Wodząc okiem za otyłym służącym, nie mogłem po wstrzymać się od uwagi; że grunt, na którym okaz ten wyrost i rozkwitł, był twardym bądź co bądź gruntem. Tyle powagi, pewności siebie, taka pycha! A sala, w której stałem? Przed laty, gdy człowiek ten był pacholęciem (jeśli notabene przechodził kiedy przez pacholęce lata), tak samo jak dzisiaj wysypywana być musiała piaskiem, też same ciężkie, politurowane musiały w niej stać mahoniowe stoły, w których jak w zwierciadłach odbijała się moja postać, też same lampy lśniące, zielone firanki i portiery, też same olbrzymie kominki, kredensy, szafy, półki pełne cybuchów i butelek wina. Któż Anglię, jej prawodawstwo, sądy i prawników wzruszy z ich podstaw? Jakież temu podolają burze? Poszedłem do mego numeru zmienić przemokłe odzienie, ale i tam rozmiary komnaty, łoża, szaf, wszystko groźnie powstało przeciw biednemu Traddlesowi, przeciw podmuchom młodości, szybkim zmianom! Zszedłem na obiad. Poważna cisza wielkiej jadalnej, pustej sali, ciężka zastawa stołu, wszystko, wszystko zgoła rokowało przyjacielowi temu jakie takie powodzenie nie prędzej chyba jak za ćwierć wieku praktycznych zajęć.

Wszystko to dawno znane mi było, lecz nie spotkałem się z niczym podobnym, odkąd opuściłem Anglię, i stąd wrażenie, jakiego doznałem. Pyszny i otyły służący nie zwracał na mnie uwagi, zajęty starym jakimś jegomościem, dobieraniem mu fajek i nalewaniem specjalnego jakiegoś wina. Drugi, szczupły, oznajmiał mi szeptem, że jegomość ten jest emerytem, notariuszem, bogaczem, którego fortuna przejdzie najpewniej na córkę jego gospodyni. Posiadał, jak wieść niosła, srebrny serwis, starannie zamknięty, poczerniał od leżenia, gdyż ludzkie oko w żadnej okoliczności nie widziało z niego ani jednej łyżki czy widelca... Słuchając udzielanych mi wyjaśnień, coraz bardziej uważałem sprawę biednego Traddlesa za przegraną.

Pilno mi było widzieć go i uściskać. Jadłem też spieszenie, co nie musiało wpłynąć na poprawienie opinii o mnie barczystego służącego. Po obiedzie wyszedłem tylnymi drzwiami. Wkrótce znalazłem Holborn Court i numer 2, a napis w sieni oznajmił mi, że pan Traddles mieszka na najwyższym piętrze, na poddaszu. Schody były wąskie, ciemne, słabo oświetlone kopącą olejną lampką.

Gdy wchodziłem na górę, zdawało mi się, że słyszę wesole jakieś śmiechy, nie śmiechy sędziów i adwokatów, lecz raczej młodych dziewcząt. Zatrzymałem się zdziwiony, potknąłem się. Wywołany przez potknięcie się hałas uciszył dziewczęce chichoty.

Postępowałem odtąd uważniej, serce mi zresztą biło, gdy zapukałem do drzwi ozdobionych nazwiskiem mego przyjaciela. Za drzwiami usłyszałem głośne szamotanie się. Po chwili ucichło. Zapukałem powtórnie.

Otworzył mi chłopak, na poły służący, na poły dependent, zadyszany, obrzucając mnie wyzywającym spojrzeniem.

- Zastaję pana Traddlesa? – spytałem.
- W domu, lecz zajęty – odrzekł.
- Chcę się z nim zobaczyć.

Po krótkim namyśle chłopak wpuścił mnie za przepierzenie do małej izdebki, przedpokoju czy poczekalni. Stamtąd uchylił drzwi do bawialnego pokoju, gdzie zastałem mego przyjaciela, także zdyszanego, lecz dla pozorów zapewne pochyłonego nad biurkiem.

- Nieba! – zawołał ujrzawszy mnie – Copperfield! – i rzucił mi się w objęcia.
- Jakże się masz, kochany, kochany przyjacielu!
- Doskonale i wszystko idzie mi jak z płatka.

Obaj mieliśmy łzy w oczach.

– Kochany Copperfield! – wołał Traddles, we wzruszeniu burząc włosy na głowie. – Jakże szczęśliwy jestem, że cię wreszcie widzę. Tak dawnośmy się nie widzieli. Witajże mi, witaj! Ależ opalony! Szczęśliwy jestem, że cię wreszcie widzę. Na honor, nie pamiętam bardziej radosnej chwili! Na honor!

I ja nie znajdowałem słów, by wyrazić moje wzruszenie. Milczałem.

– Mój przyjacielu – wołał Traddles – zyskałeś sławę, wielki Copperfieldzie! Lecz kiedyżeś wrócił, skąd jedziesz? Co porabiałeś?

Zarzucał mnie pytaniami nie czekając odpowiedzi, posadził w fotelu przed kominkiem i machinalnie rozżarzał ogień albo też znów rzucał mi się na szyję, ścisnął, śmiał się. Obaj mieliśmy pełne łez oczy i długa przeszła chwila, zanim się zdołałem uspokoić.

- Pomyśleć – mówił Traddles – żeś był tuż-tuż, a nie trafiłeś na obrzęd!
- Jaki obrzęd, kochany Traddlesie?

– Co mówisz? – zawołał szeroko, jak dawniej bywało, otwierając oczy. – Czyżbyś nie otrzymał listu?

- Żadnego, który by wspominał o jakim bądź obrzędzie.
- Widzisz – mówił burząc włosy i kładąc rękę na mych kolanach – jestem żonaty.
- Żonaty?! Już? – zawołałem radośnie.

– Tak mi Boże dopomóż – śmiał się wesoło. – Czcigodny Horacjusz pobłogosławił mój związek z Zofią w Devonshire. Ale oto i ona we własnej osobie, tam za firanką.

„Najukochańsza z dziewcząt” wychodziła właśnie z kryjówki rumieniąc się i uśmiechając. Bardziej zadowolonej, rozweselonej, serdecznej oblubienicy nie zdarzyło mi się nigdy chyba widzieć. Ucałowałem ją serdecznie winszując i życząc szczęścia.

- Co za szczęście! – wołał Traddles. – Aleś opalony, Copperfieldzie! Jakże się cieszę.
- I ja nie mniej – dorzuciłem.

– I ja także – wtrąciła Zofia rumieniąc się i uśmiechając.

– Wszyscyśmy uradowani – wołał Traddles. – i dziewczęta pewnie cieszyć się będą. O matom o nich nie zapomni!

– O kim? – spytałem.

– O siostrach Zofii. Bawią właśnie u nas. Przybyły rozerwać się nieco w stolicy. W rzeczy samej, gdyś zadzwonił... Musiałeś coś słyszeć stojąc u drzwi?

– Słyszałem – odrzekłem uśmiechając się.

– Otóż, gdyś zadzwonił, bawiliśmy się w kotka i myszkę... Że był to jednak widok trochę nieodpowiedni do mego stanowiska – sądząc, że nadchodzi klient, dziewczęta umknęły, a ja sam udawałem zapracowanego. Teraz pewnie podsłuchują u drzwi – dodał rzucając w tamtą stronę wymowne spojrzenie.

– Pomieszalem szyki – zaśmiałem się. – Przepraszam, stokrotnie przepraszam!

– Na honor, gdybyś widział, jak na odgłos dzwonka zmykały, zabierając szpilki, co im wypadały w zabawie z warkoczy. Sprowadź je tu, kochanie.

Posłuszna żądaniu męża, Zofia pobiegła po siostry; w sąsiednim pokoju rozległa się gama wesołego śmiechu.

– Co, dźwięczne, prawda? – zauważył Traddles. – Posłuchać miło. Jak to rozwesela te odwieczne zgrzybiałe mury. Temu, kto w kawalerskiej samotności długie strawił lata, aż serce rośnie. Biedaczki! Niemało straciły, tracąc Zofię. To najlepsze pod słońcem dziewczę! Nie uwierzysz, jak wdzięczny im jestem, że nie okazują mi żalu. Mile wśród nich czas schodzi... No, nie tak bardzo poważnie, ale co wesoło to wesoło.

Traddles zamilkł. Przeląkł się widocznie, czy widok jego domowego szczęścia nie drażni mych starych ran. Pospieszyłem uspokoić go.

– Bo widzisz – ciągnął – kancelaria moja wcale nie ma poważnego wyglądu. Nawet obecność Zofii użyczyc go jej nie zdoła. Ha! Cóż robić, trudno zdobyć się na obszerniejsze mieszkanie. Kancelaria i prywatne mieszkanie, wszystko razem. Wyłynęliśmy na ocean życia w malutkim, jak widzisz, czólnie, ale cóż było robić. Zofia jest gospodarna, oszczędna. Zobaczysz. Jak się one tu mieszczą w tej ciasnocie, trudno doprawdy uwierzyć.

– Wieleż ich tu macie? – spytałem.

– Jest starsza, wiesz, ta piękność, Karolina – począł poufnym szeptem, – Sara... opowiadałem ci przecie, że cierpi na coś w krzyżu? Lepiej jej teraz, znacznie lepiej! Są dwie młodsze, których wychowaniem zajmowała się moja pocziwa Zofia – ano, jest i Luiza.

– Nie może być? – zawołałem.

– A tak! Mieszkanie zaś całe składa się z trzech pokoików, jednak, dzięki przemyślności Zofii, każdy ma wygodny kącik. Tu, w tym pokoju, sypiają dwie.

Obejrzałem się. Gdzież się podziewał biedny Traddles z żoną?

Zrozumiał moje pytające spojrzenie.

– W zeszłym tygodniu – mówił – trzeba było sypiać na ziemi, lecz obecnie mamy izdebkę na poddaszu, którą Zofia własnoręcznie okleiła papierem. Gniazdko, mówię ci! Z okna widok prześliczny.

– Widzę, żeś szczęśliwy – rzekłem – i cieszę się z całego serca.

– Dziękuję ci, mój drogi! Uściskaliśmy się ponownie.

– Tak, szczęśliwy jestem – potwierdził Traddles. – Patrz, poznajesz starych znajomych? Wazon pamiętasz? A ten marmurowy stoliczek! Reszta umeblowania skromna, lecz wygodna, tylko srebra nie znajdziesz u nas ani na lekarstwo.

– Zdobędziecie się i na to z czasem.

– Na wszystko zdobyć się trzeba. Nie sądz tylko, że nie zaparzamy herbaty. Mamy wprawdzie posrebrzane łyżeczki...

– Tym bardziej połyskiwać wam kiedyś będą srebrne.

– Tak właśnie i my uważamy – ciągnął Traddles zniżając stopniowo głos i wpadając znowu w poufny ton. – Otóż po sprawie Doe *dem*. Jipe *versus* Wigzell, która mi wyrobiła imię, udałem się do Devonshire, by się rozmówić z wielbnym Horacjuszem. Utrzymałem, o czym cię zresztą mogę zapewnić, że nie ma pod słońcem lepszego od Zofii dziewczęcia.

– Wiem o tym.

– Lepszego już nie ma. Ale wsiadam na mego konika, prawda? Miałem mówić o wielbnym Horacjuszu.

– Właśnie. Utrzymałaś, że...

– Aha! Utrzymałem, żeśmy od dawna z Zofią zaręczeni i za zgodą rodziców moglibyśmy się pobrać, choć na posrebrzane tylko dopiero stać mnie gospodarstwo – ciągnął Traddles z promiennym uśmiechem prawdziwego zadowolenia. – Starłem się przekonać wielbnego Horacjusza, najzacniejszego, upewniam cię, duchownego, któremu należy się niewątpliwie biskupstwo, że jeśli mi się udaje zarobić jakie trzysta funtów na rok i tak dalej, i tak dalej, to niema racji odkładać ślubu. Moglibyśmy się wreszcie z Zofią, tym najlepszym pod słońcem dziewczęciem, pobrać, czemu nic nie powinno stawać na przeszkodzie, chyba że Zofia tak jest niezbędnie w domu rodzicom i rodzeństwu potrzebną. Rozumiesz, Copperfieldzie?

– Najzupełniej.

– Tym lepiej. Bo widzisz, rodzice, bracia, siostry bywają czasem w tym względzie nieco samolubni, Upewniłem zatem wielbnego Horacjusza o mej gotowości, by stać się użytecznym, w czym będę mógł rodzinie całej; upewniłem go o tym, że jeśliby kiedy, broń Boże, coś się jemu, to jest wielbnemu Horacjuszowi...

– Rozumiem.

– ...albo żonie jego, broń Boże, przytrafić miało. dziewczęta znajdują we mnie opiekuna i przyjaciela. Wielbny Horacjusz udzielił mi najprzychylniejszej i najpochlebniejszej odpowiedzi i wziął na siebie uzyskanie zezwolenia małżonki. Niełatwą miał z nią przeprawę. Przeszło, wiesz, z ramienia w łopatkę, z łopatki uderzyło do głowy.

– Co takiego uderzyło?

– Co? Wiadomo, zmartwienie, zgryzota, wiek, wzruszenie, tak naturalne w podobnych rzeczach. Mówiłem ci już zapewne, co to za kobieta! Niepospolita bezwzględnie, tylko z nader wątłym zdrowiem. Wszystko jej szkodzi, byle co odbija się w łopatkach. Tym razem poszło do głowy, grożąc całemu organizmowi. Bądź co bądź uspokoił ją, wmówili i pobraliśmy się dokładnie sześć tygodni potem. Straszne mnie dręczyły wyrzuty sumienia wobec łez, rozpacz, wyrzekali całej rodziny. Pani Crewler znieść nie mogła mojego widoku. Kochana kobieta wybaczyła mi wreszcie, że ją pozbawiam córki. Dziś właśnie otrzymałem od niej najuprzejmniejszy z listów.

– Słowem, czujesz się, kochany przyjacielu, tak szczęśliwy, jak na to zasługujesz? – rzekłem.

– Pocciwy Copperfieldzie – zawołał – jestem najszczęśliwszy z ludzi! Pracuję co prawda ciężko, grzebię się ustawicznie w ustawach, wstaję co dzień o piątej rano, ale co tam. W dzień trzymam moje dziewczątka w ukryciu, ale wieczory to już mamy dla siebie. Szkoda, że odjeżdżają za parę dni, ale otóż i one: pan Copperfield, panna Karolina, panna Sara, panna Luiza, Margaret, Lucy...

Istny bukiet polnych kwiatków! Wszystkie były świeże i ładne, zaś co do rozślawionej panny Karoliny, była istotnie skończoną pięknnością, lecz żadna nie dorównywała wyrazem serdeczności, prostoty pocciwej Zofii i mogłem tylko pochwalić wybór mego przyjaciela. Usiedliśmy dokoła kominka, a wyrostek zdjawszy ze stołu akta i papiery począł przygotowywać do herbaty, po czym wyszedł zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Pani Traddles zaparzyła herbatę i z wesołym uśmiechem zajęła się przygotowaniem grzanek.

Opowiadała mi tymczasem, że widziała Agnieszkę.

Traddles odbył z nią poślubną podróż do Kentu, gdzie się spotkała z moją ciotką i panną Wickfield. Obie o mnie tylko mówiły. Traddles też ciągle miał mnie w myśli i pamięci. Zauważyłem, że urósł on na niczym nie dającą się zbić powagę. We wszystkim miał słuszność, spalić by się za niego dała.

Podobało mi się też uszanowanie, jakie oboje, pani Traddles i jej mąż, okazywali „piękności”. Nie wiem, czy to było na miejscu i rozsądnie, ale takie to było miłe, takie do nich obojga podobne. Jeśli Traddles rumienił się za brak srebrnych łyżeczek przy podwieczorku, to chyba wtedy gdy podawał filiżankę z herbatą starszej siostrze żony; jeśli pocciwa Zofia mogła być z czegoś dumna, to chyba z zaszczytu, że była siostrą owej „piękności”. Nawet oznaki grymasów, które dostrzegłem w tej ostatniej, uważane przez nich były za rzecz naturalną, z prawa należną takiemu Feniksowi, jako jeden wdzięk więcej. Matka w ulu nie jest chyba bardziej czczona i pielęgnowana przez skromne i pracowite pszczołki.

To wyrzeczenie się siebie, ta skromność zachwycały mnie po prostu. W ciągu tego wieczoru Traddles co najmniej kilkanaście razy proszony był przez siostry, by przyniósł tamto, zaniósł to albo coś postawił, sprzątnął lub podał. Ustawicznie też potrzebowały Zofii. Tej zmierzwiły się włosy i tylko Zofia ułożyć je umiała, tamta zapomniała melodię piosenki, którą Zofia pamiętać musiała. Tu szło o nazwę jakiejś znanej Zofii miejscowości, tam trzeba było napisać do domu, zatem Zofia napisze, Zofia naprawi zepsutą robótkę, słowem, Zofia i

Traddles byli najniższymi sługami swych gości. Ile też ta poczciwa Zofia wyniańczyła dzieci! Cóż dziwnego, że umiała na pamięć tyle piosenek i posiadała nieprzebrany słownik tych pieszczotliwych nazw i słów, jakimi kobiety przemawiają do dzieci. Nuciała piosenki podpowiadane to przez tę, to przez inną siostrę. Wszystkie one zresztą, posługując się nią, okazywały jej nieklamane przywiązanie, którego częśćka hojnie spadała na Traddlesa. Gdym się żegnał i Traddles chciał mnie przeprowadzić do zajazdu, zasypały go całusami, targając go przy tym za uszy i najeżone włosy.

Długo jeszcze po rozstaniu się z Traddlesem myślałem o tym wszystkim zachowując jak najprzyjemniejsze wspomnienie. Sto róż rozkwitłych nie rozweseliłoby bardziej od tych dziewcząt ponurej izby w Gray's Inn. Dziewczęta ładne i świeże, herbata przy kominku, przez gospozię przyrządzane grzanki, piosenki, kołysanki wśród zakurzonych akt, rachunków, skarg, pożółkłej bibuły, wszystko to robiło wrażenie, jakby grono dobrych wrózek zbiegło do adwokackiej kancelarii w mrocznym wnętrzu Gray's Inn, przynosząc z sobą czarodziejskie dary. Doszedłem do przekonania, że Traddles się jednak „wybije” pomimo lekceważenia poważnego sługusa z restauracji.

Przysunąwszy krzesło do jednego z kominków w kawiarni, patrząc na gasnące i zapalające się wśród popiołów, z miejsca na miejsce przebiegające iskierki, z rozmyślenia nad losem i obecnym szczęściem Traddlesa popadłem w marzenia. Liczyłem zmiany zaszły w moim życiu, poniesione straty. Od wyjazdu z Anglii przez całe trzy lata nie siadywałem przy kominku, chociaż wiele rozpalonych tu i ówdzie przeróżnych widywałem ognisk. Tu gasnące te iskry opowiadały mi historię pogasłych moich nadziei.

Mogłem już spoglądać w przeszłość ze smutkiem wprawdzie, lecz już bez goryczy, śmiało patrzeć w przyszłość. Rodzinnego nie miałem domu i o rozpaleniu domowego ogniska marzyć nie mogłem. Tę, która by mnie może inaczej pokochać zdołała, z dawien dawna siostrzanego wyuczyłem do siebie przywiązania. Lada dzień mogła wyjść za męża, ktoś inny nabierze praw do jej życia i serca i nie dowie się ona nawet nigdy, czym była dla mnie. Słusznie! Słuszna to kara za mą lekkomyślność. Zbierałem wprawdzie gorzkie owoce, lecz z własnego posiewu.

Myślałem o tym, przygotowany zająć u jej ogniska to ostatnie, ciche miejsce, które jej u swego niegdyś wyznaczyłem. Machinalnie wzrok podnosząc ujrzałem przed sobą znaną mi, gdzieś widywaną, z najwcześniejszymi moimi wspomnieniami związaną postać... doktora Chillipa, który zjawił się w pierwszym rozdziale mniejszej opowieści i mego życia. Siedział w kąci, zagłębiony w czytaniu gazety. Wiele lat upłynęło od ostatniego naszego spotkania, sędziwym cieszyć się musiał wiekiem, lecz – drobny, szczupły, spokojny – wyglądał tak, jak wyglądać musiał w chwili, gdy siedząc naprzeciw mej ciotki, w bawialnym pokoiku w Blunderstone, wyczekiwał mego przyjścia na świat.

Siedział spokojnie czytając gazetę, z przechyloną na ramię głową, ze szklanką gorącego ponczu pod ręką. Jak zwykle uprzejmy, ugrzeczniony, zdawał się przeproszać arkusz papieru, z którego sobie czytać pozwalał.

Zbliżyłem się do niego.

– Jak się pan ma, panie Chillip? – rzekłem.

Zdziwił się, spojrział na mnie jak na nieznanego.

– Dziękuję panu – odrzekł – mam nadzieję, że i panu zdrowie służy.

– Pan mnie nie poznaje?

Uśmiechnął się uprzejmie, przymrużył oko, przechylił głowę, przypatrując mi się bacznie.

– A tak, istotnie – mówił – znane mi są pańskie rysy, tylko nazwiska przypomnieć sobie tak od razu nie mogę.

– A jednak znane było panu pierwiej niż mnie samemu.

– Doprawdy? Miałbym honor być obecnym...

– Tak właśnie.

- Ależ się pan od tego czasu musiał zmienić – zauważył dobrodusznie.
- Zapewne, zmieniłem się nieco – odrzekłem.
- Niech pan daruje – rzekł po chwili bacznego wpatrywania się we mnie – mimo to zmuszony jestem spytać: jak godność pańska?
- Słyszając nazwisko moje zdziwił się i ucieszył. Zamieniliśmy uścisk dłoni, co było z jego strony pewnym wysiłkiem, zwykle bowiem podawał tylko końce palców.
- Dziwne – mówił mierząc mnie od stóp do głowy wzrokiem. – Być że to może? Pan Copperfield? Znanе mi są pańskie rysy. Podobny pan jesteś, bardzo podobny, do nieboszczyka, swego ojca.
- Nie miałem szczęścia go widzieć, nawet w kolebce będąc – rzekłem.
- A, prawda – odrzekł ze współczuciem w głosie – prawda! Smutne okoliczności, nader smutne! Nie sądz pan przeto, panie Copperfield – dodał prostując się – że imię pańskie, że sława nie doszła do zamieszkanego przeze mnie zakątka. Ba! – dodał dotykając wskazującym palcem czoła – wrze tam, gotuje się, co, prawda? I czy nie odczuwasz pan przy tym znużenia?
- Jakież pan obecnie zamieszkuje okolice? – spytałem siadając przy nim.
- Mieszkam o parę mil od Bury St. Edmunds – odrzekł. – Żona moja odziedziczyła po ojcu małą własność ziemską i udało mi się wyrobić sobie w okolicy wcale zadowalniającą praktykę. Córka moja dorasta. Czy pan uwierzy – ciągnął kiwając głową – nie dalej jak w zeszłym tygodniu matka musiała aż dwie zakładki odpuścić w jej sukience. Tak, tak, czas płynie, płynie!
- Mówiąc to dopił szklanekę wina, zaproponowałem mu zatem drugą.
- Nie pijam zwykle więcej – mówił – lecz dzisiaj, i w tak miłym towarzystwie... Ha! Zdaje mi się, że nie dalej jak wczoraj leczyłem pana na odrę... pamiętasz pan? Urósł pan od tego czasu.
- Ukloniłem się dziękując za to uznanie i kazałem podać butelkę wina.
- Nie pijam zwykle tyle – upewniał Chillip – lecz przy takim spotkaniu, w takiej kompanii! Pan żonaty?
- Potrząsnąłem głową.
- A, prawda, prawda! Słyszałem o pańskiej stracie. Słyszałem od siostry pańskiego ojczyma. Co za charakter, jaka energia!
- Tak – odrzekłem krótko – niepospolita! Gdzież ją pan widuje?
- Więc nie wiadome było dotąd panu, że ojczym pański został znów mym sąsiadem?
- Nie wiedziałem o tym.
- Tak właśnie – ciągnął z łagodnym uśmiechem mały człowieczek – tak właśnie. Ożenił się z młodą i posażną dziedziczką w naszej okolicy. Biedaczka!... I ta ciągła praca umysłowa – dodał wpatrując się we mnie z uwielbieniem – nie męczy pana?
- Pytanie zbyłem kiwnięciem głowy, wracając do uprzedniego przedmiotu rozmowy.
- Wiedziałem o tym – rzekłem – że pan Murdstone ożenił się powtórnie. Pan jest u nich domowym lekarzem?
- Niezupełnie, wzywają mnie czasem. Stałość jest szczególnie rozwiniętą cechą charakteru pana Murdstone i jego siostry.
- Widać dostrzegł cień aprobaty w mym spojrzeniu, gdyż ośmielony nim oraz popijanym winem pokiwał głową i z cicha zawołał:
- Ho! Ho! Pamiętam dobrze stare czasy.
- Zatem i brat, i siostra – spytałem – niewiele się zmienili?
- Lekarz – mówił pan Chillip – z zawodu swego głuchy być musi i ślepy na wszystko, co nie wchodzi w zakres medycyny, lecz w danym wypadku przyznać muszę, że oboje są nader surowi, odnośnie doczesnego i przyszłego żyda.
- W przyszłym znajdą zapewne, co im się należy – odparłem – lecz czymże się obecnie, w doczesnym życiu odznaczają?

Pan Chillip wstrząsnął głową i popił wina.

– Śliczna to była kobietka – zauważył ze współczuciem.

– Obecna pani Murdstone? – spytałem.

– Śliczna, mówię panu! Dobra, łagodna, uprzejma. Żona moja utrzymuje, że ją złamano. W czarną popadła melancholię. Ho, ho! Nie ma bystrzejszych obserwatorek niż kobiety!

– Znam to – odrzekłem – chcieli ją do własnej nagiąć miary. Nieszczęsna.

– Tak, panie! Zrazu opierała się, wybuchały gwałtowne sprzeczki, sceny, teraz – cień kobiety. Odkąd bratu, powiem to panu w zaufaniu, siostra przybyła w pomoc, zgięli ją, ogłupili do ostateczności.

Łatwo mi było w to uwierzyć.

– Przyznam się nawet panu – ciągnął popijając wino – lecz niech to między nami zostanie, że matkę jej wpędzili do grobu, a ją, biedaczkę, zgięli i do idiotyzmu doprowadzili. Przed wyjściem za mąż była żywa, wesola, lecz pod ich ponurym despotyzmem musiała się załamać na duchu i ciele. Teraz są dla niej raczej oprawcami niż mężem i szwagierką. Tak przynajmniej utrzymuje moja żona, a kobiety posiadają dar szczególnej spostrzegawczości.

– Czy się bawią jeszcze... nie śmiem w zastosowaniu do nich tego wielkiego użyć słowa: czy się bawią jeszcze w religijność i pobożność? – spytałem.

– Upredzasz mnie pan. Właśnie chciałem powtórzyć najtrafniejszą, jaką kiedy bądź słyshałem uwagę, która wyszła z ust mej żony. Otóż utrzymuje ona, że pan Murdstone stawia siebie za niezrównany, boski wzór do naśladowania. Uderzyła mnie trafność tego spostrzeżenia żony. Ho, ho! Nie ma bystrzejszych obserwatorek niż kobiety!

– Pełne są intuicji.

– Uszczęśliwiasz mnie pan, zgadzając się ze mną w tej mierze! – zawołał, rozpromieniony winem i zaufaniem. – Rzadko, bardzo rzadko wyrażam me zdanie poza obrębem mego zawodu, lecz żona moja utrzymuje, słuchając ustawicznych kazań i publicznych przemówień pana Murdstone, że jest on tak nieubłagany fanatykiem, jak okrutnym w domu tyranem.

– Przyznaję najzupełniejszą słusność żonie pańskiej.

– Żona moja – ciągnął uszczęśliwiony człowieczek – utrzymuje właśnie, że tacy apostołowie szkodzą dobrej sprawie. Ja sam zresztą przyznam się panu – ciągnął mrużąc oczy i przechylając głowę na ramię – nie znalazłem nigdzie w Piśmie świętym poparcia dla zasad pana i panny Murdstone.

– Ani ja – rzekłem.

– Toteż – ciągnął pan Chillip – nie cieszą się oni ogólną sympatią, że zaś każdego, kto im nie wtóruje, skazują na wieczne zatracenie, potępieńców nie brak w naszej okolicy. Żona moja utrzymuje właśnie, że czym kto wojuje, od tego ginie. Wszyscy się od nich odwrócili, zostali sami ze swą złością i nieubłaganą srogością. A teraz wróćmy do uprzedniej rozmowy. Jakże tam z tą umysłową pracą? Nuży pana, kochany panie Copperfield? Musisz ciąglej potrzebować podniety?

Sam już był jednak tak dalece podniecony, że z łatwością sprowadziłem go na inny przedmiot rozmowy, na własne jego interesy i sprawy. Niestrudzony udzielał mi przez pół godziny informacji, dając do zrozumienia, że jego niniejsza obecność w Londynie pozostaje w związku z pewnym wypadkiem pomieszania zmysłów jednego z pacjentów wskutek nadużycia gorących napojów.

– Upewniam pana, panie Copperfield – mówił – że w podobnych razach bywam do głębi wzruszony. Tracę przytomność! Pamiętam jak dziś, ile upłynęło czasu, zanim po pańskim właśnie przyjsciu na świat zdołałem ochłonąć z wrażenia wywartego obcesowym postępowaniem tej starej damy.

Powiedziałem mu, że jadę do tej obcesowej damy, ciotki mej, w gruncie rzeczy najlepszej pod słońcem kobiety. Zapewnienia moje w tym względzie nie uspokoiły go wszelako i nie

przekonały. Wyglądał na wystraszonego samą myślą powtórnego spotkania z obcesową damą i powtarzał z uśmiechem:

– Doprawdy? Kto by to przypuszczał! Jednocześnie kazał zapalić świecę, w łóżku szukając schronienia przed wywołaną zgorą. Nie wiem, czy go rozgrzało wino, lecz skłonny jestem przypuszczać, że miękkie jego serce było prędzej! Tak prędko zapewne, jak onego pamiętnego wieczoru, w którym ciotka moja uderzyła go kapeluszem.

Zmęczony, poszedłem też spać o północy. Nazajutrz wyjechałem do Dover i zastałem ciotkę przy herbacie. Nosiła teraz okulary, nie zmieniona zresztą wcale. Ciotka, pan Dick, stara moja, kochana Peggotty, obecnie bawiąca u ciotki w charakterze gospodyni, z otwartymi przyjęli mnie ramionami, ze łzami radości w oczach. Zabawiła ciotkę opowieść o mym spotkaniu z doktorem Chillipem i wspomnienie, które o niej przechował. I ciotka, i Peggotty dużo miały do mówienia o mym ojczymie i tej jego „zbójcekiej siostrze”. Sądzę, że żadne względy nie skłoniłyby ciotki do nazwania panny Murdstone inaczej lub do wymówienia jej nienawistnego imienia.

ROZDZIAŁ LX

AGNIESZKA

Pozostawszy sam na sam z ciotką, do późnej nocy rozmawialiśmy o listach nadeszłych z Australii od naszych emigrantów, o tym, że pan Micawber zwracał drobne kwoty z owych słynnych „pieniężnych zobowiązań”, które go tak bardzo zajmowały, o tym, jak Janet, przyjąwszy znów służbę u ciotki po powrocie jej do Dover, nie wytrzymała i wyszła za mąż za szynkarza, przy czym ciotka, jako znana przeciwniczka stanu małżeńskiego, obdarzyła ją wyprawą i małym posagiem, słowem, o rzeczach wiadomych mi już z otrzymywanych z domu listów. Jak zwykle też, była mowa o panu Dicku. Ciotka opowiadała, z jakim zapałem przepisywał wszystko, co się przepisywać dało, tą pozorną pracowitością trzymając na wodzy króla Karola Pierwszego. Ciotka była uszczęśliwiona, widząc, że jest spokojny i zadowolony, tylko ona bowiem wiedziała, „ile wart jest ten człowiek”.

– A kiedyż, Trot – spytała wreszcie, głaszcząc po dawnemu moją rękę, którą trzymała siedząc przed kominkiem – kiedyż pojedziesz do Canterbury?

– Jutro rano postaram się o konia – rzekłem – chyba że ciotka życzy sobie towarzyszyć mi, to w takim razie...

– Bynajmniej – przerwała mi ze zwykłą sobie stanowczością. – Nie myślę wcale ruszać się z domu.

– W takim razie jadę jutro rano – odrzekłem. – Już bym tam był, gdyby mi nie było pilno kogoś innego powitać.

Odpowiedź ta zadowolniła ciotkę.

– Trot! Trot! – mówiła uśmiechając się i gładząc moją rękę. – Ba! Stare moje kości dotrwałyby i do jutra...

Patrzałem zadumany w ogień. Zadumany, gdyż powrót ten, zbliżenie się do Agnieszki budziły stare żale. Czas je złagodził, ale nie zatarł zupełnie. Zdawało mi się, że słyszę jeszcze ciotkę moją powtarzającą:

– Och! Trot, dziecko! Ślepe, biedne dziecko!

Teraz rozumiałem znaczenie nie docenionych wówczas słów. Chwilę długą milczeliśmy oboje. Podnosząc wzrok spotkałem się z badawczym spojrzeniem ciotki. Śledziła zapewne bieg moich myśli.

– Zastaniesz – mówiła z wolna, przerywając długie milczenie – zastaniesz ojca jej złamanego wiekiem, białowłosego starca, odrodzonego jednak pod wieloma względami. Nie mierzy

on już jak dawniej ludzkich smutków, radości, potrzeb jedną wyłącznie miarą. Wierz mi, dziecko, nie mało szarpać się z sobą i życiem potrzeba, zanim się ta ciasna nasza rozszerzy miara.

– Wiem to, ciotko.

– Ją zastaniesz piękną, dobrą, rozumną, poświęcającą się jak zawsze. Gdybym znała silniejsze słowa pochwały, użyłabym ich w zastosowaniu do niej.

Większa nie mogła już istnieć pochwała, lecz ileż w słowach powyższych było nagany dla mnie. Zbłąkany, zszedłem z drogi do szczęścia.

– Jeśli dziewczęta, które wychowuje – mówiła ciotka ze łzami w oczach – choć w części podobne będą do swej nauczycielki, życie jej nie przeminie marnie. „Jest użyteczna, a zatem szczęśliwa.” – Pamiętasz, Trot, własne to jej słowa. Jakże mogłaby ona nie być użyteczna i szczęśliwa?

– Czy Agnieszka... – począłem nie pytając, lecz raczej myśląc głośno.

– Co? Co mówisz? – przerwała mi ostro ciotka.

– Kocha kogoś? – skończyłem.

– Wstydź się! – zawołała oburzona panna Betsey. – Wstydź się! Sto razy przecie, od czasu jakiegoś odjechał, mogła, jeśliby chciała, wyjść za męża.

– Nie wątpię o tym – odrzekłem. – Pytam, czy się nie znalazł ktoś godny jej ręki i serca, gdyż inaczej, wiem o tym, Agnieszka nie oddałaby ni ręki, ni serca.

Ciotka moja nic mi nie odpowiadała. Siedziała z brodą opartą o rękę i dopiero po chwili podniosła oczy.

– Posądzam ją – rzekła – że kryje przywiązanie w sercu...

– Odwzajemnione? – spytałem.

– Tego ci nie mogę powiedzieć, Trot – odrzekła z powagą. – Może i tak powiedziałam za wiele. Agnieszka nie zwierzała mi się nigdy, są to własne moje domysły...

Patrzała na mnie bacznie, zdawało mi się nawet, że wargi jej tajemnym jakimś drgają wzruszeniem i czułem, że odgadnąć musiała, co się w mej duszy dzieje. Wezwałem na pomoc wszystkie moje postanowienia.

– Jeśli tak – rzekłem – a mam nadzieję, że...

– Ale ja wcale nie twierdzę – znów ostro przerwała mi ciotka. – Ja się tylko domyslałam, a z domysłów moich żadnych ostatecznych nie powinieneś wysnuwać wniosków. Domysły mylne być mogą i mówić o nich nie mam prawa.

– Sama mi to Agnieszka powie – odrzekłem. – Siostrą mi była zawsze, posiadała całe me zaufanie i zaufaniem wypłaci mi się zapewne.

Ciotka odwróciła powoli wzrok ode mnie i zakryła ręką oczy. Po chwili drugą rękę położyła mi na ramieniu i tak siedzieliśmy długo, milcząc, zapatrzeni w przeszłość. Rozstaliśmy się późno w noc, nie zamieniwszy słowa więcej.

Nazajutrz rano jechałem konno drogą, którą przebywałem tak często za dni szkolnych. Nie, nie czułem się szczęśliwy z odniesionego nad sobą zwycięstwa. Nawet bliska nadzieja ujrzenia Agnieszki nie zdołała rozproszyć mego smutku.

Szybko mijałem znane mi pola i ogrody, aż znalazłem się w murach miasta, którego kamień każdy był literą w abecadle dni mych dziecięcych. Zbliżyłem się do starego domostwa. Serce miałem jednak zbyt wzburzone i cofnąłem się od drzwi. Przeszedłem pod oknem izdebki, w której przesiadywał niegdyś Uriah Heep, a potem pan Micawber. Obecnie kancelaria zmieniona została na poczekalnię czy bawialny pokój. Poza tym stare, spokojne, lśniące od czystości domostwo żadnej nie uległo zmianie. Służącą, która mi otworzyła, prosiłem powiedzieć pannie Wickfield, że pragnie ją widzieć dżentelmen mający do niej zlecenia od bawiącego za granicą przyjaciela. Wprowadzono mnie po starych, znanych mi schodach do starego, znanego mi salonu. Na półkach leżały jak dawniej książki Agnieszki, biurko, przy którym wieczorami opracowywałem lekcje, również stało na dawnym miejscu. Tylko po zmianach

zaprowadzonych w domu za rządów Heepów nie było ani śladu. Wszystko, wszystko było jak dawniej, za lepszych czasów...

Stanąłem w oknie, przypatrując się ulicy i przeciwległym domom wspominając, że tak samo właśnie przypatrywałem się im w owe pierwsze spędzone tu, deszczowe popołudnie, snując domysły o sąsiadach – goniąc wzrokiem przechodniów, kobiety stąpające po zmokłych od deszczu kamieniach, strumień, co spływał z okapu. Żywo stanęli mi w pamięci wędrowcy, w mroczne, dżdżyste popołudnia zjawiający się na rogu ulicy, z węzełkami u końca zarzuconych na ramię sękatych kijów. Czułem woń rozmokłej ziemi, pożółkłych liści, znużenie długiej podróży, nieokreśloną jakąś tęsknotę.

Skrzypnięcie bocznych drzwi wyrwało mnie z zadumy. Odwróciłem się. Piękne oczy Agnieszki spotkały się z moimi. Stała i podniósłszy rękę do serca, zachwiała się. Pochwyliłem ją w objęcia.

—Agnieszko! Droga, kochana Agnieszko! Przestraszyło cię to nagłe moje zjawienie się?

– Nie! Nie! Cieszę się, że cię widzę, Trotwood!

– A ja, Agnieszko, jakże się cieszę!

Przycisnąłem ją do piersi, milczeliśmy długą chwilę. Usiedliśmy obok siebie, anielskie oblicze zwrócone było ku mnie, czytałem na nim powitanie, o którym we dnie i w nocy od lat wielu marzyłem. Tak szczerą była, serdeczną, dobrą, piękną! Tyle jej zawdzięczałem, tak droga mi była, że słów nie znajdowałem na wypowiedzenie tego, co czułem. Próbowałem powtórzyć jej podziękowania, błogosławieństwa, którymi przepelnione bywały listy moje – próżno! Słowa konały mi na ustach, miłość i radość moja były nieme.

Spokój jej pogodny, jak zawsze, tak i tym razem, oddziaływał na mnie. Zwróciła wspomnienia moje do chwili naszego rozstania, mówiła o Emilce, którą niejednokrotnie przed odplynięciem jej do Australii odwiedzała po kryjomu; mówiła o mogile Dory. Z właściwym szlachetnym sercem taktem poruszyła te struny mych wspomnień, nie targając, lecz kojąc. Zdało mi się, że słucham cichej jakiejś muzyki i mogłoby być inaczej; byłem wszak pod skrzydłem anioła stróża mego życia.

– A ty, Agnieszko – spytałem ją wreszcie – mów mi o sobie, od tak dawna nic mi o sobie nie mówiłaś.

– Cóż mówić miałam – uśmiechnęła się pogodnie. – Ojciec zdrowy, życie nam płynie cicho i spokojnie, w tym starym przywróconym nam domu. Pierzchły zgryzoty i niepokoje. Wiedziałeś o tym i cóż ci więcej mówić miałam? Oto wszystko.

– Wszystko? – spytałem.

Spojrzała na mnie. Rumieniec oblał jej białe czoło.

– I nic mi już więcej, siostrzyczko, nie masz do powiedzenia?

Zbladła, zarumieniła się powtórnie, znów zbladła. Uśmiechnęła się smętnie i potrząsnęła głową.

Zamierzałem wywołać zwierzenie na temat tego, co było domysłem mej ciotki. Przemogłem własne uczucia, zapanowałem nad sercem, obowiązkiem moim było pozyskać jej zaufanie, służyć wedle możliwości, lecz zauważywszy to jej zmieszanie, nie chciałem nalegać.

– Pracujesz, droga Agnieszko?

– Tak, w szkole – odpowiedziała uspokojona.

– Ciężka to praca.

– Wdzięczna – odrzekła. – Trudem nie mogę jej nazwać.

– Wszystko, co dobre, łatwe ci się zdaje, wiem to, Znów się zarumieniła, spuściła głowę, zdawało mi się, że po ustach jej przebiegł uprzedni smutny uśmiech.

– Zaraz ojciec nadejdzie – mówiła. – Wszak spędzisz dzień z nami? Przenocujesz może w dawnym swym pokoiku? Wiesz, zawsze się nazywa twoim.

Nocować nie mogłem, obiecałem ciotce wrócić, lecz zamierzałem z nią spędzić dzień cały.

– Muszę cię jednak na chwil kilka opuścić – mówiła. – Wołają mnie moje zajęcia, lecz oto są stare nasze nuty i książki, pamiętasz, jak dawniej.

– Te same nawet co dawniej widzę kwiaty – odrzekłem rozglądając się po pokoju.

– Chciałam wszystko utrzymać tak, jak bywało za dawnych, dziecinnych naszych lat – mówiła z uśmiechem. – Tak szczęśliwi byliśmy wówczas.

– Niebu to tylko wiadomo! – westchnąłem.

– Każdy szczegół przypominający mego brata – mówiła patrząc mi prosto w oczy – miły mi był, nawet te klucze dźwięczały na nutę starych wspomnień. Zadzwoiła kluczami i uśmiechnęła się odchodząc. Tak! Pozostawało mi tylko przechować jak świętość siostrzane te uczucia. Skarbem mi być powinny! Raz zachwianą ufność łącznie mógłbym utracić... Rozumiałem to i sama miłość do Agnieszki nakazywała mi skrywać, zwalczać porwy serca.

Wyszedłem na miasto. Na progu jatki stał rzeźnik, dawny mój wróg. Poszedłem obejrzeć plac walki. Mignęły mi w pamięci lekkie cienie panny Shepherd i starszej panny Larkins i wielu tym podobnych. Z przeszłości jedno mi pozostało całe, żywe – Agnieszka! Tak mi przyświecała z wysoka, jak niedościgła gwiazda. Wróciwszy zastałem pana Wickfielda: powrócił ze swego ogrodu za miastem, którym zajmował się teraz z zapalem. Zastałem go takim właśnie, jak mnie ciotka uprzedziła. Zasiadliśmy do stołu w towarzystwie kilku dziewczątek. Prawnik zdawał się cieniem pięknego mężczyzny, przedstawionego na wiszącym w sali jadalnej portrecie.

Uległem znów kojącemu nastrojowi tego domu. Przy deserze pan Wickfield nie pił jak dawniej wina, ja też pić nie chciałem i niebawem przeszliśmy do salonu, gdzie Agnieszka ze swymi uczennicami zajmowała się muzyką i ręcznymi robótkami. Po herbacie dziewczynki odeszły, pozostaliśmy we troje, jak dawniej – mówiliśmy też o dniach minionych.

– Mój udział we wspomnieniach – mówił pan Wickfield potrząsając siwą głową – składa się z żalu, głębokiego żalu. Wiesz to dobrze, Trot, nie mam się zresztą z czym skrywać.

Cała jego postać świadczyła o szczeroci tych słów.

– Nie zmażę przeszłości – mówił – i zmażać, gdybym nawet mógł, nie chcę, gdyż ani na chwilę nie chcę zapomnieć tego przywiązania, poświęcenia, jakich dowody dała mi Agnieszka.

– Rozumiem pana – odrzekłem cicho – zawsze ją też uwielbiałem!

– Lecz i ty sam, kochany Trotwood, nie wiesz, czym jest i była, ile przeżyć, ile przewalczyć, przeboleć musiała. Kochane dziecko!

Agnieszka powstrzymała go, kładąc mu rękę na ramieniu. Błada była, bardzo blada.

Teraz zauważyłem, że istotnie, jak się domyślała ciotka, miała na sercu niewypowiedziany jakiś ciężar.

– Nigdy ci, Trotwood, nie mówiłem o jej matce? – spytał pan Wickfield.

– Nie, panie, nigdy.

—Niewiele się da powiedzieć, chociaż wiele się przecierpiało. Wyszła za mnie wbrew woli ojca, który się jej wyrzekł. Błagała o przebaczenie przed urodzeniem się Agnieszki. Twardy to był człowiek, matka umarła od dawna, odepchnął korzącą się córkę. Zranił ją śmiertelnie.

Agnieszka, stojąc za ojcem, otoczyła ramionami jego szyję.

– Pocziwe, tkliwe miała serce – ciągnął pan Wickfield – i to ją zabiło. Nikt lepiej ode mnie jej nie znał. Kochała mnie, lecz nie była szczęśliwa. Kryjąc się przede mną cierpiąca i płakała, a że słaba była i do zdrowia wrócić nie mogła, srogość ojca dobiła ją. Pozostawiła mnie samego z Agnieszką, dwutygodniowym zaledwie niemowlęciem, i tymi siwymi włosami, które musiałeś zauważyć widząc mnie po raz pierwszy.

Ucałował pochylającą się nad nim córkę.

– Pokochałem moją sierotkę – mówił – samolubną, niedobrą miłością, lecz miałem duszę chorą. Nic nadto powiedzieć nie mogę. Nie o sobie zresztą, lecz o niej i o jej przedwcześnie

zmarłej matce mówić chciałem. O sobie mówić? Znasz mnie przecie. Wiesz, czym byłem. Czym jest Agnieszka, zbytecznie powiadać. W usposobieniu jej dostrzegam rysy podobieństwa do matki. Tyle zmian zaszło i oto znów we troje jesteśmy tu razem.

Pochylił głowę, a na anielskim obliczu Agnieszki malował się taki smutek, że samo to nadałoby już znaczenie owemu, że wszech miar pamiętnemu dla mnie wieczorowi.

Agnieszka podeszła do fortepianu i zaczęła grać ulubione przez ojca melodie. Stałem za jej krzesłem.

– Czy zamierzasz znów kraj opuścić? – pytała.

– A jakież byłoby, siostrzyczko, twoje zdanie w tej mierze?

– Miałam nadzieję, że zostaniesz.

– Zostaję zatem, Agnieszko!

– Tak – mówiła – ponieważ pytasz mnie, sądzę, że istotnie powinieneś zostać. Sława i powodzenie, które zdobyłeś, rozszerzają tu zakres twojej działalności i jeśli ja – dodała podnosząc na mnie wzrok anielski – mogę oszczędzać mego brata, to czas okaże się bardziej wymagającym.

– Wszystko tobie zawdzięczam, Agnieszko.

– Mnie?

– Tobie, droga, dobra moja przyjaciółko! – mówiłem pochylając się nad nią. – Tobie samej! Dziś rano chciałem ci powiedzieć coś, o czym ciągle od śmierci Dory myślę. Czy pamiętasz, jakieś mi wówczas wskazała niebo?

– O, Trot – odrzekła ze łzami w oczach – tak młody byłeś, kochający, ufny! O Trot! Czy mogę zapomnieć?

– Odtąd – ciągnąłem – często w myśli mojej zjawiałaś się, jak w owej chwili, z podniesioną w górę ręką. Wyżej, zawsze wyżej! Tyś mnie wiodła wyżej.

Potrząsnęła głową, uśmiechała się zza łez.

– Ileż ci winienem wdzięczności! Nie, nie zdołam ci jej nigdy wyrazić. Chciałbym, abyś głębiej jej zmierzyć mogła, lecz wyrazić nie potrafię, i to powiem chyba, że pragnę, byś mnie przez całe przewodniczyła życie. Jakie bądź zajdą zmiany... jakie bądź wiązać cię będą węzły, zwracać się będę ku tobie z tą samą co dawniej ufnością, z tym samym przywiązaniem. Będziesz mi zawsze światłem i oparciem i do ostatniego tchnienia widzieć cię będę przed sobą jako ukochaną siostrę, wołającą mnie: „Wyżej! Wyżej!”.

Ujęła moją dłoń, upewniając, że dumna jest ze mnie, dumna z mojej przyjaźni, lecz że ją stokroć przeceniam. Po czym grała już nie podnosząc oczu.

– Wszystko, com dziś od twego ojca słyszał – mówiłem siadając obok niej – wydaje mi się czymś znanym. Domyślałem się, czym jesteś od pierwszej chwili, gdy cię tu małą jeszcze poznał dziewczynką.

– Wiedziałeś, że jestem sierotą, i to cię wzruszało.

– Nie to tylko. Wówczas już dostrzegłem coś dziwnie słodkiego i rozważnego w tobie i w całym twym otoczeniu, coś, co gdzie indziej przedzierzgnęłoby się w smutek, tu zaś było słodczą samą.

Grała nic nie mówiąc.

– Czy ci się bardzo zabawnym wydaję z tymi starymi wspomnieniami i zwierzeniami?

– O, nie, nie!

– I czy się nie bardzo zdziwisz, gdy powiem, że mi się wówczas już zdawało, że wszelkie raz powzięte przywiązania, wbrew wszystkiemu, do grobowej przechowasz deski? Czy się myliłem, Agnieszko?

– Nie... O, nie!

Na chwilę twarz jej posmutniała, tknęło to mnie;

Po chwili jednak grała i patrzyła na mnie jak zawsze spokojnie, pogodnie.

Wracając do domu w wietrzną noc myślałem o tym i coś mi mówiło, że Agnieszka, bądź co bądź, nie jest szczęśliwa. I ja szczęśliwy nie byłem, chociaż pieczęć zapomnienia chciałem położyć na przeszłości, i wznosząc oczy w niebo – we wskazanym przez nią kierunku – myślałem o nadziemskiej miłości i o chwili, w której wyznam jej tam wysoko walnę, jaką tu, na ziemi, z własnym stoczyć musiałem sercem.

ROZDZIAŁ LXI DWAJ POKUTNICY

Na czas potrzebny mi do wykończenia prowadzonej wówczas pracy – to jest na kilka miesięcy – zamieszkałem przy ciotce w Dover. Pisując przy oknie i spoglądając na wschodzący ponad morzem księżyc, myślałem o latach ubiegłych, o chwili, kiedym po raz pierwszy pod starym tym dachem znalazł przytułek.

Wierny postanowieniu mówienia tyle tylko o pisarskim mym rzemiośle, o ile tok opowiadanych wypadków niezbitie nakazywać to może, nie zastanawiam się nad literackimi mymi dążnościami, nadzieją, lękiem, powodzeniem, i to powiem tylko, że raz obranemu zawodowi całym oddał się sercem, i jeśli utwory moje posiadają jaką wartość, to chyba szczerości przekonań. Bez tej czymże byłby trud cały?

Od czasu do czasu odwiedzałem Londyn, szukając zapomnienia w jego gwarze lub radząc się Traddlesa w kwestiach prawnych. Prowadził on podczas mej nieobecności moje interesy i na świetnej postawił je stopie. Ze zaś wzrastająca sława przynosiła ze sobą ogromną ilość listów od osób często mi nieznamymych, w kwestiach najczęściej błahych, na które niełatwo było odpowiadać, kazałem skrzynkę, dla dogodności listonosza, przybić u drzwi kancelarii Traddlesa i tu, od czasu do czasu, niby najęty sekretarz stanu, ogromną załatwiałem korespondencję.

Niekiedy zdarzały się i listy treści prawnej. Przypominano sobie dawny mój zawód. Odmawiałem, nie chcąc nieudolnym zastosowywaniem i bez tego nieudolne psuć prawodawstwo.

Gdy skrzynkę do listów opatrzoną moim nazwiskiem przybijano u drzwi kancelarii Traddlesa, dziewczęta odjechały już, a wyrostek całe dni trawił przewieszony przez okno, przypatrząc się pracom Zofii w mikroskopijnym ogródku; pogodna i gospodarna jak zawsze, przy pracy nuciła stare piosenki. Dziwiło mnie to tylko, że ją często zastawał z piórem w rękę i w takich razach spiesznie chowała książkę, w którą coś wpisywała. Wkrótce wyjaśniła się tajemnica. Pewnego dnia Traddles wyjął z szuflady biurka arkusz papieru, pytając, co sądzę o tym piśmie.

– O! Nie pokazuj! – zawołała Zofia grzejąc mu właśnie pantofle przy kominku.

– Czemu nie, kochanie! – mówił rozpromieniony Traddles. – Czemu nie? Co powiesz, Copperfieldzie, o tym piśmie?

– Pyszne! – zawołałem. – Czytelne, równe. Tak pewnej ręki nie zdarzyło mi się spotkać.

- Kobięca ręka, co? – pytał Traddles.
- Kobięca! Żartujesz chyba!

Traddles roześmiał się uszczęśliwiony. Było to pismo Zofii, która się wprawiała w celu zastąpienia mu dependenta i doszła do zadziwiających rezultatów. Rumieniła się oskarżając męża o stronnictwo; on zaś upewniał, że musiałby jej oddać sprawiedliwość, jeśli by nawet nie była jego żoną.

– Śliczną, miłą masz żonę – mówiłem Traddlesowi, gdy odeszła.

– Bez zarzutu, ostatnie słowo doskonałości – twierdził. – Co za porządek, praktyczność, oszczędność, pracowitość. Taka przy tym zawsze wesoła!

– Słusznie się nią szcycisz – mówiłem. – Bardzo szczęśliwy chłop z ciebie! Uszczęśliwicie się wzajemnie i doprawdy najszczęśliwszą chyba pod słońcem jesteście parą ludzi.

– Niewątpliwie najszczęśliwszą – mówił. – Tak przynajmniej sędzę. Mógłbyś sądzić inaczej, gdy widzę ją, jak wstaje z brzaskiem, nie zważając na stan pogody, przede dniem udaje się na rynek po zakupy gospodarskie, sama gotuje, a zawsze czysta, świeża, elegancka, wesoła. Co dzień, do późnej nocy dotrzymuje mi towarzystwa, zachęca, rozwesela... Tak, istotnie, Copperfieldzie, najszczęśliwszym jestem pod słońcem człowiekiem.

Rozweselały go nawet wygrzane dopiero co przez żonę pantofle, które nałożył.

– Czasem sam nie wierzę we własne szczęście – ciągnął uśmiechając się. – Tyle przy tym miewamy przyjemności, rozrywek, nie kosztownych wprawdzie, lecz nieopłaconych! Dobrze tu nam, przytulnie, wieczorem przy drzwiach zamkniętych i spuszczonej ręką mojej Zochny storach. W pogodne wieczory wychodzimy na przechadzkę, oglądamy wystawy. Pokazuję Zofii w jubilerskich wystawach złote, o brylantowych oczach węże, wijące się po białym atłasie, i rozmyślamy, który z nich kupiłbym jej, jeśli bym mógł. Lub też Zofia pokazuje mi złote zegarki, które by dla mnie kupiła, gdyby miała za co. Zawsze wybiera najlepsze, najpiękniejsze, kochana moja Zofia. Rozmyślamy, jakie byśmy sobie wybrali sztuce, serwisy, porcelanę. Czasem idąc ulicą, mówimy sobie: „Ten oto dom przydałby się nam, gdyby na przykład został kiedy sędzią. Byłyby to okna naszego pokoju, a te tam znów pokoje służyłyby siostrze”. Czasem znów kupujemy sobie bilety na galerię do teatru i tanim kosztem bawimy się wybornie. Zofia święcie wierzy we wszystko, co się tam rozgrywa, a i ja także po trosze. Wracając do domu kupujemy sobie nieco ciastek lub wędzonkę i po powrocie spożywamy wiesz, gwarząc o tym, cośmy widzieli i słyszeli. Powiedzże, Copperfieldzie, mógłbym być szczęśliwszy, gdybym nawet był samym Lordem Kanclerzem?

„Byłbyś taki zawsze i wszędzie, pocziwy mój przyjacielu” – pomyślałem, a głośno rzekłem: – Czy rysujesz jeszcze kiedy szkielety i trupie główki? Pamiętasz?

– Przyznam ci się – odrzekł rumieniąc się po uszy – że mi się to jeszcze czasem zdarza. Nawet czasem w sądzie... tak, gdy siedzę w ostatnich ławkach i gdy mi ołówek wpadnie w rękę... Boję się, czy nie dalej jak onegdaj nie ozdobiłem szkieletem pulpitu po prawej stronie, wiesz.

Śmieliśmy się z całego serca. Traddles zamyślił się patrząc w ogień i westchnął:

– Pamiętasz starego Creakle?

– Tego łotra! – oburzyłem się. Otrzymałem właśnie list...

– Od starego?! Nie może być! – wykrzyknął Traddles.

– A jednak od niego samego – mówiłem przerzucając papiery. – Pomiedzy tymi, których jak magnes pociąga gwiazda mego powodzenia, znajduje się i Creakle. Upewnia mnie właśnie o czułych uczuciach, które przechował dla swego byłego ucznia. Uspokój się, nie jest już nauczycielem! Emeryt, został miejskim urzędnikiem w Middlesex.

Wiadomość ta nie zdziwiła bynajmniej Traddlesa.

– Jak ci się zdaje, jakim sposobem doszedł do tego dostojęstwa? – spytałem.

– Niełatwe pytanie – odrzekł Traddles. – Dał może głos za kimś wpływowym, pożyczył komu pieniądze, kupił co od kogo w porę, zyskał poparcie wpływowej jakiejś osobistości i otrzymał urząd...

– W komitecie więziennym. Pisze właśnie, że chciałby mi przedstawić wzór obmyślanego przez się systemu najlepszego celkowego odosobnienia. Co myślisz o tym?

– O systemie?

– Nie, o towarzyszeniu mi w tej bądź co bądź ciekawej wycieczce.

– Nie mam nic przeciw temu.

– Pojedziemy tedy. Pamiętajsz, jak łotr ten – że już nie wspomnę niehumanitarnego jego postawienia się nad tobą, poczciwy Tomciu – zmusił własnego syna do ucieczki spod rodzicielskiego dachu. Pamiętajsz, jak się obchodził z żoną i córką?

– Pamiętam! Któż by mógł zapomnieć!

– Przeczytaj no list jego! Pełen tklivości dla czarnych jak piekło zbrodniarzy. Czułość jego dopiero teraz godne sobie znalazła ujście.

Traddles wzruszył ramionami. Nie dziwiło go to bynajmniej. Jak ja przygotowany był do podobnych paradoksów; umówiliśmy się, że pojedziemy razem, o czym też niebawem doniosłem panu Creakle.

W umówiony dzień, nazajutrz, zdaje mi się, mniejsza z tym zresztą, staliśmy z Traddlosem u wrót więzienia, gdzie rządy sprawował stary nasz znajomy. Gmach to był olbrzymi, nie miałym wzniesiony kosztem. Dochodząc tam, nie mogłem się powstrzymać od myśli, jakie by zamieszanie powstało w okolicy całej, jeśliby ktoś połowę tych kosztów przeznaczył na wzniesienie wzorowej szkoły lub przytułku dla starców.

W sali, godnej rozmiarami wieży Babel, spotkał nas były nasz nauczyciel w otoczeniu radnych miasta. Powitał mnie jako ukochanego ucznia, nad którego pierwszymi krokami miał ojcowską pieczę. Traddlesa musiałem mu przedstawić. Przypomniawszy sobie łaskawie, że jego zaliczał niegdyś w poczet swych uczniów. Szanowny nasz nauczyciel postarzał bardzo, poza tym nie zmienił się wcale, utracił tylko resztki siwych włosów, a pokrywające łysinę żyły nabrzmiały więcej jeszcze.

Rozmowa przeszła od razu na tory, z których wnioskować mogłem, że osiłą całego świata, jedynym i pierwszym zadaniem ludzkości było budowanie jakim bądź kosztem, wznoszenie więzień, samych więzień. Rozpoczęliśmy potem przegląd. Była to właśnie obiadowa pora, a godziny w więzieniu winny być ściśle przestrzegane. Nie mogłem powstrzymać się od szepnięcia na ucho Traddlesowi kilku uwag, jakie mi się nasunęły przy porównaniu tych więziennych – a i poza murami więzienia za doskonale mogących uchodzić – obiadów z jadłem, jakie niegdyś otrzymywali wychowawcy szkoły pana Creakle, i z tymi, jakimi zadawalniać się muszą zasłużeni inwalidzi, żołnierze, robotnicy, słowem, ogromna większość ubogiej, lecz uczciwej i pracującej ludności. Dowiedziałem się przy tym, że „więzienny system” takiego właśnie wymagał pożywienia. Na ogół „system” ów tłumaczył wiele anomalii i nikt zresztą nie przypuszczał, aby obok lub oprócz tego „systemu” istnieć mógł jaki bądź inny.

Przechodząc wspaniale korytarze pozwoliłem sobie spytać pana Creakle i jego towarzyszy, na czym mianowicie zasadza się doskonałość rzeczonoego „systemu”. Odpowiedziano mi, że na odosobnieniu, zupełnym odosobnieniu, zamknięciu w celi, które wywołać miało skupienie, żal, poprawę, skruchę...

Obchodząc cele, korytarze, słysząc, jak się odbywają nabożeństwa w kaplicy itp., przyszedłem do wniosku, że więźniowie daleko więcej wiedzą jedni o drugich, niżby przypuszczać można było w tak doskonale przeprowadzonym „systemie” odosobnienia. Czas i doświadczenie wykazały zresztą, że się nie myliłem. Chcąc odkupić powątpiewanie, którym zgrzeszyłem przeciw doskonałości „systemu”, całą mą uwagę skupiłem na więźniach.

I tu czekało mnie rozczarowanie. Żal i pokuta objawiały się w stałych formach, na kształt w oknach krawców wywieszonych surdutów. Ludzie byli najrozmaitsi, tylko domniemana ich

skrucha jednego trzymała się szablonu, jednymi i tymi samymi wyrażała się słowy. To właśnie pobudziło we mnie wątpliwości. Dostrzegłem wielu szczerwanych lisów, oblizujących się z udaną pogardą na niedojrzałe winogrona, nie dostrzegłem ani jednego takiego, któremu podsunąć bym się ośmielił zakazany owoc. Przede wszystkim zauważyłem, że najgłośniejsi zbrodniarze byli właśnie przedmiotem największej pieczołowitości władzy, co rozwijało ich próżność, swadę, zarozumiałość i inne właściwe im cechy.

Tyle mi przy tym, jako o najciekawszym okazie, mówiono o pewnym Dwudziestym Siódmym Numerze, tak wychwalano jego wzorową skruchę i pokutę, że się powstrzymał od ostatecznych wniosków do chwili obejrzenia zjawiska. Numer Dwudziesty Ósmy był też ciekawym objawem, gasł jednak obok Dwudziestego Siódmego. Tyle mówiono mi o pobożności tego więźnia-pokutnika, o moralnych naukach, których udzielał nawet więziennym dozorcóm, o wzruszających listach, jakie pisywał do matki, uważając, że zostawił ją w ciężkiej sytuacji, iż nie bez pewnej niecierpliwości czekałem, aż z kolei dojdziemy do jego celi.

Nie nastąpiło to tak prędko. Chowano ten kasek na deser. Dotarliśmy wreszcie do celu. Pan Creakle zajrzał przez otwór we drzwiach i oznajmił nam szeptem, że więzień się modli.

Każdy pragnął oglądać ten interesujący obraz. Głowy tłoczyły się dokoła ciasnego otworu we drzwiach. Pan Creakle, ku ogólnemu zadowoleniu, kazał drzwi otworzyć. I któż się zjawił przed mymi i Traddlesa oczyma? Któż? Uriah Heep we własnej osobie!

Poznał nas od razu i powitał ze zwykłą swą pokorną uprzejmością.

– Jak się pan ma, panie Copperfield? Witam pana, panie Traddles!

Wywołało to ogólny podziw. Taki brak pychy, zaciętości, wzorowa taka pokora!

– Jakże tam? – łaskawie spytał go pan Creakle.

– Spokojny jestem, ukorzony – odrzekł Uriah.

– Jak zwykle – zauważył pan Creakle. – Jak zwykle! Dobrze się zatem czujesz?

– Dziękuję, o, dziękuję panu! Lepiej niż kiedy bądź. Poznałem wszystkie błędy i nieprawości moje i lżej mi na duszy.

Panowie ci byli wzruszeni do głębi serca, któryś wysunął się naprzód, pytając:

– A mięso, co?

– Dziękuję panu – odparł więzień. – Co prawda wczoraj za tłuste chyba było na mój słaby żołądek, lecz muszę to ofiarować za grzechy i błędy młodości mojej. Grzeszyłem bowiem, panowie! Błądziłem! Stokroć jestem szczęśliwy, że teraz odpokutować za to mogę.

Wśród zebranych powstał szmer uwielbienia dla czyniącego pokutę grzesznika. Niektórzy z obecnych oburzali się na dostawcę, że zbyt tłustym mięsem naraża go na niepotrzebne przykrości. Pan Creakle zapisał to w notatniku, a Numer Dwudziesty Siódmy stał wśród nas jako przedmiot godny ze wszech miar podziwu i uwielbienia. Przez wzgląd zapewne na olśnionych neofitów, to jest na mnie i na Traddlesa, wywołano sąsiada, Numer Dwudziesty Ósmy, drugą z kolei więzienną znakomitość.

Ku wielkiemu memu zdziwieniu ujrzałem Littimera!

I ten miał w ręku książkę do nabożeństwa.

– I cóż? – zagadnął go jegomość w okularach. – Jakże tam z tym kakao? Niezadowolony byłeś z niego, o ile przypominam sobie, w zeszłym tygodniu.

– Dziękuję panu, istotnie lepiej je teraz gotują – odparł zagadniony. – Dałoby się może coś jeszcze zarzucić mleku, gdybym nie wiedział, jak trudno w Londynie o dobre, świeże i niefałszowane mleko.

Zdawało mi się, że jegomość w okularach współzawodniczy z panem Creakle i ulubiony swój Numer Dwudziesty Ósmy pragnie przeciwstawić ulubieńcowi tamtego, Dwudziestemu Siódmemu.

– Jakże się czujesz? – pytał dalej łaskawie Littimera.

– Dziękuję panu! Smutek głęboki ogarnia mnie na wspomnienie własnych grzechów i grzesznego żywota dawnych moich współtowarzyszy, oby Nieba oświecić ich raczyły.

- Lecz sam, jak się teraz czujesz?
- Dziękuję panu, spokojny jestem.
- Żadnego nie masz życzenia?

– Panie! – odrzekł na to Littimer nie podnosząc oczu. – Ośmielę się zauważyć, że jest tu ktoś, kogo, jeśli mnie wzrok mój nie myli, znałem dawniej. Otóż przyda się może panu temu wiadomość, że wszystkie błędy i przewinienia moje przypisuję temu zwłaszcza i temu tylko, że służąc młodym paniczom, nie miałem siły oprzeć się im i dałem sobą powodować. Niech słowa moje nie obrażają tu obecnego dżentelmena. Ostrzegam go we własnym jego interesie, sam poznawszy swe grzechy, pragnę, aby się i obecny tu dżentelmen opamiętał i żałował za zło, w którym brał udział.

Niektórzy z obecnych mieli łzy w oczach, przybierali pobożne miny ludzi wchodzących do kościoła.

– Dobrze – chwalił jegomość w okularach – przemawia to na twoją dwudziestą ósmą korzyść. Tego się właśnie po tobie spodziewałem! Cóż więcej?

– Panie – mówił Littimer podnosząc brwi, lecz nie podnosząc oczu – w całej tej smutnej sprawie sprężyną była dziewczyna, którą chciałem wyrwać ze zgorszenia, daremnie, niestety! Otóż pragnąłbym, aby tu obecny dżentelmen dziewczynę tę upewnił, że przebaczam jej wyrażone mi krzywdy i upominam, aby pokutę czyniła.

– Nie wątpię – upewniał jegomość w okularach – że słowa twoje, które tu wszyscy zresztą wzięliśmy do serca, wywarły pożądane wrażenie na obecnym tu dżentelmenie. Nie zatrzymujemy cię dłużej, Dwudziesty Ósmy.

– Dziękuję panu, z przeproszeniem pańskim. Żegnam panów, życząc im i ich rodzinom opamiętania i skruchy za grzechy.

Przed odejściem Littimer zamienił z sąsiadem swym, Uriahem, ukradkowe spojrzenie, zdradzające, że się nieraz musieli porozumiewać, a gdy odszedł, panowie z więziennego komitetu zaczęli go wychwalać jako wzór skruszonego więźnia.

– A teraz – zwrócił się znów do Uriaha pan Creakle – czy nam Numer Dwudziesty Siódmy nic już nie ma do powiedzenia?

– Prosiłbym najpokorniej – odrzekł przekrzywiając się i wijąc Uriah – o pozwolenie napisania do mojej matki.

– Pozwalamy – rzekł pan Creakle.

– Najpokorniej dziękuję! Niespokojny o nią jestem. Żle jest z moją matką, źle...

Ktoś chciał spytać, co się jej przytrafiło. Ktoś inny nakazał milczenie, nie chciano przerywać skruszonemu grzesznikowi.

– Żle jest z jej duszą – mówił wykrzywiając się Uriah. – Pragnąłbym, aby się znajdowała w podobnym jak ja usposobieniu. Nie doszedłbym nigdy do obecnej moralnej równowagi, wiem to, jeśli bym na szczęście tu nie popadł, toteż i matce życzę, aby jak najprędzej tu znaleźć się mogła. Każdemu na dobre by wyszło, jeśli by tu popadł!

Wypowiedź ta wywołała powszechne zadowolenie. Panowie z więziennego komitetu triumfowali.

– Zanim tu popadłem – ciągnął Uriah, szybkim spojrzeniem upewniwszy się o wywołanym wrażeniu – zanim tu popadłem, oddany byłem doczesnym zdrożnościom, których gorycz tu dopiero poczułem. Tam, na świecie, na swobodzie same panują zdrożności!

Tu dopiero mieszka skrucha, cnota, a biedna matka moja dotąd na swobodzie, wśród zdrożności wszelkich pozostaje!

– Zmieniłeś się istotnie, kochanie! – potakiwał pan Creakle.

– O tak, tak, panie!

– Nie popadłbyś w recydywę, gdyby cię wypuszczono? – zagadnął ktoś z boku.

– O, nie... nie.

– Jest to nader pocieszający objaw – zauważył pan Creakle. – A teraz, kochanku, mówię z panem Copperfieldem. Czy nic mu więcej nie masz do powiedzenia?

– Panie! – począł Uriah zwracając się do mnie, a nikczemniejszego spojrzenia, jak to, które zwrócił na mnie, nie spotkam nigdy chyba. – Znałeś mnie pan z dawien dawna i wiesz, że mimo zdrożności moich zawsze byłem pokorny wśród pysznych, cichy i łagodny wśród gwałtownych, a pan, panie Copperfield, gwałtownym względem mnie nieraz – pamiętam – bywałeś. Raz uderzyłeś mnie w twarz... Pamiętasz pan?

Słowa te wywołały ogólne współczucie, niejeden z obecnych spojrzął na mnie z ukosa.

– Ale ja to panu wybaczam, panie Copperfield – ciągnął Uriah wzruszając wspaniałomyślnością swą obecnych – wybaczam panu, jak i wszystkim wszelkie urazy i krzywdy wybaczam. Nie przystoi mi być mściwym i obraźliwym. Wybaczam tedy panu w nadziei, że opanujesz z czasem swą gwałtowność, pokutę za nią czyniąc. Chcę wierzyć, że pan W. i panna W., i cała ta banda grzeszników opamięta się z czasem. Wiem, że ręka karzącej sprawiedliwości dotknęła nieszczęściem pana, i mam nadzieję, że wyjdzie to panu na dobre. Na lepsze by jeszcze wyszło, gdybyście mogli tu popaść: pan W. i panna W. także. Najlepsze życzenie, jakie dla pana, panie Copperfield, i dla przyjaciół pańskich złożyć mogę, to abyście tu się znaleźli. Doszedłem do takiego przekonania, rozmyślając o tym, czym dawniej byłem, a czym zostałem obecnie i lituję się, tak, z całego serca lituję nad tymi, co tu nie popadli.

Cofnął się w głąb celi, wśród ogólnego pochwalnego szmeru i wydaje mi się, że Traddlesowi i mnie tylko lżej się na sercu zrobiło, gdy ciężkie wrzeczadze więziennej celi oddzieliły tego skruszonego od reszty grzesznej ludzkości.

Skrucha ta miała taki charakter, że musiałem spytać, za co obydwaj przykładni pokutnicy, tu – że użyję wyrażenia Uriaha – „popadli”. O tym bowiem żaden z nich nie wspomniał. Z zapytaniem zwróciłem się do jednego z więziennych nadzorców, z którego twarzy wyczytałem pewien sceptycyzm co do onej budującej skruchy.

– Czy nie możesz mi pan powiedzieć – rzekłem idąc korytarzem – za jakie to ostatecznie przewinienie Numer Dwudziesty Siódmy dostał się do więziennej celi?

Odpowiedziano mi, że za bankowe sprawy.

– Nadużycie? – spytałem.

– Podstęp, fałszerstwo, kradzież. On i inni, lecz ten właśnie pociągnął tamtych. Spisek, mówię panu, formalny spisec. I nie o lada jaką szło sumę. Zapadł wyrok skazujący ich na deportację dożywotnią. Ten ptaszek wszystkim kierował, wszystkich współwinnych wydał, a sam o mało się nie wykręcił... Cha, cha! Ale przytrzymało lisa za ogon!

– A Dwudziesty Ósmy? – pytałem.

– Dwudziesty Ósmy? – nadzorca zniżył głos, zbliżył się do mnie i bojaźliwie oglądając na Creakle i jego towarzyszy rzekł: – Dwudziesty Ósmy okradł młodego lorda, u którego służył, jak raz w wilię dnia, w którym mieli wyjechać za granicę. Ho, ho! Dobrze pamiętam tę sprawę. Przytrzymała go karlica.

– Kto?

– Taka mała kobiecina. Zapomniałem jej nazwiska.

– Czy nie Mowcher?

– A tak, właśnie, Mowcher. Zmykał zmyliwszy pogoń, z fałszywą brodą, w peruce, przebrany i zmieniony do niepoznania, gdy go przypadkiem na ulicy w Southampton spotkała karlica. Spotkała, porwała i, cóż pan powie, uczepiła się poły, na kark mu wsiadła jak śmierć sama!

– Wyborna panna Mowcher!

– Ale, wyborna była, panie, dopiero w sądzie występując jako świadek. Postawili ją, pamiętam, na krześle. Ten, broniąc się w Southampton, uderzył ją, zranił, nic nie pomagało! Uczepiła się go, mówię panu, jak ćma i nie puściła, dopóki go nie pojmano. Uczepiła się go, wpiła się po prostu w niego, policjanci zaledwie oderwać ją zdołali. A świadczyła! Wszyscy

pokładali się od śmiechu! Upewniała, że jeśli byłby nawet Samsonem, jeszcze by go pojmać zdołała. Cha, cha! Nie wątpię o tym. I ja nie wątpię, a przeświadczenie to wzmogło szacunek mój dla panny Mowcher.

Skończyliśmy oględziny wzorowego więzienia. Traciłby czas, kto by usiłował przekonać pana Creakle, że Dwudziesty Siódmy i Dwudziesty Ósmy, pomimo zachwalonego „systemu”, pozostali takimiż samymi, jak i byli, łotrami. Obłudnicy wyzyskiwali obecne swe położenie i oceniając doskonale „system” czekali tylko stosownej chwili, by zadrwić z niego. Lecz straciłby czas, kto by przekonać usiłował protektorów „systemu”, toteż nie wdając się w płonne dyskusje wróciliśmy z Traddlosem do domu.

– Ha – mówiłem – może i lepiej osadzać w klatkach podobne ptaki, bo gotowe na śmierć zadziobać ludzkość.

– Może i lepiej – odrzekł Traddles.

ROZDZIAŁ LXII PRZEBŁYSK SZCZĘŚCIA

Zbliżało się Boże Narodzenie: od dwóch przeszło miesięcy bawiłem w Anglii. Często widywałem Agnieszkę i chociaż pochwały i zachęty spotykały mnie w najszerszych kołach społeczeństwa, jedno małe słówko jej uznania większą dla mnie miało cenę.

Co najmniej raz na tydzień spędzałem wieczór w starym domku. Wracałem zwykle późno, nie chcąc smutku mego powierzać niespokojnym snom. Jadąc konno, przeżywałem myślą wiele minionych, ponurych i samotnych nocy.

Gdym jej odczytywał me utwory, gdym się wpatrywał w jej zasłuchaną twarz, pochwycił uśmiech lub łzę wywołaną tym, co chciałem przedstawić, gdym słuchał jej słów zachęty, myślałem o tym, czym byłby mój los, życie... Myślałem, jak niegdyś po ożenieniu się z Dorą, jaką bym chciał mieć żonę.

Obowiązek względem Agnieszki, której uczucia zraniłem egoistycznie, i przekonanie, że sam się przyczyniłem do takiego ułożenia mego życia, powstrzymały mnie i krzepiły. Kochałem ją jednak i jedyną pociechą był mi ten odległy dzień, w którym będę miał prawo powiedzieć jej: „Kochałem cię, Agnieszko, z miłością świadomą w sercu wróciłem do kraju, dziś jestem stary, stoję nad grobem i mogę powiedzieć, że nikogo więcej prócz ciebie nie kochałem”.

Agnieszka była niezmiennie ta sama. Pomiędzy ciotką a mną od owej pierwszej rozmowy w wieczór mego powrotu zaszło coś, co nie było nieufnością ani świadomym i umyślnym unikaniem pewnych tematów, co jednak kładło tamę wymianie wielu myśli. Gdyśmy wedle dawno nabytego zwyczaju siadywali naprzeciw siebie wieczorem przed kominkiem, pogrążyliśmy się w myślach i milczeniu. Sądzę, że ciotka częściowo przynajmniej domyślała się moich uczuć i rozumiała powody milczenia.

Nadeszło Boże Narodzenie, Agnieszka żadnych mi nie czyniła zwierzeń i zdejmował mnie nieraz strach wielki, czy czasem nie wyczytała czegoś w mym sercu i milczy tak, nie chcąc mnie zrazić. W takim razie płonna byłaby moja walka z samym sobą, płonne milczenie, wszystko na nic! Postanowiłem rozjaśnić bolesną tę, bądź co bądź, niepewność.

Było to – jak dobrze pamiętam! – było to w wietrzny, mroźny dzień zimowy. Rano spadł śnieg i zasnął pola. Z morza pędził północny wiatr, kołacząc w moje okna. Myślałem o niebotycznych górach Szwajcarii, niedostępnych ludzkiej stopie, i o tym, co jest bardziej osamotnione: czy te białe tam góry, czy to morskie pustkowie.

- Wyjedziesz dziś, Trot? – spytała ciotka uchylając drzwi.
- Wyjadę, kochana ciotko, do Canterbury. Wyborny dzień do konnej przejażdżki.
- Życzę, aby i wierzchowiec twój podzielał to zdanie – odrzekła. – Tymczasem spuścił ogon i uszy, czekając u wrót, i wyglądał tak, jak gdyby wolał wrócić do stajni.

Tu muszę wspomnieć, że koń mój miał prawo przekraczać bronioną osłom przez ciotkę granicę otaczających jej domek trawników.

– Ożywi się za chwilę – rzekłem.

– W każdym razie przejażdżka wyjdzie na dobre jeźdźcowi – powiedziała ciotka spoglądając na moje zarzucone papierami biurko. – Ileż tu godzin trawisz, dziecko! Czytając dawnej książki, anim przypuszczała, ile pisanie ich pochłania czasu, ile kosztuje pracy.

– Jak gdyby nie było dosyć czytać je – zaśmiałem się. – Ale pisanie, ciotko, ma też swe uroki.

– Aha! Ambicja, lubowanie się w sławie i tak dalej, i tak dalej! Wiemy, wiemy!

Klepała mnie po ramieniu, uśmiechając się dobrotliwie.

– Kochana ciotko – rzekłem nagle – czy nie dowiedziałaś się nic więcej o tym... przywiązaniu Agnieszki?

Popatrzyła mi bacznie w oczy i dopiero po chwili rozwagi rzekła:

– Owszem, zdaje mi się, że wiem coś więcej.

– I trwasz przy uprzednich domysłach? – pytałem.

– Tak, Trot, trwam.

Wpatrywała się we mnie tak bacznie, z takim współczuciem i serdecznością, że usiłowałem wypogodzić twarz. Chciałem wyglądać spokojnie.

– Otóż sądzę, Trot... – zaczęła.

– Słucham, ciotko?

– Że Agnieszka... wyjdzie za mąż.

– Błogosław jej, Boże!

– I jej, i jej wybranemu – dokończyła ciotka. Staralem się wtórować temu jej życzeniu, po czym pożegnawszy ją zbiegłem ze schodów.

Jakże pamiętam tę jazdę w mroźny, wietrzny dzień i białą wijącą się drogę: lodowe igielki śniegu były mi w twarz, zmarznięta ziemia dzwoniła pod kopytami konia.

Zastałem Agnieszkę samą. Uczennice jej rozjechały się na przerwę świąteczną i Agnieszka siedząc przy kominku czytała. Na widok mój odłożyła książkę, powitała mnie serdecznie i biorąc robotkę usiadła w głębokiej framudze okna.

Usiadłem naprzeciw niej i rozmawialiśmy o tym, co robiłem od ostatniej mej tutaj bytności, o postępach mej pracy. Agnieszka śmiała się wesoło i przepowiadała mi, że wkrótce zdobędę taką sławę, że i mówić już z nią o powodzeniu mym chyba nie zechcę.

– Muszę więc korzystać, póki czas – żartowała.

Patrzyłem w jej piękną, nad robotką pochyloną twarz. Spostrzegła to podnosząc oczy.

– Zdajesz mi się zamyślony, Trotwood? – rzekła.

– Czy ci mam powiedzieć, co mnie zajmuje? – odrzekłem. – Z tym właśnie przybyłem. Odłożyła na bok robotę. Gotowa była mnie słuchać.

– Nie wątpisz o mej szczerości i przywiązaniu do ciebie? – spytałem.

– Nie wątpię – odrzekła nie bez pewnego zdziwienia.

– Czy wierzysz w to, że m się nie zmienił względem ciebie?

– Wierzę.

– Pamiętasz, com powróciwszy z zagranicy mówił o zaciągniętym względem ciebie długu wdzięczności?

– Pamiętam – odrzekła cicho.

– Więc czemuż mi się nie zwierzysz ze swej tajemnicy, Agnieszko, kochana Agnieszko?

Powieki jej opadły, drgnęła.

– Wiem – mówiłem – chociaż nie z twoich ust, i to mnie właśnie boli, że jest ktoś, kto posiadał skarb twojej miłości. Czemuż ukrywasz przede mną to, co jest tak ściśle ze szczęściem twoim związane? Jeśli posiadam istotnie twoje zaufanie, pozwólże mi, niech w tym jak i innych wypadkach będę ci przyjacielem i bratem.

Z niezwykłą żywością porwała się z miejsca i przebiegła przez pokój, jak gdyby nie wiedziała, co czyni. Nagle zakryła twarz rękoma i wybuchnęła do głębi serca wzruszającym mnie płaczem.

We łzach tych jednak było dla mnie coś na kształt promyka nadziei. Łzy te związały się nagle z szeregiem zagadkowych, smutnych, nieraz przedtem dojrzanych na jej ustach uśmiechów i nie boleść zbudziły we mnie, o nie!

– Agnieszko! Siostrzyczko! Najdroższa! Co ci zrobiłem?

– Puść mnie, Trot, niedobrze mi, odejdę... Innym razem, tak, innym razem powiem ci... Napiszę... teraz nie mów nic... nic mi nie mów.

Starąłem się przypomnieć sobie, co mi odpowiedziała tamtego wieczoru, gdy jej mówiłem, że przywiązanie jej musi być odwzajemnione.

– Agnieszko – rzekłem – nie mogę znieść myśli, że cię zasmuciłem. Droga moja, najdroższa na świecie całym, jeśli cierpisz i czujesz się nieszczęśliwą, podziel się ze mną swym smutkiem, niepokojem! Jeśli potrzebujesz poparcia, rady, we mnie je znajdziesz. Jeśli masz ciężar na sercu, ja ci go dźwigać pomogę. Boć dla kogóż, jeśli nie dla ciebie, Agnieszko, żyję, oddycham!

– Oszczędzaj mnie – wołała – nie jestem w tej chwili panią siebie, innym... innym razem!

Czy mnie szalone jakie zaślepiły nadzieje, czy istotnie...

– Nie, Agnieszko – nalegałem – tak rzeczy pozostać nie mogą. Na Boga! Po tylu, tylu latach nie rozstawajmy się w nieporozumieniu. Mówmy otwarcie. Jeśli ci się zdaje, że szczęście, którym masz kogoś obdarzyć, zaboli mnie... że mi zabraknie odwagi wręczyć cię twemu wybranemu... że nie potrafię być świadkiem twego szczęścia... Jeśli ci się tak zdaje, nie myśl tak, wszak na to nie zasłużyłem! Nie po to cierpiałem, nie po to walczyłem z sobą, nie po to starałem się brać z ciebie przykład, Agnieszko, aby ulec wreszcie podobnie egoistycznym uczuciom!

Uspokajała się. Po chwili zwróciła się do mnie blada, lecz głos jej, choć cichy i urywający się, był spokojny.

– Prawda – mówiła – w imię przyjaźni twojej, o której nie wątpiłam nigdy, upewniam cię, że się mylisz. O więcej nie pytaj. Jeśli cierpiałam... to już przeszło. Jeśli miałam dawniej na sercu ciężar, spadł on, a jeśli coś kryję, nie nowa to tajemnica... stara... nie to, nie to wcale, co ci się zdaje. Tajemnicą tą podzielić się z tobą nie mogę, muszę ją zachować dla siebie, dla samej siebie.

– Agnieszko! Stój! Chwilę!

Odchodziła. Zatrzymałem ją, obejmując w pół.

„Dawniej”... „stara tajemnica” – tysiąc nadziei zabłysło mi nagle w sercu, zmieniając barwy całego życia.

– Agnieszko! Droga, kochana Agnieszko! – mówiłem – przychodząc tu dziś jeszcze po-przysięgłem sobie, że nic mnie do wyznań nie skłoni, że aż do późnej starości nienaruszoną zachowam w sercu tajemnicę swej miłości... Myliłbymże się, Agnieszko! Coś mi mówi, że cię droższym, piękniejszym, odmiennym od siostry nazwać mogę imieniem.

Płakała! Łzy to inne były wszelako jak uprzednie! Rosą nadziei oblewały mi serce.

– Agnieszko! – mówiłem przyciskając ją do serca – gdybyś od dzieciństwa naszego mniej gotowa była do poświęceń, mniej myślała o mnie jak o sobie, o, dawno już przeczytałbym jasno we własnym sercu. Za dobra byłaś, za wspaniałomyślna! Nadto polegałem na tobie, nadto mi byłaś potrzebna, przyjaźń twoja mnie oślepiała.

Agnieszka płakała w mych ramionach. Pierwszy raz trzymałem ją w objęciach i anim się spodziewałem, że kiedykolwiek trzymać ją będę.

– Gdy kochałem Dorę, szczerze, jak wiesz...

– Wiem – przerwała mi – i cieszę się teraz.

– Nawet gdy ją kochałem, brakowało mi czegoś do szczęścia, nie byłbym szczęśliwy bez dodatku twojej przyjaźni! A gdy straciłem Dorę, cóż bym począł bez ciebie, Agnieszko?

Tuliła mi się w objęcia, oczy jej, spoza łez podniesione na mnie, nieskończoną błyszcząco czułością.

– Odjeżdżając z kraju kochałem cię już, Agnieszko! Kochałem przez cały czas nieobecności. Wróciłem kochając cię.

Usiłowałem opowiedzieć jej walkę, jaką stoczyłem z sobą, wnioski, do jakich doszedłem. Chciałem jej całą otworzyć duszę. Mówiłem, jak mi dopiero teraz błysnęła nadzieja, w jakich zamiarach przybyłem do niej tego dnia. Jeśli tedy kochała mnie i chciała moją zostać, miała mnie całego oddanego sobie. Niewart jej byłem, wiedziałem o tym, tylko moja szczerą, głęboką miłość mieć mogła wartość.

O, Agnieszko, nawet w tej chwili słodkich wyznań jasny duch mojej dziecinnej żony zdawał się stawać nad nami i przez ciebie przypominał mi ów wcześniej zwiędły kwiat...!

– Takam szczęśliwa, Trot! Tak przepelnione mam serce... Jest przecie coś, co powieścić ci muszę.

– Co najdroższa?

Oparła mi na ramionach ręce i patrząc mi słodko w oczy spytała:

– Jeszcze nie wiesz co, Trot?

– Nie śmiem się domyślać! Powiedz, kochana.

– Kochałam cię przez życie całe.

.....

Byliśmy szczęśliwi! O, jacy szczęśliwi! Przelewaliśmy łzy nie żalu nad przeszłymi smutkami, lecz szczęścia, niezmaconego szczęścia.

Długo przechadzaliśmy się tego zimowego wieczora po polu, w mroźnym, spokojnym powietrzu. Zapalały się pierwsze gwiazdy, zapatrzeni w nie dziękowaliśmy Niebu za tę przystań, do którejśmy dobili.

Potem, późno w noc staliśmy razem we framudze okna, w której stawaliśmy tak często przedtem. Księżyc świecił. Agnieszka wzniosła wzrok w górę. Podążyłem za nią... Nieskończone przede mną rozstwarły się przestrzenie, długa droga, na początku której gdzieś daleko, daleko w przeszłości ujrzałem ubogie, osierocone, na łaskę i niełaskę losu rzucone dziecko. Zmierzało ono do tego domu i serca, co teraz przy moim biło sercu...

Wieczór się już zbliżał, gdyśmy nazajutrz przybyli do domu mej ciotki. Peggotty oznajmiła nam, że ciotka właśnie porządkuje w moim gabinecie. Zastałem ją w okularach, siedzącą u kominka.

– O, na Boga – zawołała – kogóż to wprowadzasz do domu?

– Agnieszkę – odrzekłem.

Umówiliśmy się nie mówić jej zrazu wszystkiego. Twarz jej rozjaśniła się wprawdzie na imię Agnieszki, lecz zmylona moim spokojem i przybranym chłodem, spochmurniała niebawem. Zdjęła niecierpliwie okulary i zaczęła pocierać nos. Agnieszkę powitała jednak uprzejmie i zeszliśmy razem na obiad. Ciotka wkładała, to znów zdejmowała okulary, patrzyła na mnie, wzruszała ramionami, znowu pocierała nos. Pana Dicka wyraźnie niepokoiły te objawy niezadowolenia.

Po obiedzie odezwałem się:

– Mówiłem właśnie Agnieszce, o czym tu przedtem rozmawialiśmy.

Ciotka zaczerwieniła się.

– Nie dotrzymałeś słowa i tajemnicy, Trot. Źle to, źle bardzo.

– Nie gniewaj się, kochana ciotko! Uspokoi cię może wiadomość, że Agnieszka nie jest nieszczęśliwa w swej miłości i posiada wzajemność tego, którego kocha.

– Głupstwo! – oburzyła się ciotka.

Kładąc koniec jej oburzeniu, objąłem Agnieszkę i podeszliśmy tak do niej. Okulary wypadły z rąk ciotki, rozplakała się... po raz pierwszy odkąd ją znałem.

Na te łkania nadbiegła Peggotty. Ciotka zrazu napadła na nią, potem wyściskała. Z kolei wyściskała zdziwionego i uszczęśliwionego pana Dicka, wreszcie zwiastowała im szczęśliwą nowinę. Cieszyliśmy się wszyscy razem.

Nie doszedłem, czy ciotka w ostatniej ze mną rozmowie użyła sprytnego fortelu, czy też istotnie nie domyślała się, co się w duszy mej dzieje. Utrzymywała, że powiedziała mi, iż Agnieszka wyjdzie za męża, i dość tego. Nie myliła się przecie, byłem teraz tego pewny...

Ślub nasz odbył się dwa tygodnie później w obecności jedynie Traddlesa i jego żony, doktora i pani Strong. Wszystkich pozostawiliśmy w wielkim rozradowaniu i odjechaliśmy. W objęciach tuliłem źródło mych pragnień i natchnień, duszę moją, żonę, którą kochałem niezmienną, stałą, dojrzałą miłością.

– Mężu mój – mówiła Agnieszka – teraz cię już tak nazwać mogę! Mam ci coś jeszcze do powiedzenia.

– Słucham cię.

– Leży mi to na sercu od dnia śmierci Dory. Pamiętasz, posłała cię po mnie?

– Pamiętam.

– Chciała – mówiła – coś ci pozostawić. Czy się domyślasz, co?

Domyślałem się i silniej przycisnąłem żonę do piersi.

– Mówiła, że ma prośbę do mnie. Ostatnią prośbę.

– O co?

– Abym zajęła opróżnione przez nią miejsce.

Agnieszka skłoniła na moje ramię głowę. Płakaliśmy oboje, chociaż byliśmy tak szczęśliwi.

ROZDZIAŁ LXIII

GOŚĆ

Opowieść moja dobiega końca. Pozostaje mi jeszcze jedno wspomnienie, na którym myśl moja zatrzymuje się z radością, jedna nić, bez której węzeł tej historii nie byłby zadziergnięty zupełnie.

Rosłem w sławę i wziętość. Szczęśliwy w domowym pożyciu, przebyłem dziesięć lat małżeństwa. Pewnego wieczoru, wiosną, siedzieliśmy z Agnieszką przy kominku, we własnym domu w Londynie, a troje naszych dzieci bawiło się przy nas. Wtem oznajmiono mi przybycie jakiegoś nieznajomego.

Na pytanie służącego, czy przybył w interesie, odpowiedział przecząco. Chciał mnie widzieć i specjalnie po to przybył z daleka. Starzec to, mówił służący; wygląda na dzierżawcę lub rolnika.

Zaciekawiło to dzieci. Podobne było do początku jednej z opowiadanych im przez matkę powiastek o jakiejś złej czy dobrej wróżce. Młodszy nasz synek schował się przestraszony w fałdy matczynej sukni, a mała Agnieszka, pierworodne nasze dziecko, zostawiła lalkę na krześle i schowawszy się za firankę wysunęła ciekawie spoza niej kędzierzawą główkę.

– Proś go tu – rzekłem służącemu.

We drzwiach zjawił się ogorzały, siwy starzec. Mała Agnieszka, pociągnięta snadź wyrazem jego twarzy, wybiegła na jego spotkanie. Zanim zdołałem mu się przyjrzeć, żona moja wykrzyknęła nazwisko pana Peggotty.

Tak, on to był. Siwy starzec, ale zdrow, silny i krzepki. Gdy minęło pierwsze wzruszenie, gdy usiadł naprzeciw ognia, a dzieci nasze uczepliły się jego kolan i ramion, uderzył mnie pogodny jego wygląd.

– Paniczu – mówił dawnym tonem i na dawny sposób – paniczu! Szczęśliwa to chwila, w której widzę panicza z żoną, z własnymi dziećmi!

– Szczęśliwe, bardzo szczęśliwe spotkanie – odrzekłem.

– Kwiatki wy moje – mówił pieszczotliwie do dzieci – ot, ojciec wasz nie większy był od tego najmniejszego, gdy go poznałem. Emilka, mój chłopcze, mało co większa od tych starszych.

– Lata zmieniły mnie tedy więcej, niż zmieniły pana – rzekłem – ale niech te pieszczochy już idą spać, a że w całej chyba Anglii mój dach ma pierwszeństwo w przyjęciu tak drogiego

gościa, gdzie mam posłać po pańskie rzeczy? (Przyszło mi na myśl, czy też istnieje jeszcze owa stara waliza!) A tymczasem, Agnieszko, każ podać wina.

– Sam pan przybył? – spytała Agnieszka.

– Sam, pani – odrzekł całując jej rękę. Posadziliśmy go pomiędzy sobą, ciesząc się nim, dawno znaną tą twarzą, dawno znanym głosem... Zdawało mi się, że wróciły czasy, kiedy to poszukiwał ukochanej synowicy.

– Tyle mórz przebyć – mówił – aby zabawić tu zaledwie parę tygodni! Ale znam się od dawna ze słonymi tymi wodami, serce rwało się do starych przyjaciół i oto przybyłem.

– Jak to, chce pan nas opuścić tak prędko? – zawołała żona moja.

– Obiecałem Emilce, obiecałem. Lata płyną, człek się starzeje, gdybym się ociągał, nie wybrałbym się może nigdy. A zawsze myślałem, że przecie kiedyś przyjadę i raz jeszcze przed śmiercią zobaczę panicza i panią, i szczęście wasze, i dzieci wasze...

Patrzył na nas, jak gdyby istotnie pragnął wzrok nasycić naszym widokiem; Agnieszka z uśmiechem, pieszczotliwą dłonią odgarniała opadające mu na oczy kosmyki siwych włosów.

– Niech pan nam opowiada o sobie – mówiła.

– Niewiele mam do opowiadania – odrzekł. – Pracujemy, jak możemy, ot i wszystko. Zrazu ciężko było, ale dobiliśmy się czegoś. Rola, trzoda i to, i owo wymaga ciągłej pracy. Szczęściło się nam zresztą, chwała Bogu! – dodał, pobożnie skłaniając głowę. – Nie dziś, to jutro, pojutrze dopracujemy się czegoś.

– A Emilka? – spytaliśmy jednocześnie.

– Emilka – odrzekł. – Odkąd zostawiłaś ją pani, co wieczór słyszałem twoje imię w pacierzu, który mówiła za przepierzeniem kajuty, jakeśmy już stracili z oczu panicza. Emilka umarłaby pewno z żalu i bóleści. Szczęściem, na pokładzie byli ludzie słabi i chorzy. Zajął się ich pielęgowaniem. Były dzieci. Zajął się ich pilnowaniem. To ją zbawiło.

– A kiedyż się dowiedziała o... – spytałem i nie skończyłem.

– Długo, sam dowiedziawszy się, nie mówiłem jej – odrzekł pan Peggotty. – Żyliśmy na odludziu, były tam pyszne drzewa i kwiaty. Róż pełno. Aż na dach się pięły. Raz tedy pracowałem w polu, a tu nadchodzi podróżny, jak raz z naszych stron, z Norfolk czy Suffolk. Zatrzymaliśmy go, zaprosili do siebie, tak, osada cała ugościć go pragnęła. Miał z sobą stare gazety, opisy burz i huraganów, przypadków zaszłych na morzu. Stamtąd musiała się dowiedzieć. Wróciwszy wieczorem do domu, poznałem to od razu.

Głos zniżył przy ostatnich słowach, twarz mu się zachmurzyła.

– Cierpiała bardzo długo? – spytaliśmy.

– O! Srodze. Może i teraz to nie minęło! Bądź co bądź, samotność ukoła ją, tyle zresztą było zajęć. Kury, domowe gospodarstwo...

Umilkł, a po chwili dodał:

– Ciekawym, czyby panicz poznał teraz Emilkę, gdyby ją spotkał?

– Tak zmieniona?

– Nie wiem, nie umiem powiedzieć patrząc na nią ciągle. Twarz blada – mówił wpatrując się w ogień – ściągnęła i takie smutne, wielkie błękitne oczy! Ładna główka, ale zawsze pochylona, opuszczona. Głos cichy, nieśmiały... Taka moja Emilka.

Patrzyliśmy na niego, spoglądał zamyślony w ogień.

– Ludzie sądzą – mówił z cicha – jedni, że niestosownie umieściła swe uczucia, inni, że małżeństwo jej zerwała śmierć, nikt nie domyśla się prawdy. Tysiąc razy mogła wyjść za mąż, i dobrze wyjść za mąż, ale zawsze „nie, stryju, nie!” Ze mną bywa wesoła, ale ludzi unika, tylko z dziećmi lubi przestawać i żadna nie odstrasza ją odległość, gdy trzeba komu usłużyć, dopilnować dziecka czy doglądać chorego, czy usłużyć jakiej pannie młodej. Na ślub to nie pójdzie nigdy. Cicha, łagodna, cierpliwa! Wszyscy ją lubią, a najwięcej ci nieszczęściem czy smutkiem dotknięci. Taka jest Emilka.

Potarł ręką czoło.

– A Marta? – spytałem.

– Marta – odrzekł – zaraz w drugim roku wyszła za mąż za młodego pracowitego rolnika. Poznaliśmy go na targu. Z daleka, wiele mil. O żonę tam trudno, mówił, i prosił o rękę Marty. Chciała, abym mu o niej wszystko, ale to wszystko opowiedział. Uczyniłem to. Pobrali się i żyją szczęśliwie, ale w takiej puszczy, że tylko własny i ptaków niebieskich głos słyszą.

– A pani Gummidge?

Wesołej dotknąłem struny. Pan Peggotty roześmiał się.

– Cha, cha! Czyżby kto uwierzył. I do tej się zalecali, kucharz z okrętu we własnej osobie. A niech go nie znam!

Agnieszka śmiała się do łez, pobudzona nagłym wybuchem wesołości naszego gościa; wtórowałem im serdecznie. Pan Peggotty pocierał kolana.

– I cóż na to pani Gummidge? – spytałem przychodząc do słowa.

– A co? – mówił przedrzeźniając głos starej kobiety – zamiast powiedzieć: „Dziękuję panu, bardzo zobowiązana, lecz o zmianie stanu jak na teraz nie myślę”, zamiast mu to powiedzieć, ot, tak, wprost, walnęła go wałkiem, który się znalazł pod ręką. Kucharz o mało co się nie przewrócił.

Agnieszka wtórowała powtórnemu, wybuchowi śmiechu pana Peggotty.

– Muszę jej oddać sprawiedliwość, pocziwej tej kobiecie – ciągnął uspokoiwszy się. – Święcie dotrzymuje obietnicy. Nie chlipie, nie wyrzeka i jest bardzo użyteczna i pomocna. Nie chlipała, nie wyrzekała, że jest opuszczona, wówczas nawet, gdy jako nowi przybysze istotnie byliśmy obcymi w osadzie. Nawet odkąd opuściliśmy Anglię, nie wspomina nieboszczyka starego.

– A teraz – mówiłem – powiedz nam pan co o panu Micawber. Wyplacił co do grosza swoje długi i nawet – pamiętasz, Agnieszko? – uiścił się z długu Traddlesowi, musi mu się zatem dobrze powodzić. Cóż porabia?

Pan Peggotty uśmiechając się wyciągnął z kieszeni papiery, wybierając wśród nich dziwacznie wyglądający numer jakiejś zamorskiej gazety.

– Bo to wiadomo paniczowi – począł – żeśmy już opuścili osadę w buszu i zamieszkali w Port Middlebay Harbor, niby w mieście.

– To i pan Micawber był z wami w buszu?

– A tak, i jak mu się powiodło! Szło mu jak po maśle. Obecnie jest urzędnikiem, dygnitarzem!

– Dygnitarzem? Co znowu!

Pan Peggotty podał mi wyjęty z kieszeni numer gazety. Był to „Port Middlebay Times”. Odczytałem głośno, co następuje:

Obiad wydany onegdaj na cześć szanownego naszego współobywatela, pana Wilkinsa Micawbera, Esq., dygnitarza w Port Middlebay i powiatowego sędziego, powiódł się znakomicie. Sala była przepełniona. Wszystko, co miasto nasze posiada najznakomitszego: najpiękniejsze, najwytworniejsze kobiety pośpieszyły złożyć dowód uznania naszemu znanemu i utalentowanemu sędziemu. W tłumie zauważyliśmy doktora Mell (ze szkoły Salem House), który raczył nawet przewodniczyć bankietowi. Po zdjęciu obrusa ze stołu i odśpiewaniu *Non nobis* (mistrzowsko wykonanym przez utalentowanego Wilkinsa Micawbera, juniora) liczne wznoszono toasty. Doktor Mell po kwiecistej mowie wniósł toast na cześć dostojnego gościa, przynoszącego cześć miastu, z życzeniem, by na zawsze wśród nas mógł pozostać, ciągłym zatrzymany powodzeniem. Trudno opisać zapał, z jakim toast ten został przyjęty. Okrzyki powstawały i ucichały, do przyływu i odpływu morza podobne. Gdy ucichły, głos zabrał Wilkins Micawber, Esq., we własnej osobie. Lecz któż potrafi powtórzyć kwiecistą, wspaniałą mowę znakomitego tego człowieka. Dość powiedzieć, że była wzorem wymowy, podnosiła ducha słuchaczy i ostrzegała młodzież przed niebezpieczeństwami pieniężnych

zobowiązań. Znakomity ten ustęp łączył zaproszył oko niejednego z obecnych dojrzałych mężów. Z kolei zwrócił się mówca do doktora Mell. Przypatrując się uroczystości z trybuny otoczona damami pani Micawber raczyła uprzejmie skłonić głowę. Wśród obecnych dam odznaczały się elegancją i pięknnością pani Ridger Begg, z domu Micawber, córka dostojnego gościa, pani Mell i wiele innych. Wilkins Micawber, junior, pobudził ogólną wesołość oświadczając, że nie będąc z zawodu mówcą woli coś przy kieliszku zaśpiewać. Po obiedzie nastąpiły tańce, w których odznaczały się szczególnie bliźnięta z rodziny Micawberów i panna Helena, czwarta z rzędu córka dra Mell. Rodzina pani Micawber znana w Anglii itd., itd...

Z przyjemnością widziałem nazwisko pana Mell, byłego nieszczęsnego bakalarza w szkole pana Creakle. Pan Peggotty wskazał mi na drugiej kolumnie dziennika własne moje nazwisko. Czytałem:

Do pana Dawida Copperfielda, Esquire,
Sławnego pisarza i autora!
Łaskawy panie!

Lata upłynęły, odkąd miałem zaszczyt naocznie oglądać osobę, której rysy na wieki wyryte w pamięci mojej i imię znane dziś całemu cywilizowanemu światu!

Lecz jakkolwiek bądź, siłą niezależnych ode mnie okoliczności, oddalony od towarzysza i przyjaciela młodości mojej, śledziłem przecie za wznoszącą się gwiazdą jego sławy. I chociaż: „Szumią pomiędzy nami dzielących nas mórz fale!” (Burns) – uczestniczę w umysłowych ucztach, które talent jego roztacza przed nami.

I z konieczności nie mogę pominąć okazji odpłynięcia ku starym łądom pewnej osoby, aby publicznie nie zaznaczyć tak zaszczytnego dla mnie koleżeństwa i nie złożyć towarzysowi i przyjacielowi młodości mojej niniejszym dziękczyniń moich i wszystkich tu obecnych mieszkańców Port Middlebay za rozkosz, jaką nam przynoszą dzieła jego!

Pisz dalej, panie, i nie trać serca! Znamy cię tu i cenimy. Daleki, nie jesteś obcy. Pisz, panie, i nie ustawaj w orlim polocie. Lot twój śledzą zza oceanu czytelnicy z Port Middlebay.

Pomiędzy wznoszącymi się ku tobie z tych wybrzeży spojrzzeniami śmierć tylko zgasi pełne uwielbienia oczy... oddanego ci duszą i ciałem Wilkinsa Micawbera (powiatowego sędziego).

Przerzucając gazetę przekonałem się, że pan Micawber był jej niezamordowanym współpracownikiem. Pisał tam coś o morskich, coś o publicznych drogach. W nawiasie znalazłem, że artykuły powyższe i innych wiele w osobnej wyszły odbitce. Ha! I wstępny artykuł był jego pióra!

Dużo rozmawialiśmy o panu Micawberze i o innych rzeczach. Przez miesiąc cały pan Peggotty został u nas, a ciotka i stara moja piastunka przybyły do Londynu, by się z nim zobaczyć. Odprowadziliśmy go i pożegnali na pokładzie statku, którym odpływał. Odtąd nie spotkaliśmy się z nim już na tej ziemi.

Przed odjazdem udał się jeszcze ze mną do Yarmouth na grób Hama, który ozdobić kazałem marmurową tablicą. Przerysowywałem ją właśnie dla niego, stosownie do jego żądania, gdy schylił się po garść trawy i ziemi.

– To dla Emilki – rzekł chowając w zanadrze. – Obiecałem przywieźć jej to, paniczku.

ROZDZIAŁ LXIV OSTATNI RZUT OKA NA PRZESZŁOŚĆ

Skończyłem. Raz jeszcze niech wstecz spojrzę. Widzę, jak wraz z Agnieszką przechodzę drogę życia, otoczony dziećmi i przyjaciółmi, szmerem nieobojętnych mi zresztą głosów.

Któż mi najbliższy w tym tłumie? Ileż się zwraca ku mnie na to pytanie kochanych, iluż! Ciotka w okularach, coraz silniejszych, staruszka w latach podeszła, lecz prosta jeszcze, żwawa, czynna.

Z nią zawsze, zawsze przy niej Peggotty, stara, kochana piastunka moja! Zawsze z robótką wieczorem, pod lampą, zawsze w nieodstępnym towarzystwie skrzyneczki z wymalowaną na wieczku katedrą Świętego Pawła, kawałkiem wosku i zwijaną miarą.

Policzki i ręce starej piastunki tak jędrne niegdyś, że mi w dziecinnych latach nasuwały na myśl okrągłe, rumiane jabłka, trzęsą się teraz zwiotczałe, a czarne oczy, cień na twarz jej niegdyś rzucające, przygasły i chyba tylko nie zmieniony pozostał w napatyk zbrojny palec, który jak dawniej wyciąga do najmłodszego mego dziecięcia biegającego pomiędzy nią a ciotką po małym bawialnym pokoju. Spełniły się stare marzenia ciotki. Została chrzestną matką prawdziwej Betsey Trotwood i Dora, druga moja z kolei córka, utrzymuje, że babcia rozpieszcza i psuje małą Betsey.

Widzę coś wystającego z kieszeni fartucha niani. Ni mniej, ni więcej, tylko stara książka z krokodylami! Porwana, zaplamiona, lecz przechowana jak relikwia przez kochaną piastunkę! Dziwne mi się wydaje, gdy własne moje dzieci podnoszą na mnie oczęta słuchając opowieści o krokodylach i mimo woli przypominam sobie własne dzieciństwo i dawną znajomość z Brooksem z Sheffield.

Z chłopcami mymi w czasie rekreacji staruszek pewien puszcza olbrzymie latawce, bawiąc się nimi nie gorzej od dzieci. Czasem chwyta mnie za ręce, ściska i mówi pośpiesznie:

– Cieszę się, Trotwood! Możesz mi powinszować. Skończę memoriał w wolnej chwili, a tymczasem upewnić pana mogę, że ciotka pańska jest niepospolitą, niepospolitą kobietą.

Któż jest ta pochyłona, o kij wsparta dama? Pozostały ślady dawnej piękności i dumy, ale jakże jest zmieniona, zdziwaczała! Przebywa ciągle w ogrodzie, w towarzystwie czarnowłosej, ponurej, surowej, zwiędłej kobiety ze szramą na twarzy.

Podśluhujmy, co mówią z sobą.

– Różo! Jak się ten dżentelmen zowie? Zapomniałam zupełnie.

– Pan Copperfield – mówi Róża pochylając się nad nią.

– Aha! Miło mi widzieć pana, panie Copperfield. Pan w żałobie! Czas leczy wszelkie rany. Towarzyszka jej niecierpliwi się, powtarza, że wcale w żałobie nie jestem. Wstrząsa nią. Stara się prostuje.

– Aha! Dawno pan nie widział mego syna? Pogodziliście się z sobą chyba?

Wtem wraca jej pamięć, ręce wznosi z jękiem w górę.

– Rózo – woła w rozpaczy – Rózo, on nie żyje!

Róża klęka przy niej, pieści ją, uspokaja, to gniewa się na nią:

– Więcej go od ciebie kochałam – mówi, a potem znów gładzi ją pieszczotliwie, niby chore dziecko, po włosach.

Odchodzę. Tak, nie inaczej, widuję je zawsze, te dwie nieszczęsne! Tak im upływają lata.

Cóż za okręt nadpływa z Indii i jakaż to na nim magnatka, żona mrukliwego szkockiego krezusa. Byłaby to Julia Mills?

Ona sama, ładna i elegancka, z Murzynem, co jej na złotej tacy podaje bilety wizytowe, z miedzianolicą w pstrym na głowie zawoju garderobianą. Przeszły czasy dzienników i sentymentów. Teraz Julia zajęta jest wieczystymi sprzeczkami ze swym krezusem, podobnym istotnie do burego, gburowatego niedźwiedzia. Zanurzona w złocie, o złocie tylko mówi i myśli. Wolałam ją dawniej, na Saharze, na westchnień mostach kruchych.

A może to teraz właśnie przebywa Saharę? Kto wie! Bo chociaż posiada bogaty dom, pełen gości, zasiada za suto zastawionymi stołami, życie dokoła jej nie rozkwita, nowe nie zielenią się pędy. Nie ma tu kwiatów ani owoców. Wśród tych, których Julia Mills zowie „towarzystwem”, spotykam pana Jacka Maldona.

Szydzi ze swych chlebobdawców i żartobliwie nazywa doktora „chodzącą staroświecczyną”. Czyżby istotnie „towarzystwo” składać się miało z podobnych dżentelmenów i dam? W takim razie wrodzona im i nabyta wżgarda do wszystkiego, obojętność na wszystko, co wstrzymać lub nowe ludzkości dać może rozpędy, wytwarza istotną Saharę, z której obyśmy jak najprędzej wyjść mogli.

A doktor, kochany doktor Strong! Zawsze zajęty wielkim słownikiem, dotarł pono do litery D. Szczęśliwy teraz w domowym pożyciu. Herod-baba, teściowa, nie używa już dawnych wpływów, straciła też na znaczeniu i humorze.

Zpracowany w kancelarii swej i sądach, ze sterczącymi włosami dokoła szerzącej się łysin, Traddles króluje wśród stosów papierów.

Pytałem go onegdaj:

– Czy Zofia jest zawsze twym sekretarzem? W takim razie nie wiem, jak może podołać.

– Bywaj zdrów, mój kochany! – odrzekł. – Dobrze to jednak były te stare czasy, pamiętasz, w Holborn Court?

– Aha! Gdy ci żona przepowiedziała, że zostaniesz sędzią. Świat o tym wówczas nic jeszcze nie wiedział.

– Jeśli nim kiedy zostanę...

– Wiesz dobrze, że to kwestia czasu.

– Opowiem wówczas wiele, wiele ciekawych rzeczy.

Szliśmy wzięwszy się pod ramię. Miałem właśnie obiadować u Traddlesa, był to dzień urodzin Zofii, opowiadał mi o swym szczęściu i powodzeniu.

– Spełniły się wszystkie moje życzenia – mówił. – Oto wielbny Horacjusz dostał dożywotni! pensję. Dwaj moi chłopcy najlepsze otrzymują wychowanie. Są celującymi uczniami. Trzy siostry wyszły bardzo dobrze za mąż. Trzy drugie mieszkają przy nas, a trzy ostatnie prowadzą dom ojca od śmierci biednej pani Crewler. Wszystkie są zatem szczęśliwe i mają los zapewniony.

– Wszystkie oprócz... – wtrąciłem.

– Oprócz piękności. Prawda! Nieszczęśliwe to było wyjście za męża, za tego włóczęgę. Cóż chcesz, oślepiły ją otaczające go blaski. Ha! Teraz wzięliśmy ją do siebie, staramy się pozbyć łotra i rozweselać biedaczkę.

Dom Traddlesa jest iście rodzinnym domem. Obszerny, a jednak Traddles dotąd pracuje w bawialnym pokoju i sypia z żoną na poddaszu. Najlepsze komnaty zajęły siostry z pięknnością na czele, a i dla tych, co przyjeżdżają z Devonshire, i dla mężatek z ich rodzinami winny być zawsze gościnne pokoje. Bawiące w Londynie ciągle lub czasowo siostry trudno zliczyć. Pełno ich spotkało nas na schodach, wszystkie z kolei uściskały Traddlesa. W salonie królowała piękność: opuszczona żona z małą córeczką. Dzień urodzin Zofii zgromadził przy stole oprócz sióstr-panien wszystkie trzy mężatki z mężami, dziećmi, mężowskimi kuzynkami i siostrami. U szarego końca nieskończenie długiego stołu królował Traddles, niby patriarcha, a pomiędzy nim i królującą powyżej Zofią połyskiwał bogaty, ale zawsze jeszcze platerowany, nie srebrny serwis.

I na tym skończę, chociaż woła mnie wiele jeszcze ze znanych a zapomnianych postaci. Przy mnie jest jedna, jak słońce promienne gasząca wszystko dokoła. Ta mi pozostanie na zawsze.

Zwracam głowę, widzę ją w blasku niezmaconej pogody, widzę ją tuż obok siebie. Lampka moja gaśnie, późno w noc pracowałem; ta, bez której byłbym niczym, czuwała, dotrzymując mi towarzystwa.

Agnieszko, duszo moja, pozostań tak przy mnie zawsze jasna pociechą i nadziei gwiazdą, aby nawet w ostatnią godzinę mroki śmierci rozświeciło mi twoje wskazujące w górę ramię.

Spis treści

- XXXI Większa strata
- XXXII Początek długiej podróży
- XXXIII Szczęśliwy
- XXXIV Ciotka zadziwia mnie
- XXXV Smutek
- XXXVI Entuzjazm
- XXXVII Nieco chłodnej wody
- XXXVIII Rozwiązanie spółki
- XXXIX Wickfield i Heep
- XL Wędrowiec
- XLI Ciotki Dory
- XLII Omyłka
- XLIII Rzut oka w przeszłość
- XLIV Nasze gospodarstwo
- XLV Pan Dick spełnia przepowiednie ciotki
- XLVI Wieści
- XLVII Marta
- XLVIII Domowe sprawy
- XLIX Wciągnięty jestem w kabałę
- L Sprawdza się sen pana Peggotty
- LI Początek długiej podróży
- LII Wybuch
- LIII Nowy rzut oka w przeszłość
- LIV Układy pana Micawbera
- LV Burza
- LVI Nowa i stara rana
- LVII Emigranci
- LVIII Nieobecność
- LIX Powrót
- LX Agnieszka
- LXI Dwaj pokutnicy
- LXII Przebłysk szczęścia
- LXIII Gość
- LXIV Ostatni rzut oka na przeszłość
- Nota od redakcji